


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Czantoria i pozostałe pisma literackie”</p>		
<p>Ilość stron oryginału 485</p>	<p>Ilość skanów 487</p>	<p>Liczba plików publikacji 486</p>
<p>Autor Władysław Orkan</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Wydawnictwo Literackie, Kraków</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Kraków</p>	<p>Rok wydania / Data powstania ok. 1899-1930 (okres powstania)/ 1969 r. (data wydania)</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 20,3 x 12,9 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>lata ok. 1899-1930, Jan Wantuła, Andrzej Wantuła, Jakub Bojko, Maria Wyslouchowa, Lucjan Rydel, Leopold Staff, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Stanisław Brzozowski, Jan Sten, Franciszek Nowicki, Stanisław Witkiewicz, Jan Kasprzowicz, Józef Jedlicz, Feliks Gwiżdż, Śląsk Cieszyński, Ustroń, Czantoria Wielka, Czantoria Mała, Równica, rzeka Wisła, Stożek, Barania Góra, Gorce, Limanowa, Podhale, Dunajec, Czorsztyn, Tatry</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>powieści międzywojenne, powieści młodopolskie, nurt modernistyczny, polscy pisarze międzywojenni, polscy pisarze młodopolscy, literatura polska, nowele, pisma literackie, publicystyka, legendy, utwory niedokończone</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

Wi. Orkany

CZANTORIA  
*i pozostałe pisma literackie*





WŁADYSŁAW ORKAN  
CZANTORIA  
I POZOSTAŁE PISMA LITERACKIE

WŁADYSŁAW ORKAN

D Z I E Ł A

WYDANIE ZBIOROWE

42 | I



KRAKÓW  
WYDAWNICTWO LITERACKIE

WŁADYSŁAW ORKAN

# CZANTORIA

I POZOSTAŁE PISMA LITERACKIE



KRAKÓW  
WYDAWNICTWO LITERACKIE

# WŁADYSŁAW ORKAN — DZIEŁA

---

REDAKCJA ZESPOŁOWA  
pod kierownictwem

STANISŁAWA PIGONIA

MIECZYŚLAW KARAS — MARIA RYDŁOWA  
JERZY SKÓRNICKI

Tekst przygotowała  
ZOFIA CIERNIAKOWA

Układ i opracowanie  
MARIA RYDŁOWA

Redaktor tomu  
MARIA RYDŁOWA

**CZANTORIA**  
opowieść

## WSTĘP

Opowieść niniejsza snuje się dookoła rozwidła gór, które wysokimi zboczami swych ramion obejmują zespada źródeł, jako i pierwszy rozpęd kwietnolicej, z połąki dwóch siestr śródleśnych urodzonej Wisły.

Nie mówimy o czasach pradrzewnych, kiedy góry te ogniem jeszcze nie ugasłym dyszały w swym wnętrzu, a słońce przetaczało się nad nimi w oparach gęstych, czerwone; kiedy rosły tu nie znane dzisiaj drzewiska, skrzypy wyniosłe jak maszty, paprocie w bujności rostu palmom rozłożystym równe — mówią nam o tym pokłady węgla głębokie — a na górach tych żyli zaginęni w zmierzchu odległych wieków wielgoludzie, o których dziś słuch jeno ledwo-majacznym się płacze. Stał np. taki — mówi gadka — na jednym wierchu góry, a drugi na drugim. Dzieliła ich szeroka roztoka-dolina. Ale coż to dla obu wielgoludów było? Woła ten pierwszy: — „Janie! podaj mi kijanie!” Tamten wyciąga nad doliną ramię i podaje mu na drugi wierch kijań, której ten potrzebował do łupania drzew.

Wszystko pradrzewiej było przeogromniałe, olbrzymie. Z tego też czasu gadki chodzą o jakichś



jaszczurach strasznych, dochodzących w długości cielska, pokrytego pancerzem ostrym, do stu sążni — o jakichś rybach skrzydlatych, od których prześmigów gęstych słońce się w górze ciemniło, a mogących żyć równie łatwo tak na powietrzu, jak w wodzie — to o przetrwałym dłużej draku latającym, który wzburzał powietrze w swym locie, sprowadzając gwałtowne ulichy, a kiedy ponad las sunął, to taki wicher się robił, że parusetletnie drzewa gięło jak źdźbła i wykrocało z korzeniem, a szalasy z grubych płazów rozwalało jak styrmę z patyków. — Różne potwory i dziwy ongiś tu były.

Niechaj to baśnie z podań odtwarzają.

My mówimy o czasie już pamięci ludzkiej — ale kiedy jeszcze ród mnogi nie zalał roztok otwartych — kiedy jeszcze góry te pokrywał do cna bujny kozuch lasów — kiedy z chmurnej Baraniej staczały się ciemne zbocza jedli, ze Stożka spadały czernią zwarte regimenty smreków, z Bukowej aż do stóp ku Wiśle spływały szumne, rozłożyste buki, a z Równicy po spadach-terasach znosiły się falą kopuł ściśnionych jawory.

Nowsze już, opatrzone aż nadto oczom ludzkim drzewa, jako i znana od wieków zwierzyna — jako to: niedźwiedź, wilki, jelenie, lisy itd. — poza niezmierną podścielą rozmaitych floraczyn i traw zamieszkiwały ten obszar wiślański.

Z dawnego, zmierzchłego czasu pozostały jeszcze leśne duchy, utopce, bandurki, jeleń o świetlanych rogach, no i złotogłowiec, strzegący skarbów pod Baranią. Z tymi zjawami ludzie mieli jesz-

cze w pewnych momentach urocznych różne dziwne wypadki i sprawy.

Lasy, jako się rzekło, różnodrzewne zalewały zbocza górskie i roztoczne włąby. Choć już kożuch ten przeróżno-zielony linić się od góry począł. Siekiera i rąbanica powyrywały już czuby na wierzchach. Odkryły się polany na szczytach, przełęczkach i na wyżniejszych stopniach spadających zboczów.

Nowa to ręka przybylców te polany-wręby otworzyła. Z dawnych tu, rzadkich śród-puszczy mieszańców, których dziadowie, bartnicy leśni, smołotopce, pamiętali jeszcze morawskie czasy Świątopełka, powstał jeno, jak na świadectwo minionych złotych lat, ostatni, dożywający w smęcie swego wieku pod zachyłą Baraniej, na Mrażnicy. Zwał się po rodzicu Morżoł, Jadam z imienia.

W ten bezpański prawie rozgór leśny przyszli skądś ze wschodniej strony, od Karpatów, idący pasterskim szlakiem wołoscy bacowie hrubi z szalasami, i widząc paszy podostatkiem, założyli czasowe bacówki na wierzchach, jak na Stożku, Beskidku, Kiczorze, Skalistym itd., a gdzieniegdzie poniżej tych, na terasach dogodnych zboczów, nawet i stałe osiedla.

Zakładali je, jak zwyczaj, na prawie wołoskim. To znaczy, mieli przywilej karczowania, odsłaniania polan, poboru drzewa na budulec, jako i na opał, i prawo paszy śleobodnej, ograniczone jeno zasięgiem szalasów sąsiednich — za co, podług umowy, dostarczać mieli do komory cieszyńskiego księcia — jako z łaski bożej pana tych wszystkich le-

śnogór — pewną ilość wełny z owiec, sera suchego i bryndzy. Podług też prawa mieli swego wojwodę, który łądził sprawy międzyszałaśne.

Więc prawie niezależnymi gazdami zajętych obszarów byli bacowie owi hrubi, jako i mniej hrubsi. Polany rozszerzali, aby siano mieć na paszę zimą, utwierdzali palami osiedla, aby się od wichrów chronić, gdzieniegdzie wręby pokopali i siali owies lub żyto. Gazdostwo tak gruntowane z ojca na syna przechodziło, stawało się przez przebieg lat, przez prawo używania, własne.

Dobrze się działo w tych górach onym niedawnym przybyszom. Poczuli się, jakby od dawna tu byli. I nie myśleli szukać paszy dalej. Co rok osiedle nowe trwał na zboczu którymś wyrastało. Za biedniejszego był też uważany, który w statku miał sto, dwiesta owiec. Byli, co mieli po pięćset i więcej. I obszaru na wypas, wiele okiem objął — całe połaci lesiste i zbocza... przestrono, jak przy zajmie stworzonego świata.

Lecz cóż człowiek... Niewielu ich na tych górach roztoczonych było, a już zdało im się ciasno. Jako oto dwom bacom, Ogieli i Czantorowi, przegrodzonym doliną Wisły, stojącym szałasami akurat na przeciw siebie na Czantorii i Równicy.

Z ich to zawiści srogiej, wzajemnej sprawa się wywija...

## I. NA CZANTORII I RÓWNICY

Na wierchu ostatnim wydłużonego na północ i obejmującego od zachodu Wisłę ramienia władnej nad onymi górami Baraniej stanął był szałasem trwałym, znalazłszy tu paszy wiele, z Karpat dalekich przybyły, możny dobytkiem mnogim, Jura Czantor.

I rozgazdował się na całej górze. Na przełęczy głównego wyniosłego grzbietu, niby na kalenicy ściętej olbrzymiego lesistego dachu, założył był owczarski szałas i bacówkę, gdzie też sam niezawodnym okiem gospodarskim dozierał bawiącego letnią porą statku, a na niższym, opadłym przywierchu, na karczowisku osłonionym od wiatrów zachodnich, zbudował stałe na zimę osiedle, którego nadzór przez letni czas pozostawiał żonie.

Od jego też imienia przezwano górę, przezeń zajętą, Czantoria. I to wyższy wierch Wielką, a opadły Małą Czantorią. Nie gniewał się cale o to, ba, nawet to jego dumie bacowskiej schlebiało. „Sam sobie baka władny na swojej tu górze — Czantor na Czantorii — niech się nikto ku niemu nie równa”.

Był to chłop hruby, tęgi, ogromnego rostu. Szóstej dziesiątki lat dochodził, a włosy czarne jak

smoła nic nie straciły z polery. Nosił je długie, we warkoczyki plecione, które spadały spływem koło szyi jak węże na ramiona. Twarz, o rysach wyraźnie ciętych, wygolona, szerniała, jak gdyby ją proch z bliska osmalił, miała wyraz sama przez się osępliwie ponury. Gdy się uśmiechnął z rzadka, było, to jakby białość zdziwiona wyjrzała szczeliną skrytą spod zawiesi chmur. Choć w naturze, jak zwyczajnie mocni i zwalisci chłopci, usposobienia ponurego nie był.

Nosił się na pół z juhaska: w koszuli lnianej o szerokich, otwartych rękawach, sprzączką mosiężną na piersiach spinanej, portkach wełnianych białych, z węgierska krojonych, z parzenicami czarnymi; tylko pas miał bacowski, szeroki, witkami świecącymi misternie wybijany, i kapelusz liptowski, o dużych, zawiniętych strzechach. Przy czasie chłodu wkładał na się modą huculską robiony serdaczek z nie zapuszczanej farbą, białej owczej skóry, włóczką w krzyżyki z brzegów wyszywany. Chazukę z czarnej wełny odziewał jeno od święta, to jest, gdy szedł na przykład na radę bacowską albo z leśniczym książeńcem miał sprawy.

Osiedle, jak się rzekło, stało na karczowisku leśnym, które był Czantor przy pomocy syna i juhaków przez luźne dni jesieni i wiosen na pochyli słonecznej wyrobił, odkrywając dużą połąć ziemi dla uprawy zbóż. Darzył się owies, jęczmień, jak i dwuzimowe żyto, tak zwane w górach ikrzyca; ziemia bowiem, z próchnicy odwiecznego lasu, była do gruntu sprawiona. Osiedle było w otwarty czworobok zbudowane. Dom mieszkalny z okrągłych

tramów, w zamek na węglach wiązany, miał izby dwie, dymną i świetlicę, sień i komorę tylną dla schowu zapasów, dach gontem kryty z łamanymi szczyty, odrzwia, niby w dworzyszczu, kołkami wybijane. Stodoła i okół na siano stały pod kątem prostym od frontu po prawej stronie izbiszcza, a stajnia na bydło i owczarnia długa zamykały obejście od lewa.

Latem stały tu tylko krowy i cielęta. Zawiadywała o nich, jak i o reszcie osiedlowego dobytku, Czantorowa, przy pomocy dwojga młodszych, lecz sprawnych już dzieci, Zofki i Pietrzka. Krowy pasła Zofka, a jałowice Pietrek. Owce i woły były na szałasie. Tam też ciążyła cała latem gospodarcza waga. Od powodzenia szałasów wiele zależało.

Szałas na Czantorii składał się, jako zwyczajnie, z koleby, o wnętrzu dymnym, otwartym ku bantom, bez powały, z wiecznym ogniskiem na ziemi, nad którym kocioł na kuli zwieszony o bacowskim świadczył interesie, z dostawionej poza tym i na pół przedzielonej deskami komory, dla schowu wyrobionego sera i dla spania; dalej z dużego, przenośnego, ustawionego na polanie, z plecionych krzesel dla owiec koszar, ze strągwią grodzoną przy tym do podoju; wreszcie ze zwyczajnego z żerdzi koszar na woły.

W szałasie swym rachował Czantor pięćset dojek-owiec i siedemdziesiąt jarek; kierdel wielki, który sześciu juhasów rosłych, nie ułomków, z posługą wartką psa-owczarza dniem-nocą pilnowało. Miał też cztery woły duże, węgierskiej — z puszt cisańskich — siwej rasy, i jedną parę mniejszych.

Dodać do tego bydło, co się przy osiedlu pasło — majątek całe hruby. Miał też czym od świtania głowę gazdowską barłozyc. Dużą wyręką w przyzieraniu był mu syn najstarszy, Jano, który poza tym pasał woły na przeredziach leśnych.

Był to junak dorodny, o twarzy ściągłej, orlej, w wyroście śmigły, strzelisty jak smrek. Weselem młodości dufnej napelniał, gdy się zjawił, szalas — wszyscy go radzi widzieli — a i posłuch miał u juhasów wszystkich, bowiem siłą nikt mu w zapasach nie zdzierzył. Daleko już po innych szalasach hyr o tych jego przewagach się głosił. Radością też był i dumą ojcowskiego serca. Jano, w czym chciał, to ojca mógł przewieść. Czantor kochał go prawdziwie. Jedna tylko była kolka, gdzie ojciec tykać się nie dał. Ale to już dalej się z toku powieści wyłoni.

Zatem, jako widzimy, dobrze się Jurze Czantorowi wiodło. Z trojga dzieci miał już niemałą wyrękę i radość — żona go godnie w osiedlu zastępowała; co do przychowu w statku, jak i wypasania przez szalas obszaru, był bez chyby najhrubszym na tych górach gazdą.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jeden oścień urażliwy, który mu kolcem w sumieniu tkwił. Gdyby oto nie wróg-sąsiad naprzeciw niego, na Równicy. Ten mu spokojność odbierał i burzył w nim krew.

On to zdrazniec Ogiela zapuszczał się szalasem na jego prawem umowy objęte terytorium, a gdy — było — nakazał Czantor juhasom swym szalas zegnać, juhasi Ogielowi (na pewno z ponuki jego) do bitki się do onych rwali. On to szkody mu różne

w statku z pomocą czarów wyrządzał; za jego to, nie kogo innego, sprawą zmarniło mu się w łośskim roku siedem jarek-owiec, a na jesieni krowa się dojna sterała. A już najgorsze to, że — jak Filas mu donosił — natrzasał się Ogiela szydnie z bacostwa jego, Czantora, i dużo przy tym szpetnych słów o nim samym miał wyrzec.

Toteż ile razy Czantor wzrok ku Równicy skierował — a często musiał na nią patrzeć, mając ją naprzeciw oczu — to zawdy wstrząsał się cały kipiącą we wnętrzu złością, gniewem się w ciemnym obliczu zaogniał, pięść ocieężałą dźwigał i złością dławione słowa z przygniotu piersi wyrzucał:

— Poczka, okpisiu, zrajco, zazdrośniku!... Będiesz ty na cudze hleđał!... Zjesz mi ty diasków, aj zjesz!

Ktoś, słyszając te częste klęcia i pomstliwe pogróżki Czantora, mógłby snadnie pomyśleć, że naprzeciw niego nie sąsiad-baca, jak insi, ba chyba sam kumotr diabła w postaci bacy zatajony siedzi.

W rzeczy Ogiela Paweł, „Równiczian” — bo takie było jego iste miano — stojący szalasem na wschodnim obramieniu Wisły, na Równicy, nie miał wcale wyglądu groźnego. Był to, w przeciwieństwie do Czantora, chłop suchy, szczupły, o mniej niż średnim wyroście, i w twarzy jego chuderlawej nic się z odbicia piekła nie tało. Tyle że wargi wąskie, mocno zaciśnięte, jako i szaro połyskliwe oczy, mogły świadczyć o tkwiącej w dnie natury jego — jeśli ją wywołać czym — srogiej zaciętości. Zwyczajnie łagodnego był usposobienia, a dla tych, kogo rad miał, zwłaszcza dla córki swo-



jej, Hani, jedynaczki, pociechy jego samotnego życia, miał miękkie nawet słowa i spojrzenia.

Bo wdowcem był Ogiela. Pasierbów dwóch po żonie nieboszczce nie bardzo rad był widział; dali się mu bowiem krnąbrnością swoją we znaki i nie umieli go za serce ująć. Zdegradował ich też, kiedy podrośli, na juhasów i tak ich samo jak pasterzy, a nawet ostrzej, traktował. Słuchać, mruczając po cichu, musieli, bo bacowską powagę, choć niski, umiał wysoko nosić.

Bacą był nie byle jakim. Cóż ku niemu mogli równać się, choć też bacowie niepośledni, taki na przykład Pilch na Skale, Bulanda na Stożku lub Filas na Kubalonce. Miał czterysta owiec w statku, kóz trzydzieści, krów siedem i jałowizny sztuk piętnaście. Miał polan trawiastych kilka, bo wierch siedlisty Równicy — jak sama jej nazwa mówi — nadawał się bardzo do karczunku. Stał kolebą i korszarem na samym wchyleniu siodła. — Krowy pasła Hana na niższych upadach, a z owcami chodziło juhasów pięciu po wszystkich rozległych zbozczach, zniżając się aż ku stopom Wisły.

Całą tę rozdłużoną górę miał w swej władzie bacowskiej Ogiela i — jak rzeczony Czantor Jura na przeciwkoległej Czantorii — tak on był całym gazdą władnym na Równicy.

Mimo to nie miał spokojnych godzin żywota. Psuł mu je właśnie on sąsiad z przeciwka. Przez niego to, dość chudy, mizerniał bardziej i sechł — on to, jak zmora wisząca ponad nim, pił jego krew.

Toteż gdy kto przy nim wymówił imię Czantora,

wstrząsał się cały, zieleniał i w oczach szarych, przymglonych, zaświecały się stalowe błyski.

— Czantor!... — przeżuwał w gniewie. — Pycha diabelska... duma... On pierwszy — nade wszystkich! Bo jakże... on jeden... Nie dałby drugiemu koło siebie żyć. Ale poczkaaj, nie wierchuj! Mogę ja ci jeszcze sprawić, że zmalejesz...

Słuchający wierzyli święcie, że sprawić może. Bacom różne tajemne są znane sposoby, o których nieświadomi nie wiedzą.

Skąd ta nienawiść między dwoma najbogatszymi bacami powstała, nikt dobrze nie wiedział. Być może stąd, że najbliższymi sobie byli sąsiadami. Ci, którzy niedaleko nich mieli baczki, mówili, że poszło im naprzódy o paszę; gdy juhasi ich, nie dbając wielce o ustanowę granic, zapuszczali się kerdelami w ubocze naprzeciwległe. Stąd spory, waśnie, które latami się ciągnęły. Czantor dumny, Ogiela zacięty — nie mogli się nijako pogodzić. Patrzeli przy tym jeden na bogactwo rosnące drugiego — i zawiść w ich sercach, już zagniewanych, rosła. Do tego dołączało się, co już łacwo, insze. Gdy na przykład któremu coś ze statku zmarniło się, padło, posądzał o tę szkodę — kogóż — przeciwnika. I tak to już głębiła się pomiędzy nimi ta rozтока, która ich państwa-obszary dzieliła, aż stała między oboma nienawiść, która też w czasie, o którym ninie jest mowa, przeszła we walkę zaciętą. Natura sama jakby tej walce sprzyjała...

## II. SŁOTA

Słota naszła na góry wiślańskie w czerwcowe dni. — Skądś z północy zachodniej, od morza, od strony Ostrawicy i starośląskiej Olzy nadciągając poczęły skłębieniami nisko owisłe zwały chmur — jedna nieciecz za drugą — i napotkawszy wyniosłe wierszyska — oparły się ociążałe na nich, a z nowa napływające, nie mogąc się w zbitej masie przywierzchniej pomieścić, jęły się poniżać wełną, sunąć w ciasnocie szarej popod górną powalną owisną, zesuwać się w dół kudłate po lesistych zboczach i zalewać mgłą gęstą doliny. — Niedługie minęły chwile, gdy świat górski zatonął do ostatniej głębiny w tej mrance. Stracił się, szczył, jakby czarami połknięty.

Naokół człeka na sążeń nie dało się nic oczom uświadczyć. Wszystek kształt w szarej łonił się topieli. Pogłosy nawet tłumili się, jakby owijane wełną. — Gęstwina mgły przesuwała się z wolna po ziemi, szukając jakby dla swej bezcielesności widmowej niewiadomego oparcia. A gdy znalazła je, zdałoby się, w jakim zboczcu urwistym czy to ścianie leśnej, przenikała je swą szarą jawą, niby jakiś majak rzeczy, i szła szukaniem dalej. Było też — w zapadach gdzieś matecznych, w ciszy-

nach — że wstrzymała się w zastygłej arfie bezwietrza i oparła się nieruchomo na strunach ciszy. Drgnienie nie przeszło przez jej bezkształt szary. Wisiała martwo ponad ziemią bez dźwięku kropli.

Trwało tak wszystko w tym suchym zalewie przez dwie doby czy dłużej. W pewnym czasie — bo trudno było w tym stanie ranek od śródwieczera odróżnić — poczęło ze mgły nieznacznie mżyć wilgocią i rosić. Wkrótce to przeszło w słyszalne już, szemrzące — po liściach, szpilkach, trawach — romolenie, aż i na dobre z nawiesi mgły zapoczęło siąpić. Gęsta, uporczywa mokrzać, przez drobne jakby sito przesiewana, osiadała na ziemi, na drzewach, przeimając wszystko żywotne, przenikając przez najhrubsze zaploty gałęzi. Z ociężałej, przesiąkłej wilgocią cetyny spadały grube krople na przyziem omszałą — i niebawem dno leśne o suchej jeszcze podścieli do cna we warstwie piarzystej zamokło.

Jakoby jeszcze mało tego było. Dźwignęły się ściężałe mgły z kotliny znad spadu Wisły, nassane do syta wodą — przewiew popod nie, jak zgarbiony pod worem pług, przeciągnął — poczęło deszczem nieprzestannie siec, zacinać, kwasić; rozgniliła się naiste dokumentna słota.

Przygnębienie przysiadło wszystko stworzenie żyjące. Trawy ławą poległy w płaszczu rosy — las się zmiłkłymi, do kory przemokłymi drzewami zasępił — zwierzyna wszelka pokryła się, pochowała w suszynnych zachronach, po gąszczach, jamach i dziuplach; tam, osowiała, tkwiła, czekając powrotu słońka.

A najdotkliwiej przygniot słoty szalały odczuły. — Owce snuły się z biedą po zboczach zamgłonych, mniej się pasąc, niż włącząc tutkami po rosie, ociężale mokrą wełną, osędziałe, smutne — niby widma zginionych w nieszczęściu kierdeli — a spędzone na noc czy przypołuń do odkrytego ku niebu koszaru, deszczem z góry sieczone, zziębnięte, zbijały się gromadą całą w ciasną ławę, że trudno je było do podoju pojedynką od masy oderwać. — I juhasom w tej kwaśbie cale nie lżej było. Pastorzowanie mieli znacznie uciążliwsze, bowiem baczyć musieli uważnie, by się owce z kierdelu w mgłę nie potraciły — przy tym łażąc wciąż po deszczu, po przeredziach, ku chmurom otwartych, czy popod gorszym jeszcze ociekami drzew — nurzając się po trawskach wysokich, po gęstwiach mokrych, floracznach, przemokli byli każdego dnia do ostatniej wełny. Dopiero wieczór przy ogniu w kolebie mogli się nieco osuszyć. — Łacwiej już bacom przy szalacie czas rośny upływał, choć i im psota nieprzestanna dużo dokuczyła; do tego turbacja o statek mizerniejący sępiła ich od dymu szerniałe oblicza.

Mijały tak dni za dniami, jednakie, szare, uprzykrzone. Słota nie zdawała się mieć woli ustąpienia. Co się od ziemi nieco chmurny przysiad podniósł, przesiew jaśniejszy przeniknął powałą szarą — że widziało się, już się rozerwie mroczność, rozpogodzi — gdy z nowa zaczęły się wysnuwać mgły z lasów, potoków, rósć szybko w tumany wielkie, w skłębieniska, roznosić się po uboczach i zatapiać szarą masą jeden widok odkryty po dru-

gim. Małe chwile uszły, a już w mrance traciło się wszystko.

Ludzie też ninie tkwiący po szałasach czuli się w tej zatoni mgławej jakby istnie zagubieni za deskami świata. Wieści znikąd ich nie dochodziły. Mało kto kogo w tym czasie nawiedzał. Skupiali się sami w przypołudniowy czas czy wieczorem przy watrze w kolebie, pogwarzując między sobą o skąpych zdarzeniach dnia, to prorokując podług różnych znaków, jak długo jeszcze słota potrwa.

Tak jednego przypołudnia zgromadzili się Czantorowi ludzie koło ogniska w kolebie. — Juhasi, zmokli, obsiedli dookoła watrę, susząc odzienie na sobie. Dymiło z nich niby z zatłonych jałowców. Dym też wysnuwał się z ogniska, z niesuchych karkulców, i roznosił się górą po kolebie, a nie mogąc ująć rychło przez szczeliny dachu, wilgocią słotną wracany, zwisał pamłoką żrącą do pół zrębu.

Jano pół-leżał opodal ognia na ławie, z głową na dłoni opartą, patrząc nie patrząc przez szare światło drzwi ku koszarowi, który majaczył w dali na polanie za ścianą mgły. Czantor sam kończył obrzęd odwarzania sera, czerpiąc warzechą z odstawionego kotła białe grudki i zbijając je w oszczypne formy.

Kiedy niekiedy w tym leniwym osepieniu słotnym przegwarzowali siedzący do siebie. Gwara była o owcach dwóch, które się wczora straciły. Już tę stratę przebolano, jeno dookoła przydarzenia tego snuły się różne domysły.

— Ka sie howiedy zagubić mogły — zastana-

wiał się starszy juhas — kie my po wertepach zradliwych nie paśli. W uboczach przeca zrady ni ma... Ani dźwierz ich nie napadł, bo pies wartliwy by poczuł...

— Wilki sie tu w tych czasoch nie kręcą — poparł drugi — a i niedźwiedz trzyma sie wyżnych przechodów, Baraniej; dawno tu o nim w tej stronie znaki nie świadczyły.

— Ka sie zapodzieć mogły? — głowili się w domysłach juhasi.

— Ba! Słota — ziewnął Jano. — Łacwo mogły sie w tej biedzie odstrychnąć same od kierdela i przyostać gdzieś w gęstwi.

— Dyc my szukali wszędy — odparł starszy — i z szafasem poszli my dziś umyśnie w tę stronę, ka owce wczora sie pasły — myślimy — jakby ka ostały, to do kierdela ściagną — n'ale nic, ani ślaku znaku, jakby pod ziemię zapadły.

— Słota, nie słota — mruknął gniewnie Czantor. — Ono sie tu wyjawi... A każ Ogielowi paśli? — zagadnął juhasów. — Słyszeliście?...

— Hukali po hańtej stronie, n'ale trudno było przeze mgłę zmiarkować, ka sie z kierdelem niesą...

— Ino dejcie na nich poziór! — przykazał ostro.

— Dyc zawdy sie wie... — spokojili.

Po chwili jakiejś znowu któryś sprawę rozważaną podjął.

— Powiada Jano: mogły sie odstrychnąć... N'ale owca ma też rozum swój, od kierdela nie idzie, trzyma sie go, cheba jak ją co postracha...

— O strach pode mgłą łatwo. Są i zmamuny różne, co sie rade pod czas słotny snują. Baczycie,

jak to łoni Filasa wodziło? Człeka zmamić potrafią, a nietoboże owcę...

— Co by nie... Różne są złośliwe stwory, co rade człeka na stratę przywodzą.

— Stwory, nie stwory — mruknął znowu Czantor. — Uż ja wiem, czyja to sprawka... ale poczkaj! — pogroził.

Pojrzeli nań ściekawieni, co powie, choć byli świadomi. A gdy bacą nie miał woli nic więcej rzec, poczęli dalej we wątpliwościach się nurzać.

— Nieraz przytrafi się — począł najmłodszy z juhasów — że ani człek nie wie sam, co mniemać, jakby go zmysły odeszły. Zdarzyło się raz tak, kiedy pierwszy rok na Kiczorze z Walkiem juhasował. Paślimy w uboczy i pod wieczór ześlimy z owcami nad potok, nad urwisko. Po deszczu było, z góry pogodnie. Naraz zadymiło się z potoka, wyszła letka mgła z urwiska i — co powiecie — w oczach naszych połknęła pięć owiec, co się nad krawędzią paśły. Mgła sie wnetki kajś podziała, a owiec, ozstąp się ziemio, ani śladu. Dwoch nas na to patrzyło.

— To był duch ziemny, nie mgła — orzekł z przekonaniem starszy.

— Może i to być...

— Płanetnicy też potrafią... a czasu ulichy lebo słoty mają osobliwie walor. Ho! umieją i oni figla spłatać.

— — — — —  
Wyłoniła się ze mgły postać ciemna, zdążając ku drzwiom koleby. Juhasi ku drzwiom odwrócili oczy.



— Zaś coś nowego będzie... Filas idzie.

— Pochwalony! — wpadło.

— Na wieki — niedbale odrzekli.

We drzwiach stanął człek średniawy, w bacowskim przystroju. Nim wszedł, oczy ruchliwe obiegły naprzód całe wnętrze, zatrzymując się na pracy Czantora.

— Szczęść Boże! — rzekł.

— Dej Boże... Skądże ta?

— Z Równicy idę — postąpił do środka.

— Hm... — zachmurzył się Czantor. — Cóż tam?...

— Haw góra na was duża.

Czantor odłożył warzechę, pojrzał nań wyczekująco.

— Trzy owce sie Ogieli zmarniły — ciągnął Filas — i na was o to skarga.

— Niechże on mnie nie napala... — warknął Czantor.

— Ja mu też perswaduję, jak mogę, że przy takim czasie o wypadek nietrudno, bo i mnie haw samemu dwoje jagniąt sie styrało, a co będę... ale na nic, ani przytykać se nie da, ino twierdzi: — Czantor i Czantor tu winien...

— Zjadł on diabła...

— Jego to — powiada — sprawka...

— Nie słuchajcież bałachwastów — zwrócił się do ojca Jano.

— Dy nie słuchaj... Ty zawdy bieresz go w obroń... a to zrajca wierutny! Dość, że ci szkodę wyrządzi, to jeszcze cię napala...

— Odgrażał się też — dodał Filas — że podwójnie na was stratę weźnie.

— Niech weźnie, czarci usługnik! Już wziął jedną... Ale niech poczka!... Wszystko się to z nadkładem odpłaci.

Filas przyziębł dłonie tarł, oczy latające z niepokojem przenosił z twarzy na twarz.

— Czas wyganiać! — wstał Jano. — Co tu będzie...

Podnieśli się za nim i juhasi i pobrawszy swój przystrój, ruszyli.

— Pilnujcie dobrze statku — rzucił za nimi Czantor. — I jakech wam przykazował: na tych złodziei dawać poziór!...

— No dyc! — odmrukli, a do siebie: — Diascy nadnieśli tego podżegacza... Dość już piekła, to jeszcze podpali...

— Jakbych go tak ka w lesie!... — pogroził któryś.

— Wart byłby basarunku.

— Taką cienką habiną a mocną, żeby poczuł...

— Ono się mu kie zwartnie, ujrzycie.

Doszli do koszar i jęli wypuszczać owce. Jano tymczasem wywarł woły.

Mgła tkwiła do samej ziemi. Siąpiło z niej bez przerwy jak z drobnego przetaka. Wnet też juhasi przepadli za ścianą szarą, pohukiwanie jeno i dzwonki owiec świadczyły, w której się znajdują stronie.

Jano z wołmi zadał się w ubocz ległą naprzeciw

Równicy. Poniżał się, idąc pasęcy, ku dolinie. Miał w tym pasterstwie swoje rachowanie. Spodziewał się, że tu prędzej go dolecieć może cienki z tamtej strony odzew, który sercu jest jak rajskie wonie. Przystawał też szmerzyć się chodem po trawie, nasłuchiwał. Ale jeno tłumione mgłą hukania juhasów dolatywały od strony Równicy — głosu ozwodnego Hany nie słyhać było.

— Kany indziej musi paść abo nie wygnała — tłumaczył zawiedzionemu spodziewaniu swemu. Czepiał się myślą tego, owego... Nic lżej mu przeto w sercu nie było.

— By choć jej głos z daleka...

Już to drugie idzie lato, odkąd musi o niej myśleć — od tej to pamiętnej chwili, jak spotkał ją na potoku Wisły, po kamieniach w obryzgu pian na tę tu stronę przechodzącą. Mniemał zrazu, że boginka. Aż się ze sobą poznali... Cóż — jak chmura nad tą ich skłonnością serc wisi nienawiść ich ojców. Przez to — choć serca ich rwią się ku sobie — muszą się za przyczyną swych ojców unikać, tyle co śpiewaniem ku sobie z daleka bez powietrze mogą porozmawiać.

Nieraz starał się ojca swego przewieść... nie dało się. To samo Hana.

Nadzieją się krzepili, że ta nierozumna nienawiść przygaśnie i że zwali się ta ściana między nimi. Ale, jak snadnie ze wszystkiego uznać, nie ma się cale ku temu. Co się któremu z baców zdarzy jaka szkoda — bo bez tego nigdy nie jest, coby się co nie zdarzyło — to drugi musi być winien.

Ciągle i ojcu się wydaje, że Ogielowi juhasi za

jego ponuką wypasają zbocza Czantorii. I co jeno w szalacie przydarzy się złego, to przyczynę na Ogieleń składa. To samo robi Ogiela ze swojej strony. Nienawiść sama poddaje, a diabeł rad sufleruje. Jego to przeca żniwo. Jak sam nie może, to kumotra pošle. Jak i ten Filas...

Na przypomnienie tej jego gęby fałszywej gniew nim zatrzęsł.

— Żebych tak na ojca nie był uwazował, pokażałbych mu, ka sie wraca...

Przeznał już Jano z dawna jego zamysł. Chce on syna, Jędrycha, ożenić z Haną. Ogielowy majątek mu pachnie! A tu się obawia, żeby się Czantoria z Równicą nie pojednały, boby się mu to zmełło... Z tego to przyczynia się do pogłębienia waśni. I dużo może judzeniem podpalić.

— Jak i ninie... Dość ojciec już posądzał o te dwie owce Ogieleń, to ten go utwierdzi w tym. I rób, co chcesz, nie przekonasz. Bo lepiej czartu dawać wiarę...

Rozżalił się w swej bezradzie — choć ani mógł przecuć, że się ta wiara nieszczęsna przez rychły jeszcze przypadek pogłębi...

Śródwieczerz w tym zadumieniu minął jak niebyły i zmierzch pode mgłą następował wartko. Gdy Jano z wołami na polanę wyszedł — juhasi już zaganiłi owce do koszara.

Stał przy nich sam Czantor i dozierał rachowania. Co setkę wpędzili, to znaczył karbem na kośćurze. Przy liczeniu ostatka — wybuchnął:

— Coż to, do kroćset... Chybia znowu dwóch dojek!

Juhasi się zatrwożyli.

— Cheba myłka być musi...

Przybliżył się i Jano.

— Sprawdzimy.

Poczęli liczyć od początku; zrachowane wpędzali do przegrody. Czantor sam rachował głośno: „Dzie sięć, dwaścia...” do setki, którą karbował na kiju. Przy ostatku sprawdzili, że „istnie dwoch chybja”.

— Cóż by to mogło sie stać?... dyć my na krok nie odstępowali — sprawiali się juhasi.

— Już ja wiem, co o tym myśleć — zamknął ich gwarę Czantor. — Zaprzeć koszar i do wieczrze! — kazał.

Wartko się zwinęli, zadziwieni, że tak spokojnie przyjął baca tę stratę. Jeno gdy ku kolebie szli i Jano rzekł:

— Zwyczajnie, czasu słoty gadzina sie tyra...

— Ty mi nie gwarz o słocie — wybuchnął. — Tego to sprawka, co z czartem narabia... Ale on mi to zapłaci! — pogroził przez mgłę ku Równicy.

Wiedzieli wszyscy, o kim mówi. Milczeli. Ciężej tylko uczyniło się w sumieniach... Juhasi już woleliby, by im baca tę stratę wytrącił z zasługi, ale samym im tę myśl nijako poddawać. Może się to przecie rozerwie kiedy, jak i ta mgła...

W kolebie nikt już o tę sprawę nie potrącał. Czantor ciężyż nad nimi jak chmura. Powieczerzali w milczeniu i juhasi obsiedli znów watrę, by się osuszyć przy ogniu. Zapoczynali gwarę o tym, to o owym, ale im nie szło jakoś. Więc pocichli i wpatrzeni w ogień słuchali trzasku jedlowych karkul-

ców. Wieczór wilgotny ze mgłą pchał się z pola do wnętrza.

Zaszmerzyło coś za progiem — oczy strwożone juhasów zwróciły się ku drzwiom.

— Coż by to o tym czasie...

Zamajaczyła we drzwiach ciemna postać.

— Morżo!... czy jego duch?

— Sława Bogu! — wleciało.

— Na wieki — odetchnęli: — On istnieje.

— Prosimy dalej — ozwał się z głębi dymu Czantor.

Juhasi się pocofali, robiąc przy ogniu miejsce. A Jano podsunął gościowi stółek samorodny, niski; o trzech gałęźnych nogach.

Gość, którego Morżolem ozwano, przywitawszy się z wszystkimi, usiadł koło waty. Chwilę dyszał, wodząc przymglonymi oczyma po zebranych, wreszcie wyrzekł:

— Coż tu u was, kochani ludkowie?...

— E, nic ta takiego — pokrył starszy juhas. — Zwyczajnie, jak w czas psoty...

— Już sie wszystkim uprzykrza — przydał drugi.

— Tak, wej, tak... — przytwierdził spokojnie gość. — Jeszcze onoć pół biedy, moi mieli, jak ludzi kielkoro razem, jak jest do kogo żywe słowo przeczec. Ale jak haw mnie, samemu...

— Nikt was nie nawiedza?...

— Nawiedzają mnie czasem nieboszczykowie, rówieśni moi abo ich ojcowie. Już to odległe lata, kiedy pominęli. Śmierć o mnie ino jakoś zaba-

czyła, abo jej sie ta nie chce po jeden zwłok styr-  
mać ku Mrażnicy...

Czantor położył przed nim na desce duży glon  
świeżego sera i podał mu w czerpaku wieczorną  
z kotła odwarę.

— Posilcie sie...

— Bóg zapłać! — dziękował, przejmując ucho  
czerpaka. — Niech wam zawdy obfitość w udoju  
sie darzy...

Sorbał z wolna gorącą żętycę, szklenią ócz  
gdzieś daleko patrząc, poza światy.

Był to człek istnie mocno wiekiem dawny.  
I przyrodziew też na nim była staroświecka. Miał na  
sobie koszulę pacześną, pod grdyką dla śleobodnego  
oddechu otwartą, sprzączką na grudach spiętą; na  
tym serdaczek bez rękawów, kiedyś czerwony,  
o resztkach dziwnie ładnego wyszycia i wyleniałej  
po brzegach opuszce.

Najwięcej juhasów ciekawiła czapa, którą nosił  
zima-lato, o kształcie hełmistym, z zausznicami za-  
winiętymi do góry, w gwiazdę do czuba suknem  
wielobarwnym, mocno już spelzłym, pokrytą. Spod  
czapy tej kosmy rzadkie nie siwych już, ale zziele-  
niałych od starości włosów plezły się po ciemnej  
szyi. Twarz, spalona wichrem i zimami, zieleńiła się  
też mchem po brodzie, dawno nie skrobanej brzy-  
twą. — Istnie, kiedy tak spoczywał przy wiatrce,  
dymiąc wilgocią przesiąkłą, zrudziałą odzieżą, zdał  
się jako pniak wiekiem omszały, zatłony od ogni-  
ska.

Juhasi pozierali nań jako na człeka drzewnych,  
niewiadomych czasów, z obawnym trochę szacun-

kiem. Zawdy przecie radzi go widzieli, bo kiedy przyszła nań chwila, opowiadać umiał dziwy o różnych cudach świata. Znał on sprawy, które są ludzkiej wiedzy skryte, jakby tam na Mrażnicy z duchami znajomość miał. Słuchałoby się noc i dzień, kieby miał ino wolę prawić. Dumali teraz:

— Kieby zechciał... Rozpłoszyłyby hnet ten przygniot, co wypadkiem owym na nich zeszedł i baca przestałby może myśleć o Ogieli.

Tedy, aby go wwieść niepoznacznie w gwaraę, starszy juhas, mrugnawszy chytrze ku kompanom, zwrócony doń zapoczął:

— Założyli sie haw ze mną Jurko Wichrzaty i Walek, że płanetnicy, kie zechcą, potrafią ludziom figla niejednego spłatać. Ja twierdżę, że nie — nie ich walor. A wy co, chresny ojce, powiecie?

Możzoł popatrzeć szklenią oczu na pytającego i po momencie, jakby uwagę z daleka powrócił, odrzekł:

— Hm, płanetnicy?... Tak, tak... Mają oni swoje sprawy chmurne. Do ludzkich się nieradzi miesują. Burza, grad, ulewa, słota — to ich powietrzna praca. Niby praca, bo zdaje się, jakby się przy tym kosmacze bawili... Kapryśni są — i w gruncie nie wiada, o co im idzie. Nieraz sie, bywa, zesrożą, skołtunią, niby na groźną zapowiedź sie zniesą, a potem sie wożą jeno z pomrukiem po ścieli chmur, rzekłbyś: — jak młode niedźwiadki. Abo jak ninie: rozpuścili wory swoje z wilgotną mgłą, zadymili wszystkie zbocza, wgłąby i roztoki — sami posiedli na wierchach i drzemią. Tak może trwać tydzień i trzy, aż im sie uprzykrzy...



Ożywił się sam opowieścią swoją — oczy od ognia przybrały odbłasku. Dłoń prawą uniósł w górę:

— Ulewy, chaje i drak sprawiać może — owieścił.

— Co powiadacie?...

— Nie sam z siebie, ba przez moc czarnoksiężnika, co go jak konia dosiada. Czarnoksiężnik snuje się po górach, z pozioru — kto by go napotkał — jak człek zwyczajny, wandrownik.

— Zda się mi, żech takiego widział — chełpił się Jurko Wichrowaty.

— Ino tym się odróżnia, że nosi z sobą grubą książkę, co je białymi literami na czarnym papierze drukowana. Nosi też zawdy uzdę na owego draka, około lewej ręki owiniętą. Nawiedza on kienie-kie bacówki w szalasach i prosi o czerpak mleka od czarnych owiec. Wypije, podziękuje i idzie dalej. Ale jakby go oszukali, jakby mu dali mieszanego albo od białych owiec, to wte bieda. Świstem przywołuje draka, zarzuca mu na łeb uzdę, dosiada go — wzbijają się w powietrze i taki wichur czynią, że koleby, koszary jak wióry roznosi, a smreka, jedle, by najhrubsze, z korzeniami wykroca. Nie raz do tego sprowadza grad i ulewy. Tak on się umie pomścić... Choć za dobre umie też dobrym odplacić...

Raz, było, jednego bace, starego Jurygę z Gronia, co mu nie skąpił mleka społecznego z połedniowego udoju od czarnych owiec, zabrał ze sobą na draka i obwiózł go kęs świata. Pokazał mu z góry Pragę, Wiedeń, Budę i insze spaniałe mia-

sta. Cuda niestworzone Juryga uwidział. Odwiózł go też z powrotem i zesadził przed kolebą. A cały ten wojaż powietrzny odbyli w jedno przypołuń, zakiel juhasi owce w koszarze doili.

— To była jazda! — cudowali się pasterze. Nawet Czantor głową pokiwał w zadziwie.

— Już ja by mu nie żałował, jakby się trafiło...

— Teraz go już pono ni ma — wtrącił Jano.

— Kogo niby...

— Jako i draka...

Juhasi w Morżoła patrzeli, co powie. A on z powagą:

— Jest, chłopcze, jest, ino sie nie okazuje.

— Ka on sie chowa? — pytał ciekawy Walek.

— Zwyczajnie, w trzęsawiskach, podmokłych jarugach, bo pali go na wnuku, to sie musi chłodzić. Ale to jest powietrzny duch, nie ziemny.

— A bandurki?

— Te pod ziemiom się kryją. Tam mają swoje pałace. Ukazują się zaś jako ogniki — w ćmawą noc na młakach.

— Ja raz widział — pochwalił się znów Jurko.

— No, nie bardzo ono dobrze z bliska się ś nimi zejść. Umieją one być złośliwe. Podpatrzeć je z dala można, jak tańczują, jak sie chybotają na powietrzu, jak sie oddalają, to zbliżają ku sobie, ale kie człowieka zoczą, to sie zbiegają wszystkie, otaczają go, bierą w śrzodek koła — i już ich moc nad nim. Tańczują koło niego, śpiewają mu do ucha szydliwie, potrącają go, szczypią, różne pustoty z nim wyprawiają. A nieraz zwabią go na manowce, we-

wiodą w cierniaki, w barzynę i tam go drapią, smykają, aż do białego rana.

— Ja by sie im dał!... babom... — zhonorzył się Jurko.

— A jak ich telo, a tyś omamiony... — wyłożył Walek.

— Różne są duchy, złośliwe i psotne, ale najgorszy ten, co miana ni ma.

— Wtóryż by to?

— Duch ziemny. Z tym sie spotkać nie radzę...

— Co powiadacie?...

— Zwłaszcza jak kto je ino z wody chrzcony, ten niech sie go waguje!

— Był taki baca, Wiertnik, na Malince. Padło mu iść po jakiejś sprawie do Milówki. Wziął ze sobą juhasa — a było to zimą — śnieg prawie po pas, do tego zadymka. Nie uważając przeca na to, pošli. Juhas był nieduży, baca zaś, jak hań Czantor, chłop rostu ogrumnego, sielny. On też szedł pierwszy, drogę robił. Skoro przyszli na przełęcz za Baranią — baca w zasep sie osuwa. Powiada do juhasa: „Słabo mi!” — Ten jął go dźwigać, prosić: „Dy sie trzymajcie jako!”... — Na nic. Jakby go w ziemię co ciągło — co sie uniesie, to opada, niby ta glina bezkostna. A, widać, mocuje sie, walczy z czymś, czego juhas nie mógł dojrzeć — i coraz to więcej słabnie... Wreszcie upadł bez władzy. Duch ziemny go zwyciężył — bo to on był.

Dziwnie niepewnie stało się siedzącym — poprysuwali się bliżej watry, tworząc skupione koło.

— Tak, tak... — utwierdzał Morzoł. — Som jest duchy powietrzne, som ziemne, som i wodowe.

A poza nimi rozmaite dziwostwory leśne; choć nie duchy, to ku nim trza je z natury rachować. Bywają brzyckie jak czarty, choć też bywają i spaniałe — jak on choćby złotogłowiec, co skarbów zaklętych strzeże.

— To ma być wąż...

— Wąż, hale jaki! Puchy ma złote koło głowy i koronę na głowie złocistą. Jakie ino spaniałości, to na nim sie je widzi. Podanie dawne niesie, że pod Baranią mają być te skarby. W którym miejscu — to już dziś oznaki ni ma. Otwierają sie w noc święta Sobótek, przy pełni, wtedy, kie paproć zakwita. Mówią, że sie wtedy przesuszają. Ale nie każdy może zobaczyć. Godzien je widzieć ino pasterz, co sie w tę noc rodził — ma dwadzieścia jedną wiosnę i jest w sercu swym niewinny jak dziecko. Może je oczyma oglądać, jak i samego złotogłowca, co ich pilnuje. Ino Boże uchowaj ruszyć co z nich... Choć pokusa jest wielka...

Raz był juhas młody, co go skusiło podnieść jeden świecący kamień. Schylił się — i w te razy padł martwy na miejscu, zabity oczami węża. Tam go nazajutrz znaleźli. Ale skarb się już głęboko zapadł. Ani śladu...

Tak prawieścił im Morżoł, a oni kołem siedzieli przy watrze, patrząc w ogień, jakby w ów skarb otwarty, odblaskiem ogniska rdzawieni, zasłuchani, daleko myślą i uwagą od spraw dnia minionego odeszli.

Mgła wilgotna pchała się do wnętrza, walcząc z dymem, który przeze drzwi otwarte cisnął się znów do pola.

### III. CZARY

Słota trwała bez przerwy. Deszcz jeno zdrobniał, i stało się nieco jaśniej, jakby się miało mieć ku rozpogodzie. Mgły, jakby już unudzone nieruchomym trwaniem, poczęły zmieniać miejsce, przesuwać się nisko ponad ziemią, przenosić się z jednej strony gór na drugą, przy tym przestawieniu odsłaniały się jak przy zsuwaniu zasłony: to wyżnie czuby, to stoki lesiste zboczów, by za niedługą chwilę zakryć się znowu omraką.

Bacowie coraz częściej opuszczali dymne wnętrze koleb i stawali poza okapem na widnej przestrzeni, by się rozejrzeć po zakrytym niebie: czy skąd pogoda nie świta.

Tak w jedno przedpołudnie wyszedł Czantor przed kolebę i obiegł wzrokiem naokół.

— Nic nie zwiastuje odmiany — uważył w doświadczeniu swoim. — Mgły ino zmieniają miejsce. To na dłuższe trwanie.

Poszedł po grzbiecie polany ku stronie wschodniej. Zawdy go ku stronie tej tajemnie coś, odpychając, z przemocną siłą pociąga. Tam myśli jego nienawistne lecą. Tam bowiem naprzeciw wznosi się owo, szydnie przed oczy dzień i noc stojące, Ogielowe państwo, Równica. Widzi je dobrze, choć

mgłą obecnie zakryte, jak je widzi wciąż, choć i oczy zamknie. Każdy spad, każdy załom rysuje się mu w oczach tak wyraźnie, jakby je miał tuż w świetle naprzeciw. Nie sposób nijak zegnać z oczu tej nienawistnej jawy.

Stał na skraju szczytowej polany, za sprawą przechodzącej mgły rostem wynoszony ku onym dawnym wielgoludom, i przez skłąb zawały szarej patrzył ku Równicy. Chciałby przejrzeć, gdzie Ogielowi pasą. Zapewne — podejrzewał — korzystając z przesłony mgły zapuszczają się szalasem w granice jego obszaru. Hukania swoich juhasów słyszał z uboczy padolnej. Ku Wiśle widać się spuścili. Słyszał i Jana; niedaleko pod wierchem się głosił...

— A tamtych ani słycho. Boją się ogłosem zdradzić. Kieby ich tak zająć zniemacka!...

Dumał, czyby samemu spuścić się na wywiad w dolinę. Choć to kęs drogi uboczą, a trza udój poranny odwarzyć...

Miał już zawrócić ku kolebie, kiedy mgła przechodząca rozerwała się nad kotliną Wisły i otwarło się w szarym skłębie okno, przez które wyłonił się zielony stok Równicy. Na płacie odkrytym zobaczył owce. Było ich sztuk kilkanaście — białych i czarnych. Szły pod górę.

— Widać, skąd statek Ogielowy wraca: od Czantorii... Tam musieli hycle paść! — Ktoż ich pode mgłą upatrzy.

Przeżuwał w bezradzie złość.

— Coż im zrobisz, jakeś nie zastał naocznie?... Ale nie widać całego kierdela, może jeszcze na tej stronie... Ej, dopaść ich!...

Już miał ruszyć w dół, rozpalony złością, kiedy okno zielone naprzeciw rozszerzyło się z nagłą ku górze — i zobaczył w uboczu kierdel Ogielowy, jak snuł się wskroś przędzy leśnej.

— Tam już są... Ale coż by te owce na dole?...

Zniżył się oczyma ku nim. I nagle zatrzęsł się w zdumieniu. Poznał swoje jarki młode. One to, ani chybi! Idą prosto ku Ogielowym, jakby magnesem ciągnięte. Widział to świat?...

— Jano! — huknął donośnie, aż się po zboczach rozległo.

— Ho, ho! — ozwało się z bliska.

Za moment Jano wyłonił się z lasu, podbiegł do ojca.

— Co nowego? — zapytał zdyszany.

— Patrz... widzisz? — wskazał Czantor ręką ku odkrytemu stokowi Równicy.

Jano spojrział za wskazaniem.

— Szałas Ogielów...

— A niżej?

— Owce jakieś...

— Poznajesz?

— Cheba oderwa od szałasu...

— Przypatrz się lepiej!

— Hm... — zastanowił się Jano. — Czyby to nasze jarki?...

— Nie czyje! Prościutko idą ku Ogielowym...

— Ale coż by ich...

— Dyc się przypatrz. Teraz już cheba nie powiesz, że to nie czary.

Jano chciał coś na to rzec, lecz widząc ojca sro-dze napalonego, przemilczał.

— Leć mi wartko do juhasów, niech — rozkazał — je zawrócą, a ja się już z tym czertowym kumotrem rozprawię. Dobry to sposób przysparzać se majątności... I tamte nie inak poszły. Už wiada, kany je szukać.

Jano puścił się dołu, a Czantor stał jeszcze chwilę, patrząc w widok niebywały z pomrukiem pomstliwym — aż gdy mgła przepływająca zakryła okno zielone, zawrócił z wolna ku kolebie.

Skoro juhasi na południe kerdel przypędzony do kozzara wganiali, wyszedł sam ku nim.

— Wszystkie są?

— Mają być wszystkie.

— A jarki młode?

— Jest ich pięć i siedemdziesiąt. Siedemnaście się odstrychło, aleśmy ich zawrócili.

Z naciskiem spytał:

— Widzieliście?...

— Ba, hej! — przytaknęli.

A stary juhas, chcąc zaniekanie swe pokryć, w myśl Czantora przyświadczył:

— To už nic insze, ino czary!

Kiedy poobiedowali, zwrócił się Czantor do juhasów i rzekł z bacowską powagą:

— Pódziecie mi zaraz na Równicę i powiecie Ogieli, coby oddał te pięć owiec, co się straciły. Mnie on nie zmyli. — I zapowiedzcie mu ode mnie, niech się więcej szkody czynić nie waży. Bo ja na jego czary znajdě też sposób.

Juhasi, radzi nieradzi, powstali, zbierając się. Przewrócili serdaki kudłami na wierzch, do rąk wzięli ciupagi okute — nie wiada bowiem, jak



ich tam przyjmą. Baca przy wyjściu zlustrował okiem.

— Ty, Walek, ostaniesz drzewa na noc przystroić!

— A może by ja z nimi... — wtrącił niepewnie Jano.

Czantor pojrzał nań.

— Oni już we trzech sprawią — rzekł twardo. — Ino tak zorendujcie, jakech wam przykazał! — rzucił za nimi.

— No, dyć...

Godzina nie minęła, kiedy trzech posłowie wyszli na wierch Równicy. Ujrzeni koszar z owcami opodał, pobok kolebę dymiącą — bliżej szopę stajenną na krowy. Dawno tu noga ich nie stała. Niepewnie się też poczuli w środku nieprzyjacielskiego państwa.

Na chwilę przystanęli, rozglądając się z ciekawością po tyle słynnej polanie Ogieli. Poprawili kłobuczki na głowach, mocniej ścisnęli ciupagi okute w dłoniach i odważnie skierowali kroki w stronę szalaśnych zabudowań.

Kiedy mijali szopę, ujrzeni dziewczynę złotowłosą w progu. Poznali w niej od razu córkę Ogieli, Hanę. Oczy pojaśniały im na jej widok, a idący przodem starszy juhas, pochwaliwszy przed nią Boga, uchylił kapelusza.

Odpowiedziała z uśmiechem, przyjaźnie:

— Ho! Così tam ważnego, kie was tu widzę.

— E, nic ta takiego — pokrył starszy juhas — bacowskie wiedno interesa...

Przystanęli. Dawno już z bliska nie widzieli niewieściej katanki, a przy tym Hana miała wszystek

urok, jaki się może juhasowi przyśnić. Twarzyczka jakby wykąpana w rosie i te oczy śmiejące, i te włosy...

— Coż mi się tak przyzieraacie? — rozśmiała się w głos.

— Hej, Boże!... — westchnęło się im.

— Coż tam u was? — zagadała. — Co baca robi?

— Baca jak baca — odrzekł starszy — i pewnie nie o niego ci chodził

— O kogoż by?...

— Wiemy, kto do kogo śpiewuje — przydał młodszy.

Hana zrumieniła się w licach, oczy śmiejące opuszczając.

— Jano chciał iść z nami, ale mu ociec nie dał — wyjaśnił trzeci.

— Bez co?

— Ba! Możesz wiedzieć...

Uśmiech z jej twarzy zeszedł — posmutniała. Żal im się jej zrobiło. Coś chcieli jej miłego rzec, by znów uśmiech na twarz jej przywrócić, lecz nie wiedzieli, co... Stali chwilę w milczeniu.

— Ociec doma? — zapytał któryś.

— Som w kolebie, byczka opatrują.

— Zwierz nam, Hana — przybliżył się starszy — czy ociec twój naprawdę umie poczarować?

— Skąd by umieli?... Ale twierdzą, że Czantor ma umieć!

— Bajdki! My haw w miejscu, a nic się nam nie dało uważać.

— Choć poniektórzy bacowie umieją — przydał drugi.

— O, żeby raz kany z tymi czarami! — zaniesła się.

— To też, to też — przyznali skwapliwie. — Mywej w tej sprawie idziemy.

— Lepi ojca nie napastować! — ostrzegła.

— Zorendować musimy, bo nam kazano.

— No, to idźcie. Ino ważcie słowa, bo je zły dziś.

— Bedzie, co bedzie — orzekł z powagą starszy. I poszli.

Kiedy we drzwiach koleby stanęli, ujrzeni dwu juhasów trzymających na ławie zabitego byczka, z którego sam baca, pochylony, zdejmował nożem skórę.

— Szczęść Boże! — rzucili do wnętrza.

Ogiela pojrzał ku drzwiom bokiem i ręka mu się zatrzęsła, gdy juhasów Czantorowych poznał. Wyprostował się z powagą i patrzył w nich nieprzychylnie, czekając, co oznajmią. Ci przestąpili próg i starszy juhas zaczął:

— Posyła nas tu baca z Czantorii, cobyście oddali te pięć owiec, co mu zagineny...

— Jak? co? O jakie owce chodzi? — zasyczał groźnie Ogiela.

— Co sie nam straciły...

— Chłopczy! — warknął do swoich i porwał za stojącą przy ścianie ciupagę. Stanęli juhasi przy nim, podnieśli się i dwaj pasierbowie, co w dymie ognia siedzieli.

Lecz nie ulękli się wysłańcy Czantora. Ściskali ciupagi w dłoniach i w gotowości stali.

— To on śmie?!... — piał Ogiela w złości. —

Patrzcie! — wskazał leżącego byczka — musiało go dobić. Kto mu poczynił, jak nie on? A owce dwie, co wartogłowieją?... A te trzy, co upadły? Kto sprawił to, jak nie on? I jeszcze mi tu śmie...

Przestał i dyszał ciężko. Po czym z bacowska, z góry, do wysłańców:

— Zapowiedzcie mu ode mnie, niech się więcy nie waży. Bo ja na czary jego znajdę sposób. I niech mnie nie napastuje, bo jak wpadnę w złość, to kto mi na oczy przyjdzie z jego strony: syn nie syn, juhas czy nie juhas...

Szedł ku nim z ciupagą w dłoni, lecz widząc ich spokój groźny, zmiygował się, przystanął.

— Czyście zrozumieli dobrze, coch wam rzekł?

— Zrozumieli my. Powiemy — odrzekł starszy juhas.

— No to wracajcie!

— Z Bogiem ostają...

Zawrócili i równo szli po trawie polany, nie spiesząc ni zdłużając kroku, by zaś nie pomyślano, że się boją.

Czantor niecierpliwie wyczekiwał posłańców. Co chwila wyzierał z koleby, czy nie idą. Kiedy ich zoczył wreszcie wychodzących z kraja, podszedł naprzeciw.

— Nie żeniecie nic, widzę... — zgroźnił czoło. — Jak was przyjęto? Mówcie!

A gdy starszy juhas opowiedział wszystko i zorendował, co Ogiela kazał zapowiedzieć, mało Czantora gniew nie obalił.

— No, no... — dławił się słowami, jakby miał tuż Ogieleń przed sobą. — Zjesz mie ty, ej, zjesz... Już ja do ciebie słał posłów nie bedę... Czarcu synu!... Na klęczkach do mnie przyjdiesz. To wam groził pobiciem?

— Ba, jakoż...

— Mogliście prać!

— Kiedy oni nie zaczeni.

— Grozić grozi — mrucał Czantor — ale się boi zacząć, przekłety tfórz!...

Wydychał gniew pomstliwymi słowy i pomrukiem. Spokojniejszy już wrócił do koleby.

— Zapowiedź ma — pocieszał się. — Bedzie sie wagował.

Kiedy juhasi na wieczór przygnali, zastali już bacę cale odmiennego. Siadł po wieczerzy przy nich koło ognia i nawet zaśpasował. Wszystkim się lżej uczyniło, jakby się dymna powała podniosła. Zabczyli o wszystkim złym, co ich przez te dni trapiło. Nawet Jano, który od jakiegoś czasu posmętniał więdze z racji tych sąsiedzkich waśni i mało co się miał wolę odzywać, widząc ojca inszego, poweselał i cieszył znowu oczy niefrasobliwą młodością. Stało się wszystkim w myślach raźniej.

Dawno takiego wieczora nie mieli. Choć słońca na świecie trwała, w kolebie była pogoda. Cieszyli się juhasi, bardziej Jano, że to już inaczej będzie. W dobrych usposobieniach posnęli.

Lecz diabeł widać nie chciał, by na Czantorii długo spokój trwał... Nim jeszcze rano juhasi do owiec wyszli, wpadła Czantorowa z nowiną, że krowy krwią się doją.

— Wczora jedna czerwone mliko dała. — Myśle: przejdzie; nie chciałam hałasu robić — a dziś już wszystkie. Ja też zabrałam się: trza co radzić... Ktoś, widać, psuje...

Czantor do juhasów:

— Odgrażał się Ogiela pomstą?

— Odgrażał — odrzekli stropieni.

— No, to widzicie... Ale to już musi być temu koniec.

Sięgnął na żerdź po serdak, zdjął z kołka ciupagę — i w milczeniu skierował się w pole.

— Ka idziecie? — zatrwożył się Jano.

— Ka idę? Spytać się go, czy nie zaprzestanie.

Miał tyle groźby w czole, że się wszyscy polękli.

— Nie pódziecie — zastąpił w progę Jano.

— Co?! — uniósł się Czantor.

— Nie pódziecie, baco — postanęli za Janem juhasi.

— Kto mi śmie?!... — zagroził.

Lecz juhasi zwarli się w progę przed nim.

— My was pięknie prosimy...

Czuł, że nie ustąpią i że to z dobroci dlań czynią. Więc cały gniew zatamowany ku Równicy zwrócił.

— Wiedz se, ty, czarowniku! — wołał, pięść w górę unosząc. — Wiedz se i zapamiętaj: Nie waż mi się więcy zdrady czynić, jeżeli chcesz po tej ziemi chodzić. Już się przebrało...

A do żony spokojniej:

— Wracaj do osiedla i miej starunek o wszystko. A jakby co jeszcze zaszło, daj wartko znać.

— No, coż stoicie!? — zwrócił się gniewnie do juhasów. — Czas wyganiać...

Z ociągami brali się w pole, bowiem słońca zajęła się większa. Ciąg zaczęło deszczem, mgła zgęstniała i oziębilo się tak, że się widziało: śnieg spadnie.

Kiedy owce z koszara ruszono, zbite w ławę — wełna przy wełnie — skoleńczały, nie chciały nijak wyjść. Siłą musieli je wypychać.

Powietrze, ziemia, las, trawa — wszystko stało się szarą, siekącą mokrzycą. Wilgoć żrąca przeimała pasterzy i statek do kości. Tonęło wszystko w szarej beznadziei. Jedno oziębienie wskazywało, że słońca się przesila.

Jakoż z południa deszcz ustał, mgły się zaczęły rwać — a nad wieczorem rąbek jasnego nieba, jak oświt długo czekanej pogody, na zachodzie się odkrył.

#### IV. PORANEK

Po ubiegu nocy krótkiej odmienił się świat do cudu nad wiślańskimi górami. Mgły, przez czas długi oparte na wierchach, zalewające mraką szarą zbocza i doliny, znikły przez tę jedną noc, sczeżyły jak urok, odczynieniem szczęśliwym zmieciony — wyjawily się o świcie szczyty różowe na rozkwitłym niebie i cały połąg ciemnych i zielonych lasów, o schylnych spadach, siodłach i załomach, od wyniosłej Baraniej po stok ostatni, północny, Równicy, odkrył się przetartym oczom.

Nastał słoneczny ranek. Błękit nieba głęboki radosnym dzwonem zawisł nad górami — od skłonu do skłonu czysty, bez jednej chmurki, że — jak powiada gadka — zaiście mógłby się juhas ożenić.

Wszystko, co żywie, tego dnia przywstało wcześniej, gdy po długim uwięzieniu rozchodzące się ponad wierchami wschodu światło świtu owieściło zbudzonym pogodę.

Jeszcze słońko nie wytoczyło się ponad grzbiet Równicy, gdy juhasi Czantorowi znikli już z owcami w lesie. Spod Stożka, od Skalistego, spod Baraniej przenosiły się już nad doliną Wisły pohukiwania pasterzy.



Jano też, w ony wywołujący ku weselu ranek, nie pobawiał długo w kolebie. Pośniadawszy, zarzucił na ramię serdaczek, wziął do ręki zbierzącą witkami ciupagę i poszedł wartko w stronę koszara oddalnego wypuścić woły. — Już się też parły na swobodę, rogami próbując podnieść gródzję żerdzi. Przywitały go poweselałymi studniami ócz. Odsunął zaporę: wyszły na polanę majestatycznie jeden za drugim, siwe, lśniące rosą, dumnie dźwigając na wzniesionych czołach wieńce rozłożyste rogów.

Zajął je i opuszczał się za nimi z wolna po wschodnim schyleniu polany ku krajowi, a w chwilach, gdy pochylały wieńce głów ku ziemi, zabawiając się od niechcienia próbowaniem trawy, rozpatrywał się z lubością po odkrytym świecie.

Zbocza różnozielone i wierchy wystąpiły oczom czyściej, wyraźniej, w radosnej krasie, jakby wykapanie — a na niebie, nad wierchami wschodu, roznosiło się głębiejające światło z nowiną... o wzejściu słońca...

[ . . . . . ]

#### SPIEWKI JANA I HANY

Jano:

Helo! h-e-lo! maliczko —  
Daleko pasiesz, Haniczko?

Hana:

Helo! helo! Janiczku!  
Pasę niedaleko  
Za górą, za rzeką —  
O miedzę, o staję,  
Przez zielone gaje.  
Helo! helo!...

On:

Helo! helo!  
Haniczko nadobna!  
Jako ci się pasie,  
Kany twoi [...] —  
O tym rannym czasie?  
Helo! helo!...

Ona:

Helo! helo!  
Janiczku nadobny!  
Mnie się dobrze pasie —  
Ociec na sząłasie —  
Dzień ku nam sposobny.  
Helo! helo!...

On:

Powiedz-że mi, powiedz,  
Moja gołąbeczko,  
Zza którego wierchu  
Wychodzi słońeczko.

Ona:

Inszym tam wychodzi,  
Kany...  
A mnie tam wychodzi,  
Ka mój Jano pasie.

On:

Jawory, jawory, jaworzyna —  
Pasie tam krowiczki cud-dziewczyna.  
A czyja je ona? niech wam powie...  
Mnie już powiedzieli słowikowie.

Ona:

Szumi dolina, szumi groń,  
Pasie tam wołki miły mój. —  
Ptaszkanie, o mnie nie mówcie,  
Syneczka mego pozdrówcie.

On:

Kiedy se zaśpiewam  
Z Czantoryi hory,

To mi odegrają  
Pod Baranią chmury.

Ona:

Kiedy se zaśpiewam,  
Puszczę w dolinę głos —  
To mię, ty Janiczku,  
W ty minucie poznasz.

On:

Kiedy se zaśpiewam  
Z czantorskiej wyżnicy,  
To mi się odezwie  
Echo na Równicy.

# NOWELE I OBRAZKI

seria pierwsza

## DZIKI

Mamy tu, w Gorcach, między czterema porami roku — piątą: tzw. porę dzików, którą lud nazywa po prostu „świńską” porą. Trwa ona od połowy lata do późnej jesieni, to jest: od czasu, gdy się zboże poczyna zapoływać, aż do wykopania ziemniaków.

W porze tej zapytaj chłopa, co go najbardziej gniecie — odpowie: dziki. Czego się lęka? — dzików... Na kogo pracuje? — na dziki... i tak bez końca, bez ustanku. Na nic też ludzie w tym czasie tak nie narzekają, jak na tę „plagę nieszczęsną”, o niczym tak chętnie nie gwarzą, jak o tej „przeklętej gawiedzi”, która przyszła nie wiedzieć skąd na wieczne utrapienie człeka.

— Bywały tu — powiadają — drzewiej i wilki, i rozmaita zwierzyna, a nic się tak chłopu nie dało we znaki, jak te nieboskie stworzenia. Bo wilk, bywało, porwie raz do roku jedno jagnię — no szkoda, bo szkoda, ale pal cie diabli! Wziąłeś — toś wziął — to się ino raz najesz, a chłop i tak bez jednego jagnięcia wyżyje... Ale te psiekrwie zatrącone nie kontentują się byle czym — ino ziemniaczka kiebyś im wsadził, zboża nasiał po korcu, toby jadły! — Pracuj bez całą wiesnę, orz tę ziemię skalistą, kup, jak nie masz co wsiac, proś Boga, żeby

to rosło — a tu przydzie psia para do gotowiusieńkiego i zeźre.

Najgorzej w czasie zbiórki; wtedy się cisną do wsi całymi gromadami. A ludzie chodzą jak w sennym obłądzie i skarżą się po cichu. Ten powiada:

— Zryły mi ziemniaki, ukopać nie będzie co.

Inszy mówi:

— Owies mi starasiły i zjadły do imentu...

— Człek sie we dnie narobi — skarży się trzeci i dziesiąty — człek sie napracuje bez caluteńki boży dzień, że jak przydziesz wieczorem do chałupy, to ino pozierasz, kany lec, kany kości wyciągnąć na ławie — a tu idź w pole z chałupy, jak pies, na całą noc! Nie zagrzej miejsca nikany, ślęcz, skowycz na ugorze do rana! Jeszcze jak noc pogodna, to chwała Bogu. Ale jak padnie deszcz i psota!... Wrócisz rankiem skotniały jak żerdź na mrozie.

Wyjrzyć nocą na pole — to cała wieś żyje, śpiewa i gra...

— Cóż z tego? — mówią ludzie — kie sie dziki nie boją. Oswoiły się z graniem i tańczują se po zagonach, aże ziemia dudni. Takie to ścierwo dojadłe.

Nieraz opowiadają sobie, jaki to kontrakt zawarły dziki z wilkami, frymarcząc chłopską krzywdą.

— Dziki, padają, były drzewiej na wygnaniu, pod obcym królem. Musiały się tam żołądziami żywić i bukwia, aże im sie to nareszcie przejadło. Toż to zebrały się do kupy i radzą, czyby się nie dało kany lekcej żyć; dawno już o tym wiedziały, że chleb z cudzej pracy daleko lepszy. No i zwiedziały się jakosi o tych stronach, że tu chłop, wiecie, głupi

jest i niezaradny — i chybajże! prościutko, jak po swoje. Ba, ale tu już byli insi panowie — panowie wilcy, którym trza się było drogo opłacić abo wrócić nazad z Panem Bogiem... Nieurada! Co było robić? Wysłały swoich deputatów na radę: „My wam — padają — damy swoje miejsce, ka was nikt nie będzie prześladował, a wy nam dejcie swoje, bo tu znowu nam będzie poręczniej”. Wilczoszki mądre, przebiegłe, targowały się długo i rzetelnie. Ale wilczym węchem przeczują, że tu wnet lasy wytną — nie będzie kany i jagnięcia schować ani wyspać się przy czasie należycie — i przystały na ten frymark... Czy lepiej na tym wyszły, to kto wie! Bo ich się ta nikt nie chodził pytać... Ale dziki to już wygrały terno. Im ta o to nie idzie, że lasy powycinali, bo ta psiajucha katędy ryj wsunie, i wyśpi się za dnia ślebobnie, a w nocy to już je pan: nie boi się nikogo, bo wie, że go nie zastrzela. Z początku to im ta nieśmiało szło to gazdowanie po cudzych gruntach, ale teraz nie boją się nic, ospanoszyły się tak, że im się ograć nie porada.

— Że też „Kraj” pozwala na to! — szepczą kobiety w naiwnej swojej nieświadomości.

— Kraj ma co inszego do roboty! — odpowiadają zgryźliwie chłopci. — Czy my to panowie abo co, żeby się o nas trapił! Kraj swoją drogą — a my i dziki swoją...

Zrezygnował już lud ze skarg, widząc, że te się na nic nie zdają — i w cichości przeklina „dopust boski”.

Ale gorycz sączy się po kropli do serc, a z kropli powstaje morze...

## WYBORCA

*Samorządowi na gwiazdkę*

— Pono Jagustyn wrócił z Limanowe?

— Dyć tak gadają.

— Późmy do niego; dowiemy się, jakiego ta wybrali tego posła...

— Dyć ta gwałtownych robót ni ma, możemy zajrzeć. Choć, prawdę powiedziawszy, to mi ta wszystkim jedno; niech będzie, kto chce.

— No, ale tak z ciekawości.

— Ha no, to późmy.

Jagustyn mieszkał niedaleko, na drugim osiedlu. Błazej z Bartkiem, wchodzący, zastali już u niego sporo gazdów, którzy się naschodzili pod wieczór, aby coś usłyszeć.

— I jakże tam wypadło? — pytali ciekawie.

— E, psiakrew! z takim samorządem... ani gadać nie warto.

Musieli go długo molestować, nim się dał uprosić. Widać było, że sam chce zabaczyć o tym jak najprędzej. Była w nim jakaś tępa złość, nie wiedzieć na co i na kogo, jakaś zgorzkniałość trująca na wewnątrz, która go piekła jak zgaga, gdy — uproszony — począł:

— To, widzicie, tak... Poschodzą się, diabeł nie



wie, skąd i jacy, ludzie i urządzają se licytacje, a ty myślisz, że to wybory...

— Powiedźcie... No i któż tam taki był?

— Kto chciał, to był. Komu się ino Wideń za-  
bażył!... Był od Nowego Sącza jeden, co naprzód  
był chłopem, a potem z tego do tego stał się wresz-  
cie panem. Tamci ludzie, co go znali, chwalili go  
dużo. I kto wie, czyby był nie przeszedł, kieby go  
był miał kto podeprzeć. Ale upadł.

— A niechta, nieduże zmartwienie...

— Był tam i jeden drukarz, ale my go nie wi-  
dzieli, ino opowiadali insi, że to na nic jemu głosy  
dawać, bo go panowie nie dopuszczą na żadnego-  
posła.

— Musiał im się przeciwieć...

— Ba, dyć powiadali, jak im prał w oczy wszy-  
ściuteńko, bez żadnych ogródek...

— Temu go to odcofnęli...

— Było potem dwóch chłopów ze samego mia-  
sta. Ale tych znowu chłopci nie chcieli, bo byli za  
mądrzy. I źli byli wielce na nich. „Bo jakoż to? —  
pada. — Ci by mieli wszystek rozum, a drudzy to  
nic? Niech ta lepiej głupszy idzie, nie zdradzi tak  
łacwo”.

— No, dy słusznie powiadali. Co sie jeden ma  
wywyższać rozumem swoim, kie drudzy...

— Był jakisi adukat, podobno z Krakowa; był  
jakisi Danielok, i diabeł wie jeszcze, dużo ich tam  
nie było; bo sie człek nie mógł dorachować, telo  
sie ich naszło. Jak przyjdzie chłopu pomóc, to ich  
nika ni ma, pokryją się, powłażą do najgłębszych

dziur. A jak przyjdzie wziąć od chłopą, to się wszyscy najdą...

— Powyłażą jak muchy z najdrobniejszych szpar.

— Hej, zlecą się jak mszyce i obsiędą człeka. Żebyś sto uszów miał, to ci ani jedno nie zbędzie. Bo cię wszyscy naraz kuszą i ze wszystkich stron. Nie porada się nijak ognać. Ten powiada tak, ten tak, ten znowu inaczej, choćbyś głowę miał jak kadź — zgłupiejesz do znaku i nic nie wiesz, kto ci dobrze radzi. Bo każdy obiecuje, czego żywnie pragniesz, i wszyscy by cię przed wyborem w miodzie ukapali. A skoro się ino dasz przewieść na jedną stronę — oho! jużes wpadł... Już ci drudzy w oczy pierą, żeś zaprzedał duszę. Telo powiem: Niech was Pan Bóg uchroni od tego, abyście kiedy mieli iść głosować. Człek sumienia niepewny.

— La Boga, cóż to za czas nastał!

— Po kiego diabłów człek ma iść, wybierać, kiedy oni sami wiedzą, kogo wybierają! Żebyście wy widzieli... Ale szkoda i widzieć. To, wiecie, tak jakby jarmark; ale co ja gadam! Na jarmarku obierzesz i zmówisz, i kupisz. I nikt ci nie zastępuje, chyba, jak się cofniesz. A tam wszyscy handlują...

— Sumieniem i skórą...

— Dy nie czym inszym! Skóra chłopska na licytacyi. Ani się nie obejrzysz, jak ci ją przedadzą.

— I litkup na dopłatek!...

— Myślicie, że nie? Chciałbych mieć telo owiec, kielo tam ostrzygli.

— Czy już tak naród podupadł, czy co?

— To, wiecie, tak: Człek ni ma oświaty za graj-

car. Zlecą się zewsząd i przysiędą, ani się obrócić, kany byś chciał. Rozum ci sie zaćmi. Ksiądz doradza tak; juści trza mu wierzyć, bo jakże, przecie piastun boży. Kto inszy znowu inaczej powiada; widzi ci sie, że dobrze, i poszedłbyś za nim, ale kto wie, czy śmiało możesz mu zaufać?... Starosta nakazuje; trza go znowu słuchać, a żandarmi po boku, a panowie z góry — zabałamuca do znaku i sam nie wiesz, człeku, za kim idziesz i kany, na jaką złą stronę. Kto chce, to rządzi tobą: kto chce, to ma władzę. Pomieszanie rozumów jak przed końcem świata. A żeby ostawili chłopów przy swoim prawie, to nie, ino sie tak opiekują jak dziećmi małymi. A nie chcesz słuchać, to cie gwałtem zmuszą.

— E! Ktoż taki, co się poważy?

— Kto taki?... Dyć jest samorząd na to, coby samorządził. „On” porozdzielał prawa i zagarnął władzę. Nie spyta się nikogo o nijaką wolę, ino robi swoim dumem, co mu się podoba.

— Ej, bieda też to, bieda, jak ni ma oświaty!...

— I jakiegożécie tego posła nareszcie wybrali?

Jagustyn zachnął się na to pytanie. Widać, że chciał z umysłu ominąć tę sprawę; gadał wiele, a tłumiał złość niewysączoną. Teraz, przyciśnięty, gniewem, goryczą wybuchnął.

— Ja go ta nie wybierał! Wybierali insi...

— Kogoż takiego?

— Adukata jakiegoś... z Krakowa.

— A jakże się nazywa?

— Czy ja wiem? Kto ta kiedy słyszał jego miano!... Dyć sie spytajcie inszych, co ta ze mną byli, czy go kto znał, czy widział kiedy jego gębę!...

— I na cóż mu dawali głosy?

— Na co?... Bo musieli dawać i... psiakrew! z takim samorządem.

Pomilkli i widząc, że go ino złoścą, nie pytali już o nic. On jednak sam po chwili, wysapawszy się, zaczął:

— Ale my se poradzimy. Na drugi raz, jak padnie, to już nie będziemy tacy głupi. Kie ten zły, ten niedobry — to żaden nie będzie. Już my się umówili w kilkunastu razem, że jak nadejdą wybory, to na cesarza będziemy dawać głosy. Niech się opiekuje nami, kiedy tak...

Z triumfem spojrział po gazdach, a ci siedzieli na ławach w milczeniu, dumając długo i głęboko. Najstarszy z nich po chwili odezwał się z cicha:

— Może by to i nieźle było... Co myślicie, Błażeju?

— Mnie ta wszystko jedno.

Działo się po wyborach grudniowych, w „roku jubileuszów”, w sto lat po rozbiórce Polski.

*Zaoczny świadek*

## GADKI Z PODHAŁA

### I. „CO MA WISIEĆ — NIE UTONIE”

(Z opowieści Sabały niewiernie zapisał i podał Wł. Orkan)

Drzewiej, kie jesce u nas kościoła nie było, chodziliśmy do kościoła do Saflar. Ale my se wse pomysłowali: Saflarzanom musi być markotno, jeze tak, jak zwyczajnie, do ich kościoła chodzimy — trza by im cosi za to dać... Pogadował ten i ów — nareście rada w uradę: Coz by im tu takiego dać, coby se nie markocili?

— E, wiecie co, ja powiadam, dejmy im świętego!

A był tu, wiecie, cłek, co świętych rabiął — toz to my do niego: „Moiściewy, kochani, piekni, zróbcie nam świętego!” On sie ta duzo nie oganiał — nie tak jak insy cłek nieupytany — ba zaraz poseł, upatrzył nahrubsom jedlę, ściał, wyrznął ś nie odziumka i wycieszał świętego. No i rada w uradę: ochrzčili my go Morcinem. Ino wto go tu poniesie? Prógował kozdy dźwignąć, ale nieporada — ciężkawy.

A był tu jeden chłop, co dziesięciuk nie bardzo sie ubał — toz to my znowu do niego:

— Wiecie co, kochani, piekni, nieście Morcina do Saflar!

— A co mi za to dacie?

— Damy wam sto dni odpustu.

On sie ta juz nie drozył — dźwignął go na plecy i poseł prosto ku Dunajcu.

He, ale mu po drodze pocał ten święty dopiekać. Zagrzał sie pod nim setnie, a tu dopiero Poronin. I skoro tak idący ciężko nie letko podychuje, spotyka hłopa znajomego.

— Wiecie co — powiada mu — weźcie no haw to ze mnie, zanieście do Saflar, dam wam dziesięć dni odpustu...

— Ni mam tyz casu, bo sie do lasa pośpiesom...

— Dam wam dwadzieścia!

— Ani za sto!

— E! nie poniesiecie, nie; to ja go tu juz doniesem.

Po jakimś casie znowu spotyka na drodze babę. A ze to baby, wiecie, łakome na odpust — toz to on zaraz do niej:

— Moi piekni, weźcie no haw to ze mnie, dam wam trzydzieści dni odpustu...

— O moiściewy, dyćbych rada, ale tyz ni mam casu, bo dzieciska w chałupie; bo to, bo tak...

— Dam wam śtyrdzieści... no, pięćdziesiąt — niech stracę!

Baba sie jesse wymawia — za sto może by sie była i uwiedła — ale mu sie juz nie chciało dodawać...

— E! nie poniesies — powiada we złości — to ja go haw już doniesem...

I poniósł dalej — aze przyseł na most na Dunajcu. Sparł na poręcy, oddychnął na chwilkę, otarł rękawem pot i tak se дума: „Sto dni odpustu

juz-ek zasłużył potela... Ja by cie tu za darmo tak dźwigał!... Co ma wisieć, nie utonie..."

I zepchnął go na wodę.

No i, wicie, nie utonął — ba do dziesiednia wisi w Saflarach w kościele. Haj!

## II

Drzewi jesse — mieli w Poroninie kościół i księżicka, ale brakło im łorganisty... Przypodoł odpust, a tu ni ma łorganisty. No i zwiedzieli się tu jakoś ludziska o mnie, przychodzą i padają mi:

— Wiecie co, Sabała, zagrojcie no na organach.

Jo sie im wymowiom, jak mogę — ale nie, ino zagrojcie i zagrojcie!...

E, zagrać — to zagrać. I posełech. Zachodzę pod dzwonnice, a to ludzi pełno, a i księżi przy ołtorzu kupa — ino na mnie cekajom — to trza grać.

Jagech sie — wicie — obertnou, jagech se siod na tych kosteckach — jagech zagroł — to wom — wicie — ksiendza przy ołtorzu poderwało!... Obziemom sie — a tu ani jednego cłecyka w kościele.

## III

Roz sed se klerik bez granice — i trafiół na zbójników. Otocili go dookoła — a nostarsi mu pado:

— Abo nom powis kozanie, co by sie nom widziało, abo cie uśmiercimy!...

Klerik się zdrygnął — ale se myśli: „Jak nie powiem, to mnie uśmiercą...” Pomodlił się po cichutku do świętego Bartłomieja, patrona od obdzierania ze skóry — wyłoz na pnioka, jak na kozanicę, a zbójnicy pozdyjmowali kapelusze i słuchajom.

Klerik przezegnoł sie i zaczął:

— Wase zicie to bardzo podobne do Poniezusa...

— Zje locegos? — pytajom ucieseni zbójnici.

— Locego? Lotego — pado klerik — ze Poniezus sie urodził ubogo — i wy tiz niebogato; Poniezus za młodu pomogoł świętemu Józefowi trzoski strugać — i wyście tyz pewno nie próżnowali, bo by wom ociec kazdemu skórę wygarbowoł; Poniezus, skoro podrósł, puścił się na wandrówki — i wy tyz lotocie z miejsca na miejsce; Poniezus ostoł poimany — i wy tyz ostaniecie; Poniezus był bicowany — i wy sie od tego nie wymigocie. Poniezus ostoł ukrzizowany — i wom sie szubienica patrzy; Poniezus wstąpił do piekieł — i wy tam wstąpicie!... i — No cos? widzi wom sie?...

— Zje jakozby nie!... — odpedzieli zbójnici, a nostarsi zamiółł mu jesse przygaśnie złota.

Kie juz — wicie — klerik odseł kawołecek, obytrnął sie ku zbójnikom i zawołoł:

— Jescech wom jednego nie pedzioł!... Poniezus wstąpił do niebiosów — a wy juz nie wstąpicie!...



## POMRUK GÓR ABO ROZMOWA

Zawrat (do Świnnicy): Cóżes tak, siostró, oswiała?

Świnnica (ciężko wzdychając): Stracona moja krasa... Dotąd już setki gnid po głowie mi łąziło, a teraz... wagonami będą się wysadzać... wstrętnie pomyśleć. Murań podszeptnie Krzywaniowi, że sie nie kąpię w chmurach... wstyd... Jakże ja mu sie we słońcu pokażę? Łomnica hań, zalotnica, mizdrzy, bieli... Nie przecierpię!

Zawrat (do siebie): Oh, ci ludzie! Obłążą i mnie od lat... Pnie sie to, aż śmiesznie patrzeć... Czego to szuka? Idzie sie potem na dół chwalić, że był na mojej głowie... To byle wsza potrafi... Jeszcze półtora biedy było, pokiela nie przypełży te niemrawce z dolin... To już nad sposób dokuczliwe... Aż sie i nieraz cnie... Jak on hań Giewont wytrzyma? On najbliży... Już mu sie pod pazuchą wnetki usadowią...

Świnnica: Biedny Giewont!

Zawrat: Wbili mu ćwieka do łba, jak to mówią...

Giewont (stękając): Ludzie!...

Świnnica (do Zawratu): Słyszysz, jak jęczy?

Zawrat (do siebie): Dziwne to stworzenia... jak

mrowce dokuczliwe... Te śmieszne budki — tam na dole — czasem Halny ma z nimi zabawkę... Lubi on im też psoty wyprawiać... Hej! ognia! iskry! piorunu!... Żeby ja tę miał moc...

Świnnica: A jak się to puszy, gdy mi stanie na głowie na zadnich swoich nóżkach...

Zawrat: Że też to Kronos chowa — nie wiedzieć, po co...

Świnnica: Jak oni ten świat brzydzą! Że też to Halny tak cierpliwy...

Zawrat: Nie jego, mówi, moc...

Świnnica: A czyjaż?

Zawrat: Kronosa.

Giewont (z postękiem głuchym): Ludzie!...

Świnnica (jakby do siebie): Stracona moja krasal!...

Zawrat: Nie płacz — przetrwamy... Nie takieśmy przetrwali płazy... pamiętasz?... przed potopem... Jedyne Kronos wieczny... ociec nasz... przetrwamy...

## PRZEZ CO SABAŁA OMIJAŁ JARMARK W KIEŻMARKU

Sabała w młodszych latach, jak zresztą wszyscy Krzeptowscy, lubiał wylatować przy czasie „po interesie myśliwskim” za wierchy. Czy przez to, że na tej tu, polskiej stronie mniej było zwierzyny, czy że na cudzym terenie śmielej było wobec większego niebezpieczeństwa raubszycować — luptowska strona południowa była celem myśliwskich wycieczek skrzydlatych zakopiańców. Że zaś Luptacy, naród twardy, strzegli zacięcie prawa swej własności, wywiązał się trwały stan wojenny między oboma plemionami. Nierzadko też do krwawych przychodziło z przyczyny owej porachunków. Zauważyć przy tym wypada, że wybitniejsi myśliwcy po tej i po tamtej stronie znali się z postawy i z imienia wzajem, jak walczący naprzeciw bohaterowie homeryccy.

Więc jednego razu wyleciał Sabała na tamtą stronę na kozy. Ustrzelił capu — i zaledwie zdążył flintę dla bezpieczeństwa śrutem nabić — widzi: hurma Luptaków, którzy się tu widać zasadzili, doń pędzi. Nie było się ni chwili co ważyć. Ostawił capu — i w ucieki. Sadził jak jeleni, gdy kupa ogarów tuż-tuż ma go dopędzić. Przypadł nad osypisko — i w momencie, gdy miał hybnąć w przepaść,

odwrócił się i — wygarnął z flinty do tej kupy. Po czym zjechał po piargu kilkadziesiąt metrów — i już wdziera się w górę po przeciwnym zboczach. Obziera się i widzi: kupa Luptaków stoi nad urwiskiem — widać wstrzymała ich flinta — a jeden z nich, znajomy mu dobrze, jedną ręką zasłania se wyfuknięte oko, a drugą grozi Sabale.

— Pocekajże se, Jasiu — woła — bo ja cie dońdę!

Sabała dobrze wiedział, co ta zapowiedź znaczy. Już się też i nie obejrzał więcej. Darł co sił ku przełęczy, szczęśliwie dostał się na polską stronę, nareszcie i na Krzeptówki, do domu.

Nikommu nic o przygodzie nie rzekł, toteż cudno nieraz onym było, którzy znali jego „maturę myśliwską”, że Sabała przestał wylatować „na tamtą stronę”. Polować bo polował, niejedną jeszcze kozę, ba, niejednego niedźwiedzia, jak się zdarzyło, ustrzelił, ale jeno tu, po stronie naskiej, a luptowską statecznie omijał.

No i minęło tak roków coś dwadzieścia. Aż ci jednego razu „ich wielgomożność” pan Chałubiński powiada:

— Zbierzcie się wartko, Sabała, mam interes, pojedziemy do Kieżmarku na jarmark.

Kieżmark w Luptowie, wiecie, jak Nowy Targ na Podhalu: oko istne, stolica.

Nie bardzo się to Sabale zwidziało, ale „coz sie bees Ich Miełości panu Chałubińskiemu prociwił?”

Zaprzął Sabała konia — pan Chałubiński siadł — sam Sabała furmanił — pojechali. W Kieżmarku, jako w mieście zwyczajnie czasu jarmarku:

harmideru, krzyku, wozów, ludzi pełno, naród z okolic dalekich ściągnięty, a sami prawie Luptacy.

Pan Chałubiński poszedł za interesem swoim po jarmarku — Sabała został przy wozie. Odudznął konia, dał mu obroku i coś koło wozu dudrze — aż ci widzi: Jakiś Luptak, o jednym oku, zachodzi z tej, to z tej strony i tym okiem się mu przypatrzuje...

Jużcić Sabała od razu go poznał. Dusza mu w pięty uciekła. Ba! możecie wiedzieć: Jest na jarmarku w Luptowie...

— Toś to ty, Jasiu? — rzecze z uśmieszkiem ów Luptak.

Sabała już śmierź swoją widzi w tym uśmiechu. Ale nie daje nic poznać po sobie, jeno najobojętniej odpowiada:

— E, o kogoż się pytacie?

Stropiło to trochę jednookiego Luptaka.

— E-ś to pono ty Sabała? — rzecze już niepewnie.

— Ho! — uniósł Sabała kapelusza. — Sabała!... Niecha mu ta Bóg grzyhy odpuści... Dawno pomar. Juz kielka roków usło, jak pod trawnickem leży.

I widząc, że Luptak trop zmylony chwycił, jął się dalej rozwodzić:

— Dy ta gwarzą, ze ja niby do nieboscyka Sabały mam być zywoistnie podobny, boch ta niby krześniak jego i tak tyz samo jako on z Krzeptowskich... Ale ka mi ta do Sabały!... Co ta z nim kogo równać! Beł to cłek, beł...

I zaczyna się Sabała (tj. siebie — nieboszczyka) chwalić, jak jeno najlepiej umie.

Zmyliło to już do reszty Luptaka.

— Hm — począł dumać — niby on i niby nie. Dwadzieścia roków minęło...

Nic nie wiedział, co sądzić. Poszedł po jarmarku, zwołał znajomców-Luptaków, co Sabałę Jasia znali: może kto trafi...

Obstąpili Sabałę kołem, każdy się mu pilno przypatruje — a Sabała kapelusza poprawia, wóz smaruje: świat mu niby poza wozem całkiem obujętny.

Nikto nie wie, co pewnie powiedzieć. Dwadzieścia lat... to przecie.

Na to nadchodzi sam pan Chałubiński. Co miał w jarmarku, posprawaiał. Zerknął ku nadchodzącemu już z dała Sabała, nieznacznie dał mu znak okiem.

Ho! Ich Wielgomożności nie trza było wieła — jak to insemu łopata! Zaraz zmiarkował, że cosi sie święci...

Nim jeszcze się do wozu zbliżył, Luptacy ku niemu:

— Cy to Sabała? — pytają, wskazując na furmana.

Pan Chałubiński już zrozumiał, o co tu rzecz; odkręcił głową, że nie. Podszedł do fury, już była gotowa, skoczył na siedzisko, Sabała przed nim, ujął lejce — Luptacy się z wolna rozstąpili...

— He! — powiada potem sam Sabała. Jak my się z tego piekła wydobyli — jakech zaciał konia, to wóz jakby skrzydeł dostał. Ino sie drzewa migały. Juz-ech odtąd na jarmark do Kieżmarku nie jeździł!

## BETLEJEM I ASYŻ

„I postawię dla ciebie przymierze dnia  
onego ze zwierzem polnym i z ptastwem  
powietrznym i z płazem ziemskim, a łuk  
i miecz i wojnę wygładzę z ziemi:  
i sprawię, iż bezpiecznie mieszkać będą”.  
(Ozeasz, II 18).

Narodzenie Boga w człowieku...

Zaiste, cud to niesłychany.

Ze słów powyższych snadnie można rozumieć, że Bóg zrodził się w duszy człowieka, kiedy ten poczuł się Panem i mógł nowe prawa tworzyć, jako też zawierać ze słabszym stworzeniem przymierze. Lecz ze słowa „wygładzę” rozumiemy, że przemawia tu jeszcze — acz już z miłością nowego zakonu — groźny Jehowa.

A oto boskie zdarzenie: Betlejem... Obraz kaźdemu znany; stajenka prosta, żłób, barłogu szczypta, boskie Osoby, przy żłobie zaś wół i osioł, na progu i nad odrzwiami ptaszki różnego gatunku.

Tu już nie „przymierze” wroga z wrogiem, lecz jakby pewne życie się i przyswojenie; jakby patriarchalny stosunek pana z czeladzią; z jednej strony życzliwość, łaskawe przyjmowanie hołdów należnych — z drugiej zaufanie, bezpieczeńność, wyrażanie hołdu i ofiarowanie usług: ptaszki śpiewają, co które pamięta, a wół z osłem chuchają ciepłem swoim na Dziecinę, przy czym „klękają, adorują”, jak mówi kolęda — adorują Boga w człowieku.

Jest w tej „stajence” jakaś niema wieść o czasach przed-Ablowych, kiedy „zwierzęta mówić umiały” — czyli człowiek przestał rozumieć ich mowę, gdy się zbosczył — a zarazem jakoby sen z dalekiej, przyszłej Harmonii. Coś, co się nie wyraża, lecz co się czuje, jak powietrze ojczyste lub zawiew z hał, gdzie się przeżyło z pasterzami swobodne lata wzrostu: — tak to powietrze stajenki betlejemskiej wieści o czymś i wzrusza...

Tu przez dziwne skojarzenie Betlejemu z wilią, raczej z pamięcią wilij z lat chłopięcych, przychodzi mi na oczy serca ojciec mój... Słowianin, zamilowany w przyrodzie i rozumiejący jej ducha — on, który znał mowę ptaków jak nikto, a z bydłami, jako gazda, tak się zaobchodzić umiejący, iż gdy woły — siwe, ze Spiszu, sojki — przedawał, to wołom — twierdził — łyzy z ocz ciekły...

Przypomina mi się przy wieczerzy wilijnej, jak drżącą ze wzruszenia ręką bierze opłatek, leżący na sianie nakrytym białym obrusem, podaje matce w milczeniu i życzy jej wszystkiego tymi dobrymi, siwymi oczami, na których w tej chwili błyszczą dwie łyzy... a potem z nami się łamie... i gdy już siedzimy z łyżkami, czyni krzyż dłonią nad grzybową polewką, mówiąc złamanym przez wzruszenie głosem: „Pobłogosław, Panie, te dary...” A po wieczerzy idzie z opłatkiem do stajni — do bydła... i kruszy im opłatek do „wili”. — Wierzyłem święcie, że we wiliję we wieczór bydła z gazdą rozmawiają... Utwierdzało mię w tej wierze zaobejście się z nimi mego ojca.



Oto, czemu Betlejem skojarzyło mi się z pamięcią ojca i tych „wilij” z lat chłopięcych.

Mało kto jeszcze z ludzi ma „Betlejem” w sercu.

Oto obchodzi się święta Bożego Narodzenia. Pierwszy świadek Narodzenia Pana, wół, idzie na stół — dla uświetnienia tej uroczystości. Nie mówi się już o świni, specjalnie na zabicie tuczonej. — Zważmy podobny los człowieka, którego kiedyś też w podobnym celu tuczono wśród plemion ludożerczych; ale nie w tym podobieństwo człowieka do świni, raczej w tym, gdy święta Bożego Narodzenia obchodzi pijaństwem i tarzaniem się z lubością w błocie; przy czym pijaństwem wprawdzie jest od świni różny, ale to nie jest jego nad stworzeniem wyższość, bowiem i małpy umieją z owocu jednej palmy robić trunki mocny i upijają się hałaśliwie, do znaku jak ludzie, a następny dzień po upiciu są smutne, osowiałe, trzymają się za głowy — znów tak do znaku jak ludzie.

W dzień Bożego Narodzenia  
Radość wszystkiego stworzenia,  
Ptaszki w górę podlatują...

Tak jest w kolędzie, a w rzeczywistości... ileż to tych małych istot, zdobiących prawdziwie ziemię krasą i śpiewem swoim, które ongi ćwierkały nad „stajenką”, cisły się do „żłóbka”, dziś idzie na stół człowieka — na uczczenie „Bożego Narodzenia!”

„...Pokwapcie się, lekkie, składne, jasne motyle,  
i wy, muszki złote jak iskry! Wy, ptaszki wesole,

i wy, zwinne, polne i leśne zwierzątka... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kwapi dziś, gdyż oto, dni temu nieco, najpiękniejsze ze stworzeń — Człowiek przyszedł na świat!... Z uweśleniem podaję wam, że jeden więcej błogosławiony, jeden więcej piękny narodził się..."

Tak gdy swoją pieśń skończył anioł, przelatujący nad siołem, nastąpiła na bardzo mało chwila głębokiego uciszenia, po czym, jak z jednej struny złotej wygłos, zabrzmiały słowa drobnych złotych muszek i owadów tęczowych, i motyli w pyły świetne odzianych:

„Piękny — piękny — piękny! jest człowiek-dziecię i niebawem podziwiać go będziemy hasającego po łąkach, rumianego jak zorza, po pas w kwiatkach... Gdzie skinie ręką, w której nieść będzie zdradną mgłą gazy, podchwyci motyle zbyt ufnie ssące kwiaty, podchwyci muszki złote, szklano-skrzydłe i tęczowe owadki... A potem z uśmiechem powodzenia poprzewierca im szpilkami karki... One okręcać się będą na kruszcowych palach i wspinać na wyprężane nogi z jękiem, którego nie dosłyszysz tłuste ucho człowieka, gdy po łowach, rzuciwszy się, jak był, na posłanie, głęboko będzie spał, w pięknym odniechceni tym nadobniejszy..."

„I przyjdzie matka, pojrzy, zachwyci się... Profesor przebudzonego wychwalać będzie, iż wdzięcznych tyle trudów poniósł — ale on się nic z tego, ani się nikt z tego nic nie nauczy! Tylko człowiek-pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego, to jest, ażeby w s z y s t k o p o d s t ę p e m

ująć, zamordować, obedrzyć i dla samego siebie zużytecznieć!"

„To jedno od rana do nocy co dzień względem całego stworzenia poczynął on przez wszystkie wieki!..”

„Atoli on jest piękny i piękna matka jego i siostra starsza... — szczebiotać poczną ptaszki — lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których może błyszczeć parę piór, bo pojmagają was podstępny opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby... uczepić je dodatkowo na kapeluszach i na włosach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie nauczono ich rozwijać piękność własną, tylko obdzierać cudzą i brać na siebie! Strzeżcie się więc...”

Upomnienie takie... słysząc na drzewie, wiewiórka, cała w złotym słońca promieniu złota, ześliznęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prozę:

„Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby wcieloną gajów krotochwilą i igraszką... Lecz człowiek uprzejmiej patrzy na zwinność i igraszkę, niżli ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się go, jakkolwiek piękny jest i wyniosły!... Gdy my albowiem pracą znojną uzbieramy sobie na zimę jadła i we wypróchniałym drzewie, orzech zebrawszy do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej — zaraz bystry i piękny przewie się o tym i zabierze wszystko, on, któremu to jest igraszką jadła... Ale on wprawiać się musi sercem w rzemiosło zdziery, okrutnika i syna okrutników po wszystkie czasy”.

„Jadło wszystko stracić na zimę jest wielką rze-

czą... — tęskno i słodko dośpiewa ukryty w cieniu mały ptaszek — lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykała oczy, ażebyśmy, w ciemnościach pograżone, śpiewały bujniej..."

„Widziałam go przez matkę kapanego i wiem, jak jest urodziwym — zadzwoni ze szklanych fal strumienia jasna rybka — czoło ma zawsze podniesione... Zaiste, mądry przeto, bo on z przezroczy-stego włosa nici uda nić wody bieżącej i nastroi jej hak żelazny, i robaczka albo robaczka pozór utwierdzi na haku, aby mimo idąca głodna ryba, połykając podstępłą śmierć, ginęła”.

Wtedy nad strumienia brzegiem przeżuwiający złotą trawę śliczny ciołek, podobny do Apisa poszukiwanego, gładki i połyskliwy, zawoła:

— „Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje na ludzi, upomina, że nawet skoro wyciągnie do ciebie człowiek białą swoją rękę, ażeby cię pogłaskać, nie dowierzaj! Bo on uczy się szukać palcami, ile mięsa narosło, ile tłustości...”

„Albowiem jego całą rzeczą jest i było po wszystkie czasy, od rana do nocy, tym się zaprzętać jednym, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, złupić — i zjeść, i zjeść...”

„On to sędziwego wołu, gdy już dlań dość zwa-wo w polu płużyć nie może, utuczy obmyślnie i zabije — skórę użyć pośpieszy na uchronienie obuwem stopy swojej od szwanku — mięso zje, kości porznie dla urobienia z nich fraszek do gry zabawnej po uczcie — z rogu jednego pić będzie złoty miód, a w drugi róg zatrąbi! I niemożliwym stanie się, ażeby cień śladu pozostał, że tu wół istniał...”

— „Nie inną niesie zagładę rodowi owiec! — jęknął nareszcie i baranek biały, miękki i czysty jak obłok. — Lubo owca sama porzuca i dawa z ochotą wełny swoje i mleka, lubo dzielić się lubi wszystkim, co ma — ale on już od dziecka w strony podstępu, wyzysku i pożerstwa wystosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki policzy wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzności, wyrobi je i sprzedzie w struny muzyckie, ażeby na nich wygrywać piękne i głębokie akordy, pono na chwałę Boga!...”

(Hymn wyjęty z utworu Cypriana Norwida: *Ostatnia z bajek.*)

A ponad tym człowiekiem, który „przez wieki tym tylko się zaprzętał, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować”, ponad tą iliadą łowów, łowów i łowów, odkąd ludzkość nam widzialna aż do dziesiednia, jaśnieje niezmiernym światłem jako gwiazda zielona nad mrokami — żywot św. Franciszka z Asyżu.

Dlaczego przez Kościół, który uprawnia zabójstwo, uznanym jest za świętego, trudno zrozumieć; natomiast świętym jest istotnie dla tych, którzy pragną z mroków zwierzęcości wyjść do Człowieka. On sam życiem swoim stworzył nową religię. „Kochaj bliźniego” — rozszerzył na wszechstworzenie — wszystkie przykazania zamknął w jednym, ale żywym i wszystkim obejmującym: „Nie zabijaj”.  
Znów widzimy narodzenie Boga w człowieku...  
W „nie bardzo podłej” mieścinie Asyżu przyszedł

na świat ten człowiek-dziecię, aby miłością nieznaną olśnić dusze i raj ludziom pokazać. Wyraźnie zaznaczają się trzy fazy boskie w stosunku człowieka do zwierzęcia: starozakonne przymierze, betlejemskie przyoswojenie i wreszcie przyjaźń św. Franciszka.

Przez Betlejem prowadzi droga duszy do Asyżu. Aby umiłować, trzeba naprzód zrozumieć i uszanować.

Św. Franciszek już nie „błogosławi rybom” — na półmisku, ale nad brzegiem stojąc, gdy zaciekawione wychylają główki nad powierzchnię błękitną wód, rozmawia z nimi — mową serca, nie znaną ludziom rybołownym. Legendy ludowe włoskie mówią o Nim jak o czarodzieju. (Np. legenda *O wilcasku z Gubbio*, który dał łapę na to św. Franciszkowi, jako że „nigdy nikogo nika” nie napastnie, byle go jeno żywiono, i potem „chodził posłusnie” za św. Franciszkiem, słuchając jego kazań o miłości).

Żywot św. Franciszka to religia zbratania, miłość wszystkiego stworzenia, czucie się we wszystkim — jako że we wszystkim jest częśćka Boga. Dusza w porywie szczęścia i miłości woła, ku gwiazdom wyciągając ręce: „O bracie mój, księżycu! O siostry moje, gwiazdy!...” Miłością wszechświat ogarnia. Jest to bogactwo niesłychane — czarowne skrzydła szczęścia — harmonia.

Betlejem wyznawców ma niewiele — Asyż jeszcze mniej. Mimo że co rok obchodzi się powszechnie święto „Bożego Narodzenia”.

*Poręba Wielka*

## INKLUZ W GOSPODARSTWIE

Jan Głowa i Gaweł Głąb, rozbudowani osobno sąsiedzi, gospodarzyli na jednej, 24-morgowej zagrodzie. Każdy z nich miał jednak po 12 morgów, tylko w parcelach mijanych — tzn. jedna parcela Głębia, druga Głowy — położonych w dwóch pochyłnych spadach, zachodnim i południowym.

Obaj byli w równych średnich latach, w jednym mniej więcej czasie ożenieni, jednak mieli dzieci po kilkoro i zdrowie równie obu im służyło. Zdawałyby się, że jednak też powinno im się powodzić. Ale tak w rzeczy nie było. Głowie wszystko szło „jak z płatka”, Głębiowi „jak po grudzie”. U Głowy chleba nie zbrakło, u Głębia niedostatek nieraz pobawiał w chałupie. Pracował po prawdzie Głowa, ale i Głąb nie próżnował.

Jakaż tego odmiennego powodzenia mogła być przyczyna?

Kiedy ludzie postronni, nasłuchawszy się narzekania Głębia i cierpkich jego uwag o powodzeniu sąsiada, pytali się go, co za powód, że Głowie na takiej samej połowce zagrody zgoła inaczej się wiedzie, Głąb znacząco wznosił oczy, niby dziwując się ich niedomyślności...

— Nie wiecie?

I wytrzymawszy ich ciekawość, rzucał szeptem tajemniczym:

— Głowa ma inkluzę.

Tedy wszystkim, co ciemnym w tej sprawie było, jasnym się naraz stawało i przydawali z chrząkaniem rozumiejącym:

— Patrzcie, kto by się spodział!

Głowa istnie miał inkluzę — jeno wcale nie takiego, o jakim ludzie myśleli. Inkluzę jego był w oświacie. Czego Głęb znowu, jak Głęb, docenić nie umiał. Podczas gdy on np. święto czy niedzielę uważał za dzień próżniaczy, w którym odbywszy swoje, wypaść się można do woli, a najwyżej z tym, z owym postać, poplotkować, Głowa nie ciężał sobie ostać po sumie czy po niesporach w czytelnicy, posłuchać przemów, jakie się zdarzyły, a zwłaszcza interesowało go szczególnie, co instruktor rolniczy, dojeżdżający z powiatu, o uprawie ziemi, o hodowli, o podniesieniu w ogóle gospodarstwa górskiego opowiadał. Wziął sobie nawet od niego broszur kilka, o sposobie uprawy roli i łąk, o nawozach sztucznych itd., i te z uwagą w chwilach wolnych sylabizował albo też kazywał któremuś z dzieci starszych, które do szkoły chodziło, by mu je głośno czytało.

Nie poprzestając na tym, zaprenumerował sobie „Przewodnik Kółek Rolniczych”, „Gospodarza”, zamawiał co rok „Kalendarz Gospodarczy” i o jakiej książeczce dowiedział się jeno, że o sprawach rolnictwa traktuje, starał się ją niezwłocznie sprowadzić. Miał już tego sporą paczkę w domu. Nie leżały one, jak to zazwyczaj bywa, w zarzuceniu, ba



je przy każdej sposobniejszej chwili, by sobie dorady ich wbić w pamięć, przeglądał.

Stało się mu dużo jaśniej w głowie i zrozumiał, że już tak pchać to życie, jak ojcowie pchali, czas idący nowy nie pozwala — a chcący żyć inaczej, trzeba iść z postępem. Grunt, pole, choćby i nie-małe, to jeszcze nic. Trzeba się mu przypatrzeć i z tej, i z tej strony, uważać, zbadać, czego potrzebuje, aby się mogło plonami odplacić. Inaczej pracy jeno na nim dużo, a korzyści nijakiej. Bieda biedą pogania i orze — i biedę zbiera.

— Raz się to musi zmienić — powiedział se i innym już, szerzej otworzonym okiem na grunt ojczysty spojrział.

Chodząc więc po polu — gdy miał w myślach uprawę odmienną — uważał naprzód, że dobrze by było parcele rozrzucone scalić. Można by łatwiej na jednym kawałku większym doświadczenia gospodarcze czynić. Ku scaleniu nie widział przeszkody żadnej — dwóch ich było na zagrodzie — pogadać jeno z Głębiem; spotkawszy go tedy na zagonach, zaraz do rzeczy przystąpił.

— Wiecie, kumie — powiada mu — mierzą mnie te parcele mijane, te miedze. Dwoch nas ino jest — po jedni pola mamy — przetnijmy zagrodę na pół, niech każdy ma swe pole w caliźnie. Ja ostanę na jednej, wy na drugiej połówce i bedzie. Co wy, kumie, na to?

Głąb się zastanowił, co Głowa może w tym mieć?... Bez interesu na to by nie ciągnął...

— Jak macie obawę jaką — dodał Głowa — byście na podziale źle nie wyszli, to weźmiemy

geometra, przętnie pole na pół i wam zostawię do wyboru: którą połówkę zechcecie. Zgoda?

— No dyc by to dobrze było — odrzekł Głąb wymijająco.

— Zatem przystajecie na podział? — naglił Głowa.

— Co by nie. Ino trza sie zastanowić...

— To się zastanówcie rychło i dajcie mi odpowiedź, bo czas nagli.

Ale Głębiowi się nie spieszyło.

— Kie Głowie tak o to chodzi, to widać chce sobie lepiej — dumał. Chcąc się upewnić w tej myśli, do ludzi zwrócił się po radę:

— Tak a tak — mówi — sąsiad mnie haw na podział nakłania. Widać się mu parcele moje większe widzą, bardziej obsuszone, a bo kto wie...

Ludzie jak ludzie — przytakiwali Głębiowi, bo cóż ich to w rzeczy obchodziło. I Głąb się w podejrzeniu swym co do sąsiada utwierdził.

W końcu Głowa, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, postanowił robić próby na parcelach, jak są. W tym celu wybrał dwie największe, prawie morgowe parcele i pokrajawszy je na równe części, przeprowadził na nich z nawozami, zalecanymi w książkach, doświadczenia. To samo zrobił na łące, jak i na pastwisku.

Głąb przypatrywał się temu z daleka i pokpiwał z tego wobec ludzi:

— Wiecie, wiecie, co on nam tu Głowa nie pokaże. Kraje parcele, odmierza, idzinieruje po łące, jakiś popiół sprowadza, rozsiewa — dziwy istne na polach wyprawia.

— Pewnie tych sztucznych nawozów próbuje, które ten pan z powiatu zachwalał.

— Bedziemy widzieć, co za gotowe manny rósć mu będą. Ojcowie też rozum mieli, a uprawiali grunt, jak Bóg przykazał, nijakich sztucznych przypraw nie używali — i zbierali. Głowa ojców i nas wszystkich myśli przemądrzać!

Głowa o tych podrwiwaniach wiedział czy nie wiedział — nic go z drogi postanowienia nie myliło. Zebrawszy plony z tych części, które doświadczeniu poddał, zważywszy i porównawszy z sobą, zobaczył jasno, co się gdzie nadaje; pod oziminę i owies rozsiany niezwykłą korzyść przyniósł mu azotniak; że superfosfat dodany do oborniku bardzo skutkuje pod ziemniaki, a przy dodaniu soli potasowej jeszcze zbiór większy i pleńszy; na łąki zaś i pastwiska najlepszy kainit z tomasyną. Te więc nawozy pomocnicze począł stosować przez rok jeden, drugi i doczekał się wnet na cud rezultatów. Stodołę musiał rozszerzyć, bo słomy zebrał dwa razy więcej niż poprzód, ziarna wymłócał teraz trzy razy więcej niż dawniej, siana miał pełne wszystkie szopy. Inaczej też wyglądało teraz u niego i w stajni. Bydło, lepiej odżywiane, nabrało lica, krowy zaczęły dawać dwa razy więcej mleka. We wszystkim znać było przyrost i przybytek.

Głęb, widząc to, zieleniał z zazdrości. A kiedy latem przeszedł się po polu i porównał zboże swoje liche ze zbożem Głowy, wyrosłym do cudu, sam już nie wiedział, co sobie z zawiści począć. Postanowił wreszcie chwycić się sposobów Głowy.

— Co, czy ja to gorszy? — utwierdził się w tym

postanowieniu. — Głowa myśli, że on jeno mądry, że nikto tego samego nie potrafi. Ho, ho, nie żadne to szkoły, gimnazyje — za pieniądź każdy wszystkiego dostanie, a nie dopiero nawozu. Trzeba się jeno dowiedzieć, co on to używał, co mu tak dobrze skutkuje.

Z Głową samym nie chciał o tym gadać. Wywiedział się jeno z boku od jego domowników, jakie Głowa nawozy sprowadził, po czym z Żydem w karczmie się naradził — i już wiedział, czego się ma trzymać. Skoro nadeszła wiosna, dowiózł nawozów sztucznych worków sporo i złożył je do szopy. Worki, pozostawione dłużej w wilgoci, superfosfat przegryzł, mączka się rozsypała. Nic to. Przy rozsiewaniu znowu azotniaku, nie zachowując ostrożności, poranił sobie ręce, skrwawił oczy. To widać tak być musi. Za to pokaże Głowie, że on nie pośledniejszy, a może nawet przeberze go jeszcze.

Teraz z wielką niecierpliwością oczekiwał lata. Co kilka dni zazierał na pole, rychło pocznie zboże strzelać w górę. Jakież było jego coraz to większe stropienie, kiedy widział rosnące jak pod urokiem jakimś zboże Głowy, a swoje nikłe, jak było lata poprzedniego. I tak aż do żniw samych. Dziwował się, w strapieniu nie wiedząc już, co sądzić.

A iście dziwu nie było żadnego. Bo gdy Głowa, nauczony z książek, glebę naprzód przebadał i wiedział, co na której z nawozów rozsiewać, Głęb takimi szczegółami wcale się nie bawił. Rozsiał więc superfosfat czy azotniak na glebie podmokłej, zużle na hycru itd., przy tym nie rozsiewał wcześniej na zoranej ziemi azotniaku, lecz równo z ziarnem. Da-

lej gdy Głowa sprowadzał nawozy pewne, o dobrym procencie (przez Składnicę Kółka Rolniczego) z Syndykatu, to Głęb brał je od Żyda karczmarza, po taniości. Juścić siły potrzebnej nie mogły mieć. A jeszcze źle zastosowane nijakiej w glebie lichej nie dały korzyści.

Głęb, widząc ten skutek marny, zwątpił od razu w zalety nawozów sztucznych.

— To ino podrywka Głowy, coby mnie pognębić.

A to, że zboże Głowy jak las się kłosiło, wcale już teraz nie było dla Głębia dowodem, że to nawozy sprawiły.

— Insza to — mówił z naciskiem — przyczyna. Takiemu, choćby i nic nie wsiął, to się udarzy. Ma inkluzę.

I tak już Głowa pozostał z inkluzem — a Głęb z biedą.

# NOWELE I OBRAZKI

seria druga

## LEGENDA O PODHALU

W siedem dni Pan Bóg stworzył świat, a potem, bawiąc się jakoby, stwarzał w przechodzie różne kraje, ze wszystkim na nich, co było potrzeba. — Właśnie utworzył był kraj węgierski, nizinę żyzną, przeciętą rzekami, a gdy trafiły się zbocza, to ku południowi, do słońca schylone, by na nich wino rósć mogło. Za czym zbliżył się ku stronie, gdzie miała powstać Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić, przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie.

Akurat kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący mimo Anioł zawołał: — „Szczęść Boże!”

Pan Bóg uśmiechnął się sobie, miał bowiem w myśli wizję przebogatego Podhala.

Ośmielony Stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyzierał się chwilę Jego pracy. A widząc, że to wcale nie tak trudna sztuka, zapragnął sam popробować.

— Odpocznij — rzecze — Panie mój, a ja z rozkoszą przez ten czas za Ciebie się potrudzę.

— Żebyś to mógł dać radę...

— Nie dam rady?! — uniósł się w honorze Anioł. — Zezwól, Panie, a ujrzysz, że nie gorsze

potrafię zbudować krainy niż te, co spod Twej Boskiej wykwitły ręki.

Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłaźliwie.

— Jeżeli chcesz koniecznie... — Umiłowanemu Aniołowi czegoż by w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił? — Jeżeli chcesz koniecznie spróbować — powiada — to możesz skończyć tę tu oto ziemię, którą zacząłem budować. — Sądził Pan, że co dobrze zapoczęte, to nie tak łatwo zepsuć — a ja tymczasem przejdę dalej...

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miało to być Proszowskie i Sandomierskie. Niedługo to wcale trwało, bo cóż dla Boga trudnego, jak był z ziemiami tymi dwiema gotów. Zawołał tedy Anioła:

— Jużś skończył swą pracę?

— Już! — odkrzyknął Anioł.

— To chodź, przypatrz się moim ziemiom.

Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął: — Ach! — bo też było się czemu zadziwić...

Ziemia proszowska była jak dywan wzorzysty rozkoszną, barwną równiną, przetykaną kępami sadów, ruczajami — a sandomierska, wyższa nieco, pofalowana w doliny i wzgórza, chyliła się łagodnie ku słońcu południa i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroka zataczała błękitne półkola pomiędzy jej złotymi wzniesieniami. Bowiem — gdzie okiem rzucić, tak w Proszowskie, jak i w Sandomierskie — wszędy widne były, na wzgórzach i dolinach, złote łąny pszenicy — iż się wydawało patrzącemu, że pożłota prawdziwa ze słońca



na dwie te ziemie spadła. Widać Pan Bóg chciał je już szczególnie szczerze obdarować.

Kiedy Anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan:

— No, a teraz zobaczymy to twoje Podhale...

Anioł, dumny ze swojego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską i krokiem niecierpliwym wyprzedził Pana. — Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetarł, przestraszony, nie mogąc uwierzyć temu, co ujrzał.

— Coś ty tu porobił?! — zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał i strwożył wielce. Co innego bowiem zastał, niż był zostawił.

Przystępując do pracy, wyobraził był sobie, że nic lepszego ziemi dać nie może, jak dużo, dużo ciepła. Przeto zeprał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią je z lekka jeno przyprószywszy, w tym przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu wysoko wydzwignie, to gorąco samo wszystko sprawi i kraj żywnością zakwitnie. Aliści pod ten czas, kiedy w Sandomierskiem bawił, przysłała ulewa okrutna, strugi wody spłukały ziemię ze skał, zniosły ją na dół wyrwami potoków — i oczom teraz wystąpiły groźne, spiętrzone ściany skalne, o nagich, w niebo wystających szczytach, o żłebach czarnych i przepaściach, górą kosodrzewiną zmarniałą, a dołem ciemnią smrekową odziane, dzikością surową tchnące — no, jednym słowem... Tatry. A zaś na niższych stoczach i pagórkach, gdzie woda ziemi nie zdołała spłukać, ścieliły się tylko mchem zarosłe, pustynne hale lub zieleńiły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

— Coś ty za myśl miał — uważwszy to wszystko, rzecze do Anioła Pan Bóg — żeś tak tę ziemię ukształtował?

— Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko — sprawiał się strapiiony Anioł — żeby więcej ciepła słonecznego dla niej uzyskać.

— A przez to właśnie chłód jej sprowadziłeś. Ten nawet lichesy owiesek, co na niej rodzić się może, zanim dojrzeje, mróz zetnie. Tak, tak — zadumał się nad Podhalem Pan Bóg — będzie to, przez twój nierozum, kraj chłodu i głodu. Już to się nie da odrobić.

— Nie trap się, Panie — przystąpił z otuchą Anioł. — Ja temu jeszcze zaradzę. Dozwól mi tylko, żebym tu ludzi utworzył, a zobaczysz, jak sprawią te łąki mizerne, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolę.

— Co to, to już nie! — rozłościł się Pan Bóg. — Chcesz się bawić, to możesz iść w Sandomierskie czy Proszowskie i tam se Lachów stwarzać; choćby ci się nie udali, to jakoś żyć będą, bo im przygotowałem kraj żyzny, pszeniczny. Ale Podhalańcina pozostaw już mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy Górala: o rosłej, śmigłej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych, orłowych, o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, o zaciętości niezwyklej, energii i sprycie — aby mógł na tej biednej, Aniołowej ziemi dać sobie radę.

## NA HALE

Koło Zielonych Świątek, gdy jeszcze w głębokich żlebach górskich śnieg zrudziały leży, a już zielona ruń pokryła trawiaste upłazy, rozpoczyna się wypęd bydła i owiec na hale. Dzieje się to w pewne dni pogodne na całym obszarze Podhala równocześnie, jakby za tajnym rozkazem. Ożywiają się naraz dziedziny, ruch w osiedlach powstaje, radosny nastrój ogarnia równie starych, jak i młodzież nieletnią.

Weźmy dziedzinę pierwszą z kraja, na przykład Biały Dunajec. Rano słoneczne. W osiedlach, po obu stronach drogi rozłożonych, niezwykle poruszenie. Oto, kurzem gościńca zamglona, zbliża się ku wsi jakaś zbita a ruchliwa masa, niby szare wojsko piechotne. Słysząc już z dala klekot dzwonek, tak dobrze znane turlikanie...

— Szalas idzie! Szalas idzie! — podają od pierwszych chałup młodzi jedni drugim w gorączce podniecenia.

Ciekawością za dziećmi z obejść wywabieni, wysuwają się na drogę starzy i oczy, słonione dłonią, kierują w tę stronę, skąd pylna chmura przyziemna nadciąga.

Aliści w ulicę wsi wpływa, niby rzeka wełnista, kerdel owiec... Naprzód idą dojki siwe, rozumne przodownice, co już na hale z szalasem od kilku lat chadzały; za nimi toczą się posłuszną masą, z kiwaniem głów potakliwym, trzęsąc strączkami swych kozuchów, białe i czarne jarki. Za kerdelem, sprawiając go gwizdem osobliwym, kroczą młodzi juhasi, w koszulach ciemnych, serdaczkach, w kapeluszach z białymi kostkami, z wełnianymi torbami u pasa i ciupagami zberczącymi w dłoniach. Kierdel rachować można na trzysta i więcej owiec. Ogania je naokół gorliwie pies biały, średni, owczarek, z wywieszonym od trudu płomiennym ozorem, a radością w śmiejącej się paszczęce i oczach, iż tak ważną dano mu wypełniać służbę.

Gdy szalały — jeden, drugi i dalsze — przeszły w hale, poczyną się w obejściach krzątania, przygotowanie wypędu statku mieszanego na bliższe upłazy.

Tak jak w innych, dzieje się też w obejściu Orawcowym. Owce dojne dołączono, dawszy im znaki, do szalasu, pozostałe jałowe owce i jagnięta mają się paść obok bydła na tzw. Skupniowym upłazie. Do paszenia najmłodszy z rodzeństwa, lat czternastu niedoszli, przeznaczeni: Wojtuś i Tereska. Wynika też między nimi sprzeczka: kto będzie paść owce, a kto krowy. Honor bowiem większy paść owce w halach.

— Ty bedziesz krowy — twierdzi Wojtuś.

— Nie, ja będę owce — upiera się Tereska.

— Widziałaś, żeby dziewczki owce pasały? — szydzi Wojtuś.

— A widziałeś, żeby je paśli tacy mali jak ty? — odcina się Tereska.

— Mali?... Czy ja to mały? Zmierzmy sie! — stanął koło siostry.

— Aha, na palcach sie podnosisz...

— To ty sie, cyganko, podnosisz!

— Bedziesz widział, że ja poženę owce.

— Bedziesz widzieć, że ja.

Osąd ojcowski rozstrzygnął. Wojtuś ostał przy swoim. Nuż tedy, ostrząc palec, dworować z Tereski:

— Widzisz, na moje wyszło!

Teresce łyzy do ócz nabiegły.

— Czekał, kieś taki...

Żal mu się siostry zrobiło.

— Na drugi rok — pociesza ją — to sie przemienimy. Ty bedziesz paść jagnięta z krowami, a ja sie zgodzę na juhasa.

— Hej — uśmiecha się przez dłonie — byłby też to juhas!...

— A co — uniósł się czołem. — Ujrzysz... Na mój dusiu! — zaklął się po juhasku.

Przybiegła strykowa Jewka i Stochów Jasiek z pytaniem do nich:

— Kiedy bedziecie wyganiać?

— Mówili tatuś: pojutrze...

— To pożeniemy razem... Hu, ha!...

Nastał ranek przeczysty. Ani chmurki nad rysującymi się na niebie szczytami Tatr. Dzień do wypędu wymarzony.

W osiedlu Orawcowym ruch od świtu. Wojtuś wygotował sobie bicz z czerwoną u końca biczyska kitką i próbuje nim strzelać po obejściu; za każdym razem trzask, odbity od ścian stodoły, podwójnie się rozlega. Kręcące się po osiedlu owce rozgłośnie turlikają, przywiązano im bowiem dzwonki blaszane na szyjach, aby je słytać było, gdyby się w lesie straciły. Za nimi wywarły się jagnięta z owczarni i dokazują na dziedzińcu, szermując się swawolnie główkami, to skacząc na miejscu w górę. Wypuszczono na koniec i krowy ze stajni, które, porykując zrozumiale do spodziewanej paszy, obzierają się po obejściu wielkimi, jak studzienki na hali, oczyma.

Wojtuś z Tereską gotowi już do wypędu, zaodziani na drogę, z biczyskami w dłoniach. Tedy ukazał się na obejściu ojciec z kropielnicą, przeżegnał krzyżem na powietrzu stątek i pokropił go święconą wodą. Za czym przeżegnali się i pasterze mali, zmówili krótki paciorek wargami i zaśmigując biczem Wojtuś owce, a Tereska krowy, zajęli je razem i pognali.

Po drodze dołączyli się do nich ze statkiem swym Jewka strykowa i Jasiak od Stochów. We czwór pędzili dalej. Wojtuś gwizdał na palcu, jak juhas prawdziwy, co budziło aż podziw strykowej Jewki. Wnet minęli wieś Poronin i olczańskie działą, weszli w regle i zadali się drogą leśną w ubocz.

Rześkość żywiczna lasu ich objęła — cztery pasterskie serca uderzyły żywiej. Oto ciągną w góry, w hale, ze zgrzytem piargu pod stopami, z pohukiwaniem, z turlikaniem owiec, jako już pasterze du-

zi, którzy nie rok-dwa pasali. Cieszą się rankiem rzeźwiącym, słońkiem, co przez las prześwieca, i radosnym spodziewaniem, co ich tam czeka na hali. Niecierpliwość już wzięła ich skrzydłowymi dłońmi pod pazuchy i jak piórka na powietrzu, lekko w górę ich niesie.

Las wkrótce poczyna rzednąć — jeszcze chwila... i okrzyk radości wydarł się naraz z czterech młodych piersi. Oto otwarła się nagle upłazem ku nim idąca w niebo gdzieś hala... cała od słońca złota.

Tu ich lato pasterskie...

Śmieje się szczęściem do nich, tarzająca się po złotej trawie, rok niewidziana swoboda.

## OWCE W BURZY

Wysoko w Tatrach, między skalnymi zboczami, znajdują się łąki, zwane hale, na których latem wypasają się liczne szałas. Taki szałas — jest to kierdel, do trzystu i więcej owiec, spędzonych z górskich osiedli. A rządzi nim stary gazda, baca, który w kolebie dymnej wyrabia z mleka owiec sery. Ma on pod sobą kilku dorosłych juhasów, których zadaniem jest pilnować owiec. Pasą je dołem na halach, a czasem podchodzą z nimi po zboczach skalistych na wyniosłe przywierzchnie upłazy.

Gdy lato ciepłe, pogodne, to nie ma biedy z szałasem. Ale gdy się trafi rok zimny, burzliwy, gdy padną — jak to w górach dość nierzadko bywa — mgły, śloty, wichry, burze lub śnieżyce, wtedy juhasi ciężkie mają z owcami przeprawy. Stworzenia te bowiem, z natury lękliwe, łatwo wpadają w popłoch; wówczas, zbite w ławę, suną przed się na złamanie karku i nic nie zdoła ich wstrzymać. Zdarzyło się raz, że — czymś spłoszony — cały szałas przyleciał z hal do wsi o mil kilka i ludzie nie mogli zbitych w strachu owiec uspokoić. W ścisiku tym padło zduszonych kilkanaście jarek. Albo wówczas, kiedy to z szałasem na Kondratowej sto owiec przepadło... Jeden ze starszych juhasów, który był przy tym szałasie, tak później o tym wypadku opowiadał:



— Onego lata staliśmy z szalasem na hali Kondratowej. Od Zielonych Świąt, kiedyśmy z owcami wyszli, do końca miesiąca czerwca nic się nam niepomyślnego nie przydarzyło. Baca był nam juhasom rad, bo ani jedna owca z szalasu powierzonego nam się w tym czasie nie zmarniła. Aż nadszedł ów dzień feralny...

Było to coś w tydzień może po świętym Piotrze i Pawle. Już my rano wiedzieli, że coś będzie, bo owce, kieśmy wyganiali, nie chciały jak zwyczajnie z koszara wyjść. Długą mieliśmy z nimi pracę, nimeśmy je wygnali.

Do południa paśliśmy na hali, a po wydoju południowym zajęliśmy szalás i udaliśmy się pasęcy ku skalistym wierchom; minęliśmy przełęcz i spuściliśmy się z owcami na stronę południową. Były tam pośród skał upłazki trawiaste, i owce rade miały się po czym paść. Było w kierdelu pięćset owiec, a na to czterech nas juhasów do strażowania. Pies-owczarz, wprawiony w służbę, obiegając wkoło kierdel, pomagał nam w czuwaniu, by się owce zanadto nie rozchodziły.

Słonko, schylone prawie na śródwieczerz, jakoś za bardzo przygrzewało. Aleć o jakiejś zmianie ani znaku. Cała połać południowa nieba była jasna — dalsze wierchy Tatr i węgierskie widne niżej topiły się w słonecznym zalewie. Co było z drugiej, od północy, strony, nie dało się przez przesłone ściany skalnej widzieć.

Nagle wyrzła rąbkiem ciemna chmura sponad północno-zachodniego szczytu i jęła szybko rósć na niebie. W momencie pewnym zagrzało. Nie cze-

kając na dalsze oznaki, poczęliśmy w pośpiechu zaganiać w górę ku przełęczy owce, przynaglając je gwizdem i hukaniem. Pies też opędzał je, dysząc płomieniem ozora, jak oszalały.

Nim do przełęczy dobiliśmy, chmura już zakryła słońce. Zniżała się włochatym brzemieniem i szła wprost na nas. Kłębiło się w niej okrutnie i szumiało, aż strach nas oblatywał.

Naraz rozbłysło przeraźnie — huk straszny potoczył się po wierchach okolnych i lunął deszcz wraz z gradem. Siekło nas lodem i ulewą; widziało się, że nas żywo zmiecie. Krótco to na szczęście trwało. Za czym zwała się na nas płachta chmury. Noc nas przysiadła.

Byliśmy właśnie na przełęczy.

I z tej nocy raz po raz otwierało się przeraźne, oczy ślepiące światło — za każdym łyśnięciem dreszcz przez ciało przechodził — huk toczył się gdzieś w dole.

Byliśmy w środku burzy.

Ponad całą tą trwogą i przeraźnią górował w nas juhasach strach o szalas, o owce. Mogliśmy jeno spuścić się z nimi jedynym bezpiecznym szlakiem, ukosem z przełęczy — a w momencie tym gadki o tym nie było. Zbiły się bowiem w strachu w jeden płach nierozzerwalny i na żadne hukania, gwizdy nie zważając, zsuwały się ścianą białą w stronę północną na ślepo. W mgnieniach między łyśkaniem, gdy noc zapadała, traciliśmy je z oczu. A gdy rozbłysło, to się jak lawina oczom złęknionym wyjawiały — sunące prosto na przepaść.

Rozpacz nas ogarniała. Ochrypli od hukania, wszelkich sił używaliśmy — rąk i kolan — by je skierować w stronę prawą, gdzie bezpieczniejsze zejście. Na nic. Żadna moc by ich w tym ślepym, lawinnym ruchu nie wstrzymała.

Tak zsunęły się nad krawędź przepaści. W rozbłysku światła widzimy, jak urywa się część wełnistej lawiny i niknie... Cud, że reszta, jakimś ostatnim instynktem powstrzymana, zwróciła się na prawo.

Gdy spuściliśmy się na dół, na halę, widniej się uczyniło. Burza się z wierzchów cofała. Na zachodzie pokazał się skrawek jasnego nieba. Policzyliśmy szalą — sto owiec brakowało. Byliśmy jeszcze radzi, że na tym się skończyło. Bo mogły wszystkie wpaść w przepaść.

## ZŁA ZIMA

Zazwyczaj zima w górach daje się ludziom, jak i zwierzyńce, we znaki. Lecz zimy takiej, jaka w tym czasie, o którym ninie mówimy, nastąpiła, nie pamiętali najstarsi gazdowie. Była to w całym tego słowa znaczeniu zła zima.

Spadł od razu na Wszystkich Świętych śnieg wielki i sypał przez dni następne jak z wora, tak iż widziało się: wszystko w śnieżnej pograży zatonie. Za czym przysła zawierucha, jęło dać śniegiem lecącym i spadłym — jedna biel wirująca podniosła się od ziemi do nieba. Trwała ta zamieć dni kilka; a gdy się w końcu uciszyło i rozjaśniło nieco, przedstawił się zdumieniu świat przeinaczony... Gdzie były poprzód dolinki, tam wzgórza białe — płotów, jak miedz wysokich, ni śladu — koło ścian szańce, sięgające strzechy — każdy pień w sadzie odęty naokół, jakby wyrastał ze studni, a drzewa o pół skrócone: śniegu wzwyż do paru metrów.

Od izb do stajen by się dostać, rozkopy musiano czynić w zaspach i tunele. Toż samo i do studzien. Z osiedla do osiedla śladów nie uświadczyl — ani gadki, by się kto mógł przez topiel zaspów przekopać. Do tego mróz siarczysty chwycił. Zamknęło ludzi w domach.

Płactwo przeniosło się w niższe okolice, by łatwiej jakie pożywienie znaleźć, a wierne górom trznadłe i sikorki cisnęły się do stodół i sieni.

Zwierzyny leśnej ani słyhu. Zając gdzieś w szczelinie zaspu pod jałowcem znalazł przygodną schronę. Wiewiórki tkwiły w swych mchowych pościelach, futerkami ogonów nakryte. Kuna też nie wychylała się z zaarendowanego wiewiórczego gniazda, w czarny swój mufek po oczy lśniące schowana. Lis zaszył się na pościecie jamy, kontentując się dogryzaniem pozostawionych z lepszych czasów kości. Borsuk w martwość zapadł w swojej norze, tłuściością własną sycony. Dziki i sarny, które zima, raptownie zwalona, zastała w górnych uboczach, nie mogły już, z powodu zaspów niebwywałych, dostać się w niższe, mniej srogie rejony i skazane były na przetrwanie, aż się odwilż przystępna uczyni. Gdzie je czas okrutny zapadł, tam trwały. Pojedynką lub w zbitych gromadkach stały koło pni pod strzechą konarów, oszukując głód zmarzliną mchu, korą i czym mogły.

Tak pod schroną rozłożystej jedli na skraju zachylnej polanki skupiło się stadko małe: rogacz i trzy siutki; z tych jedna małżonka rogacza i dwie ich roczne latorośle. Odęło ich naokół; zamknięta ściana śniegu widziała się ścianą studni, na której dnie się znalazły.

Zrazu nie było im nic. Odgrzebywały ratkami śnieg i dostawały spod ścieli zamarzłej resztki jesiennej trawy, płatki mchu, igliwie cetyny, a nadzieja tkwiła jeszcze w ich siłach. Lecz mijał dzień po dniu, a znikąd żadnej odmiany, ba coraz zimniej

i słabiej. Co mogły z dna zdobyć, spożyły — została ino ziemia szczerą, na kość przez nocy parę zmarzła. Tedy, gdy głód dopiekał, poczęły ogryzać spękaną korę z pnia jodły. A gdy wewnątrz paliło pragnieniem, jadły śnieg, który ogień gasił. W czasie długich mroźnych nocy tuliły się do siebie i grzejąc się swym ciepłem, trwały w pół-śnie, pół-jawie.

Przyszły dni cięższe. Kory już na pniu nie stało. Głód począł słabić je w nogach. Najmłodsza siutka osunęła się na ziemię. A dwie pozostałe oczy pytaniem błagalne zwróciły na rogacza, na opiekuna jedynego.

Sarn pojął tę ich prośbę, sam uważył, że to już ostateczny kres. Trza znaleźć jakąś radę. Gdyby do lasu młodego na dół się przedostać, tam łatwiej dałoby się przetrwać. Gałęzie tam nisko zwisające, cetyna młoda, pachnąca. Tam siutki swe przewieździe. Naprzód musi tor zrobić swą pierśią...

Rzucił się w ścianę śniegu, lecz owiózł się z powrotem. Nie dając za wygraną, oczyma siutek zachęcany, powtórzył próbę raz, drugi i trzeci... Za czwartym razem ugrzązł w zaspie i całego wysiłku musiał użyć, by się wydobyć z powrotem. O przedostaniu się dalej — ani mowy. Spuścił głowę ku ziemi na znak swej bezrady.

Minęło srogiej niedoli dni parę. Mróz się wzma-gał. Stadko osłabłe już tylko śniegiem, skubanym ze rzadka, zasłaniało straszny docisk głodu. Coraz dłużej opierały się ścieżące główki wzajemnie na szyjach, coraz smutniej patrzyły na siebie studzienki ócz. Fatum bliskiego końca zawisło nad

stadkiem onym. Minęło znów dni kilka bez odmiany.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy najmłodsza ze siutek, kiedy tamte drugie powstały, już nie dźwignęła główki. Zbliżyła się ku niej matka i poczęła ją trącać lekko nóżką. Po czym, zrozumiawszy, oczy wielkie rozpaczne obróciła na ojca-rogacza. I druga córka nań patrzyła, a w oczach jej był lęk i wołanie nieme o ratunek.

Ryknął sarn, jakby w serce ugodzony strzałą i rozpaczą pchnięty, runął w zasyp śnieżny. Utonął zaraz, lecz nie dał się pogrążyć. Począł podwajać skoki i parł piersią, garnął puszysty śnieg przed sobą, co chwila zapadając i wyciskując się przemocą w górę. Chciał masę śnieżną wziąć pod siebie, czynił wysiłki szalone, by się nad nią wydostać, lecz wielka masa puszysta wciągała go jak woda.

Począł nareszcie płynąć...

Nióśł rosochatą głowę jak mógł najwyżej, a nogami przebierał, pruł zasy py rozpaczłą zaiście siłą.

W pewnym momencie obrócił głowę za siebie. Uczynił już tor spory od drzewa... Obaczył swoje dwie siutki, jak się zabrały za nim — lecz osłabłe ustały wnet i musiały się cofnąć.

Przetoruje im drogę podwójnie — wróci po nie. Pewny zwycięstwa, począł płynąć przez polankę dalej. Lecz opór był nadmierny.

Długie godziny uszły, nim dobrnął na środek.

Odpoczął moment i znów ruszył naprzód. Natrafiał na głębiny, w których nogi dna nie dostawały — osuwał się, a oczy śnieg mu zasypywał. Parskał tedy, wyrzucał sobą w górę, brał pod się

puszyste fale — i płynął, płynął, płynął... Na tym białym jeziorze polanki zdawał się jak łódź łykliwa, za którą szlak długi sinieje.

Już przepłynął część większą — już, już skraj leśny niedaleko... Zwycięstwo...

Znowu zapadł na głębi. Śnieg na oczach... Czyni wysiłki okrutne, lecz nie może opanować chłonej go, sypkiej, białej masy. Siły, rozpaczą dobyte, wyczerpały się w przemęce.

Próbuje wrócić — na nic — masa ciężąca nie puszcza, pęta nogi, całe ciało zesłałe w kleszcze zimne zagarnia.

Ostatkiem siły jeszcze wyrzucił głowę w górę — i znieruchomiał w zaspie.

Na drugi dzień ślad już przetoru nie ostał. Zarównało go nocą. Wspaniałe jeno rogi rosochate, uniesione ponad śnieg, świadczyły, gdzie ustał wczora rogacz...

Gdy słońce wyszło nad polankę i szronem osypane latorośle rogów oświeciło, zakwitły cudnie jak z bajki wyjawiony, bezcenny krzew poświęcenia.



## ORŁY

Na baszcie niedzickiego zamku nad Dunajcem, naprzeciw ruin Czorsztyna, gnieździła się para królewskich orłów. Stąd, z tej wysokiej straży nadgranicznej, panowała nad całym Spiszem.

Stąd czyniła wyprawy powietrzne po należną jej z ziemi tej daninę. Nie wybierała jej jednak, podług tradycyjnych wskazań, z okolicznych wsi: aby gniewu i pomsty w sąsiedztwie tak bliskim, co by bezpieczeństwa gniazda zagrażało, nie wywoływać — lecz zapuszczano się jedno lub drugie w swych wy-cieczkach daleko na południe, aż poza Poprad, Kieżmark, Podoliniec, w słowackie niżnie dziedziny, i stamtąd rabowało sobie prawem orlim naznaczo-ny haracz.

W dni deszczowe, zamglone, siadywały w po-sępie na krawędzi baszty i chmurnym wzrokiem pozierając z góry, ostrzem dziobów gładziły na-stroszone pióra. Zaś gdy rano się otwarło słoneczne i granie Tatr Wysokich rysowały się na czystym bez chmurki błękitcie, tedy przestworem pogodnym ciągnione porywały się samolotnie z baszty, wzbi-jały się ku niebu wysoko i nad poniżoną ziemią majestatyczne zataczały koła.

W promieniach ich podniebnego wzroku ziele-

niło się wdzięczną mapą w dole całe ich królestwo spiskie: od sinych murów Tatr po liliowe Pieniny — od niebieskiego zakola Dunajca po lśniącą wstęgę Popradu. Władnym, przewładnym wzrokiem toczyły po swej ziemi, a zasię pagórzysty, z góry zrównany kraj — gdy ponad nim szerokie zataczały kręgi — harniał, zdało się, ich widokiem. Ludzie, pracujący w polu, prostowali plecy swe znad ziemi i słońc oczy dłonią przeciw słońcu, śledzili wzrokiem podziwu ich królewskie zaiste okręża.

— To wej spaniały ptak! — mówili w dumie. — Jak se hań po niebie płynie...

A one płynęły istnie, jak admirałskie przepyszne okręty, po morzu niebios. Płynęły po błękie bez celu, połsniewając w słońcu jak dwa ciemne obłoki.

Nieraz zaś głód je i troska o orlęta młode do kołowania celowego zmuszał. Wtedy odbijały się daleko od gniazda, szybowały utartymi szlaki na południe i tam nad pogórzami, dolinami, nad dziedzinami słowackimi toczyły koła złowrogie, wypatrując z wysoka żywiny. Ludzie tu już nie sławili ich władnych okrążeń, lecz je jak manewry wrogie traktowali.

— O, patrzcie! — wskazywali w górę na kołujące. — Już po podatek przybyły... Już upatrują ra-  
buśniki, co w swe szpony by porwać!...

Choć w rzeczy, co się koło osiedli kręciło — żadna z tego orłom naszym korzyść. Gołębie, kurczęta, kury — za licha to dla ich trudu zdobycz. Tę zostawiały czeladzi swej: jastrzębiom i krogulcom.

Co inszego, gdy się zabieliło na pastwisku kędyś jagnię młode — gdy się ukazał zajęc w polu lub zaczerwienił się lis przemykający — gdy sarnię wyszło na polankę... Wtedy orzeł czy orlica (które z nich koło ponad tym toczyło) ściągało raptem wiechy skrzydeł i strzałą prosto spadało ku ziemi po upatrzony łup. Porywało go w straszne kleszcze szponów i najbliższym szlakiem spieszyło do gniazda z ciężącą w onych zdobyczą. Tu na nią czekały ostre haki dziobów, z daleka się już, przy zbliżającym się znanym szumie skrzydeł, łakomie roztwierające.

Gdy młode orlęta opierzyły się na tyle, że wyrosły im długie lotki skrzydeł, wówczas rodzice wywoływali je z gniazda i zaprawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro już widzieli, że samotne dadzą sobie radę, wtedy wypuszczali je spod swojej opieki. I widać było z pobliza Niedzicy, jak toczyły godzinami na powietrzu koła z oczekującym kwileniem: „U-li! U-li!” — aż je w końcu głód doskwierający do przedsiębiorczości samodzielnej zmusił.

Co rok wylatywało z baszty zamku nowe pokolenie, które zakładało w pobliskich Pieninach, w lasach Felsztyna lub w tatrzańskich turniach swoje wysokie osiedle i mnożyło wyprawami swymi na południe chwałę niedzickich orłów.

I dobrze się królewskiej parze orłowej, nad Spiszem panującej, wiodło. Widziało się, że szczęście, mocnym sprzyjające, na stałe przy niej siadło. Aleć wiadomo, że i panujących ślepy grot losu nie omija.

W jedno pogodne rano orzeł, na którego wpa-

dła kolej zdobycia obiadu, porwał się z poszumem z baszty i popłynął zwyczajem swym ku południowi. Mijały się oczom jego ległe w poniziu, w dole, i w opyli słońca zatonięone pagórza spiskie, doliny — na prawo zaś spiętrzały się w górę ostrymi załomami granicy Tatr i stał samotnie na uboczu groźny cień rzucający Murań.

Przypomniało się płynącemu podniebnie orłowi, jako niedawnym czasem jagnię przysiadł na zboczu Murania. Pies-owczarek zrobił chark, juhasi przypadli — a on je im na oczach w powietrze uniósł.

— Może by zboczyć... Znajdzie się zapewne jeszcze... i byłoby bliżej do obiadu.

W tej myśli odmienił ster w kierunku na zachód i wnet nadpłynął nad ścięte stocza Murania. Począł zataczać koła, wypatrując z góry. Ujrzał na zielonym upłazie owce białe, cały rozsypany kierdel, niby kamyki ruchliwe. Opuścił się w okrążu i śledził je dokładniej lunetami ócz. — Pilnowało je, widział, dwóch juhasów: jeden ciupagę dzierzył w rękę, drugi zaś połyskujący, strzałoñośny kij. Nic sobie nie robił z tego, choć znał te kije zdradliwe — byleby jeno upatrzeć odpowiedni łup... Zoczył wreszcie dwa jagnięta, przyostające po boku. Jedno z nich sobie naznaczył i już miał je na celu źrenicy. Kiedy, kołując coraz wężiej, znalazł się prosto ponad nim, stulił raptownie skrzydła i piorunem szumiącym spadł na nie. W mig poderwał się od ziemi z wiszącym w szponach. Jeszcze nie odbił się w górę, kiedy huk wypadł znięacka i wraz łoskot bolesny przeszył mu skrzydło. Posypały się pióra...

Kiedy huk drugi dobiegł z ziemi, był już z łupem daleko.

Odtąd orzeł nasz szwankował na zdrowiu. Mógł jeszcze unosić się na falach powietrza, ale już niepewnie, chwiejnie, jak aeroplan o zwichniętym skrzydle; o dalekich, zdobycznych wyprawach nie mogło już być mowy.

Cały trud dożywiania orląt spadł teraz na orlicę. Co rano szybowiała ku spichrzom południa i powracała wcześniej, później — nigdy z próżnymi szpony.

Kiedy jednego dnia zabawiła dłużej na południu i wracała do gniazda ze zdobyczą koło śródwieczera, z dala już, nadpływającą, uderzył widok dymu skłębionego nad basztą zamku. Tknięta trwogą, pomknęła chyżo, co sił w skrzydłach. Nie było już wątpliwości: pożar obujał basztę. Ujrzała też poprzez dym latającego w oszaleniu orła, wydającego dziwne skwiry trwogi.

Puściła ze szponów łup i sama wpadła w gęstą chmurę dymu.

— Piskłęta!...

Dojrzała je przez rdzawy dym w gnieździe, które już języki płomieni muskały. Wydała krzyk krótki, ścinający krew i na ślepo rzuciła się ku nim... Chwycić je w szpony i wyrwać w górę z otoczy płomieni było jednym — ponad śmiercią — mgnieniem. Zaskwierczały pióra od gorąca, żar oczy skrwawił. Nic to — przebiła się już z nimi przez noc dymu, wyniosła je na powietrze i opodał w lesie na mchu wilgotnym złożyła. Stwierdziła

w szczęściu, że żyją. Oczadzone dymem i gorącym chłód powietrza otrzeźwił.

Zleciał też ku nim orzeł-inwalida. Dużo było milczącej powieści. — Po naradzie krótkiej zabrali pisklęta razem i przenieśli je za Dunajec do ruin Czorsztyna. Tu założyli na nowo osiedle. Stąd starostują dalej nad ziemią spiską.

## DYZMA W BETLEJEMIE

Dyzma, odkąd zapamiętał, to jest od dziecka-sieroty, pasterzem był cudzego dobytku. Ostatnio w latach starszych na juhasa się najmował i pasał owce na halach. Po rodzicach swych nic w spadku nie dostał, jako że był w rozumie ułomny. Przytulisko miał jednak u siostry zameężnej, która grunt odziedziczyła. Póki siostra żyła, było Dyzmie znosić, ale gdy ją Bóg zabrał, a szwagier ożenił się wtórnie, o Dyzmę nikt się nie zatroszczył. Dobrze jeszcze, że go pod dach na zimę przyjmowali.

I zestarzał się Dyzma, pasając ludzki dobytek, a niczego się przez tyle roków nie dosłużył. Miał jeno pieska, co mu za całe stał mienie. Wołał na niego: Wiernuś. Była to mała kudłata, bardzo zmyślna psina. Wierny był, to już nie ma co powiedzieć. Chodził za Dyzmą wszędy, na krok go nie odstępował, nosił za nim kapciuch, serdaczynę — służył mu wiernie — jak on ludziom.

Z latami Dyzma na piersi zapadał, nogi poczęły mu ciężyc i za owcami chodzić prędko nie mógł. Ale przed ludźmi nie narzekał. Wiernusiowi się jeno uskarżył, który mu też pomagał nawracać owce.

Zimy w komórce przy szwagrze przepędzał. Czy

tam chorował, czy nie, nikt się o to nie spytał. Co-raz też bardziej przykrzył mu się żywot.

Jeden miał Dyzma tydzień w roku jasny: święta Bożego Narodzenia. Gdy się zbliżały, już się naprzd cieszył, gorączkowym spodziewaniem je wi-tał. Były to przecież jego święta, pasterza. Nic on nie umiał, do szkoły żadnej nie chodził, nauk, przy-kładów katechizmowych ni modlitew nie znał — umiał jeno z pamięci kolędy. Jakoś łatwo, z powie-trza ich się nauczył. Bo też tam prawie wszystko w nich, co znał i rozumiał, co mu było bliskie i zna-jome.

Pasterze bieżeli,  
Gdy głos usłyszeli...

To na pewno ci pasterze, co paśli przed nim na hałach. O nich w kolędach stoi. Cała ta historia prawdziwa: jak w kolebach swych posnęli, a tu się ogień na niebie pojawił; jak się ze snu pozrywali, pytają: „Co sie to pali?” Aż ci wielka gwiazda sta-nęła nad nimi i zawiodła ich prosto do stajenki. Gdzież to ta stajenka być mogła?

W Betlejem przy drodze  
Jest zła szopa srodze...

O Betlejemie słychował, że miało być gdzieś da-leko, w żydowskim kraju. Ale owa „zła szopa” mu-siała być tu gdzieś blisko, przy końcu wsi, skoro „pasterze do niej przybieżeli” w tę samą noc.

Narodził się w stajni  
Jezus ubogi...



O Bogu Dyzma mgławce miał pojęcie, wiedział jeno, że to wszechmocny Pan, do którego on, biedny owczarz, bał się i nablizać; w kościele nie śmiał iść ku ołtarzowi, stawał poza wszystkimi innymi, przy samym progu. Ale ten „Jezus ubogi”, co się narodził w stajence, przyośmielał ubogiego Dyzmę, iż z całą ufnością w upośledzeniu tym swoim by się Mu oddał. A jeszcze gdy wyobraził Go sobie jako leżącą na sianku Dziecinę, to już tajał cały w sercu i łez słodkiego rozczulenia nie mógł powstrzymać.

Kolędy prznosiły Dyzmę w jakiś świat lepszy i prostszy. Podczas całych świąt chodził jak w błogim śnie. Widzieli mu się ludzie wszyscy dobrzy, bratni wszystkiemu i przyjaźni. I cuda, w innym czasie od ziemi dalekie, zdawały mu się w tym czasie możliwe.

I raz w tym nastroju przyszło mu do głowy, że się może znowu Betlejem i owa stajenka z Dzieciną przybliży i że się może na oczy biednym pasterzom okaże. Skoro tamci z kolęd ją widzieli, czemuż i ci, dzisiejsi, nie mogliby jej widzieć? Aż mu od tego zamarzenia serce radością trwożną podskoczyło. Tedyby i on, Dyzma, dostał tego szczęścia, żeby się mógł pokłonić Jezusowi-Dziecinie w stajence. Juścić nie z próżnymi rękami by poszedł. Jak to ta kolęda... co to ze sobą przynieśli:

Jędrak kopę siana,  
Łukaszyk barana,  
Dyzma oszczypków parę —  
Dziecinie na ofiarę...

Wyraźnie: Dyzma... Dyćby i on oszczyпки... Czyby to już naprzód mieli o tym śpiewać? Aż się wstrząsł cały. Cud go przeszedł. Uwierzył, że to się stać może. Jak rychło, trudno zgadnąć, ale się stanie.

Myśl ta już go nie opuściła. Czasem słabła, czasem się jaśniej zaświecała, ale w nim trwała. Przyduszały ją chłody i głody, jakie podczas zimy długiej, w komórce u szwagra mieszkający, znosił; na halach, przy owcach wyzwałała się znowu — a już na adwencie, gdy święta się przybliżały, przemieniała się w gorączkę oczekiwania.

Za paszenie przez lato otrzymywał on w zapłacie oszczyпки. Otóż wybierał z nich najładniej ubryzowane, najpiękniejsze, i kładł je na wysokiej półce pod tragarzem, aby się dobrze do tej chwili czekanej zachowały.

Przed wilią stroił się, jak mógł najlepiej. Włosy przystrzygał, onuce prał, płaszcz stary łątał, by się jak najprzystojniej w stajence śnionej okazać. W noc pierwszą święta nie spał wcale. To do okna, to na niebo co chwila pozierał: światła, wezwania czekał. Gdy noc minęła, powiadał sobie w duchu: „Jeszcze nie czas... Na drugi rok się stanie”. A bywało, nocy dalszych — gdy światło gwiazdy w okno uderzyło, gdy muzyka się ozwała i słowa kolędy:

Nie wie kto z was, mili bracia,  
Co to były za dziwy?

zrywał się z wyrka swego i dygotał cały, choć już poznał, że to kolędnicy.

A im dalej w lata zachodził i słabnął, tym goręcej nadzieję tę żywił.

Aż przyszło owe Święto Narodzenia...

Dyzma leżał na wyrku w stajni. Tam go, jako chorego, mającego wnet umrzeć, wyniesiono. Zresztą cieplej mu tu było przy oddechach bydłęcych, bo zimnica go trzęsła.

Dyzma leżał w gorączce, ale pamiętał przecie, że to dziś wilia. Kazał też sobie, gdy gospodyni była w stajni doić, oszczypków parę przynieść z komórki swej i miał je w pieczy na wyrku — resztę zato zlecił gospodarzom. Wiernus leżał zwinięty przy nogach jego.

Nadszedł wilijny wieczór. Wieczereż jedzono w domu i łamano się opłatkiem — o Dyzmę w stajni któż by się kłopotał? A on, ciężko na wyrku swoim oddychając, radosne w sercu miał myśli. Czuł, że się dziś ów cud, długo czekany, spełni. Wyzierał go całym nastrojeniem duszy. Opar gorączki silnej wraz z mrokiem nastającym zasnuwał z wolna jego zmysły, iż mżec począł półsennie. Trwał w mżeniu chwile długie, aż północ się zbliżyła.

Naraz ocknął się Dyzma. Cóż się to dzieje? Jasność niezwykła uderzyła w jego oczy. Słyszcy muzykę niebiańską... Pojrzy na wnętrze stajni — a tu stajnia odmieniła się do cudu. Wszystko się zasrebrzyło naraz, zazłociło — pajęczyny wiszące u powały stały się obłokami, spoza których migają się w świetle główki aniołów. Widzi... ze drzwi otwartych przez próg sypią się owce — jedna za drugą... poznaje te, które pasał — cały ich kierdel, o wełnie w blasku srebrzonej, wpływa do wnętrza... pokle-

kały. Aż ci oczy go wiodą ku żłobu — ku miejscu, skąd światło bije — i widzi na złotym sianku Jezuska, jasną Dziecinę...

Zbiera się co prędzej z wyrka, bierze w trzęsące dłonie dwa serki, złazi na ziemię i drżąc na całym ciele, a przeciskając się przez gęstwę klęczących owiec, zbliża się do żłobu-słonka. Tu pada na kolana i oszczyпки dwa u stóp Dzieciny kładzie.

— Jezusku! Jezusieńku! — tyle ino wydoła powiedzieć.

Śmie podnieść wzrok — i widzi: Dziecina doń się uśmiecha.

Tedy już Dyzma nie może błogości w serce napłynionej przenieść. Traci się w niebie spełnionym.

Skoro przyszedł ktoś rano do stajni, zastał Dyzmę na wyrku martwego. Radość miał w twarzy, jakiej nikt u niego w życiu nie widział. Usnął w Betlejem pasterz Boży. — Wiernuś go oplakiwał.

## PRĘDKI MICHAŁ

Dla Michała spod Gronia czas nie miał znaczenia. Co dziś zamyślił, to się na pewno po latach musiało zrobić. Chyba żeby się nie zrobiło. Jako i z tą świetlicą... Lecz o tym trzeba z kraja opowiedzieć.

Michał, gospodarz niebiedny i niestary jeszcze, od roku mieszkał w nowym domu. Dom, jak zwyczajnie, miał dwie izby, przedzielone sienią. Michał jednak mieścił się z całą rodziną tylko w jednej izbie, zwanej piekarnią; druga, świetlica, stała dotąd nie wykończona. Brak w niej było okien, drzwi, pieca i podłogi.

Ile razy Michał przechodził przez sień i pozierał na rumowisko w otwartej świetlicy, tyle razy postanawiał w duchu:

— Trzeba będzie pomyśleć o wykończeniu.

Ale wciąż coś zachodziło — jak nie to, to tamto — czas ubiegał i rzecz się oddalała. Rok drugi minął i trzeci, a świetlica stała — nie skończona.

Mieszczącym się w jednej izbie było zaiście ciasno. Latem jeszcze jak latem, dzieci szły w pole do robót, drzwi się otwierało — ale zimą, gdy się wszyscy w izbie gromadzili, do tego kury, króliki, czasem cielę — jak to w większym gospodarstwie bywa — nie było się istnie gdzie obrócić. Gość jaki

gdy się nadarzył, nie było go zgoła gdzie usadzić. Cóż dopiero, gdy nadszedł czas, kiedy ksiądz miał chodzić po kołędzie. Michałowa ze wstydu pod ziemię chciałaby się schować. Wtedy też Michał miał za swoje!

— Twoja to wina — krzyczała do męża — że ja przed księdzem muszę czołem świecić. Jakże osobę duchowną w takim chlewie gościć! Świetlica dawno mogłaby być gotowa. Ale tyś zawdy prędki.

Michał w pokorze zwieszał głowę, czuł przecie, że żona ma słuszość. Łagodził ją też słowami:

— No, dejże spokój. Już ja się do tego wezmę, jak jeno kołеды przejdą.

Ale czas kołęd i postu minął, przyszła wiosna, z wiosną znów roboty pilne, potem sianokosy, zniwa i rok, jak amen, uleciał. Świetlica, jak stała nie wykończona, tak stała.

Zdarzyło się w pewnym czasie, że któryś z panów z powiatu, bawiąc na komisji w okolicy, przechodził mimo domostwa Michałowego. Bardzo mu się położenie domu spodobało.

— Co za widok stąd macie! — pochwalił. — Moglibyście mieć mieszkańców na lato, jeno wykończcie świetlicę. Za czynsz z jednego lata kosztą się odbiją. Gospościa przy tym może sporo groszy zarobić na miejscu za mleko, jaja, które swym gościom dostarczy.

Zwidziała się ta rada Michałowej.

— Musisz raz wreszcie świetlicę wykończyć — oświadczyła stanowczo mężowi.

— Ja też tak myślę — odrzekł zgodnie Michał. —

Czas już najwyższy, by zabrać się do tego. Jenó deski trza naprzód przystroić...

Miał Michał swój las przy gruncie. Zdobył się na to nareszcie, że upatrzył dzień w tygodniu, przynajął chłopą do siebie, poszli do lasu i drzewo na deski ścięli. No, dobrze. Trza było teraz drzewo to obrobić, zepchnąć ku drodze i zawieźć do tartaku. Na to już Michał nie mógł się tak rychło zdobyć. Myślał po prawdzie o tym, by zaczęłą robotę dokończyć, ale zawdy coś mu przeszkadzało.

Pół roku uszło, nim się Michał mógł zabrać do obróbki drzewa, i znowu drugie pół roku, nim je na drogę zepchnął. Tam i zostało. Leżało wprawdzie na głowie Michałowi, i nie raz, nie dwa pomyślał: „Trzeba to drzewo do tartaku zawieźć”. Ale wciąż coś zachodziło, czas ubiegał, drzewo na drodze gniło. I świetlica stała — nie skończona.

A tu w piekarni stawało się coraz ciaśniej — dzieci podrosły — dawniej troje i czworo drobiazgu wyspało się na poprzek na łóżku, teraz trza było więcej pościeli sposobić. Bywało, że Michał sam nieraz na podłodze się ułożył, serdak pod głowę jeno podścieliwszy. Gdy mu ta poniewierka dokuczyła, nieraz nocą westchnął:

— Już ja muszę tę świetlicę skończyć...

Ale w świetle dnia ten mus się rozwiewał: I miął tak miesiąc za miesiącem, rok za rokiem — świetlica stała — nie skończona.

Ludzie, patrzący na to jego zwłóczenie z robotą, ukuli nawet przysłowie: „Prędki jak Michał spod Gronia”.

Świetlica zresztą, tak jak stała, bynajmniej nie

próżnowała. Latem składano w niej potraw, jesienią len, grochowiankę, ku wiośnie zawierano do niej kózki i jagnięta, a przez rok cały służyła za skład sprzętu gospodarskiego.

Co Michałkowi trudno, to Michałowi jeszcze trudniej. Lata szły, dzieci dorastały — w kości Michała z wiekiem napływała coraz to większa ociężałość. Pozierał na świetlicę:

— Trzeba by dokończyć...

Ale już nie miał wiary, by to zrobić.

— Dorośnie syn, to izbę dokończy.

Gdy syn dorósł, nie było już co dokończyć. Świetlica bowiem zgniła.



## PRZYGODA WOJTUSIA

Marcin Orawiec, gazda z Bukowiny spod samych Tatr, zwołał w jedno przedpołudnie — było to akurat w sierpniu — syna swego Wojtusia, który uganiał po obejściu, i rzecze:

— Czybyś ty, Wojtuś, nie zaniósł soli owcom na szałas?

— Czy ja to raz tam byłem? Zaniosę.

— I ser zdałoby się ze szałasu zawziąć.

— Coż bych nie uniósł — odrzekł Wojtuś nie dbale jak parobek — uniosę.

Miał lat dwanaście dopiero, ale niósł się za znacznie starszego.

Skoczył do izby i w mig się zaodział. Kapelusz z kostkami, ciupażka w ręce — parobczak. Ojciec przewiązał mu sól przez plecy, by mu lżej było, i napowiadał, jak ma iść, któredy.

Wojtuś już nie dosłuchał — tak go uciecha gnęła. Kiedy się go po drodze ten czy ów zapytał:

— Gdzież to tak, Wojtuś!

— Na szałas — odpowiadał z przechwałą.

— Cobyś się zaś z niedźwiedziem w drodze ka nie spotkał — doleciało go żartobliwe.

— Nie boję się! — potrząsnął ciupagą.

Wnet minął pola wsi, zadał się za drogą w regle, o śródwieczerz był na Łysej Polanie. Szałas, gdzie

mieli owce, stał przy Pięciu Stawach. Wojtuś znał stąd do szłaśu dwie drogi. Jedną popod Wołoszyn, ścieżkami, drugą za szosą do Morskiego Oka, potem w górę koło Wodospadów. Tą też się udał.

Prawie słońko zapadało, kiedy doszedł Wojtuś do szłaśu. Z koleby dym się wyciągnął, juhasi zganiłi owce ku dolinie. Przy koszarze stała gromadka chłopów, żywo coś rozprawiająca. Zbliżył się ku nim Wojtuś.

— Tu się włamał — pokazywał baca — tam się owce zbiły w strachu i byłyby się wytraciły... Ale psy zrobiły hałas, toż to my wartko wypadli...

— Nie ubił żadnej?

— Nie miał czasu.

— A szkoda duża?

— Trzy owce w ścisku się zdusiły.

— Ho, to pół biedy — ale to haman mocny, na taki koszar wysoki...

— Ba! łapą machnie i płot jak trawę położy.

— Któż to tak? — zwrócił się Wojtuś niepewnie do najbliższego z chłopów.

— Dyc słyszysz, chłopcze... niedźwiedź.

Wojtuś się zdumiał bardzo. Słychował o tym niedźwiedziu, ale tak jak w bajce dalekiej. Aż tu raptem..

Baca zawrócił ku kolebie. Podszedł doń Wojtuś strwożony.

— Kiedy się to, chrzesnyojce, stało?

— Tej nocy. A czyjżeś ty?

— Orawców z Bukowiny. Przyniosłech sól.

— Dobrze, chłopcze. Podź dalej.

Chłopi też szli, gwarząc o wydarzeniu. Wyszli

tu, mający owce na szalasio, jak i Wojtuś; to ze solą, to po ser — i na taki interes trafili. Że już się zmierzchno, pozostali wszyscy na noc w kolebie. — Baca dołożył drew do ognia. Chłopi posiedli dookoła watry i gwarzyli. Juhasi poszli ze psami po wieczery nocować przy koszarze. — Juścić nie o czym innym była gwara, jeno o niedźwiedziu.

— Nie trafiło się już dawno — mówił baca — żeby statek w koszarze napastował. Jak przed kilkoma rokami to było na hali Skupniowej, odtąd się na żywiny nie zrywał. Widywali „go” tu i tam, ale o szkodach żadnych nie słyhać przecie było. No i widzisz, przypomniał se.

— A czy on owce je? — spytał nieśmiało Wojtuś.

— Najradziej krew gorącą chłepce, a mięso — to jak nie ma co gdzie naleźć, jak śnieg popadnie na wczesnej jesieni. Bo zimą to on śpi. Zrobi se jamę pod skałą albo pod wykrotem, wyściele cetyną, mchem i tam sie uклада. — Na wiosnę po długim pōście to naprzód lekōw próbuje: pije wodę zrzędziałą spod smrekōw, glon łyka, na goryczce się poza kosodrzewiem pasie — tak, mówię wam, przegorzknie, jakby piolunem abo żółcią przeszedł. A latem to na owies sie ku wsiom wyprawia, to jagody rozmaite po wyrębach zbiera; bardzo rad je bruśnice, borōwki, a i jarzębinę.

— A czy na człowieka porwie sie, jak sie z nim spotka? — pytał Wojtuś.

— Ba...! lepiej sie nie spotykać — zaśmiał się krōtko któryś z gazdōw.

— Juścić bez bronii z nim się zejść niebezpiecz-

no — a z lada jaką flintą jeszcze gorzej. Groźny to dzwierz i w gniewie okrutny. Lepiej się z nim nie spotkać. Na szczęście do rzadkości dziś należy. Dawniej, jeszcze za mojej pamięci, było ich w Tatrach dość. Ale to strzelcy nasi pomału wytępilli. Czasem ta przyjdzie jeszcze z którejś strony, jak i ten dziś — ale się długo nie uchowa.

Gwarzyli jeszcze to i owo, wreszcie sen ich począł napastować. Pokładli się, gdzie kto mógł, i posnęli.

Wojtuś długo nie mógł usnąć, do żywego wypadkiem zdarzonym i opowiadaniem bacy wstrząśnięty. Gdy go sen wreszcie zmorzył, już świtało. Wnet ludzie poczęli się kręcić, juhasi stroili skopce do podoju, gwar się wywinał.

Słonko już było nad wierchem, kiedy Wojtuś, uczestwowany przez bacę żętycą i obdarzony serem, zabrał się z powrotem.

Postanowił wrócić inną drogą, popod Wołoszyn. Kiedy się ujrzał na powietrzu wobec słonka jasno świecącego, wydało się mu wszystko, co słyssał wczora o niedźwiedziu, wierutną bajką. Huknął w głos i echo trzykrotne mu odpowiedziało. Gwiżdżąc sobie pod nogi, zbiegał wartko na dół ku roztoce. Przeszedł pobok i zadał się w ubocz pod Wołoszyn. Ścieżka prowadziła przez stocze na ukos. Wojtuś rwał śmiało naprzód, znał bowiem drogę tę dobrze. Gdy już był w połowie zbocza i miał się opuścić na dół, przystanął nieco, by odetchnąć. Obejrzał się za siebie, spory już zrobił kęs drogi. Słonko zbliżało się już ku wierchom południa. Miał zamiar usiąść, by się pokrzepić serem, kiedy do-

biegł go szelest spod stóp z dołu i dziwne jakieś mlaskanie. Co by to mogło być? Wpatrzył się uważniej na dół — rosły tam borówniaki i kępy kosodrzewiny... Nic nie mógł dojrzeć inszego. Szelest się znowu powtórzył tak już jakby przesuwanie się wołu przez krzaczyny. I wraz spoza kępy kosodrzewiny wychyliła się postać dziwna: jakby w burym, na wierzch wełną zwróconym kożuchu... Obróciła ku niemu łeb — i wtedy Wojtuś zmiertwiał w strachu: poznał, że to „on”, niedźwiedź... Uciec — jak? którądy? Cofnął się i widząc ścianę za plecami, począł prędko wspinać się po niej ku górze; palcami chwycił się gzymsów, pazury wpijał w wydrążenia, czepiał się lada ostrości, wisząc prawie w powietrzu i całym wysiłkiem, całą wolą, popędzaną lękiem, darł się po ścianie w górę. Gdy wreszcie nad krawędź ściany się wydobył, padł zeszłąbły na ziemię. Po malučku jął głowę zwracać ku krawędzi i ośmielił się wreszcie spojrzeć na dół. Co zobaczył w tej sekundzie, wstecz go cofnęło. Oto niedźwiedź stał na tylnych łapach tuż pod ścianą i przednimi próbował się wspinać. Sto myśli naraz, coraz to groźniejszych, przeleciało Wojtusiovi przez głowę. Ale to jedno go jeszcze pocieszało: że niedźwiedź prosto do niego po tej ścianie nie wyjdzie. Nie da rady. I w rzeczy, gdy za chwilę znów odważył się wychylić głowę, ujrzał, jak niedźwiedź szedł, obwąchując ścieżkę, wzdłuż ściany w tamtą stronę, skąd Wojtuś przyszedł. Zamierzył widać obejść ścianę od zachodniej strony.

Wojtuś nie miał co czekać. Jeszcze raz sprawdził oczami, czy niedźwiedź dalej w tę stronę po-

dąży, po czym zerwał się na nogi i począł biec, okrążając górą ścianę, ku wschodniej stronie, to jest na szczęście ku drodze do domu. Skakał po głazach, przesadzając wyrwy i szczeliny, i jak sarn wypłoszony jeno migał się w uboczy. Jeszcze trzymał się górą, bojąc się ku ścieżce zniżyć — aż gdy już pomiarkował, że jest dość daleko, wtedy wziął się na dół, ku roztoce. Nie spoczął jednak w biegu, aż do drogi jezdnej dobiegł — ku Łysej Polanie. Tedy upadł na trawę i długo sercem osłabionym dyszał. Iść by mu było trudno dalej, tak się uleciał. Szczęściem nadjechał znajomy chłop z Bukowiny i zawziął go na furę.

Po drodze myślał Wojtuś: Czy mu też uwierzą w domu?... Czy go pochwalą, czy skarżą?... Ciupaga i ser zostały pod ścianą, gdzie się wspinał. Ciupagę może najdzie — ale szkoda, że sera do domu ojcu nie doniesie. Pewnie go niedźwiedź zjadł. Niech się najel

## JĘDRUŚ NA WESELU

W mięsopuście tej zimy dużo było wesel w Poroninie. O tym też jeno, z kim się kto żeni lub za kogo wydaje, była po osiedlach gwara. Udzieliło się to i nieletnim. — Jędrus Chowańców z końca wsi, który poszedł do kółka po naftę, wpadł do izby z podnieceniem, mówiąc:

— Ujkowa Hanka od Stochów wychodzi za Galiczaka.

— Też nowina! — zaśmiała się siostra. — Dawno o tym z zapowiedzi wiemy.

— Ale o tym nie wiecie — oznajmił z przechwałą — że ślub ma być pojutrze i że mnie Hanka na družbę pytała...

— Ciebie, družba, a tu jeszcze koło gęsi służba — zakpiła z niego siostra.

— Tobie zazdrość, że cię nie pytali — odciął się Jędrus, dotknięty w honorze. Miał już przecie czternasty rok i sam owce przez lato na hali pasał.

Żartobliwe słowa Hanki: „Przyjdiesz mi, Jędrus, na družbę!” — wziął syn honorny Chowańca zupełnie poważnie i dopiero przycinek złośliwy starszej od niego Karolci nawiódł mu przypuszczenie, że to mogło być „ze śpasu”. Mocno go ta myśl bolała. Wprawdzie po cichu już odzienie stroił, ale

nie wiedział sam dobrze, czy na wesele ma się zbierać, czy nie, no i czy mu też rodzice pozwolą.

Wybawiła go z tej niepewności sama ujkowa Hanka. Przyszła bowiem na drugi dzień prosić na ślub rodziców i siostrę i za Jędrusiem wstawiła się, by mu nie bronili.

— Przecie to mój mały družba — pogłaskała go dłonią po licu.

— Ja mały? — stanął przy niej. Był isticie o pół głowy wyższy.

— Ho! ho! chłop aż pod powałę! — śmiała się ujkowa Hanka. — Ino mi nie zrób zawodu i przydź na wesele.

— Dyc on już na to wesele od tygodnia się stroi — poparła z uśmiechem matka. Ojciec się też nie sprzeciwiał.

Tedy już Jędrus bez obawy jął się na družbę szykować. Kiedy rano w dzień ślubu się ubrał: kerpiotki bryzowane obuł, portki obcisłe, białe, pięknie wyszywane, i koszulę cienką, w gwiazdki na przodzie haftowaną wdział, czerwony serdaczek włożył, czuszkę nową, białą jak śnieg, przewiesił przez ramię i wstążką ją szeroką związał, do tego kapelusik z białymi kostkami i bukietem — matce aż oczy zaśmiały się ku jedynakowi.

— Dyc-eś już telo strojny, co cud.

— Coby się zaś ksiądz nie zmylił — pokpiwała siostra — i nie wziął cię przypadkiem za pana młodego.

— A ciebie za panią młodą — oddał bez urazy Jędrus.

Bo też i siostra Karolcia wystroiła się do cudu:



w buciki żółte, wysokie, w spódnicę sutą z kwiatami, w gorset świecącym szychem zubierany, w koszulkę w drobne ząbki haftowaną i w korale matczyne; chustę barwną z frędzlami narzuciła na ramiona, do zwiniętych na głowie warkoczy wpięła różyczkę z bukietu.

Nadjechali dwaj druźbowie na koniach. Konie przybrane w pęk zwisających aż do ziemi wstążek i oni strojni w bukiety i wstążki przy czarnych czuchach. Pokłonili się rodzicom, przepili winem do nich, pięknie ich do kościoła prosząc, i do dalszych osiedli pomknęli.

Jędrus tymczasem zaprzęgnął konie do sanek i różdżki białe, wysokie jak wiechy umocował na wierzchu chomątów, pas dzwonek po boku przypiął. Wyszli wnet ojciec z matką, świętalnie ubrani — on w czusze gazdowskiej czarnej, ona w serdaczku z rękawami i chuście ciemnej. Wsiadli w sanki, Karolcia naprzeciw, Jędrus powoził.

Zajechali przed osiedle Stochów. Tu już stał szereg sań, a wciąż nowe z gośćmi dojeżdżały, łącząc się w sznur wyciągnięty na białym gościńcu, aż radość było spojrzeć. Konie pozdobierane, różdżkami ponad głowy wysoko trzęsące — sanki co które to wydziwniej i ładniej rzeźbione — a w każdym z nich bukiet strojnych gości o różowionych i rozśmianych twarzach. Wesela dodawało jasne słońko, nad wierchy Tatr wytoczone, i śnieg błyszczący dokoła.

Wyszła z osiedla panna młoda, w wianku mirtowym na głowie, wsiadła z druźnami do sanek w białe zaprzężonych konie — do drugich znów

wsiadł pan młody z drużbami, konni drużbowie pomknęli na czoło. Zadzźwięczały dzwonki — muzykanci zagrali ogniście i cały orszak weselny ruszył do kościoła.

W powrocie już pan młody jechał z panną młodą, za nimi druhny i drużbowie, muzykanci i goście. Pierwsze sanki zatrzymały się przed domem, za nimi dalsze. Wysiedli państwo młodzi i drużbowie, chcą wejść, a tu tymczasem płot cudem wyrosły zagradza wejście. Przy płocie stoi dziad siwy, brodziały — jak się później okazało: brat panny młodej, przebrany — i poczyną się z panem młodym przemawiać.

- Kto staje u wrót zagrody?
- Pani młoda i pan młody.
- Lecz widać tu ludzi wiele.
- Bo z całym przybyli weselem.
- A może dom pomylili?
- Tu są, gdzie ich zaprosili.
- Za ciasne izby ze sienią.
- To się ściany rozprzestrzenia.

I tak się ze sobą dalej przemawiali. Dziad nie puszczał.

Na to drużbowie przypadli, dzwoniąc w kieszeniach pieniędzmi:

Damy dużo srebra, złota,  
Ino otwierajcie wrota!

Nic to nie pomagało. Podeszli gazdowie, mówiąc:

Idzie oto grajek boży,  
On nam tu wrota otworzy...

Jakoż ukazał się zza węgła chaty kobziarz stary, grający na swej kobzie staroświecką nutę. Jakby pod zaklęciem tej muzyki płot się uchylił — i kobziarz wkroczył w obejście, a za nim weselnicy.

W progu ojcowie witali wchodzących, zapraszając z ukłonem do środka. W mniejszej izbie, świetlicy, zasiedli koło stołów gazdowie starzy i kobziarz między nimi.

W drugiej izbie, za sienią, skrzypce i basy już się odezwały. Młodzież się tam zgruchnęła; pełno było we drzwiach, pod ścianami, kilka par już tańczyło.

Znalazł się tu i Jędrus. Muzyka go aże podnosiła. Czuł, że coś musi na wstępie pokazać, co by go bez sprzeciwów do stanu družbów wkupiło. W pewnym momencie, kiedy zauważył, że ujków Józek, družba na schwał, kończy z druwną swą taniec, zrzucił z ramienia czuszkę, podbiegł doń i kapeluszem się nisko przed nim skłonił. A skoro ten mu z uśmiechem ustąpił, skłonił się Jędrus druwnie, stanął przed muzyką, wrzucił złotówkę do skrzypiec i pod nogi zaśpiewał:

Powiadają, że ja mały,  
A ja družba okazały...!

I obrócony ku druwnie, począł koło niej cyfrować stopami. Z nagła przytupnął — obrócił się jak wicher z druwną parę razy i znów z miejsca przeszedł w cyfrowany. Głową nosił się wysoko, jak świeca wyprostowany, a nogi same chodziły mu, drgały, jakby kości w nich nie miał. Czasem, nie

schylając się, uderzał dłonią o piętę, jak tancerz zawołany.

Z ciekawością się mu przyzierało. Słyszeć się dały wokół ścian szepty:

— Patrzcie... Chowanec młody... jak tańczy!

Jak dym biły mu w głowę te pochwały. Na zakończenie kunsztownie się w powietrzu okręcił, tupnął mocno o podłogę, skłonił się druhnie i odszedł. Idąc do sieni, dumnie spojrzał na stojącą w drzwiach siostrę Karolcię. Czuł, że się tym wystąpieniem do honornego stanu družbów wkupił.

## PRZĄDKI

Już to do wdowy Tyrałowej w Rabie najradziej schodziły się sąsiadki z kądzielą. Tyrałową lubiano powszechnie, przy tym izba u niej była duża, lampą widną, a nie kagankiem oświetcana — przyjemnie im też schodziły długie wieczory zimowe na tych posiadach spółnych i pogwarce.

Czasem przychodził chrzestny ojciec, Biały — tak przezwany, bo miał głowę jako śnieg bielutką, czasem i młodzi Parowie z muzyką; z posiadów wtedy robiła się miła wieczornica.

I dziś, że to przy sobocie, spodziewano się ich przyjścia. Tymczasem prądki posiadały szerokim półkolem w izbie, by sobie wzajem światła nie zasłaniać, starały się pilnie posuwać robotę. Starsze gazdynie siedziały razem, bliżej pieca, przy nich też przędła Tyrałowa; dalej rzędem młodsze gospodynie, a po końcu skupiły się, mające wciąż śmiech na zwołanie, dziewczęta.

Przeważnie przędzono kądziel na wrzeciono, choć kilka przędło taki grubszy len na kołowrotkach. Niekiedy podnosiły się głośne rozmowy od pieca, niekiedy chichot dziewcząt wzbijał się pod powałę — to znowu zapadało na chwilę milczenie i słycać jeno było w izbie szum kołowroteków

szybkich, furkot rozpuszczonych wrzecion i szelest lnu z kądzieli wyciąganego.

Jedna z gazdyń odłożyła na ławę wrzeciono, ociężała już nićmi, i sięgnęła po nowe.

— Patrzcie — wskazała Tyrałowa — żadna z nas nie dorówna kumosi Króźlinie. Już ma wrzeciono pełne.

Króźlinę pogłaskała pochwała takiej osoby.

— Ho! Dawniej, z młodu — rzekła — mogłam z niejedną prządką zakład wygrać. Ale dziś już oczy nie dowidzą.

Tyrałowa wzięła do rąk jej odłożone wrzeciono:

— A przecie widzę, przedzicie jeszcze wrzeciono tak cieniutko i równo, że nie wiem, która by to z młodych potrafiła.

Podążyła dalej do oglądu...

— Przy takiej przędzy knapka niewiele będzie mieć trudu — osądziła insza.

— To już moje zwyczajenie — tłumaczyła się radośnie Króźlina. — Nikto mnie, mogę się pochwalić, w cienkim przedzeniu nie przeszedł. Nieboszczyk ksiądz pleban, niech z Bogiem odpoczywa, zawsze mnie jednej len dawał prząść na bieliznę kościelną. Tak cienkie łokcie musiały być, że pięć się w dłoni zamknęło. Przędło się wtedy łokieć po 10 centów.

— Licha to była zapłata — rzekła któraś.

— Pewnie, nie opłacało się, ale przedło się, bo była ochota. Łokieć jeden, nie więcej, uprzedło się za dzień.

— Też to — przyświadczyła Tyrałowa. — Moiście, jakby tak porachować wszystko — i czas,

i roboty, cały zachód, jakiego len wymaga, nim się te kilkadziesiąt łokci płótna zrobi...

— Hej! — przytaknęły wszystkie i jęły wspólnie, jedna przez drugą, rachować.

— Naprzód siemię, co by było czyste, bez wylubu...

— Pod to niejałowe pole, najlepiej, żeby koni-czysko...

— Na to poprawa popiołem albo zułkami...

— Potem, jak len odrośnie, plewienie...

— Potem wybieranie...

— Moczenie w stawku albo roszenie na łące...

— Potem suszenie...

— Rachwanie z główek... tłuczenie...

— Potem międlenie... czesanie...

— No, a przędzenie samo...

— A tkanie?...

— A potem bielienie? Najwięcej ze lnem robót.

— Może się to i nie opłaca — zamknęła Tyrałowa — ale nie róbmyż, nie będziemy mieć.

Znowu milczenie na dłużej wśród gazdyń zapadło; dziewczęta za to chichotały, zwierzając sobie po cichu swoje sekretne sprawy.

Z sieni dobiegły kroki i kaszel znajomy.

— O! Chrzesnyociec idą!

Wszedł do izby chłop o białej głowie, aż widno się odeń uczyniło. Witał się koleją z gazdyniami, gdy dziewczęta, podchodząc, całowały go po rękach.

— Siedźcież, siedźcie — mówił dobrotliwie — nie przerywajcie se.

Sam usiadł ciężko na ławie, wyjął fajkę z z nadrza, zakurzył, po czym zwrócony do gaździn:

— Cóżecie tu uradziły? — spytał.

— Radziłyśmy, chresnyojce, o tym, kielo to zachodu daje len, nim się te parę łocki płótna zrobi.

— Pewnie — przytaknął — nic nie przychodzi samo, bez zachodu. I ze lnem też niemała mitręga. Ale co by kobiety robiły? — rozśmiał się — jak i zimą...

— Znalazłyby se zajęcie insze.

— Teraz też — prawil — nie ma co narzekać, bo dużo mniej lnu się siewa. Dawniej kobiety miały ze lnem uwijaczki więcęj, a nie krzywdziły se. Bo to był cały ich strój. Jak wełna chłopu, tak znów len kobiecie. A cóż kobieta dla stroju nie przedsięweźmie? Dawniej nie miały kobiety chustek, barchanów, jedwabiów — nikto o tym nic nie sły-szał — był len w domu na wszystko. Cała kobieca odzież była lniana prócz tych kozuszków zimą. Katan-ki i spódnice były z farbowanego domowego płót-na; rąbki na głowę i zapaski cienkie jak muślin też same kobiety tkwały, haftowały; były staruszki, co robiły znów czepce wyszywane dla gaździn. La-tem do kościoła zaodziewały niewiasty na siebie białe łoktuski — jak szły, widziałeś, chodnikami, to jakby stadko białych gąsek, aż radość było poj-rzeć. I wnet się to poodmieniało. Dziś już niktórej w rąbku, w łoktusze nie ujrzy — bo wszystkie w kupnych chustach. Płót-na też kartonowego w sklepach, w jarmark, ile chce dostanie — nie muszą się już koło lnu trudzić. Ale swoje, w domu zrobione, trwalsze i ba, przecie mniej kosztuje.

Byłby pewnie w tym sensie długo jeszcze chrestny ojciec prawil, lecz przerwał mu śmiech



dobiegły ze sieni. Z pobrzękiem skrzypiec ożywiły się dziewczęta. — Do izby weszło z „pochwałą Bożą” trzech Parów młodych ze skrzypkami, tuż za nimi kilku chłopców z sąsiedztwa. Po przywitaniu grzecznym ze starszymi, poczęli chłopcy przegwarać się z dziewczętami, którejs kądziel rzekomo podpalać, to insze figle płatać. Gwar i śmiech nappełnił izbę. A skoro Parowie młodzi poczęli nastrojać skrzypce, wnet uprzątnięto ze środka izby ławki, stołki, kołowrotki cofnięto pod ścianę, uczynił się krąg wolny. Tedy jeden z parobczaków pokłonił się kapeluszem nisko przed gospodynią domu i poprosił, coby pozwoliła prządkom młodym nogi wyprościć. Z uśmiechem przyzwoliła. Więc posunął się ku jednej z kraja i już przed muzyką śpiewa:

    Nie zaniedbuj, Teresieńko, kądzieli,  
    Będą ciebie radzi chłopcy widzieli.

Muzyka podjęła nutę. Ruszyło w taniec par kilka. Gospodynie starsze pocofały się z kądzielmi na ławę pod ściany i przędać dalej, z uśmiechem wyrozumiałym pozierały na zabawę młodych.

Chrzescynociec Biały kurzył fajkę i oczyma przyglonými gdzieś w latach minionych błądził.

## JASIEK W FABRYCE SUKNA

Stary Jamróż z Podobina miał w gazdostwie swym dwadzieścia owiec. Pasał je najmłodszy syn, Jasiek, piętnastoletni. Kiedy je pewnego ranka wypuścił z owczarni i wstrząsające długimi kędziorami wełny zajmował na paszę, ojciec, stojący przed izbą, pojrzawszy po nich, uważył:

— Trzeba dziś owce wykapać, czas je ostrzyć. Popędzisz je ku wodzie, ja tam przyjdę.

Niebawem nadszedł Jamróż ku pasącemu nad potokiem. Jasiek łapał owce po jednej i prowadził je do wody, a stary ojciec mył dłonią ich wełnę stręczystą i wyżymał ją z brudu. Wypuszczone po kąpieli otrząsały się z wilgoci — wnet też osuszyło je gorące słońko. Tedy znów Jasiek chwycił owce kolejno i prowadził je ku ojcu, który pętał im nogi i strzygł leżące dużymi nożycami. Za chwilę płaszcz wełny został na ziemi, a owca ostrzyżona, niepodobna do siebie poprzedniej, odbiegała lekko do kierdełu. Tak przeszły kolejną wszystkie. Sporo baraniej wełny zabrał ojciec do domu. Zimą będą ją prząć, potem dadzą do tkacza, do folusza — skąd wyjdzie sukno gotowe, białe na portki, a czarne na gunie.

Mineńo lato i jesień nadeszła. Aliści ogłosił po wsi ajent z Bielska, że kto by zechciał wełnę owczą

zawieźć do fabryki, to za tyle a tyle funtów nie czesanej wełny otrzyma tyle a tyle metrów cienkiego gotowego sukna. Zastanowił się ten i ów z galdów, którzy owce chowali: „Może się to i opłaci”.

Jamróż też nad tym podumał. Sukno grubsze mają z łońskiej zimy — a cieńsze by się przydało. Zważył wełnę, wypadaloby za nią sześć metrów sukna. Zwinął ją w bal, owiązał, po czym zawołał Jaśka i rzecze:

— Pojedziesz z wełną do Bielska. Oddasz we fabryce i przywieziesz sukno, co ci dadzą.

Jasiek nigdzie dalej poza parafią nie był — toteż nowość go ciągnęła — zebrał się ochotnie.

Łatwo mu w drodze poszło, bo był chłopiec bystry, i do fabryki sukna w Bielsku się dopytał. Oddał wełnę w kantorze, po zważeniu jej dostał kwit na sukno. Ciekawy był, przechodząc do składu z owym kwitem, zajrzeć do wnętrza fabryki, skąd szum dziwny dolatał. Zbliżył się, uchylił drzwi fabrycznej hali — i aż usta otwarł ze zdziwienia. Ujrzał salę, zasnutą jakby mieniącymi się niciami pajęczyny, które przewijały się, migwały, kręciły, układały się w tęczowe smugi pionowe, w poprzek których latało coś mig, mig, prędko niby to myszki zwinne, ledwie dla oczu olśnionych uchwytne. Poza tą siecią ruchliwą postrzegł Jasiek jakieś maszyny szumiące i ludzi kręcących się przy nich. „Co by to miało być?” — dumał.

Tak stojącego naszedł zarządca fabryki. Widząc zdumienie Góralczyka, uśmiechnął się.

— Cóż ty tu robisz? — spytał.

— Przywiozłem wełnę do fabryki.

— I dziwujesz się, widzę.

— Dziwuję.

Spodobała się zarządcy rezolucyjność chłopca.

— Nie wiesz, jak się sukno robi?

— Wiem, jak u nas na wsi. Ale jak tu we fabryce, to skąd bym wiedział.

— A chciałbyś zobaczyć?

Jasiek w odpowiedzi podniósł nań oczy prosiące.

— No to chodź ze mną. Musisz się przypatrzeć z kraja — rzekł zarządca. Miał właśnie we fabryce godziny kontrolne.

Zaszli naprzód do składu, gdzie wyładowywano przywiezione z kolei ciężkie bale wełny. Kilkunastu robotników tu pracowało. Jedni rozpakowywali wełnę, drudzy układali ją warstwami w równe, długie stosy. — A jaka to wełna była! Ani przyrównać do tej, jaką owce ojcowe nosiły na grzbiecie. Biała jak śnieg, czyściutka i miękka. Nic w niej tłustości, nic brudu.

— Widzisz, to już wełna prana — rzekł zarządca — przy tym z gatunku owiec, które mają wełnę o wiele delikatniejszą niż wasze owce góralskie.

Przeszli następnie do farbiarni. Tu jedni robotnicy napuszczali białą wełnę olejem, drudzy farbowali ją na różne kolory. Jasiek patrzył ciekawie i zbaczował sobie, jak się to dziwił nieraz, skąd się bierze kolorowe sukno, kiedy wełna jest biała i czarna. Teraz już wie.

Potem zwiedzili przędzalnię. Tu kłęby wełny przepuszczane przez maszyny zmieniały się na pasma zwinięte, które przejmowała znów maszyna

druga o szeregach wrzecion; te skręcały nici, wyciągane z pasm, i nawijały je migiem na szpulki. Szło to sprawnie, jak cudem. A tylko dwóch robotników kierowało maszynami.

Przeszli teraz do tkalni, której to Jasiek na początku tak się zadziwił. Mógł się teraz tym cudom nieznanym, postępując za zarządcą, przypatrzeć z bliska. Widział tedy, jak nitki kolorowe snując się, płynąc po rozpiętych krosnach, nawlekały się równiutko pomiędzy druty pionowe, a te rzekome zwinne myszki, w poprzek latające, to czótenka z nawiniętymi szpulkami — za czym trzepak na krosnach — ciach! ciach! — przesuwał przewleczoną nitkę i w oczach narastał pas barwny materii. W mig powstawały metry sukna.

Mniemał Jasiek, że to już koniec tej fabryki. Ba! Pan zarządca pociągnął go dalej do maglowni, gdzie maszyny maglowały sukno drewnianymi wałkami, potem do pralni, gdzie je prały w coraz innej wodzie — do czesalni, gdzie je czesały kolczastymi zgrzeblami — wreszcie do prasy, gdzie kładziono sukno pomiędzy wielkie arkusze tektury i przyciskano je ciężarem. Stąd dopiero mogło wyjść gotowe.

— Tak to widzisz, chłopcze, fabryka sukna wygląda — rzekł przy końcu zarządca.

Jasiek podziękował pięknie dobremu panu za łaskawość, odebrał swoje należne metry w magazynie i zabrał się do domu. Widziane we fabryce rzeczy szły obrazami za nim. Jadąc, ścisnął zwój sukna pod pachą jak skarb jaki drogi: bo tu miał szczęście zobaczyć naocznie, ile zabiegów kosztuje. Co we fabryce widział, opowie wszystkim w chałupie.

## NA OBCZYŻNIE

Wojciech Święch, rolnik powiatu brzeskiego, który z podziału po ojcu otrzymał tylko półtora morga ziemi, nie mogąc na tym małym skrawku z rodziną wyżyć, wyjechał na zarobek do Ameryki w nadziei, że za dolary zarobione kupi grunt odpowiedni i będzie gospodarzem jak się patrzy.

Dostał robotę w Chicago, w kopalni węgla. Za jakiś rok, gdy się już ustalił, przysłał żonie Małgoście kartę na przyjazd okrętem, polecił jej wydzierżawić pole i przyjechać z dziećmi do Chicago: że tu będzie zarobek i dla niej... Jakoż Małgośka zabrała dzieci, 10-letniego Jasia i 7-letnią Józję, i pojechała do męża. Wynajęli pokój z kuchenką w dzielnicy robotniczej, gdzie emigranci polscy się skupiali. Wojciech dojeżdżał koleją do kopalni, położonej dwie mile za miastem, wieczorem powracał na obiad. Małgośka też zarabiała, mając stołowników kilku i przyjmując bieliznę do prania. Jaś i Józia chcieli dopomagać matce w jej gospodarstwie kuchennym, ale więcej otwierali oczy i buzie szeroko, oszołomieni wielkim miastem i niewidzianym ruchem.

Minął rok od ich przyjazdu. Już się z tym „nowym światem” nieco oswoili. Jaś biegał do sklepi-

ku, do rzeźnika, to do piekarza — poznał już życie uliczne dzielnicy, w której mieszkali. Zima im znośnie przeszła. Lecz skoro wiosna nastąpiła — jakaś choroba niewidoczna poczęła im dolegać. Niby chodzili, robili to samo, a jakby ich coś tajemnie gnębiło — nijakiej rady dać sobie nie mogli. Smętnieli w sobie z dnia na dzień.

Wojciech zazwyczaj dawniej, powróciwszy z roboty do domu, rozmawiał przy obiedzie z ożywieniem z żoną, potem brał córkę na kolana i przekomarzał się z nią różnie. Z nastaniem wiosny stracił humor. Wracał zmęczony, mył się, jadł obiad w milczeniu, a po obiedzie kurzył fajkę i zapadał w zadumę.

Jednego dnia wrócił wcześniej.

— Siły mię opuszczają — rzekł. — Trza będzie parę dni odpocząć.

Nadeszli stołownicy, trzech znajomych robotników z tegoż powiatu, siedli przy stole, zazwyczaj gwarni, bez słowa — jedli podany obiad. A gdy skończyli, Małgośka naczynia sprzątnęła, pozakurzali fajki i siedzieli dalej w zasepieniu, jakby im coś wszystkim jednako dolegało.

— Piszą mi z domu — ozwał się na koniec jeden — że już pół wiosny zaorali. Owsy teraz dosiewają. Ładny czas mają, donoszą, pogoda, łąki się zazieleniły, aż pachnie świat...

Wojciech, siedzący z przymkniętymi na pół oczyma, zobaczył jakby żywą wieś swoją. Widzi... sąsiad Strączek kroczy z wolna za pługiem, trzymając w ręku bat. Zaorał już stajanie spore — jeszcze mu zagon zostaje — do wieczora zaorze... Młynarz Kubin już pozasiewał kawałki koło wody.

Teraz go widać z końmi na zboczu w owsiskach... W dolnej wsi zjeżdżają z pól, słysząc pokrzyki pogońców... Na Stachowej chacie bociek już gniazdo umościł — stoi na jednym szczudle, klekoce... Od kościoła, z końca wsi, ozwały się dzwony na „Anioł Pański”. Ludzie na zagonach poodkrywali głowy. I on stojący tam na zagonie kapelusze zdjął — powtarza w myśli: „Anioł Pański zwiastował...”

Tak samo wieś rodzinna, o mil tysiące oddalona, przysniła się w tej chwili żonie jego i dzieciom. Małgośka widzi siebie ze sąsiadkami na roli. Sadzą do rządków ziemniaki... W przerwach wytchnienia, gdy się prostują znad ziemi, opowiadają sobie ciekawości wsi. — Jaś znów z rówieśnikami ugania koło obejścia. Zatrzymali się pod wierzbą, która już liście puściła. „Podsadzcie mnie” — powiada Józek Majcherków... Podsadzają go więc na ramionach — on dostaje ręką gruby pęd wierzby i ucina go nożem. „Będzie fujarka — mówi — akurat miazgę puszcza”. Duma Jaś: „Jak ino wrócimy, to ja sobie taką fujareczkę...” — Józia zaś mała z gęsiami ma robotę. Zagania je długą habiną ku rzece — ale jak się zanadto przybliży, to gąsior do niej szyje wyciąga i syczy...

Wojciech przetarł oczy dłonią, jak ze snu ciężkiego, spojrzął na żonę, na dzieci...

— Cóżecie tak głowy pospuszczali? — zagadnęła, aby coś rzec. Zbliżył się Jasiak do ojca, z przymleniem objął go za szyję.

— Tatusiu! Kiedy wrócimy?

Widzi to samo pytanie w oczach żony i córki.



— Cóż? cnie ci się już? — niby próbuje żartować.

— Cnie... Tam teraz u nas tak...

Nie umiał dopowiedzieć. Ale ojciec zrozumiał, jak wszyscy.

— Musimy, synu, tyle dolarów zarobić, coby grunt kupić — odrzekł na koniec z ciężkim sercem.

— A długo to jeszcze będzie?

— Niekrótko.

— Wiecie, powiem wam — wtrącił na to jeden ze stołowników — że kieby człek tak w kraju swoim pracował jak tu, toby się na kamieniu chleba dorobił.

— Słusznie mówicie, ale cóż...

— Tak się to widzi, że na obczyźnie łatwiej, a tu trza mozolić się, aż się kości w człowieku mijają, chcąc coś z zarobku odłożyć.

— Na drugą wiesną już wrócimy! — chciał się upewnić Jaś.

— Wróćmy, tato! — nabliżyła się i Józia. — Bo kto tam będzie gęsi pasł?...

— Ho! dzieci! — rozrzewnił się, sam tęsknotą okrutną przejęty — dyc kiebym ino mógł, tobym was wziął na te ręce i poniósł do kraju. Ja by te morza z wami brzegami obchodził... Ale darmo.

I co dzieciom pierwszy raz widzieć się zdarzyło: parę kropli z oczu ojca na czoła ich przychylone spadło.

## ZA MORZE...

Ostatnia ubocz lasu na Lubaniu miała lec pod siekierami. Zakupiła ją firma drzewna Ader i Spółka z Bardiowa i dała znać do wsi podlubańskich, by się do ścinki głośzono. Dwaj młodzi gazdowie z Maniów, Wojtek Syc i Jędrzek Wala, których bieda wyganiała do robót za morze, a na podróż pieniędzy nie mieli, pochwycili kwapliwi okazję dobrą i podjęli się ścięcia uboczy. Przynajęli do siebie chłopów ośmiu i w dniu oznaczonym — akurat w początku maja — wyszli w ubocz z piłami i siekierami, przeżegnali się „na szczęście”, popluli siarczyście w dłonie i zabrali się rażno do pracy.

Nielekki to był trud... Las parusetwiekowy, na przeciągach wiatru wyrośnięty, twardy był w pniach zhartowanych i opierał się mocno pile, jako i siekierze. Jeszcze smreki, śmigtejsze wzrostem i cieńsze, łatwiej dały się obalać; ale jodły sędziwe, zastalone wiekiem, skostniałe na pniu grubym, żylastym, dużo wymagały przyłożenia się i znoju, nim z jękiem na ziemię legły.

Po dwóch pracowało przy jednym drzewie. Naprzód rąbanicą podcinali je u ziemi, od strony, na którą chcieli, aby padło, potem piłą we dwój podrzynali, aż trzeszczeć poczęło: znak, że idzie... tedy

szybko wyjmowali piłę i bili kliny pomocne, baczość dając, czy chyli się w stronę oznaczoną. Za czym drzewo z łoskotem rozgłośnym waliło się na ziemię... Echa huczne roznosiły się po dalszych uboczach. Leżące okrzesywali z gałęzi, ołupywali siekierami z kory i przechodzili do drugiego.

Dwóch mogło obrobić za dzień dwadzieścia sztuk; zatem do sto drzew dziennie ubywało w stojącej uboczy. Wojtek z Jędrkiem obliczali w myśli, wiele zarobią przy ścinie, i snuli plan wyjazdu. Zawzięcie pracowali, aż im pot zalewał oczy, sami we dwój pokładali dwadzieścia pięć sztuk i więcej. W momentach wytchnień zastanawiali się:

— Gdzie się to drzewo obróci?

— Ha, musi mieć pewnie przeznaczenie swoje.

Ani im w myśli mogło postać, że ich los w jedną obczyznę zawiedzie.

Do miesiąca byli z wyrębem gotowi. Przyszło spychanie. Podważane drągiem drzewa ruszały końcami na dół i przy okrzyku „waruj!” mknęły po stromej uboczy aż ku światłu Dunajca, ku wodzie. — Przy spychaniu tym o mało do nieszczęścia nie przyszło. Oto Jędrak, podważając drągiem, poślizgnął się i legł pod mknące drzewo; na szczęście padł w zagłębienie: drzewo przemknęło po nim, ledwie go musnąwszy; inaczej byłoby go na miazgę zgmiotło.

Nim tydzień uszedł, drzewo, już zepchnięte, piętrzyło się w stoku — przy drodze. Firma przysłała na miejsce urzędnika swego, który je oznaczył cechą i odebrał. Wojtkowi i Jędrkowi wypłacono pieniądze za wyrąb, a ci zaś wypłacili z tego chłopów

przynajętych. Zostało im po kilkaset koron, za mało — jak obliczyli — na podróż za morze. Nardarzył się jednak w tejże firmie zarobek dalszy: a to spławianie Dunajcem smrekowego drzewa, jako też dowóz grubszych jodłowych bali do tartaku i dopilnowanie przy obróbce tarcic. Skwapliwie na to przystali i podzielili się robotą.

Jędrek zajął się spławianiem, na którym znał się dobrze. Przynajął fachowych ludzi i nie zwlekając, zabrano się do pracy. Nataczowano więc drzewo ku wodzie. Zbijano przy brzegu okrągłaki w pomost, na nim kładziono drugą warstwę w poprzek, na tej znów trzecią, czwartą — aż urósł gruby stos kłami w ściany ujęty. Gdy takich stosów sporządzono szereg, gdy już wszystko przeznaczone do spławiania drzewo było w pomosty zbite, usadowili się na nich, jakoby na tratwach, z długimi w rękę żerdziami chłopi-przewoźnicy. Jędrek stanął jak jaki admirał na czole pierwszego stosu, na dany znak jego wparli przewoźnicy żerdzie w grunt przybrzeżny i zepchnęli stosy drzewne na środek rzeki. Ruszyły jedne za drugimi z pokrzykiem przewoźników, z tryumfalnym: ho — hej!, niby jakaś flotylla wyprawna. Zrazu szło wszystko sprawnie; nurt rzeki toczył się prosto i znosił stosy na grzbiecie. Lecz niezadługo Dunajec wbił się między ścianą Pienin, czyniąc raptowne skręty, zakola — krotnie i esy. Dla małej łódki niebezpieczność wielka. — Co dopiero dla spiętrzonych stosów! Od czegoż jednak chwaty-przewoźnicy, od czego Jędrek-admirał? Gdy tylko zakręcił się wyłaniał, „pilnuj!” hasło podawano od tratwy do tratwy i prze-

woźnicy nastawiali żerdzie jak rząd kopii przeciw ścianie bliskiej i odbijali stosy zagrożone na środek fal. Szczęśliwie przebrnęli wreszcie przez zdradne zawroty Pienin. Już dalej rzeka toczyła się równo, wnet też wpłynęli w dolinę sądecką, gdzie złączyły się z Dunajcem fale Popradu. Teraz by — jak nic — mogli mknąć gładko ku Wiśle i dalej przez nize polskie — aż ku morzu. Przeznaczone jednak było, by stosy drzewa spławiane zatrzymały się pod Sączem. Stąd miały jechać na zachód koleją. Jędrrek oddał zastępcy firmy dostawę.

Dłuższy miał trud Wojtek Syc z jodłami. Więc naprzód zmówił fury, które zwoziły drzewo w długości całej do tartaku. Tam znowu najął chłopów, którzy je przerzynali na krótsze bale; pomocników, którzy wtaczali bale po pomoście na wóz tartaczny. Dalsza czynność należała do dozorczy gatru, tj. zasadzanie pił w odstępach równych, puszczenie w ruch pionowy ramy z piłami, które ze zgrzytem wżerały się w pień i w kwadrans bał był porznęty na deski. Rozdzielone wynosili znowu pomocnicy na plac odkryty, gdzie składali je w kozły dla przeschnięcia. Tu też pracował sam Wojtek, znacząc lubryką deskę każdą, by się z innymi nie zmyliły. Kiedy bale wszystkie były już porznęte i stosy desek ułożone w kozły, oddał Wojtek zadanie swoje spełnione zastępcy firmy. Słyszał przy tym, że deski te mają iść koleją, potem morzem gdzieś w daleki kraj.

Wojtek z Jędrkiem zeszli się, policzyli, co każdy zarobił, i stwierdzili, że mogą już z tym puścić się w drogę. Za czym nie zwlekając wystarali się o potrzebne na przejazd papiery i ruszyli; naprzód ko-

leją na zachód, potem z Hamburga „szifem”. Mówili w drodze do siebie:

— Gdzie też poszło „nasze” drzewo, cośmy się tyle z nim namocarzyli?

Wnet mieli się o tym dowiedzieć.

Wylądowawszy w obcym kraju, znaleźli przy pomocy ajenta robotę w kopalni węgla. Mieli za górnikami stemplować sklepienia świeżo wybranych komór. — Jakież było ich zdumienie, gdy Wojtek na przeznaczonych deskach pod sklepienie ujrzał znaki lubryką przez siebie zrobione, a zaś Jędrak w dostarczonych stemplach do podbicia odnalazł znajomą im dobrze cechę firmy! Toż to przecie wyraźnie „ich” drzewo! Zadumali się chwilę nad tą sprawą.

— I ono wej razem z nami za morze przyjechało. Takie mu jako i nam padło przeznaczenie.

## NIEZGODA MŁYNÓW

We wsi dużej, rozległej, stały... dwa młyny: jeden wodny w kotlinie, przy rzece, drugi na płaskowyżu, wiatrowy. — Swarzyły się wciąż ze sobą i przegadywały. Dniem czy nocą wieś pełna była ich swarliwego hurkotu.

— Cóż ty, wietrzniku? — przymawiał młyn wodny. — Jeno wymachujesz w powietrzu tymi długimi rękami i udajesz bożą pracę, a korzyści z ciebie mało. Co z grubsza jeno trocinisz dar boży — szkoda ziarna, co się do ciebie dostanie.

— A ty co, klekocie stary? — mówił rozeźlony wiatrak. — Jeno hurczysz na kamieniach, wodę ze szumem przelewasz, hałasu więcej sprawiasz jak pożytku. Ja mieleń pszenicę, żyto — jak kto chce mieć chleb bielutki, do mnie ziarno niesie — a ty co? owies gnieciesz i to, co się ode mnie dostanie.

Gdy cisza była zupełna w powietrzu, ani zawiewu słabego, i wiatrak nie mógł się obracać, tedy młyn wodny, mając wodę dobrą i mieleń, aż się rozlegało po wsi, huczał w stronę wiatraka z tryumfem:

— Ha, widzisz! Czemu ustałeś? Czemu nie wymachujesz tymi ramionami? Dobrze by ludzie na tym wyszli, jakby się jeno na ciebie, samochwalcze,

zdali? Czekaj ta wiatru, jak ci dziś chleb potrzebny! Nie ma to, jak młyn wodny.

Gdy znów posucha nastąpiła i woda w rzece zginęła, tak że młyn musiał stać, tedy wiatrak, dzień i noc przy wietrze dobrym machając śmigami, wołał drwiąco do stojącego w bezruchu:

— He! he! Czemuż teraz nie hurkotasz? Czemu nie mieiesz?... Ładny ludziom pożytek z takiego grata. Jedliby chleb, jakby się nań opuścili. Jeny wody w rzece zbraknie — już stoi. Nie ma to — każdy z ludzi przyzna — jak młyn wiatrowy.

A kiedy wody było pod dostatkiem w rzece, jak i wiaterek dobry na powietrzu, kiedy razem oba młyny mełły, słycać było znowu ich swarliwe, niby dwu kłótlivych sąsiadów, przegadywanie.

— Szu! szu! szu! — naśladował złośliwie młyn wodny — kto widział tak mleć. Wietrznik jeno, roztrzepaniec może tak plonem bożym szastać. Trzeba pomału, statecznie. Ziarno nie kloc; mąka nie trociny, o chleb tu, o dar boży, idzie.

— Ehęm! Ehęm! — przedrzeźniał znów wiatrak. — Stękasz przy tym mieleniu jak dziad wodny. Widzisz, przypatrz się: jak ja sobie na powietrzu lekko i swobodno... Ani nie słycać prawie, jak się śmigi w obrocie mijają. Mąka się sypie bielutka jak manna. Już ty mnie w pracy nie przebierzesz.

Lata mijają, wieś wzrastała, a nie słabła niezgodą młynów. Widziało się, że wiecznie trwać będzie.

Aż zaszło coś, co położyło kres tej ich niezgodzie. Oto jednego lata wyrósł na końcu wsi, tuż koło drogi, wielki, piętrowy, zmurowany z cegieł — młyn parowy. Ani nie miał koła wodnego,



ani śmig — a zaczął pochłaniać ziarno i mlecć, mlecć — dniem i nocą. Nie tylko ze wsi, ale i z dalsza szły fury z worami zboża, które po pomostach wynoszono do otworów na piętrze — młyn je jak smok pochłaniał, a wyrzucał przez otwory dolne gotowe wory z mąką. Młyn parowy mełł zboże i omielał na różne sposoby i robił to szybko — toteż, co kto miał do zmielenia, tam zwoził.

Stare młyny spoczywały, z zazdrością patrząc, jak tamten wszystko połyka. Mało kto do nich co przywiózł. Tyle miały do mielenia, co parowemu spod brody spadło. Był powiew dobry, a wiatrak stał — wody było dość w rzece, a wodny młyn milczał. Jednaka dola im przyszła.

Pierwszy raz też — w tym zaopuszczeniu — po-  
częły się do siebie odzywać przyjaźnie.

— Widzisz — mówił młyn wodny — jak ten nam wszystko spod nosa sprząta... Co dla nas było zgotowane, on miele.

— Hej — przyświadczał mu wiatrak — co jeno widzi, chłonie. Brzuch nienasycony. Ani to wody, ani wiatru. Parą jeno jakąś dyszy. Okpiś światowy!

— Ale i ludzie... Pokąd my sami dwa byli, wszystko do nas — czasu nie dali spocząć. A przyświadczali, a chwalili: „Jak on to miele! Mąka jak śnieg!”... Całą wieś my dwaj żywili.

— A teraz to nas omijają jak niepotrzebne graty.

— Doczekamy się jeszcze, zobaczysz... ono się i tamtemu urwie. Jeno cierpliwości, przyjacielu...

I coraz sobie przyjaźniej świadczyły.

Ten trzeci ich pogodził.

## JAŚ W CHOCHOŁOWIE

Jaś Łukaszczyków z Poronina pod Zakopanem pocałował starego ojca w rękę i poprosił:

— Nie brońcież mi, tatusiu, na niedzielę do Chochołowa.

Było to akurat na rok przed wojną, w lutym.

Ojciec sie wypatrzył nań:

— A cóż to tam ma być?... Odpust jaki?

— Ba, wielgi! Święto Chochołowskie.

— O takim święcie my tu nie słyszeli.

— Boście, tatusiu, nie czytali w naszej gazecie.

Jak to chochołowianie razem z księdzem zrobili powstanie i mieli iść panom polskim na pomoc.

— To niby w czterdziestym szóstym?

— Zgadliście. Jak przyjechały potem jegry z miasta i namówili dunajczan, coby ich przeciw chochołowianom skrzepili, jak przyszło koło kościoła do bitki i jak sie smutnie skończyło.

— Bo tak sie musiało skończyć.

— Ba, wiera! A kieby dunajczanie byli nie zdradzili...

— Co ty o tym, smarku, możesz wiedzieć?

— Ja wiem, co wiem, tatusiu. No i teraz, skoro sie znowu coś stroi...

— Co sie ma znowu stroić?

— Powiadają — ściszył głos Jaś — że śpiące wojsko ma się ruszyć...

— Oj, bajaku, bajaku!

— Toć to postanowili na Podhalu — ciągnął młody czytelnik gazetki — uczcić pamięć tych powstańców i naradzić się...

— I ty się na te narady wybierasz? — zakpił ojciec.

— Nie, ja by się ino chciał przypatrzeć. Całe Podhale ma tam zjechać. Pozwolicie mi — prosił.

— No dyc... jakeś tak ciekawy...

— A nas nie zawzięłyś? — wtrąciła żartobliwie siostra Tereska spod okna, gdzie przędała kądziel z matką.

— Czemu nie? Zaprzągnę Łyska do sanek i — wio!...

Miał lat przecie piętnaście i sam już furmanił; a widząc uśmiech pobłażliwy ojca, w dłonie klasnął, podskoczył i piętą o piętę jak tancerz uderzył:

— Teres! Mamo! Jedziemy!

Gdy wyglądana niedziela nadeszła, już od przedednia Jaś się zerwał, do świtu konie napasł. Wystroił się też jak na wesele. Bryzowane, nowiutkie kierzce na nim, białe obcisłe portki, pięknie cyfrowane, koszula cienka, lniana, spinką pod szyją spięta, serdaczek na to czerwony z wyszytymi na nim lelujami, przez ramię czuszka biała, wstążką pąsową związana, kapelusz nowy z kostkami i piórko na nim orle. Gdy się dzień widny zrobił, Jaś stał już gotów ze sankami i z koniem na obejściu. Wyszła siostra Tereska, również jak druhna strojna. Za nią matka w serdaczku z rękawami, w chust-

ce, jak przystało zasobnej gaździnie. Wsiadły w sanki. Jaś przypiął różdkę białą do chomąta konia, ujął za lejce — ruszyli.

Z tego, owego osiedla, gdy je mijali po drodze, wyjeżdżały na szosę równie ustrojone sanki i łączyły się z nimi. W Zakopanem pod kościołem spotkali gotowych już do wyjazdu kilkadziesiąt sań, ubranych w bukiety, wstęgi, jak do ślubu. Dołączyli się i ruszyli kuligiem świętalmym w stronę Kościelisk.

Dzień, jak umyślnie na to święto, cudny. Połśnie-wają zbocza Tatr, błyszczą hale — okieść drzewa odziała jak w bajce. Światło słońka przesiewa się przez różowe na szczytach obłoki i osrebrza w powietrzu śnieg polatujący. Sto sanek z brzękiem dzwonek przez tę bajkę mknie...

Tuż przed Witowem przywitała kulig banderia strojna Górali. W paradzie jechano dalej. Na wstępie do Chochołowa bramy przybrane zielenią: „Witajcie!” — A potem sam Chochołów... Domy wszystkie umajone — na dachach chorągiewki — u wrót otwartych każdego osiedla gazda i gaździna, odświętnie ubrani, z ukłonem nadjeżdżających w gościnę zapraszają.

Stanął Jaś z koniem na jednym obejściu. Sam poszedł do środka wsi. Już tam było ludno jak w odpuscie. A tu gościńcem od Nowego Targu nieprzemierzony sznur sań wali. Również z drugiego traktu, z Odrowąża... I z trzeciego... Prawdziwie chochołowskie święto. Wzruszeni też chochołowianie.

O jedenastej dzwony się ozwały. Ruszono do ko-

ściola. Lecz kościół, duży, część tylko mógł pomieścić ludzi — reszta została na dworze. Po sumie wszystkich naród zaległ plac wielki przed kościołem, gdzie widniała z daleka ubrana w barwy trybuna. Jak okiem rzucić: głowy, głowy — czuchy białe i czarne i chusty niewieście. Całe istnie Podhale tu ściągnęło. Są spod Tatr wszyscy, spod Gorców, nawet z daleka od Czorsztyna — tylko, mówią, sąsiednich dunajczanów brak. Wstydzieli się przyjść na tę rocznicę: że to ona chochołowianom chwałą, a im gańbą.

Cóż to się tam wśród tłumu pod trybuną miga? Przedziera się Jaś bliżej, by zobaczyć: — Broń, lufy, szeregi junaków z piórami orlimi w górę, z karabinami na ramionach... Zadrzało wzruszeniem nieznanym góralskie serce Jasia...

Pierwsza Drużyna Podhala! — Czy to nie o tym śpiącym wojsku?...

Na trybunie stanął wójt chochołowski. Serdecznie podziękował wszystkim za przybycie, za ten zjazd tak spaniały. Potem były przemowy — jedna, druga... Nie wszystko rozumiał Jaś, ale czuł, że serce mu rośnie i aż piersi rozpiera. Wreszcie ukazał się na trybunie Góral stary, siwy — drżącym przemówił głosem:

— Staję tu, rodny dunajczanin, za braci swoich, za dunajczan. Nie ma ich między wami — uważali, że nie mają prawa do tego święta. A ja to prawo mam. Kupiłem je krwią własną za Polskę w roku 63 i niewolą moskiewską. Tyle mogę na obronę braci dunajczan rzec, iżę mniej byli winni jak ciemni. Dzisiejsi ich synowie tę winę ich czu-

ją. I już by inaczej poszli, gdyby padło... a może czas ten niedaleki. Niechże im będzie darowane i nie wspomniane. Niech ta już stanie między nami wieczne pojednanie.

I ręce wyciągnął starcze do wójta z Chochołowa. Uściskali się mocno i ucałowali.

Naród wszystek poruszony płakał. Padał na głowy odkryte śnieg polatujący. Słońko ponad Tatrami w górze radośnie jaśniało, Paniezuś uśmiechał się w niebie.

Na zawsze w serce Jasiowe zapadła ta święta w Chochołowie chwila.

SZKICE I WSPOMNIENIA  
LITERACKIE

## O ODCZUWANIU DZIEŁA SZTUKI

### Fragment odczytu Z POWODU „WYZWOLENIA”

#### I

Tytuł afisza zapowiada pogadankę: *Z powodu „Wyzwolenia”*. Wielu też zapewne przyszło z tą myślą, że usłyszą rozbiór *Wyzwolenia* lub jeden więcej sąd o tym utworze. A z powodu jakiejś rzeczy można o zgoła innych rzeczach mówić; z powodu mgły np. można mówić o melancholii. Ja też z powodu *Wyzwolenia* chcę powiedzieć parę uwag o różności dusz ludzkich, o stosunku widowni do dzieła i przejść do szczytowych rzeczy twórczości ducha polskiego, do wydanych po śmierci poety dzieł Juliusza Słowackiego. Na pozór rzecz nie związana — a o ileż się to nieraz rzeczy różnych przez jedną godzinę w logicznym postępie myśli potrafi!

Ostając już przy użytym wyżej porównaniu (choć to porównanie słabe) — powtarzam: stosunek rzeczy, które tu mam mówić, ma się tak do *Wyzwolenia*, jak melancholia do mgły; nie przeto, iżby mi się bezpośrednio z powodu *Wyzwolenia* urodziły, boć przecie i melancholia nie rodzi się z mgły, ale ją sobie człowiek wobec mgły np. bardziej niż wobec słońca uświadamia.



Wyzwolenie, a raczej przyjęcie, jakiego doznało od ludzi, piszących swoje ze sztuki wrażenia lub o tej sztuce krytyczne uwagi — uświadomiło mi mocniej spostrzeżenia, jakie mi się dawniej nasuwały, o stosunku ludzi do dzieł sztuki — te zaś wypłynęły konsekwentnie z wiary mej o różności dusz ludzkich, której tu nie będę rozwijał.

## II

Pan Ostap Ortwin zamieścił w „Krytyce” swoje wrażenie z *Wyzwolenia*. A to wrażenie jest takie mniej więcej: — Hamlet-Wyspiański wystawia swoją sztukę *Wesele* wobec Klaudiusza-publiczności. Sztuka powinna nosić tytuł *Łapka na myszy*. I Hamlet-Wyspiański patrzy w twarz Klaudiusza-publiczności, jakie ta sztuka jego wywrze wrażenie. Nie zrozumiano. Więc Hamlet-Wyspiański wystawia drugą swoją sztukę pt. *Wyzwolenie*, która ma być policzkiem dla Klaudiusza-publiczności za niezrozumienie poprzedniej. — To wrażenie miesza p. Ortwin z innymi, a całe jego studium jest osobistym dramatem, napisanym w formie artykułu z powodu *Wyzwolenia*.

Prof. Chmielowski znów ze swego stanowiska krytyka rozpatruje sztukę i podnosi wiele wad, które można ująć w takie zdanie: że sztuka ta właściwie nie jest napisaną, że autor dopiero na scenie kłopotczy się z myślami swoimi — i zamiast jednolitego dzieła sztuki daje chaos nadlatujących

pomysłów, stąd niejasność i załamywanie linii przewodniej myśli dramatu.

A inni znowu inaczej pisali — więcej ujemnie lub bardziej entuzjastycznie. I wszyscy mieli rację.

Kto największą rację miał (czyli: kto najlepiej zrozumiał zamiar autora), o to nie chodzi — bo wszyscy rację mają. Powiem więcej: Nie tylko ci, co podnoszą wady lub zalety formy, ale nawet ci, którzy całkiem różnie rozumieją ideę główną dramatu, i nawet ci, co zgoła tej idei nie widzą w *Wyzwoleniu*.

### III

Ludzie stają wobec dzieła sztuki jak wobec zjawiska przyrody.

Weźmy więc takie zjawisko powszednie, jak zachód słońca. Jak wobec zachodu słońca zachowują się różni ludzie?

Chłop będzie patrzył jak na wróżbę i będzie się starał z zachodu słońca wymiarkować, czy będzie jutro pogoda, co za tym — czy da mu jęczmień zebrać lub co insze.

Chłop dalej posunięty w rozwoju umysłowym będzie, patrząc na zachód, chwalił wszechmoc Boga, czyli będzie uwielbiał nieznanego autora tego wspaniałego dzieła.

Inny znów człowiek zachowa się wobec zachodu słońca krytycznie. Będzie mówił np.: — „Wspaniały byłby zachód, gdyby nie te chmurki niepotrzebne, które zastępują oczom. W ogóle zachód

niejasny!" I odwróci się niechętnie, mówiąc: — „Wczoraj był zachód daleko wspanialszy”.

Malarz będzie wypatrywał w zachodzie słońca zestawienie barw, grę światła itp.

A stanie znowu wobec niego człowiek z dramatem w duszy swojej (jak Ortwin wobec *Wyzwolenia*) — i będzie w zachodzie słońca widział swój dramat przede wszystkim, przez wyobraźnię nieraz spotężniały do tragedii wszechludzkiej. Przykład: Kasprowicz, jego *Pieśń wieczorna*. Stojącemu wobec zórz zachodu, jak Mojżeszowi z ognistego krzaka, wystrzela Bóg-sumienie z krwawego ogniska, palczaste odpromienie są mu ręką karzącą Sędziego — i człowiek gnie się, czyni spowiedź wszystkich win i grzechów, a zorza paląca się martwo poza szczytem pada mu na duszę lękiem, staje mu przed oczyma jak życie, jak fatum, jakimś wiecznym, „kamiennym, ślepym przerażeniem...”

A jeszcze inni inaczej się zachowują — ogromna skala różnic — jedynie ludzie o podobnych duszach podobne z tego zjawiska przyrody mogą odebrać wrażenie.

Tak dzieje się i wobec dzieła sztuki. Weźmy np. wypełnioną widownię w teatrze. Jest to zbiorowisko ludzi (a raczej grup), na różnych stopniach umysłowego rozwoju będących, prawie tak różnych pomiędzy sobą jak rasy — i jakże wszyscy mają z przedstawionego utworu na scenie jednako wrażenie odnieść? Dzieło może wywołać podobne echo tylko w duszach na tym samym stopniu rozwoju będących.

Śmieszne są gadania twórców, uważających wi-

downię za jednolite zbiorowisko, nazywających je pogardliwie tłumem. Tak samo naiwne są głosy krytyków, wymyślających „publiczności”, że sztuki nie rozumiała. Gdyby oni zrozumieli, co to jest „publiczność”, toby się wtedy nie dziwili ani nie gniewali, że sztukę tak przyjęto, nie inaczej — bo tak musiano przyjąć.

Każdy odnosi takie wrażenie ze sztuki, jakie mu dozwala odnieść jego rozwój umysłowy. Autor może stać w rozwoju swoim wysoko ponad nim — wtedy szczerze dzieło tego autora będzie w większej części dlań niezrozumiałym, a zrozumiałym tylko będzie, co odpowiada stopniowi jego rozwoju. Znowu: autor może stać niżej w rozwoju swym od niego, przeto dzieło tego autora będzie dla niego rzeczą słabą. I w tym, i w tamtym wypadku człowiek ten słusznie dzieło sądził. Lecz z takich ludzi składająca się „publiczność” będzie dla autora nie miłą — więc będzie nie miłą zawsze, bo zawsze ci różni od niego ludzie będą większość stanowili. Bo stopni jest liczba wielka, a on będzie miał w widowni jedyną sympatyczną grupę, tj. ludzi na tym samym stopniu rozwoju umysłowego będących, na którym sam się znajduje, to znaczy: przyjaciół swoich, znajomych i nieznanym. Ci jedynie mogą rozumieć jego utwór tak, jak on sam go rozumiał, tworząc.

Tych przyjaciół znajdzie zawsze każdy. Nie ma bowiem środowiska, w którym by człowiek nie znalazł podobnych sobie w rozwoju. Chyba nadzwyczajnie rzadko. Przeto nie ma dzieła tak wielkiego ani tak małego, które by nie miało wielbicieli. Ma-

ją swoich wielbicieli komedie Bałuckiego, sztuki Przybylskiego, legendy o Matce Boskiej Gawalewicza i inne. I to wielbicieli szczerych. I więcej ich zapewne jest niż zwolenników *Wyzwolenia*.

Podkreślam: Mówiłem dotąd o szczerym wrażeniu ludzi z dzieł sztuki. Mówiłem, jakie powinno być być różne to wrażenie odnośnie do różnych stopni rozwoju dusz ludzkich — i przez to naturalne — gdyby było szczerze.

Ale jest rzecz jedna, która zaciemnia to jasne i zrozumiałe odnośnienie się ludzi do Sztuki, co nie dozwala wielom uświadomić sobie rzeczywistego, z natury, z konieczności wypływającego stosunku do dzieł różnych. Jest to wrażenie narzucone, zachwyty sztuczny, nie płynący ze zrozumienia utworu.

Zachowanie się ogółu nie rozumiejącego piękna, a chwaleńczego je, przypomina anegdotę (zdaje się, prawdziwą) o zachowaniu się Górala-przewodnika. Ten szedł najpierw z malarzem, poetą — i gdy ci zachwycali się pięknnością przyrody górskiej, on milczał, udawał, że się czym innym zajmuje, ale pilnie słuchał i nawet zapamiętał se dobrze ich gesty. A teraz idzie z paniami „z Warszawy” i stając w miejscach, gdzie tamci stawali, z podobnym szerokim gestem wypowiada frazesy, jakie zapamiętał. A panie się dziwią: — „Ach, co to za ludzie czujący piękno!”

Znaczy: Artyści tyle nagadali i napisali o pięknie, o formach piękna, że każdy może powtarzać to samo, zgoła nie rozumiejąc, nie czując. A zwłaszcza ci, podobni w błędzie przewodnikom (choć

dużo niżej od nich stojący myślowo), fachowi sprawozdawcy, recenzenci itp., przewodnicy po galeriach sztuki. Te sądy nieosobiste ciągle latają w powietrzu, snują się po pismach i są największą przeszkodą ludziom w pojmowaniu Sztuki. Te sądy pełne zachwyty o rzeczach małych, a ujemne o rzeczach wielkich.

Jakie dzieło jest wielkim? Powiadają: — „Gdy dzieło znajduje oddźwięk w każdej duszy”. To wcale rozumne powiedzenie, jeno w ogóle źle rozumiane. Powiadają też: — „Gdy przerasta pojęcia tłumy” — i w tym jest prawda, ale nie uświadomiona.

Genialna jednostka (że użyję używanego wyrazu), lepiej: twórca wielkiego dzieła musi przechodzić w rozwoju swoim wszystkie stopnie, na jakich znajdują się ludzie o duszach niższych w swym rozwoju — i z każdego stopnia coś w jego duszy ostaje. Przeto każdy z będących na niższych od niego stopniach rozwoju znajdzie w jego utworze coś swojego. I dzieło jego znajdzie naturalny oddźwięk w każdej duszy. Ale nie w całości.

Prawdziwa wielkość dzieła będzie nie to sztuczne ponad (bo się tak można pomylić, biorąc niejasność wypowiedzania się za przerost pojęć), ale spojrzenie ze stopnia wyższego niż znajdujący się w widowni.

Jeszcze jedno. Rzecz wielka zawsze będzie jasna, dla każdego inaczej i w części (to jest właściwie nie dla każdego, lecz dla różnych grup, na różnych stopniach myślowego rozwoju będących). Ale wielkość jej (jej genialność — jak mówią) będzie

w tym, co jest niezrozumiałe wszystkim stopniom, co „przerasta pojęcia nie tłum”, lecz najwyższej posuniętych w rozwoju umysłowym. Ta wielkość będzie różnością twórcy od przyjaciół, jego tylko indywidualną własnością.

## IV

Prawdziwie wielkimi, a w Polsce największymi utworami dramatycznymi są — podług mnie — dramaty Słowackiego, wydane po jego śmierci; niestety, nie wszystkie skończone, z kilku jeno fragmenty ostały. Te fragmenty czynią wrażenie, jakby się stało wobec stłuczonego posągu; — odłamy na podłodze: tu ręka się wala, tam część głowy i — widzi się z tych odłamów, co to za arcydzieło być mogło, i żal ogromny obejmuje serce. Genialność twórcy widzi się w tych gruzach.

Dla mnie te rzeczy są szczytowe nie tylko w dramacie, lecz i w poezji polskiej. Człowiek, wyszedłszy z dzisiejszego bezsprzecznie bogatego pałacu sztuki, znużony — tam wchodzi jak do świątyni goetyckiej. Dusza tam człękowi rośnie. I żal, że te arcydzieła są tak mało znane. Leżą spokojnie w pyłe na półkach księgarskich — a tu o rzeczach małych tyle gwaru dokoła się czyni.

Chciałbym na te dzieła, korzystając z dzisiejszej chwili sposobnej, zwrócić uwagę — tym bardziej, że widzę w nich dużo z genezy dzisiejszej twórczości Wyspiańskiego. Twierdzę, że wywarły — jak na każdego z poetów muszą wywrzeć — wpływ

wielki i dały pchnięcie jego myślom, owo wysokie napięcie uczucia narodowego. Nawet w formie często się napotyka podobieństwo. W takich rzeczach, jak np. rytm niespodzianie prosty — owe powiedzenia wieszczce i wiele innych.

Najlepiej będzie wykazać, czytając. Biorę pierwszy z kraja fragment dramatu pt. *Beniowski*...

[. . . . .]



## PULKOWNIK MIŁKOWSKI

### Wspomnienie

Zapewne wielu z uczęszczających do gimnazjów galicyjskich przed laty dwudziestu, biorących udział w tajnych kółkach samokształceniowych, które naówczas były jedynym, bardzo rewolucyjnym odruchem wśród przygniatanej systemem szkolnym młodzieży, pomni do dziś, jakie znaczenie miała dla nas *Rzecz o obronie czynnej* Miłkowskiego. Była nam ta książeczka niejako ewangelią narodową. Był to naówczas, w latach szarzyzny pozytywistycznej, gdy zewsząd szły ku nam aż do uduszenia monotonne litanie o „pogodzeniu się z losem”, jedyny śmiały głos, traktujący wręcz o walce zbrojnej. Młodzież w lepszej swej części nie dała się też uwieść monotonnym tubom, przez wszystkie organa sennie dowodzącym o „konieczności pracy organicznej”, lecz poszła za budzącym głosem Pułkownika. *Rzecz o obronie czynnej* była dla wielu pierwszym pchnięciem na drogę wyzwolenczego działania.

Bawiąc zimą 1898 r. w Genewie, miałem szczęśliwą sposobność poznać czcigodnego pisarza-pułkownika osobiście.

Dziś widzę tę postać niezwykłą — jak mi w pamięci oczu i serca została — o steranym, zasuszonym

nym ciele, o wydatnie kościstej i smagłej twarzy kresowca, wosach zwiesistych, ustach zaciętych wolą twardą, o oczach głęboko smutnych, na wieczność sprawie zaprzysięgłych.

Bywałem u państwa pułkownikostwa prawie co dzień przez parę miesięcy na herbatach i pogawędkach wieczornych. Śp. pani Miłkowska, o gładko szesanych białych włosach, o jasnych niebieskich oczach, miłym uśmiechu, staruszka o wdzięku dziewczynki, snuła się cicho, nalewając herbatę i wypowiadając swoje trafne o sztuce, o ludziach uwagi. — Pułkownik zaś, zwyczajnie pół siedząc, pół leżąc obok na szezlongu, żuł pod wosem zwiesistym smutek przeżytych lat, nawiązywał do nędzy spraw tegoczesnych, które dzienniki nadnosiły, a gdy rozmowa potrącała o sprawy przeszłe — opowiadał.

Nie miał w sposobie opowiadania nic z rozwlekłości ni powtarzań, właściwych ludziom starym; nie zbaczał w epizody mniej warte uwagi, nie rozgałęział; lecz mówił treściwie, zwięźle, po żołniersku. Nie opowiadał, lecz raczej wspominał.

Wspomnienia jego miały dla mnie urok niezwykły. Mówiły o ludziach czczonych, dawno zmarłych, widzianych już tylko w legendzie. Dawały im barwę życia. Wolski Włodzimierz, Lelewel, generał Bem, Mickiewicz, Sadyk Pasza i inni — zstępowali ze sztychów spłowiałych, nabierali rumieńców żywotności. Z Wolskim i Lelewelem żył w Brukseli, pod generałem Bemem walczył w rewolucji węgierskiej w 49-tym roku, Mickiewicza poznał u schyłku dni jego żywota w Konstantynopolu.

Toteż starałem się często wracać pytaniami do przeszłych zdarzeń i ludzi, aby móc słuchać jego żywych i bogatych w treść niezwykłą wspomnień.

O różnym nastroju były te wspomnienia, zależnie od spraw i osób, o jakie potraçały. Był w nich i humor niekiedy. — Raz, baczę, była rozmowa o Słowackim, o jego w początkach twórczości zapoznaniu. Pułkownik nawiódł wspomnienie, jak studentem jeszcze, z rodzicami mieszkającymi na Wołyniu, był w gościnie w sąsiedztwie. Zjechało się osób sporo, był i mąż pani Bobrowej, który właśnie powrócił z Paryża i przywiózł nowinki świeże. Słuchano z ogromnym zajęciem. Otóż on, wśród wieczery, między innymi powiada:

— Wyobraźcie sobie, państwo, zjawił się w Paryżu jakiś młokos, który mieni się być większym poetą niż Adam.

— Ho, ho! Któż to taki? — pytano w zdziwieniu.

— A syn tego profesora z Krzemieńca, Euzebiusza Słowackiego.

— Cha! cha! cha!... — całe zebrane towarzystwo wybuchnęło jednozgodnym śmiechem.

Ironizował też pułkownik przy rozmowie o Krasieńskim, niestosunek wielkiej duszy do jej ideału, przypominając listy owej „boskiej Dally”, których forma jest zadziwiająca; dziwnym bo zaiste wyda się śmiertelnym, że ideał ten mógł pisać nieortograficznie.

Lecz najczęściej wspomnienia i opowieści pułkownika surowe były w treści, jak jego żywot pielgrzymi.

O sobie mówił niewiele i niechętnie — chyba

gdy tego wymagała koniecznie prawda rzeczy, którą przedstawiał słowem. Baczę jedynie wspomnienie jego osobiste o dniach głodu w Londynie i o biedowaniu w Bułgarii, gdzie był przymuszony nędzą nosić kotły na targ. Przy tym wspomnieniu ostatnim oczy jego z wdzięcznością i rozrzewnieniem spoczęły na milej głowie przyjaciółki-żony. Widać nie małą w tych ciężkich dniach była mu siłą i pomocą.

Najchętniej rad wspominał epizody z walk o wolność Węgier, w których jako oficer z wieloma towarzyszami polskimi brał udział. Opowiadał o generale Bemie, Görgeyu, Czajkowskim, rysując wyraziście ich postaci, lub o przebiegu bitew i potyczek, w których uczestniczył. Plastyka, z jaką kreślił obrazy walk, jako też wzruszenie towarzyszące słowom dowodziły gorącości jego udziału w tych przeprawach.

Nie zapomnę momentu. Pani Miłkowska grała...

Grywała dość często na fortepianie, a grała pięknie, może nie nazbyt uczenie, lecz dziwnie uczuciowo, osobliwie. Szopena zwłaszcza grała nadzwyczajnie, inaczej, niż się go słyszy przez wirtuozów grywanego. W Brukseli przez Wolskiego poznała jeszcze tradycje muzyczne salonu ks. Czar-toryskiej — jego własne, Szopena, reprodukowanie. Był to Szopen niejako mówiony — nierówny — głęboki i nadwrażliwy, wstrząsający do głębi i przedziwnie jakiś bliski, zwyróżniały. Na jej partyturze ołówkiem przez Ujejskiego wpisane słowa do mazurków dowodziły tym żywiej, że Ujejski nic Szopena nie czuł, nie rozumiał.

Otóż proszona przez nas jednego wieczoru zasia-

dła do fortepianu i poczęła grać. W kolei przerzucanych rzeczy zagrała *Marsza Rakoczego*. — Wśród tych związanych mocno, czardaszowych dźwięków przychodzi miejsce o wysokim potencjalnym napięciu. Pojrzę na pułkownika — a ten wysztwywniał jakoś, pobladł i lży mu po zaschłych licach jak tarki się staczają... Po przebrzmieniu tonów marsza, czując moje nieme pytanie, powiada:

— Marsza tego, a zwłaszcza jednego w nim miejsca, nie mogę słuchać spokojnie. To miejsce nawodzi mi żywo... Przy dźwiękach tych siedłem siedmnaście razy do ataku!

I drugie jego wzruszenie pamiętam.

Czytał mi parę razy, gdym był u niego w pokoju, na głos Słowackiego, aby podkreślić piękności, którymi się zachwycił. Czytał przepięknie, z istotnym zrozumieniem twórcy *Króla Ducha*.

Otóż przeczytał mi raz jednego wiersz *Na pogrzeb kapitana M. Zaczął* — rzecz tę ogromną w swej prostocie — prosto:

Braliśmy nędzną trumnę ze szpitalu,  
Do żebraczego mieli rzucić dołu.  
Ani lży jednej, pamiątki, ni żalu...

Czytał dalej z powstrzymywaniem drżeniem serca. Lecz gdy wygłaszał słowa:

...i niech się przed Panem  
Pochwali tym, co krzyż na grobie gada,  
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,  
Że go słuchała rycerzy gromada  
I że ojczyźnie jest niczym nie dłużny,  
Chociaż osobny ma pomnik — z jałmużny —

głos mu się złamał w wewnętrznym szlochu, lzy się po brzdach lic potoczyły.

Czułem, wzruszony, iż los swój, powstańczego pułkownika, widzi w tym żalonym losie „kapitana M.”, który, cały swój żywot oddając Ojczyźnie, ma w końcu pogrzeb — z jałmużny.

Opanował się jednak, wyprostował i niezwykle mocno, jak rozkaz ku niebu dzwoniący dumą boleści, zakończył:

...Ale Ty, Panie, który z wysokości  
Patrzysz, jak giną Ojczyzny obrońce,  
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,  
Zapał przynajmniej na śmierć naszą słońce —  
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,  
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

## JAKUB BOJKO JAKO PISARZ

Ile razy czytałem jakiś artykuł Bojki, zawsze miałem wrażenie, że słyszę głos któregoś ze szlacheckich pisarzy polskich szesnastego wieku, nawołujący do poprawy Rzeczypospolitej. Przejrzawszy wszystkie prace jego, widzę, iż te wrażenia moje nie były przypadkowymi; podobieństwo jego jako pisarza do tamtoczesnych mężów jest ogromne. Ten sam sposób dowodzenia: przez przypowieści, przez przykłady, przez niespodziane, proste porównania, wzięte z powszedniego życia, ten sam język obrazowy, prosty, a nie prostacki, i wreszcie — co najważniejsze — ta sama gorliwość święta o dobro Ojczyzny, prowadząca pióro jego jako pisarza i płomienną słowa jego — mowcy.

Widać też ze wszystkich prawie pism i artykułów Bojki, że zrodziła je potrzeba duszy kochającej, nie literacka próżność ani inne uczucia dusz małych. Jest to rzadki dzisiaj typ pisarza-obywatela, który wtedy jeno chwyta za pióro, jak i za pług lub kosę, kiedy istotna zachodzi potrzeba. Po cóż by się gospodarz rozumny w zimie np. kosą bawił? Taki obywatel-pisarz pisanie swoje uważa jak każdą inną pracę i podziwiając z daleka chodzących ze swoją wielkością jak z monstrancją „kapłanów sztu-

ki", nie wie, że częstokroć tworzy od nich rzeczy daleko większe artyzmem; podziwia sztukę piękną, ale nie u siebie — on to po prostu nazywa: pracą lub potrzebą.

Nasuwa mi się obraz... Oto na wąskim zagonie, a wśród pofalowanych pól i płątów wielobarwnych, chłop-Słowianin-robotnik, w dziedzictwie od wiek wieków pracę tylko otrzymujący — co widać w jego postaci — wiąże porośłe na pokosach żyto; pot mu orosił czoło, krew napłynęła do twarzy... spieszy się, a w momentach pomiędzy dwoma snopami rzuca trwożliwym okiem ku stronie zachodniej nieba, gdzie się wałkują groźne, kołtuniaste chmury.

I drugi obraz... Ten sam chłop w izbie przyczer-niałej, zszedłszy co dopiero z pola — gdy deszcz poczyną kroplami o szyby dzwonić — siedzi przy stole z głową opartą na dłoni; w oczach widnieje mu troska o nie dowiązane żyto, ale wnet ustępuje dużo większej trosce o wieś, o powiat i o cały naród, po ziemiach dalszych osiadły, któremu już wieki całe trwająca słota-niewola zatrula karmę serca, zblichowała duszę. Czuje on sercem, miłującym prawdę, że coś tam i wśród narodu nie tak się dzieje, jak powinno — i zabaczywszy do znaku o życie, chwyta za pióro, aby po raz setny napisać o tym braci-chłopom, a panów-szlachtę przestrzec: Niechaj baczą, aby się krzywda ojczyźnie nie działa...

Czyż to nie przypomina ziemianina-pisarza z minionych wieków, acz dekoracja inna i w izbie — miasto zbroi — proste sprzęty chłopskie — miasto porzuconego miecza — porzucone grabie? A jest jeszcze Bojko i w tym podobny do tamtych pisarzy,



iz jest rzecznikiem harmonii stanów, pragnie jedynie p o p r a w y Rzeczypospolitej. I wzrok jego najczęściej obraca się w przeszłość; monumentalność jej ludzająca, ludzie, przez oddalenie rosnący w olbrzymów, pomijając już kostiumową barwność — wszystko to razem pociąga jego poetyczną duszę. Nie wiem, skąd przyszło komuś wiązać z imieniem Bojki rewolucjonizm, kiedy to konserwatysta z ducha, w najszlachetniejszym znaczeniu. Dusza to zgoła niewspółczesna. I to jest naturalnym.

Kultura chłopska samorodna — tamowana, tłumiona przez wieki — nie mogła się tak szybko rozwinąć, jak by była mogła w swobodnej drodze; dziś jeszcze nie doszła kultury szlacheckiej szesnastego wieku. Z tej kultury samorodnej wyszedł Jakub Bojko — jest najjaśniejszym jej wyrazem — przeto, wyprzedzając stan swój, należy już (a więc jeszcze) do jej „złotego wieku”.

Gdyby mi przyszło najkrócej, przez porównanie, określić Jakuba Bojkę — nazwałbym go chłopskim Skargą. A na dowód tego określenia przytoczyłbym: jego prawość obywatelską, wysoką zdolność pisarską i zapał kaznodziejski, wywoływany trwogą o losy biednej Ojczyzny.

Na tym przedmowę zakończyłbym. Zastrzec się jednak muszę, iż pisząc powyższe uwagi, miałem na myśli Bojkę jedynie jako pisarza. I muszę jeszcze dodać: Rysując jego postać, jak ona mi się dziś przedstawia, nie twierdzę przez to, jakoby takim miał pozostać — nawet i w moim wrażeniu. Dusza może dojść w rozwoju swoim do nieprzeczuwalnych granic. Jeżeli rozwój jej jest naturalny, to możemy

jeno jej drogę przypuścić; w tym wypadku — przypuszczam — będzie to droga prawości. A trzeba też zawdy baczyć, iż na żywych wyroków wydawać nie można...

Wreszcie co do niniejszego zbioru pism i mów J. Bojki. Jest to niewielki wybór z prac tego pisarza. Pominęło się wiele rzeczy, nieraz wysoce wartościowych (choćby jako dokumenty), w których się tylko odbija tzw. aktualność, więc: artykuły polemiczne, kazania w czasie wyborów itp. — a wybrało się rzeczy, w których uwydatnia się talent opisowy ich autora (Listy) lub w których wyraża się jaśniej uczucie patriotyczne i jego zapał kaznodziejski (pisma przygodne, mowy etc.).

Posyłamy między ludzi tę książkę z nadzieją, iż wielu duszom stanie się radością, wielu przykładem i pożytkiem, a wielu znowu zastanowi i ku ludowi oczy ich obróci — co było celem autora, gdy prace te pisał. Niechajże ma jak największy plon — ten siewca boży, czego mu życzy sercem całym

Władysław Orkan

Poręba Wielka, dn. 12 grudnia 1903 r.

## MARIA WYSŁOUCHOWA

### Wspomnienie

„Z Boufałów Maria Wysłouchowa po długich i ciężkich cierpieniach zmarła 20 marca 1905 r. we Lwowie. O dobre wspomnienie Rodaków duch Jej prosi”.

Takie karty żałobne cień rzuciły na Lwów i poleciały po ziemiach polskich i dalej, jak czarne ptaki-wieści.

Nigdy może na żadną wieść o zgonie niewiasty polskiej tylu ludzi nie zapłakało. Nigdy jeszcze nad żadną mogiłą tyle dusz żalem przejętych nie stało. Nigdy nie zdarzyło się czytać telegramów, kondolencyj z wyrazami żalu i współczucia — tak szczerych, bezpośrednio z serca wypisanych, tak ociekających łzami prawdziwymi; a pod tymi kondolencjami tyle mówiących nazwisk ludzi, których we znacznej części solą tej ziemi smutnej nazwać można.

Już to wyraźnie wskazuje, kto nas odszedł i jakie życie musiało być Tej, która tyle żalości przez odejście swoje zostawiła.

Słowa są za powszednie i za zbrukane przez używanie ich częste w celach kłamanych określeń, aby wypowiedzieć żal, jaki uczuwa dusza strapiona, rozpamiętująca niepowetowany ubytek Ducha ja-

snego spośród nas, trwających tu jeszcze czas jakiś. Wyrzucić owo uczucie może chyba jedynie święte milczenie żałobne, jakie obejmuje duszę wobec mogiły, okrywającej nie zadarnioną ziemią wielkie Serce, które nam było jeszcze wczoraj żywe i darzące.

Ale milczenie mową jest osobistą bardzo. A mówić trzeba mową, która by słyszana była, gdzie tylko druk dochodzi, szczególnie tam, gdzie uciechą witano, jak najdroższego gościa, jawiącą się co miesiąc „Zorzę”.

Więc powtarzam naprzód, co osoby różne, a jednakim przejęte żalem, zapisały po Jej zgonie.

Maria Wysłouchowa urodziła się na Litwie, w tej ciaśniejszej ojczyźnie Mickiewicza i Kościuszki i wielu jeszcze serc wielkich, i obraz tej ziemi rodzinnej do końca żywota najmiłośniejszym jej pozostał — mówiła o niej z uczuciem gorącym, malowała ją żywo słowy płonącymi.

Jakie było Jej wzrastanie, jakie rozbudzanie się onych uczuć, którymi później miała nam zaświecić — o tym nie mogę, nie znając żywota Jej z tych lat, opowiedzieć. Mogę jeno nadmienić, iż z pewnością nie brała wzorów z nieba Orzeszkowa dla swoich bohaterek powieściowych, lecz musiała je spotykać na Litwie. A zaś krewną z ducha tych bohaterek (zwłaszcza Dzikiej z *Dwóch biegunów* i Seweryny z *Ad astra*) wydaje mi się Maria Wysłouchowa.

Za czym, według podanych, nauki wyższe czerpała w zamrocznym grodzie carów — i tam Jej duch, nienawidzący niewoli wszelakiej, tym silniej-

szym napawał się przeciw niewoli protestem. Potem słyszymy o Niej jako o nauczycielce w Warszawie, gdzie zjednała sobie przez bogactwo duszy swej niezwykle wiele serc dużych i umysłów — tu do Galicji później wspomnienia częste za Nią szły i stąd wymieniała z przyjaciółmi tam pozostałymi listów budujących sporo.

Aż wreszcie z mężem swoim, Bolesławem, z ziemi prześladowań carskich przybyła do Galicji. Wiadomo, jakie tu najdowali „schronienie” Królewiaczy i rodacy z Litwy, zwłaszcza ci, którzy nie przyszli szukać spokojnego dachu nad głową, ale nowego pola czynu... Nie było kamieni, których by im pod stopy nie rzucano — nie było oszczerstw, których by na nich nie miotano. Gorycznie wspomnieć!

Dziś przecie już w tej smętnej Galicji wyrąbano parę okien „na Europę” — wonczas była jako gmach koszarowy, jako ta izba zadymiona z okiennicami zamkniętymi szczelnie.

Maria Wysłouchowa była jednym z tych świetlnych promieni, które przez szczelinę, zawiewem wichru ducha uczynioną, wpadły do ciemnej izby — i powiem bez przenośni: była jakoby budzącym aniołem, który stanąwszy u drzwi półotwartych, wołał w głos zaczadzonych mieszkańców ku światłu...

Osiadłszy z mężem we Lwowie, poczęła naprzód gorącą działalność wśród niewiast lwowskich. Chciała ona duszyczki, interesom małym poślubione, zachęcić sposobami, jakie Jej rozum i serce nasuwały, do pracy nad sobą i nakłonić je do pracy społecznej. A natrafiała co krok na mur przeszkód,

zatechłych pojęć i przesądów. Brała też udział w „Czytelni Naukowej”, ogniskującej podówczas najdzielniejsze umysły spośród młodych. Przy tym współpracowała w redagowanym przez męża „Przełędzie Społecznym”.

Rozumiejąc, iż duszom dzieci winno się przede wszystkim uwagę poświęcić, aby zaś nie wyrastały zubożone, jakie ze smutkiem co krok spotykała, oddała się z całym właściwym Jej zapałem nauczaniu. A nauczanie rozumiała w jedynym świętym znaczeniu: Duszom ku rozwojowi pomagać. Zachowały też dla Niej wdzięczność i cześć, które od Niej, jako swej nauczycielki, skarby ducha i serca Jej brały. Jedną z Jej dawnych uczennic wspomina: „Nieraz dawała nam kwiatki. Dając, opowiadała zazwyczaj legendę, podanie ludowe o odnośnym kwiatku; czyniła go w ten sposób mówiącym niejako — czyniła z niego nowy łącznik między duszą dziewczęcia a ludem tej ziemi”.

Nie na tym polu jednak miała nam dusza Jej, nie znająca spoczynku, w całej swej pełni zakwitnąć, ale na niwie naskiej, na ugorach chłopskiego mozołu. Tym ochotniej skierowała zdolności swe na to nowe odłóże działania, iż spotykała tu serca wdzięczne, naprzeciw idące, podczas gdy działalności Jej nauczycielskiej stawiali przeszkody sami rodzice-spółobywatele.

I tu jedyną dewizę miała: Duszom ku rozwojowi pomagać... Najświętsze to działanie, z jakim dusza, miłością przejęta, może do ludzi przyjść. Za to pamięć Jej czymy i przez to duch Jej pozostał przy nas — i w nas po części — nieśmiertelnie, póki

to życie iść będzie po schodach swoich — ku Bogu...

Dla narodu polskiego świętą pozostanie, bowiem pełniła przykazanie serca, miłującego Ojczyznę — miłość ta gwiazdą Jej była przewodnią — i setki, tysiące dusz, narodowo nie uświadomionych, nieznużoną pracą swą Ojczyźnie zdobyła.

Stronnictwo Ludowe, albo właściwiej narodowe, miało w Niej pracownicę dzielną. I jeśli duszą Stronnictwa był (jako i jest) Bolesław Wysłouch, to Ona była tego Stronnictwa sercem. Korespondowała na szpaltach „Przyjaciela Ludu” i osobiście z wielu włościanami, a każdego duszę rozumiała, z każdym umiała pomówić o tym, co go najbardziej dotyczyło. Kochał Ją też lud świadomy, jako swoją nauczycielkę jedyną, czego dowód widoczny dał, zgotowawszy Jej owację serdeczną w czasie Wystawy Krajowej we Lwowie.

Więcej jeszcze zespoliła się z ludem, gdy zaczęła wydawać „Zorzę”, pismo miesięczne dla niewiast. Miesięcznik ten ostanie na długo wzorem, jak powinno być prowadzone pismo literacko-społeczne dla ludu. Niestety — i Ona czuła to, mimo skromności swej — nikt Jej w podobnej pracy nie zastąpi. Przy współpracownictwie paru ledwie piór zapełniała „Zorzę” prawie sama, opowiadając w sposób przystępny a mądry o wielkich naszych duchach, o ludziach czynu i nauki, o ważniejszych momentach historycznych, o wszystkim wreszcie, co serca w szarzyźnie życia mizernego krzepi i ducha do borykań o święte prawa sposobi. Dlatego „Zorzę” nie jeno niewiasty wiejskie mogły czytać

z pożytkiem dla siebie — czytali ją też chętnie chłopci, uważając ją za pismo „swoje”. Zaś jako wydawczynię charakteryzują Ją najlepiej Jej własne słowa (z listu do Jana Wantuły na Śląsku): „Proszę nie szukać dalszych nowych czytelników, i tak aż za wiele ich w Ustroniu. Wszak jedni od drugich mogą pożyczać do przeczytania. Szkoda krwawo zapracowanych groszy...”

To zdanie ostatnie mówi więcej o sercu Jej niż cała spisana książka. Tak czysto kochała lud, jego ducha niewydobytego, tak serdecznie obchodziła Ją jego nędza. Słusznie też „Przyjaciół Ludu” we wspomnieniu pośmiertnym, gdzie Ją nazywa orędowniczką i pocieszycielką ludu, po wyrażeniach smutku z utraty Jej, pisze: „Możemy powiedzieć, że umarła z żalu serdecznego i strapienia nad niedolą ludu polskiego”.

Oto w najkrótszym ujęciu obraz zbożnej pracy, jaką Maria Wysłouchowa życiem swym pełniła. Pominięte zostało wiele, bo całe piękno, na które się składały godziny wszystkie, tak pilnie i umiejętnie przez Jej zapał twórczy zapełniane.

Oдноśnie do pracy Jej społecznej to trzeba zaznaczyć, iż nie chciała Ona „przemieniać ziemskiej doli w żywot ducha na księżycu”, lecz tu na ziemię słońce chciała ściągnąć, aby wszystkie dusze ludzkie, zwłaszcza te w ciemni, jako nać ziemniaczana w piwnicy, rosnące, promieniami żywotnymi ogrzało, iżby wszystkie zarówno mogły rósć — ku niebu...



Taki z miłości zrodzony zapal ludzie mali zwa egzaltacją, rozumiejąc, iż oni w swym przyziemnym pelżaniu wyżsi są od dusz płonących dążeniem ad astra...

Aleć Maria Wysłouchowa umysł miała krytyczny, jeno nie suchy... przez co poezją stawał się każdy Jej wykład rozumowy. Nie było też dla Jej umysłu dziedzin obcych. Tu mi się zbaczuje, jak z bratem przyrodnikiem zaszedłem do Niej we Lwowie przed laty kilku. Wiedząc, czym serce przyrodnika najbardziej ucieszy, mówiła z nim o przyrodzie tej ziemi przez całą niemal godzinę z taką znajomością rzeczy, zwłaszcza roślinnego świata, iż on, w poznaniu tej dziedziny wiedzy nieostatni, wyszedł z rozradowanym umysłem, do znaku oczarowany.

Posiadała Maria Wysłouchowa ogromny dar i artyzm słowa. Styl Jej szlachetny, prosty, nie szukany, a ozłacany płomieniami serca, był dokładnym wyrazem Jej kryształnej duszy. I mówczynią była urodzoną. Mówiła tak, jak pisała. Dała się też poznać jako znakomita tłumaczka literatury pięknej z języków słowiańskich. Przekład Jej powieści Jiráska *Chodowie* może stanąć w rzędzie przekładów Miriama z pism Juliusza Zeyera.

Pamięć posiadała nadzwyczajną. Rzecz raz przeczytaną, zwłaszcza rzecz drogą Jej sercu, mogła powtórzyć po latach prawie że dosłownie. Pamięć ta — to wielkie dobro — stała się Jej w latach ostatnich cierpieniem, bowiem wszystkie zawody przeżyte, wszystko, co mogło ranić przez chorobę stekliwione włókna zbolełego serca, nie załoniało

się w mgłę przeszłości, ale trwało wciąż żywe, raniące...

Tyle podaję słów o strunach harfianej Jej duszy. Kto miał szczęście zbliżyć się ku Niej i poznać Ją w zaznaczonych powyżej działaniach, ten sobie obraz Jej ducha dołączeniem oświetlających wspomnień uzupełni.

W żałobnym rozpamiętywaniu Jej słonecznego ducha i promieniowania jego na dusze, przyjaźnią Jej serdeczną darzone, słyszę Jej słowa ostatnie, które mię doszły w kraju obcym:

„...O cudnej, a nade wszystko ukochanej krainie niech mówią ci, którym głos dano — a słowa ich niech padają ogniste w dusze ludzkie, aby nie wyziębły nigdy — nawet w śmierci godzinie”.

Jaką dla mnie w chwilach słabości, znużenia — taką była Ona dla wielu: budzącym Aniołem czynu.

Nie piszę żywota, świętej dla narodu polskiego, Marii Wysłouchowej. Na to jeszcze za wcześnie. Żywot czyjś winien gromadzić w ognisko jedno wszystkie promienie czynów jego, aby światło, stąd powstałe, ukazało nam ducha w całej pełni, w jakiej się na ziemi ujawnił. A bardzo wiele z czynów Marii Wysłouchowej nie znanych nam jest, zamkniętych jeszcze dla oczu naszych — pamięć ich żywie w sercach wielu jednostek i rodzin. A wielu osobistych czynów pamięć duch Jej zabrał ze sobą ze świata, bowiem nie ujawniała ich za życia nawet tym, którym czyniła dobrze, aby uniknąć podzięki i pewnego rodzaju zapłaty — wdzięczności.

Ze znaleźmy Ją jednak jako odczuwającą każdy ból, każde cierpienie, każde strapienie nawet drobne dusz, które spotykała, i w dobroci swej anielskiej pragnącą ile mocy każde owo cierpienie usunąć — przeto możemy śmiało twierdzić, iż czynów Jej tych cichych, ocierających łzy, niegłośne smutki, było w Jej świętym życiu mnogo.

Z serdecznych smutków, łez nad grobem Jej gęsto roszonych można też wnioskować, iż wielu oplakiwało Ją jako swoją w chwilach nieszczęścia dobrodziejkę. Te czyny Jej choć w części kiedyś się ujawnią, gdy serca, ochłonięte z bezpośredniości żalu, poczują potrzebę spowiedzi dla pamięci Świętej i dodadzą nowe klejnoty — łzy otarte — do wieńca Jej zasług.

Lata ostatnie były Jej męką — nieustannym, powolnym konaniem. Cierpieniem serca od świata odcięta, interesowała się przecie do ostatka przejawami walk ducha ludzkiego. Duch Jej przemagał ciało, w jeństwie okrutnej męki ostające, i pomagał niszczyć je pomału śmierci. Aże nas dnia 20 marca br. odeszła...

Odeszła w mrok... pozostawiając za sobą,  
Jako zagasłe słońce na jeziorze,  
Smugę świetlistą,  
Dusze smutne i serca przejęte żalobą,  
Patrzące w Jej zagasłe życie, jako w zorzę,  
W tarcz słońca czystą...

Odeszła w mrok... lecz duch Jej z oddalenia świeci,  
Słoneczniej i dąży, gdzie „wielkie osoby”,

Gdzie nasi święci —

A my, tej smutnej ziemi smutne dzieci,  
Mijamy te bogactwa nasze, święte groby,  
Bólem przejęci...

Uświęceń czar rzuciła na nas swoim zgonem,  
I że w nas jest przy pracy, jako Bóg w świątyni,

Duch Jej przytomnie —

I dusza pamięć świętą Jej wielbi pokłonem  
I mocne w sercu swym przysięgi czyni:  
Dążyć niezłomnie!...

O Duchu jasny! Bądź nam ku pomocy!

I gwiazdą nam bądź jutrzenną, przewodnią

Wśród tego młynu

Życia, mielącego mrok... Wśród ciemnych nocy

Bądź nam, jak byłaś w ciele swym, pochodnią,

Aniołem czynu!

*Blonay — Poręba Wielka, 1905*

## MŁODA POLSKA

Gdyby zebrać wszystkie napaści, jakie się sypią od półtora roku ze strony prasy różnych obozów na tak zwaną Młodą Polskę, wszystkie pseudo-poważne rozbiory i krytyki o „nowej szkole literackiej” — toby doprawdy powstało poważne dzieło, pomnikowe dzieło głupoty galicyjskiej i naiwnego bezkrytycyzmu naszych ślepych obserwatorów.

Młoda Polska jest dla byle reportera taka sobie „instytucja, jak magistrat”, po której można się od czasu do czasu przejechać, dla klerykała — „domem wszelakiej rozpusty”, dla zdrowo myślących — „szpitalem nieuleczalnych wariatów”... Dziwne, jak wszyscy, mający o niej różne pojęcia, zgodnie i przyjacielsko na nią napadają; wtóruje im zaś bezmyślnym hałasem kołtuneria mieszczańska, która zasłyszała coś o „modernizmie i tych przeklętych dekadentach”...

Wszyscy z Młodą Polską rozprawiają się tak mężnie i zaciekle, że doprawdy, gdy się patrzy na to, przypominają się komicznie śmiałe wyprawy księdza Załęskiego przeciw masonom w kraju, których nie ma... Nazwa sama zastępuje tu konkretne pojęcie i przybiera żywe, czasami monstualne kształty... I jak „chorym dekadentem” był ksiądz

Załęski, mający różne „wizje” masońskich diabłów, tak chorymi dekadentami są ci, którzy widzą Młodą Polskę raz czerwoną, drugi raz białą, a trzeci raz chorobliwą histeryczką. Czyż Młoda Polska zmieniłaby się z każdorazową zmianą redakcji „Życia”? To śmieszne.

Cała ta niewytłumaczona zaciekłość prasy przypomina częste przypadki, kiedy to panna ze dworu idzie błoniem, zbierając kwiaty po drodze i nie spostrzega, że czerwona parasolka drażni dookoła pasące się krowy. Poczynają buceć i wyrzucać raciami darnie ziemi... I w chwili kiedy się rzucają bóg — panna składa parasolkę, a krowy stają z ogromnym wyrazem zdziwienia (jak często we „Fliegende Blätter”), widzą bowiem przed sobą młodą, uśmiechniętą dziewczę, które im trawę z ręki nieraz dawało...

Takie naiwno-bydłęce zdziwienie ogarnęłoby prasę i całe społeczne otoczenie, gdyby nagle poza tą osławioną, drażniącą nazwą Młoda Polska zobaczyli znaną, uśmiechniętą twarz młodego życia, całą młodą literaturę, pełną zdrowia, sił i zapału, idącą błoniem — ku pasterzom... gdyby ujrzeli całą, prawdziwą, szeroką, nie ujętą w ciasne jakieś łamy, młodą Polskę, która dookoła nich śpiewa, budzi i nawołuje, i oczyszcza ich zepsutą przez stęchliznę czasu krew... gdyby ze zdziwieniem spotkali twarz stugłowego boga-wychowawcy, który nie słomę, ale kwiaty podaje im z ręki... Wszędy, gdzie młody żyje duch, nie tylko młoda kipi krew — tam utajona młoda Polska, nie pusty sztandar, nie nazwa, ale treść ducha narodowego!...

Pan Ludwik Szczepański winien, że dał panience czerwoną parasolkę, sprowadzoną z Wiednia od znanej firmy „Jungdeutschen”... P. Szczepański bowiem przywiózł ze sobą nazwę Młoda Polska.

Przyjechał on przed półtora rokiem do Krakowa z chęciami najlepszymi, z energią do pracy i z wiarą w dobrą sprawę. Zakładając tygodnik literacki „Życie”, trafił jak najlepiej, gdyż właśnie w tym czasie rozbudził się ruch literacki wśród młodzieży, która też zgrupowała się obok młodego pisma, uważając je słusznie za swój organ. Nie było żadnego programu ani łączności myśli pomiędzy młodymi; nawet wyraźnie odcinały się różne kierunki, szczególnie w poezji, które polegały na tym, że jedni uważali Tetmajera za duchowego swego prowadzycy, drudzy Miriama lub Kasprowicza itp. Wszyscy tylko godzili się na jedno hasło: „Precz z szablonem w sztuce i uświęconą błagą literacką!” Bo się też rozpanoszyły tak, że aż duszno było w tym zatęchłym powietrzu... Poczęto się rachować ze sumieniem paru niezasłużonych „wielkości”, ośmielano się krytykować nietykane „bogi”, lecz co najważniejsza, otwarło „Życie” małe okno na Europę, dając obraz nowych kierunków w sztuce i literaturze zagranicznej — tak że za jego przykładem pisma stare (jak „Tygodnik Ilustrowany”) poczuły się wreszcie do obowiązku informowania społeczeństwa o każdym, choćby niesympatycznym dla siebie, ruchu.

Chaos był w tej grupie młodych literatów, ale była młodość, życie, ruch... Ożywionym dyskusjom nie było końca. Najczęściej schodzili się w cukierni;

a że siedzieli godzinami przy jednej czarnej kawie lub przy czterech szklankach wody, odnosząc się złośliwie do całego otoczenia — więc przezywano ich „dekadentami” i Bóg wie czym jeszcze... Zapominano zaś do znaku o tych dwójkach i trójkach, zbierających się na poddaszu, którzy świat burzyli przyszlými swymi dziełami i jak piskłeta młode — nieopierzone geniuszki — zrywali się do orlich lotów...

Z numerami „Życia” rosła liczba talentów; ukazywały się coraz to nowe i świeże. Znani już przedtem: Górski Artur, Żuławski, Szukiewicz rozwijali się szybko, pokazując jaśniej cechy swego talentu w nowych swoich utworach. Artykuły Górskiego wzbudzały niekłamany zapał wśród młodego otoczenia, a piękne tłumaczenia liryków czeskich przez Szukiewicza dawały poznać tę świeżą, wiośnianą literaturę niedawno rozbudzonych pobratymców. Poezja rozkwitła naprawdę w młodym piśmie; bo pomijając już znanych, lecz nie zawdy uznanych: Tetmajera, Kasprowicza i Langego, szedł cały zastęp młodych talentów, jak: Pieńkowski, Perzyński, Mierzejewski, A. Łada, Sterling, Komornicka, Nawrocki, Wolski i w. in. W ciętych artykułach i „Echach” końcowych dał się poznać A. Nowaczyński („Przyjaciół”) jako bardzo zdolny dziennikarz i dowcipny felietonista; w „przeglądach” zaś ujawnił niemały talent krytyczny T. Konczyński, młody, niedawno upieczony (na konkursie Wydziału Krajowego) dramaturg.

Za redakcji Sewera faktycznie redagował pismo dr Artur Górski. Współpracownicy pozostali ci sa-



mi; przez to zaś, że odpadły końcowe polityczne i społeczne „Echa”, pismo przybrało wyraz łagodniejszy, stało się więcej jednolitym, spokojniejszym daleko i — starszym...

Tak było do czasu, gdy przyjechał Stanisław Przybyszewski i objął redakcję upadającego już pisma. Przybyszewski (który dla rozwoju literatury powszechnej większe ma znaczenie niż Sienkiewicz na przykład), twórca *Satanskinder* i wielu silnych utworów, przecudownym pisanych językiem, zwany u Niemców „der geniale Pole” — znany był wśród młodych od niedawnego czasu. Czytano jego pisma z ogromnym zajęciem, ale wpływu żadnego nie wywierał. Inna rzecz, gdy przybył do kraju i stanął na czele pisma. Można było przypuszczać, że w zetknięciu z tą wielką indywidualnością zatracą młodzi swój charakter i ulegną jego wpływowi, tworząc jego szkołę — „szkołę Przybyszewskiego”...

Do tego jednak nie przyszło. Może temu, że tworzyć szkoły literackie jest tylko właściwością romańskich narodów, albo też na innym zupełnie podkładzie myśli wyrosła najmłodsza literatura polska... W każdym razie Przybyszewski stoi sam. Prócz żony i paru naśladowców, którzy z czasem znikną, nikt nie ulega jego wpływowi, mimo że Przybyszewski, jako fanatyczny wyznawca religii instynktów i bezwzględnych praw nagiej duszy, jest despotycznym i bezwzględnym w stosunku do swego otoczenia.

Aby pisać tak jak on — trzeba być tylko Przybyszewskim. Religię jego mogą wyznawać tylko „*Satanskinder*”... A zatem jego *Confiteor* w „*Życiu*” nie może być programem młodych, jak to przy-

jęła prawie cała prasa, lecz tylko esencją jego myśli, wyznaniem wiary, które można wyczytać we wszystkich jego dziełach.

Według niego:

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu-duszy. A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiegokolwiek idei, jest panią, praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło. Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runy, obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie zna ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszech-natury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej. Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patriotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny przestaje być sztuką — a staje się biblia pauperum dla ludzi, którzy nie umieją myśleć...”

Według niego też:

„Kapłan sztuki, artysta nie jest sługą ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei ani żadnemu społeczeństwu.”

Oto jego religia i wiara, której kapłanem jest i jedynym u nas w tym kościele wyznawcą. „Życie” pod jego redakcją stało się zbozem misteryj i nadziemskich wizyj i ekstaz; zbór ten odwiedzają jednak i ludzie „niepowołani” i często popełniają świętokradztwa, stawiając na ołtarzu obok czczonych bóstw — swoje własne...

Więc skoro nie ma szkoły Przybyszewskiego, a on sam nadaje ogólny charakter „Życiu” — gdzież się zapodziała tak zwana Młoda Polska?...

Odpowiem: Życie jej nie związane z „Życiem”... Młoda Polska żyje wszędy, gdzie tylko żyje młody duch. Słowacki spoza grobu jej przewodniczy, a tu na ziemi wskazują jej cele synowie Jego ducha, natchnieni śpiewacy...

Życie młodej literatury zapuściło już głęboko korzenie w społeczną glebę; każde drzewko czerpie dla siebie soki żywotne z warstwy, na której wyrosło i niezadługo — zaszumi las...

Kraków, luty 1899 r.

## MŁODA POLSKA

[Fragment odczytu]

O Młodej Polsce tyle wypowiedziano zdań mądrych i głupich, śmiesznych i więcej śmiesznych, stąd tyle utarło się opinii różnych, że z trudnością przychodzi mówić na ten temat, bo się staje wobec urobionych już w umysłach pojęć, i niełatwo je odmienić ani przeinaczyć, zwłaszcza jeśli się urodziły z plotek.

Plotka, ta codzienna strawa umysłów nierozwiniętych, zastępuje częstokroć w współżyciu rodzin, grup — literaturę. Roznosicielami plotek są w pierwszym rzędzie dzienniki, a w drugim rzędzie owe zajmujące panie, które się wiecznie zajmują czymś,

a nic nie robią, których więcej interesują osoby piszących niż ich dzieła. „Nie wie pan, co się dzieje z Przybyszewskim?” — „Czy Tetmajer żonaty?” itd.

Z plotek powstają opinie o ludziach, o grupach całych. Im bezmyślniejsze określenie, tym się dalej szerzy, jak zaraza hodowana na żyznych warstwach głupoty. Młodą Polskę oblepiano tak etykietami, że jej prawie spoza nich i widać nie było; byli to: „moderniści, symboliści ciemni, wyznawcy satanizmu i pół tuzina innych «izmów», zwolennicy chorych kwiatów, dekadenci straszni, alkoholicy, zapijający się czarną kawą! i ... jeszcze inni, bardziej niemoralni”.

Nie myślę temu bynajmniej przeczyć. Ale... chodzi tylko o jedno małe nieporozumienie: „Któż to jest ta Młoda Polska?”

I o tym pragnę mówić. Gotową nazwę Młoda Polska — rzekłbym: niejako szyld namalowany — przywiózł Ludwik Szczepański z Wiednia od znanej firmy „Jungdeutschen” i założył w Krakowie tygodnik literacki „Życie”. Trafił na dobry czas, bo właśnie o tym czasie zawiązało się było „kółko literackie”, złożone z ludzi młodych i bardzo jeszcze młodych, szukających dróg świeżych dla swojej twórczości. Naturalnie ci wszyscy zgrupowali się koło „Życia”, i to był zapoczątek tak zw. Młodej Polski, a raczej „szkoły krakowskiej”, jak ją jeszcze zwano. Wśród tych młodych nie było myślowego łącznika; natomiast łączyła wszystkich szczerść, z jaką się odnosili do siebie wzajem i do sztuki. Oczywiście, że wśród grona rzetelnych talentów nie

brakło i humorystycznych postaci, które, rzucając się w oczy, nasuwały zewnętrznemu patrzącemu fałszywe wyobrażenie o wszystkich. Takich postaci nie brak w żadnym ruchu, w żadnej literaturze. Po Szczepańskim redakcję „Życia” objął Artur Górski, który uprzednio już zamieszczanymi w „Życiu”, pełnymi szczerego zapału artykułami oddziaływał dodatnio na ruch młody.

Aż wreszcie, poprzedzony sławą, odgłosem sztucznych fanfar i bezkrytycznych zachwytów, przyjechał do Krakowa Przybyszewski. Zdawać się mogło ludziom z boku, że on zgrupował młodzież dokoła siebie, oddziałął na nią mocą swej indywidualności i stworzył „szkołę literacką” swoją.

Tak nie było. Przybyszewski nadawał swój charakter piśmiu, drukując w każdym numerze prawie rzeczy swoje, i to po kilka równocześnie, zamieszczając przy tym prace swojej żony i niewiast srodze historycznych, naśladowujących z powodzeniem jego styl bogaty — ale na grono talentów szczerych, jakie zastał, nie wywarł żadnego wpływu — chyba ten jeden, że rozbił pożycie młodych między sobą. Z jakich powodów — mniejsza. Rozprysnęli się, podsuwali — i każdy szedł swoją drogą, nie uważając na hałasy.

Natomiast koło Przybyszewskiego, a raczej koło stołu, przy którym zwykł był siadywać w kawiarni, gromadzili się ludzie nie mający nawet platonicznych stosunków z literaturą; wielbili jego dzieła, nie znając ich, i pili z nim: to była ich wspólność ze Sztuką. Ich też patrzący z boku zwali Młodą Polską. A jakże. I takie pojęcie „Młodej Polski” rozszerzyło

się, opinią się stało nawet, krzywdzącą wielu młodych... Nie dziwota. Karykatura od obrazu lepiej się podoba, bo... karykatura. Hałas ucichnął.

Co nowego przyszło z tą nazwą „Młoda Polska”, przyczepioną niefortunnie do ruchu krakowskiego, a później rozszerzoną na cały w pędzie rozwoju młodego tętniący ruch literacki w Polsce?

Przyszedł Wyspiański. Przyszli młodszy: Staff, Żuławski, Perzyński itd. Przyszedł wreszcie Przybyszewski, ten oddziałował mało — mniej, niż mniemają powszechnie.

Ale co najbardziej dodatnio na twórczość Polski młodej oddziało — to ruch sam, jaki się czynił, ścieranie się poglądów na Sztukę. — To oddziało — dało pęd żywszy duchom, gorączkę tworzenia, zwiąło szarość trującą, jaka nużyła dusze, wyrodziło ambicje większe itd.

Dziś, gdy organu pisma wspólnego nie ma, bo „Chimery”, jak komety niezwykle rzadko ukazującej się, nie można nazwać organem młodych — gdy bezrozumnie zwany przywódcą Młodej Polski, Przybyszewski pozostał, jakim był przedtem — gdy mgła się już podniosła i rozjaśniły się oczy — widzi się dopiero różnorodność twórczych pędów — rozbieżność talentów — widzi się mnogość indywidualności na krańcach wprost przeciwnych od siebie stojących, o różnych światopoglądach i rozmaitym pojmowaniu Sztuki — widzi się bogactwo wielkie — zastęp talentów taki wielki, jakiego nie mieliśmy nigdy, jakiego — śmiało można dziś powiedzieć — żaden naród w Zachodniej Europie nie posiada.

W dramacie: Przybyszewski, Wyspiański, Kisielewski, Rydel, Konczyński, Szukiewicz itd.

W poezji: Kasprówic, Tetmajer, Miriam, Staff, Konopnicka, Nowicki, Żuławski, Perzyński, Pieńkowski, Ruffer, Mierzejewski, Jedlicz, Or-Ot, Lange, Komornicka, Leszczyński, Zbierzchowski, Miranda i wielu, wielu innych.

W prozie (z młodych): Żeromski, Reymont, Przybyszewski, Sieroszewski, Berent, Niemojewski, Daniłowski, Nowaczyński, Cybulski, Siedlecki, Ortwin, Górski Artur, Potocki Antoni i jeszcze, jeszcze wielu.

Wszystkich zaś (z nielicznymi wyjątkami tylko) łączy przede wszystkim: szczerłość, umiłowanie piękna czystego, nienawiść przeciętności, której dał wyraz w swoim studium *Szeerbart* jeden z najgoręcej czujących satyryków naszych — Adolf Neuwert-Nowaczyński, dając sylwetę przeciętności w me. Müllerze.

[cytat]

Przytoczyłem umyślnie ten ustęp, bo daje wyraz zapatrywaniu młodych z jednej strony, z drugiej charakteryzuje najlepiej Nowaczyńskiego jako pisarza.

Charakteryzować wszystkich zajęłoby wiele czasu. Ograniczę się do paru wybitnych, wybierając z ich skarbnic bogatych to, co mi się zdaje ich umiłowani najbliższym.

Wyspiańskiego dzieła — zwłaszcza szczytowe jego *Wesele* — znane są i świeżo zapewne w pamięci tkwią wszystkim.

Natomiast pozwolę sobie przytoczyć również

znany, ale z dawniejsza nieco, wiersz K. Tetmajera, na to jedynie, aby pokazać, jakim wielkim artystą może być człowiek nie spekulujący na sławę przez malowanie rycerzy zakutych w czarną zbroję. Jest to jego najmilszy dla mnie *Anioł pański*.

[cytat]

Szybko bardzo wyszybował w górę talentem wielkim Leopold Staff. Dla scharakteryzowania rozpędu, uświadomionej mocy, jaką w duchu czuje, powiem jego jeden sonet ze *Snów o potędze*.

[cytat]

Rozrósł się, rozpotężniał jak buk, który z latami nabiera mocy — Jan Kasprówicz. Przypomnę tylko ten przeczysty hymn z *Pieśni wieczornej*.

[cytat]

Nie mogę też nie wspomnieć o człowieku najszczerzej, najboleśniej czującym szarość i nędzę życia naszego niewolnego pokolenia. Wybieram krótki ustęp z *Godziny*, który tak dobrze odtwarza jego wielkie serce.

[cytat]

[. . . . .]



[Z RECENZJI]

Lucjan Rydel *Poezje*, Warszawa—Kraków 1901

Znałem bardzo zdolnego grajka, o którym ludzie, na jego pochwałę, powiadali mi: „On ma, wiesz, taki talant, że co usłyszysz, to wygra”. I grał wszystko z pamięci: góralskie śpiewki, kołomyjki, mazury, czardasze, kujawiaki, miejskie tańce, ba, nawet *Marsz Radeckiego*, a jakże? „Jeno ze siebie to nic nie potrafi — powiadali mi na ucho. — Ale co ta o to, kiedy gra, aż dusza skacze”. I przepięknie grał. Mógł całą noc grać do rana, a ręka mu nie zwiśla. Kiwał się drzemający, a uparcie grał.

Zdaje mi się, że p. Rydel ma taki „talant”. Co usłyszysz, to wygra. Nawet bardzo ładnie, ale wygra po swojemu, na odmienną nutę. Wszystko u niego cacane, wymuskane, słodkie, nawet krzyk ma jakieś tony miękkie, jak w pierzynie. Nie dziwota, że go p. Gawalewicz „przyciskał do serca” zaraz po pierwszym wydaniu jego poezji: Dusze tkliwe zawdy liryzm ogarnia, gdy się zejda; płaczą nad sobą z radości wielkiej, że się zeszyły, że obie żyją współcześnie. To wzrusza! Ale takim lukrecjowym liryzmem cały tom przesiąknięty, to za wiele. Po przeczytaniu całości, formułując wrażenie odniesione, można

tylko powiedzieć słowami poezji p. Gawalewicza: „Tak mi jakoś... tak mi jakoś... że sam nie wiem”.

Ma też p. Rydel swoją ambicję poetycką, a jakże! Tetmajer napisał sześć sonetów z mitologicznych podań greckich, p. Rydel powiedział sobie: „Ja napiszę dwanaście!” I napisał. Ani o jeden mniej. Te sonety są najlepszą częścią zbiorku. Tu potrzeba było przede wszystkim techniki piłowania i misternego rzeźbienia, a tę posiada p. Rydel bezsprzecznie i w wielkim nawet stopniu.

Połowę książki zajmują wierszyki pisane do narzeczonej, na temat miłości, szczęścia i życia wiejskiego. Naturalnie: skowronek i słońko na tle złocistych zbóż. Tak mało szczerości w tym wszystkim, że człowiek z podziwem myśli: Jak można pisać, nie czując? — A może kto tak czuje, nie inaczej? Chciałbym jeno zaznaczyć, że p. Rydel ma język czysty i włada nim świetnie. A pisząc, postępuje tylko w myśl chrześcijańskiej zasady: Na to Pan Bóg dał człowiekowi język, aby gadał. A skoro druk wynaleźli...

Leopold Staff *Sny o potędze*, Warszawa—Kraków 1901

Pierwszy tom poezji wydał Staff, i tym zbiorem stanął od razu w pierwszym rzędzie naszych współczesnych poetów. *Sny o potędze* to przeczysta poezja kryniczna, niezmacona niczym. Bo i forma doskonała odpowiada głębokiej myślowej treści zawartych w książce utworów. Jest ich sporo, jak na po-

czątek, to nawet bardzo wiele, a każdy piękny swoją własną pieknością i odblaskiem ogólnym, jaki rzuca na twory swojej wyobraźni i umysłu indywidualność wielka, skryztałizowana w sobie, świecąca własnym ogniem duszy, nie pożyczanym od słońca i gwiazd innych. Ani jednego słabego wiersza nie ma w całym tomie. Przewraca się wszystkie karty z prawdziwą rozkoszą. Co najbardziej zdumiewa, to wielka dojrzałość umysłu w tak młodym wieku. Taki np. hymn do kobiety-matki. Któż w dwudziestym roku życia tak umie patrzeć na życie prawie że z chmur? Albo takie porównanie:

Wszecławiat się cały dzwonem stał, a jam jest sercem tego  
dzwonu.

Olbrzymi dzwon brzeg oparł swój o widnokreśli nieboskłonu.  
Trącony w ruch, rozchwiany w pęd, rozmachem miota się  
i ciska,

Buja nad chmury, spada w dół... szalona straszna ma kołyska!  
Ja, serce dzwonu, pełen trwóg w spazmie przerażeń oszalałem  
I w stuleżyczny twardy spiż uderzam okrwawionym ciałem!

Chcąc wykazać wszystkie piękności poezji Staffa trzeba by studia pisać. Uczynią to zapewne inni. Ja tylko pragnę zwrócić uwagę czytających na książkę skromnie wydaną, a zawierającą prawdziwe skarby poezji, tak u nas rzadkie, mimo tylu piszących „poetów”. Naprzeciw młodego Staffa można zawołać z triumfem: Gwiazda wschodził... I nie będzie przesady w słowach, bo ta „gwiazda” rozplómił się w Słońce.

Stanisław Przybyszewski *Taniec miłości i śmierci*,  
Lwów—Kraków 1901

Książkę tę, ozdobioną trupią czaszką, dokoła której tańczy wieniec kobiet, poświęconą „Deo ignoto”, wypełniają dwa dramata: *Złote runo* w trzech i *Goście* w jednym akcie. Z treścią ich nie będę zaznajamiał Szan. Czytelników, bo zapewne każdy będzie się starał przeczytać je lub wysłuchać w Rozmaitościach jesienią. Powiem jeno parę uwag o tych utworach; mniej o nich niż raczej z powodu nich.

Zdarzyło się, iż w sławnym grodzie halickim radca miejski Janowicz (niech imię zostanie!) wniósł interpelację do prezydenta żądającą usunięcia z afisza *Złotego runa*, które wówczas wystawiano, „jako sztuki niemoralnej i zgoła szkodliwej”. Biedny! Zapewne słyszał lub czytał gdzieś, że Przybyszewski same niemoralne rzeczy pisuje. Uwierzył w to, bo jakże? Czemu nie uwierzyć? A doszedłby wątpliwości, gdyby umiał wnioskować choć z własnego życia: Jak on kiedyś miał kawiarnię nocną i z niemoralności podatek płacił, a potem został radcą i stróżem wszelakiej moralności miejskiej — tak samo mógł i Przybyszewski dojść do katechizmu. Cóż, wnioskować nie umiał, sztuki zaś nie widział, albo też w żarliwości nawróconego grzesznika każde przypomnienie życia swego — choćby w zakazie: „Nie cudzołóż!” — uznawał niemoralnym. I... *Złote runo* cofnęło z afisza, przerwano wystawianie.

A tendencją sztuki: „Nie cudzołóż!” Bo za winą idzie kara, idzie jak cień za człkiem, nieodrywal-

nie i nie kończy się ze śmiercią, lecz na pokolenia spada. Takie jest założenie sztuki pokazane na paru przykładach. Więc sztuka silnie tendencyjna. Czy przekonuje?

Przemawiałaby do serca, gdyby... — To „gdyby” jest bardzo ważne. — Gdyby autor stał ponad cierpiącymi w sztuce osobami, a jeżeli przez nie mówi: gdyby one miały w sercach bezwzględna etykę. A jeszcze w pierwszym wypadku — osoby muszą być żywe, czyny ich wiążące się w jedną linię, wpływającą z konieczności, z ich wewnętrznych pobudek działania. Autor tylko odchyła kurtynę i powiada: „Patrzcie, to jest ludzkie życie. Ja się też przyglądam z boku i cierpię albo sztydę”. Tu autora samego nie widać, nie znamy jego duszy, czasem poza jakieś słowo wychyli się i zniknie. Można tylko odczuć go, jak się z obrazu, z zestawień barw, odzywa duszą twórcy. Stoimy przed życiem samym i sami o nim w sercach swoich urabiamy mniemanie. Ale gdy nam je autor narzuca, gdy stanie sam na scenie i pocznie grać przed nami za wszystkie osoby, wtedy nie widzimy już ludzi, nie współczujemy z nimi, widzimy tylko jednego człowieka, który cierpienie swoje przed nami odkrywa. Przyczyny muszą być wielkie, abyśmy czuli, że stoimy przed bólem prawdziwym, musimy słyszeć w jego słowach odwieczną mękę duszy, bo inaczej spowiedź jego wyda nam się aktorstwem.

Tak więc i *Złote runo* nie wzrusza, nie przekonuje. Etyka działających osób, a przez nie autora, wpływa z kompromisu ogólnoludzkiej moralności z dzisiejszą mieszczańską. Przez to dramat upada —

powstaje torturowanie i rzeź niewiniątek. Na krzyk autora w sztuce: „Nie cudzołóż!” — można tak samo odrzec: „Nie zabijaj!” I to jest przykazanie w dramacie pierwsze, zwłaszcza jeżeli, aby męczyć, nie ma wielkich przyczyn. Wszak pięknie godzi się katechizm z dzisiejszym życiem mieszczańskim. Aby móc stworzyć dramat duszy, trzeba zapomnieć obydwu. Inaczej farsą będzie każda tragedia i słowa bólu niezrozumiałymi dla pierwotnego człowieka. Tyle o *Złotym runie*.

Drugi z wymienionych utworów *Goście* jest według mego przekonania najlepszą z dotychczasowych prac Przybyszewskiego. Tak spoistego dramatu chyba drugiego u nas nie ma. Założenie podobne jak w poprzednim: Za winą idzie kara, ulatuje spokój, a cierpiącemu zapełnia się dom dziwnymi gośćmi, którzy go nie opuszczają aż do śmierci...

Dramat, jako symbol, jasny, ogromnie plastyczny, czyni wrażenie potężne ze sceny i z książki. Pod względem technicznym, raczej podług wymogów nowoczesnej sceny, oba powyższe utwory są zrobione świetnie. Widać w nich duży nakład pracy i mozół. Gdybyśmy to „literaturą” zwali pogardliwie, jak Przybyszewski w „teorii sztuki”, to rzeczywiście prace jego są literaturą — objawieniem przecie nie są.

## W SPRAWIE STANISŁAWA BRZozOWSKIEGO

Jak grom z jasnego nieba spadła na umysły polskie wieść, odebrana z komunikatu SDKPiL: Stanisław Brzozowski szpiegiem warszawskiej „Ochrany”. Naturalnie pierwsze „Słowo Polskie” pospieszyło z afirmacją, która się streszcza w słowach: „Patrzcie, oto fakt! A mówiliśmy, ostrzegaliśmy itd.” Nie wszyscy jednak tak skwapliwie wzięli tę wiadomość za fakt. I mimo że blisko źródeł stojący „Naprzód” zamieścił ów komunikat z aprobatą, niektóre pisma wstrzymały się jeszcze z ogłoszeniem zabójczego oskarżenia, a umieściły je dopiero po artykule „Naprzodu”, mówiącym już z rozdarciem szat o „strasznym, bolesnym fakcie”.

Dla ludzi widzących w poezjach i artykułach Brzozowskiego coś więcej niż talent, bo krzyczącą przez nie duszę smutną rewolucjonisty o wyczulonym sumieniu społecznym, wieść hańbiąca wydała się tak trudną do uwierzenia, iż wiary ich w człowieka nie zachwiały nawet podane „fakta”.

A oto nie uszło od ogłoszenia parę dni, gdy prawdziwość owego komunikatu została mocno zakwestionowaną. P. Janina Borowska, stud. med. z Krakowa, której nazwisko wymieniono też w owej

„liście szpiegów”, zaprotestowała przeciw oskarżeniu, twierdząc, że jest niewinną, i zażądała sądu.

I wreszcie — nieco później, ze względu, iż oskarżony przebywa we Florencji — ukazał się przez wielu czekany protest St. Brzozowskiego, w którym żąda międzypartyjnego sądu i odwołuje się do „całej myślącej Polski”. — Myśląca Polska myślała dalej, oczekując, iż wreszcie z kół, z których wyszło zabójcze oskarżenie, wyjdzie wyjaśnienie sprawy. Na próżno. Za czym Brzozowski ogłasza drugie oświadczenie, gdzie w słowach stanowczych domaga się sądu.

Dziwnym jest w tej całej sprawie zachowanie się pism, którym najbardziej powinno zależeć na jej wyświetleńiu, gdy najskwapliwiej pierwsze pomieściły hańbiące zarzuty. Milczą. „Naprzód” nie podał nawet wzmianki o dwóch protestach Brzozowskiego! Czytelnicy więc tego dziennika wprowadzeni są w błąd: jakoby się Brzozowski nie bronił. Wstępny artykuł *Szpieg* brzmi im dotąd w uszach. I jak zachowanie się „Naprzodu” wobec p. Janiny Borowskiej musi oburzyć każdego, mającego choćby trochę poczucia ludzkości, tak znów stateczne przemilczanie głosu Brzozowskiego musi wzbudzić najwyższą nieufność nawet u przyjaciół pisma. A może „Naprzód” powie, jak powiedział jego redaktor odnośnie do sprawy Borowskiej, że i sprawa Brzozowskiego jest już „dla niego osądzoną”?

Na to przytoczę słowa „Kultury Polskiej”, miesięcznika, wychodzącego w Warszawie pod redakcją Al. Świętochowskiego:

„Nie rozstrzygając samej sprawy, gdyż jej ma-



teriału dowodowego wcale nie znamy, musimy jednak p. Brzozowskiemu przyznać prawo do obrony, którego się domaga i którego żadna sprawiedliwość nie odmawia nigdy i nigdzie, nawet najcięższym przestępcom. Powinno zaś ono być w obecnym wypadku tym bardziej strzeżone, że źródła i warunki podobnych oskarżeń powiększają możliwość pomyłek i że takie pomyłki były w ostatnich czasach bardzo często popełniane!"

I od siebie dodam: Sprawa ta nie może być w gabinecie redakcyjnym, w łonie jednej partii załatwiana! Nie jest to sprawa partyjna. Sprawa ta obchodzi cały naród. Brzozowski wszak jest jednym z pierwszorzędných pisarzy — przez uczucie, ożywiająca każdy jego najdrobniejszy artykuł. W kołach twórców zwano go sumieniem literackim w Polsce.

Gdy Iwan Franko zarzucił Mickiewiczowi apoteozowanie zdrady — społeczność polska wyrzuciła go, nie szczędząc kopnięć. Tu przeciwnie. Ma być sądzony „zdrajca” — dotąd przez większą część narodu za chlubę uważany. Czyż ma sobie tej Golgoty odmówić społeczność polska, tak chętnie krzyżująca? Niechże już wszyscy krzyżują i niechaj nikt nie umywa rąk!

Jest też i druga ważność, dla której sprawa ta powinna być na oczach wyświeconą. Oto pytanie ważne, bardzo ważne: Jak człowiek, którego twórczość cała jest samą szczerością, a szczerść żarem wolności (*Warszawa!*), jak człowiek ten może być szpiegiem? A ponoć tylko twórczość mówi nam coś bliższego o człowieku. Odpowiedź na to pytanie jest

albo potwierdzeniem, albo utratą — wiary w człowieka.

Lecz gwarancja sądu, możliwie sprawę wyświetlającego, najważniejszą jest naturalnie dla oskarżonego. Ludzką rzeczą i obowiązkiem jest pomóc ku temu. Tragiczna to jest sprawa — i nic lekko-myślnego ni powierzchownego nie śmie tu mieć miejsca.

Łatwowierności zasię społeczeństwa, które oskarżony w swym oświadczeniu oskarża, iż go „z taką skwapliwością potępiło”, przytaczam, jako krzyżący przykład i zastanowienie, ustęp z listu Zygmunta Krasińskiego do przyjaciela, z roku 1851, z Baden, 14 czerwca:

„Co dotyczy się Towiańskiego, powiem ci, że w kraju w nikogo nie zdołasz wmówić — choć to niepodobnym do uwierzenia, by Rosja takich środków używała — że on nie jest wysłańcem Moskwy, na to wyprawionym, by opętać Mickiewicza, a później go tak spętać, by on sam poszedł w ręce cara się oddać. I w istocie, Towiański namawiał do tego Mickiewicza, i o to się z nim poróżnił, że Mickiewicz nie uznał w sobie siły dostatecznej na spełnienie tego Mistrza rozkazu. Stąd poszło, że Mickiewicz przez lata szukał zastępcę, który by poszedł do Mikołaja na jego miejsce, i dotąd go nie znalazł. Księżna Koczubej, moskiewka, co się była katoliczką zrobiła, twierdziła, że widziała imię Towiańskiego na czarnej księdze, wśród spisu używanych i płatnych agentów. Minister Strogonoff zapytany oń tak odrzekł: „Urząd mój i obowiązek nie pozwalają mi otwarcie o tym człowieku mówić; znam go, był w Petersburgu

u mnie, paszport mu dałem i tylko tyle powiadam: to nie jest pocziwy człowiek".

Oto dosłowny cytat. Niechże będzie memento! tym, w których „nie można wmówić (przed sądem!), że Brzozowski nie jest wysłańcem Moskwy” — bo wielcy mogą się mylić, jak i mali, jak i całe społeczeństwo wreszcie. Brzozowskiemu zaś niech to będzie do czasu sądu pociechą, że z większą „skwapliwością” Towiańskiego „potępiono”. „W nikogo nie zdołasz wmówić” — pisze Krasiński do przyjaciela.

Tym bardziej musi się baczyć, by sąd dawał możliwie pewną gwarancję, iż sprawę ze wszech stron wyjaśni. Winien też mieć pełne zaufanie społeczeństwa, iżby „z taką samą skwapliwością” mogło jego orzeczenie przyjąć. Takie pełne zaufanie mogą mieć tylko ludzie nie jeno z prawości swej znani, lecz przede wszystkim rozumieniem dusz ludzkich rozumni. Imiona ich same w sercach nam się piszą.

Czekamy sądu!

*Poręba Wielka, w czerwcu [1908 r.]*

## JAN STEN

### Wspomnienie

Gdym przed kilku dniami przeczytał w gazecie o zgonie prof. dra Ludwika Brunera, przyjąłem w pierwszym momencie tę wieść popłochem niejako myśli, jako oznajmę czegoś głębiej dla mnie bolesnego, co się poza tym kryje. Zrozumiałym to będzie, gdy powiem, że dr Ludwik Bruner był w myślach moich zawsze Janem Stenem. Toteż, gdy następczo w świadomość moją weszło, że to Jan Sten umarł, poczułem dopiero cały ucisk żalu i osobistej straty.

Kiedy przechodzę myślą mój stosunek do śp. Jana Stena, najżywiej występują mi w pamięci lata ostatnie ubiegłego wieku (rok 1897 i dalsze), które zawiązały nić uczucia między mną a Zmarłym. Poznałem Stena wówczas jako redaktora „Krytyki”. Był też asystentem przy katedrze chemii na Uniwersytecie. Więcej jednak niż chemia zdawała się go literatura pociągać. Może sprawiała to atmosfera. Były to bowiem lata gorączki literackiej w Polsce, której Kraków był ogniskiem. Równocześnie prawie pojawiła się falanga młodych talentów. Latały w powietrzu hasła, bojowe okrzyki, zapowiedzi, ścierały się kierunki i prądy. Sten nie należał do żadnego

z obozów, miał anty- i sympatie literackie tak wśród „starych”, jak „młodych”, lecz naturalnie ruch walczący o czystość i prawdę w sztuce miał pióro jego świetne po swej stronie. „Krytyka” była otwartą dla swobody i śmiałości słowa; nie była wprawdzie organem młodego ruchu w znaczeniu kaplicy (jak „Życie”, „Młodość”), lecz onczasnie przewinęły się przez jej łamy wszystkie prawie nazwiska Młodej Polski, a wielu z wybitnych dziś talentów (Staff, Jedlicz i in.) drukowało tu pierwsze swe utwory. — Będąc blisko „Krytyki” często wówczas spotykałem się ze Stenem. Nieraz zachodziłem doń z młodziutkim Jedliczem, którego wielce Sten polubił. W kawalerskim mieszkaniu jego na Biskupiej przeżyliśmy we trój niejedną godzinę miłą.

Wydał Sten wówczas tomik *Poezyj* i pt. *Jeden miesiąc życia* utwory prozą. Rzeczy te głębszego wrażenia nie wywarły. Natomiast żywe zainteresowanie w kołach pisarzy i czytelników budziły jego artykuły krytyczne. Pomieszczane przez kilka lat kolejno w „Krytyce”, wyszły później w wydaniu książkowym w dwóch zbiorach jako *Dusze współczesne* i *Szkice krytyczne*. W rzeczach tych ujawnił się świetny talent literacki Stena. Trudno znaleźć książkę, nie tylko w polskiej literaturze krytycznej, gdzie by na niewielu stronicach, jak w jego *Duszach współczesnych*, tyle było rozsypanych pereł, głębokich uwag, nieochybnych odczuć, trafnych spostrzeżeń i określeń. A wszystko, jak w prawa muzyczne, w stylową jedność ujęte. Zapewne, nieraz dla tej muzycznej przyczyny lub dla świetności paradoksu coś autor z prawdy czy sumienności krytycz-

nej uroni, aleć nie w zamiarze jego były wyczerpujące studia. Pisząc o danym autorze, szedł za umysłu widzeniem i sympatią dla twórcy, jako mnożyciela piękna; częstokroć ujmował go z niespodzianej strony. Tak dziwną i wzruszającą jest np. jego impresja o mizantropie Niedźwiedzkim, poczynająca się słowem: „Biedny artysta! Gdyby dziewczyną być...” itd. W szkicach tych i impresjach, pisanych językiem mistrzowskim, wyraziła się wysoka kultura umysłu Stena, niezwykła subtelność smaku i szczerzy, bezinteresowny entuzjazm dla piękna.

Wielu oczekiwało od Stena po tak świetnych początkach dalszych krytycznych manifestacyj. Lecz Sten zamilkł. Zostawszy (w r. 1907) profesorem, poświęcił się pilnej pracy nad chemią, której nie zaniedbywał i w latach uprzednich. Pojawiać się zaczęły prace jego z tej dziedziny (Dr L. Bruner: *Pojęcia i teorie chemii, Chemia organiczna i nieorganiczna, Ewolucja materii* itd.), o których mówić nie jestem kompetentny; wiem tylko, że w kołach fachowych duże znajdują uznanie.

Dojeżdżając w tych latach rzadko do Krakowa, odwiedzałem go w laboratorium. Miałem wrażenie, że jestem w pracowni czarnoksiężskiej. Tu się coś w kociołku warzy, tam coś w tyglach wre, coś syczy — a czarnoksiężnik-Sten z uśmiechem chodzi wśród tych dziwnych rzeczy, tu doleje jakiegoś płynu w retortę i sprawi cud przemiany, tam rzuci coś w kociołek, uczyni światło mistyczne, to się obłokiem otoczy jak Zeus, to się znów oczom ukaże, coś zanotuje przy stole, coś skreśli... Wśród tego syku, błyskania, w antraktach między jedną notatką

a drugą rozmawialiśmy ze sobą. Żywo wciąż obchodziły go sprawy literackie. Mówił o książkach świeżo wyszłych z entuzjazmem lub sarkazmem, zależnie od wartości rzeczy; powracał często pytaniami do ulubionych autorów. Umysł jego, człowieka w gruncie melancholijnie smutnego, przy zetknięciu się z danym przedmiotem rozmowy zabarwiał się, jak te złączenia chemiczne, poczynął mienić się, skrzyć, błyskać, aż spłomieniony, rozkwitał w świetne rakiety dowcipu.

Dużym czynem literackim Stena jest przekład jego na język polski dzieł Anatola France'a (tomów 9). Oddany pracom naukowym, przecie znalazł chwile wolne, by spłacić niejako dług wdzięczności umiłowanemu pisarzowi za rozkosz duchową, jaką miał w obcowaniu z jego umysłem wspaniałym. I nie przypadkowość to, że France'a Sten przekładał. Między autorem *Dusz współczesnych* a autorem *W cieniu więzów* dałoby się wyznaczyć bliskie umysłowe pokrewieństwo. Widzieć to można i w wymienionym przekładzie, gdzie umysłowość tłumacza nakrywa się niejako i zespala z umysłowością twórcy. Rzadko też o tak wierny a nie tracący nic z bogactwa przekład.

Ostatnio widziałem się ze Stenem tego lata podczas jego wykładów wakacyjnych w Zakopanem. Dowcipny i świetny jak zawsze w rozmowie, wyrażał chęć pisania krytycznych doznań i wrażeń, o ile mu naukowe zajęcia dozwolą. Zapraszał mię, gdy będę w Krakowie, by go odwiedzić w pracowni. Właśnie miałem ten zamiar — i oto już pracownia pusta. Zapewne na stole leżą w połowie

przerwane obliczenia doświadczeń chemicznych. Po-  
dejmie je pracownik inny. Lecz Stena już nie bę-  
dzie...

Pustka rośnie...

*W Porębie Wielkiej, dnia 10 grudnia 1913 r.*



## FRANCISZEK NOWICKI

Poeta ten, po wydaniu pierwszego tomiku wierszy (1891), zerwał struny lutni i odtąd się już jako pisarz nie manifestuje. Umarł dla działalności twórczej. Tym jednak tomikiem jednym zaważył — przy osądzie wartości istotnych — więcej niż inni dwudziestoma i osobną sobie, trwałą kartę zdobył w historii literatury. Tomik ten zawiera w sobie znane powszechniej *Sonety tatrzańskie* i młodzieńcze, sztandarowe wiersze pt. *Pieśni czasu*. Rozważmyż ducha i formę tych rzeczy, które głośny oddźwięk w kołach młodych w swym czasie wzbudziły, zacząwszy chronologicznie od drugich.

### 1. PIEŚNI CZASU

Trzeba sobie uświadomić nastrój, jaki panował w społeczeństwie polskim, zwłaszcza w Krakowie, w latach po-osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, aby na tym tle zrozumieć rewolucyjność niejako pierwszych wystąpień poetyckich Fr. H. Nowickiego. Był to czas tzw. pozytywizmu, kiedy naród po klęsce powstania stracił wiarę w skutek dobry i moc zbawienną zapału, odwrócił się ku rzeczom realnym od romantycznych złud i wszystkie wysiłki skierowywał, pojmując realność aż nazbyt dosłownie, ku sza-

rej pracy codziennej, zwanej dumnie „pracą organiczną”, a w działaniu pisarskim umysłów poważnych („Krakowska historyczna szkoła”) ku robieniu z całej, wstecz przebytej drogi, zwłaszcza z doby upadku, rachunku sumienia, wykazywaniu braku państwowotwórczych zdolności, podkreślaniu szaleństw i pomyłek — aby na przyszłość znaleźć wskazy pewne, z nauki błędów przeszłości wysnute. Czas analizy rozumowej, nie uczuciowych wzlotów. Czas zaiste nie dla uprawy poetów. W szarej, ściśnionej powszedniości nie było dla wystąpień dzwonných rezonansu, jedynie chyba dla pogrzebu.

W tej atmosferze — zrozumiałe — talenty poetyckie, nawet duże, stłumić musiały, jako nielogiczne, w próżnię bijące, orłowe zapędy i fruwać ponad ziemią, dla pokrzepy pospolitej rzeszy, czego utilitarne względy wymagały. Przykładem tego obniżenia lotu — nawet Asnyk, Konopnicka, nie mówiąc o mniejszych. Przykaz wysługi powszednim, zwężonym sprawom zaciężył jako kanon społeczny nad duszami.

Do tego w społeczności starszej, pamiętaną klęską popłoszonej, dołączył się niewolniczy strach przed każdym odruchem śmielszym, mogącym spowodować pogorszenie bytu. Każdy gorętszy objaw uczuć patriotycznych lub społecznych gaszony był ze skwapliwością nerwową i jako lekkomyślne szkoldnictwo karcony. „Rozsądek” stał się ewangelią powszednią, przy każdej okazji słowem, pismem w umysły wpajaną. Toteż podwórkowość wąska aspiracyj ścisząnych i wraz duszność gniotąca ściśnianych warunków życia zapanowały we wszyst-

kich uwarstwieniach miejskich, a zwłaszcza wśród inteligencji. W tych warunkach wyrastało pokolenie szare, coraz więcej z poziomością życia pogodzone. Posada nędzna stała się celem, a kołnierz złoty marzeniem żywota.

Jednostki wrażliwsze dusiły się w tej wegetacyjnej atmosferze. Rzecz naturalna, że duszność tę najdotkliwiej odczuwała młodzież, reagująca też na jej przygniot z właściwą sobie żywością.

W tym to czasie uniwersytet krakowski był świadkiem głośnych wystąpień studenckich. Protest młodych wyładowywał się zresztą w słownych gejzerach na wiecach i na burzliwych komersach. Młodzież postępową, zorganizowaną w stowarzyszenie Ognisko, staczała zacięte boje komersowe z umiarkowaną Czytelnią, jako też burzyła się przeciwko władzom senackim, biorącym często tę ostatnią pod swe chronne skrzydła.

Jedną z pierwszych ról czynnych grał w tych studenckich wystąpieniach młody Franciszek Nowicki. Wtedy też poczęły się ukazywać w czasopiśmie „Ognisko” jego pierwsze wiersze. Były one dostrojone do diapazonu rozognionej na wszechnicy „walki”. Grot ich ideowy kierował się przeciw zniechęconym — w przemówieniach — „starcom”, ruchowi młodzieńczemu śmiejącym stawać w poprzek. Młody poeta, trybun „ogniskowy”, w nieskomplikowanym widzeniu rzeczy świata tego — dzielonego na dwa obozy przeciwstawne sobie: na starych i młodych — ogniem bojowym przejęty, ciska w buńczucznej chępliwości młodej ów głośny naonczas odzew *My i wy*:

Naszymi tory podąża świat,  
Wolna myśl bieg swój zwraca, gdzie — my,  
Gdy, grzebiąc okiem w cmentarzu lat,  
W lesie przeszłości bładzicie — wy!

Nie dziw, że stał się od razu sztandarowym poetą gorętszej części młodzieży.

Jak widzimy, zapał tu wyrównywał formę. Trudno też do tych początkowych, z pobudzeń walki powstałych uniesień przystępować z zimną miarą formalnych osądzeń.

W latach jednak młodzieńczego kształtowania duszy przemiany ważne w organizmie twórczym spełniają się przedziwnie, jak w początkach wiosny — bez okresów, niemal błyskawicznie. Rok — dwa w burzliwej wiosnie żywota więcej zaiscie narodzeń wewnętrznych przynosi niż niejeden lat dzieciątek w wieku dojrzałym.

W młodym, pełnym temperamentu wulkanego, wybuchowym poecie proces ten wewnętrzny odbywa się szybciej niż w normalnym, mniej bujnym organizmie; niejako w jarnym pąku drzewa, który się niespodzianie przez jedną noc burzy w okiść liściastą rozwinie. Poszerza się pierś poety, puklerzem przesadnie spiżnym, tyrteuszową niejako pobudką w bojach studenckich dzwoniąca, wodzowa i sama w sobie mocna — wyraża słabość spowiedną i mękę całego duszącego się w zgniłym powietrzu młodego, pogrobowego pokolenia:

Cóż nam zostało?... ruiny, zwałiska,  
Niewiara w wszystko, a nawet w niewiarę,  
Życia bez celu puste, błędne koła,  
I to szyderstwo, co lodem przyciska

Dwudziestoletnie nasze serca stare...  
Dwudziestoletnie, zmęczone już czoła.

Dziś młodość ziewa u bramy żywota,  
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona —  
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych,  
Każąc jej wierzyć tylko w gwiazdę — złota  
I przyduszono wszystkie żary łona  
Popiołem naszych mogiłników sławnych.

Lecz cóż my winni, że z błota i kału  
Wciąż z Feniksowym uporem powstajem,  
Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi —  
I tęskni serca, pędu, wiru, szału,  
Płomiennym nurtom świata nieść się dajem.  
Cóżemy winni, że jesteśmy młodzi?

I cóż my winni, że patrząc zbawienia,  
Jako Anteje zrywamy się z ziemi —  
A u nóg czując ciężkie hamowidła,  
Szukamy świtu na niebie marzenia,  
Wołając usta, z tęsknoty drżącymi:  
Młodości! podaj nam skrzydła!

Rośnie w powadze i świadomości wewnętrznej poeta, wychodzi rychło poza krąg akademickich kłopotów, jako i bezradnych żalów dekadencji rówieśnej, w pierś swą, zmęźniałą wcześniej, bierze zaciąg wichru, wiejącego od kuźni przyszłości. Stalne młoty podzwiewają w strofach, gdy się jawi przed oczyma wiary jego — Lud.

Wiadomo: po upadku i klęsce ostatniego powstania, kiedy zobaczono tragiczny los straceńców wśród masy chłopstwa obojętnej lub wprost nawet wrogiej — kiedy stwierdzono, że się to zawsze wtórzyć będzie, jeśli masa ta nie stanie się świadomo-

mie obywatelską — kiedy zdano sobie sprawę, że tylko przez uświadomienie narodowe ludu niepodległość może być zdobyta — tedy rozbrzmiało hasło: w lud! do ludu!

Odbiło się też to i w literaturze. W powieści, dotąd szlacheckiej, coraz częściej ukazuje się wieś chłopska, a rozkwita barwami wszystkimi w pryzmacie serca narodu: w poezji. Lud, wiara patriotów i nadzieja przyszłości, w wyobrażeniu mglistym, nie w rzeczy, widziany, osiąga w onczesnej poezji maksimum idealizacji.

Jakże widmo tego ludu jawi się w pieśniach Nowickiego?

Jak wszystek wizyjny świat jego — gigantycznie, w łunie przyszłej burzy. W przeciwieństwie do „kmiotków” Lenartowicza, do poetyzowanych „Stachów” Konopnickiej — jest to „Szyf-cham, dzwigający swą skałę, zdeptujący góry, dopóki z jego potem w równie nie rozcieką; olbrzym, który gdy ze snu wstanie, zmiażdży na piersi rój wampirów ssący, chwyci strop, niebo przyciągnie do ziemi”. Wzywa poeta:

...zbudź się, Rzymie, z niemocy hańbiącej,  
 Masz lud, więc zbudź go — to jest olbrzym śpiący;  
 On cię obroni, odmłodzi, ocali  
 To, coś zmarnował na historii fali;  
 Zbudź, nim go zbudzi burza rozszalała,  
 Co w łonie czasu i świata dojrzała,  
 Bo wtedy głowę dasz w nierównym polu,  
 Lud ruszy z żagwią do bram Kapitolu!

Lud jego — to „oracz świata, koń królów łaskawy, budowniczy piramid, syn nieśmiertelnych

bóstw: Głodu i Znoju", to „z wiosłami skuci niewolnicy". Lecz także „dzikie Spartaka szeregi, śniadzi rycerze, ofiary łańcuchów", którzy „głód, rozpacz wzięwszy za puklerze — skryci w czeluści czekają — rozruchów".

W wierszach poety odnośnie do ludu nie ma nic z onczesnego sentymentalizmu, raczej realizm tragiczny, podobny rzeczom widzianym z nagła w świetle burzy — osłabiany tylko poetyckim przetruceniem obrazów tych na ekran alegoryj odległych, w czasy rzymskie.

Wraz z pogłębieniem treści — i forma wierszy klasyczniej, porównania nabierają logiki plastycznej, przychodzi do głosu umiar, podłożony — jak ziemia wulkaniczna — ogniem. Owa wulkaniczność, pozorny spokój i żar w głębi — jest typową dla Nowickiego-poety.

Mimo że w cyklu całym znajduje się kilka kapitalnych wierszy (jak *Apoteoza*, *Syzyf*, *Rzym słowiański*), przecie są to rzeczy, które wywołała chwila, i dziś, po latach, gdy waga ich, jaką miały nanczas, przygasła — trudno je inaczej traktować niż jako dokumentalność pewną zawierające w sobie... pieśni czasu.

Że jednak w Nowickim, młodocianego okresu, ozywa się ton nie przemijający, o napięciu władczej poezji — dowodem choćby ten ustęp z *Fragmentu* — natchniony przy dojeździe Wisłą do Krakowa — tak jeszcze dziś i długo współczesny, w którym poeta, patrząc na płonący przy zachodzie Wawel, pomniki miasta, rozważając minioną przeszłość i dzisiejszość, porwany „myślą gromową", wybucha:

O! chciałbym wrócić jak wódz armii słońca  
W gród ludzi trupich i — żywych kamieni,  
Gdzie rasa karłów, ta rasa ginąca,  
Rządzi nad ludem wielkim — berłem cieni.  
O! chciałbym w ramię wlać siły tytanie  
I bój im wydać, o którym by dzieje  
Piały przez wieków odległe koleje —  
I na przyszłości zmiażdżyć ich kurhanie!  
I wśród okrzyków wolnych mas tysiąca  
Powlec ich trupy za rydwanem słońca!...

## 2. SONETY TATRZAŃSKIE

Do doskonałości niespodzianie wczesnej wzniosł się Nowicki jako poeta w swoich sonetach tatrzańskich. One też utrwaliły szczytnie jego imię.

Jest sonetów tych dwadzieścia i jeden. Szesnaście z nich odnosi się do charakteru Tatr i osobistego w nich dramatu poety (*Obrazy pustyni*), zaś pozostałe pięć dotyczą śmiertelnych zapasów, jakie się rozgrywają w skalistym ich łonie (*Tragedie pustyni*).

Trzeba od razu dla uzasadnienia osobliwej wagi rzeczy tych podkreślić, że nikt przed Nowickim ani po nim nie ujął w słowo tak potężne charakteru Tatr, nikt nie zobrazował tak plastycznie ich gigantyczności. A przecie nie byle jacy poeci natchnieni różnymi czasy przy tych „ołtarzach swobody” czerpali i pierwotnemu życiu Tatr, jako i ich mieszkańców-górali, wiele utworów swoich poświęcili.

Pierwszy Goszczyński pokusił się o stworzenie poematów większych (*Straszny strzelec, Sobótki*) na tle egzotycznej tatrzańskiej przyrody, lecz w rzeczach tych prawdę o Tatrach i Góralach zastępują



majaki jego wyobraźni. Szczęśliwszym już o wiele jako piewca tej skalnej ziemi był Pol. Jego wstępne określenie z dała ujrzanych — zapewne z przechyli Obidowej — Tatr:

Jak potopu świata fale,  
Zamrożone w swoim biegu,  
Stoją nagie Tatry w śniegu...

jest istic przewspaniałe. Lecz to jakby w olśnieniu nagłym zjawy śnieżnej — natchniony traf. Bo już następny wiersz: „By graniczny słup zuchwale”, jest nielogiczny i słaby. A dalsze zwrotki tej o Tatrach opisowej pieśni przechodzą w znaną jego manieryczną gawędę.

Kilkanaście też wierszy w swych poezjach krynicznych poświęcił Tatrom Asnyk. Istotnie im „poświęcił”, z obowiązku niejako obserwatora-artysty, bowiem nie natchnęły go one swym dzikim ogromem. Jego np. koronkowo dziergany a zimny jak kryształ *Ranek w górach*:

...Wyzłoczone słońcem szczyty  
Już różowo w górze płoną,  
I pogodnie lśnią błękity  
Nad pogiętych skał koroną —

wcale nie mówi o wzruszeniu z owej chwili w obliczu Tatr, a opisowo równie dobrze może się odnosić do Pienin czy innych skalistych gór. Wielkość też Asnyka jako poety nie w tych utworach spoczywa.

Kasprowicz w poezjach swych z Tatr mógł zobrazowaniu ich urody dzikiej niewiele dać miejsca; były mu one bowiem raczej odpowiednio tytanną

świętynią dla metafizycznych zastanowień, tumem godnie ogromnym dla rozmowy z Bogiem. „Widmo bożych tajemnic”, zewsząd oczyma przepastnymi przeciw duszy poety wstające, przesłaniało mu nadto nagą realność skał.

Jedynie Tetmajer pierwotnym odczuciem dzikiej, niezamąconej przyrody wszedł w głębię Tatr. W nieśmiertelnych swych lirykach, arcydziełach nastroju, oddał jak żaden z poetów duszę ich wnętrza: melancholię hal, orli nawis krzesanic, urok dolin i stawów, sępiość zapadłych pustaci itd. Jednak potęgę ich skalnej objawy poezją swoją nie wyraził. Uczynił to w sonetach Nowicki. Oto spójrzmy:

W dali!... jakby ciągnący łąwą huf kresowy,  
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków,  
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,  
Tak Tatry ciemnym murem zwały dumne głowy!

Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy...  
(Sonet I: *Tatry*)

Albo tam:

...roztopione szarych mas bałwany,  
Zapędzone ku gwiazdom w burzliwym pochodzie,  
Gdy Bóg: stań się! powiedział przy świata porodzie,  
Ścięte zimy oddechem stanęły jak ściany!

(Sonet VI: *Rysy*)

Takie potężnie plastyczne nasuwają się pocie porównania na widok zjawy granitowej Tatr. Zobaczymy dalej przez oczy poety obrazy z wnętrza tatrzańskiej pustyni, *Spady Siklawy*:

...rzeka śniegu lecąca pionowo,  
Ze źródłem wydzwigniętym do nieba krawędzi!  
Przedemną — pian lawina! puch szyi łabędziej,  
Roziskrzony na skałach wstęgą brylantową!

To Siklawa! o dzika dzikich wód królowo!  
Biały rumak twój ze skał rozhukany pędzi,  
Wspina się, gdy kopytom braknie skalnej pędzi,  
I łbem śnieżnym zlatuje w otchłań granitową!

Lub stańmy przy nim, jeśli mamy odwagę — gdy  
z szumem, hukiem i rykiem nadciąga oto burza nad  
burze — wiatr halny...

Gdzieś z łożysk podniósł mgławisk ocean nawalny  
I Tatrę w nim zanurzył — stępił skał dziurę,  
Wodę w szklany mur spiętrzył, w staw sypnął granity,  
Lud świerków ścianą zwałił, jak wódz tryumfalny!

Wyrwał hali włos kwiecia, grzbiet nagi zostawił,  
Wodospady zatrzymał, potok wstecz wyprowadził,  
Ścisnął garło pioruna, dzień zgasił, noc sprawił.

Zaiste, trudno o plastyczniejsze ujęcie potężnych  
żywołów Tatr. Można by tak nieowtórzoną szla-  
kiem wszystkich sonetów jego przewędrować —  
i przesuwaliby się obraz za obrazem groźnej tatrzań-  
skiej pustyni — w takiej mocy i wyrazistości je-  
dynie jemu odkrytych.

Zwartość sonetów tych, umiar, z wrzącym pod-  
umiarem formy ogniem, dramatyczność ich spęta-  
na, patos ogromu nie znajdują we współczesnej so-  
bie poezji godnego porównania. Jedynie co nasuwa  
się bez uchyby dla nich: mogą być porównane tylko  
z *Sonetami krymskimi*.

Weźmy np. pierwszy z brzegu obraz (*Mgły na szczytach*):

Szczyt pode mną jak statek płynie w chmurne morze!  
Darmo po białych falach krąży moje oko;  
Gwiazdę dnia tylko widzę w błękitach głęboko —  
Sam jeden!... i gdzież płynę po białym przestworze?...

Lub refleksję końcową sonetu *Dunajec*:

Gdzie gonisz, młoda myśli, po drodze gwiazdzistej?  
Bramą marzeń wylatasz za świat rzeczywisty,  
Wrócisz... ach!... bez piór... cicha... i bramą zawodu...

Albo ów finał tragiczny, dotyczący osobistego dramatu (*Echa górskie*):

Jęk mój skały wtórzyły! płakały pogłosy,  
Na noc duszy, dla której świt się nie uśmiecha,  
Na mą młodość zwiedzioną, na dołę, na losy...

Wśród ludzi czemuż taka nieznana pociecha?  
Za nią... za tą kobietą, głuchą jak niebiosy,  
Nie jęczałem, lecz wylem... a nie było echa...

Zresztą cała twórczość Nowickiego, przez zwięzłość słowa, plastykę, nieomal rzeźbę obrazów, logiczność wewnętrzną i umiar zewnętrzny — opiera się na klasycznym gruncie Mickiewicza, co bynajmniej jej swoistej barwie i oryginalności rzeczy nie uchybia. Jest dziwną sprawą, że gdy cała współczesna mu i późniejsza, „młodo-polska” poezja wyszła ze Słowackiego, Nowicki jeden przez formy swojej twórczości jest potomkiem z ducha Mickiewicza. Stoi też wśród przechodzącego pokolenia sam, osobno, jak Murań tatrzański.

## 3. WIERSZ-ZAMKNIĘCIE

Zamknął Nowicki tomik poezyj swoich trawestacją z Heinego:

Porwałem z sobą niegdyś naród mój  
Śpiewaniem mem;  
Widziałem wolnym mojej ziemi lud.

To było snem.

Wzruszyłem niegdyś dumne serce jej  
Śpiewaniem mem;

Mówiła drżąca: tyś na wieki mój!...

To było snem.

Pamiętam, kiedyś jako uczeń gimnazjum przeczytał po raz pierwszy poezje Nowickiego — jakie we mnie ów wiersz-zamknięcie trwożne wywołał wrażenie.

Czas uzasadnił tę trwogę. Istotnie, wiersz ten tragicznej dziś nabiera wagi; umieszczony w zbiorze na końcu, jest jakby świadomym zamknięciem „złudy” — twórczości.

Wielu wielbicieli arcydzielnych wystąpień Nowickiego stawiało sobie i stawia pytanie: czemu poeta po wydaniu tomiku pierwszego zamilkł na zawsze? Jaka mogła być przyczyna tego raptownego, w tak wczesnej młodości, „zerwania strun”?... Przypuszczano — co najłatwiej domysłem ludzkim podpada — jakiś osobisty zawód tragiczny. Penetracjom śledczym w tym kierunku nasuwać się mogło pozorne uzasadnienie przypuszczenia w dramatycznym wysoce podłożu sonetów niektórych, nawet wyraźnie osobistą klęskę zdradzających, jak

przytoczone wyżej *Echa górskie* lub np. sonet XVI  
(*Towarzyszowi podróży*):

Wzdłuż, wszereż Tatry przebiegłem — on wszędzie u boku!  
[ . . . . . ]  
W ciszy pustyń, w burz ryku, w jasny dzień, w noc ciemną,  
Wszędzie, zawsze biegł za mną — pierzchałem daremno!  
Dziś wracam znów do ludzi, on — mój ból — znów ze mną!

Cóż dowód jednak ten mówi?... Że powstał głę-  
boki sonet. Mocarne hymny Kasprowicza z osobi-  
stego bólu wytrysnęły. Dla natur twórczych cierpie-  
nie — to źródło nowych odrodzeń. Nie tu więc przy-  
czyny szukać.

Zagadnienie to jednak, teoretycznie rzecz biorąc,  
problemowe, a w wypadku niniejszym nadto strato-  
wato poważne, by przejść nad nim lekko do po-  
rządku, aby mu choć paru zastanowień, nie mó-  
wiąc w pysze o wytłumaczeniu, nie silić się po-  
święcić.

Pierwsze, co się u Nowickiego jako powód zmił-  
knięcia nasuwa — to klęska wiary. Wierzy on wraz  
ze współczesnymi — głębiej: jako śpiewak boży,  
władność w sobie nakaźną czujący — że słowem  
wieszczym, płomieniem, lud zmartwiały poruszy.  
Mimo iż trzeźwiej niż inni współcześni poeci lud ten  
oceniał, to jednak wierzył w słowo-czyn, wierzył,  
że „pieśnią rozproszy pomrok znad czoła ludzko-  
ści”, że „naród porwie śpiewaniem swym”, „widział  
już wolnym swojej ziemi lud...” Realność rzeczy  
wiarę tę podcięła. „To było snem!” Słowo nic nie  
sprawiło, więc z gestem zawiedzionego barda-Tyr-  
teusza, gdy ujrzał, iż śpiewa skałom — roztrzaskał

swoją lutnię. („Dziś lampa w kącie, zgasła, rozbita — gdzież piękne dumy młodości?”).

Jednak naprzeciw tego wyjaśnienia wstaje pytanie: a Tatry?... Te nie mogły wszak zawieść poety. I twórczość, odchylona od świata ludzkiego — mogła pójść w świat wielki przyrody, ojczyznę sobie nową, nowe lądy zdobyć. Tu więc wątpliwość wywodu.

Drugie, co charakter poezji jego nam nawodzi — to geologiczny jakby objaw, zastosowany tu do procesu ducha. Oto wulkaniczna, nagła, młodzieńcza wybuchowość twórczości — i równie nagłe, katastrofalne opadnięcie. Tu jednak podświadomym przyrodniczym siłom i niejako fatalnym pobudkom musielibyśmy dać górę nad wolą świadomą, która w twórczości jest przecie sternikiem. Mimo niej nic się dzieć nie może, chyba nie skoordynowane jakieś poruszenia. A zatem w mylną weszlibyśmy drogę.

Co najbardziej zda mi się godne podumania, gdy rozważam organizację twórczą Nowickiego — to jej wyraźna jakoby dwuosobowość. Z jednej strony wewnętrzna wulkanność ognista, z drugiej formalny spokój ściętej w skałę lawy. By popularnie, znanymi wszystkim symbolami charakter tej dwoistości twórczej u Nowickiego określić: to przy umiarze i klasycznej formie Mickiewicza — żywiołowość halna Słowackiego. Są to jakby dwa przeciwieństwa, dwa wykluczające się wzajem duchy — w jednej osobie.

Gdy młodość wiar czy zachwytów w początkowych, zewnętrznych bardziej, manifestacjach jakoś

je z trudem godziła — to przy uświadomieniu artystycznym głębszym musiało przyjść między nimi do kłótni. Stąd wyrastał trud pogodzenia wewnętrzny do problemu prawie nierozwiązalnego. Kto zna techniczny proces twórczości podobnie rozdwojonych organizacji, ten snadnie zrozumieć może, że przyszedł czas, iż Nowicki stanął przed trudem niepołomnym w sobie: Tatry przed nim nie do przebycia wyrosły. Tedy w posępie duszy — zamilkł.

#### 4. NOWICKI I TATRY

Zerwawszy z poezją, nie zerwał Nowicki z drugą miłością: z Tatrami. Nawet bardziej z nimi się zespolił, jakby one jedne sekret głęboki wiedziały: — świadki milczące tragicznych spraw wobec przechodzącej nad ich łomnicami i bliskiej ich zwieńczonemu gwiazdami czołu — wieczności.

Dawna była Fr. Nowickiego znajomość z nimi: z Tatrami. Już z wczesna, z młodu ku nim się wyrwał, uczył się radosnym trudem ich skrytych zwyczajnemu oku, a wybrańcom bogów gór zwierzanych — tajemnic. Tam przy wiatrze, przy ciemnych smreczynach, w szafasach opuszczonych, na przełęczach we mgłę, to na gzymsach szczytowych, nad ścianami śmierci uczył się:

Skalny kocioł!... dno jego lód ze śniegiem ścieli,  
To piekło zamrożone!... pierzchły zeń szatany,  
Czarne tyse urwisko, tego kotła ściany,  
I zamarzły skał rzędem dokoła gardzieli...



Mało jest trudnych przejść w Tatrach, przez które by go jego nogi stalne nie przeniosły. Orłowa jego natura w orłowe niosła go włości. Nosił się też po zboczach, upłazach, z wierchu na wierch, we dwój z przewodnikiem lub sam — obłąkaniec swobody, niby wódz jakiś fantastyczny straconej gdzieś w przepaściach drużyny. Opisać jego wędrówki po Tatrach — to całe epos dziwnego, w ten nie swój czas zabłąkanego rycerza, zaludniona gigantycznymi postaciami, fantazją swoistą wywołanymi z przyrody, przez nikogo inszego nie powtórzona baśń życia.

A i kalendarz zwykły tych sławnych wędrówek jest jakby bajką. Sam Klimek Bachleda, śp. przewodnik, chodził z nim przez lat 23 po Tatrach. Przez Zawrat przeszedł Nowicki więcej niż 50 razy. Tak pątnikował ku tym „ołtarzom swobody”. Tam, w pustyni tatrzańskiej, przeżył „wiek górny i chmurny”, tam też zastał go „wiek męski — wiek klęski”.

Z Tatrami są związane jego „hyrne” chwile, jako tych, co w zbytku sił „za buczi wyskakowali”. Żeby nawieść pamięci choćby ów bal u Obrochty, gdzie to czterech poetów (Tetmajer, Nowicki, Cięglewicz i Rydel) zabawiało się sławnie z Góralami i gdzie to przy tańcu (gdym Tetmajer odznaczył się w „cyfrowanym”) Franek Nowicki przebrał w „koło-ziemnym”, tzn. zbójnickim, najpierwszego tancerza z Górali, Wawrytkę.

Lecz minął z wodą wiek junactwa, nadszedł „wiek klęski”. Nowicki broni się mu całą naturą rycerną, ba, jakoby na przekór wyzywa go do walki. Projektuje zwycięski szlak szczytami, siebie zaiste

godną „Perć Orlą”. Od Roztoki — przez Wołoszyn — Krzyżne — Ptak — Buczynowy — Przełęcz Nowickiego — Orlą Basztę — Granaty — Kozie Wierchy — Zmarzłą Turnię — Zawrat. (Potąd też, dzięki pomocy w środkach miłośnika Tatr, ks. Gadowskiego, plan został zrealizowany). Dalej plan wiódł: przez Niebieską Turnię — do Świnnicy — stąd przez Walantkową, na Gładkie i Miedziane.

Niestety, był to już ostatni czyn Nowickiego w Tatrach. Serce i oczy wyłamały się spod władzy woli. Nie dziwota: nadto długo brawurowały wśród gromów. Rówieśni jego hyru już ku cmentarzom się znieśli. Jak oto:

Był pogrzeb Bachledy Klimka, bohaterską śmiercią zmarłego w Tatrach przewodnika. Nowicki jawił się na pogrzebie przyjaciela. U wrót cmentarza spotyka dziada ślepego, który ze znajomym jego rozmawia. Gdy Nowicki przystanął, witając się ze znajomym, dziad zapytuje onego:

— Je wtoz to?

— Nowicki — ów odpowiada.

Dziad ślepe oczy przeciera.

— Je wtory Nowicki? Syn profesora? Francisek?

— Ten sam.

— Mój Boże!... — jęknął dziad i krwawiąc oczami, obie dłonie do Nowickiego wyciąga.

— A wyście kto? — pyta wzruszony Nowicki.

— Waw-ryt-ko...

— Wawrytko?... Wawrzek?!

— Ja — ja sam, panie.

— Baczycie, jak my tańcowali?

— Ba! nie raz spomnę, jakoście mie to w „hajdu-

ckim" przebrali... Ale bez watrę — na łeb — to znowu ja was przebrał!

— Wawrytko... — zadumał się boleśnie Nowicki. — Ten sławny tancerz... Tak niedawno... Dziś stary, oślepy dziad. Hej! życie!...

Przyszło ono i jemu samemu, choć pozornie dąbnemu jeszcze, na bezradę. Ostał sam, daleko od szlaków Sławy, z myślami górnych spominań. Jest jako orzeł tkwiący w posepie na skale, oślepy w burzy.

## O STANISŁAWIE WITKIEWICZU

### I

O Stanisławie Witkiewiczu, z pochyleniem głowy we czci jak przed niewielu polskimi świętymi, powiedzieć trzeba: Oto człowiek wielki. Już nie w rozumieniu jednostronnie wysokim — jako wielki artysta, pisarz czy architekt — lecz po prostu: wielki c z ł o w i e k. Wielki budowniczy życia.

Jak w krynicznej wodzie wysokiego tatrzańskiego stawu odbijają się do szczegółów z wszystkimi załomami i nie zmniejszoną żywością barw plastyczne kolosy gór, wraz z niebem upadłym na dno — tak w przezrystym pryzmacie duszy Witkiewicza odbijało się życie narodu w całej pełni swej, z bogactwem światła i cieni, załamując się pod kątem, nigdy niemylnym, jego własnego, przejasnego na rzeczy patrzenia. I jak ów staw wysoki bierze w kąpiel góry, tak on brał życie polskie w siebie — wyczyszczał je duszą własną — i łączył z niebem.

W nim, jak w niewielu najwyższych duchach polskich, świątyni ducha narodu. Nie przez zakłęcie natchnienia, lecz przez równie wysoką moc prawości myśli i serca i czar iście gontynnej prostoty. Bo prostym był ten człowiek wielki we wszystkich postępkach, jak pasterz słonecznych łąk albo któryś z braci pierwszych świętego Franciszka.

Był też Witkiewicz z zakonu wielkich harmonistów, którzy godzą człowieka z przyrodą. Podobnie jak Ruskin w Anglii. Był ewangelistą jak Tołstoj, tylko szerszym.

Lecz jeśli jakie przyrównanie do znanych nam postaci podpada, które by najwierniej tłumaczyło właściwość jego duchową, a nawet z formą uzewnętrzniania się onej, to najbliższej prawdy stoi określenie: Sokrates polski.

Tu mimowolnie nasuwa się przeciwstawne porównanie twórczości jego z twórczością Jacka Malczewskiego. Gdy u Malczewskiego, prawie nie widzącego realnego życia dookoła, całe jego wewnętrzne życie wizyjne odbiło się na płótnach — zebrać wszystkie jego prace: jakie bogactwo! — to Witkiewicz najchętniej rozpromieniowałby cały na otoczenie. Malczewski życie na sztukę przekłada — Witkiewicz z życia pragnął dzieło sztuki stworzyć. Jeżeli miał się pióra, pędzla lub ołówka, to po to — z niewielkimi odskokami w bezinteresowność artystyczną — by coś w życiu duchowym narodu poprawić lub jako przykład stawić. Te pobudki łączą go z pisarzami-obywatelami Rzeczypospolitej XVI wieku. A talentu wielkiego już sprawa, że te zamiary życiotwórcze przemieniały się w wypowiedzeniu lub wykonaniu głębokim w dzieła sztuki, niezadko w arcydzieła.

Tak też powstała książka *Sztuka i krytyka*. Trzeba było te płoty zaściankowego estetyzmu, jakimi swojscy ideolodzy odgradzali nieświadomość artystyczną społeczeństwa od Europy, obalić — stąd szereg miażdżących polemicznych artykułów, w myśl

sokratycznej zasady: „Rozumuj spokojnie, a dowódź z pasją”. Książka ta, elementarz estetyczny, naro-biwszy zrazu sporo gniewów, przesiąkła w czasie dość krótkim w krew ogółu i więcej sprawiła w dziedzinie uświadomienia artystycznego społeczeństwa niż niejedna akademia.

Jako zaś przykłady wysokie — monumenty sądu i uczucia — ukazują się monografie: o Matejce, o braciach Gierymskich, o Juliuszu Kossaku i innych.

Obrazów doskonałych dał kilka. Z tych najszerzej znany *Obłok*, inaczej *Wiatr halny*.

Na życie tak duchowo bogate — prac, manifestacyj artystycznych, włączając nawet dzieła tatrzańskie, za mało. Charakterystycznym jest, że Witkiewicz, który tyle projektów budowlanych zrobił w życiu, żadnego prawie podług fachowych wymagań nie wykończył, a budarzom tatrzańskim, ufając zresztą słusznie ich domyślności, żadnego prawie planu w całości nie narysował, dając co najwyżej zasadnicze szczegóły. Nie miał na to cierpliwości. Bowiem, jak się już rzekło, Witkiewicz najchętniej nic by nie „czynił”, lecz chodził między ludźmi, patrzył tymi błękitnymi oczami i gwarzył, nauczał i rozповідаł. Jak Sokrates.

Toteż, gdy ktoś — czy nie Artur Górski — Akademię Platońską w Zakopanem projektował, Witkiewicza jako prowadziciela widziano. A nawet kto wie, czy nie z powodu właśnie Witkiewicza, jego sokratyzmu, myśl ta powstała.

Lecz Witkiewicz do akademii ni do żadnych wspólnych obrad się nie nadawał. Strzegł się wszel-

kich komitetów. Lubił chodzić luzem. Był indywidualistą bezkompromisowym, mimo tak wysoce rozwiniętego i uszlachetnionego w sobie społecznego instynktu. Łączył to razem cudownie.

Obserwatorem był nadzwyczajnym. Patrzył na rzeczy wybystrzonymi oczyma malarza i psychologa-odkrywcy. Człowiek był dlań nie tylko przedmiotem artystycznym, lecz i wartością wyznaczalną. Niestłuchane też wyniki zdobył jako sprawdzacz. Miał np. przyjaciela Kościelnego. Prowadzi doń Malczewskiego Jacka, ciekaw, co o nim Kościelny powie. Albo: zaprosił do siebie na jedną godzinę hr. Pinińskiego, namiestnika Galicji, i śp. Kazimierza Mokłowskiego, socjalistę. Jako też będą ze sobą gwarzyli. Wiedział, że odnajdą łatwo wspólną platformę — sztukę.

Tak siedząc w Zakopanem, w Ślimakowej izbie na Krupówkach, jak pająk z bajki pod strzechą — gdy przesuwała się przed nim cała niemal Polska, szli doń jak do proroka ludzie — sprawdzał, obserwował, przezierał spod swej strzechy całą gamę dusz i charakterów. Uczył siebie i drugich — z księgi dla niewielu jeno dusz prostych otwartej.

Witkiewicz jako wychowawca nie jest dość — a może wcale nawet nie — oceniony. Zwróć tu uwagę choćby na te przemądre ustępy o hodowli ras i ludzi (w drugim wydaniu *Na przełęczu*) i na studium o wychowaniu religijnym (w czasopiśmie „Reforma Szkolna”).

Opowiadał cudownie. Inaczej trudno określić. Kto go raz słyszał, nie zapomni. Opowiadania jego, słuchane przed laty — gdy w pracowni rzeźbiarza

Nalborczyka, na niskim stołku siedząc, gwarzył: jako to chłopcem będąc, wywieziony z rodzicami na Syberię, z rówieśnikiem swym, śp. Konradem Prószyńskim (Promykiem), oszczędzali cukier i składali, by się z bogacić, wrócić do Polski i zrobić powstanie; jako to w czasach monachijskich wespół z Chełmońskim głodowali; to o Kurzawie, Gierymskich i innych — są mi jak wczora słyszane.

Mówił, jak pisał. A styl jego — to całe studia: o jasności, plastyce, prostocie, głębokości myśli i wysokości uczuć — cały, doskonały człowiek. Człowiek renesansu, pełny, bez uchybień.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć o stosunku Witkiewicza do Podhala; co Tatry mu dały i co on dał tej ziemi wysokiej. Cały świat przedziwnych odkryć, a dominujący ton w harmonii jego ducha.

## 2

Kiedy Witkiewicz przybył przed laty z Warszawy do uzdrowiska pod Tatry, zastał Zakopane jeszcze mało zepsute „kulturą”, o charakterze wsi, zabudowanej jak obecnie Chochołów lub Witów. Zastał Tatry o wiele niż dziś groźniejsze w swej skalnej niedostępności, jedynie swym orlim synom lub „jego wielgomożności” panu Chałubińskiemu, gdy w ich pustacie pod jesień wkraczał z wyprawą królewską, swe zazdrośnie ukrywane skarby otwierające. Zastał ów zmierzchający świat tetmajerowskiego Skalnego Podhala, ludzi na miarę eposu —



owych Zychów, Toporów, Bachledów — i Homera tego zamierającego świata, Sabałę. Został wśród tych starych sępów kulturę starą, rodzimą, wytworność obyczaju i form towarzyskich, niespotykaną wśród chłopów nizinnych, żywość umysłu, fantazję. Jako malarza zachwycić go też musiał fizyczny typ rasy, piękny, w stroju obcisłym, malowniczym. W chałupach zastał sprzęty bryzowane, wszystkie przedmioty użytku celowo i artystycznie wykonane, od stołu do maselniczki. Uderzyła jego oczy architekta chata góralska swoją konstrukcją logiczną, jej rozkład, proporcje, dające możliwości rozwinięcia.

Słowem — zastał świat nowy, odrębny, świat o pełnym i własnym wyrazie. Rozkochała się dusza jego w tym helleńskim, podatrzańskim świecie — czym dla płuc jego powietrze żywiczne, tym dla umysłu było obcowanie z pierwotną mądrością gazdów — i już odtąd przez ten świat będzie patrzył na rzeczy nawet oddalone, stąd będzie używał porównań i określeń, przeciwstawiając mimo woli siebie i świat ten razem wszystkiemu poza tym. Tu duch jego wrósł, jak ów smrek w szczelinę skalną, i poczuł siebie w gruncie.

Z drugiego krańca Polski, ze Żmudzi przybyły, stał się, jak się sam wyrażał, patriotą Podhala; gorliwszym, a już pewnie głębszym niż wielu urodzonych Podhalan. Nie ma w tym samookreśleniu, co snobizm mógł zarzucić, nic z separatyzmu lub z parafiańskiej jakiejś wyłączności. Jest oto zobaczenie bogatej w przymioty ciała i umysłu, wyjątkowej rasy, na tle równie wyjątkowo bogatym. — Nie było

też u Witkiewicza nic z zarzucanego mu kiedyś sentymentu odnośnie do Górali. Przeciwnie, widział on lepiej od innych wszystkie ciemne i złe strony ich charakteru, zwłaszcza wśród cywilizacją zepsutego młodszego pokolenia; chłostał je i wykazywał, że trudno o dosadniejsze piętnowanie; wierzył jednak, że rasa ta tyle ma bogactwa w sobie i rozwojowych możliwości, iż „zdolną jest wydać z siebie najwyższy typ człowieczeństwa”.

Pierwszą manifestacją zetknięcia się Witkiewicza z przyrodą i ludźmi Tatr, manifestacją zachwytu, która tak głośną stała się w Polsce — gdyż pokazała plastycznie w słowie i ilustracji świat nowy, odrębny — było pierwsze wydanie *Na przełęczy*.

A jeśli chodzi o opis natury — to nie wiem, czy jest gdzie piękniejszy, prawdziwszy i sumienniejszy niż jego *Zima w Tatrach* (w drugim wydaniu tej książki). Jest tam cały proces, wszystkie niesłychane wydziwy i cuda, jakie wiatr i słońce wyprawiają z podatnym śniegiem; jak rzeźbią, modelują, w jakie stroją go blaski. Witkiewicz-Sokrates miał czas tej zmiennej naturze górskiej przez lata się napatrzeć i przeznał ją do gruntu.

Z przyrodzonych bogactw Górala niemało zajęła też twórcę *Na przełęczy* gwara. Nie władał nią swobodnie i nie mógł w niej tworzyć jak Tetmajer, lecz mając taki wzór, jak słuchany tylekroć Sabała, znał i oceniał jej obrazowość zwięzłą, jej logikę i harmonię klasyczną. Często w swobodnej pogwarce wtrącał góralskie wyrazy i określenia. Dał też w gwarze podhalańskiej przepiękne przekłady niektórych z *Kwiatków św. Franciszka*.

Rozpatrzywszy się w stylu spotkanej chałupy i wnętrza, podjął śmiały plan rozwinięcia tego stylu i doprowadzenia go do wysokiego arcyzmu — połączenia nizin z górą — chałupy z pałacem. Co też w mierze niemałej osiągnął, zatknąwszy zwycięsko pazdur na bogatej, wyrosłej z góralskiej chałupy — willi. Jest to czyn prawdziwy, trwały i nic go w postępie czasu nie umniejszą. Jakąkolwiek drogą potoczy się budownictwo na Podhalu, chałupa-willa Witkiewicza, jako pierwsze i szczęśliwe rozwiązanie problemu tak trudnego, pozostanie. Nie zabudował Podhala, jak pragnął — przyjdą przyszli pionierzy i czyn jego podejmą.

Doświadczenia psychologiczno-artystyczne są treścią jego książki *Z Tatr*. Tylko Witkiewicz mógł tak zespolić, stopić — i nowele, i bajki, i uwagi — w jeden artystyczny kruszec. Książka ta jest odbiciem jego pełności, nieoddzielania człowieka czującego od artysty.

Najważniejszy jednak dokument, mówiący o nim, to: *Po 20 latach*, wstęp do drugiego wydania *Na przełęczy*. Jakże ten wstęp pogłębił książkę, takim aplauzem przed laty witana!

Jest to manifest, który skupił w sobie wszystkie promienie jego myśli i umiłowań. Jest to zrewidowanie po latach dwudziestu stosunku swego do zjawisk tatrzańskiego świata, a zarazem syntetyczne objęcie tego okresu życia ludu góralskiego, na który wybystrzonymi oczyma artysty, sercem wielkim i umysłem wyostrzonym patrzył. Książka-sąd, książka-zamknięcie. Testament rozumu i serca. Każde zdanie jest ciężkie od stwierdzonej doświadczeniem

prawdy. Na przykład: „Rozwój pojęć nie wyższy człowieka, jeśli nie idzie w parze z rozwojem uczuć, które gruntują charakter”: Lub: kto chce poznać lud naprawdę, „musi potracić wprzód wiele z arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń” itd., itd. Na 140 stronach rozwiniętych jest tyle obrazów i opisów świetnych, tyle mądrych spostrzeżeń i uwag, tyle głębokich zestawień i uogólnień, taka nabrzmiałość i spoistość tętniącej żywą krwią treści — iż na wiele bogatych starczyłaby książek. — Uwagi te powinny być jak tablice nade drzwiami ryte. A zwłaszcza wychowawcy i ci, co idą między lud, powinni, jak katechizm podręczny, uwagi te przy sobie nosić i jak najczęściej w nie zaglądać, aż do wpojenia ich sobie, jak przykazań.

Gdym w roku 1913 wiosną odwiedził go w Lovranie, gdzie, przez chorobę fatalną jak na banicję z ukochanego Podhala skazany, od kilku lat przebywał, zastałem go zmienionego bardzo. Gorączka go podgryzła. Oczy — te jasne, błękitne oczy — przygasły. Żywo jednak rozpytywał o sprawę Podhala i cieszył się naszymi, idącymi w przyszłość zamiarami. Wyrażał zadowolenie, że odniesiono się doń o projekt gmachu Muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem. „Nie zabacyli o starym dziadzie” — ironizował. Rysował w przerwach gorączki. Przed oknami — mówił — ma smreczka, który przypomina mu Podhale.

Nie widziałem go już czasu wojny. Lecz wiem, jak żywo reagował uczuciem, myślą na idące

ogromne zdarzenia. Dowodem drukowane *Wyjątki z listów do siostry*.

Widzę te mądre, kochane błękitne oczy — światło przeczystej duszy — i dotąd nie mogę uwierzyć, że go już mówiącego słyszał nie będę.

## WSPOMNIENIA WITKIEWICZA

Było to przed laty dwudziestu kilku. Odwiedziłem był z Witkiewiczem pracownię prof. Nalborczyka w Zakopanem, który rzeźbił popiersie śp. Adama hr. Krasińskiego. Wnętrze pracowni nasuwało Witkiewiczowi wspomnienia z czasów jego studiowania w Monachium. Siedząc na niskim stołku na środku pracowni, gdy Nalborczyk modelował w glinie klasyczną głowę ordynata, ilustrował on Sokrates rękoma w powietrzu słowa, opowiadał:

— Były to czasy wyjątkowej biedy, głodowania. Miłe we wspomnieniu, gdy minęły. Mieszkaliśmy we trój — z Chełmońskim i z mało później znanym, a zapowiadającym się świetnie Jarzmowskim, rzeźbiarzem. Zjedliśmy, co było jadalnego — wyszukialiśmy skrzętnie wszystkie skórki chleba, ba, ośródki, których się do wycierania węgla używało — sprzedaliśmy z odzieży, co się sprzedać dało — i już nie było się wbrew czego jąc. Głód nas dosłownie obalał. Mieliliśmy wprawdzie w zapasie poność jeszcze talent — można by było obraz namalować i za byle grosz spuścić, lecz na to trzeba płótna, a na płótno pieniędzy. Błędne koło. Gdy tak z dnia na dzień stawało się ciężej, gdy widziałem coraz żałośniejsze i bardziej beznadziejne miny mych

przyjaciół, tedy to — prawi Witkiewicz — ku literaturze widać już wówczas przykłonny, aby im czymś czas gniotący zająć i myśli ich ku inszej, cięższej sprawie zwrócić, począłem im opowiadać historię pewnego, obarczonego liczną rodziną urzędnika, który pije dlatego, że dzieci są głodne, a dzieci głodne dlatego, że ojciec pije — i jest sytuacja bez wyjścia. Co dzień opowiadałem im dalszy ciąg tej historii — i moi współtowarzysze, przez jakąś podświadomą analogię litosną, wzyli się tak w położenie, z dnia na dzień beznadziejniejsze, onego urzędnika, że wprost zapłakiwali się nad losem jego jak bobry.

— Nadszedł wreszcie czas — ciągnął opowieść Witkiewicz — że trzeba było coś stanowczego przedsięwziąć, inaczej — czuliśmy to — los nas, jako onego nieszczęśnika, zmoże. Płócien, jak się już rzekło, nie mieliśmy, ani też nie było ich zgoła za co kupić. Lecz był w pracowni, z dawniejszego lokatorstwa pozostały, nie wykończony kicz Siemiradzkiego. Postanowiliśmy po wahaniu namalować na nim rzecz, która nas wybawi. Jakimś cudem zdobyliśmy farby i przystąpiliśmy niezwłocznie do pracy. Miał to być obraz: „Czabani na stepie”. Step malował Chełmoński; mnie przypadły do zrobienia postaci czabanów, a już razem mieliśmy zrobić ich wieczerzę. Rozumie się, że najlepiej wypadło mięso (malowane *con amore*), które na ogniu pieką. Wprost skwierczało z obrazu. Skoro obraz był gotów, uczyniliśmy wysiłek ostatni, by zdobyć ramy. Podpisaliśmy owe dzieło pseudonimem nieznanym „Polono Greco” — i jako posłańcy rzekomi scho-

wanego za kryptonimem tajemniczego malarza, zanieśliśmy w tryumfie obraz na wystawę. Obraz został przyjęty. Pisano o nim pochwalnie, nawet wprowadził zaciekawienie duże w artystyczny światek monachijski, zgadywania, zakłady, kto to może być ów „Polono Greco”, lecz — niestety — nie został sprzedany. Musieliśmy go z powrotem, jako posłańcy niby, do pracowni taszczyć. Na tym płótnie dopiero, za inwencją przyjaznego młodemu, bardzo wówczas pokupnego Brandta, namalowany i firmą jego podpisany obraz został przezeń „Kunsthändlerowi” do Ameryki sprzedany. Ciekawą byłoby rzeczą zbadanie w Ameryce zakupionych w tym czasie w Monachium obrazów. Na wierzchu byłby np. (jak w tym wypadku) Brandt, pod tym Chełmoński i ja, na spodzie Siemiradzki — lub inaczej.

— Nie przeżywalimy już później — prawili nam dalej Witkiewicz — tak nielitośnie długiego i o ziemię rzucającego wprost stanu dosłownej nędzy, choć okresy głodu naturalnie w cygańsko-artystycznym naszym onczesnym monachijskim życiu w dłuższych czy krótszych odstępach powtarzać się musiały. Pamiętam moment...

— Był dzień wczesnej wiosny, słoneczny, ciepły. Pustka i nędza pracowni wygnała nas w przestrzeń, na świat boży. Wyszliśmy we trój, jako zwyczajnie nierozłączni, za miasto, by młodo-wieśnym pejzażem zająć oczy i stłumić choć na jakąś chwilę czyhające w nas i osłabiające podłe uczucie pustego żołądka. Gdyśmy przechodzili koło jakiegoś restauracyjnego za miastem ogródka, widzimy poprzez zapełnić ogrodzenia: Maks Gierymski siedzi



przy stoliku i je obiad. Jak zawsze dystyngowany, elegancki; ubranie i bielizna nieposzlakowanej czystości; na stole cylinder lśniący, obok nieodłączna laseczka i glansowane rękawiczki. — Zaleciał nas z ogródka słabiący zapach potraw. Wypychamy Jarzmowskiego:

— Idźże, pożycz od niego marek kilka. Na pewno ci pożyczę.

Z ociąganiem, dał się przecie przyklonić — poszedł. My dwaj stanęliśmy, obserwując poprzez ażur płotu przebieg wyprawy i oczekując w trwożnym niepokoju-nadziei jej skutku. — Gdy Jarzmowski przybliżył się do stolika, gdzie siedział Gieryski, ten, zawsze uprzedzająco grzeczny, wyciąga doń z daleka rękę:

— Witam kolegę! Proszę, niech kolega siada.

A gdy Jarzmowski usiadł obok, Maks, wskazując otwarty pejzaż zachodu, z żywością powiada:

— Widzi kolega, jaki wyjątkowo cudowny zespół barw!... Jakie niesłychane niebo!...

A Jarzmowski, wpatrzony zezem, jakby urzeczony, w befsztyk, leżący przed Gieryskim na talerzu, przytakuje z przekonaniem:

— Nadzwyczajne... rzeczywiście... nadzwyczajne...

Posiedział przy stole chwilę, wysłuchał pięknego wywodu Maksa o sztuce w ogóle, myśląc o czym innym, nie miał jednak odwagi wykrztusić słowa o pożyczce i pożegnawszy się wnet, wrócił do nas z niczym. Cóż było robić — gwizdząc poszliśmy dalej w pole.

— Był ten Jarzmowski — przedstawiał go nam

Witkiewicz — dziwnym zaiste człkiem. Był on synem konsula, gdzieś pod słońcem Sahary urodzonym. Był smagły i ciemnej, spalonej cery, jak Beduin. Milczący był zazwyczaj w sobie i ponury. Ponurość ta wrodzona oblicza, która jak chmura zakrzepła, kryła wcale nieposepne i złote serce, uderzała ludzi, gdzie się jawił, i nieraz powodem była nieporozumienia. Oto np. siedzi Jarzmowski w jakimś święto — gdy flota skądś znieacka spadła — przy stole w sali „Bräuhausu” — siedzi nad kuflem ciemnym piwa, ponury jak samobójca. Siedzący pobok Niemcy poczynają się trącać łokciami, wskazując nań oczyma, wreszcie jeden z sąsiadów bierze na odwagę i w poczciwości serca swego zwraca się doń z perswazją: „No, czemu pan się martwi? Das Bier ist aber so gut”.

— Ów Jarzmowski — ciągnął Witkiewicz — po latach paru czy więcej, bawiący już w kraju, postanowił wprowadzić w czyn dawno tkwiący w nim tajemny zamiar: dostać się do ojczyzny urodzenia swego, do Afryki. Nie mając innego sposobu, puścił się po prostu w kierunku południowym, pieszo. Po drodze, gdzieś już na gościńcu Moraw, spotkał się z biedą-klerykiem, który znów szedł do Rzymu zostać kardynałem. Juścić dwaj tacy racjoniści łatwo się z sobą zgwarzyli. Postanowili iść razem. Że zaś nie mieli obaj środków, zarabiali po drodze w ten sposób, iż Jarzmowski grał na harmonijce, a kleryk śpiewał. Tak przeszli Austrię, Tyrol, zarabiając grosze po dziedzińcach. I dobrze im się działało. Choć niebardzo. Bo Jarzmowski, co dziś zarobili, chciał zaraz puścić, kleryk zaś chciał oszczędzać.

Nie mogli dojść z sobą do ładu. W końcu się też rozstali. — Czy kleryk został kardynałem, nie wiem — Jarzmowski jednak dobił do Afryki. Juścić nie pieszo. Pono go w Szwajcarii francuskiej jako włóczęgę aresztowano i z łamanej jego francuszczyzny poznawszy, o co mu chodzi, skierowano go do Francji, a stamtąd wysłano go już na koszt rządu do legii cudzoziemskiej do Algieru. Z wielkim trudem, po dużych staraniach i wykupie przyjaciół swych z kraju, udało mu się z tej katorgi po latach wydostać. Co potem działał? Miał, słyszałem, mleczarnię pod Lwowem. Z prac jego rzeźbiarskich pozostał tylko, o ile wiem, jeden utwór kapitalny, grupa: „Chałubiński w otoczeniu Górali”, w posiadaniu Aleksandra Świątchowskiego.

I wiele prawił nam jeszcze Witkiewicz, wspominając dawne lata, artystów zmagających się z biedą, ze życiem, z ignorancją społeczeństwa, z wąskością estetyzujących powag. O tragicznych załamaniach Kurzawy, Podkowińskiego — słuchało się jak jakichś klęskowych katharsis niewtórzonego dramatu. — Szkoda, że te jego dokumentalne wspomnienia nie zostały od razu spisane. Mówił bowiem tak, jak pisał, jędrnie, obrazowo, bez rozgałęzień, treściwie. Każde słowo, ilustrowane plastycznie rękoma, miało wagę życia, dokumentu. Szkoda wielka, że ich sam nie zanotował. Już w powtórzeniu — po latach — koloryt ich swoisty, ich barwa ścierają się i tracą.

## „CICHY PAN”

Bawiąc w zimie r. 1916 w Lublinie, miałem zaszczyt poznać tamże mieszkającego wonczas artystę malarza, którego imię daleko wprawdzie wybiegło za bramy lubelskie, lecz nie oddzwania w Polsce takim rezonansem, jak by powinno przez prawosć sumiennej twórczości jego, jak i wagę dotychczas dokonanych prac.

Ale bo też temu cicho mówiącemu i zaiste cichemu artyście — jak łatwo zmiarkować było można — najmniej chodziło o to, co nawet tęgich artystów uwodzi: — o rozgłos. A o sławie ma zapewne też w mądrości swej sokratesowskie zdanie, a być może z tragedią w sanctuarium duszy ostałą związane. Rosło w nim zasię twórczością, co podkładu wielkiego serca przy wzroku artysty wymaga: — umiłowanie. Umiłowanie tej właśnie ziemi polskiej, tego nieba, i może jeszcze bardziej człowieka, rasą w tę ziemię wrosłego, jak i niemylnego wyjawu jego wartości: sztuki, którą zwiemy ludową.

Zwiedzając wonczas pracownię tego dziwnego artysty, zdumiałem się bogactwu prac, które mię otoczyło. Ujrzałem się jakby w jakiejś galerii lub zgoła w muzeum. Oglądałem obrazy o różnych tematach, różnej technice. Niektóre nawet o tematach literackich, np. jeden, który mam jeszcze we wzro-

ku: *Bunt* czy *Rewolucja*. Uskrzydłona postać o buntowniczym czole — anioł zbuntowany, Lucifer, ciszkający z góry bombę na tonącą w mgłę kosmosu Ziemię. Dumalem zrazu: „Artysta ten chyba błąka się po Europie, jak wielu: szuka jeszcze, nie ma zdecydowanej swej drogi”. Aliści gospodarz cichy poczyna wyciągać kartony — akwarele, pejzaże swoje znad Wisły. Cały niezmierny pochod nadwiślańskiego uroczyska. Potem typy lubelskie: osobna galeria. Potem rysunki piórkiem, akwaforty bram, kościołów, zaułków starego Lublina. I oto odkrył mi się skarb — jego droga: umiłowanie serdeczne artysty.

Po kilku latach dowiedziałem się z artykułów jego w „Gazecie Podhalańskiej”, że bawi w Szczawnicy. Tylko też on jedyny, rozumem serca się orientujący, mógł w tak krótkim czasie, i to absorbowany leczeniem, wejść w sam środek kłopotów szczawnickich Górali, poznać ich samych, ich twórczość i zdatność, i zająć się ze zrozumieniem ich sprawami kulturalnymi.

Spotkaliśmy się wreszcie w Zakopanem. Tak to musiało być — ten artysta z Lublina, jak Witkiewicz ze Żmudzi, musiał przyjść pod Tatry. Szedł przez Pieniny. Toteż w ciasnej jego izdebce (przez ukarany sentyment lubelski artysty mieszczącej się wonczas w „Lubliniance”) oglądałem znowu wielką ilość precudnych akwarel: studiów nieba, gór i lasów pienińskich, o różnej oświetli dni mglistych i słonecznych, jak je wzruszenie i zachwyt artysty bezpośrednio zanotowały. Jedyny w malarstwie naszym poemat Pienin.

Gdzieżby zaś pominął człowieka z tymi górami zrosłego, jego twórczość! Oto z przywiezionych tek jęły się wysuwać — zrazu dla ciekawości, później już zachwyty oka —: typy Górali, kapliczki przydrożne, ozdoby guń, serdaczków, wyszycia żupanów, hafty przedziwne, cyfrowania — cała szczawnickich Górali sztuka, dawna i dzisiejsza.

W Szczawnickiem bo spotkały się trzy odrębne twórczości: lacka od północy — podhalańsko-słowacka od zachodu i rusińska od wschodu. — I wydały swoistą syntezę przedziwną, którą dla bogactwa śmiało nazwać można sztuką szczawnicką. Wzory szczawnickie (np. wyszywań i haftów) mogą rywalizować szczęśliwie z najsubtelniejszymi wzorami Zachodu. Jak dla sztuki polskiej przed laty odkrył Witkiewicz Zakopane, tak dla nas odkrył znowu ten cichy, opatrnościowy artysta Szczawnicę. Ma też tam szczerych przyjaciół (np. samouka-artystę Górala Czaję, twórcę przepięknych ram), którzy piszą doń, tęsknią za nim, wspominając serdecznie „cichego Pana”.

A „cichy Pan” tymczasem utknął w Zakopanem. I dobrze się stało, że tu przybył. Od czasu jak zabrakło nieodżałowanego, świętej na zawsze pamięci Stanisława Witkiewicza, barbaria jarmarczna rozpanoszyła się pod groźnym a dziwnie cierpliwym Giewontem. Narosło wiele bud drewnianych, niby „podług Witkiewicza”, powstały gmachy odważne w tzw. wesoło-zakopiańskim stylu, a w dziedzinie przemysłu artystycznego, zwłaszcza drzewnego, który tu mógłby, jak nigdzie w Polsce, rozkwitnąć — nieliczne rzeczy rodzimego stylu giną w zalewie

tandetnych, swojsko-płaskich albo ohydnych tyrolskich wyrobów.

Artyści, których tu dość i stale przebywa, tak iż niektórzy już się i zzakopiańczyli, jedni od spraw tych odwróceni, którzy, jak ktoś słusznie zauważył, zwykli „siadywać tyłem do Tatr” — drudzy zarobkami albo też biedą swoją pochłonięci, inni zasię, to widzący, wygadają się w kawiarni, wynarzeka ją — i na tym koniec. Nie ma człeka Chrystusowego, który by ujął bicz-słowo na handlarzy.

Mam wrażenie, że spełnić by to mógł jeden, ów właśnie „cichy Pan”. Ma bowiem pełną wiedzę sprawy i — umiłowanie. Nie ma wprawdzie, jak Witkiewicz, nieochybnych cięć, ale ma wystarczający snop — mówiąc rymem kiepskim — ironicznych pchnięć.

Cicho mówi... Zaiste. Głośni są często jak cymbały brzmiące. A on mówi cicho rzeczy ważne.

I to jeszcze: Jest on z sokratesowskich ludzi, jakim wysoce był Witkiewicz. Promieniować pragnął by duszą, czynem, by życie w piękno przemienić.

Ten „cichy Pan”, o twarzy jakiegoś lorda szkockiego lub góralskiego Topora, o uśmiechu współcześnie smutno-ironicznym, to wielki w swej dziedzinie Pan. A zowie się — jeśli ktoś, kto go nie zna, ciekaw: — Konstanty Kietlicz-Rayski.

## PODHAŁE W ŻYCIU KASPROWICZA

Jakąż to stało się przyczyną, iż syn ziemi pszennej, nadgoplańskiej, niejako oka niżu, najwcześniej rasowo lackiej, przylgnął umiłowanemu rosnącemu do tej ubogiej, skalnej, wysokiej krainy i tak się z nią na koniec zespolił uczuciem, iż na zawsze zapragnął w niej zostać? Otoż ze swej ojczyzny kujawskiej przez strach najeźdźcy — słusznie obawiać się mógł gwałt groźnego ducha — bez możliwości powrotu wyważon — a jako z gleby piastowej wyrosły, z naturą ziemną skrewniony, chłop gwałtownie czujący, nie mogący trwać stale w katorżnym dlań świecie miejskim — należeć musiał w promieniu uczuć patriotycznych tę ziemię, która by mu przez oddał jeszcze wypiękniałe ojcowiste Kujawy zastąpiła. A Podhale, mimo swej ubogości glebnej, ma zastępczo niejako tę w sobie przywieźną wagę, iż kto raz na jego skalne progi stąpi — już się nie gwarra tu o przychodniach szarych — musi już, jak pątnik ku zbawieniu, ku jego urokom wracać, aźci go w końcu urzekną na zawsze.

Naprzód orłość Kasprowicza musiały pociągnąć Tatry: mieszczące w swej ku obłokom wyniesionej głębi jedyne jeszcze na tych ziemiach „swobody ołtarze”, gdzie duch, katorgą życia utrudzony, roz-



prostować mógł skrzydła. Tatry — ze swoją niedostępnością, z iglicowymi szczytami, z zawratami, ze zdradnym upadem żlebów, w których śnieg wieczysty leży, z turniami grozy, z przepaściami śmierci — były właśnie dla zaciętej, bojującej natury Kasprowicza jakby stworzonym krajem. Wyszarpywały zeń swym podniebnym, Bogu grożącym ogromem wolę potęgi, a zarazem oporem swym, natrząsającą się z człeka wyniesią ściosnych granitów wyzywały do jedynej życia radości, do walki. Walczy też z ich wrogością zawzięcie, „Ponad turnic załomy, tam, gdzie orły jedynie tułą skrzydła znużone”, wspina się w hardej, nieustępliwej brawurze — zмага się z burzą — pierś w pierś staje przeciw halnemu wichrowi — a olbrzymom-szczytom, poszarpanym zębcom skał i turni, ciska z dołu junaćkie wyzwanie: „Hej, wy zęby, wy turniczki marne, jeszcze ja was łokciami ogarne!” W zachwycie walki, w radosnym poczuciu, jak dąb młody, wezbranych soków-sił, zdaje się być Janickiem-harnasiem i Waligórą razem, co „śpiewający orłując ku hali, głazne złomy do przepaści wali”. W tryumfalnych tych z ogromem skalnym zapasach, gdy słońca krąg zdawał się być łatwo dłonią ze szczytu osiągalny — mógł każdy czyn okrzykiem gromkim potwierdzać, iż „złudą-li jest śmierć, a zasię prawdą życie!”.

Załamiał się młodości okres bohaterski. Nadszedł „wiek męski, wiek kłęski”. Tatry będą również kulisami wieczności tej tragedii. Naokół oto „ogrom

skął" — gdy „duch, zrzućwszy brzemień ciała, zawisł nad przepaściami"... Przesłaniane bojowaniem-czynem, manifestacją życia, oczy śmierci poczynają lękiem bez dna wyzierać z czarnej otchłani. Staje pytanie: „Wieczny sen — czy też wieczyste życie?" Tytaniczne również, groźniejsze wiele niż z Tatrami, będzie to zmaganie się Kasprowicza z „widmem tajemnic Bożych". Raz duch poety w imię nędz człowieczych podniesie protest-bunt, stanie się sędzią Sędziego — to w wątplenie się osunie, w trwożę, „do smreków tuli się bezwładnie" — by podźwignąć się znowu do zmagi. Ściemnieje, zjesejni się w tych zapasach myśli, wszystko naokół inne przyjmie barwy, kir czarny na duszę padnie — wyrwą się słowa Hiobowe: „nie ma szczęścia tam, gdzie życie rośnie". To znów — po walce na powietrzu krwawej, od której „płonie skalna Tatr korona" — ukój napływa w duszę, człowiek się pokorzy — gdy „cisza idzie od wieczornej zorzy zamykać Tatry w swe ramiona".

Jeśli Nowicki w sonetach swych dał plastyczne zarysy Tatr, Tetmajer zaś w swych lirykach sępiość ich dolin-pustaci, to Kasprowicz uczynił je chramem, jak Mojżesz Synaj, dla rozmowy z Bogiem. I już odtąd, gdy z Nim będzie miał przed słońcem sprawę, tam, wśród otoczy tych świadków-Tytanów scenę realną monologu — z wizyjną perspektywą kujawskich pól — umieści. Nie mogąc już, jak za młodu, w bujnym sił rozkwicie, brać się za bary z olbrzymami Tatr ani ku ich podniebnym schodom się wynosić, chciał Kasprowicz przynajmniej co roku być w ich bliskości i w miejscu, skąd mógłby

oczami największy możliwie obszar ich objąć. Poronin nadawał się najbardziej ku temu. Tam też rozbijał latem swe namioty.

Czyhała tu na jego serce druga wierchność urocza Podhala: rasa ludzka. Nie spotkał tu już wprawdzie tych legendarnych herosów ni owych mitycznych lordów, jakich zastali byli jeszcze — lub bodaj świeżą tradycję o nich — Chałubiński, Stolarczyk, Witkiewicz, nawet Tetmajer w chłopięctwie — lecz poznał przecie dość hyrnych junaków, sporo szanownych poronińskich gazdów (Mardułów, Gutów, Orawców i innych), którzy w porównaniu z ludźmi z nizin iście jeszcze świecznili się eposową łuną.

Przez rozważenie sumieniem buntu Napierskiego wszedł Kasprowicz w tradycję tej honornej rasy, zbracił się z nią niejako w buntowniczych występach sołtysich, stał się niejako wspólnym odpowiedzialnym za przeszłość, prawym sołtysem Podhala, w ziemię tę sercem zastępczo wybraną jak dąb z Kujaw przesadzony, korzeniami wrosły.

Osiadł na dłużej w Poroninie. Wynajął dom u Marduły, sprowadził książki, obrazy i godnie wewnątrz urządził. Z okien miał widok na grzebień Tatr wschodnich i na groźny stąd, osobniczy Murań. Tu żył sam z sobą, z widmem Tatr i z „widmem Bożych tajemnic”, z przemiennymi porami roku i — z przyjaciółmi. W ponurości swej bowiem wielkodzielnym towarzyski, częste miał w swej pustelni odwiedziny przyjaciół. Sprzyjał im się też, niejako sołtys osiadły, z gazdami-sąsiadami. Bawił się na chrzcinach u nich jak Król i Marchońt razem. Oni też kochali

go i dumna wieś cała była ze „swojego pana Kasprowica”.

Znane były tego Pana wędrówki samotne w pola, jako i piechotne pąty do Zakopanego. Powiedziała-by ta rampa na mycie, powiedziała-by kapliczka ko-ło osiedla Bachledów, ile razy po ćmie, w deszczu albo w zadymce okrutnej siepał się tędy mocny „pan w kozuchu”. Łamiąc się tragicznie z wciąż nieodstępny „widmem”, rad odpoczywał w walce fizycznej z śnieżycą, z plutą, z wichurą. Rósł w sobie przezwyciężaniem.

Przychodziły i jesienie ciężkie — gdy ogródek przed oknem pustoszał. „Stary, oślepy słonecznik sam jeden mi jeszcze pozostał z wszystkich mych kwiatów-przyjaciół”... Zato zima, zima podtatrzań-ska, biała, z fioletami cieni, z baśniową okiścią drzew, ze smętnymi pogłosami sanek, wywołująca z domu w nieskończoność... Pola — załomy — mie-dze do cna wyrównane jedną puszystą zaścielą, zróżwioną obrzaskiem zachodu — a tam, w bezlu-dzie, w pustać otwartego działu ślad po śniegu głę-boki... postać w kozuchu, znana, brnąca po pas w za-spach, borykająca się zawzięcie z topielą śniego-wą — z celem upartym, by „z tej drogi końca zo-baczyć lepiej zachód swego słońca”...

Powołany na katedrę, zwinąć musiał Kasprowicz mieszkanie u Marduły i przenieść się z powrotem do Lwowa. Tęsknił jednak za zrodzinniałym dlań niejako, swoim już Podhalem i wszystek wolny od zajęć profesorskich czas tu w otoczy miłowanej spę-

dzał. Marzył też o tym coraz to wyraźniej, by tu dom swój (koło Ustupu) zbudować i już na stałe w nim osiaść. Nim do tego mógł przyjść, wojna zaszła. Kasprowicz zamieszkał znów w dawnym osiedlu Mardułów. Wążąc krwawą zmołę-zbrodnię, która spłoniła świat, odrzucił w sobie wolę bojuwania. Zbliżył się sercem ku piewcy miłości, pokornemu bratu wszech-stworzenia, który znał mowę kwiatów. Chodząc po łąkach olczańskich, dumal swą *Księgę ubogich*.

Ziściło się na koniec marzenie gazdy-poety. Nabył dom naprzeciw Ustupu, na Harendzie. Rozszerzył go i tak wszystko w nim, jak i naokół urządził, jak się mu jeno najlepiej widziało. Sołtysie istnie, o dogodach kultury wysokiej, ufundował gazdostwo.

Lecz, niestety, niedługo mógł się nim nacieszyć w pełni. Chorość niezmożonego powaliła. Kiedy się otawił po niej, był już jak dąb piorunem podcięty i śmiertelnymi strzały stygmatyzowany. Nie mogąc pióra udziżyć, dyktował jeszcze żonie-opiekunce tę ostatnią i przesmutną księgę, w której zamknął „swój świat”. Jest nim to proste, ubogie, z okna niejako widziane — z oknem jednak na wieczność — Podhale. Z nim pragnął koniec żywota zespolić.

Przycisnęło Go też, jak najdroższego syna do swej piersi. Duch Jego pozostał z nami i gazduje dalej na Harendzie.

*Poręba W., w sierpniu 1926 r.*

## WIEŚ TETMAJERÓW

Kilkunastomilową dolinę nowotarską lub właściwiej dolinę Dunajca, po jego wrąb w Pieniny, zamykają: od wschodu te właśnie bramy Pienin, od północy wał Gorców i Beskidu, od zachodu orawskie hory, a od południa Tatry. — Dolina ta, tak w sobie zamknięta, tak charakterem swym od reszty kraju inna, tak — można rzec — odrębnie żyjąca, nasuwać może jedyne porównanie z państweczkami dawnymi greckimi, równie przez swe zamknięcie w kotlinach od siebie wzajem wyodrębnionymi. A ta pewna jej helleńskość — że użyję wyrazu nadużywanego — tkwi nie tylko w geograficznym jej położeniu; przebija się w temperamentie ludności, w obrazowości i rytmice gwary, jako też w tej słoneczności, którą mimo chłodu, zawiewającego od sinych Tatr, po brzegi niemal zalewa. — Komu w dzień pogodny, jadącemu z Chabówki do Zakopanego, na przechyleniu z Obidowej odsłonił się z nagłą widok na rzeczoną dolinę ku Tatrom, ten z pewnością nigdy tego olśnienia nie zapomni: — wizji jakiejś krainy szczęsnej, południowej, pełnej rozpylonego słońca, z cudem nie-do-uwierzenia mglących się w oddali Tatr...

Prawie pośrodku tej doliny, na otwartej równinie, milę na zachód od Miasta (Nowego Targu), na

lewym brzegu Dunajca Czarnego, nad ujściem rzeczki Lepietnicy, która z Gorców spod Turbacza spada, leży stara osada Ludźmierz, rodzinna wieś Tetmajerów.

Uplastycznijmy sobie lepiej tę sławną już dziś dziedzinę podhalską, której losem szczęśliwym przyznany jest zaszczyt być kolebką dwóch wielkich braci-artystów.

Od północy więc olbrzymi, lesisty wał Gorców... Na południu, widne w całym majestacie sponad spiętrzonych wzgórz Podhala Skalnego ku obłokom wyniesione, Tatry... Na zachód i wschód przestrzeń równienna, daleka — niby dwie bramy, na oścież dla duszy wrażliwej rozwarłe: świtu i zmierzchu, radości i tęsknoty... Tuż pobok szemroty rzeczne... Długie zagony pól, łąki torfiaste... Dalej, przeświecające wśród wiklin, ujęte tu niskimi brzegami, Dunajca fale... Za Dunajcem bór smrekowo-sośniany — aż ku Miastu, z którego widna jeno ponad ciemną ścianą lasu wieża kościoła Św. Katarzyny, pamiętająca zmierzchłe czasy Kaźmierza Wielkiego, i stojący na wzgórzu nad miastem, ponoć jeszcze starszy, drewniany kościółek Św. Anny, według podania przez zbójników ufundowany. — Drzew liściastych ubogo... Parę lip koło kościoła — tu i owdzie nad ciemne dachy chałup wyniesione zielone czapy jesionów — jawór gdzieś w kępie samotny — wierzba skądś trafem w ten nieswój kraj zaplątana — i tyle. Za to słońce, długimi szlaki chodzące — z bramy Pienin, ponad dłuży Tatr, aż ku zapadłej Orawie — jest tu o każdej porze dnia, gdy go chmury nie kryją, obecne.

Tak więc twórca *Skalnego Podhala* wśród tej otoczy smętnej i wspaniałej przeżył dziecięcą wiosnę i lata pierwszej młodości; lata, które kształtują rdzeń duszy, które są niejako śpichrzem wrażeń, odbieranych z zewnątrz barw, uczuć — na całe życie.

Uprzytomnijmy sobie treść tych chwil wstępnego życia poety, a zrozumiemy wagę ich tworzącą, i wiele z utworów jego tym bardziej się nam, bo na ziemi określonej wiedzą, uplastyczni.

Dworek Tetmajerów w Ludźmierzu nie odcinał się od życia otaczającego. Ojciec poety żył z chłopami w przyjaznym sąsiedztwie i miał duży mir na okolicę, jak świadczą wspominki starych. Toteż poeta od dziecka stykał się z ludźmierzanami, a i z dalszymi ludźmi z Podhala — bo do ojca, jako posła, szli chłopci zewsząd na uradę — i wcześniej już nauczył się polskiej ludu gwary, którą mówił wnet jak swoją. Później, przyjeżdżając ze szkół na wakacje, „towarzyszył się” z rówieśnikami, a miał zapewne od czasu dzieciństwa i starych gazdów-przyjaciół, do których chadzał na „gadki”: o czasach drzewnych, o zbójnikach, o dawnym świecie Podhala. — Przeogromne zwaliska Tatr padały grozą na wrażliwą duszę, to wyszarpywały z niej swym ku niebu krzykiem wolę potęgi... A gdy zamgliło je słońce — iż stawały się snem, mityczną jawą — to znów wiodły duszę w baśń niezamkniętą, w marzenie. — Legendy słychiwane o bajecznym wnętrzu Tatr, opowieści o ludziach mocarnych, o górnym, Skalnym Podhalu, rozpały wyobraźnię młodzieńca. Widywał ich zapewne, tych „skrzidlatych”, corocz-



nie podczas odpustu. Na Matkę Boską Zielną w sierpniu ściąga całe Podhale do Ludźmierza. Mógł się im wszystkim i ich strojom do woli napatrzeć.

Chytko minęły te lata. Poeta poszedł „w świat”. I w tym nie uszedł losu swych krajan-Podhalan. Jednak Ludźmierz w twórczości jego pozostał. Chwile, tam przeżyte, wróciły po latach, nienaruszone, lecz ileż głębsze! Przeszły z pamięci przez rezonans duszy, przez jej pustkę. Dołączyły się do ich tych samych barw: wiedza o nich, że były, żal, że umarły, i wreszcie smutek, który narasta ze życia i wszystko swym cieniem tonuje. „Na Anioł Pański biją dzwony”...

Wszystkie zmierzchy, zachody, południa, tylekroć widziane z łąk ludźmierskich, wróca, odbijają się w poezji przypomnieniem. Twórczość jest przypomnianiem — można w skrócie powiedzieć.

Jest w *Janosiku Nędzy Litmanowskim* opis powodzi. Jakich rzek? Juścić Dunajca i Lepietnicy. Prawie widzę, gdzie stał chłopiędziem, w którym miejscu, i patrzył trwożnie na toczące się męty wód, na głozone szumem krzyki pasterzy za wodą, którym wezbrany z nagłą potok odciął powrót do dziedzin.

Nawet mówiąc o zamierzchłych czasach, z tej strony spojrz na nie nieraz, od Ludźmierza, czego dowodem w cyklu *Na Skalnym Podhalu* rzecz pt. *Rosiczka*. — Ludźmierz za dawnych czasów z paru sąsiednimi osadami należał do tzw. opatowszczyzny, własności o.o. cystersów, którzy mieli klasztor obok w sąsiednim Rogoźniku, lecz po dziesięciokrotnym napadzie zbójników zmuszeni byli prze-

nieść się w kąć spokojniejszy. Otóż te czasy, prawie zmierzchłe dla nas, z głębokim odczuciem duszy i wierzeń onczesnego ludu obrazuje poeta w *Rosicze*.

Wszędy pójdzie za nim nieprzygaśła, mimo lat grodzących, wizja wsi rodzinnej; na zawsze zatrzymany, niby sen odbity szczęścia, pejzaż młodzieńczych lat. I często za minionym dusza, jak za rajem utraconym, zatęskni.

Z obczyzny dalekiej, „na wiosnę” poświęca bratu Włodzimierzowi kilka sonetów, między tymi jeden pt. *Tęsknica*, w którym czytamy:

Tam, u nas tak w niedzielę, w majowy poranek  
Idą dziewczki z kościoła, z kwiatów wianki plotą,  
Ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek —  
Zda się, Bóg w jasnym niebie twarz pokaże złotą...

Jeżeli przypomniemy, jaką wagę w wizyjnej tęsknocie poety mają Cisza, Przestrzeń i Światło, to Bóstwo jego w trójcy, do którego się modli w najwyższym poruszeniu serca, które zowie „świętą ojczyzną ducha” — jeżeli przypomniemy realność niemal tej wizji poety, to nie odbiegniemy, mniemam, tak dalece od prawdy, gdy stwierdzimy, że to jest ów „pejzaż utracony”, ów „kraj bajeczny” — że on to Bóstwo w trójcy istotnie widział, obejmował oczyma dziecka w tej słonecznej, helleńskiej dolinie.

## [POECI PODHAŁAŃSCY]

JÓZEF JEDLICZ

Z trudnością przychodzi mi pisać o tej pierwszej książce Jedlicza. Gdyby była przyszła do mnie przed laty paru, pewnie pisałbym o niej łatwo, entuzjastycznie. Książka bowiem — zwłaszcza zawierająca poezje — jest to list do przyjaciół, znaczy: ludzi na tym samym stopniu duchowego rozwoju będących. Z treści zaś widzę, że to list nie do mnie, i przez to w sprawach zasadniczych nie ma na razie, sędzę, porozumień między mną a autorem. Na razie — mówię — bo w drodze rozwoju może się znowu spotkamy.

To powyższe zaznaczenie usuwałoby dalszą ocenę. Ale że książka, jak zwyczajnie, jest listem otwartym, więc mogę o niej — przeczytawszy — powiedzieć swoje wrażenie.

Wrażenie z tej *Słonecznej pieśni* odniosłem przygnębiające. Oto jakoby widział ptaka (orła — powiedzmy poetycznie, choć właśnie różni poeci zrobili go sową nadętą), więc orła, zamkniętego w klatkę, który przymknawszy znużone powieki, marzy o nadchmurnym locie, o dalekich żeglugach nadmorskich, o zawrotnym kołowaniu ponad przepaściami, o królewskim spokoju na szczytach — i to marzenie jest mu tak realnym, że nie czuje po-

trzeby tych pięknych przeżywań poza przeżywaniem w myśli, a choćby czuł, to kraty mu się widzą (zwłaszcza wobec przymkniętych oczu) takie mocne, że ani gadki ich połamać. Więc zadowolnia się samym marzeniem, i to jest jego słoneczna pieśń — w klatce. A smutek, zgryz, który się w to marzenie wciska, to stąd, że sobie tę klatkę-niewolę dość często przecie uświadamia.

Ma on pragnienie pełnego, promiennego życia, ale woli ku temu życiu nie posiada. Gdyby mu klatkę kto otworzył — on by się może nawet i nie ruszył. „Na bój? Na świt? Na nowe życie?” — Wszak on je już w swej myśli przeżył! Spokój jest potęgą, a potęga spokojem — w klatce.

Oto takie wrażenie odniosłem z *Pieśni słonecznej*, zwłaszcza z cyklu takim tytułem zaznaczonego we zbiorze.

Jan Sten, pisząc w „Krytyce” o poezjach Jedlicza, rozkoszuje się „spokojem helleńskim”, jaki w nich widzi. Często się u nas „helleńskość” powtarza. Otóż trza zwrócić uwagę, że ów „spokój” Hellenów wypłynął z pełni ich życia, tak fizycznego, jak i duchowego. Była to naturalna pogoda żyjących. A gdzież u nas kto żyje? W marzeniu chyba? Ale to nie jest życie — to nazywamy dzisiaj poezją: Marzenie o pełnym życiu. Taką jest *Słoneczna pieśń* Jedlicza. Ale chyba tak daleką od „helleńkości”, jak marzenie o życiu dalekim jest od onego życia.

Czytelnicy „Tygodnia” mieli sposobność zapoznać się z Jedliczem i poznać właściwości jego świeżego talentu, bowiem „Tydzień” dość często zamieszczał utwory jego, tak prozą, jak i wierszem,

i bodaj czy nie najpiękniejsze wiersze z jego zbioru — cykl 14 sonetów: *Legenda pól* — były tam drukowane. Toteż nie chcę narzucać swojego sądu o artystycznej wartości tych rzeczy, tym bardziej że niejeden, śledzący drogi naszej poezji, zechce przeczytać cały zbiorek *Słoneczną pieśnią* objęty. Dodam jeno, iż ten tomik odcina się wybitnie od szeregu podobnych z okładki tomików i można go postawić w rzędzie najlepszych utworów lirycznych z lat ostatnich.

#### FELIKS GWIŹDŹ

Na wstępie muszę zaznaczyć, iż uważam za rzecz niepotrzebną pisanie przedmów do zbioru utworów, które nie potrzebują objaśnień ani z powodu których trudno coś wyraźnie decydującego powiedzieć o ich autorze.

Że jednak mimo tego zastrzeżenia przedmowę niniejszą piszę, czynię to — jak wiele innych rzeczy — z naturalnej niekonsekwencji, co nie powinno dobrego człowieka, mającego istotny zamiar przeczytania niniejszej książki, zniechęcać zaraz na wstępie ni smucić, jeżeli zważy choćby życie swoje — najczęściej niekonsekwentne. Także czynię to z grzeczności sąsiedzkiej, bo jeno paromilowy grzbiet leżącej, poślubionej Obidowcowi, Obidowej dzieli Porębę, wgłębianą w roztoki, od słonecznego Odrowąza, gdzie się w chałupie ojców swych wychował, pasając bydło, zanim we świat poszedł, autor *Jaskowej nuty*, dziś już pan Feliks Gwiźdź.

Nie pierwszy to muzyk słowa, którego ta hel-leńska kotlina wydała. Bo i Jedlicz, znany szerzej twórca przeczystej *Pieśni słonecznej*, urodził się i wychował nad falami Czarnego Dunajca, w dziedzinie stykającej się z polami równianymi z Odro-wążem. Pewnie w latach chłopięcych spotykali się na pastwiskach granicznych wsi obu, biorąc gorący udział w homeryckich zapasach pasterzy, w walkach, których przyczyny były bardzo ważne, np. wypasanie kryjomo ugorów, zawiść, szyderstwo bardzo dokuczliwe z jednej i obrażona duma z drugiej strony, wreszcie, co najważniejsze, zbytek siły, temperamentu, lotności, z którymi się nie wiedziało już, co robić.

I ci bohaterowie mali, przewodzący może swoim hufcom krzykliwym, ani mogli wówczas przeczuć, iż kiedyś spotkają się znowu w innych zapasach na drodze do grodu Sławy: w zapasach, w borykaniu się ze swoją niemocą, i że przewodzić będą milczącym hufcom postaci swych, z wizyj swoich powstającym.

Tak to dziwnie pęd ku rozwojowi, jaki istotę natury całej przenika, a w człowieku jest już mocną tęsknotą do Boga, zatamowany w duszach chłopskich przez położenie ekonomiczne tej warstwy, wyrzuca często jak zatamowana pod ziemią roztoka gejzery w słońcu łyskające, wyblyska czasem jak ściśniony w ziemi ogień płomieniami wyswobadzającymi się na wierzch — wydobywa dusze twórcze na wierzch tej warstwy, energią potencjalną dyszącej.

Chciałbym ja, żeby te gejzery strzeliły prosto

ku niebu, i nie traciły mocy swojej ani gorąca wewnętrznego, nie rozlewały się w sadzawki płytkie, po płaskiej połyskujące powierzchni; pragnąłbym sercem, aby te płomienie nie słabły za lada podmuchem wiatru, mocne jeno do tyła, by suchy jałowiec spalić — lecz aby strzelały w górę — kolumny, słupy ogniste, izby świat cały od nich mógł się zająć — pragnąłbym, żeby te dusze tworzące szły dalej ku rozwojowi, uświadamiając się w sobie, ku coraz wyższemu, coraz wyższemu stopniom.

Ale ufajmy w pęd rozwoju. Ten, gdy się z wolą duszy wewnętrzną zespoli, może piękne uczynić dzieło z człowieka.

Dwojako ujawniają się natury artystycznie usposobione w utworach, jakie od młodu przynoszą. Objawiają się wprawdzie różnorako, ale dwie różnice wpadają powszechniej w oczy. Więc jedni dają rzeczy już skończone, mówiące o ich świadomości artystycznej, o dokonanym skryształowaniu w sobie. Drudzy zaś na początku dają rzeczy słabe, nieprzeżyte albo nieumiejętnie wyrażone, za czym z rozwojem swoim przynoszą rzeczy coraz lepsze, aż do doskonałych.

Natura artystyczna Jedlicza skłania się ku rodzajowi pierwszemu, Gwiżdża zaś raczej ku drugiemu.

Ufajmy jednak w pęd, który go już tu zaprowadził z pastwiska odrowąskiego, iże go powiedzie dalej. Za czym życzę mu tylko Woli mocnej.

*W Porębie Wielkiej, w grudniu 1904.*

## ANDRZEJ GALICA

Rekomenduję Wam znów jednego Górala. Nie jest on wprawdzie młodzieniaszkiem, ani do tela nieśmiałym, iżby go trza było publice przedstawiać, ale że przez swój dramat wchodzi do „szkoły podhalskiej” — nie jam winien tej nazwy, tak mi Boże góralski dospomóż — więc trza o nim powiedzieć słów kilka.

Na czym ta „szkoła” polega? Sądzę, że chyba tylko na czerpaniu tematów z Podhala i na używaniu w zamiarach swych twórczych gwary podhalskiej albo jej charakterystycznych zwrotów, powiedzeń, obrazowania lub składni. Bo zresztą ci ze „szkoły” różni są wielde w naturach swych i w pracach od siebie. — Taki Józef Jedlicz z Wróblówki, istny helleńczyk, spokojny, w poezji niejako brat przyrodni Staffa — Feliks Gwiżdż z Odrowąża, nowelista, kpiarz mądry i pieśniarz szczery — Zygmunt Lubertowicz z Nowego Targu, epik z talentu a powicher z myśli (niewiada jeszcze, jako się wyrazi) — no i teraz Andrzej Galica z Poronina...

Czy dramaturg? Tego jeszcze na podstawie *Przysięgi* przysiąc stanowczo nie można. Jako inżynier, więcej on się dotąd cyrklem niż piórem trudnił, a *Przysięgę* swoją napisał przed laty kilku, kiedy to realizm w sztuce nawet duże talenty porywał.

Galica Andrzej urodził się w Poroninie, bliźiutko Tatr; szkoły odbył w Krakowie i we Lwowie na Politechnikę chadzał. Tu w ruchu społecznym żywy brał udział i w „Promieniu”, piśmie postępowym młodzieży, pierwsze swe artykuły gorące zamiesz-



czał. Przesadzony do Wiednia, na obcy grunt, sercem wracał ku swoim góróm i ludziom i stąd szereg nowel, drukowanych po pismach, stąd *Przysięga*. Wszystko tematem ze swojej dziedziny, spod hal.

Wszystko to nie jest tak udałe, jako ma być. Ale bo też nie temu życie ochfiarował. Ino cóż — życie chce się wyżyć. A dopieroż góralska natura. Czego się chyci, to robi. Weźmie pióro — to napisze; imie się pędzla — no to namaluje. I to rzeczy niegorsze. A jak wolę w to rzuci, umysł cały — no to już wyjdzie rzecz piękna. Do cudu. O każdym żywym człowieku, ale też więcej o Góralu, nie można nic powiedzieć wyraźnego na podstawie rzeczy, jaką robi — bo diascy wiedzą, co może nowego stworzyć, jak się uprze. To się też do Galicy stosuje, jak święte.

Kiedy wyjdę na Galicową Grape, siądę naprzeciw Tatr i głowę podam dumaniu — śnią mi się rzeczy dawne, przez sen z daleka wypiękniałe... Podhale sprzed paru wieków, z czasów rebelii chłopskiej, z czasów Kostki — doliny czerniejące borem nietykalnym — Zakopane, dziś miasto, jako polana wśród lasu... A wiatr nawiewa pieśni, kiedyś żywe...

Słyszę — gazda jakiś pokraczny skarży się śpiewką na junaka, jednego z tych „chłopców dobrych”, co to „wyskakowali za bučki”, „na uher-skie”:

Hej! Galica! Galica!  
Nieszczęśny Galica!  
Pokrodeś owiecki,  
Nie ujdzies Wiśnica!

Nie tak to dawno musiało być. A dziś — coż będzie robił? Przywiązany do biura, będzie się tłukł jak krogulec w zamknięciu. I chcąc się wyżyć pełnią, będzie się imał wszystkiego: pędzla, pióra, kiłofa... To za mało — więc będzie walczył o niesprawiedliwości świata, o krzywdy ludzkie, o ślebotę... zapominając, że walczy ino o siebie.

Stanowisko społeczne autora w *Przysiędze* wyraźnie widać. Dziś borbuje się inaczej. W Zakopanem trzydziestu policjantów strzeże porządku, broni państwa i „państwa”. Na honor przecie Górali, mocno już podupadły, muszę dodać, że to są jednak „same cepry”.

*W Poroninie, pod Galicową Grapą, w styczniu 1909.*

## [PRO DOMO SUA]

### O „WINĘ I KARĘ”

Zawsze z pewną przykrością czytałem odpowiedzi autorskie na ocenę ich prac, kłóćącą się z ich mniemaniem o tych rzeczach; bowiem najczęściej wywoływały je albo podrażniona próżność, albo równie smutne nieuświadomienie sobie tego, iż jak różne są stopnie rozwoju, na jakich się ludzie znajdują, tak i zdania o tej samej rzeczy muszą być różne. Gdy na szczęście zwolon jestem od tych zwyczajnych pobudek, to przecie nigdy nie odpowiadałbym na ocenę prac moich taką lub owaką, a to z przyczyn: iż zaczepienia danej mojej pracy nie uważam jako zaczepienie mego przekonania, po wtóre zaś uważam, iż najczęściej pomiędzy twórcą a krytykiem nie ma porozumień zasadniczych, a często porozumień żadnych. Zatem i zaczepienie przekonania winno by bez odpowiedzi pozostawać, co jednakowoż się zazwyczaj nie dzieje, z racji, iż podobne polemiki coś uświadamiają. Racja względna; najczęściej jest, że jeden mówi np. o wałącym się domu, a drugi o belkach. I ci już są bardzo blisko siebie.

W wypadku niniejszym żaden z powyżej zaznaczonych nakazów przemilczenia nie ma w mej świa-

domości pobłogi. Skłoniony jestem do odpowiedzi z powodów, iż: — 1. Zaczepiono mię w mojej drodze, w moim zamiarze przejścia. — 2. W dowodzeniach krytykującego widzę dużo dobrej woli, sumiennosci i zrozumienia rzeczy, co tym bardziej utwierdzać może sąd mylny, już z założenia wynikiły, a drodze mej szkodliwy. — 3. Między mną a krytykiem widzę możliwość porozumień.

P. Adam Zagórski w artykule drukowanym w „Tygodniu” podjął się udowodnić na podstawie dwóch moich ostatnich dramatów (*Ofiara, Wina i kara*), iż „forma dramatu obca jest zasadniczo mojej organizacji twórczej”, i że nie jestem zgoła „dramaturgiem”, ale „poetą liryczno-refleksyjnym”.

Nawiasem: przylepianie etykiet ludziom żywym podług recepty dawniejszej krytyki nie przystoi umysłowi nowoczesnemu. Ale o to mniejsza. Chodzi o zaczepienie drogi mej, o zakwestionowanie całej mojej — a więc i przyszłej — twórczości dramatycznej. I to na podstawie dwu wymienionych dramatów. Rozpatrzmyż więc zarzuty przeciwko tym dramatom podniesione.

*Ofiara.* Już nazwaniem tego utworu „fragmentem w trzech aktach z kart 46 r.” dałem do poznania, iż nie uważam go za pełny dramat, tym mniej za dramat 46 roku, jaki się nam jako obraz historyczny zjawia. Fragmentem też jest w istocie — i z „krwawych kart”, i z cyklu, jaki zamyśliłem był, a w którym miałem „główną część akcji przenieść na wieś” (*Pomsta*), „dwór i wieś naświetlić” i „nieporozumienie stron obu między sobą i z rzeczywistością uczynić tragicznym (?) szkopułem akcji, jak

by — mówię za p. Zagórskim — postąpił dramaturg z powołania i zawodu”.

Tego „nie zrobiłem, nie chciałem zrobić”, ale z innych przyczyn, niż p. Zagórski twierdzi. Dość, że pozostał z cyklu napisany fragment i jako taki (co widoczne) winien być rozpatrywany. Chodziło mi w nim o pokazanie, iż w ogóle jednostka, tylko uczuciem zbrojna, pada „ofiara” w starciu „działających się”, ale głównie chodziło mi o nastrój przed wybuchem, o to powietrze dramatyczne, jakie ma na serca powiać od wydarzeń. Podobny zamiar autora widzę np. w *Warszawiance*. O ile temu zamiarowi w *Ofierze* odpowiedziałem, sama rzecz udowadnia (jak się komu widzi), i o to nie byłem zaczepiony; gdy zaś p. Zagórski podsuwa inny temat dramatu z tego czasu, przyznaję, iż miałem zamiar podobny napisać, a w *Ofierze* nie zużytkowałem tematu tego z tej prostej przyczyny, iż powyżej zaznaczony zamiar ramy pomienionego fragmentu dostatecznie wypełnia. Zresztą nie zatrzymuję się dłużej nad *Ofiarą*, bo chodzi mi o wniosek główny, a sam p. Zagórski „nie przeczy, iż gdyby ten tylko dramat na dowód twierdzeniu, że dramaturgiem nie jestem, miał postawić, nie mógłby sparować zaprzeczeń”.

A więc rozchodzi się o *Winę i karę*. Tym lepiej. Bo gdy *Ofiarę* napisałem w czasie, kiedy miałem jeszcze dość mgławicowe pojęcia o dramacie, to *Winę i karę* pisałem z całą świadomością swej drogi, z pewną już, własną orientacją w tej dziedzinie. I dziwię się, jakie p. Zagórski może widzieć podobieństwo w traktowaniu pisarskim tych dwu rze-

czy, oddzielonych od siebie pięcioma laty — rozwoju.

W *Winie i karze* chodziło mi: 1. O pokazanie dramatu duszy (Anna), szarpanej trwogą na podstawie faktu czy złudzenia, z przyczyny etyki nabytej. — 2. Jak się rzecz ta przedstawia człowiekowi (Owczarz), który w rozwoju swoim naturalnym doszedł do rozumienia przyczyn piekła, przez ludzi sobie tworzono. Jako autor, godząc się w tym z Owczarzem i nie uważając rzeczy tych za tragiczne, tj. cierpienie duszy, wynikłych ze współżycia różnych ras duchowych z sobą — moja nie napisana teoria — albo z braku uświadomienia dalszego — przecie z umysłu ochrzcilem rzecz „tragedią” i dałem jej tytuł tak powszechny, jako dramatyczny problem, właśnie dla podkreślenia czegoś przeciwnego.

Zaś co do formy wykonania — już jako przyjętej w podtytule „tragedii” — chodziło mi o to, iżby rzecz, w pewnej mierze stylizowana, nie zatraciała cech realistycznego traktowania. — Rzecz więc z umysłu osłabiłem, jeżeli to jest osłabienie; zamiast konieczności tragicznej, dałem możliwość dramatyczną; przez wprowadzenie „zbytecznej postaci Owczarza” — jak twierdzi p. Sten — osłabiłem tragedię, za jaką on rzecz uważa, i nie idąc za kanonami, nie napisałem dramatu, jak znowu p. Zagórski twierdzi. Otóż ani nie myślałem pisać tragedii dla rozkoszy Stena, ani dramatu podług wskazań p. Zagórskiego. Przy rozpatrywaniu *Winy i kary* szanowny krytyk nie szedł za zamiarem autora, czy i o ile zamiar został wykonany, dlatego przy pod-

noszeniu zarzutów miał jakiś dramat swój, na tym temacie osnuty, na myśli. Wszystkie też bez mała zarzuty, jakie p. Zagórski odnośnie do *Winy i kary* stawia, są nijakie.

Przejrzyjmy je kolejno:

1. „Z wyjątkiem Owczarza i Anny inne postaci zarysowane są ledwo”, bo tak wypadło z założenia. — 2. „Sztuczność w faktach i osobach” — zarzut za ogólnikowy i winien być rozdzielony. „Sztuczność osób” wynika z ich stylizacji, a „dwa jedyne fakty” dramatu są dość umotywowane (odnośnie do zamiaru). Pierwszy (tj. fakt kazirodztwa) niekoniecznie musi być faktem, może być pozorem. A „skąd w owej zamożnej (!), uczciwej i pobożnej chacie chłopskiej taki występek” — no, to już pytajmy o to moralistów, statystów, nie autorów. — 3. „Rzucenie się dusz ku sobie w jednym momencie” dostatecznie jest ze strony Łukasza umotywowane, zważając na zwięzłość ekspozycji, choćby w słowach: „podobna całkiem do matki, gdy ta była młodą”, a ze strony Elżbiety jej histeryczną naturą. — 4. „Śmierć Anny z powodu cierpień psychicznych — wiemy o tym dobrze — jest możliwa” (p. Zagórski mówi: „niemożliwa”). — 5. „Postać Anny w gazdowskiej chałupie jest też absolutnie” możliwa (p. Zagórski mówi: „nierzeczywista”). Rzeczywista jest, bo jest żywa, bo ma rumieńce życia, a ta „gazdowska chałupa” może być i w Norwegii. — 6. Zarzut co do analizy, względnie jej wyrażania. Trafnie wyławia p. Zagórski zaniedbanie („Jak nie on, to myśl odeszła go we śnie i przyszła zabić” — dwuwiersz zanotowany w pierwszej re-

dakcji i z zaniedbania ostawiony), ale znów obok śmieszny zarzut stawia; przytoczywszy ustęp (słowa Anny), podnosi jego „prostotę, subtelność”, a potem powiada: „z takim doborem porównań analizę swych cierpień przeprowadza literat-poeta, ale nie człowiek obłąkany bólem”. Więc „człowiek obłąkany bólem” powinien chyba jęczeć, używać nieartykułowanych dźwięków, czy jak? A jakże wyrażały swój ból bohaterki greckich tragedyj? — 7. „Chwilami zdaje się, jakby ktoś dekadencje towarzyszyło ze *Złotego runa* lub tp. sztuki sprosił do wiejskiej chaty i urządził przedstawienie”. Całkiem poważnie na ten żart powiadam, że istotnie mam zamiar dać sztukę, którą by w jeden wieczór można grać w sukmanach chłopskich, a w drugi w tużurkach — bez grzechu przeciwko realizmowi.

Pomijam inne zarzuty, bo — jak zaznaczyłem już — nie chodzi mi o zarzuty przeciw sztuce, tę można oceniać różnie — chodzi mi o wniosek główny. Wypadałoby jeszcze nad postacią Owczarza się zatrzymać, której p. Zagórski tyle miejsca w swym artykule poświęca, ale i to poboczne, choć z tej postaci p. Zagórski wniosek swój (z pozorami logicznymi) niekonsekwentnie wyprowadza.

Zarzut główny p. Zagórskiego, z jego pojęcia o istocie dramatu wynikły, jest, iż „fakta są właściwie poza sceną”. Co do tego „poza sceną”, zarzut byłby słuszny, gdyby na scenie były tylko relacje, opowiadania o tym, co się stało.

Co p. Zagórski uważa za dramat? — „Sceniczną grę działających sił”. Istotnie, i to może być dramatem. Ba, ale p. Zagórski twierdzi, że dramatowi



musi nie zbywać „na momencie gry działających sił”, inaczej nie jest dramatem. To już kwestia. Gdzież podziąć wszystkie dramaty wewnętrzne i ich autorów, dramaturgów? Gdzież wreszcie podziąć życie, to realne, o które się tak p. Zagórskiemu i w stylizowanych utworach rozchodzi, a w którym się większa część faktów dzieje „poza sceną”?

Tej „gry działających sił” p. Zagórski w *Winie i karze* nie widzi. Naturalnie. Więcej pod tym względem zadowolnia go *Ofiara*. Gdyby wziął jeszcze pod uwagę dawniej pisany *Skapany świat*, dowód — o obcej mi formie dramatu — byłby, przypuszczam, trudniejszy. A więc jak? Rozwój wsteczny?

Zdaje mi się: dwie zgoła różne rzeczy opętały umysł p. Zagórskiego, gdy dramaty moje rozważał. Pierwsze — to jego pojęcie o dramacie w ogóle, stąd miara i pewność swego kryterium, a drugie — to wrażenie, jakie sobie o mnie z prac innych urobił, a tu napotkał potwierdzenie w postaci Owczarza. I stąd wniosek. Wniosek mylny, bo jeśli chodzi o zakres twórczości „liryczno-refleksyjnych” organizacyj, to np. Tetmajer, liryk, daje epiczne fragmenty z Podhala, a Żeromski, „refleksyjny liryk”, daje istotną tragedię, *Popioły*; jeśli zaś chodzi o formę dramatu, to ta może być najróżniejsza i zgoła nawet nowa. — Tę pewną nowość w traktowaniu zaznaczyłem powyżej we *Winie i karze*. Chodzi mi o wykazanie (w dramacie), iż „temat tragiczny”, jaki zwyczajnie jest lęgnią „dramatu”, nie jest istotnie tragicznym (a więc i dojście do pokazania w dramacie, co uważam za temata tragiczne, stałe). W tej drodze mię zaczepiono; zaczepiono traktowanie te-

matu. Więc malarz, który daje odniesione wrażenie z krajobrazu, nie jest tak samo malarzem, jak ten, który krajobraz przedstawia?...

P. Zagórski zaostrzył moją czujność, podniósł kilka ważnych zarzutów i uwag, w końcu udowodnił, że nie napisałem dramatu podług jego miary, czego w zamiarze nie miałem i co nie dowód, że „forma dramatu nie jest mi właściwą”.

Poza tym w artykule p. Zagórskiego widzę dużo życzliwości, którą umiem ocenić. A że cenię wysoce zdolność i umysł jego, dowód niniejsza odpowiedź.

*Poręba Wielka, we wrześniu 1906 r.*

#### POTRÓJNA CENZURA

Zmuszony jestem zabrać głos w sprawie, która może się wydać osobistą, niemniej przeto jest sprawą ogólną, równie obchodzącą piszących dla „narodowej” sceny, jak i naród, w rozwoju tej sceny zainteresowany.

Nie ma chyba dwóch zdań między myślącymi ludźmi, iż teatr, poświęcony narodowej sztuce, winien pokazywać wszelkie przejawy twórczości narodowej w dziedzinie dramatu, mając na uwadze przy ocenie sztuk li tylko ich wartość artystyczną. Rzecz tak prosta, że już prawie zdaje się wyblakłym komunałem, a przecież wciąż tkwi jeszcze w sferach ideału, niedostępnego dla przypadkowych kierowników narodowej sceny. Oceniało się sztuki ze stanowiska kaprysu, później kasy, a teraz już ze

skromniejszego stanowiska — kleru. Coraz to prościej, bliżej ideału! „Sic igitur ad... Kreta” — rzekłby upadły student z *Epilogu*.

Zawsze twierdziłem, że Kraków jest czarny. Szanowna Redakcja zapewne nie zgodzi się ze mną, twierdząc, że jest czerwony. Będę się starał poniżej udowodnić. A zaś dziedziczni członkowie Senatu akademickiego i innej Umiejętności twierdzą z uporem starców, że Kraków jest żółty — i aby obcym to naocznie pokazać, podczas jubileuszu Almae Matris pomalowali dziedziniec Biblioteki na kolor jajeczniczy. Na nic. Kraków był i jest czarny. Gdzieś tam tylko — zróbmy ustępstwo z szacunku dla siwych głów — i to niedość wyraźnie czarno-żółty.

Od czasu wyborów do parlamentu nawet świeczniki w mieście poczerniały. Snadź za dużo światła. Nie dziw, że i Sztuka — światłem nazwano ją — zaczyna kopcić. Wszak teatr — „miejski”. Dyrektor tego teatru „Rzym polski” rozciągnął i na swoją „świątynię”. Może i on kiedyś doczeka się... błogosławieństwa papieskiego. Daj mu Boże. Aby zaś za służą wszelka nie zginęła pod kloszem, podaję oto taki fakt — z moim już, niedowiarka, komentarzem, który mu w onym pobożnym pragnieniu dopomóc jeno może.

Zeszłej zimy złożyłem Dyrekcji teatru miejskiego sztukę pt. *Franek Rakoczy*. Epilog w 3 aktach.

Rzecz ta jest epilogiem powieści *W roztokach*; występują w niej w dalszym posunięciu życiowym wszystkie ciekawsze postaci z powieści i kilka dodatkowych. Rzecz rozgrywa się w przytułku wiejskim przy kościele — więc z konieczności jest kilka

satyrycznych potrażeń o Kościół, no i o księdza proboszcza. Ale właściwie sztuka jest satyrą na bohatera powieści *W rozłokach* — więc po części i auto-satyrą.

Po jakimś czasie zjawiłem się w Dyrekcji z zapytaniem, co słyhać z manuskryptem sztuki. P. Sol-ski powiedział mi, że rękopis znajduje się już od dłuższego czasu w cenzurze w policji, że sztuka mu się podoba i że ją wystawi, jak jeno cenzura ją puści. A że to było w kwietniu, więc orzekł, że już późno, że najpewniej sztuka pójdzie na scenę w jesieni.

W miesiąc potem dowiedziałem się, że policja sztuki nie puściła, lecz że z delegatury krakowskiej odesłano egzemplarz do „cenzuralnej Rady przy-bocznej” we Lwowie — do ostatecznego zaopinio-wania.

We wrześniu b. r. otrzymałem nareszcie wiadomość, że „Rada cenzuralna” przyzwoliła na wysta-wienie sztuki — pod warunkiem, iż widownię z aktu III cofnie się całkiem poza kościół, przy czym za-proponowała kilka skreśleń w tekście.

Wiadomość tę zakomunikowałem dyr. Solskie-mu, zapytując, kiedy rzecz będzie mogła pójść na scenę, i powtórnie prosiłem o rychłe zadecydowa-nie. Na co otrzymałem odpowiedź z dnia 5 bm., któ-ra mię wprost zdumiała. Odpowiedź ta brzmi do-słownie:

„Szanowny Panie! Nie odpisywałem dotąd na Je-go dwa listy, bo czekałem na egzemplarz z cenzury, aby go raz jeszcze przeczytać. Egzemplarz nadszedł

onegdaj; przeczytałem go powtórnie i doszedłem do przekonania, że sztuki tej, bez narażenia się pewnym sferom, a wreszcie i z osobistych przekonań, grać nie mogę.

Łączę wyrazy itd.

L. Solski"

Więc nie dość już cenzury policyjnej, tego za-  
bytku absolutyzmu, wprost nonsensu austriackiego,  
która co rychlej winna być zniesioną — nie dość  
już bystrych oczu „cenzuralnej Rady” — jeszcze oto  
trzecia cenzura powstaje, tym niższa w policyjnym  
swym duchu od tamtych, że dobrowolnie, bezprzy-  
musowo spełniana!

Przeciw tej dyrektorskiej cenzurze „z przeko-  
nań” winno społeczeństwo, dbające o rozwój sceny,  
ostro zaprotestować. Bo nie chodzi tu tylko o moją  
sztukę. Ja mogę spokojnie czekać na wystawienie  
*Rakoczego* do czasu, gdy Mars porozumie się z Zie-  
mią. Ale co dziś spotkało rzecz moją — jutro może  
spotkać rzecz kogo innego. Dotąd przynajmniej  
teatr wolny był od klerykałnych wpływów. A teraz  
oto nie wolno tam proboszcza, ba, kościelnego do-  
tknąć! Tak sobie życzą „pewne sfery” — nie można  
im się „narażać”. Zresztą są to i „osobiste prze-  
konania” pana Dyrektora.

Ale p. Dyrektor nie zdaje sobie sprawy, że każda  
prawdziwa sztuka musi się narażać pewnym sferom.  
Sztuka — nie dyrektor. Jak nie naraża się np. księ-  
garz sprzedający *Inkwizycję św.* lub cukiernik  
sprzedający ciastka z Matką Boską. Narażają się zaś  
publiczności wtedy, jeśli sprzedają rzeczy fałszywe

za dobre lub — przypuśćmy — stale nie chcą dawać (bo i taki obłęd kupiecki się trafia), czego właśnie publiczność sobie życzy.

Te „pewne sfery” w pojęciu p. Solskiego to zapewne ks. kanonik X., prałat Z. i kilkanaście osób świeckich, obdarzonych odpustami przez Ojca świętego. Na nich to — według mniemania Dyrektora — opiera się teatr. Im „narażać się” nie godzi. A może właśnie „przekonania osobiste” tych sfer odmienne są od dyrektorskich? Dlaczego się tak identyfikować?

Wiedzieć o tym wszystkie „inne sfery” — panowie inteligenci, którzy nie opuścicie żadnej premiery — panowie studenci, którzy odkładacie grosz na sobotę, aby wypełnić galerię, parter — robotnicy, wprost od warsztatów spieszący do gmachu teatru, głodni Sztuki — wiedźcie o tym, że z obawy dyrektorskiej „narażenia się pewnym sferom” możecie wiele sztuk nie oglądać, które by wam mogły dać rozkosz intelektualną, gdy tak często płacicie za pusty śmiech lub nudę.

A gdy mówimy o sztuce, nie od rzeczy będzie wtrącić: Co by powiedziano o kupcu, który by ze względu na kilku rzadkich gości, lubiących migdały lub „całuski”, wszystkim innym, miast żądanych rzeczy wtykał uparcie te specjalności, a do tego w wolnych chwilach rwał sobie włosy, że „interes” nie idzie!

Pomińmy jednak żart. Wszak tu „osobiste przekonania” wchodzi w grę. Rzecz poważna. Ja też poważnie mówię:

Sztuka, która nie raziła nie tylko osobistych, ale

i państwowych przekonaniach pana komisarza policji ani trzech członków cenzuralnej Rady — z których jeden jest wiceprezydentem Sądu Krajowego, drugi radcą dworu — razi przekonania dyrektora teatru krakowskiego! W takim razie mąż o tak tkliwych „przekonaniach” powinien w państwie bojaźni Bożej, kleru i policji, zajmować miejsce obercenzora, nie dyrektora narodowej sceny.

Osobiste przekonania dyrektora winny były przy ocenie sztuki pozostać naprawdę „osobistymi”. A tak świat się dowiedział, że to są przekonania (dość szablonowo) klerykalne. W tych „pewnych sferach”, o które mu chodzi, z pewnością mile będą ocenione. Nie żądam ni kropli wdzięczności, jeżeli się niniejszym artykułem do tego przyczynię. Chodziło mi o podniesienie zasługi, która by utonęła w niepamięci. Co godne, niechaj świeci! Bo Kraków jest czarny...

## [O LITERATURZE UKRAIŃSKIEJ]

### WSPÓLCZESNA POEZJA UKRAIŃSKA

Niedalekim od prawdy widzi mi się ów pogląd historiozoficzny, który (jako że część podlega tym samym prawom, co całość materii pewnej, i na odwrót) powiada dosyć dowodnie, iż naród każdy, podobnie jak jednostka, ma swoje dzieciństwo — wiek młodzieńczy, bohaterski, wiek złoty, pełen sił twórczych — wiek męski — wreszcie dojrzałość jesienią i starość. I podobnie jak indywiduum poszczególne, każdy naród inaczej w życiu może się wyrazić, lub nawet zgoła bez pamięci zginąć. Były narody szare, o których dziś wspominku nie ma. Do wyrostu duchowego ludzkości nic nie wniosły, stały się nawozem jeno materii ziemnej. A zaś były narody śp. genialne, których spuścizną długo jeszcze będzie się ludzkość karmiła. Weźmy np. taki genialny naród — grecki. Tak klasycznie w naszych oczach historycznych — poza niewiadomym nam jego dzieciństwem — żył, tworzył i umierał, iż przykładem może być dowodnym, jak podobnie jednostce naród rozwija się, wzrasta, wyżywa się i przeżywa. Przykładamy też jego lata-wieki do współcześnie żyjących narodów, aby wyznaczyć np., w jakim wieku jest dany naród.



Jak to się wyznacza? — Przez sumę energii, przez rodzaj twórczości narodu w danej epoce, tj. wieku, mając na myśli jednostkę genialną. Widzimy naród grecki w okresie bohaterskim jako dziewiętnastoletniego pasterza (walki trojańskie np.), potem widzimy go młodzieńcem dwudziestoparoletnim (pieśni miłosne, liryka), widzimy go dojrzewającym, gdy tragicznie na świat poziera (wielcy równocześnie prawie dramaturdzy), później ku trzydziestemu roku — rok za wieki się podstawia — gdy filozofię swoją tworzy; widzimy go następnie już mężem dojrzałym, nauki kultywującym, i wreszcie widzimy go ku starości pedagogiem Rzymian. Bajka, jakoby Rzymianie zabili Greków. Naród ten już szedł ku śmierci. Naród może naród inszy, jak człowiek człowieka, zabić, zabiwszy go faktycznie — np. wycięcie przez Niemców w pień plemion słowiańskich nadbałtyckich — ale ujarzmiwszy go jeno, gdy duch w owym narodzie-więźniu jest młody, zabić nie może. Poturbuje jeno i nic więcej.

W jakim wieku jest teraz naród ukraiński? Trudno dokładnie wyznaczyć, gdyż nie rozwijał się naturalnie. Trza by wziąć pod uwagę zatamowanie rozwoju, jakoby ciężki sen, trwający wieki, w którym śnią się jednak rzeczywistości wspaniałe (wyprawy morzem na Stambuł, chmielniczyzna), niejako przypomnienia z bohaterskiego okresu. Albo też, co mi się prawdziwszym wydaje, naród ten przeżył dwa razy okres bohaterski. Pierwszy bardzo odległe (*Słowo o pułku Igora*), gdy szlachta tworzyła historię, a zaś drugi niedawno (kozaczyzna), gdy szlachta ruska spolszczyła się, a na arenę

twórczą wystąpił lud i poczuł się jako ukraiński naród.

Sądząc po rodzaju twórczości artystycznej — gdyśmy już tę wzięli za sprawdzian — naród ukraiński jest w wieku młodzieńczym, z pewnym jednak rysem starości, jakby przypomnieniem niejasnym dawnej, zginionej kultury sprzed bohaterskich okresów. Ten rys, w twórczości jednostek prawie niewidoczny — jest w zbiorowym wyrazie; nazwałbym go: leniwość duszy narodu.

Młodzieniec w dwudziestu paru latach, artystycznie usposobion, pisze wiersze miłosne, choćby nie był poetą; a jeśli jest, to pisze wiersze i inne, pełne melancholii, narzekań, żalów i skarg żalonych na świat ten zimny, na ludzi... Poezja liryczna narodu musi być naturalnie bardziej bogatą i wielostronniejszą niż poezja jednostki. Będą w niej potrącenia o wiek bohaterski, o struny teorbenu; będą w niej okrzyki z poczucia sił lub kajania spowiednie pokolenia, jęki bolesne rodnej ziemi; będą w niej wreszcie przeczucia nienarodzonych w narodzie uświadomień. Ale istotny charakter pozostaje ten sam.

Poezja liryczna narodu ukraińskiego mówi nam o jego wieku. I na odwrót wiek ten, młodzieńczość względna narodu, mówi nam o właściwości jego poezji. Więc będzie ta poezja egotyczną, najczęściej miłosną — będzie spowiedzią powierzchowną, bez pogłębienia refleksyjnego — będzie muzyką, grającą wierzchnimi pokładami duszy. Nie jest z dna... Jak liryka dwudziestoletniego — o bogatych nastrojach — poety. Współczesność jej — jeśli porówna-

my ją np. z poezją współczesną zachodnią — jest raczej we formie, i to nie zawsze. Grają w niej echa romantyczne śpiewanych pieśni. Często spotyka się w niej i budowę wewnętrzną pieśni ludowych. Stąd prostota, bezpośredniość większa niż w poezji zachodu. Szczerłość w niej jest, ale ta pierwsza, naiwna, nie idąca z głębokich przeżyć. Jak bądź, czaruje jednak ta poezja harmonijną prostotą, niekłamany uczuciem, serdecznym odczuwaniem przyrody, muzyką chłopskich ukwieconych sadów.

Tak się rzecz ma obecnie z poezją ukraińską. I to jest naturalnym — jak starałem się wyżej uzasadnić. Przyjdzie czas pogłębienia z dojrzwaniem. Tak jak — wierzę — przyjdzie czas i na dramat ukraiński. Widząc pierwszy raz dramat na ukraińskiej scenie (*Weczernyci*, z muzyką Niszczyńskiego, *Proklate serce*), zachwyciłem się już tym, co mi te próby wysokie powiedziały o dramacie muzycznym ukraińskim, który powstanie, powstać musi. W dramacie tym połączy się przedziwnie realizm obrazów z muzyką. Powstanie forma nowa, nowy wyjaw duszy. Dziś pilnie zgromadzone bogactwo melodyj ludowych ukraińskich będzie materiałem dla przyszłego geniusza.

Na tych uwagach ogólnych, odnośnie do niniejszej *Antologii*, przestałbym. Jednak dla czytelnika polskiego, który nie jest poznanym — choćby mógł być bez trudności — z historią literatury ukraińskiej, względnie jej gałęzi głównej: poezji, nie będzie bez interesu — mniemam — zapoznać się

choć w skrócie najwięźlejszym z chronologią nowszej poezji ukraińskiej, z której wybór uczyniono.

W czasie kozaczyzny historycznej poezję śpiewano przy dźwiękach teorbanów, jak i u Greków w wieku bohaterskim. Poezja ta była najczęściej aktualną: dumy o sławnych, znanych ówczesnie wszystkim atamanach, o bohaterach z gminu, którzy się męstwem wsławili, dumy o panach spolszczonych (Potoccy, Wiśniowieccy), którzy zgubę ludowi swemu nieśli itp. I tak rosła w poezji historia kozaczyzny, zwycięskich wypraw i upadków.

Odrodzona, pisana poezja — po owym zatamowaniu, o którym powyżej — przede wszystkim tradycją ukochaną, przez pieśń sercom podaną, poczęła się karmić. Płacz po świetnej minionej przeszłości jest głównym jej motywem. Pomijając cały zastęp drugorzędnych tego romantycznego kierunku poetów, wymienić należy jako najważniejszych w tym czasie: Ambrożego Metłyńskiego na zakordonowej Ukrainie i Markiana Szaszkiewicza w Galicji.

Po czym zaczyna się w poezji ukraińskiej — przez wpływ uczonych rosyjskich, którzy stronniczą krytyką ze stanowiska państwowości rosyjskiej stłumili entuzjazm dla przeszłości — a także z realnej potrzeby serc ratowania wiary — zwrot do współczesności i do ludu. Wyraźnym objawem tego zwrotu jest pierwszy zbiór poezyj Tarasa Szewczenki (w r. 1840). Szewczenko — jedyny może znany w Polsce, i to tylko z imienia, ukraiński poeta — pchnął poezję ojczystą na nowe tory, pokazując w swych utworach duszę współczesną ludu ukraińskiego, jego wielkie cierpienia pod jarzmem tzw.

„kripactwa”. Poeta wielki, wielostronny, od szerokiego patosu historycznego do najsubtelniejszej liryki. Jego ballady są bezsprzecznie najpiękniejsze, najmniej kłamane z tych, jakie ówczesnie w Europie pisano; mają bezpośredniość wrażeń i odczucie głębokie przyrody. W tym rodzaju może stanąć obok największych poetów.

Po Szewczence, po r. 1860, występuje na widownię P. Kulisz, wnosząc nowy element, czysto kulturalny, w poezję, przyswajając jej formy i pierwiastki poezji zachodnioeuropejskiej. Występuje następnie S. Rudanski, liryk szczery i tłumacz. Na Bukowinie zjawia się równocześnie J. Fed'kowicz, piewca huculszczyny; talent wielki, mistrz formy w noweli, lecz we wierszu mało samodzielny.

W latach po r. 1880 poezja ukraińska poddaje się kierunkowi utylitarno-społecznemu. Przedstawicielami tego kierunku ówczesnie w zakordonowej Ukrainie są: B. Hrinczenko, M. Starycki i męczennik za ideę wolności P. Hrabowski.

W Galicji rozpoczyna od r. 1876 działalność literacką i naukową Iwan Franko. Talent wszechstronny i niezmiernie płodny. Można rzec: przez prace swoje i przez przekłady podwaliny on dał pod współczesną literaturę swego narodu. Poetycką twórczość zaczyna za ówczesną modą od społecznych motywów, wyżyn artyzmu dosięga jednak w liryce miłosnej i egotyczno-refleksyjnej. W r. 1905 przynosi on narodowi swemu wspañały dar — poemat pt. *Mojżesz*.

Koło r. 1890 zjawia się szereg indywidualności poetyckich: O. Makowej, A. Krymski, M. Worony,

W. Samijlenko, kilku jeszcze innych i Łesia Ukrainka. Z nich ta ostatnia najlepiej się wyraziła. Talent o szlachetnej formie, dar wnikania w kultury i psychiki obce, duży poetycki polot i dojrzałość.

Ogniwem niejako między starszą generacją, tj. szkołą Franki, a najmłodszymi jest Bohdan Łepki. Śpiewak melancholii i zadumy pól, charakterem poezji swych zbliżony do Konopnickiej i Tetmajera, z których sporo nawet przekładał. Ton poezji jego to staw o cichym zachodzie, lekką osnutą mgłą, gdy w dali majaczej widma drzew i dymy wywlekają się z chałup, a spoza wzgórz lesistych, roztopiających się w zmierzchu, dolata echo ligawki. Czasem jednak zadźwięczy w poezji jego i ton silny.

Na Ukrainie rosyjskiej w poezji lat ostatnich zabłysnęli najpotężniej: Mykoła Filanski i Ołeksander Ołeś, uzupełniający się wzajem, razem wyrażający dwie strony duszy narodu ukraińskiego w Rosji. Podczas gdy Filanski jest wyrazicielem społeczeństwa skamieniałego w smutku za utraconą wolnością, w żal swój jak w studnię zaklętą wpatrzonego — to Ołeś jest piewcą nowego na cmentarzach życia: w poezji jego słycać bunt, szarpanie kajdan.

Wreszcie z najmłodszych w Galicji wybili się lub wybijają na czoło, grupując się w tzw. Młodej Muzie: P. Karmanski, W. Paczowski, S. Czarnecki i S. Twerdochlib.

Każdy rok przynosi nowe nazwiska. Czy fala czasu wyniesie tego, który wieki przeskoczy?...

Z tych, których wymieniłem, wielu ma drogę przed sobą...

Życzę narodowi bratniemu geniusza.

*Poręba Wielka, w maju 1910.*

#### POWIEŚCIOPISARZE I NOWELIŚCI

Drobne utwory powieściowe, obrazki, szkice i opowiadania, objęte ogólną nazwą noweli — to najbujniejsza gałąź ukraińskiej literatury.

Rozrost jej zrozumiały. Prawie wszyscy pisarze ukraińscy wyszli z ludu i z tego źródła otchłannego czerpali pierwsze natchnień swoich czary. Cóż to było? Dokumenta, żywcem wykrojone z życia. Faktem jest: każdy początkujący pisarz, syn chłopski, rozpoczyna od tych dokumentów. I kto wie, czy nie te proste o życiu powieści, zasłyszane od ojca, matki lub sąsiada, pchają go do pisania, a raczej do zapisania tego, co zasłyszał, co mu się najboleśniej w sercu odcisnęło. Z czasem, z rozwojem myśli niepokojnej, przychodzi większe uświadomienie artystyczne — i wtedy pisarz dokumentów tworzy — idzie kurytarzami dusz pierwotnych, chłopskich, coraz dalej, w ciemną, częstokroć niespodzianą dlań głąb (Stefanyk). W taki sposób bogacono literaturę ukraińską dokumentami życia, a nierzadko utworami rzetelnej piękności.

Tak powstająca literatura, już przez sam sposób tworzenia się, daleką jest od postronnych, zagra-

nicznych wpływów. Jest oryginalną, szczerą, swój własny mającą wyraz. Może być tylko podobną do drugiej, która podobnie powstaje. (Literatura rosyjska i chłopska literatura w Polsce).

Pierwszym malarzem życia chłopskiego w ukraińskiej, jak i w europejskiej literaturze jest Kwitka, żyjący na Ukrainie w końcu osiemnastego i w początku dziewiętnastego wieku. *Opowiadania* jego ukazały się około 1835 r., więc przed *Dorfgeschichten* Auerbacha. Po nim Marko Wowczok wydaje nowele swoje (1858 r.), które w bardzo krótkim czasie doczekały się kilku wydań i licznych przekładów, między innymi Turgieniewa. Wowczok też rozszerza zakres tematu, wysuwając na bliższy plan społeczne sprawy swego ludu, i obok genialnego Szewczenki staje się gorącym rzecznikiem wyzwolenia chłopa. Trzecią potężną postacią jest Fed'kowicz na Bukowinie, wielki poeta, pan formy; napisał poza innymi kilkanaście nowel ze świata huculskiego, o których Turgieniew powiedział z zachwytem: „Bije z nich źródło żywe — poza tym wszystko mara albo trup”.

Po nich następuje jakby wyjałowienie na jakiś czas gleby literackiej. Jest wprawdzie szereg nowelistów, powieściopisarzy (Myrny, Neczuj itp.), ale ci nie przedstawiają dużego dla rozwoju literatury znaczenia.

Aż pojawia się Iwan Franko.

Powieściopisarz, poeta, dramaturg, krytyk, uczyony i nauczyciel — Franko jest jako słup granitowy w drodze literatury ukraińskiej. I choćby droga, idąc w przyszłość, aż w słońcu się za widnokregiem



rozemgłała, to zawdy widne będzie z dala świetlane czoło słupa.

Franko rozpatrzył się wokół po ukraińsko-literackim polu i zobaczył, że wiele potrzeba. I ze szkoda dla własnej twórczości począł siać ziarno, z zachodu sprowadzane, począł łan swój ojczysty wzbogacać. Tłumaczył dzieła naturalistów francuskich, pisał rozprawy krytyczne, uczył i tworzył wzory. Nie zaniedbywał przy tym innych dziedzin, gdzie go umysł, temperament i twórczość pociągały. Podziw rzetelny ogarnia, gdy się widzi rozmiar jego pracy. Nie zawadzi też nadmienić, że katalog samych tytułów prac i utworów Franki, wydany z okazji jubileuszu jego 25-letniej działalności pisarskiej, obejmuje przeszło sto stron druku!

Jak obecnie — plon ducha ukraińskiego ludu przedstawia się mnogo i bogato. Bo pomijając już nieśmiertelne dumy i pieśni Szewczenki, pomijając ogromne księgi poezji nie spisanej, przelatującej z wiatrem po niezmiernych obszarach ziem ukraińskich i czekającej na Tego, który z teorbanu całą orkiestrę Duszy pierwotnej wydobędzie — pozostają jeszcze w spichrzu twórczości narodowej kłosa ciężkie od urodzaju, mogące nie tylko, jak w satyrze Makoweja, przywalić na śmierć człowieka, ale żywotnością swoją wzmocnić słabniejące dusze i skrzepić do dalszej pracy nad wyzwoleniem narodu.

I jest nadzieja, że ten plon szybko pomnażać się będzie. Bowiem na każdym polu twórczości literackiej widzi się mnogość uzdolnionych ludzi.

W poezji: Franko, Szczurat (poza tym tłumacz i krytyk), Krymski, Czajczenko, Łepki, Łesia Ukrainka, Paczowski, Łucki i wielu innych.

W dramacie: Karpenko-Kary, Starycki, Kropiwnycki, Fohobiczny, Franko, Cehłynski, Łopatynski i wielu innych.

W noweli i powieści: Franko, Czajczenko, Kociubynski, Myrny, Potapenko, Kobylanska, Stefanik, Łepki, Czeremszyna, Martowicz, Łypa, Kobrynska, Makowej, Kruszelnicki, Werchowynec, Wełtyna, Jackiw, Awdykowicz i wielu innych.

Z naturalnej przyczyny, na wstępie zaznaczonej, rozwinęła się najbujniej, jak widać, w ukraińskiej literaturze — nowela. Tę się też ma na myśli, gdy się mówi o „Młodej Ukrainie” piszącej.

Wybór wymieniony zrobiony był jeszcze w roku 1902 i w onczas do druku przesłany, a z przyczyn tłumaczom bliżej nie wiadomych wyłonił się dopiero teraz — w Warszawie. Stąd naturalnie nieuwzględnienie w antologii sześciu ostatnich lat, które przyniosły wiele rzeczy pięknych i kilka nowych nazwisk. Sprostować też winienem podtytuł antologii — nie przeze mnie ułożony — o tyle, iż w tłumaczeniu pomocnymi byli mi: prof. Bohdan Łepki i prof. Włodzimierz Jarosz, więc wybór jest w równej mierze i ich zasługą — czy „grzechem”, jak gotowi powiedzieć szowiniści.

Wybór ten nie daje jeszcze pełnego obrazu nowelistyki ukraińskiej. Wielu pisarzy musiało się pominąć ze względów wydawniczych, z uwzględnionych zaś trzeba było wybierać rzeczy krótsze, z pominięciem częstokroć lepszych i więcej dla ich au-

tora charakterystycznych. Mimo tych niedokładności i spóźnienia (właśnie trafiła na dobry czas!) — mamy nadzieję — książka zadanie swe spełni. Celem naszym przy jej omawianiu było zwrócić uwagę czytających na literaturę ukraińską i zachęcić choćby garść ludzi, szowinizmem nie zwariowanych, do bliższego zapoznania się z piękniejszymi tworam ducha bratniego narodu.

#### MICHAJŁO JACKIW

Autorowi zbiorku niniejszego stała się krzywda, że nie włączono go do antologii nowelistów, wydanej po polsku pt. *Młoda Ukraina*. Wprawdzie antologia ta pomyślana i układana była przed laty siedmiu, gdy wielu z dzisiejszych utalentowanych pisarzy ukraińskich stawiało dopiero pierwsze kroki na polu literackim, ale Jackiw miał już wówczas za sobą poważny tomik nowel pt. *W carstwi satany*. Krzywdę, uczynioną Jackiwowi przez to „przeoczenie” — co się zdarza nieraz i lepszym wydawnictwom — chciałbym choć w części naprawić, mówiąc o nim z okazji *Wieczornych psot*, jako mi się w swych dziwnych utworach przedstawia.

Bo dziwne są zaprawdę te rzeczy — czasem zamknięte w sobie, skończone, czasem przerwane, poszarpane, z których wyziera niepokój i strach przed życiem, przed jego niemiłosiernością.

Widać, że autora życie dobrze stłukło, a on, miast walczyć z nim piersią, opancerzoną zimną

stałą, walczył, jak dziecko, sercem. Stąd zranienia, które się wciąż krwawią, niepokój przed nieznanym, strach przed brutalnością sił miazdzących.

Smutny żywot. Smutnym jest też wszystko to, co Jackiw o ludziach mówi. Ucieczką dlań jest piękno przyrody. Tu znajduje, nie znalezione wśród ludzi, wesele serca i radość. Z jakąż miłością opisuje kwiaty! Jak siostrzyczki swe najmilsze. Dla ptactwa, mordowanego przez ludzi, ma płacz dziecka. Ma też, jak człowiek z mąk zdjęty, wyostrzony słuch na niesłyszalne. Dziwnie grają mu echa kniej, przedziwnie dzwoni dzwon leśny. Niekiedy, chcąc przewyciężyć w sobie niepokój, zabić strach, idący od życia, wychyla się duszą w mrok, ku przerażającemu. Wraca stamtąd z połowem rzeczy dziwnych, podobnych rzeczom Poego.

Oto w skrócie wrażenia odniesione z utworów Jackiwa. Jako talent bezsprzeczny stanąć może obok takich artystów pisarzy jak Bohdan Łepki, Wasyl Stefanyk. Dziwny i smutny człowiek... Przeszedłszy w życiu swym krótkim przez szkoły, klasztor, wojsko, teatr, obecnie w biurze przymknięty, jako z za kraty więziennej patrzy na ten świat ludzki, który go ciągnie, a straszy brutalnością swą i niepokoi.

Czytającej publiczności w Polsce znanym już jest nazwisko Jackiwa, gdyż niedawno ukazał się zbiór jego nowel pt. *Dorycki krużganek* w przekładzie poety ukraińskiego S. Twerdochliba. Niechże ten nowy zbiorek będzie dalszą kładką mostu, który pragniemy rzucić, ku wzajemnemu zrozumieniu się

i zbliżeniu, nad przepaścią głębią przez obu stron-  
ne szowinizmy.

*Poronin, w kwietniu 1909 r.*

[TEATR RUSKI NARODOWY W PARKU KRAKOWSKIM]

*Ne chody, Hryciu, ta na wieczernyciu, sztuka lu-  
dowa w 5 aktach ze śpiewami i tańcami...*

Hryć i Marusia — młójec śwarny i piękna mło-  
dycia — rozmiłowani w sobie okrutnie, zapamię-  
tali. Między nich wchodzi Kozak Choma, kochający  
się skrycie w Marusi, zawiązuje intrygę, Marusi  
opowiada o rzekomej miłości Hrycia do Hałyny-  
czarnobrewy, która za nim od dawna ulatuje,  
a Hrycia przekonywa wciąż, że Marusia Ostapa ma  
na myśli, nie jego. Piękna para wierzy każdemu  
słowu intryganta, który ich oplata siecią, sam trzy-  
ma końce powikłanych nici i tworzy dramat. Na  
wieczernicy, gdzie młójcy i młodycie schodzą się  
na pohulanki, Hryć na przekór Marusi zaleca się do  
Hałyny, Marusia też na przekór oczkuje Ostapa.  
Jedno wierzy w zdrady drugiego i nienawiść wza-  
jemna sączy się w ich rozgorzałe miłością serca.  
Choma tryumfuje. Łatwo mu już teraz wpływać na  
Marusię, bo ona prawie zmysły traci; za namową  
jego udaje się do znaczorki, otrzymuje od niej wy-  
war ziół, truciznę — i zamiar, z początku słaby,  
urodzony z zazdrości, żalu, nienawiści, dojrzewa,  
rośnie, aż opanowuje wreszcie wszystkie jej myśli.

Postanawia uczynić tak, by Hryć — który od niej ucieka — został przy niej na zawsze i do Hałyny nie mógł już pójść nigdy... Zaprasza go do chałupy ojców swoich i truje — a nad otrutym śpiewa w obłędzie pieśń, przejmującą do głębi rzewnością swoją: „Ne chody, Hryciu...”, Choma zaś, widząc stracone wszystkie swoje zabiegi, wiesza się... Oto prosta treść sztuki, naiwna, jak pierwsze drama każdego narodu.

Sztukę odegrano, powiedziałbym lepiej, odśpiewano wspaniale. Panie Łopatyńska (Marusia), Rubczak (Hałyna), panowie Hryhorowicz (Hryć), Rubczak (Ostap) — mogą śmiało się równać z lepszymi siłami stołecznej opery. Zwłaszcza pani Rubczak posiada głos silny i piękny, potężnie rozbrzmiewający w tej budzie krakowskiej. Mogłoby się też pomyśleć o lepszym schronisku dla zajeżdżających teatrów letnich.

I aktorów dobrych nie brak w tej trupie, pełnej zrozumienia dla szczerzej sztuki, że wymienię tylko: panów Stadnika i Gembickiego. O grze ich pomówię obszerniej w sprawozdaniu ze sztuk następnych. A mają dawać takie piękne rzeczy, jak: *Nieszczęsne kochanie* Mańka (grane już w tłumaczeniu w teatrze miejskim), *Natalkę* Kotlarewskiego itp.

Na niedzielnym przedstawieniu teatr był pełniuteńki. Sądzę, że i przyszłe przedstawienia nie mniej narodu ściagną.

Dziś wieczorem po raz drugi *Ne chody, Hryciu...*

*Zaporożec za Dunajem*, operetka w 3 aktach Artemowskiego, i *Weczernyci*, utwór muzyczny Niszczyńskiego.

Zaporożcy przesiedleni za Dunaj; między nimi szczery Kozak, Iwan, który tęsknotę za swobodą zalewa horylką i słucha żalów swojej żony. U nich wychowuje się Ołena, córka serdecznego druha Iwana; ta kocha się w czarnomorczu, który się za Dunaj przekrada, namawia Ołenę do ucieczki — lecz na Dunaju straż ich łapie, podani są śmierci. Od czegoż jednak Opatrzność na świecie? Sułtan, który zwiedza kraje, spotyka Iwana i rad się wdaje w długie rozmowy z tym szczerym Kozakiem, Zaporozcem. Od niego też dowiaduje się, że dawny druh, a ojciec Ołeny położył życie w obronie osoby sułtańskiej, co go tak wzrusza, że wydaje „firman”, darzący wolnością wszystkich Zaporozców. Wesołość w narodzie wielka i koniec.

Treść, jak wszystkich librett operowych, banalna. Ale za to muzyka! Na oryginalnych motywach ukraińskich oparta, posiada takie miejsca, żeby się ich żaden ze sławniejszych kompozytorów Zachodu nie powstydział. Przecudowny duet *Łastiwko* nie ustępuje najpiękniejszym chwilom erotycznym w utworach Wagnera. Całą rzecz odśpiewano wybornie. Głosów takich buda w Parku Krakowskim nie słyszała. Pani Łopatyńska, większą posiadająca rutynę od pani Rubczakowej, wysuwa się na pierwszy plan; ale i głos p. Rubczakowej czysty, metaliczny, potrzebuje tylko szkoły, by zabrzmieć pewnie i owładnąć uczuciem słuchaczy. Pana Rub-

czaka szkoda do ról farsowych; posiada on głos potężny, niezwykle mocny baryton, najlepiej też oddaje powagą grzmiące arie. Pan Hryhorowicz mniej miał pola do popisu. Huczne oklaski zbierał pan Niżankowski za doskonale wyreżyserowanie tańców ukraińskich, tętniących krwią i życiem.

Na zakończenie dano *Weczernyci*, akt II z nie dokończonego dramatu Szewczenki (*Nazar Stodola*). Muzyka Niszczyńskiego. Jedyne może u Wagnera tak słowa zlewają się z melodią, jak w tym fragmencie, pełnym poezji czystej, pierwotnej i uroczego czaru. Jest to rzecz tak przepiękna, żeby się jej słuchało bez końca, bez ustanku; a żal ogarnia po skończeniu, jak za czymś bardzo wielkim, co przeleciało ptakiem ponad głową i znikło. Mamy nadzieję, że dyrekcja (ad hoc) powtórzy jeszcze i nie raz ten utwór, a chciałoby się tej muzyki słuchać, tej muzyki przecudnej, z dołu od chłopca wziętej, nie ustępującej najpiękniejszym utworom sławionych przez cały „kulturalny” Zachód mistrzów. Taki w niej czar, tyle w niej Boga, tyle duszy...

Onegdaj grano *Neszczasne kochanie*, sztukę ludową L. Mańka w 5 aktach ze śpiewami. Jest to melodramat zwykły, ale tło oryginalne, koloryt etniczny i scen parę prawdziwie silnych (np. w akcie IV wyjście pijanych swatów z chaty, przed którą uwiedziona dziewczyna zawodzi) sprawiają, że się go słucha z większą przyjemnością niż nowoczesnych „zmor”. Gdyby skreślić akt pierwszy i ostatni i wzmocnić trzy akty pozostałe, z opuszczeniem monologów — zostałyby silny dramat ludowy, tętniący życiem i prawdą realną.



Ogółem sztukę odegrano dobrze. Szczere oklaski zbierał p. Gembicki za prawdą rzetelną tchnącą postać strapionego ojca. Panna Gembicka ze szczerością serdeczną grała uwiedzioną Warkę. Panią Osypowiczową rad bym ujrzeć w innej roli — dotąd świetnie odtwarza pijaną gazdynię. Z epizodycznych pan Szeremeta zaznaczył się oryginalnością niezwykłą.

A teraz chóry. Nie wspomniałem o nich dotąd, ocenę ich zostawię na później. Warto bowiem osobny hymn napisać... W sztuce powyższej dwa były przepiękne: „Rewe, taj stochne Dnipr szerokij”, tercet, i „Nad Prutom”, chór mieszany. Pano wie Rubczak i Hryhorowicz prym dzierżą, jak zawsze.

Dziwne tylko, że publiczność tak nagle ostygła. Znak, że kultura przeżera nam nerwy. Poczynamy tracić smak i odczucie pierwotnego piękna.

*Cyganka Aza*, dramat z życia Cyganów ze śpiewami i tańcami w 5 aktach, ułożony według powieści J. I. Kraszewskiego *Chata za wsią*, przez Galasiewicza, z muzyką Noskowskiego.

Znaną jest wszystkim powieść Kraszewskiego i przeróbka pana Galasiewicza graną już była nie raz na naszych scenach; posiada miejsca silnie dramatyczne, które zawsze będą czyniły wrażenie, chociaż całość, według starej recepty robiona, nie odpowiada dzisiejszym wymogom sceny. Sztukę ilustruje piękna muzyka Noskowskiego.

Grano z zapalem szczerym i tak dobrze, że doprawdy czasem człek zapomniął do znaku, że to Galasiewicz.

Pan Olszański to aktor dużej miary; z taką prawdą odtworzył postać starego Lepiuka, że się traciło teatr z oczu, a to bardzo wiele. W scenie swatów i przeklinania córki był wprost znakomitym. Nie widziałem też aktora, który by tak prawdziwie umierał. Pani Łopatyńska śpiewem chwyciła za serce, a grą czarowała... pustkę, bo mało co luda było w teatrzyku. Doprawdy sztuka grać, i grać z zapalem, wobec takiej martwej widowni. Trzeba mieć dla samej sztuki ukochanie wielkie. Gdzież by to nasze „sławy”... a przecie i za Szekspira prawdziwa sztuka po „budach” się kryła.

Z grających dobrze wymienić należy przede wszystkim: panów Stadnika, Rubczaka, Gembickiego, Szeremetę, Niżankowskiego, z pań: Osypowiczową (Cyganka Jaga), Gembicką (Motruna) i panią Steczyńską.

Dziś wieczorem: *Zakamieniałe serce*, dramat ludowy w 5 aktach Tobylewicza.

*Zakamieniałe serce*, obraz ludowy w 5 aktach J. Tobylewicza.

Utwór ten posiada dużo piękności, lecz w kompozycji szwankuje; rozłamuje się wyraźnie na dwie części; pierwsze dwa akty są operetkowe, następne trzy dopiero tworzą dramat realistyczny, pełen silnych scen, wyrwanych żywcem z życia ludu.

Treść: Cóż by inszego, jak nie sercowe zawikła-

nia, które ściągają śmierć na istotę najmniej winowatą? Parobczak, imieniem Hnat, zakochany w Warce, odtrąca ją brutalnie, skoro się dowiaduje, że ona cuda broi za jego plecyma i harnych parobczaków za szyję obłapia. Utwierdzony w tym przekonaniu cudzymi swatami, żeni się z córką starego Iwana, Zofią, i zdaje mu się, że do znaku zabaczył już tamtej. Aleć wnet, skoro ujrzał Warkę i urok znowu padł z jej oczu, zapomniał o wszystkim, idzie do niej, zachodzi codziennie — a ludzie po wsi już gadają, donoszą Zofii... Łzy jej, nieme wyrzuty, rozwściekają do reszty wojujące z obowiązkiem serce Hnata, w przystępie obłądnej złości rzuca się na żonę i ubija na śmierć. „To nie ja! — krzyczy w bólu. — To moje zakamieniałe serce...”

O grających trzeba by długie pochwały wypisać, lecz to mało, trzeba by wykazać, jak odtwarzają dusze chłopskie, z jakim wczuciem się prawdziwym. Nie starczy miejsca, więc wymienię tylko z pań: Osipowiczową, Gembicką, Rubczakową, Buczmanównę — z panów: Gembickiego, Stadnika, Nizankowskiego, Szeremetę. Panowie Hryhorowicz i Rubczak zbierają częste, zasłużone oklaski za śpiewy; tańczą przy tym kozaka, jak młode bogi na ruskim Olimpie.

Wczoraj grano *Wychowaniec*, komedię w 3 aktach Janczuka. Nieszczęśliwie wybrano tę rzecz na dzień, w którym się widownia zapełniła publiką wyborową. Dwa pierwsze akty rozczarowały słuchaczy i ostatniego aktu słuchano z roztargnieniem, choć przychodzą w nim śpiewy, które mogą zająć (solo p. Łopatyńskiej z akompaniamentem liry)

dopiero, gdy dyrekcja nadprogramowo dodała *We-czernyci*, utwór muzyczny, który by się chciało wiecznie słuchać bez końca, publika miała ucztę i rozkosz prawdziwą; a ci, którzy nie zostali do końca, nie słyszeli właściwie nic; widzieli tylko usiłowania aktorów w części pierwszej wieczoru, którzy z marnej komedii starali się stworzyć utwór żywy, dzieło szczerzej sztuki.

Na zakończenie powiem o orkiestrze, że nic a nic nie czuje tego, co gra, i fałszuje tak strasznie, że nawet profany słyszą. Sztuka prawdziwa śpiewać przy takim akompaniamencie.

We czwartek, jak już wzmiankowaliśmy, odbył się koncert artystów tego teatru z programem ja-skrawo urozmaiconym, bo w cudowną wiązanke ukraińsko-narodowych pieśni wpleciono — nie wie-dzieć po co — tłumaczoną farsę i duet z *Cavalleria rusticana*. Prawda, że komedyjkę zagrano „koncer-towo” (pan Stadnik, pan Gembicki i pani Gembicka), prawda, że duet zaśpiewano pięknie (pani Łopatyińska, pan Rubczak), aleć ruski repertuar (a zwłaszcza muzyczny) tyle posiada utworów prze-pięknych, że na przeciąg miesiąca, nie jednego wie-czora, może dawać pole do popisu artystom-wyko-nawcom. Za owe też wyjątki, odśpiewane z uczu-ciem przez wszystkie wybitne siły teatru, z subtel-nością prawdziwą przez chóry, za te utwory swoje, szczerze i takie precudne, których nigdy osłuchać się nie można do syta — całym sercem wdzięczni byli nieliczni słuchacze, zgromadzeni tego wieczo-ra, mimo zimna, w drewnianym teatryku.

Czym chwytają za serce ukraińskie pieśni?... Tym, że są szczerze, z pragnień, z wiecznej tęsknicy w chwilach wieczornej zadumy zrodzone, że drga w nich wieczne, utajone łkanie i tęskni rzewność ukraińskiej duszy, hardej, a oławionej, podobnej kamiennym posągom stalaktytów, ociekających łzami. Bo taka jest dusza tego ludu i taka jej mowa pierwotna, takie pieśni... Gra w nich melodia odwieczna — smętek pól opustoszałych, zaduma stepów nieskończonych, tęsknica konających zórz o zachodzie, płacz wiatru, co kurhany rozwiewa po świecie, i дума niewolnicza przywiązanych do ziemi orłów — cała dusza tej ziemi, w pieśniach owych zakłęta, melodią odwieczną gra...

Wszędzie jest ukochanie ukraińskich śpiewów. Polska przejęła wiele z tych motywów (Moniuszko). Zawdy czynią wielkie wrażenie — choć się słyszy je z dala najczęściej fałszowane — cóż dopiero, gdy je zaśpiewa ruski chór! Aż serce dygoce... Narodny teatr ma wspaniałe chóry; no, o tym już wiedzą ci, co zaglądnęli choć raz do teatryku. Popis ich — to czwartkowy koncert: *Ułycia*, *Zawiszczanie* (chór mieszany), *Nad Prutom*, *Hulały* (męski). A w partiach solowych zbierają zasłużone oklaski w pierwszym rzędzie: p. Rubczak, p. Łopatyńska; następnie: p. Hryhorowicz, p. Buczmanówna. Szkoda doprawdy takich głosów na krzykliwe operetki. Szkoda.

A właśnie w piątek dawano operetkę Zellera *Sztygar*. Mogłoby się to ostawić lubelskim trupom...

DODATEK

# TEORIA SOCJALNA

[RZUTY I SZKICE]

[MYSLI]

Cisną ci się nawałnicą myśli — ty to nazywasz natchnieniem. Rozważ te myśli na dłoni, sięgnij do ich genesis — obaczysz, że głupota je rodzi. To tak jedni przez drugich szepcą ci ludzie do ucha — a ty to zwiesz natchnieniem.

Myśli wielkie. — podobnie jak złoto w rudzie; trza je mozolnie wydobywać i trza je długo obra-  
biać, nim zaświecą. Ty sobie np. wyobrażasz, że Mickiewicz *Improwizację* zaimprovizował — tak — z natchnienia — a nie wiesz, że długo w nim bólem rosła, nim wytrysnęła...

[PLANY]

## Część I

### 1. Przyczyny cierpień:

- a) choroby, walka z naturą, klimatem, nędzą;
- b) niestosunek rzeczywistości do pragnień —  
zatomowanie rozwoju;
- c) niewola w różnych postaciach: w państwie,  
w środowisku, w domu; niewola u filistrów,  
rząd jako wykładnik;
- d) Miasta...

e) Współzycie różnych ras psychicznych ze sobą. Człowiek — ludzkość — pomyłka.

Gama — wyznania.

Uwaga: cierpienia nieusuwalne, usuwalne...

## 2. Droga ku szczęśliwości:

Kwestionowanie szczęśliwości. (Wielkość? — Nietzsche).

Różne teorie. Definicja szczęśliwości. Socjalizm. Krytyka. Odspołecznienie.

## Część II

O krytyce.

O dramacie.

O twórczości.

Geniusz — drzewo genealogiczne.

Dzieło sztuki.

Egoizm czysty (bezświadomy).

O oświacie.

O partiach politycznych.

Nienawiść w partii, jako różnych w sumie ras psychicznych.

### Problemy

Św. Franciszek a Zarathustra.

Zawinienie i kara. (Dobro i zło).

O śmierci.

O szczęśliwości płynącej z piękna, z przyrody (Przyroda a człowiek).

Smutek ziemski a wieczysty.

### Kwestie

O małżeństwie.

O miłości.

O braterstwie.



- O przyjaźni.
- O kłamstwie itd.

#### Inne

- I. Przeciw wojnie.
- II. Sojusz niewolnych narodów (Rusini, Polacy, Litwini).
- III. W kwestii polsko-ruskiej.
- IV. O narodzie polskim (wiek — twórczość — siła — wady).
- V. Wieś i miasto.
- VI. „Lud”.
- VII. O poezji i poetach.
- VIII. O szkołach (krytyka).
- IX. Szkice pedagogiczne.
- X. O prasie.
- XI. „Proletariat”, „naród”, „ludzkość” — jako bóstwa. (Słowa święte: ojczyzna, oświata, lud).
- XII. Tłum — niewolnik, tłum — władca.
- XIII. O prostytutce.
- XIV. Filozof i człowiek jaskiniowy.
- XV. Pustelnik.

#### Ostatni rozdział:

- Różnice indywiduów.
- Nie ma miłości, tylko iluzja.
- Słowa — symbole ordynarne.
- Milczenie — muzyka, jak możliwe porozumienie.
- Czucie: Na jeziorze lemańskim.
- Samotność — ostatnia.

### Przygotowanie

- a) Stirner *Der Einzige*. Proudhon. Bakunin. Marks. Kropotkin. [...]. Tołstoj. Abramowski.
- b) Schopenhauer. Kant. Bergson. Nietzsche. Giordano Bruno.
- c) Przyroda. Geologia. Matematyka. Astronomia. Siedlecki. Flammarion.

Wypisać: „Symposion”. *Poradnik dla samouków*. Mereżkowski. Sułkowski. Dostojewski.

Języki: niemiecki, francuski, włoski, rosyjski, angielski.

### [ZAGADNIENIA WSPÓLZYCIA]

#### Podstawy

1. Gatunek „człowiek” składa się z różnych duchowych ras, z ludzi na różnych stopniach umysłowego rozwoju będących.

2. Największe piekło cierpienia dzisiejszego człowieka wynika ze współzycia różnych ludzi ze sobą.

3. O jednej szczęśliwości wszystkich nie ma mowy. Możliwa tylko jest jednaka szczęśliwość ludzi na tym samym stopniu umysłowego rozwoju będących.

4. Drogę ku szczęśliwości wskazuje sama natura, pchająca ludzi podobnych ku sobie (przyjaciele).

#### Notatki

1. Postęp ma na czole wypisane: Szczęśliwość. Szczęśliwość ludzi. A od tej szczęśliwości odchodzi.

2. Jest gdzieś pomyłka w drodze, albo też raczej

nieuświadomienie sobie siebie i ludzi dookoła. Brano człowieka za równego drugiemu człowiekowi. I tu myłka.

3. Od szczęśliwości odchodzi się przez uspołecznianie różnych ludzi (różnych prawie ras). Gdy to uspołecznianie dojdzie do absurdu, pocznie się droga naturalna.

4. Są różni ludzie, na różnych stopniach rozwoju dusz. Tych zebrano w jedno środowisko (np. dziś: miasto) i muszą ze sobą współżyć, o siebie się ocierać łokciami. Stąd moc cierpień nienazwanych, tzn. cierpień bez powodu, wrażeń przykrych wzrokowych. Sam widok twarzy... może itd. (Am Graben we Wiedniu — ale i w Krakowie na Plantacjach przy spacerze mieszczaństwa).

5. Tym dano jeden kodeks — etyczny, państwowy, religijny. Nakryto tym kodeksem różne dusze, w piekle współżycia gotowane, nakryto je skrzyżalą w kotle — i życie — nie dajcie się żywcem ugotować!

Ba! Wielu krzyczy (literatura, w której widać smutek ziemski), słycać najróżniejsze głosy, dobywane z dusz przez męczarnie. Cóż? — wielu poddaje się, da się ugotować — przecierpi albo i nie — zależy od wrażliwości skóry (duszy) — i ci są już wezwyczajeni. Ale są tacy, co się nie dadzą wezwyczajaić. Tym — rzeczywistym piekłem życie. Strasznie to bolesne powiedzenie: „Trudno żyć nie przyzwyczajonemu na świecie!”

I. Dziś dobrze jeno filistrom. Któż to są filistrzy? Dla nich dzisiejsze kodeksy pisano. I inaczej być nie może. Bo tak: (Choćby genialni prawodawcy). Tym w dzisiejszych formach dobrze. Przeto ich strzegą słusznie, aby się nie rozpadły (stopień przeciętny).

II. Szczęśliwość wynika z pragnień duszy człowieka: podobna będzie u podobnych dusz. Szczęśliwość różnych grup nie może się zejść, choć idzie w kierunku jednym, równolegle — chyba gdy np. grupa jedna posunie się w rozwoju o jeden stopień.

III. Miasto — a dawne osiedla w puszczy.

IV. Posuwanie się w rozwoju: Będą się tworzyć stopnie wyższe, nowe — ale niższe zawdy będą — i najniższe. (W gatunkach zwierząt widzimy najniższe). Ludzie nie pójdą nigdy w równym szeregu, jak chcą „sprawiacze szyku”. Zawdy będą jedni wyprzedzać, i będą także ostatni.

V. Człowiek podatny rozwojowi może za życia swego przebiec wszystkie stopnie rozwoju — do najwyższego.

Jest stąd ogromny optymizm, (że można zdobyć szczęśliwość), i straszny pesymizm, (że zawdy będą najniższe stopnie dusz i nigdy wszyscy nie zejdą się w rozwoju wyższym). Rozwój będzie się tylko uwiadczał w rozszerzaniu stopni rozwoju, a powstawaniu stopni coraz wyższych. Ale pozostałe będą zawsze — aż do najniższego.

VI. Socjalizm. Za dużo energii wchłonął ten prąd, dziś najbardziej rwiący, aby nie miał zwyciężyć. To pierwszy etap w najbliższej przyszłości. Gdy usunie niesprawiedliwości ekonomiczne —

podniesie jedną z najcięższych skrzyżali. I on może uspołecznianie doprowadzić do absurdu: nam idzie o nawrócenie z drogi błędnej — ku szczęśliwości człowieka.

VII. Piekło wewnętrzne — z powodu kompromisów, jakie dzisiejszy człek musi zawierać ze swoim sumieniem. Są kompromisy różne. Jedne, które powoduje instynkt samozachowawczy (wnet wyradza się służalstwo, upodlenie etc.), insze wypływają z serca: dla dobra czyjegoś, bliskich.

A oto taki przykład: Syn i matka. (Jedlicz) Matka-dewotka, namawiająca syna do spowiedzi, ile razy przybędzie do domu. I syn się nie pokazuje. Obcym jest matce. Nie chciał kompromisu, nie kłamał. I cierpi. — A oto znowu przeciwny: kłamie. Kompromis. I także cierpi nie mniej. Oto jak kodeksy oddalają najbliższych z krwi.

VIII. Małżeństwo dzisiejsze: Tu najwidoczniejsze przykłady.

IX. Sąsiad. (Różnice dusz — stąd piekło). W biurze. Pisarze. W zakładzie. W warsztacie. (Przecież ludzie jednego fachu, a są różnice tak silne, że nieznośnym jest współzycie tych ludzi ze sobą).

X. Oświata: P. Stapiński podnoszący lud, tzn. ludzi nieraz na wyższym stopniu rozwoju dusz od niego będących. Bo na wsi też ogromna skala różnic. Nie ma tylko najwyższych stopni. Ale mogą być — gdy się da możliwość rozwoju pragnącym (wiedzę — która ułatwia rozwój). Więc oświata winna być: usuwaniem sprzed nóg przeszkód ku rozwojowi dusz. A tymi są dziś: dzisiejszy ustrój społeczny, dla wszystkich jednakowy.

XI. Ucieczka: jednych w socjalizm etc., drugich w mistycyzm, w zaświaty (na inne planety). Jedną mię naiwnie spytała: — „Więcbymogła być szczęśliwość na ziemi?”

XII. Kto to są prowodyrowie ruchu, np. socjalistycznego? Oto — na wyższych stopniach rozwoju boleśniej czują dzisiejsze na duszach skrzyżale i niedolę ekonomiczną niższych stopni. Nieraz boleśniej niż ci sami. Walcząc za nich, walczą o swoją (pośrednio) szczęśliwość.

### Układ

- I. Cierpienia dusz.
- II. a. Przyczyny cierpień. b. Fałszywy postęp.
- III. Wyjście ku szczęśliwości.

I. O charakterze człowieka. Wartości (istoty) człowieka nie można oceniać na podstawie współżycia jego z ludźmi — błędne to, choć tak powszechne ocenianie. Dlaczego? Oto bowiem on sobą jest jedynie wobec całkiem podobnych, z rasy duchowej tej samej. A takich całkiem podobnych nie ma, są bowiem — chociaż i wśród osobników tej samej rasy duchowej — różnice indywidualne, które każą mu być wstydlivym i nie pozwalają całkowicie się odsłaniać.

A więc co jest jego wartością?

II. Właściwie ludzie ludzi mało obchodzą. Weźmy przyjaciół. Człowiek praktyczny rad gości-przyjaciół widzi, o ile nie przeszkadzają mu w intere-

sach. Tak samo człowiek twórczości myślowej się oddający — rad gości-przyjaciół żegna (choć ich z radością witał), jeżeli czuje, że przez ich pobyt on (znaczy: coś, dla czego on tworzy) wiele traci i zaniedbuje.

Człowiek więc jest tu na ostatku. Wszystko inne przed. Różnie to określać można: Egoizm twórczy. [...]

III. Nie dla ludzi też ludzie o szczęśliwość się trudzą i walczą — ale dla swojej satysfakcji, dla swej szczęśliwości lub ze zbytku energii (Daszyński). Często oni są ludzom otaczającym nienawistni (a więc dla kogóż by się rozbijali). Często pogardliwie lub skeptycznie do ludzi usposobieni.

IV. O Chrystusowej etyce. Żywą ostać się ona może jedynie dla podobnych Jemu dusz. Gdy została nakazaną różnym rasom duchowym, przez to musiała się stać martwą.

V. „Nie zabijaj”. Podstawa współżycia. Aby jednak to zrozumieć i osiąść, potrzeba wysokiej kultury (lub naśladownictwa pobożnego, np. „bracia” św. Franciszka).

I. Zapewne: ludzie różni, żyjący przez długi czas wspólnie, upodabniają się do siebie, tracą dużo z różnic (przez to zdaje się, przynajmniej po wierzchu, jakoby byli podobni). Ale porozrzucamy ich w różne miejsca, w różne warunki życia, obaczymy od razu różnice jaskrawe. Np. przyjaciele dwaj, których życie rzuciło w różne strony, po jakimś czasie

schodzą się i nie mogą się już rozumieć. (Jeden np. poszedł dalej w rozwoju).

II. Szkoła dzisiejsza — pedagodzy (np. przyrodnik).

### Własność prywatna

Można się dzielić tylko z przyjaciółmi — wspólne mienie podobnych dusz (grup) — natomiast nikt nie zechce dzielić się z ludźmi stojącymi na innym stopniu rozwoju.

Jednakże zajęcia upodobniają, dlatego dobrze z sobą ludziom jednego zawodu. (Ale i tu są różnice).

Kasta upodabnia ludzi, a czyni ich ode mnie różnymi, przeto każda kasta jest mi wstrętną.

Gdzieś czytałem czy słyszałem bajkę o rycerzu, który szedł po zaklęty skarb przez sto przeszkód. Były na jego drodze żmije, szatany, strachy etc. Wszystko zwyciężył i przeszedł, aż natknął się na ostatnią przeszkodę — na górę usypaną z kamieni. Z czymże tu miał walczyć? Z martwymi kamieniami?... Oto stanęła mu przed nogami głupota. Tępa, ślepa i martwa. (Niech każdy weźmie jeden kamień — a góra zniknie).

Trza walczyć! Ci zwłaszcza, którzy mogą z najmniejszym wysiłkiem, z najmniejszymi ofiarami



zwyciężyć. Zabija nas milczenie dobrowolne — a ciemnota krzyczy!... Krzyczymy i my!

Lud uświadamiają nieuświadomieni.

### O m o w a c h (k a z a n i a c h)

Wobec liczniejszego zebrania, chcąc na nie wpłynąć (wywołać wrażenie), można tylko o zewnętrznych mówić: najlepiej silnie brzmiące frazesy (podlane niby sosem sercowym). A o wewnętrznych (sprawach duszy) można tylko w gronie dusz podobnych.

— Powszechne myśli?!...

— Tak, ale nie powszechne słowa. Mniej jeszcze czyny.

Trzeba, aby ludzie, posunięci dalej w swej etyce, mówili głośno. We wszystkim! A wtedy zobaczyłoby się, jaka jest różnica między ludźmi. Jaka gama pojęć!

Człowieka, gdy się wrywa ze zdaniem, które podziela wielu w milczeniu, a on je powie — spotyka zarzut na pozór słuszny; myśli wbrew pojmowaniu ludzi wszystkich.

Szczęściem, coraz częściej wrywają się ludzie. U nas że wskaże: Baudouina de Courtenay, Brzozowskiego, Nowaczyńskiego, Irzykowskiego, Womełę, Dybowskiego. „Maniaki” lub „oryginały”. Bodajby raz wreszcie wszyscy pokazali się „oryginałami”, jakimi są, nie „odbitkami”! Tych „milczących” jest u nas dość.

Wielu milczy z tchórzostwa, z przewagi instynktu zachowawczego, insi z nakazu swej teorii filozoficznej, która może też... i innych względów, względów stadnych.

Dążymy do szczęścia. Mniejsza, co ja uważam za szczęście. Każdy do swego. I o tym przy całym wywodzie dalszym nie zapominajmy.

I. Dwa są smutki, ziemski i wieczny (rozwój tego).

II. Nie nędza na wsi jest najgorszym złem i nie ciemnota; lecz zło idące ze współzycia różnych ludzi z sobą.

III. Gdy na wsi tak — a cóż dopiero miasta (ni-by wyższy typ życia społecznego)!!

IV. Skąd każdy największe cierpiało zło? — Od ludzi.

Faktem jest, że dziś prawie wszyscy ludzie cierpią. Mówię „prawie”, bo pomijam jedną wśród nich duchową rasę (później powiem, dlaczego). Niektórzy nawet stworzyli sobie religię cierpienia.

V. Historyczna wiedza ułatwia rozwój, tak jednak, jak dziś jest podawaną, raczej utrudnia, a często wprost uniemożliwia.

Po cóż mówicie o historii: tak było!, kiedy nikt nie wie. Ocenienie wypadków, które w naszych oczach się dzieją, jest fałszywe — a cóż dopiero...

Trza zgasić takie fantomy, jak: duch ludzki, duch narodowy. Bo inaczej, idąc dalej, można by mówić: duch mrówczy, ptasi itd...

## Ludzie źli i dobrzy

Człowiek złym jest tylko dla ludzi na innym stopniu rozwoju będących — dobrym dla „przyjaciół”. (Tak samo jak: dla zwierząt człowiek np. ...). Złym dla ludzi na tym samym stopniu będących może być tylko z pobudek zewnętrznych — np. ekonomicznych itp. — przeto: cóż znaczą etyki różnych moralistów (Chrystusowe: „Kochaj bliźniego...”).

„Kochaj bliźniego jak siebie samego”. Jakże mogę człowieka stojącego na innym stopniu rozwoju kochać? Chyba tak, jak wszelkie żyjące stworzenie... „Kochaj bliźniego” — odnosi się więc do ludzi podobnych. I Chrystus wobec ludzi innych od siebie był zły: gromił w gryzących, ostrych słowach kapłanów, biczem smagał handlarzy. A dobrym nauczycielem był tylko wśród podobnych, wyrozumiałym zaś wśród grzeszących nieświadomością.

O przyszłości. O „wyspie szczęśliwości” lub tp. Wierzenie dziecinne doprawdy w jakąś przemianę życia, w szczęśliwość stworzoną...

a) Choćbym w najidealniejszym układzie materialnym znalazł się — nie będę szczęśliwym.

b) Choćbym w najlepszym dobrobycie znalazł się — nie będę bogatszym.

Trzy pytania: Początek? — koniec? — cel? Między nimi, jak między ramami, umysł może wypełniać... Te trzy pytania niepokoją tak filozofa, jak pasterza. Obaj są wobec nich jednako bezbronni — myślę. Te trzy pytania to religijność — nigdy nie znikniona.

## Do przemyślenia

I. Źródła rozkoszy: — a) rozkosz zmysłowa, b) rozkosz uczuciowa, c) rozkosz umysłowa — a szczęśliwość?

II. Człowiek wstydzi się zwierząt (jako krewnych), znając, obejmując ich sposób życia. — A zwierzęta, gdyby zdolne były znać sposób życia człowieka, zazdrościłyby mu — jako że sumienia nie mają (mają je tylko niektóre obłaskawione, stąd geneza sumienia: Nietzsche) — zazdrościłyby mu, rzekę, tej bogatej sumy popędów, które nawet w amoralnej księdze przyrody uważane są za ultraniemoralne.

Religia pasterza pełna jest wprawdzie zabobnów, lecz jest szczerą, naiwną, i może najbardziej religijną... itd... Pojęcie „bliźni” rozszerza on i na bydło, które pasie.

Uwaga: Altruizm, jeżeli ma być konsekwentny, to go trza rozszerzyć na wszystkie stworzenia!

Baczcie, by się czasem dusza człowiecza nie stała przekleństwem jak np. psia dusza.

Postęp jako „walka z naturą”. Tylko w części! np. „nie zabijaj” — a walka o byt.

Gdyby było z czym walczyć!... Gdybyż ta chytróść natury, jaka używa człowieka (uświadomionego!?) dla swoich nieznaných celów, była czymś

przez myśl dotykającym!... Wtedy można by rozpuścić wolę! Ale tak — nic, nic godnego walki nie widać.

### Droga ku szczęśliwości

- I. Sztuczność i nienaturalność dzisiejszego życia.
- II. Katolicyzm (i w ogóle wszelka religia) spaczył życie naturalne.
- III. Życie naturalne — piękne.
- IV. Człowiek winien dążyć ku temu: aby sam sobie był rozkazem, wolą.
- V. W niewoli pojęć. Rodzina, serce, wdzięczność (!) etc.

Za dużo wszystkiego (wiedzy! nauk!), a właściwie nic!... Człowiek nie ma czasu objąć, ba, przejrzeć — i gdzież jeszcze by mógł podług wniosków żyć.

A tu chodzi o szczęśliwość.

A tu chodzi o życie.

Chaos jest — a tu chodzi o prostotę.

O proste słowo: żyć szczęśliwie.

Chodzi o pełność życia.

Dajcie możność życia każdej duszy — a stworzy się pełnia życia.

Człowiek tylko to powinien uważać za dobre, co sprzyja rozwojowi jego duszy, a za złe to, co temu rozwojowi przeszkadza. — Stąd winny iść kodeksy, nakazy.

Gdy mi kodeksy prawno-państwowo-religijno-moralne nad głową ciężą i chcę je zrzucić — ktoś zaraz pomyśli:

— Aha, z tego, że mu to ciężą, widać: chciałby w las, na wolność wszelką! Znamy!...

Nie znacie. Czyż koniecznie mam fizycznie czuć tę wolność wszelką? Bylem nie czuł nad głową przymusu! Bylem wiedział, że każdej chwili mogę być wolnym, w całym tego słowa znaczeniu. A to starczy za fizyczny stan wolności.

To zresztą nie jest tłumaczenie się z rzekomej anarchii, bynajmniej — ani usprawiedliwienie.

Nierównomierność etyczna instytucji — rozbieżność pojęć etycznych (chram święty a prostytutka), wszystko to da się wytłumaczyć tylko skalą szeroką stopni rozwoju.

Nie ma kultury ludzi — jest tylko kultura najwyższych. A niższe stopnie są, więc i one w wykładniku pojęć, pragnień szczęśliwości muszą mieć swoje instytucje, kodeksy.

- a) W niewoli u filistrów (u ich kodeksów praw [...] moralno-społecznych)
- b) W niewoli u ludzi, na niższych stopniach rozwoju będących: w niewoli u ich pojęć, ich religii, zabobonów etc.

Wątpliwość: Dlaczego nam dobrze często i z duszami będącymi na niższym stopniu rozwoju?

Warunek: To muszą być dusze, będące ponad granicą przeciętności (filisterstwa) podatne rozwojowi...

Ps. Dobrze nam z nimi nie stale, jeno chwilowo.

Uwaga: Jest to sympatia niewoli, bo i oni są w niewoli u filistrów. Bezwiednie mamy w nich sprzymierzeńców.

### Są d y

Sądzi człowiek człowieka — obaj na innym stopniu rozwoju. Jakże człowiek-sędzia ma zrozumieć człowieka „winnego”? Często podsądny jest (jako z innej duchowej rasy pochodzący) sędziemu wprost a priori nienawistny. I wypada wyrok (nawet nie podług kodeksu) wprost zdumiewający patrzących z boku.

Często widzimy wśród sędziów przysięgłych zdania co do jednej winy jednego człowieka sprzeczne. Cóż to jest? Oto zbiór ludzi na różnych stopniach rozwoju, każdy inaczej (patrzący).

Nie mówi się już o „zbrodniach” przeciw własności, bezpieczeństwu etc., ale o „zbrodniach” dusz. Gdzie musi być zrozumienie, aby sądzić? Któż może zrozumieć? Człowiek na wyższym stopniu rozwoju — niższego?

Uwaga: Cóż to jest śmieszność?

Gdy do ludzi stojących na innym ode mnie stopniu rozwoju (może na niższym?) mówię — albo działam wobec nich tak — jakbym mówił do ludzi stojących na tym samym ze mną stopniu. Np. gdyby człowiek mówił do wołu jak do człowieka.

Wtedy jest obawa śmieszności, gdy mamy np. mówić w gronie różnych dusz. A nigdy nie jest mi

śmiesznym człowiek o podobnej duszy. Bo tę duszę jego znam, znam czynów i słów jego pobudki.

— Skąd przyjaźń? — to już możemy...

— Skąd wielkość? — to właśnie dowód na stopnie, na różnice dusz. Bowiem wielkość z różnic wynika — ze skali stopni.

Więc: przyjaźń, przywiązanie, wielkość, śmieszność etc. dadzą się wytłomaczyć jedynie na podstawie tej teorii.

### O śmierci

Dziewięć zastanowień.

- I. Przy zgonie krewnej.
- II. Przy katafalku profesora (siostrzenica w żałobie).
- III. Na pogrzebie ojca.
- IV. Przy trumnie poety.
- V. W krypcie (malarz).
- VI. Zgon służącego.  
Śmierć sąsiada. (Noc księżycowa).
- VII. Śmierć drzewa.
- VIII. Zabójstwo.
- IX. Na cmentarzu w Blonay („Bonjour”).

### Kłamanie uczuć

Ktoś obojętny nam duchem umiera. I nic nie czujemy przy tym. Przez to, że krewny — kłamiemy telegramy, słowa — często twarz nawet. A przeciwnie, ktoś bliski nam ginie — i my nie możemy otwarcie boleć!



Na drogach wieczności rozmyślania  
Sam jest człowiek, zaiste. Dusze są nieprzepuszczalne...

Wszystko, co mówisz, nie jest tym, co chcesz wyrazić.

Wszelka dyskusja jest bezcelowa. Słowa tylko utrudniają porozumienie.

Wymiana słów głębi przepaść nieporozumienia.

Warunkiem miłości jest młodość i brak krytycyzmu.

Szczęście jest oparte na ułudzie. Warunkiem szczęścia — krótkowidztwo.

Widzieć człowieka w tłumie jest: nie widzieć go wcale, a widzieć go osobno...

Człowiek się zdaje taką ważną osobą we wszechświecie — tak się już zboczył... Np. ważną się widzi rewolucja. A spojrzeć na nią z perspektywy Marsa...

Można wziąć inaczej: nic poza ludzkością... lub lepiej, nic poza mną... I tak się najczęściej bierze.

Więcej znaczy jednej istocie uczynienie dobra, niż teoretycznie rozlana na powietrzu wonność du-

szy (o promieniowaniu dobrym czynieniem — Wy-słouchowa).

Kobieta, gdy nie kocha, czuje się niepotrzebną na świecie.

Powiada Chamfort: „W miłości wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem. Jest to jedyna kwestia, w której nie można powiedzieć niedorzeczności”. Wynika to stąd, że tak różna jest miłość, jak różni są ludzie — cała niezmiernie gama...

Cynik: Zły jestem? Raczej dobry jestem ludziom, bo nie chcę, aby wspominając mnie po śmierci, płakali... czuli ból z mej nieobecności.

Wiem, że gdybym nie musiał oglądać się na tych, co są moimi, tobym szedł zupełnie inną drogą. I to wiem, że gdybym nie miał na myśli szewca i krawca, tobym nie szukał kładki na potoku ni ścieżki pośród jałowców i krzaków.

Nie żałuję nigdy tego, com zrobił, ale zły jestem na siebie za to, co robię.

[ZAGADNIENIA POLITYCZNE]

O n a r o d o w o ś c i

Wiek XIX jest twórcą narodowości, uświadomienia narodowego. Dawniej były stada, potem państwa, teraz narody. Ludzie karmiący się jedną literaturą, mówiący jednym językiem, czują się przez

to podobni do siebie, skupiają się, czują odrębność jakby swoją. Widzimy nawet, jak powstaje świadomość odrębności w szczepach (Podhalanie) przez odrębność gwary. Wyszukuje się uzasadnienia odrębności w historii, a nawet, i to nie prostym popędem, nieraz skupiają się i wyodrębniają „podobni”. Te podobieństwa jednak są bardzo szerokie. Tak samo sztuczne, jak dawniejsze podobieństwa kast, które się już rozsypują. W konsekwencji: będzie się szukać coraz to istotniejszych podobieństw, aż się dojdzie do skupiań na podstawie podobieństw umysłowych — do grup, w których członkowie wszyscy są na tym samym stopniu rozwoju umysłowego. (Droga ku szczęśliwości — po omacku). Już dziś widzimy zapowiedzi: „zakony” artystów, wyodrębniających się — przynajmniej w teorii, w pisanim „Confiteor” — od „tłumu”. Jest to ruch bezświadomy. Ale poza tym, głoszonym, jest ruch bardziej naturalny: uczucie pokrewieństwa między artystami — widać pomiędzy nimi grupy uczuciowo bliskie, widać tę skalę dusz i te, w związku nierealnym, istotne społeczeństwa. Faktem, że widzimy dziś społeczeństwa w społeczeństwie.

Potrzebny jest język powszechny! Aby porozumienie dusz podobnych było jak najłatwiejszym.

Potrzeba porozumienia handlowego wywołała volapük.

Projekt: Język powszechny może powstać ze wszystkich języków. Wybrać z każdego słowa odpowiadające najbardziej ich pojęciu, duchowo i mu-

zycznie, powstałby język cudny i bogaty, np. polski wyraz „kochać” nie odpowiada muzycznie pojęciu. Lepszym jest ruski „lubyty” lub niemiecki „lieben” itd.

Tak samo jak muzyka jest powszechna — tak samo mowa byłaby powszechną.

O narodowości (właśc. „o mieszczaństwie”)

Cóż ja winien, że bliższy mi jest Szwajcar francuski ze swoją społeczną moralnością niż trzodny osobnik z naszego miasteczka o instynktach małpy niższego rzędu?

Pomnę, jak wprost przykro było mi patrzeć na mieszczanina Polaka, ubranego do tego w kontusz, w kaplicy przy audiencji u papieża. A z całą przyjemnością widziałem obok siebie skeptycznie usposobionego Włocha. I gdy ten się mię zapytał, wskazując owego Polonusa: — „Signore, e guarda Turca?” — skinąłem mimowolnie głową — po prostu wstyd mi było powiedzieć: — „civis Poloniae”, a wreszcie i mnie się ten pan tak obco przedstawiał, jak z gwardii tureckiej.

Mniejsze różnice są między narodami, jak grupami różnych ras (dusz). Nienawiść do siebie tych ostatnich naturalniejsza niż nienawiść narodów. Nikt mię nie zmusi, abym Niemca, Rusina, Moskala nienawidził, a Polaków ogółem kochał. Tak mi obcym jest „nasz” filister, jak niemiecki lub ruski. Na odwrót, tak miłym mi artysta Niemiec, jak artysta Po-

lak. Kocham literaturę rosyjską, zachwycam się Goethem.

Nacjonalizm jest wpływem reakcji, jej bronią, tubą zwodniczą domierającego monarchizmu. Można być dumnym z twórczości ducha zbiorowego narodu, co nie znaczy od razu wołać: Patrzajcie! itd...

Naród niewolny...

Wobec tego, iż jest dość zwierza niskiego wśród gatunku homo, przez to napaści, jedna może być walką — walka-odpór, walka-obrona. I to tylko w granicach koniecznej obrony, nie obrony mienia ani innych dóbr, lecz życia.

O wojnie (protest)

Precz z tym bohaterstwem parobków!...

Rozumiem, jakie przyczyny działały na ówczesne uwielbienie tych ludzi — ale dziś... (zdobywanie [...])...

Słowacki w *Beniowskim*, dramacie o bohaterach...

Inne dziś bohaterstwo staje przed oczyma, zwyciężać siebie, aby zdobyć siebie — większego. Przez ten trud (bojowanie) tylko odrodzenie narodu — ludzkości...

Może kto wzruszać ramiony — to mnie nie dziwi...

Wszak gdy sąsiad sąsiada zmoże i kołem łeb mu rozwali — to ma być chwała! — albo gdy podstępem z dała kulę mu pośle?...

O wojnie (parę niepotrzebnych uwag)

Słowo „wojna”, w całym pełnym krwawym znaczeniu, zdawało się, straciło już na zawsze realizm swój i pozostanie, zdawało się, w słownictwie ludzkim, jak oderwane od życia pojęcie poetyczne lub malarskie, zbladła krwawością do purpurowych dekoracji dawnych muzeów podobne; zaś dotyczące jej obiektu, które się w państwach cywilizowanych spotykało, jako to: wyostrzone tasaki, bagnety, wydoskonalone karabiny i inszą godną „zbroję”, to widziało się, mimo ostrego pozoru, do niewinnych zabaw zgotowane, do gimnastycznych na powietrzu ćwiczeń, wreszcie do uspokojenia rozgorączkowanych i „ochrony” obywateli. Nawet i armat, które mogły niepewnie usposabiać co do celu swojego istnienia, zaczęto używać praktycznie do rozbijania lodu, do rozpraszania chmur... albo do powitalnych grzmotów, gdy się Najjaśniejszy syn Najjaśniejszego raczył narodzić. Cóż te przedmioty niewinne mogły mieć z wojną spólnego? Widziało się — znudzi się jednym, a drugim się sprzykrzy i przerobią je na insze, odpowiedniejsze do mody, czasu, albo złożą do muzeów na pamiątkę potomności, jako się drzewiej ojcowie bawiali... Różni pomazańcy, których imiona dawniej razem z wyrazem „wojna” wymawiano, pomazańcy, którym wyroki boże naprzód się objawiają — a oni objawiają je śmiertelnym, poczęli się zjeżdżać, całować i przysięgać „wieczny mir” na ziemi...

I wojna stawała się wyrazem coraz bardziej epickim, słowem chemicznie odkrwawionym... W miarę też, jak zaczynała być słowem niebieskim, nie

wzywano jej imienia nadaremnie. W przypadkach, gdy zachodziło pewne podobieństwo, mówiono raczej: „bunt”, „rozruchy”, „nieporozumienie” albo jeszcze niewinniej... W takim „nieporozumieniu” tłumaczyli Burowie Anglikom na klasycznych przykładach, z *Odysei* zaczerpniętych, jak strategia europejska jest błędna. Gdy użyto wyraz „wojna”, to z przyzwyczajenia rzeczy do tradycyjności wyrazu albo też dla efektu, jak mówi się: pożar — choćby budka strażnicza gorzała.

Aż oto od roku przywróciło się krwawe znaczenie wyrazu... Wojna prowadzi się przed nami tak straszna, jakiej zmarłe wieki nie widziały. Pół miliona ludzi padło na polach Dalekiego Wschodu i zatoneło w falach morskich. I nim się skończy, pewnie drugie pół miliona pochłonie. Słów nie ma na wyrażenie, jakie uczucia obejmują duszę, gdy się czyta opisy tej wyrozumowanej rzeźni. Cóż, my z daleka patrzymy — przez literaturę. Nam przypominają się wojny, jakie znamy, także z opisów. Ale wziąć choćby bełkoty naocznych świadków (wobec cenzury), którzy bez obłędu zdołali ujść — na życie kalekami... Strach nad polami Mandżurii, strach nieopisany, obłęd ogólny i krwawy, czerwony śmiech...

Widzi się, że ten śmiech krwawy dźwiga się z pobojowiska i drwi z postępu i szydzi z całej kultury, z człowieka, szydzi okrutnie z ofiar, jakie spłonęły dotąd na ołtarzu powszechnej miłości... Straszny, czerwony śmiech!

A jednak... jednak ta wojna jest przykładem, że wojny ustać muszą. (Im okropniejszy przykład, tym

zbawienniejszy w skutkach). Ten śmiech czerwony\* rosyjski jest protestem przeciw okropnościom wojny. (Ohyda wojny jest protestem przeciw jej ohydzie). Dawniej umierali spokojnie, „bohatersko”, jako dziś jeszcze Japończycy.

Jeszcze o jednym nie zapominajmy. Fala współczucia narasta, zatacza coraz szersze kręgi. Może być — błędną drogą dążymy ku szczęśliwości, lecz fala współczucia wzrasta...

Ta wojna temu faktowi nie przeczy. Trzeba wziąć pod uwagę, że Japonia jest jeszcze mimo złudnego posunięcia się naprzód w okresie „bohaterskim”, tak samo cofnięty rząd rosyjski, który prowadzi wojnę... Naród rosyjski, w części posuniętej w rozwoju, przeciw tej wojnie protestuje...

I tak podobno każdy naród, każda część lepsza narodu będzie protestować, gdyby jej rząd wojnę o grabież zapoczął.

Cieszymy się z „konstytucji.” Zdobyto — no, dobrze. Ale rozczulać się nieuczuciowo, rozumowo, to już trochę... Ludziom potrzebna konstytucja — więc mogli wziąć dawno. Więcej — śmieszne — jeden błazen daje świstek: „wolność” milionom. To jest policzek — hańba owych milionów (Iwan Groźny).

Uwaga: Na razie najważniejsze: usunąć nierówności, krzywdy ekonomiczne, aby dusze swobodniej mogły się rozwijać. (To jest zadanie socjalizmu).

---

\* Wyrazy „czerwony śmiech” piszę z kroniki Leonida Andrejewa *Krasnyj smiech...*, która [...]



Socjalizm rozumie postęp — i uczciwie — przez swoich przewodników. To są dusze na wyższych stopniach rozwoju. I artyści (dusze wyższe) są rewolucjonistami. — Ale tamci mają więcej energii życiowej, która ich pcha do czynu; przeto nie mają czasu do rozwijania duszy, do kontemplacji, jak mają artyści — dlatego dzieła tamtych, rozumne odnośnie do terażniejszości — są wobec przyszłości płytkie.

Na dowód racji socjalizmu przytaczać to, że tak ogromnie wzrasta, werbując coraz więcej zwolenników — jest naiwnym. Albowiem właśnie to by raczej mogło przeciw mówić.

Ludzie z dawnymi pojęciami łatwiej przyjmują rzeczy, w których mniej nowego, w których jeno pokost nowości. (Tu się używa temperamentu rewolucyjnego ludzi dla rzeczy...). Gdyby dusze tych ludzi przetworzyć, uświadomić — niepłytko, ale uświadomić — to raczej podatne by były teoriom śmielszym, dalej w przekształceniu ustroju idącym.

Patrzcie, jaki rewolucjonista! sympatyczny, uznaje, agituje za... wreszcie, co rzadko (i kwestionowane przez etykę)... gotów jestem strzelać... ale jestem poddanym tego, owego...

Każdy powinien manifestować swój cały światopogląd, aby znaczyć swój stopień rozwoju. To są orientacje dla dalszych uświadomień.

## [ZAGADNIENIA SZTUKI]

Jest pęd i za nawias — ludzie czuli, artyści, starają się stale odsuwać od tzw. życia; inni choć na miesiące letnie uciekają ze środowisk życia. Jedyne filistrzy nie czują potrzeby odetchnięcia za nawiasem — chyba ze względu na zdrowie swoje cenne — i wtedy wyjeżdżają do kąpiel, do wód, prześladując i tam biednych „uciekierów” od „praw” swoich.

Pytacie się: Dlaczego dzisiejsza literatura taka rozpaczliwie smutna? Oto dlatego, iż dusze posuwały się w rozwoju — i mocniej czują piekło, wynikłe z uspołecznienia. Jest to smutek ziemski — z wyjątkiem, którzy zrozumieli tzw. życie (przyczyny tego piekła). I ten smutek będzie wzrastał w miarę większego uspołecznienia.

## „List do przyjaciół”

Książka jest [„listem”] do przyjaciół. I gdy ci spotkają ją, dla których nie jest pisana, to, postępując uczciwie, powinni zachować się tak, jak wobec listu nie do nich adresowanego; nie otwierać, nie czytać, gdyż inaczej postępując, wchodziliby przez to jakby w czyjeś osobiste sprawy, które naturalnie śmieszne by się im nawet mogły wydać.

Sztuka — odnośnie do teorii. Sztuka przedstawia duszę (więc dusza na różnych stopniach rozwoju) — fałsz, że dusza jest ta sama, wieczna — jest tylko w niej pierwiastek wieczysty...

## O sztuce

I. „Dzieło artysty, jak dzieło przyrody, na różnych ludzi różne może wywoływać wrażenia i myśli”. Np.: Zachód słońca. Staje przed nim: a) Chłop, nędzą sturbowany, uważuje po znakach, czy będzie na jutro pogoda. b) Inny (np. malarz) widzi bogactwo barw i światła. c) Inny (Kasprowicz w *Wieczornej pieśni*) widzi w zorzy palczastą jakoby karzącą dłoń Boga-sędziego, Bóg staje mu w ognistej żagwi, jak Mojżeszowi na Synaju, i wywołuje u niego spowiedź człowieka etc. Więc różni ludzie (na różnych stopniach rozwoju myśli) różnie się znajdują wobec jednego zjawiska. Tak i wobec dzieł sztuki.

II. Czy w „Zachodzie słońca” nie ma tragedii? (Postacie z chmur, znikające, jak i postacie-sny w dziełach artystów). A agonია barw? A walka światła z mrokiem?

III. Krytyk z tragedią w duszy stający wobec dzieła. Zabarwia mu się wszystko tragicznie (Ostap Ortwin — o *Wyzwoleniu Wyspiańskiego*).

IV. Zachowanie się ogółu nie rozumiejącego piękna dzieła np. a chwaleńcego je, przypomina anegdotę, zdaje się prawdziwą, o zachowaniu się Górala przewodnika. Ten szedł naprzód z malarzem, poetą (artystą), i gdy ci zachwycali się pięknem przyrody górskiej — milczał, ale pilnie słuchał. A teraz idzie z paniami z Warszawy i stając w miejscach, gdzie tamci stawali, z podobnym szerokim gestem wypowiada frazesy, jakie zapamiętał. Dziwią się: „Co za lud, czujący piękno!” Znaczy: artyści tyle naga-dali o pięknie, o formach piękna etc., że każdy może powtarzać to samo, zgoła nie rozumiejąc, nie

czując. A zwłaszcza ci podobni w bladze i płytkości Góralom-przewodnikom (dużo nawet niżej od nich stojący mózgowo), fachowi sprawozdawcy, recenzenci itp. „przewodnicy — po galeriach sztuki”.

### Sztuka i krytyka

a) Nie dziwota, że o jednym dziele tyle się czyta sądów sprzecznych. Mam zamiar kiedyś oblepić sobie ściany sypialni recenzjami z utworów mych — będę miał mozaikę ścienną. Rzuciwszy okiem przed wstawianiem — będę miał na cały dzień dobry humor.

b) Cóż mię obchodzi sądy wieku? Poezje właściwie powinno się nie wydawać w książkach dla ogółu — raczej powinno się przysyłać tylko przyjaciołom. Ktoś (?) nawet już powiedział — słyszałem, że „dobra książka — to list do przyjaciela”.

### O różnicach stopni

a) Np. uciążliwość towarzyska, gdy się wiele osób zejdzie i dla wszystkich siłą się (pani domu) mieć jednakową twarz, gdy serca dla różnych inne.

b) Śmieszna trwoga autora, gdy go wywołują na premierze. Kogo się trwoży? Może się właściwie tylko boi o zdanie przyjaciół — nikt poza tymi nie powinien go obchodzić. Ale jeżeli sztuka wielka, przyjaciół w takim razie w widowni niewielu — może się bać o powodzenie. Cóż go obchodzi, jeżeli ma przyjaciół za sobą. (Mówię o przyjaciółach z powinowactwa umysłu).

c) Widziałem ludzi — towarzystwo z wyższych sfer arystokratycznych — siedzących w łoży par-

terowej, którzy na *Weselu* Wyspiańskiego świetnie się bawili. A szczyt wesołości był przy ostatniej scenie tańca. Miałem się zwrócić do nich z propozycją, by opuścili teatr, ale oni mogliby mi to samo powiedzieć z większą na pozór racją, bo więcej za miejsca swoje zapłacili. A śmiech ich drażnił mię tak, jak żeby np. prosię znalazło się na galerii sztuki. Zresztą teatr dzisiejszy jest na wskroś mieszczańską instytucją — więc ja tym bardziej byłem tam niepotrzebny — i niepotrzebnym było tam *Wesele*. Bawiono się na nim jak na szopce, choć z różnym wrażeniem.

## O krytyce

### I. Twórczość „wesoła”.

... Oto siedzi i opowiada z humorem o świecie, o ludziach, o naukach, o wrażeniach swoich.

### II. Twórczość „smutna”.

... Oto siedzi w mroku z towarzyszem i myśli głośno... szepce i mówi cichym głosem o urodzonych dopiero co w duszy swej wrażeniach...

Tamto słuchającym daje przeżyć przyjemne chwile. To daje chwilę zadumy, jak w świątyni zmrokiem — gdy się z niej na świat gwarny wyjdzie — to długo jeszcze gra w duszy ta cisza święta... Boża chwila...

„Mówię do Was, bracia i siostry moje i wy, wyżsi a rozumiejący...” (z teorii „stopni rozwoju umysłowego”), wy, z którymi gdybym żył, byłoby mi dobrze (nie szczęśliwie)...

Krytycy muszą wywłóczyć z dzieł pisarza...

Krytyk — to człowiek najdalej posunięty w rozwoju. Każdy jest w części krytykiem: odnośnie do niższych, przebytych stopni. Krytykować — znaczy: zrozumieć, a rozumie się tylko niższe lub równe.

Krytyka nie powinna być zawodową. Ani fachową: np. krytyk od wszech-poezji — bo np. choćby krytyk taki rozumiał poezję, to rozumie dobrze tylko tworzoną przez ludzi na równym z nim i niższym od niego stopniu rozwoju będących (albo przez wyższych — w chwilach obniżenia ducha) — inaczej natomiast nie rozumiejąc, narzuca swoją, do tamtej stosowaną, miarę.

Najczęściej zła krytyka pełni grzech wobec Ducha Św., przeszkadzając tylko rozwojowi dusz. A winna rozwój ułatwiać, dając orientację, którą sama zdobyła.

a) Mistyk może tylko krytykować mistyczną poezję. Umysłowi racjonalnemu poezje mistyczne mogą się wydać dziwactwem. Słusznie. Ale nie powinien on tego wrażenia narzucać drugim! Niewolić ich do swojego okna, przez które tak a tak czysto widać, jak powiada.

b) Każdy niech swoim oknem patrzy — i dzieli się z drugimi spostrzeżeniem, jakie od świata odbiera; — będzie większe bogactwo spostrzeżeń. Ludzie chcą dobrowolnie się ubożyć.

Poezja, którą tworzył człowiek na wyższym od nas stopniu rozwoju — będzie nas porwać ku rozwojowi — daje nam tęsknicę za wyższym stopniem, za szerszym horyzontem, który się nam przez tę poezję otwiera.

## O poezji

I. Ludzie w ogóle poezji nie lubią (rozwinęcie).

II. Poeci mówiący o poezji często czynią podobnie jak kapłani starożytni, mówiący z ważną miną tajemniczo — o tajemnicach świątyni — lub uroczyście itp.

III. Poezję pisać to nic jeszcze. Są niepoeci, którzy wcale nieźle piszą wiersze. Albo: młodzieniec 17-letni: rymujący wiersz niedołąźnie, daleko mocniej czuje tę „poezję”, gdy ją pisze, niż później, w 30 roku, gdyż już jest „naprawdę poetą”. Toteż jeno młodzi ludzie lubią poezję czytać. Martwy poeta przez uczucia ich mocne ożywa... i wzrusza.

I. Poeta niekoniecznie ma przeżywać to, co tworzy. Np. Staff, pisząc wrażenia ciężarnej niewiasty, z pewnością tych wrażeń nie przechodził.

II. Owszem — im bardziej osobiste wrażenia poeta odtwarza, tym poezja jego jest szersza (np. Tetmajer).

III. Zwykle czyni się zarzut poetom, którzy wyrażają barwami lub muzyką znużenie — powiadając, że to nie krzepi. (Każde piękno krzepi). Ale pomijając to — dlaczego nie ma mieć racji wykrzyk: „jak mi smutno!”, a mieć: „jak mi wesoło!” Kiedy przeciwnie: — do wesołości żadnej nie ma obecnej przyczyny, a do smutków sto i więcej!

IV. Mazurki Szopena — poezja (z wyd. pośm.) Słowackiego — szczyty.

V. Teoria o geniuszach i woli.

Rymy — to tylko przypadkowość. Gdyby np. nie było wyrazów, które by muzycznie współdzwięzczały... poeta ten, który ma „poetyczne na świat spojrzenie” (tak samo dramaturg: tragiczne)... A popęd twórczy to jest: chęć poznania się z duszami podobnymi, pokazania im swojej duszy.

Poezja to jest ucieczka od życia — pragnienie życia wyższego. Dlatego w szczęśliwości rzadko szczerza odezwie się lutnia.

### O m u z y c e

Muzyka najczęściej daje szczęśliwości ludziom. Twórców jej powinna ludzkość otaczać kwieciami — a ona wieńczy muzykantów (wykonawców — skoczaków).

Różnie muzyka oddziałuje. Znałem dziewczynę (histeryczną), na którą muzyka działała jak gwałkanie, pobudliwość.

Przewaga tenorów (talent w dziobie — samczość).

### Z a p i s k i

Człowiek zbosczyłby się — a przez to zabiłby Boga — gdyby się widział zawsze w obliczu gwiazd — niczym.

Literatura zajmująca się sprawami ziemskimi musi być jak to życie ziemskie — marna. Życie — roślinność na cmentarzu.



Mylna jest zgoła opinia o niepraktyczności umysłów o bogatej fantazji, tylko ich praktyczność kłóci się z powszechną.

### List

Piszę do ciebie, człowieku, którego nie ma. Bo ty mię może zrozumiesz. — Nie sądź, gdy mówię tak, że jestem zarozumiały. Lecz oto nie mogę dojść przyczyny tych ciosów, jakie raz po raz spadają na serce moje. Ty mi je może wyjaśnisz, gdy ci stan rzeczy opowiem, bo wiem, że nikto z ludzi, i orzekniesz: wina-li to moja czy nie?

Nic już poczynam z tej gmatwaniny ludzkiej nie pojmować — a zdawało mi się dawniej, że co nieco rozumiem. Czuję jedynie cierpienie i mękę, nadto ciężką, aby dłużej trwać mogła. Doszedłem do pół-obłądu, melancholia, noc stoi na progu mego umysłu, dawniej trzeźwego. Nie wiem. Nic już nie wiem. Wiem tylko to, że cierpię — i to cięższe, że sprawiam cierpienie...

### Refleksje

Na co to wszystko? Stanij pod gwiazdzistym niebem albo naprzeciw wschodzącego księżycy i zapytuj się: Na co? Jeżeli ci zawrót nie porwie myśli...

Insza rzecz, że cię życie wróci ziemi... Ale gdyś raz był na tej krawędzi — już tam powracać będziesz częściej...

Tatry tyle mi są bliższe od spraw ziemskich, że są bardziej wieczne...

## [ZAMIERZENIA I PLANY]

RUINY. POWIEŚĆ HISTORYCZNA

### Tom I: Walka o gospodarównę

I. W swaty od Piotra Potockiego. Przy ognisku nad Bohem. — Na zamku w Jassach. Lupul. Żona jego, piękna i młoda mahometanka. Donna Rozanda, córka z pierwszej żony, Wenecjanki. — Wieści od Porty przez agenta, dragomana poselstwa weneckiego (o intrygach, rywalizacji z Bassarabą, o Greku zabitym — pojednanie). Skarby.

II. Konkurenci o rękę Rozandy: Piotr Potocki. Dymitr Wiśniowiecki. — Swaty od Chmielnickiego. Odpowiedź z odwołaniem na Portę. Oburzenie Lupula, że ten chłop śmiał swaty ślać, i trwoga przed jego potęgą. Narada. —

III. Starania obydwu, Lupula i Chmielnickiego. Chmielnicki wygrywa u Porty. Rozkaz sułtana na małżeństwo Rozandy z Tymoszką. Lupul wręcz odmawia, ufny w pomoc panów polskich. Na to —

IV. Korpus Chmielnickiego wraz z 20 000 ordy wpada na Wołoszczyznę, łupi Suczawę, Jassy. Gospodar opłaca się Tatarom, którzy wracają z łupem.

V. Druga wyprawa Chmielnickiego w 16 000. Lupul przywiedziony do rozpaczyny okupuje się Kozakom, zgadza się na zaręczyny córki z Tymoszką i daje zakład (bojarów), że po Bożym Narodzeniu

(1650 r.) odbędzie się ślub. Po czym —

VI. Stara się o indygenat polski. Wysyła córkę z żoną do zięcia swego Radziwiłła i czyni w Stambule starania, by uwolnić się od poniżającego związku. Równie Chmielnicki nie zasypia gruszek, oskarża Lupulę o zdradę i prosi o gospodarstwo — dla siebie. Wielki wezyr Achmed rozstrzyga: cofa rozkaz Porty, ale jako zakład wierności Lupula każe odstawić Rozandę do Stambułu.

VII. Rozanda w Stambule (1651). Agent Lupula, Panlaki. Wielki wezyr Achmed. Intrygi serajowe. Dymitr Wiśniowiecki. Wieści o klęsce Chmielnickiego pod Beresteczkiem i upadek w. wezyra. Rewolucja pałacowa. Nowy rząd wrogi Chmielnickiemu.

VIII. Lupul teraz bezpieczny — zabiera córkę do Jass. Dowiaduje się jednak wkrótce, że Chmielnicki gotuje się nań z nową wyprawą. Gotuje się do obrony, robi zaciągi i do króla polskiego pisze rozpaczliwy list, aby kazał hetmanowi Kalinowskiemu stać na granicy dla obrony przejścia. Dostawszy wymijającą odpowiedź, udaje się do możnowładców polskich — z większym skutkiem.

IX. Na wieść o „obronie księżniczki Rozandy” zrywa się młodzież \*z najprzedniejszych domów: każdy z nadzieją w sercu. Dymitr Wiśniowiecki, Potocki Piotr czynią starania gorączkowe — dla obrony „skarbu”. Hetman Kalinowski jako najgorętszy konkurent (dla siebie czy dla syna). Charakter hetmana. Obóz pod Batohem. Zimowanie w Bracławiu. Zapusty. Pojedynki. Wieści z Jass. Nadzieje — pieśni — trubadury.

X. Poselstwo do Chmielnickiego i odwrotnie.

XI. Bitwa pod Batohem. Ginie bukiet świetny rycerstwa. Pożar w obozie. Rzeź. (Legenda o tym miejscu).

## Tom II: O gospodarstwo

I. Plan Lupula. Zdrada baszy sylistryjskiego.

II. Rok 165... Stefan Görgicze u szwagra hospodara Bassaraby. Układ między nimi i Rakoczym.

III. W Gycz-Wasar. Spisek Görgiczego. Przygotowania. Lupul w ufności daje mu pieniądze na zaciągi wojska (które ma stać nad Dniestrem). Porozumienie kwiatami z Rakoczym.

IV. Jan Barosz z beczkami wina od Rakoczego na zamku. Pijatyka. Görgicze. (Kemeny z wojskiem).

V. Spisek odkryty. Czinguli i hetman giną. Lupul, zabrawszy na koń rodzinę i skarby, ucieka ku Dnieprowi. Przybywają w parę godzin Kemeny i Görgicze — zastają pustki w zamku i trzy trupy spiskowych. Pogoń.

VI. W Kamieńcu. Wieść o ogłoszeniu hospodarem Stefana. Lupul wraca do wojska, udaje się za Kemenim, lecz pobity na głowę i raniony ucieka do zięcia swego do Raszkowa.

VII. Tymofiej stoi z 16 000 gotowych ludzi. Natychmiast przechodzą Dniestr i wpadają do Wołoszczyzny. Wojsko wołoskie odstępuje Stefana, chłopstwo rzuca się na watahy Mołdawian i Węgrów. Kemeny pobity pod Koprinkau. Stefan w 2000 ucieka do Multan. Na granicy Tymofiej rozbija Spartenę Bassaraby i zaczyna palić, rabować Multany.

VIII. Bassaraba wysyła wojsko naprzeciw. Roz-

bite na głowę pod Soplea i pod Teleaniu. Powołuje cały lud do broni (o posiłki do Rakoczego) i z 30 000 wychodzi nad Jałowicę. (Stefan Görgicze przodem, ale przez zdradę bojarów odparty).

IX. Bitwa pod Jałowicą.

### Tom III: O skarby gospodarza

I. W Kamieńcu. Gospodarowa ze skarbami. Wieści o staraniach Chmielnickiego w Stambule o gospodarstwo. Skutek deputacji wołoskiej bojarów: czasz Porty. Wezwanie od Lupula.

II. Pożegnanie gospodarowej.

III. Gospodarowa wyrusza z gwardią za Dniestr; tu wieści o nowej klęsce męża. Chroni się do Suczawy. Oblega ją Stefan z wojskiem Bassaraby.

IV. Tymofiej rusza z odsieczą. Podwójnie obłożeni.

V. a) Starania Lupula i Chmielnickiego. b) Starania Stefana i Rakoczego w Polsce (Liga z Rakoczym). c) Polityka Chmielnickiego.

VI. Komisja lwowska i pochód pod Żwaniec.

VII. Obłożenie Suczawy. Zajęcie Gospodarowej i skarbów.

VIII. Obóz pod Żwańcem i traktat z chanem. Wydanie Lupula Tatarom. Ruiny w dawnej kwitnącej Braclawszczyźnie. W jasyr...

### [Rozdział] I. Swaty

Orszak bogaty jeźdźców rwał stepem w stronę południa. Dzień lipcowy miał się ku skłonowi. Już też na zachodzie słońce krwawe zanurzało się krę-

giem ognia w daleko-ległe fale równiny podolskiej, obrzucając odblaskiem czerwieni mknący po stepie barwny, strojny poczet, przezierało się w pozłoceniach rzędów, zaświecało drogie krwawniki żupanów, brylantowe agrafy kit i sprzęcze kontuszów, zapalało głównie bogate karabel, tęczyło rozwiane wyloty, jak skrzydła, płomieniło grzywy koni-gryfów i pióra czelne kołpaków — iż jadący, wyniesieni czołami na niebo, w kręgu ognia wydać się mogli z nagła komuś jakby z archanielskich zastępów odezwani.

Pięknyż bo był to poczet. Kto by go spotkał w tej rozbieży ziem, łącznie okiem poznałby, że to nie wojenny podjazd, ani [...], ale raczej, że to poselstwo jakoweś do Sylistrii, do Multan, lub też do samej Porty zmierzające. Nawiedłyby na tę uwagę sute stroje pocztowych, konie juczne, skrzynie z darami, a zwłaszcza — królewski iście dar — konie bachmaty, luzem prowadzone, ognistej krwi, przybrane we wzorzyste kapy i czapraki.

A już pięknnością stroju, postawy, jako i wzięciem całym górował nad inszymi młodzieniec rycerny, który on orszak wiódł. Tanecznie niósł się na koniu, jak płomień stepu wiatrem porwany, a znać było z oblicza, zażęgłego łuną, jaka z oczu [...] zuchwale na życie otwartych, iż unosi go ku nieznannej jutrzni wewnętrzny płomień krwi. Krąg słońca zapadł... Ku południowi dążył orszak przez step przymierzchający.

Barwy na ziemi gasły. Coraz gęściejszy przed kopytami koni kładł się zmierzch — zajarzyło się na pociemniałym niebie gwiazd parę.

Orszak przebrnął szybko wgłębioną równinę niby jezioro płytkie zgęstniałego mroku i ukazał się na wzniesieniu ordzawionym od zorzy zachodu. (Brzegi rzeki... rzeka: Boh...)

Jadący na czele młodzian wstrzymał konia.

— Przed nocą Bohu nie sforsujem — rzekł. — Tu ostaniem do dnienia. Z koni! i złożyć ogień! — zakomenderował.

Zeskoczył lekko na ziemię i oddał konia luzakowi. Towarzysze posiadali również. Służba zakrzątnęła się. Naznoszono krzewów i karkulców z pobliskich zakrzewień i wkrótce kilka ognisk w niedalekich odstępach buchnęło. Luzacy przeprowadzali... rumaki, na których kapy bogate mieniły się przy odblasku ogni, a grzywy i włosie ogonów, do ziemi spadające, załśniwały niby wodospady.

Utworzyły się koło ognisk [...]

Namiestnikowi podesłano sukno, podano wierzę, składającą się z wędlin i placków, do której zaprosił kilku z towarzyszy [...].

— Teraz step bezpieczny — odkąd rozejm, pokój [...]

---

JAN KRZYSZTOF — POLSKI. POWIEŚĆ

1. Na stacji u kmiecia.

Kmieciówna. Pasanie krów, świni.

2. W szkole klasztornej.

System edukacyjny. Służenie do mszy (ampułki).

Ks. Eustachy. Ks. Leśniczyn (pod lasem u gajowego).

## 3. W mieście, w gimnazjum.

W internacie. W szkole. Głodowanie. Kradzież.  
Pierwsze pijaństwo.

## 4. Na stacji, kątem.

Maj, majowe nabożeństwa. Kulawy ideał. Po drodze,  
w kościele.

## 5. Pierwsze porywy poetyckie.

Figle studenckie. Na stacji. Karnawał (nad Wisłą).

## 6. Na chórze.

Sledztwo. Wydalenie. Podanie...

## 7. U adwokata.

Pisarka do humorystycznego [...]. W kancelarii.  
Mecenas. Dependent. Szewc-ojciec w przedpokoju  
(zabawia klientów, prowadzi księgę egzekucyj. —  
„Mamy dziś piękną temperaturę...”). Syn po urlopie  
na ojca. Ojciec w kącie, samotny, żałuje warsztatu  
szewskiego.

## 8. Wchodzenie do literatury.

Pisarzom kłania się, jak chłop biskupom. — Ko-  
neczny. Sewer. Tetmajer...

## WOJNA. POWIEŚĆ

## I. Mobilizacja.

## II. Zgłoszenie.

## III. Powołanie.

IV. Pod Lublin. Kraśnik. — O żonie. Ewakuo-  
wani. Dom spalony.

## V. W szpitalu.

VI. W Serbii. W Alpach. Do żony. Ranny.

VII. W kadrze. W Karpatach.



- VIII. Z obozu ewakuowanych. Śmierć dzieci.  
IX. Pod „Gorlicami”. Chłop orze.  
X. W pościgu. Do krzyża kościoła... Wieszania.  
XI. Przez ziemie polskie. Legiony. List do żony.  
XII. Na Wołyniu. Na pozycji. Aeroplan. Bratania. Jeńcy.  
XIII. Ranny. Powrót. Odbudowa.

Obrazy (nastroje): Bezlicowość wojny. — Malarz na froncie (?). (Front 1000 kilometrów). — Armia lekarzy. Ironia. — Kłamstwa kultury. Katedra. — Suma szczęścia, które się burzy przez wojnę... — Gdzie człowiek? — Protest. — Chrystus i wojna. (Św. Franciszek). — Miłosierdzie i wojna. — Piękno przyrody i wojna. — Sztuka i wojna. — Prawo a wojna (gwałt, mord, podpalanie). — Miłość, nienawiść. — Syzyfowa praca ludzkości.

## Wojna

I. Wojna obecna. Przyczyny. Austria, Niemcy, Rosja, Francja, Anglia, Turcja, Islam, Belgia, Polska. Państwa neutralne. Japonia.

II. Wojny dawniejsze — a dzisiejsza; a) napści, b) pasterskie: zapasy, c) bohaterskie: Troja, d) rycerskie, e) napoleońskie.

III. Wzrost współczucia: Armia lekarzy. Ironia.

IV. Bezlicowość dzisiejszej wojny.

V. Kłamstwa kultury. Katedra w Reims.

VI. Obrazy wojny...

VII. Protest. (Walka o miedzę — czy komisja).

VIII. Koszta pokoju zbrojnego i wojny. Zestawienie statystyczne.

Przyczyny trzy:

a) geologiczne — podświadome

b) głębsze racje państwowe

c) przyczyny bezpośrednie: zaczepienie

Japonia: a) na stały ląd; c) bezpośrednio: Bezobrazow, lasy.

Austria: a) znaleziona idea federacji; b) środkowo-europejskie Stany Zjednoczone; c) ukaranie Serbii.

Rosja: a) zgniecenie mazepinizmu; b) pozór; obrona Słowiańszczyzny; c) pomoc Serbii.

Niemcy: a) „Drang nach Osten”; b) racje handlowe; c) obowiązek sojuszu.

Francja: a) wyludnienie; b) przyczynek Alzacji i Lotaryngii; c) odwet.

Anglia: b) przeszkody handlowe ze strony Niemiec.

Inne (Belgia) — deptane przez olbrzymów po drodze.

Turcja: Chęć przy kurczeniu się skupienia i złączenia w całość mahometan. Rosja wchłonęła w swoją państwowość 14 milionów mahometan (zjazd autonomistów w 1905 r.); więc odpór i poparcie dążeń niepodległościowych Ukraińców.

Jakiegokolwiek są jednak przyczyny — czy mogą być dość wielkie, aby usprawiedliwić...

Uwaga końcowa: Po wojnie zaczyna się nowe zbrojenie...

Jeśli ta wojna doprowadziłaby do powszechnego rozbrojenia, byłaby zaiste zbawczą. I to byłaby jej racja, której dojrzeć nie można obecnie. Komisja międzynarodowa... Ale musiałaby być zrobiona sprawiedliwość. Polska, Belgia, Bułgaria.

Jeśli rząd jakiś popełni zbrodnię (Serbia), powinien być ukarany przez sąd komisji, jak karany bywa zwykły zbrodniarz przez sąd. Musi być przywrócone prawo, jeśli ludzkość ma żyć. Bo wojna jest bezprawiem.

Inaczej kłamstwem wszystko!... I otwarta droga anarchizmu...

## R o z d z i a ł I

Bezpośrednie powody wojen, nierzadko stworzone dla mas jako hasła, zasłaniają najczęściej głębsze, istotne przyczyny tychże. Mamy na myśli wojny państw i narodów swobodnych, gdyż walki wyzwolenicze przyczyny mają dla wszystkich widoczne. Są też przyczyny niełatwe do wyznaczenia, podświadome, które w mrokach instynktu mają swoje kinetyczne źródło.

Trudno uwierzyć, żeby rybołówstwo na Sachalinie lub głośna afera leśna Bezobrazowa były przyczyną wojny japońsko-rosyjskiej. Raczej to instynktu samozachowawcze, potencjalne...

Zaobserwujmy mrówkę na kamieniu oblanym dokoła wodą. Cóż będzie czynić? Będzie naprzód obiegać dokoła brzegi wyspy, próbować nóżkami przy brzegu wody, czy głęboka — po czym wyjdzie na najwyższy cypel skały, rozejrzy się daleko i dojrza-

wszy najbliższe stałe brzegi lądu lub zachuwszy go, zbiegnie nad wodę, i puści się wplaw w tym kierunku. Za małą chwilę jest na lądzie.

Tak i Japończycy niepewnie czują się na swej wyspie, która ma intencję — jak mówią różne objawy — skryć się pod powierzchnię oceanu. Wybuchy wulkaniczne, tajfuny, niewiadomego pochodzenia olbrzymie, niespodziane przy spokojnej powierzchni, mioty fal urywają brzegi ziemi, kruszą skały, nieraz całe osady zniecka pochłaniają. Toteż w mrówkach-Japończykach powstało z mocy instynktu nieodparte pragnienie ucześcić się stałego lądu. Najbliższe brzegi Korei. Lecz tam zbliżył się od północnego wschodu olbrzymi żuk. Więc mrówki-Japończycy musieli cofnąć tego żuka.

Zatem przyjąć można, że podświadome, niejako geologiczne były przyczyny wojny japońsko-rosyjskiej.

Nie inne też zapewne były i owej legendarnej wojny trojańskiej przyczyny, jak kolonizacyjne; w pieśni została przyczyną piękna Helena. (Tak często fikcyjne powody, nierzadko stworzone dla mas, jako popularne hasło, zasłaniają istotne przyczyny). Legenda wstaje częstokroć i w naszych oczach. Nic na pozór dalszego od poezji jak dyplomacja, która jednak tworzy owe mity i poddaje je do powtarzania historii — a ludzkość, niby początkowa szkoła, powtarza je bezkrytycznie.

Tkwiący w niższych pokładach natury ludzkiej instynkt mordy bywa też pobudką świętych wojen...

W nowożytnych czasach racje państwowe stały się tymi wiecznie głodnymi bóstwami, którym

w ofierze rzuca się miliony istnień ludzkich: one są najczęściej poza hasłami sztandarów skrywaną wojen współczesnych dyplomatyczną przyczyną.

Te bóstwa (racje państwowe) stoją poza zasłoną roznieconego pożaru, który rozszedł się na pół ziemi...

. . . . .

### TRAGEDIA BURTANÓW. POWIEŚĆ

I. Chrzczyny. Wróżby kumoszek. (Diabeł w rokiocie).

II. Przy bydle. Jak głupawy (boginki, planetnicy, bóg leśny: do tańca), rzemień.

III. W szkółce. Rachuje (organistę poprawia). Narada z organistą. Nacisk tegoż i obawy ojca niejasne. Lecz skoro niezdatny do niczego... do szkół.

IV. W internacie. Zrównania... na obiad, śniadanie. Jak dziecko... [...] W szkole. Wykłady miast profesora. Do matury. Poprawia logarytmy. Czyny matem.!!

V. Asystent. Koresponduje ze sławami zagranicznymi. Naraz — mrok... (Wirujące gwiazdy. Słowa o pożarze ziemi...). W szpitalu. Ojciec go odwiedza. Przyjmuje spokojnie, jak spodziewane fatum. Z profesorem o wyp. w rodzie, spowiada się: o księdzu i doktorze, którzy się spalili... Zabiera syna.

VI. Na wsi. Pasię bydło. Do wójta... Do Kółka Roln. Żniwa. Bazie poświęcane.

VII. W ogniu stodoły... (Diabeł).

## R o z d z i a ł I

1. Izba dudniła... Chrzcziny syna... Izydor Burtan...  
Rozmowa z kumami... Organista.

2. Dwa dziewczęta... Kot czarny na zapiecku...  
Położnica (raczą ją imbierówką). Niemowlę w kołysce też, „Marcin”, które się krzywi i dusi... Aluzje do rodu Burtanów... Przyrównania: do doktora (podobieństwo), do księdza...

3. Mowa o nich... Dziwnie się zrobiło w izbie...  
Stańto nieznane... Organista do ucha Izydora: —  
Bedzie zeń wielki człowiek... Słyszycie, wielki człowiek! Ja wam to przepowiadam... A diabeł śmiał się w rokicie...

4. Aby się otrząść — piją. Aby zagłuszyć niepokój — mówią głośno. Śmiech bez powodu. Napiła „baba”: (nad niemowlęciem, które przewija) przepowiednie (wierszem). Kobiety przychodziły... Organista nad Marcinkiem głową... A diabeł śmiał się w rokicie...

## I. Diabeł w rokicie

Izba dudniła chłopskimi głosami, to napełniała się jazgotem przenikliwym kobiet. War rozmów pomieszanych, jako i opar dymiących głów, uderzały sparnią o powalę, przelewały się przez drzwi otwarte do sieni.

Niekiedy, w przestankach gwaru miauczenie niemowlęce wydzierało się skądś zduszonym trudem, jak spod przytłoku pierzyn, to padało od stołu z sakramentalną powagą:

- W ręce wasze, kumie!
- Daj wam, Boże.
- Coby się podarzyło...
- Dy żeby Bóg dał...

Izydor Burtan obchodził oto chrzciny syna. Na urodziny córek dwóch, nieletnich jeszcze, które się wstydnie koło pieca chronią, chrzcin nie sprawiał, ale skoro Bóg syna nagodził... Kupił chleba, kukiełek, gorzałki, wina z goździkami, sprosił kumotrów, sąsiadów i posiedli, gdzie które mogło. Poważniejsi przy stole, reszta po ławach i w kącie. Kobiety koło łóżka położnicy i kołyski. Światło kaganka, zawieszzonego nad stołem na ścianie, nikło rdzawi izbę. Cienie — chłopcy... olbrzymy... siedzących przy stole... po ścianach...

Dym z fajek snuje się pasmami ku powale i układa się w warstwy...

Polenie lśniące — szerniałe — bohomazy. Kobiety starsze, jak kobiałki otulone w chusty, między sobą tajemnice swoje kobiece zwierzają...

Gospodarz, siedząc na ławie za stołem, raczył gości, by pili i jedli. Nieumiejętnie mu gwara idzie. Izydor Burtan nienauczony był... Jak jałowiec oto krzaczasty usiadł za stołem. Włosy rozrzucone, barłóg w nich, jakby grzebienia nigdy nie widziały, i twarz szerniała. Oczy rozwarłe, jakby nic nie widzące...

. . . . .

# KOMENTARZ



## NOTA WYDAWCY

### CZANTORIA. OPOWIEŚĆ

W 1928 roku wojewoda śląski ogłosił konkurs na utwór literacki związany z ziemią i historią Śląska. Orkan postanowił wziąć udział w tym konkursie i jak wynika z listu do Kazimierza Dobrowolskiego, pisanego w Porębie Wielkiej dnia 28 czerwca 1928 r., pracę konkursową zamierzał poprzedzić studiami nad ziemią śląską.

Kochany Panie Kazimierzu!

Być może, iż (przykłaniany przez woj. Grażyńskiego) wezmę udział pracą powieściową w konkursie śląskim. Tym skłonniej, że dawno już miałem zamiar zapoznać się bliżej z góralskim Śląskiem (Istebną, Wisłą, Ustro niem itd.), co prawdopodobnie tym latem uczynię.

Jednak wiele by trzeba przygotowań. W tym zamierzeniu zwracam się do Was, jako będącego bliżej źródeł (o które mi chodzi), o pomoc. Proszę Was o łaskawe dostarczenie mi na czas pewien lub wskazanie, gdzie bym mógł znaleźć:

a) Historii Śląska (od czasów zamierchłych. Stosunek ludności do „Grofów” itd.). b) Etnografii Śląska. c) Gwary Śląska. d) Dat początków przemysłu (kopalnictwa i hutnictwa śląskiego). e) Prac rodowitych Ślązaków (np. Jana Łyska obrazek pt. *Jendrys*, pomieszczony pod pseudonimem Fedyr w II roczniku „Zarania Śląskiego” z r. 1908) — no i co tylko stosunków i zwyczajów Śląska, jako ziemi odrębnej, dotyczy. Termin!

P. S. P. woj. Grażyński udzielił mi pewnej w granicach swej możliwości (subwencja miesięczna) pomocy, za co Mu jeszcze nie podziękowałem (bo słyście, bawi za granicą), a za co Wam jako pośrednikowi w pierwszym rzędzie dziękuję.

Gdzie zamierzacie spędzić wakacje? Proszę w razie o adres.

Oczekując wieści, zasylam serdeczne, wraz z pozdrowieniami, uściśnienia.

Oprócz literatury naukowej korzystał autor — jak to wynika z zebranych materiałów (zob. *Nota*, s. 373) oraz z artykułu

St. Pigonia, *Folklor śląski w „Czantorii” Władysława Orkana\** — z drukowanych zapisek Marii Wystouchowej oraz ze zbioru *Pieśni ludu śląskiego* A. Cinciaily:

Wystouchowa spędziła na Śląsku, w Istebnej, lato 1896 r., zebrała przy tej sposobności wiele materiału etnograficznego, gwarowego i podała go drukiem w opracowaniu literackim. Wrażenia swe ujęła ona w dłuższe opowiadanie pt. *Ze śląskiej ziemi* („Tydzień” 1896, s. 376 i n., 399 i n.); powracała do nich i później w artykułach pomniejszych, jak *Matka Boska w Wiśle* (tamże, 1898, s. 275), *Z Wisły do Izdebnego* (tamże, 1898, s. 322 i n.), pomieszczonych w redagowanym przez nią „Tygodniu”, dodatku literackim do „Kurierza Lwowskiego” w latach 1896—98. Poza tym sporo zebranego materiału ogłosiła w „Ludzie” 1896 roku (*Przyczynki do opisu wsi Wisły*, „Lud” 1896, s. 126 i n.).

Obok Wystouchowej zaznaczył się w tworzywle *Czantorii* także niejaki udział A. Cinciaily. Jego mianowicie zbiór *Pieśni ludu śląskiego* (Kraków 1885) miał bodajże przed sobą Orkan, gdy do rozdziału IV swej powieści komponował piosenki pasterskie.

Orkan nie chciał poprzestać na lekturze, postanowił Śląsk poznać naocznie i w tym celu pisał z Poręby do Jana Wantuły dnia 11 września 1928 roku:

Szanowny Panie!

Zwracam się do Pana z prośbą następującą:

Już od dawna miałem zamiar zapoznać się bliżej z Waszym Beskidem Śląskim, tzn. poznać ludność tamtejszą, sposób gospodarki, budownictwo, zwyczaje, gwarę itd. Zwłaszcza chodzi mi o starszych ludzi, którzy uchowali jeszcze strój i gwarę dawną, niezepsutą — następnie o wspomnienia, opowieści i legendy, jakie jeszcze z dawnych czasów się płaczą. Także chciałbym się dowiedzieć o życiu dawnych rodów (gdy lasy jeszcze były), o wspomnianych postaciach, o stosunkach z grofami i o czasach, kiedy pierwsze zakładano w dole kopalnie i huty.

Teraz mam możliwość tam pojechać. A Pana proszę: czyby nie ułatwić zapoznania się na miejscu (w Ustroniu, Istebnej, Wiśle itd.) z ludźmi i sprawami.

Również proszę o wiadomość, czy mógłbym się tam gdzie na parę tygodni umieścić i na jakich warunkach?

O odpowiedź odwrotną uprzejmie proszę, gdyż chciałbym zaraz po 15-tym września pojechać. Proszę też o wyjaśnienie, jak się tam dojeżdża, gdzie ostatnia stacja kolejowa itd.

Oczekując łaskawej wiadomości, wyrazy szacunku wysokiego i pozdrowienia serdeczne żałczam.

\* „Zaranie Śląskie” 1939, s. 162—166.

Jana Wantułę poznał Orkan w związku z redakcją pamiętkowej książki ku uczczeniu Marii Wystouchowej, wielkiej przyjaciółki chłopów i robotników śląskich. Wantuła znał Wystouchową jeszcze z r. 1898, a teraz był miłośnikiem i propagatorem twórczości Orkana na Śląsku, pod pseudonimem Jan Gojański pisał o tej twórczości felietony w „Głosie Ludu Śląskiego” w 1913 roku.

O początkach dobrej znajomości Orkana z Wantułą, jak i o pobycie pisarza na Śląsku w marcu 1929 roku, pisał szerzej syn Jana, Andrzej Wantuła, w artykule pt. *Orkan na Śląsku*, drukowanym w „Zaraniu Śląskim” w 1933 r., s. 75—80. Oto parę wyjątków z tego artykułu:

Od dawna już nosił się Orkan z zamiarem poznania Ziemi Śląskiej. Interesował się nią w każdym razie jeszcze przed wojną. Wynika to choćby z jego listu, pisanego do mojego ojca dnia 27 listopada 1913 roku:

„Stosunków śląskich z bliska nie znam. Okolice Wisły, Ustronia znam z fotografii, opisów i opowiadań. Mam wrażenie, że kraina ta charakterem swym (strojami ludu, budownictwem, gwarą) bliską jest naszego Podhala; jakby prawie jednego typu”.

Pobył jego na Śląsku trwał około dwóch tygodni. Spędzał czas na wycieczkach, w których towarzyszył mu ojciec, słuchał legend, powiarek, dowiadywał się o nazwy gór, okolic, o dawne dzieje pytał, nazwiska i przezwiska badał i notował. Wieczorami czytał. Ojciec dostarczał mu potrzebnych książek z własnej biblioteki, podsuwał dawniejsze pisma, gazety, wydawnictwa śląskie, opowiadania. Zapoznawał go w tym czasie z śląskimi stosunkami i „piśmiorzami”. Przeczytał Orkan między innymi z zachwytem *Pamiętnik starego nauczyciela* Jana Kubisza.

Słabe zdrowie nie pozwalało Orkanowi na urządzenie dalszych wycieczek. Wychodził pod Czantorię, zapuszczał się w las i wracał, nie doszedłszy na szczyt. Nie dotarł również na szczyt Równicy. Był tylko przy źródle żelazistym, a więc pod Równicą. Do Wisły wybrał się powozem. Przejechał całą dolinę Kopydły, wyjechał na Kubalonkę, obejrzał z dala Istebną — interesowało go zwłaszcza rozłożenie gór — przejechał z Kubalonki do Czarnego około budującego się zamku Pana Prezydenta, po czym, idąc dalej „kolasa” doliną Czarnej Wisłki, dotarł do schroniska na Baraniej.

Beskidem tym — jak w ogóle krajobrazem śląskim — był Orkan szczerze zachwycony; i Opimia Śląska — jak lubił się wyrażać — była tu dziwnie bliską.

Według Andrzeja Wantuły *Czantoria* miała stanowić trzecią część trylogii. Poprzedzać ją miały: *Złotogłowiec*,

opowieść z czasów drzewnych o duchach strzegących skarbów w podziemiach, oraz powieść etnograficzna pt. *Wróżby Morzota*.

Przypuszczenie to, aczkolwiek trudno je z całą stanowczością odrzucić, nie ma oparcia ani w korespondencji Orkana na temat tej powieści, ani w rękopisach planów (zob. *Nota*, s. 381—382). Wyniknęło bodajże z nieporozumienia.

Praca nad powieścią posuwała się wolno, dnia 16 października 1929 roku pisał Orkan do Tadeusza Dobrowolskiego, konserwatora zabytków śląskich w Wojewódzkim Urzędzie Śląskim, prosząc o przesunięcie terminu do końca roku.

Termin konkursu został odroczonej do końca kwietnia 1930 r., dnia 13 listopada 1929 roku pisał Orkan m. in. do Dobrowolskiego: „Wobec tego będzie mym staraniem nie tylko z powieścią, lecz może i z dramatem (wspomnianym kiedyś w rozmowie) zdążyć na termin”.

Ale pisarz przeliczył się z siłami. I nowy termin był dlań nieosiągalny — dnia 25 kwietnia 1930 roku do tegoż samego adresata zwraca się więc z wyjaśnieniem i prośbą:

Mając przez całą zimę i dotąd ciężkie przejścia w rodzinie (choroba Matki, córki) — co samego mnie w niemoc bezradny spychało, nie podolałem wykonać niestety prac konkursowych na termin. Tym bardziej, że chodziło mi o równoczesne z powieścią posuwanie dramatu.

Niniejszym więc zapytuję uprzejmie, czy niemożliwym byłoby — z powodu nieobesłania dostatecznego lub innych powodów — odwlec jeszcze termin konkursu do końca roku.

W rezultacie Orkan powieści nie skończył, zmarł w kilkanaście dni później, dnia 14 maja 1930 roku.

Owocem pracy Orkana nad powieścią konkursową jest dziś teka rękopisów w Bibliotece Jagiellońskiej, opatrzona sygnaturą 8580, liczącą 72 karty.

Zawartością tej teki zajmiemy się tu nieco szczegółowiej, a to z dwóch powodów. Pierwszy jest ten, że obejmuje ona bądź co bądź pozostałość literacką autora, a wydanie niniejsze jako zbiorowe usiłuje tę spuściznę Orkana, jeżeli nie objąć

w całkowitej pełni, to przynajmniej ją zobrazować, dać o niej pojęcie.

Powód drugi ważniejszy: wypadkiem dość odosobnionym, arcyświętym Orkan pozostawił prawie w komplecie cały swój materiał roboczy związany z tworzeniem tej powieści, od wstępnych stadiów aż do częściowego wykończenia, a więc wypisy źródeł, rozpoznanie terenu, mapka, następnie kilka szkicowanych planów, próby kolejnych wersji brulionowych. Otworzył nam w ten sposób i udostępnił autentyczną, całą swą pracownię literacką. Przy pomocy tego materiału możemy się rozeznąć w kolejnych stadiach skoncentrowanego procesu twórczego, od wstępnych orientacji w temacie, terenie i tworzywie aż do mozolnej i wytrwałej pracy nad formowaniem koncepcji dzieła i do najtrudniejszej rzeźby jego wyrazu słownego.

Można więc i należy skorzystać z tego fortunnego trafu i udostępnić czytelnikowi w możliwie szerokim rozmiarze ten zespół surowego budulca, próby wiązania go w węgiel konstrukcji, a także coś z prób upartego mocowania się z wyrazem artystycznym. Zestawienia poniższe, na pozór tłumne i jakby bezładne, kryją w sobie i pozwalają wejrzeć w sekrety trudnego procesu twórczego, właściwego nie temu jednemu przecież autorowi.

Cały zespół materiału rękopiśmiennego pozostałego z pracy nad *Czantorią* da się ująć w cztery grupy, obrazujące w ciągu chronologicznym pracę autora nad powieścią:

1. Materiały — spis problemów, notatki, dwa pierwotne plany powieści — razem kart 7.

2. Plany — całej powieści, poszczególnych rozdziałów, spisy osób, czarów, realiów — razem kart 13.

3. Pierwsza redakcja — *Wstępu*, rozdziału *I. Na Czantorii i równicy*, *II. Słota*, *III. Czary* i nie dokończonego rozdziału *IV. Poranek* — razem kart 44.

4. Druga redakcja — I rozdział pt. *Na Czantorii i Równicy*, i pierwsza część rozdziału *II. Słota* — do słów: „poczęli dalej we wątpliwościach się nurzać” (zob. s. 23, w. 10) — razem kart 8.

Rękopisy te posiadają jeden gatunek papieru, żółty (z wy-

jątkiem 4 kart 60—62 i 66, według numeracji bibliotecznej — zapisanych na jasnym papierze, pochodzących z wczesnego okresu pracy nad powieścią), oraz trzy formaty kart, a mianowicie: notatki, a raczej materiały do powieści, zapisał autor na arkuszach folio, plany i pierwszą redakcję na kartach in octavo, drugą redakcję na kartach in quarto. Oczywiście jest to ogólny podział, gdyż wśród tych kart znajdują się często połówki danego formatu — zawierające na ogół wstawki.

Ze względu na ciekawy materiał rękopiśmienny, obrazujący system pracy autora nad powieścią, zapiski te warto szczegółowo opisać, czy w miarę potrzeby zacytować.

### 1. Materiały

Z okresu wstępnych prac nad powieścią pochodzą rękopisy pozwalające stwierdzić, z jakich materiałów zamierzał autor korzystać, z jakimi problemami się zapoznać. Oto treść karty 66 (według numeracji bibliotecznej) opatrzonej właśnie nagłówkiem „Materiały”:

1. Historia Śląska i in. (Dobrowolski).
2. Etnografia (Gloger, Kolberg). Zwyczaje, obyczaje.
3. Gwara (K. Nitsch). Rozmowy.
4. Pieśni. Muzyka. Kobza (Wantuła).
5. Historia rodzin. Zdarzenia (Wantuła).
6. Stosunek do grofów (Wantuła).
7. Dom, sprzęt, ubiór, prace w polu itd. (Wantuła).
8. O kopalniach, hutach (Wantuła).
9. Pogwarki ze starymi Ślązakami (ksiądz!; osobiście przez W.).
10. Zwiedzanie hut, kopalń (Katowice. <Grażyński>\*, Maciejewski).
11. Legendy na wsi o zbójnikach i grafach. Dawne wierzenia (bóstwa złe i domowe: Pieklik). Zabobony, czary. Religijność. O duchach, śmierci.
12. Nazwa gór, miejsc. (Wantuła).

Na odwrocie tej karty znajduje się chyba najwcześniejszy, bardzo ogólnikowy jeszcze plan powieści. Są to raczej ujęte w punkty problemy, które autor miał zamiar pierwotnie poruszyć w obrębie powieści:

\* Nawiasy ostre oznaczają, że dany wyraz autor skreślił.

## Powieść

- I. Czasy zamierzchłe, puszcza. Polanie — Niemi.
- II. Lignickie czasy.
- III. Książęta opolscy. Sąsiedzi zachodni.
- IV. Grafowie (Larisch i in.). Spór o lasy. Austria.
- V. Pierwsze ognie hut (widziane nocą z gór). Wieści o skarbach. Domysły. Kominy rosną w nizinach.
- VI. Legenda o Wiśle.
- VII. Toż o źródle skarbów zamkniętych w ziemi śląskiej (ku innej skierowanych stronie) — aż... rzeka obróciła się naturalnie ku niżej polskiej, płyną czarne diamenty).

Na marginesie, obok punktu VII, zapisał autor nazwisko „Morżo!”, jest to stary pasterz, występujący w powieści, jedyny przedstawiciel zamierzchłych czasów, zasuwających się już w legendę.

Obok planu znaczonego cyframi rzymskimi na karcie tej znajdują się następujące notatki:

1. Gazda z Istebnej (bajarz). Kobziarz.
2. Rodzina śląska (współczesna).
3. a) Jakie były lasy? jakie gatunki drzew?  
b) Charakter gór?  
c) Jaki był strój ludności?

Sześć następnych kart dwustronnie zapisanych (67—72 wg numeracji bibliotecznej), opatrzonej również nagłówkiem „Materiały”, stanowi jedną całość. W górnej części pierwszej strony, oznaczonej numerem I i uwagą: „Mapka”, nakreślił autor mapę okolicy źródeł Wisły, znacząc również górny bieg Olzy i wszystkie okoliczne szczyty (przy Baraniej podana została wysokość). Dolna część — oznaczona numerem II, opatrzona uwagą: „Imiona, nazwiska”, została nie zapisana.

Następne karty wypełniają już szczegółowe notatki, wypisy z lektur. Warto je przytoczyć w całości, ze względu na warsztat pisarski Orkana, stanowią bowiem ilustrację, jak zebrany materiał przetwarzał pisarz w dzieło sztuki.

## Materiały. Śląsk

1. M. Wysłouchowa *Z Wisły do Izdebnego*:  
a) Wieś Izdebne (nie Istebna). Dziewczę śpiewa: „Moja Mamulińko. zaplećciez mie w siedem, bo się mi spodobał na Izdebnem jeden!”

- b) „Zachodzi słońeczko za las malonowy,  
Straciłach wioneczek rozmarionowy...  
Owczarze, owczarze, coście owce paśli,  
Straciłach wioneczek — jeśliście go naśli?” (Wisła)
- c) Potok Kopydło (z Wisły w stronę Izdebnego).

Na lewo Koziniec. Wyżej na prawo Kobyła (802 m).  
Zbocze Kubalonki (761 m) dział (Wisły i Olzy). Izdebnia nad Olzą.

- d) Duchy wodowe, powietrzne i podziemne.

Duchy wodowe — to utopce\*. Utopiec „choć za co (za choćco) może się ubrać”, ale najczęściej zjawia się w południe na gaci, jako baran ze świecącymi rogami. Ukaże się na mgnienie oka, a potem „hup do wody i nie ma nic”. Uwodzi on ludzi rozmaitymi sposobami. Niekiedy zabarwia wodę na czerwono, jakby krwią — i człowieka, który przychodzi dziwić się na nią, wciąga w płowó (w głębinę). Niekiedy znowu przybiera postać obstarzonego chłopieczonek w zielonych szatach i z niespodzienia (niespodz.) (najść) postawi się na oczu furmanowi w jakim odludnym miejscu i nęci go, i wabi: „Pój do wody, pój do wody”, aż wciągnie w głębinę. W rzadkich wypadkach używa gwałtu. Pewien pacholek natrafił na utopca, wioził go na swoim wozie (nie wiedząc, z kim ma do czynienia), a potem nie przyjął zapłaty. Wtedy utopiec powiedział mu, że w nagrodę zobaczy, jak on będzie brał furmana, który pawił opodał w rzece parę koni. Jakoż pacholek widział rzeczywiście cały przebieg walki, widział, jak konie, pasując się z utopcem, wypływały kilkakrotnie na powierzchnię wody, aż poszły na dno. Utopiec nie ma złej fanty, owszem miłuje ludzi, ale uwodzić ich w wodę musi, choć mu luto (żał), bo takie już jego przeznaczenie.

O draku (smok) natomiast, ducha powietrznym, nie można tego powiedzieć. Ten rad szkodzić ludziom i jak szkodzi! Drak przebywa najczęściej w jarugach (trzęsawiskach), bo pali go postrzodku (wnuku), więc chłodzić się musi. Silny i groźny drak słucha jedynie czarnoksiężnika, który ma lepszy od niego rozum. Czarnoksiężnik nie zwraca uwagi swą powierzchownością, wygląda jak człowiek dołski, ubierający się w długi kabat, tyle tylko, że czyta w książce, drukowanej białymi literami na czarnym papierze, i nosi zawsze uzdę na owego draka, owiniętą około lewej ręki. Zagląda niekiedy do mieszkań ludzkich i pyta gaździnki o „wajca (jajka) od czarnych kur albo o mlisko od czarnych krów” (wandrownik). Chętniej jednak odwiedza koliby pasterskie w górach na szalasach i prosi owczarzy o kwaterek (kwaterek) mliska od czarnej owcy lub czarnej krowy. A gdy spotka go odmowa, wówczas mści się w straszliwy sposób. Przywołuje draka, zarzuca mu uzdę na głowę, dosiada go i wzbijają się razem „ponad drzewa stojące, poniżej chmur pływających”. Gdy nad lasami lecą, powstają stąd ulichy (ulewy) i wiatry gwałtowne, które krocą (wykraczają) smreki i budynki przewracają na zręby. Gdy nad polami mkną, wówczas strzygą krupy, co i świata bożego nie widać...

Lecz i zły czarnoksiężnik umie dobrym odplącać za dobre. Pewnego

\* Podkreślenia w „Materiałach” zastąpiono spacją.



owczarza z Breńskiej Malinki (w przec. do Wiślańskiej Malinki), Jana Grenię, który nie żałował mu społecznego (świeżo udojonego, niezbianego) mleka z południowego udoju od czarnych owiec i krów, zabrał ze sobą na draka, okrył mu twarz szlafmycą (aby go prąd powietrza nie udusił) i zawiózł do Francji. Pokazał mu tam wiele dziwów i „takowną wieżę spaniałą”, wyższą od najwyższych gór, uczcił go obiadem, „zakiel zgrzany drak chłodził się w jarudzie”, a potem odwiózł całego i zdrowego z powrotem na „salasz”. A cała wycieczka trwała tyle, co zwykła południowa drzemka owczarza; toteż Grenia mógł i tego dnia, jak zwykle, własnoręcznie wypędzić o drugiej godzinie owce z koszar „na pasionek” (Z opowiadań Pawła Cieślara z Krzysztówki).

Podziemnymi duchami są nocznice, czyli bandurki. Widzieć je można w ciemnej nocy na młakach, gdy wyskakują spod ziemi w postaci białkawych ogniów. Nocznice to lekkie, wesołe duchy. Igrają przez całą noc z wiatru powiewem, zataczając w powietrzu taneczne kręgi — to skupiają się, to pierzchają pod ścianą lasu, jakby zdjęte nagłą ku sobie niechęcią — to przypadają do ziemi, aby znowu wybuchnąć. A gdy czło wiek a zoczą, wnet pustoty przychodzą im do głowy. Lecą ku niemu, bzykając z radości, wabią na manowce, ukazują nie istniejące drogi i wołają jedna przez drugą: „Tu je piękny chodniczek, tu je piękny chodniczek!” — aż zawiodą w barzynę (trzęsawisko), w ciernie i tam puszczają wodze swej wesołości: chichoczą, tańczą, łechcą zwiedzonego biedaka, szczypią go, drapią, dreszszą po nim, smykają go nieraz przez całą noc.

Psozne bandurki, choć i nie bardzo szkodliwe, dają się Wiślanom dobrze we znaki. Ileż to razy zacy jakiegoś, wracający o północy do domu z którejś z trzynastu karczem, bywa przez nie napastowany! Nie tak oto dawno miał z nimi przeprawę Kajfasz z Kozinów, gdy wracał późną porą z pogrzebu, po dobrej stypie. Idzie przez las i widzi migotliwe światła na młacie. „Chwała Bogu — prawi sam do siebie — to moi chłopcy przedchodzą!” Mylił się: nie synowie szli z latarniami na jego spotkanie, ino bandurki leciały ku niemu. I dalejże bzykać, wołać, a „kludzić pod costę” (ściągać pod drogę). Uż go skludziły parę kroków, gdy na szczęście opamiętał się: zaintonował na cały głos pobożną pieśń, przewrócił czapkę na rękę (na złą stronę), owinął się w gunię tak szczerlnie, by nie widać było ani kawałka gołego ciała, położył się na ziemię i oddech zaparł w piersi, aby nie poczuły (ustyszały) go oddychać. Jakoż rzeczywiście wnet go popuściły (Z opowiadań Jury Martynka z piły, z tartaku, w Wiśle).

2) M. Wysłouchowa *Ze śląskiej ziemi*:

a) Ochodżita (góra) nad Izdebnem; czupel — cypel, czub, szczyt; na pasionki ze statkiem (na paszę z bydłem); na woniącem sianie; zagródkach (sadach); pachotek, dając na ogłoszki (zapowiedzi); nie ukiełżnie ani upraśnie na stromej grasie (nie pośliźnie się ani upadnie na stromym zboczu); babienka (akuszerka); w obrączki (w dwa warkoczyki, które obrzeżają czoło) dziewczę; starsze zaplatają warkocze w pięć, dziewięć, a nawet trzynastie w ojek;

b) przyp. „podziwiam się hen, ku Jabłonkowi. Widzom ten wysoki groń? — to Kozubowa”;

c) O Ondraszku, co pod Łysą Górą „lepiej jak dwiesta lat temu”... — a na Baraniej nie ukrywali się zbójnicy? — ale kata-tam! U nas o wszeckich groniach wyprawujom kroniki. Toż gwarzom, co w Wielkiej Czantorii kole Ustronia stoi zaśnionie brożne wojsko. Wyńdzie ono na wielkom, ostatniom wojnem mydzy trzema gruszkami, a po tej wojnie świat už wojował nie bedzie, a ludzie bedom jako owce, nie jako wilki. — Na połednie zaś od Jabłonkowa w Girowej, co tela bedzie jako i ta Ochodżita, je moc pieniędzy zakopanych, a też je tam dziura, kierom można wyńść pod Godule(m), co han na szyćrech złotych słupach nie precz od Morawy stoi. — Ale oni radzi by poczuwać o Baraniej? Toż tam w hrubym i wielkim lesie, skyl wychodzi Czorna Wisełka, zbójnicy mieli największe osiedlenie, co jeszcze do dziszo znaki po nich się nachodzm, jako: rzetoski (łańcuszki) z krów, stare brutwianie, co mięso na nich piekli, kosy zarżowione i narzędzia rzeżne; noże, porzezy i siekiery na kłodach zachowane. Ci zbójnicy chodzili po sałaszach, co ich mieli nasi ojcowie na Beskidku, Rżawce, Skale, Kiczorce, Sliwkuli. A jak przyszli, wybierali sobie najtłuściejsze jarki (młode owce), warzyli w śmietonce (w żencycy?) i jedli, a bacowie, owczorze, dziewki musieli też ś nimi jeść.

Herszt tych zbójników, kierych pamiętajom jeszcze u nas starzy ludzie, pisał sie Proczpak i był strasznie mocny. Żaden nie mógł ś nim poradzić, jen baba na szubienicem go zakludziła (zawiedła). — Proczpak oznał się w Galicyi z jednom dziewuchom i wzion jom sobie na miłownicem. Ta galanka, jak zbójnicy byli na jeden tydzień odeńdzeni, szła do fojta do Kamesznicy i tych zbójników przezradziła. Mówiła, kiedy przidom i w jej chałupie bedom, i radziła, coby jak nawięcel chłopów z dobrom zbrojom obtoczyli izbem, bo Proczpaka dziesięciu nie powali. A siłę mu odbiere jeny ten, co rzemień (szeroki pas) przerżnie, bo ten je poczarowany.

Toż kiej zbójnicy prziszli na noc do tej chałupy i posneli, chłopci izbem obstąpili, ale żaden nie śmiał do ni wleźć, jen oknami zaczeni strzylać. Zbójnicy, jako to strzylanie poczuli, hnet do walki ustroili sie i wyruszili na pole jednom kupom, a chłopci cofli sie do lasu i na ślepo strzylali, bo w ćmie nic nie widzieli. Toż zbójnicy mieli cestom wolnom i uciekli, jeny Proczpak został. Światło rożnoł (zrobił, rozjaśnił): „Uwidzim, kdo mocniejszy, niech haw jeny przidom!” — A kiej przyszli i uwidzieli w jednej jego rence pistole(m), w drugiej długi nóż, to zastali na progu stać, bojąc sie iść dalej. A jeden zza dwierzi strzelił pram (prost) do niego. Trefił w renkę, co derżała pistolem i pistola wypadła. Zaś jednom hurmom wpadli chłopci do izby, owalili na ziem Proczpaka, ale poradzić nie mogli, choć na nim dziesięciu leżało, zaś jeden wzion nóż i przerżnął rzemień. Potem oślab, był jako iny, toż powięzali go i z akludzili do Żywcia.

Banda zeszła bez kapitana, toż chytali i chytali poraziczku zbójników. A jak už wszystkich mieli w Żiwciu, wydali rozsądek: „powiesić ich”. Urobiono szubienice nad Miłowkom, wieszano na nich zbójników i ciała ich na tem samem miejscu chowano. Na tem pamiętkem krzyż stoi han do dziszo i nazywa się ten groniczek „do szubianic” (Opowieść Jana Juroska z Izdebnego).

„Hej Boże, Boże, Boże mój!  
Odeszeł mie miły mój!  
Odeszeł mie bardzo preczka,  
Wzion kluczciki od serdeczka”. (Z Izdebnego)

„Zabili, zabili, zabili go! (ho)  
Pod buczkiem zielonym schowali go (ho).  
Pod buczkiem zielonym tam on leży,  
Ta czerstwa wodziczka po nim bieży”.

„Cobych cie sie bała,  
Lebo sie stydziła?  
Dyćby jo za tebom  
Do wody skoczyła!”

„Do wody, do wody,  
Co sie kołem toczy,  
Ża tobom, Jasinku,  
Ze masz czorni oczy!” (Izdebne)

„W Jabłonkowie som Jackowie,  
Rozumiejom różnej mowie,  
Bo wendrujom z Węgrem, Turkiem,  
Szli na szańce z Brandeburkiem”. (Jabłonków)

Strój młodego jabłonkownika: Białe, obcisłe galoty (portki) sukienne, czarny brucelik (kamizelka) o świecących guzikach, ozdobiony kistkami z zielonej i pąsowej włóczki — ślepiącej białości rozchylone z przodu koszule bez kołnierza i mankietów, kypce i kopyce na nogach, jasno popielaty kapelusze na hardo podniesionym czole.

#### Legenda o Wiśle

Barania wynosi 1214 m (niższa o 111 m od Łysej). Wiślanie szczycą się Baranią, a zwłaszcza płynącą spod niej Wiselką. „Te je godna rzeka — nie zatracą się w nijakiej inszej i aż ku morzu niesie swoje miano”. Odmienne zgoła charakter Wisielek, Czarnej i Białej, niedostępność ich źródeł, ich zespolenie się w jedną rzekę w cudnie pięknej dolinie, atmosfera tajemniczości, otaczająca samą górę, najwyższą w okolicy, gęstym zadrzewioną lasem, cofniętą z dala od wszelkiej siedziby ludzkiej — wszystko to silnie działać musiało na wyobraźnię ludu, z której też wysnuła się następująca o Baraniej i Wiselkach opowieść:

„Syn mocnego Karpata, Beskid, wzion se za żonem Boranem, szumnom pasterkiem. Pasterka ta paśla dziwokie (dzikie) zwierzęta i wahowała nad lasami. Juźci Borana miłowała wszeckie lasy i gory, ale najlepší szel jej ku siercu ten groń najwyższy. Han na tym groniu fereczyna (paproć) zieleni się jak morze, smreki dobrze wysokie, co «jeny dziwać się, jako nieba dochycą». Han i niedźwiż bytem bytuje, i ryś po stromach śmiga, a dziwokie (dzikie) kozy stadami jako owce chodzą”.

Możnaż się wobec tego dziwić (jak twierdzi owa dawna opowieść), że Borana obrała wspaniałą górę za miejsce stałego pobytu, że umieściła na niej kolebki swych dzieci i tu chowała — sobie na chwałę, ludziom na pożytek — syna Lana, oraz śliczne córki: Białkę i Czarnochę?

A gdy dzieci dorosły, matka kazała synowi czuć nad rolą i łanami, córkom zaś oddała w opiekę wodę i ryby. Dla spełnienia włożonych na się obowiązków dzieci musiały matkę Boranę pożegnać i w świat wyruszyć.

Lan odszedł, nie oglądając się poza siebie, jako zwyczajnie mężczyzna, dla którego świat jest domem. I płocha Białka, wabiona ciekawością, pomknęła, zanosząc się perlistym śmiechem, żwawo na północ, w przepaścista dal.

Inaczej Czarnocha. Ta łkała żałośnie, rozstając się z Boraną, a potem, obrawszy najgłodniejszą pochyłość południową, wolno oddalać się zaczęła od miejsca, gdzie stała jej kolebka. I dopiero spotkane na drodze przeszkody zbudziły ją z żalostnej zadumy, kazały chyżej sunąć po skalnych progach i pnieć się z niecierpliwości. Dotarłszy na koniec do stóp wyniosłego Przysłupia, skrzyła w kierunku zachodnim — i nagle w mrocznej dolinie pod Czarnym ujrzała nadbiegającą ze strony przeciwnej Białkę...

Stęsknione siostry padły sobie w ramiona, przysięgając wieczną przyjaźń, wieczną jedność i złączoną już falą pośpieszyły dalej na północny zachód. U progu jednak gór rodzinnych zawały się, zdjęte obawą przed obcym, nieznanym światem. Jakoż wysłały najpierw na zwiady jedną tylko, kwieciami przystrojoną falę. Ta pierwsza fala, Wyszlą, czyli Wisłą zwana, pędziła odważnie dalej i dalej, ku coraz innym górcom zdążając, aż dotarła do morza, które ją gościnnie przyjęło. A ponieważ wszędzie po drodze ludzie witali ją z nieklamana radością, więc w ślad za nią pomknęły i dotąd pomykają dalsze. — Na pamiątkę zaś owej pierwszej, przybranej kwieciami fali, dziewczęta puszczają co roku w dzień św. Jana wianki na Wisłę (M. Wystouchowa. Por. Bogumił Hoff *Lud cieszyński* \*).

Uwaga: Górale nie nazywają źródeł Czarnej Wisły *zarzodłami*, lecz *wykapami*. I słusznie, bo woda nie bije tu, ale wyszcza się, wykupuje z czarnej, nasyconej wilgocią ziemi. Gajdosz — kobziarz.

Helokanie — (śpiew z wierchów do siebie)\*\*

I. „Helo! helo! maliczko!

Daleko tam pasiesz? Haniczko!

Oj, niedaleczko, jeno przez poleczko,

O gory, o dwoje, przez zielone goje.

Helo! helo! nadobna!

A sznureczka jedbawna!

\* *Lud cieszyński, jego właściwości i siedziby, obraz etnograficzny*, Warszawa 1888.

\*\* por. A. Cincięła *Pieśni ludu śląskiego*, s. 62—64; piosenka 186 i 187.

Helo! helo! maliczko!  
 Jakże ci sie pasie? Kasiczko!  
 Helo! helo! nadobna!... itd.

II. Helo! helo! Janiczku nadobny!  
 Jako ci sie pasie, jako ci sie pasie,  
 Helo! helo! Janiczku nadobny!"

Odp. „Helo! helo! Pawliczku nadobny!  
 Dobrze mi sie pasie,  
 Dobrze mi sie pasie,  
 Helo! helo! Pawliczku nadobny.  
 Czyś dostał śniadani?

Dostałech śniadani ..." itd.

H a n a i M a r y n a.

H: „Helo! helo! Marynko!  
 Ku mnie helo!

M: Helo! helo! Haniczko,  
 Ku mnie helo!  
 Jako ci sie pasie?  
 Dobrze mi sie pasie,  
 Ja tu niedaleczko przez małe poleczko,  
 Przez niewielkie gony  
 Gaiczek zielony.  
 Pożeńże tu ku mnie,  
 Je tu trawka u mnie”.

Na karcie szóstej znajduje się zarys planu powieści, w którym można się już dopatrzeć przyszłego kształtu utworu:

Temat: a) Dwa bacowie: Na Czantorii i Równicy. Czarownicy [?] (Romeo i Julia).

- b) Drzewiej a) „Janie, podaj mi kijanie" (z Równicy na Czantorię),  
 b) Złotogłowiec (wąż o złotej koronie na głowie, strzeże skarbów).  
 c) Dziś dzień bez chmurki. Mógłby sie juhas ożenić (Legenda).

Ostatnie punkty są raczej notatkami zasłyszanych powie-  
 dzeń, które zresztą autor wykorzystał w powieści.

## 2. Plany

W grupie „Plany" na osobne omówienie zasługują 3 karty 60—62, o jasnym papierze, które — jak zauważono uprzednio — wskazują na zapis dokonany w początkowej fazie powieści.

Karty te zostaną omówione w innej kolejności niż numeracja biblioteczna, tak jak prawdopodobnie były pisane.

Karta 61 zawiera spis osób występujących w powieści. Jest to spis bardzo szczegółowy, z podziałem na pierwszo- i drugoplanowe: bacowie, ich dzieci, inni, dalsi, z huty itd.; obok tego spis postaci fantastycznych: nocznice (bandurki), utopiec (topielec), jeleń itd.\*

Na karcie 62 są dwa ciekawe spisy, jeden zatytułowany *Czary* (skreślony tytuł *Czarowania*), drugi *Opisy* — głównie zjawisk przyrody: „Ślota, poranek (Jano, Hana); śródmieczarz (Jewka z ...), noc (księżyc zza chmur); skarby, noc mglista”.

Karta 60 zawiera plan powieści opatrzonej tytułem *Złotogłowiec*, który w stosunku do poprzedniego zarysu z „Materiałów” stanowi dalsze jego, dojrzalsze stadium. Był sporządzony, gdy kształt powieści był już wyraźnie i szczegółowo zarysowany.

Według numeracji autora, dokonanej atramentem, jest to plan trzeci, nie licząc „zarysu” z „Materiałów”.

W grupie „Plany” znajduje się pięć rysów powieści. Cztery z nich opatrzył autor numeracją rzymską, zieloną kredką, nie uwzględnivszy planu na karcie 60; trzy z nich atramentem, również cyframi rzymskimi, tym razem nie uwzględnił planu nr III według numeracji „zielonej” i ostatniego, IV według numeracji „zielonej”. Plan ostatni napisany został już chyba po uporaniu się autora ze wstępem i trzema pierwszymi rozdziałami, na co naprowadza forma ich zapisu; na początku widnieją bowiem tylko same tytuły, gdy następne rozdziały są bardziej szczegółowo zapisane.

Zestawienie planu pierwszego z ostatnim zobrazuje dojrzewanie pomysłu autora w toku pracy nad utworem.

Plan I (według numeracji „atramentowej” i „zielonej”):

Wstęp. Drzewiej: Wielkołudy. (Złotogłowiec) itd., o „draku”.  
I. Na Czantorii (Wantulok) — Na Równicy (Na Stożku i n.)

\* Autentyczność zebranych opowieści potwierdzają ogłoszone w „Zaraniu Śląskim” w 1933 roku dwa artykuły Marii Pilchówny, pisane gwarą: *Jak to downi na Wiśle bywało* i *O bandurkach abo nocznicach, ka sie piniędze suszą i inszych strachach*, zanotowane z „rozmów ze swoim dziadkiem starym łowczorzem wiślańskim” (*Materiały*, s. 190—191).

- II. Zazdrość, zawiść o paszę. Szkody wzajemne. Czarowania. Nienawiść.  
 III. Jano i Hania (pasą na przeciwnych wierchach). Helol helol!...  
 IV. Morżoł z Mrażnicy (u Czantora). Legendy o Wiśle. Dawne sprawy. O dzieciach... wraca.  
 V. Zakaz srogi ojców. Porozumiewanie się nieszczęśliwych. Zamysł Jana.  
 VI. Filas podjudzacz (syn Jendrys). (Utopce, naocznicze mszczą się na nim, gdy nocą idzie).  
 VII. Morżoł o czarowniku z drakiem. ...Ognie hut na dołach. (Morżoł wróży).  
 VIII. Ręka księcia Cieszyńskiego. Występ Jana, który godzi wrogów.  
 IX. Wróży Morżoła. Legenda o Wiśle (o skarbach).

Plan ostatni, IV wg numeracji „zielonej”:

...Wstęp

- I. Na Czantorii i Równicy.  
 II. Słota  
 III. Czary.  
 IV. Poranek. Spiew Jana i Hany. Filas w kolebie u Czantora (potem na Równicy). Scysja. Zakaz ojców.  
 V. Smutek młodych. Gorzej: Owce postrachane, wartogłowe. Morżoł im sprzyja. Legenda jego o Wiśle.  
 VI. Ognie na dolinach, huty. Wieści trwożące. Rada baców u wojewody (Czantor i Ogiela). Ramię księcia Cieszyńskiego. (Morżoł o skarbach zaklętych).  
 VII. Jendrych — Hana — Jano. Zmowa Jewki Bulandówny. Filas z Równicy (nocą) na moczarach Kozińca — „bandurki”.  
 VIII. Słudzy księcia (straż leśna). Zajęcie bydła (Pietrek donosi). Bójka. Jano rani leśniczego (sądzi, że go zabił, ucieka).  
 IX. Pobył u Morżoła. Nocą księżycową przez Malinkę (do Hani). Skarby — „Złotogłowiec”.  
 X. Ulewa. Powódź. Wisła. Utopiec (chwyta Jędrycha, który chce zdradzić Jana; „na prześpiegi”).  
 XI. Sledztwo (protokoły). Ogiela świadczy. Między Czantorem (słabym) i Ogielą nienawiść gaśnie. — Jano wraca. Pogodzenie. Wróży Morżoła.

Powieść — jak to wynika z opisu karty 60 — miała być zatytułowana *Złotogłowiec*. Propozycji tytułów było więcej: na odwrocie karty, gdzie zanotował autor pierwszy plan powieści, znajduje się taki zapis:

Tytuł: 1. *Złotogłowiec*, opowieść z czasów drzewnych (skreślone: szłaśnych).

2. *Wróży Morżoła*, powieść beskidzka z czasów dawnych (skreślone: drzewnych).

[3.] *Czantoria*, powieść.

Numeracja, sposób zapisu może sugerować, że w pierwotnym zamiśle powieść *Czantoria* miała składać się z trzech części. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne w zestawieniu z planami, które zawsze dotyczą tylko jednotomowej, czy nawet jednoczęściowej powieści. Są to prawdopodobnie trzy rozpatrywane wersje tytułu o jednej zwartej treści. Przypuszczenie to popiera następny zapis tytułów, na odwrocie planu sygnowanego przez autora jako drugi:

Tytuł: *Wróżby Morżola*  
*Czary*  
*Bacowie*  
*Ojce i dzieci*  
*Skarby (Złotogłowiec).*

Obok planów całości w tej grupie rękopisów znajdują się również plany poszczególnych rozdziałów: *Wstępu*, rozdziału *III. Czary* (cztery), sygnowanego początkowo jako *II*, oraz plan rozdziału *IV. Poranek*, sygnowanego początkowo jako *III* (na odwrocie karty 57, bezpośrednio za planem rozdziału *Czary*, sygnowanym jeszcze jako *II*).

Godne uwagi są zapiski rozsiane tu i ówdzie na tych trzynastu kartach rękopisu. Autor jeszcze raz sporządza spis osób (k. 64 r.), notuje problemy, słownictwo, elementy opisów, już to szkicuje drobne scenki do przygotowywanej powieści, np.:

Niedźwiedź (pod kozzarem) — nocą; wilki, pies-owczarz — nocą; jeleni o świecących rogach, ryś, wiewiórki, borsuki, lisy, sarny (całe stado pod strażą rogacza), pies-owczarz (k. 55 r.).

Zwierzyna: wilki, niedźwiedź i wilki (Filas), sarny, jelenie, lisy.

Drzewa: buki — jawory, jodły, smreki.

Bandurki smykają Filasa (na Koziańcu, gdy szedł nocą...)

Utopiec przystrzega się na Jendrycha (który przejdzie przez Wisłę) (k. 58 r.).

1. Trawy, drzewa polśniewające rosą, jak po krynicznej kąpieli.

2. Zbocze przeciwległe... jawory... kopiaście... o soczystej zieleni, dolina... skrzęty, wybliski Wisły...

3. Las ożył... ptactwo... zwierzyna szmerzy, prześmigi swawolne wiewiórek — sarny, powietrze samo dzwoni... wszystko przejmując rześka radość (k. 63 r.).

### 3. Pierwsza redakcja

Pierwsza redakcja sprawia dużo trudności przy odczytaniu, a nawet ułożeniu 44 kart, na ogół formatu 8°, zapisanych dwu-



stronnie bardzo gęsto, z małym marginesem. Autor pisał pośpiesznie, ale chyba z dużym oporem, kreślił, dopisywał, wiele słów zostawił podkreślonych czy ujętych w nawias (w ten sposób znaczył, że dane słowo czy zwrot użyty jest tymczasowo), wiele zostawił znaków  $\surd$  świadczących, że ma zamiar w tym miejscu coś dopisywać; zostawiał też niejednokrotnie dwie wersje tekstu, nie rozstrzygając, którą ostatecznie wybierze do czystopisu. Często nie kończył zaczętej myśli, wielokropkiem znacząc dalszy ciąg, kilkakrotnie tylko skrótowo zapisywał, jak ma przebiegać dalszy ciąg akcji.

Wstęp, liczący cztery karty, według numeracji autora siedem stron (ostatnia nie zapisana), jest najbardziej czytelny. Widocznie autor był zadowolony z jego kształtu, gdyż redagując tekst od nowa, nie przepisał wstępu, zaczynając od razu od rozdziału I. *Na Czantorii i Równicy*.

Rozdział I. *Na Czantorii i Równicy*, liczący pięć kart, według numeracji autora osiem stron (paginacja nie obejmuje wstawki, k. 43) — wymagał gruntownego przeredagowania. Oto np. zakończenie rozdziału:

Toteż gdy kto przy nim wymówił imię Czantora, trząś się cały, zieleń i w oczach zaświecały się... gniewliwe błyski.

— ...

— Czantor...

⟨poróż⟩ ⟨odgrozenie⟩: — Nie dałbyś drugiemu koło siebie żyć — ale poczka... ja ci tak sprawię, że...

Słuchający wierzyli święcie, że sprawić może. Bacom różne (tajemnice) są wiadome, których zwyczajni nieświadomi  $\surd$

Skąd ta... powstała... nie...

Zapewne przez... rosła... ⟨aż⟩... w nienawiść... Aż...

W lecie, o którym ninie mowa, ⟨bu⟩ wybuchnęła... i przeszła w walkę zaciętą. ⟨N⟩ Przyroda sama jakby im... pomagała...

Bezpośrednio po tym zakończeniu nakreślił autor plan pierwszych kart rozdziału II, zatytułowanego początkowo *Czary*. Dopiero zresztą w drugiej redakcji autor tytuł ten skreślił i obok wpisał ostateczny *Słota*.

Rozdział II. *Słota* liczy 22 karty. Złożenie brudnopisu tego rozdziału napotyka również na wielkie trudności. Pierwszą jego

część do słów: „poczęli dalej w domysłach się nurzać” (zob. s. 23, w. 10), autor przeredagował. Tekst czterech pierwszych kart do słów: „— ka się weredy zahubić mogły [...] w uboczu prawie zdrady ni ma” (zob. s. 22, w. 2), pokrywa się z redakcją drugą; następna karta brudnopisu (53 według numeracji bibliotecznej) podaje tylko w bardzo szkicowej formie, jak ma toczyć się akcja dalej, co zresztą odbiło się na drugiej redakcji, gdyż ta partia tekstu posiada dużo zmian i kreśleń.

Następnie do tych kart drugiej redakcji dołączył autor brudnopis, jakby początek nowego rozdziału, gdyż paginacja zaczyna się znów od „1”.

Druga część rozdziału — dołączony brudnopis — liczy według paginacji autora 23 strony — kart 11, nie licząc dwu wstawek nie paginowanych (k. 51 i 52 według numeracji bibliotecznej). Pierwotnie do szałasu Czantora, „pogrążonego w domysłach”, autor wprowadził Morżoła (potwierdza to również plan III, numeracji zarówno „zielonej”, jak i „atramentowej”), później zmienił plan, do szałasu przybył Filas, co widoczne jest na stronie pierwszej, tej właśnie części drugiej. Autor zakreślił ostatnie zdanie, wprowadzające postać Morżoła, zakreślił całą stronę drugą, skreślił numer paginacji „2”, wpisał go na numerze „3” karty następnej, nie zmieniając w dalszym ciągu numeracji. Ta część brudnopisu, aczkolwiek posiada wiele kreśleń, zmian, przestawek, słów przekreślonych, jest czytelniejsza niż pierwsza część brudnopisu, nie ma nie skończonych zdań, znaków √.

Na odwrocie k. 46 (według numeracji bibliotecznej) znajduje się odrębny plan zanotowany przez autora. Trudno osądzić, czy dotyczy on jakiegoś nowego utworu, czy też to rzuty epizodów, które autor chciał wprowadzić do przygotowanej powieści:

Na skraju puszczy

Dziwne sprawy zwierzęce i leśne

I. Pastuszek, pies Ostraś, owce i wilki. (W nocy przy koszarze. Poświęcenie się wiernego Ostrasia).

II. Niedźwiedź i wilczaszki. (W kolebie na polanie. Strach i przytomność pasterza).

III. Na leśniczówce. (W lesie — puszczy. Mały synek leśniczego bohatera, nie wiedząc, co za zwierzę go napada, zabija niedźwiedzia).

IV. Na pastwisku wilk, ciele i krowa. (Odwaga Krasuli, gdy wilk przychodzi po jej ciele).

V. Wojna. (W sady, na łące [?]; wojna kwoki z jastrzębiem i jej męstwo w odpieraniu napaści na kurczęta).

VI. Święty ogień. (Pasterze na polanach, daleko od szalasu w czasie sloty. Mają jedną jedyną zapałkę, a las cały do najmniejszej trzaski przemokły. Chodzi o to, by rozrobić ogień, przy którym mogą upiec się ziemniaki. Inaczej będą bez obiadu. Obrzęd ważny rozrabianie ognia).

VII. Sen pasterza (w pałacu u boginek) itd.

VIII. Zając i łasica (w zaspach).

Ostatni punkt, VIII, przesuwam autor osobną kreską przed VI, nie zmieniając numeracji.

Rozdział III. Czary liczy kart 9, stron 18 według paginacji autora. Jest to również brudnopis, posiada wiele kresleń, dopisków na marginesie, wiele kwestii, jeśli chodzi o ustalenie tekstu, nie rozstrzygniętych, niemniej brudnopis tego rozdziału przedstawia tekst w zasadzie pełny.

Oprócz zmian poczynionych atramentem — jak się wydaje — już to w czasie pisania czy podczas kolejnej lektury, już też po napisaniu wstępu i trzech pierwszych rozdziałów, pozaznaczał autor zieloną kredką, które partie tekstu ma zamiar przeredagować, gdzie ma uzupełnić tekst.

Rozdział IV. *Poranek* jest nie skończony, a raczej ledwie zaczęty. Obejmuje cztery karty (3 strony według paginacji autora) tekstu, w tym zapisane tylko 2 i pół strony, oraz dwie dołączone karty (36 i 37 według numeracji bibliotecznej) śpiewek, tzw. helokania, Jana i Hany, przygotowanych zapewne do tego rozdziału.

Dwie pierwsze strony brudnopisu nie odbiegają stanem wykończenia od brudnopisu rozdziału poprzedniego, natomiast tekst na stronie trzeciej ma już formę pospiesznego, tymczasowego zapisu. Oto ostatni akapit:

(Wierchy wykąpane — niebo nad Równicą) zбочa (i ró) różno — zielone i wierchy wystąpiły oczom czyściej, (wyraźniej, jakby wykąpane), wyraźniej  $\surd$  w radosnej krasie, jakby  $\surd$  wykąpane — a na niebie, nad wierchami wschodu, przenosiło się głębiejające światło z nowiną  $\surd$ ... o wżeściu o  $\surd$  słońcu.

(nastrój w duszy weselny)

Możoł sumiennosci autora widoczny jak na dłoni.

#### 4. Druga redakcja

Druga redakcja pierwszego rozdziału i części rozdziału drugiego nie jest jeszcze czystopisem. Wiele i tu kreśleń, dopisków, wiele słów i zwrotów znaczył autor do dalszej obróbki.

Rozdział I. *Na Czantorii i Równicy* liczy kart 5, stron 7, według paginacji autora. Karta 7 (według numeracji bibliotecznej) formatu 8°, dołączona luźno, zawiera dopisek.

Rozdział II. *Słota* (część pierwsza) liczy 3 karty, według numeracji autora stron 6.

Warto zwrócić uwagę na notatki znajdujące się na odwrocie dołączonej karty 7. Są tam zawiązki pomysłów strukturalnych do rozdziału następnego, tzn. trzeciego:

1. Gina owce Czantorowi (Ogiela). Tracą się owce Ogieli. (Czantor).
2. Oderwa (jarki) idzie prosto ku szalasowi Ogieli. (Ogiela czary, (Filas).
3. Szalas Ogieli (pod mgłą w uboczy Czantora), juhasi — bitka.
4. Byczek padł Ogieli (Czantor).
5. Krowy krwią się doją Czantorowi (Ogiela). (Filas mówi, jak rąbał mleko... siekierą — „czarował”).
6. Pietrek zasłabł (Ogiela).

Z materiałów tak szczegółowo przedstawionych łatwo nabrać pojęcia, jak w decyzji pisarza z pierwotnego surowca tężeje i wylania się bliski już ostatecznemu kształt pierwszych rozdziałów, które w naszej potrzebie możemy uważać za jako tako wykończone. Tak je też potraktowano w tekście głównym. Paroma słowami trzeba go jeszcze uzasadnić.

Fragment powieści *Czantoria* w obecnym wydaniu oparto na rękopisie. Podstawą pierwszego rozdziału, *Na Czantorii i Równicy* i pierwszej części drugiego rozdziału *Słota* jest druga redakcja brulionowa, zaś podstawą *Wstępu*, drugiej części drugiego rozdziału, trzeciego rozdziału *Czary*, nie dokończonego czwartego rozdziału *Poranek* jest brudnopis, czyli pierwsza redakcja.

Utwór w części napisanej nie został doprowadzony do pełni wyrazu artystycznego — stwierdził St. Pigoń, przygotowu-

jąc po raz pierwszy fragment opowieści do druku\*. Przygotowując do wydania tekst o nie ustalonym ostatecznie kształcie, starano się, aby był on wierny w stosunku do autografu, oraz by był przejrzysty. Mając na względzie przejrzystość tekstu, wygląd graficzny strony w książce, nie znaczone znaków zapowiadających dopiski i wstawki „√”, nie dokonane ostatecznie przez autora. Podobnie nie przekazano podkreśleń wyrazów, całych zwrotów i zdań, widocznych zarówno w tekście, jak i na marginesie, oraz nawiasów, którymi znaczył autor miejsca, do których miał zamiar wrócić w następnej redakcji, a których „nie zdołał już przetworzyć”. Zdanie nie skończone znaczył autor na ogół wielokropkiem, w kilku wypadkach dodano brakujący wielokropek, nie ujmując go w klamry, właśnie by nie pstrzyć tekstu.

Daleko trudniejszym problemem dla wydawcy są wypadki, gdzie mamy dwie wersje tekstu, podane bez wskazówek, którą z nich autor uważał za lepszą. W tych wypadkach wybierano wersję bardziej odpowiadającą kontekstowi, podając w nocie wersję nie uwzględnioną. Szczegółowy wykaz w *Nocie* tych miejsc, w których ingerowano wyborem, ma umożliwić czytelnikowi zajęcie własnego stanowiska w wielu zapewne spornych decyzjach.

Wyrazów, zdań, ustępów skreślonych przez autora nie przywracano, wychodząc z założenia, że decydującym argumentem przy ustalaniu tekstu jest widoczna wola autora. Jeśli chodzi o język gwarowy Orkana, zostawiono formy autografu (podobnie zresztą jak i w innych utworach pisanych językiem gwarowym), nawet obocznie używane, nie starając się ich ujednoclić.

#### Wstęp:

- s. 8, w. 28 — obok określenia „gorzecki” dopisał autor „wiślański”; wybrano wersję drugą ze względu na kontekst; akcja dzieje się bowiem u źródeł Wisły, a nie w Gorcach;

---

\* W. Orkan *Czantoria i pozostałe pisma literackie*, red. St. Pigoń. Warszawa 1936, zob. *Notatka bibliograficzna*, s. 287.

- s. 10, w. 23 — w zdaniu: „Jako oto dwom bacom, Ogieli i Czantorowi, dzielonych doliną Wisły, stojących szałasami...”, autor podkreślił wyraz „dzielonych”, wpisując na marginesie „przegrodzonych”; wybrano wersję drugą, zmieniając jedynie ze względu na widoczną pomyłkę autora „przegrodzonych” na „przegrodzonym”, „stojących” na „stojącym”;
- s. 10, w. 26 — nad podkreślonym wyrazem „srogiej” napisał autor, ujmując w nawias, „wzajemnej”; zostawiono wersje obie, gdyż określenia te nie są synonimami.

*I. Na Czantorii i Równicy:*

- s. 14, w. 26 — po ostatnich słowach zdania: „...burzył w nim krew”, a przed słowami następnego: „Ile razy ku Równicy spojrzął...”, postawił autor znak wstawki „√”, na dołączonej karcie dopisał dwa akapity. Pierwszy, zaczynający się od słów: „On to zdradziec Ogiela”, wprowadzono bez zmian. Drugiego akapitu autor nie skończył. Stanowi on inną wersję zdania zaczynającego się od słów już cytowanych. Oto pełne brzmienie wersji pierwszej: „Ile razy ku Równicy spojrzął — a musiał, mając ją naprzeciw oczu, często na nią patrzeć, gniewem się w ciemnym obliczu zaogniał, pięść ocieżała dźwigał i złością dławione słowa z przygniotu piersi wyrzucał”. Druga wersja, nie skończona, tego zdania brzmi: „Toteż, ile razy Czantor wzrok ku Równicy skierował — a często musiał na nią patrzeć, mając ją naprzeciw oczu — to zawdy wstrząsał się cały kipiącą we wnętrzu złością i wyrazy urywane ciskał spod...” W obecnym wydaniu — idąc za sugestiami wydania poprzedniego z 1936 r. — przyjęto pierwszą część zdania wersji drugiej, zakończenie zaś z wersji pierwszej (por. s. 15, w. 8—13);

- s. 15, w. 22 — nad podkreślonym i ujętym w nawias wyrazem „iste” autor dopisał wyraz „pełne”; ze względów artystycznych zostawiono tamtą archaiczną formę;
- s. 15, w. 26 — ze względu na kontekst dodano przyimek „w”;
- s. 16, w. 4 — gwarową formę „nieboszce” zmieniono na poprawną „nieboszczce”; tekst odautorski nie przekazuje form gwarowych z zakresu fonetyki.

## II. Słota:

- s. 23, w. 10 — zaczętego zdania: „poczęli dalej inne domysły swoje”, autor nie skończył, skreślił: „inne domysły swoje”, i dopisał, jako ciąg dalszy, obecną wersję. Nad skreślonymi wyrazami dopisał, ujmując w nawias: „w domysłach”. W obecnym wydaniu nie uwzględniono dopisku, jako wersji gorszej artystycznie, kwestionowanej już przez autora ujęciem w nawias;
- s. 23, w. 26 — podkreślony wyraz: „burzy”, zastąpiono w obecnym wydaniu zapisanym na marginesie wyrazem „ulichy”;
- s. 23, w. 28 — po słowach: „figła spłatać”, w autografie jest zdanie nie skreślone: „spytać by się starego Morżoła...”, którego w obecnym wydaniu nie uwzględniono, uważając zostawienie go za przeoczenie autora. W poprzedniej wersji rozdziału autor zdaniem tym zapowiadał przyjście Morżoła, w obecnej wersji wprowadził Filasa (zob. *Nota*, s. 384);
- s. 25, w. 1 — podkreślony i ujęty w nawias wyraz „ciągnął” zastąpiono nadpisanym nad nim wyrazem „dodał”;
- s. 25, w. 5 — na marginesie między obecnym wierszem 5 a 6 nakreślił autor dwa znaki wstawki i zanotował ułamkowe wrażenie: „On wie... poczynić (o Ogieli)”;
- s. 26, w. 19 — pierwotnie zapisał autor: „radością serc”, skre-

- śli: „radością”, napisał nad tym: „przyjaźnią”, następnie: „przychylnością”, niezadowolony wciąż, napisał obok „skłonnością”; spośród trzech wersji nie skreślonych wybrano wersję trzecią, i jako ostatnią, i chyba najtrafniej oddającą charakter uczuć, jakie łączyły młodych;
- s. 29, w. 29 — nad końcówką wyrazu „nieboszczyki” napisał autor końcówkę „owie”, ujmując ją w nawias, ją też w obecnym wydaniu wprowadzono;
- s. 30, w. 13 — włączono opis odzieży Morżoła — od słów: „Miał na sobie koszulę pacześną”, aż do końca akapitu — z brulionowej wersji (I redakcja) pierwszej części tegoż rozdziału, według której zamiast Filasa wprowadzał autor do szafasu Morżoła i podał dokładny opis jego ubioru (k. 49 według numeracji bibliotecznej); potraktowano to opuszczenie jako przeoczenie autora;
- s. 31, w. 3 — pierwotnie autor napisał: „ludzkim oczom”, następnie skreślił: „oczom”, zmienił końcówkę wyrazu: „ludzkim” na „ludzkiej”, nad wyrazem skreślonym napisał „wiedzy”, pod nim, ujmując w nawias: „znajomości”; w obecnym wydaniu przyjęto wersję: „ludzkiej wiedzy”;
- s. 32, w. 22 — zdanie od słów: „i taki wicher czynią”, do końca autor zakreślił na marginesie, zmieniając trzykrotnie ostatni wyraz; napisał: „króci”, skreślił, w dalszym ciągu napisał: „wykróca”, a pod nim, ujmując w nawias, znowu „króci”, wybrano wersję drugą, bez nawiasu;
- s. 33, w. 14 — nad ujętym w nawias imieniem „Jurko” napisał autor: „Walek”, co też wprowadzono do tekstu głównego;
- s. 34, w. 25 — opuszczono jako zbędny zaimek zwrotny „się” przy czasowniku „walczy”;
- s. 34, w. 31 — nad podkreślonym i ujętym w nawias wyrazem: „prawieścił”, napisał autor „utwierdzał”, podkreślając go zieloną kredką; wprowadzono wersję drugą.



*III. Czary:*

- s. 39, w. 14 — bezpośrednio po zdaniu: „A jarki młode?” dopisał autor w nawiasie wyraz „młade”, czego tu nie uwzględniono;
- s. 39, w. 22 — nad ujętym w nawias wyrazem „Juści” napisał autor „To uż”, i tę wersję przyjęto;
- s. 40, w. 1 — tekst zdania wpisanego między wierszami: „Bacca przy wyjściu zlustrował okiem”, nastęcza w autografie wiele trudności i jego odczytanie można by zakwestionować;
- s. 40, w. 3 — podobne trudności w odczytaniu nastęcza wyraz: „ostaniesz”;
- s. 44, w. 10 — nad ujętym w nawias wyrazem: „waguje”, napisał autor: „boi”, i tę wersję obecnie wprowadzono;
- s. 44, w. 16 — nad ujętym w nawias wyrazem: „pogodnego”, napisał autor „odmiennego”, i tę wersję przyjęto.

*IV. Poranek:*

- s. 47, w. 9 — pod określeniem: „ostatni”, napisał autor, ujmując w nawias: „północny”; w obecnym wydaniu zostawiono oba uzupełniające się określenia;
- s. 48, w. 6 — w zdaniu zaczynającym się od słów: „Już się też parły na swobodę...”, autor ujął w nawias wyraz: „rogami”, skreślił następny: „rozłożystymi”, wpisując nad nim wyraz: „łbami”; z dwu pozostawionych wersji: „rogami” i „łbami”, w obecnym wydaniu wprowadzono wersję pierwszą;
- s. 49, w. 6 — w śpiewce Jana dodano drugi człon helokania: „helo!”, analogicznie jak w poprzednich strofkach;
- s. 49, w. 14 — duże trudności nastęczało odczytanie wyrazu: „gołąbeczko”, i podane brzmienie może budzić wątpliwości.

## NOWELE I OBRAZKI. SERIA I

Seria I nowel i obrazków obejmuje utwory wczesne, które autor poniechał w pierwodrukach czasopiśmiennych, nie włączywszy ich do żadnego z przygotowywanych tomów nowel czy opowiadań.

Wszystkie te utwory, z wyjątkiem *Gadki II i III* zachowały się w autografach (BJ sygn. 8546).

## DZIKI

Jest to rodzaj publicystyki, „Listów ze wsi”, jakie autor pisał w latach 1901—1902 dla krakowskiego „Naprzodu”.

Autograf obejmuje 2 karty (k. 1 i 2 według numeracji bibliotecznej), formatu 4°. Na karcie pierwszej, z prawej strony u góry notatka, zastępująca tytuł: „Z Gorców”, z lewej inicjały pisarza: „W.O.”, ujęte w nawias.

„List” mieści się na karcie pierwszej, pierwsza strona karty drugiej stanowi dużą wstawkę, od słów: „Pracuj bez całą wiesnę” do słów: „coby im weselej było ryc” (s. 53 w. 23 — s. 54, w. 23). Jest to brudnopis bardzo kreślony; po kilka razy zmieniał autor poszczególne słowa.

Na odwrocie karty drugiej znajduje się czystopis 8 wersów poematu *Z tej smutnej ziemi*<sup>\*</sup>:

A duch się Jego rozplywa powoli  
W błękitną ciszę pogodnych wieczorów,  
W umarłe pieśni, grające po roli —  
W ten cichy smutek pól, łąk i ugorów,  
W rzewność na groblach świeżych rozmodloną,  
W posępną, mglistą, jesienną szarotę —  
I płynię w bezmiar pustką nieskończoną,  
By znowu ciałem wrócić na Golgotę...

„List” wydrukowała „Krytyka” w 1899 roku, w zeszytcie 7 z października, w dziale „Luźne kartki”, z notatką: „Z Gorców”, oraz z inicjałami: „W.O.” W roku następnym przedrukowała go lwowska „Zorza” (1900, nr 6) pt.: *Dziki*.

Porównanie tekstu autografu z tekstem w „Krytyce” po-

<sup>\*</sup> Zob. W. Orkan, *Poezje zebrane*, oprac. J. Kwiatkowski, Kraków 1968, t. I. s. 93, 394 i n.

zwała ustalić, że przed oddaniem utworu do druku autor tekst gruntownie przerezagował. Oto fragment tekstu autografu:

— Człek sie we dnie narobi, napracuje, że jak przyjdiesz do chałupy, to ino pozierosz, kany lec, kany kości wyciągnąć na ławie — a tu idź w pole z chałupy, na noc! Jeszcze jak noc pogodna, to chwala Bogu. Ale jak padnie deszcz i psota!... to już Panie ratuj! Wrócisz rankiem skostniały, jak żerdź na mrozie (por. s. 54, w. 9—17).

W wydaniu obecnym za podstawę przyjęto pierwodruk czasopiśmienny, przejmując z „Zorzy” tylko tytuł i dodane określenie w pierwszym zdaniu „w Gorcach”, którego nie posiadał ani autograf, ani pierwodruk.

Na podstawie rękopisu poprawiono oczywisty błąd literowy „fyrmak” na „frymark” (s. 55, w. 12).

#### WYBORCA

Obrazek również z pogranicza literatury i publicystyki. Dnia 2 stycznia 1901 roku pisał Orkan z Poręby Wielkiej do B. Wysloucha:

Słyszałem z opowieści autentyczną rozmowę wyborcy z prawyborcami; warta zanotowania, posyłam. Jeżeliby widocznym było, że cenzura nie puści, proszę o przemianę kojących słów, np.: „Psiakrew z takim samorzędem” można przemienić: „z taką autonomią”, lub podobnie, a tele baran rogaty, co i bezrogi. I prosiłbym o zamieszczenie w „Kurierze” jako artykułu między dłuższymi szpaltami. Zresztą do woli zostawiam, jako się uwidzi.

Wysłouch opowiadanie zamieścił w „Tygodniu”, dodatku literackim „Kuriера Lwowskiego”, w nr 3 z 20 stycznia 1901 roku.

Autograf obejmuje 2 karty formatu folio (k. 3—4 według numeracji bibliotecznej). Na odwrocie k. 4 znajduje się brulion sonetu pt. *Przekleństwo*\*.

Autograf *Wyborcy* ma charakter brudnopisu, mimo wielu kreśleń i poprawek jest jednak czytelny. Nie posiada kłopotliwych dla ustalenia tekstu nie skończonych zdań, dwu wersji

\* Zob. W. Orkan, *Poezje zebrane*, t. I, s. 21, 376.

tekstu zapisanych obocznie. Przekazuje tylko trzy wersje zakończenia: Pierwszą: „Działo się na początku wieku XX, w sto lat przeszło po rozbiórce Polski, w «rok jubileuszów», za...” — autor skreślił; drugą: „Działo się w «roku jubileuszów», w sto lat po rozbiórce Polski”, ujął w nawias; trzecią: „— Działo się po wyborach grudniowych, w roku «jubileuszów», w sto lat po rozbiórce Polski” — podpisał: „Zaoczny świadek, F. Smreczyński”.

W wydaniu obecnym, opartym na autografie — gdyż w pierwodruku usunięto wiele form gwarowych — przyjęto czwartą wersję zakończenia z „Tygodnia”; zgodnie zapewne z wolą autora.

#### GADKI Z PODHAŁA

##### I. „Co ma wisieć — nie utonie”

Tylko *Gadka I* posiada autograf, mieści się on na pierwszej stronie karty 5, formatu in folio. Jest to brudnopis, z dużą ilością kresleń i poprawek. Na odwrocie karty 5 zanotował autor, opatrując kolejnymi numerami rzymskimi, trzy humoreski: I — o Stanisławskim; II — „z filozofii życiowej Górala”; III — o językoznawcy prof. Malinowskim: *Zakopiański czy Zakopański*. Dla przykładu, że i ten gatunek literacki nie był obcy pisarzowi, przytoczymy dwie z nich:

(Ilustracja)

Stanisławski (stający przy wózku — do Górala): Jedziemy?

Góral (drapiąc się po głowie): Hm... nie wiem, jako to będzie... bo ja was cheba na raz nie zabierę...

II (z filozofii życiowej Górala)

Jak baba na mnie z góry — to ja na nią jesce z wyzsa.

*Gadkę I* oraz drugą i trzecią humoreskę drukowało *kra-kowskie „Liberum Veto”* 1 sierpnia 1903 roku w nr 15, poświęconym Zakopanemu. Humoreska o Stanisławskim nie ukazała się, choć autor najwidoczniej liczył, że który z rysowników dorobi tu stosowną ilustrację — karykaturę.

Po raz drugi *Gadka I* ukazała się w kalendarzu wydawnictwa im. Tadeusza Kościuszki, tzw. „Gospodarzu”, na rok 1913 (s. 72—73) wraz z *Gadką II* i *III*.

Porównanie autografu z drukiem w „Liberum Veto” i tekstem w „Gospodarzu” pozwala ustalić, że teksty te bardzo się różnią między sobą, a szczególnie tekst kalendarza.

Podstawą obecnego wydania jest wersja z „Liberum Veto”, gdyż należy przypuszczać, że do tego czasopisma starał się Orkan dać tekst najpoprawniejszy.

#### GADKA II i III

Te dwie opowieści „Sabałowe” znamy tylko z publikacji w „Gospodarzu”. Autorstwo ich jest pewne, mimo że nie zachował się ich autograf. W kalendarzu *Gadki* te opatrzone notką: „podał Władysław Orkan”.

Nasuwa się przypuszczenie, że dla kalendarza „na rok 1913” Orkan specjalnie napisał te trzy opowieści, stąd zapewne różnice duże między tekstem „Liberum Veto” a tekstem „Gospodarza”.

Ze względu na kontekst w *Gadce II* poprawiono „zwiadził” na „zwiadzieli” (s. 63, w. 9); w *Gadce III* dodano zaimek „wy” (s. 64, w. 16) analogicznie jak w powtarzających się kilkakrotnie zestawieniach podobieństw między życiem Pana Jezusa a życiem zbójników.

#### POMRUK GÓR ABO ROZMOWA

Autograf dialogu znajduje się na pierwszej stronie karty 6. Nosi nieco inny tytuł: *Rozmowa gór tatrzańskich*, obok wyrazu: „Rozmowa”, ujęty w nawias wyraz: „Pomruk”. Dialog opatrzył autor kolejnym numerem rzymskim: „V” (nr I, II, III, zob. *Nota*, s. 394), numer IV posiada anegdota o przewodniku Góralu, który powtarzał zachwyty malarza nad pięknem gór, wprawiając w zachwyty gości z „Warsiawy” (zob. *Nota*, *O odczuwaniu dzieła sztuki*, s. 420).

Dialog, wraz z anegdotą o przewodniku Góralu, ukazał się w „Liberum Veto” 1903 roku, w tymże „zakopiańskim” numerze 15, z 1 sierpnia.

W wydaniu obecnym oparto się na tekście „Liberum Veto”.

## PRZEZ CO SABAŁA OMIJAŁ JARMARK W KIEZMARKU

Autograf opowiadania, pisany gwarą zakopiańską, obejmuje 2 karty, formatu 4° (k. 14—15 według numeracji bibliotecznej), 4 strony według paginacji autora. Autograf przekazuje tekst pełny, czytelny, mimo że dużo w nim kreśleń, zmian, dopisków i podkreśleń, wskazujących, że nie jest to jeszcze ostateczny wyraz słowny.

W jednym wypadku zostawił autor dwie wersje, nad określeniem: „koła”, zapisał bardziej sugestywne: „piekła” (s. 70, w. 28).

W zakończeniu autografu wyjaśnia autor, sugerując autentyczność opowiadania: „Zanotował Wł. Orkan”.

Oprócz autografu w tece rękopisów znajdują się cztery egzemplarze maszynopisu opowiadania (k. 16—27), dwa z nich autor podpisał, poprawek w maszynopisie nie dokonał jednak sam i dlatego maszynopis nie będzie brany pod uwagę przy ustalaniu tekstu.

Opowiadanie drukowane było w „Kurierze Podhalańskim” 15 sierpnia 1928 r.

Porównanie tekstu czasopisma z autografem pozwala stwierdzić, że najpełniejszą wersję tekstu, najwierniejszy przekaz form gwarowych, które w opowiadaniu tym grają zupełnie wyjątkową rolę, podaje tylko autograf, na nim też opowiadanie w obecnym wydaniu oparto.

W opowiadaniu tym ujednolicono zapis „Liptacy” i „Luptacy”, wybierając formę „Luptacy”, gdyż w tym kierunku szły poprawki autora już w autografie, oraz ujednolicono „Keźmark” i „Kieżmark”, wybierając formę drugą. W wypadku dwu wersji określenia: „koła” — „piekła” — wybrano wersję drugą, jako późniejszą i lepszą ze względu na kontekst (w maszynopisie: „piekła”, w czasopiśmie: „koła”).

## BETLEJEM I ASYŻ

Autografy rozważań na temat stosunku człowieka do zwierząt obejmują 6 kart, formatu 4° (k. 28—33 według numeracji bibliotecznej). Karta 32—33 zawiera pierwszy rzut utworu, a raczej zanotowane problemy, fragmenty rozmów, przemyśleń.

Na początku tych kart zapisał autor dwie wersje tytułu: *Bethleem* i *Bethleem i Assyż* (obok: *Bettlejem i Assyż*). Oto kilka fragmentów, które nie weszły w skład utworu, a które warto przytoczyć ze względu na zawarte w nich refleksje, bliskie przemysleniom z *Teorii socjalnej*, por. s. 340.

— Po co się pan tak czuli — rozmiękcza? — rzekł człowiek, trzeźwy polityk.

— Zaraz, przepraszam — mogę z panem pomówić i w przedpokojku. No więc — reforma wyborcza... Stało w którejś gazecie, że cesarz ofiaruje reformę wyborczą ludom swoim na gwiazdkę. Dzieci były grzeczne. A zatem... do widzenia.

— Ze też pan tak nigdy nie ma czasu — nawet pomyśleć.

— Walka, panie, nie poemat.

— Rozumiem.

— „Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi!”, odrzekł Chrystus niechętnie, pytany obłudnie przez usługowników faryzejskich, widząc, że na nic mówić o rewolucji tym niewolnikom z krwi i z ducha.

— Niewola w sobie — niewola pojęć — to psychologia!

— A pan?

— Rewolucjonista! Wobec rewolucji w Rosji...

— Przepraszam... Car obiecał dać konstytucję w Ilońskim roku na gwiazdkę. Ale dzieci były niegrzeczne. Wobec tego daje im na gwiazdkę — baty. O święty Mikołaju!

— Pan szydzi z rzeczy świętych!...

— Gdzieżbym śmiał śmiać się... Nawiasem: tych dzieci niegrzecznych jest sto dwadzieścia milionów!

(Ojciec z opłatkiem do stajni. Bydło rozmawia).

Narodzenie Boga...

Kiedyż przyjdzie narodzenie człowieka!

Jaki niestosunek: Z jednej strony Bóg — z drugiej wilk, tygrys, hiena, nawet świnia. A najwięcej w tym gatunku homo.

Karty 28—31, 8 stron według paginacji autora, zawierają brudnopis, mimo kreśleń i wstawek bardzo czytelny i ostatecznie wykończony, podpisany: „Poręba Wielka. Wł. Orkan”.

W rozważania swe wkomponował autor duże fragmenty *Ostatniej z bajek* Norwida, nazywając je: *Hymn*. W wydaniu obecnym, opartym na autografie, porównano *Hymn* z publikacją tego utworu w „Chimerze” (1902, t. VI, s. 322—327), wychodząc z założenia, że z tego niechybnie tekstu Orkan cyto-

wał. Cytował co prawda niedokładnie. Większe opuszczenia znaczył wielokropkiem, i tych opuszczeń w wydaniu obecnym oczywiście nie wprowadzono, zostawiając wielokropki (bez klamer ze względu na graficzny wygląd strony). Wprowadzono natomiast parę opuszczeń jednowyrazowych, nie oznaczonych przez autora, zakładając, że powstały one na skutek przeoczenia.

Utwór drukowany był po raz pierwszy w gwiazdkowym numerze „Kuriera Lwowskiego”, 1906, nr 352, częściowo z „Kuriera” przedrukował go „Dziennik Kijowski”, 1907, nr 1 (1 stycznia) — od słów: „W «nie bardzo podłej» mieście Asyżu” (s. 77, w. 30), do końca rozdziału — opatrując urywek ten notatką: „Kurier Lwowski”.

Porównanie tekstu autografu z tekstem wydania z 1936 roku (Wł. Orkan, *Czantoria i pozostałe pisma literackie...*, s. 71—70), którego podstawą był właśnie „Kurier Lwowski” (rocznik 1906 „Kuriera Lwowskiego” jest niekompletny, brak właśnie nr 352), pozwoliło stwierdzić, że w „Kurierze” poczyniono wielkie zmiany, jeśli chodzi o język Orkana. Aczkolwiek utwór nie jest pisany gwara, posiada przecież wiele zwrotów charakterystycznych dla pisarza, które eliminowali redaktorzy „Kuriera”, dlatego też uznano za celowe oprzeć się w wydaniu obecnym na autografie.

#### INKLUZ W GOSPODARSTWIE

Autograf obejmuje 11 kart (k. 84—94 wg numeracji bibliotecznej). Na kartach 91—94 (3 formatu 8°, jedna 16°) znajduje się plan opowiadania oraz notatki szczegółowe o stosowaniu nawozów sztucznych. Jak widać, Orkan do napisania opowiadania o racjonalnej uprawie roli, zapewne zamówionego przez redakcję „Gospodarza Polskiego”, gruntownie się przygotował.

Opowiadanie miało pierwotnie nosić tytuł *Sąsiedzi*. Obok tego tytułu zapisał autor w nawiasie *Inkluz*, następnie skreślił nawias zamykający i dopisał pod spodem: w *gospodarstwie*.

Oto plan opowiadania:

1) Mają jednaką ilość gruntu. Ten I garnie się do oświaty — II, jak dziadkowie robili, tak robi (komasacja — [...])?



2) I czyta pisma rolnicze („Przewodnik Kótek” i in.), słucha odczytów, poczyną stosować nawozy pomocnicze, zastanawia się, bada ziemię  $\sqrt{}$ , doświadcza, odwadnia,  $\sqrt{}$  chęć scalenia ziemi... II się z tego śmieje, pokpiwa.

3) I poczyną stosować nawozy sztuczne (pomocnicze) — jeden rok, drugi = rezultat (bydło lepsze i więcej) mleko u niego [...]. II przypatruje się, poczyną zazdrościć (Co ja to gorszy?). Poczyną też nawozów używać. Ba!

4) Ale I kupuje nawozy sprowadzone przez kółko rolnicze, pewne, o dobrym procencie... II po „taniości” — u Żyda.

5) I stosuje rozumnie, II [...] i jaki = rezultat?

6) Rywalizacja: I walczył z nieurodzajną ziemią, II, by pokazać, że i on też nieostatni, by go zakasować! W końcu: „Takiemu, choćby nic... to się udarzy. Ma inkluzą”. (No i tak Głowa został z inkluzem, a Głęb z biedą).

Sąsiedzi:

Jak wreszcie drugi począł stosować nawozy (małpuje zazdrośnie sąsiada: a) azotniak, b) kainit, c) superfosfat; i jak doszedł do tego, że sąsiad I nic, ino „musi mieć inkluzą” (co mu pomaga).

I przez: Kółko roln., gminę, Ognisko; II od Żyda (taniej i dłuższy kredyt).

Następnie na 3 kartach (88—90) formatu 8°, zanotował pierwszą redakcję opowiadania (od początku do słów: „Te więc począł stosować — przez rok jeden, drugi... rezultat” — s. 83, w. 17).

W tej wersji autor jeszcze swoim zwyczajem wiele zostawił nie skończonych zdań, szczególnie w dalszych partiach opowiadania.

Na kartach 84—87, formatu 4°, znajduje się druga redakcja opowiadania, już zatytułowana *Inkluz w gospodarstwie*. Nie jest to czystopis, posiada wiele kresleń, wstawek, dopisków, szczególnie w końcowej partii tekstu.

Opowiadanie ukazało się drukiem na łamach „Gospodarza Polskiego” 2 grudnia 1928 r. w numerze 49. Porównanie wersji „Gospodarza” z wersją autografu pozwala stwierdzić duże różnice między nimi. Różnice te polegają głównie na opuszczaniu w czasopiśmie fragmentów tekstu oraz poszczególnych słów, głównie gwarowych, lub też na ich poprawianiu, nie zawsze bez szkody dla sensu, np. „przydawali z chrząkaniem rozumiejącym” na „odchodzili z chrząkaniem rozumiejącym” (s. 80, w. 5).

W pozycji tej oparto się zatem na autografie.

## NOWELE I OBRAZKI. SERIA II

W serii drugiej nowel i obrazków znalazły się opowiadania z ostatnich lat życia pisarza. Powstały one z inicjatywy dwóch wydawców podręczników szkolnych do nauki języka polskiego: Ossolineum i K. S. Jakubowskiego.

W latach 1925—1926 zwrócili się do Orkana o napisanie paru krótkich opowiadań, które by na tle przyrody czy wsi podhalańskiej ukazywały w formie nowelistycznej jakieś charakterystyczne dla obyczaju sceny rodzajowe, czy też wypadki.

W marcu 1925 roku (data stempla pocztowego: 5. III. 25) jeden z nich, Stanisław Maykowski, pisał do Orkana:

Powołany przez Zakł. Nar. im. Ossolińskich do zrobienia wspaniałych, nie wycinanych podręczników nauki języka polskiego dla szkół średnich, przygotowałem ogólny plan. I kl.: a) człowiek wśród b) rzeczy, naturalnie indywidualny człowiek; II kl. człowiek w związkach społecznych i narodowych, przy tym całkowanie ziem polskich; III kl. Polak jako obywatel świata, a więc odnajdujący się w ludzkości — i nadto szczegółowe, niezwykle ścisłe plany na poszczególne klasy. I tak najniższy stopień, obecnie przygotowywany, obejmie 10 cykliów [...]

Duch książki a m i c i s o w s k i: tworzenie bohaterstwa w życiu codziennym. Forma: r e a l i z m, a l e u s k r z y d l o n y. H u m o r + z d r o w y s e n t y m e n t: tego najwięcej. Do melancholii poromantycznej, rozumie się, idziemy z miotłą. Polską ma dyszeć wszystko, ale nie szwiniście: humanitaryzmu jak najwięcej, byle nie deklamującego o sobie. Styl wcale nie zniżany, owszem, chcę, żeby się uczono piękna stylistycznego na utworach, byle baroku i zbytńich trudności w tym nie było. Jak najwięcej wyrazów codziennych, tzw. „idiotyzmów” (właściwości językowych): np. „jakby mnie kto na sto koni wsadził”, „był w siódmym niebie”, „mieć pietra”, „ani mru-mru” itd.) Aha! I bohaterami wszędzie dzieci. Starsi tylko w epizodzie.

Byłem niedawno w Warszawie i przez kilka tygodni łowiłem ludzi do tej imprezy. Rozpalili się tak, że nie ma dziś jednego pisarza wybitnego, który by nie podpisał umowy ze mną. Połowa utworów, choć dopiero miesiąc minął od zamówień jest już gotowych. Reymont (od niego już dawniej wziąłem), Zeromski, Nałkowska, Sieroszewski, Makuszyński, Bartkiewicz, M. Dąbrowska, Perzyński, Goetel, K. Bandrowski, Dębicki, Choynowski, Daniłowski, Wasylewski, Hłakowiczówna, Leśmian, Zegadłowicz, Staff, Kasproicz, M. K. Pawlikowska, Ostrowska, Wierzyński, Sinko, Parandowski, M. Siedlecki, W. Witwicki, Gembarzewski itd. — to nasi współpracownicy. WSzPana, któremu już w ub. roku robiłem przez Panią tę propozycję, będę prosił w lecie o wydatną pomoc w podręczniku II kl. (tam specjalnie idzie o Podhale). Tu zaś proszę o ustęp pt. *Hale...* (BJ, sygn. 8620, k. 103—104).

A oto pierwszy punkt umowy zawartej między księgarzem-nakładcą Iwowskim, Kazimierzem Stanisławem Jakubowskim, a pisarzem dnia 19 stycznia 1926 r. (sygn. 8614, k. 79):

I. P. Władysław Orkan zobowiązuje się do napisania nowelek, objętości najmniej 80 (osiemdziesięciu), najwyżej 100 (stu) wierszy druku (długość wiersza 10 1/2 do 11 1/2 cm), przeznaczonych do podręczników szkolnych do nauczania języka polskiego, ukazujących się w nakładzie p. Kazimierza Stanisława Jakubowskiego. Liczbę nowelek i tematy do tych nowelek oznacza nakładca, autor zaś zobowiązuje się w sposobie opracowania tych nowelek zastosować się do życzeń nakładcy.

Orkan podjął się zadania i tej szczęśliwej inicjatywie zawdzięczamy kilkanaście obrazków, w których artyzm przedstawienia wziął szczęśliwie górę nad dydaktyką\*.

W zbiorach rękopiśmiennych BJ zachowały się autografy wszystkich tych obrazków (sygn. 8546).

Porównanie tekstu autografów z tekstami podręczników, w czasie pracy nad tomem pozwoliło stwierdzić, że najlepszy tekst przekazują właśnie autografy.

W podręcznikach poprawiono tekst autora, zmieniając najczęściej formy gwarowe: np. „przyzierał się” zmieniono na „przyglądał się”; „zeprał” na „zebrał”; „sprawiał się” na „tłumaczył się”; „mizerne” na „liche”; „z obejść” na „z chałup”; „Teresia” na „Tereska”; „zachyłnej” na „pochyłej”; „straż graniczna” na „strefę graniczną”; opuszczono „istnie”; „zawdy” zmieniono na „zawsze”; „zwidziała” na „podołała”; „jak amen” na „cały”; „potraw” na „siano”; „przydawali” na „odchodzili”; opuszczono „wyrosłym do cudu”; „zgryzotę” zmieniono na „strapienie”; „roków” na „lat”; „ubryzowane” na „urobione” itd. Utwory te, często o błażej treści, ale nakreślone na tle wspaniałych opisów przyrody, opowiedziane językiem pięknym, zindywidualizowanym przez słownictwo gwarowe, posiadają na ogół wysoki poziom artystyczny. Po latach czterdziestu od czasu powstania dydaktyzm w nich zawarty traci swą wymowę na skutek upływu czasu, zaszłych zmian społecznych, zdecydowanie na plan pierwszy wybija się piękno opisów i języka. Kierując się właśnie względami językowymi, dla całej drugiej serii za podstawę wydania przyjęto autografy.

\* Por. Posłowie St. Pigoń do wyd. W. Orkan, *Czantoria i pozostałe pisma literackie*, Warszawa 1936, s. 293—294.

## LEGENDA O PODHALU

Legendę o stworzeniu Podhala napisał Orkan na zamówienie K. S. Jakubowskiego. W liście wydawcy z dnia 25 sierpnia 1926 roku czytamy:

Załączam wyjątek z niemieckiego przekładu Selmy Lagerlöf\*, jako materiał do opracowania podobnej legendy o Podhalu, Tatrach i urodzajnych ziemiach nadwiślańskich (ziemia proszowska, sandomierska — pszenica sandomierska!) P. S. W odpowiednich miejscach dać charakterystykę Podhala, Tatr — tudzież ziemi proszowskiej i sandomierskiej (BJ, sygn. 8614, k. 82).

Autograf opowiadania obejmuje 5 kart (3 formatu 4°, z paginacją autora 1—6, oraz dwie wstawki formatu 8°). Jest to brudnopis, dobrze czytelny mimo dużej ilości kresleń i poprawek. W autografie opowiadanie nosi tytuł: *Legenda o stwarzaniu*. Oprócz poprawek dokonanych w czasie pisania widoczne są w nim dopiski późniejsze, poczynione — chyba innym piórem — już po napisaniu opowiadania.

W wydaniu obecnym, opartym na tymże autografie, jednego z tych dopisków, dopowiedzeń, nie uwzględniono, a mianowicie: po zakończeniu pierwszego akapitu, w tym samym wierszu zanotował autor uwagę nawiasową: „Regionalizm”. W pierwodruku czasopiśmiennym w „Gazecie Podhalańskiej” (1926, nr 52 z dnia 26 grudnia) czytamy w tym miejscu: „Już wówczas śnił się Panu Bogu regionalizm”. Uwaga ta o charakterze wybitnie publicystycznym, dopisana zapewne przed oddaniem utworu do „Gazety”, aktualna może wówczas, dziś psuje kompozycję całości. Postanowiono z niej zrezygnować, idąc za pierwotną koncepcją utworu, potwierdzoną znajdującym się w zbiorach maszynopisem (3 karty, format folio) zapewne kopią egzemplarza, z którego był składany tekst w podręczniku szkolnym.

W maszynopisie, podobnie jak w podręczniku, opowiadanie nosi tytuł *Legenda o Podhalu*.

\* Mowa tu zapewne o bardzo popularnej powieści dla młodzieży Selmy Lagerlöf pt. *Cudowna podróż* (1906—1907); powieść, przełożona na język polski przez Janinę Morkowicz, została wydana w latach 1910—1911. Nasuwa się zatem pytanie, dlaczego Jakubowski w r. 1926 posyłał Orkanowi tłumaczenie niemieckie.

Opowiadanie, pisane dla podręcznika szkolnego, zaliczone w „Rzeczowym przeglądzie treści” do „Czytań treści wychowawczej”, opatrzone nawiasową uwagą: „Zarozumiałość”, zostało wydrukowane zarówno w pierwszym, jak i w drugim jego wydaniu: *Pierwsze czytania dla szkół powszechnych*. Cz. trzecia dla oddziału czwartego, redagowana przez J. Porazińską i St. Rossowskiego, Lwów 1927, pt. *Legenda o stwarzaniu*, s. 202—204; 1929, pt. *Legenda o Podhalu*, s. 193—196. W wydaniu obecnym przyjęto tytuł ustalony przez autora dla drugiego wydania podręcznika.

## NA HALE

Opowiadanie to powstało z inicjatywy St. Maykowskiego. Oto dalszy ciąg cytowanego na wstępie (s. 400) listu, dotyczący właśnie tegoż opowiadania:

Ma to być wypędzanie bydła w cyklu: *W promieniach słońca*. Jakiś chłopiec i dziewczyna, żeby i w żeńskich szkołach był większy interes. Jakaś cieniutka nić fabuły. Ale głównie snop słońca, serdeczności. I zwierzęta, owce, tak pokazane, jak to tylko Pan jeden w literaturze polskiej umie robić [...] Jeżeli można prosić, rad bym mieć w tych *Halach* humor *Błażkowej Łysiny*, a serdeczność *Juzyny*, dwu Pana arcydzieł, niedocenionych moim zdaniem należycie (sygn. 8620, k. 104—105).

Następnie omówił rozmiar utworu i podał termin nadesłania: 1 kwietnia lub w ostateczności 10 kwietnia. Termin uległ znacznemu opóźnieniu, skoro dopiero w liście z 8 sierpnia 1925 r. czytamy:

Nie wiem, jak Kochanemu Panu podziękować za prześliczne *Na hale*. Dostyć napisać, że jest ten króciutki a przebogaty utwór właśnie taki, jakim go sobie — układając program książki — najsmielej wymarzyłem. Przede wszystkim z urodą artystyczną łączy, w Panu tylko właściwy sposób, prostotę, co jest główną zaletą i o co się nie mogę nieraz najznakomitszych pisarzy doprosić.

Ponieważ w zimowych cyklach I tomu mam jeszcze trochę wolnego miejsca, byłbym bardzo wdzięczny za zrobienie mi jakiejś równie króciutkiej rzeczy z jakim zwierzęciem-bohaterem i górami jako tłem. Tu już swobodę zostawiam Panu zupełną. Wiem, że tak we wnętrze zwierzęcia nikt nie wgląda dziś, jak Pan. Przypominam sobie zawsze z rozkoszą *Błażkową Łysinę* (sygn. 8620, k. 113).

Autograf opowiadania obejmuje kart 9: k. 42—47 wg numeracji bibliotecznej, formatu 4°, k. 48—50, formatu 8°. Karta 48 jednostronnie zapisana zawiera szczegółowe dyspozycje, karta 49 — szkice do poszczególnych scen utworu, np. „idą... zbercą kółka mosiężne przy toporzyskach ciupag; zsypuje się piarg pod stopy; dzwonki turlikają; ranek — radość rześka”. Na kartach 46 i 47 napisał autor czarnym atramentem 3 strony opowiadania, na nich niebieskim atramentem poczynił wiele zmian i nie kończąc zaczętego brudnopisu, tymże niebieskim atramentem napisał całe opowiadanie (k. 42—45), paginując strony. Nie jest to jeszcze czystopis.

Porównanie pierwszych akapitów tych dwu rękopisów pozwala stwierdzić, że pisarz gruntownie tekst przeredagował. W drugiej redakcji sam wyznaczył w tekście 14 słów gwarowych do objaśnienia. Niektóre objaśnienia, znajdujące się na 50 karcie autografu, zostały włączone do *Słownika*, z zaznaczeniem ich autorstwa.

Opowiadanie wraz z objaśnieniami zostało istotnie wydrukowane w podręczniku na „II rok nauki języka polskiego w szkołach średnich ogólnokształcących”, pt. *Będziem Polakami*, redagowanym przez J. Balickiego i St. Maykowskiego, Lwów 1928, V cykl: *Wśród wierchów*, s. 216—219.

#### OWCE W BURZY

Ważkiego materiału do genezy opowiadania *Owce w burzy* dostarcza list K. S. Jakubowskiego do Orkana, pisany 19 stycznia 1926 r.

Jako materiał do trzeciej noweli załączam odpis z Brehma *Tiergeschichte*: Schafsköpfe\*. Charakterystyka owcy jest potrzebna w tej nowelce, powinna jednak zarysować się w jakimś zdarzeniu. Charakterystyka słowna Brehma — przyrodnika, nie powinna w nowelce mieć miejsca. Transkrypcja w polskie stosunki jest konieczna. Opis Brehma odnosi się prawdopodobnie do stepów nad Morzem Kaspijskim. W górach owce mogłyby, strachem ogarnięte, wpaść w przepaść.

\* Brehm Alfred Edmund (1829—1884) — zoolog niemiecki, głównym jego dziełem jest *Tierleben* t. 1—6 (1864—1869).

Według Brehma, przewodnikiem owiec jest prócz człowieka i psa także baran i koza. Jeżeli przewodnictwo kozy w naszych warunkach nie ma zastosowania, to proszę kozy nie wprowadzać.

Proszę, by Szan. Pan zechciał użyć stylu prostego, zdań krótkich, gdyż nowelka ta, podobnie jak i inne, przeznaczona jest dla dzieci w wieku 8—9 lat.

W liście z 30 stycznia 1926 r. przypomina wydawca termin nadesłania noweli: „O tych owieckach ma być nie za tydzień, ale za dwa dni. A jak nie będzie, to się hruby gazda na Was do cna pogniewa”.

Tym razem nowela nie odpowiedziała stawianym przez wydawcę warunkom. Przede wszystkim, *Owce w burzy* nie są lekturą dla dzieci, a w żadnym wypadku dla 8—9-letnich.

W liście pisany 24 października 1927 r. wydawca, przesyłając Orkanowi I tom *Pierwszych czytań*, wyjaśnił wykrętnie: „Na *Owce w burzy* nie było już w tej książce miejsca, gdyż i tak już trochę za wielka”.

Autograf opowiadania obejmuje 2 karty (51—52 wg numeracji bibliotecznej), formatu 4°, 4 strony według paginacji autora. Opowiadanie zatytułował Orkan pierwotnie: *Szałas*, skreślił ten tytuł, zapisał: *Owce w burzy*, a obok niego w nawiasie: *Szałas w burzy*. Trzecią wersję tytułu skreślił. Jest to brudnopis, mimo licznych kreśleń i poprawek czytelny.

Obok autografu w zbiorach BJ znajduje się czystopis opowiadania, sporządzony przez żonę pisarza, Bronisławę (3 karty formatu folio, 53—55 wg numeracji bibliotecznej), oraz 4 egzemplarze maszynopisu, bez poprawek autorskich, jedynie wszystkie podpisane własnoręcznie nazwiskiem na 1 stronie. Wszystkie cztery egzemplarze urywają się na słowach: „w stronę prawą, gdzie bezpieczniej” (koniec strony drugiej), co oznacza, że ostatnia strona maszynopisu nie dochowała się (8 kart formatu folio, 56—63 wg numeracji bibliotecznej).

#### ZŁA ZIMA

Opowiadanie pisane było na zamówienie St. Maykowskiego, jak wynika z listu Orkana z dnia 15 września 1925 r.:

Czy Pan reflektuje nadal na artykuł, który napisałem na życzenie wyrażone w liście z dn. 8 VIII (Rzecz o sarnach i rogaczu na tle śniegowego pejzażu górskiego pt. *Zia zima*) — por. list cytowany w *Nocie, Na hale*, s. 403.

Opowiadanie spotkało się z aprobatą wydawcy i znalazło się, wraz z 15 objaśnieniami słownikowymi, w podręczniku na I rok nauki języka polskiego w szkołach średnich ogólnokształcących pt. *Kraj lat dzieciennych*, redagowanym przez J. Balickiego i St. Maykowskiego, w cyklu V: *Pod śniegiem*, s. 165—168.

St. Maykowski, wysyłając podręcznik Orkanowi, pisał w liście z 9 marca 1927 roku:

Niestety zakradły się do niej [książki] skutkiem korekt niedbałych błędy ponoć specjalnie w Pana *Złej zimie*, której rękopis był w kilku miejscach nieczytelny, a przy przepisywaniu na maszynie zarzucono go tak, że korektor zdaje się fantazją nadrobił w miejscach krytycznych; bardzo przeto prosić będę o przesłanie korekty, bo teraz dopiero właściwe duże wydanie robimy... (sygn. 8620, k. 119).

Następne wydanie ukazało się w 1932 r., a więc w dwa lata po śmierci pisarza; korekty autor raczej nie nadesłał, gdyż wydanie powtarza te same błędy np.: „w swych ruchomych pościelach” zamiast „w swych mchowych pościelach” (s. 103, w. 6).

Autograf opowiadania obejmuje 3 karty (k. 64—66 wg numeracji bibliotecznej) formatu 4°, 6 stron wg paginacji autora. Tekst pierwszej karty, zapisany do połowy drugiej strony, urywa się na słowach: „tłustością własną sycony”. — Dalszy ciąg opowiadania mieści się na kartach 65—66. Porównanie autografu karty pierwszej z autografem dwu następnych kart pozwala od razu zauważyć, że na karcie pierwszej znajduje się czystopis, gdy dwie następne stanowią brulionową wersję utworu, po prostu autor, sporządzając kolejny czystopis, przepisywania zaniechał, dołączając dwie karty brudnopisu.

Po raz drugi za życia pisarza po opowiadanie to sięgnął warszawski tygodnik „Siew”, organ Związku Młodzieży Wiejskiej, i wydrukował je w 6 nrze z dn. 9 lutego 1930 r. Z porównania tekstów podręcznika i czasopisma wynika, że redakcja



tygodnika posłużyła się tekstem podręcznika lub tym samym, co on, rękopisem. Obydwa wprowadzają te same przypisy oraz te same zmiany w stosunku do autografu; dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że czasopismo uniknęło błędu utrzymanego w obu wydaniach podręcznika: „ruchowych” zamiast „mchowych” (s. 103, w. 6).

W wydaniu obecnym oparto się na autografie.

#### ORŁY

Autografy obejmują 5 kart formatu 8° (k. 72—76 wg numeracji bibliotecznej), 8 stron wg paginacji autora, oraz 5 kart formatu 4° (k. 67—71).

Na kartach mniejszego formatu zapisał autor pierwszą wersję utworu, dużo kreśląc, dopisując. Następnie sporządził czystopis na 3 kartach formatu większego. Tekst czytelny, mimo że jeszcze w nim dużo widocznych poprawek i zmian. W tym autografie autor skreślił tekst od słów: „mnożyło wyprawami swymi na południe chwałę niedzickich orłów” (k. 68, s. 3) do końca utworu. Następnie na dwu kartach 70 i 71 dopisał nową wersję drugiej, skreślonej części noweli, paginując te karty w dalszym ciągu: 4, 5, 6.

Co było przyczyną przeredagowania utworu, wyjaśniają listy St. Maykowskiego do Wł. Orkana. W liście, pisanym dnia 21 stycznia 1927 roku zaprosił Maykowski pisarza do współpracy nad nowym tomem podręcznika:

Pana muszę znów pilnować o napisanie mi nowej krótkiej rzeczy. Nowa książka, całkowaniu Polski i uświadomieniu narodowemu poświęcona, ma się zwać *Będziem Polakami* [...] wewnątrz jest 10 cykli, poświęconych dzielnicom, zrastającym się obecnie, każdy pod charakterystycznym tytułem. Ma to być wachlarz ziem, otwarty szeroko przed czytelnikiem.

Cykl, do którego Pana zapraszamy, *Na szczytach*, ma następujący porządek [...] Nie wiem, czemu mi się ubrdało, że orły to by był pyszny temat dla Pana. Tyle Pan arcydzieł zwierzęcych porobił, które osobiście (nie kryję nigdy szczerych sentymentów) za lepsze od Kiplingowskich uważam [...]

Wracając do *Orłów*, byłaby to nowela albo oderwana zupełnie od ludzi, albo może jakąś cienką nitką fabuły związana z ludźmi. Ale tu prośba, uzasadniona charakterem i celem książki: czyby tłem nie mogły być przyłączone części Spisza, bo nie mogłem im osobnego ustępu poświęcić i byłbym wprost niewymownie wdzięczny Panu, gdyby mógł i chciał taką kombinację zrobić.

Orkan przysłał zamówioną nowelę, cóż kiedy właśnie temat Spisza, a raczej plebiscytu na Spiszu, okazał się nie do przyjęcia.

Dnia 29 marca 1927 roku pisze Maykowski do Orkana:

Za *Orły* bardzo pięknie dziękuję, ale i prośbę wielką dołączam do podzięk. „Spisza” nie rozumiałem jako „plebiscytowej” sprawy, którą tym chęć i muszę (z polit. względów) raczej zatrzeć, żeby nam nie powiedziano, że jakieś niechęci ku sąsiadom państwowym wznęcały [...].

Ponieważ Pan w swoim liście nadmienia, że „właściwie o samych orłach można by inaczej pisać”, więc chwytam się tego i proponuję: może by przepysznie dokonana połowę *Orłów* do słów: „...mnożyło wyprawami swymi na południe chwałę niedzickich orłów...”, zostawić, a tylko resztę, tj. jakąś „orlą przygodę”, o której Pan zapewne myślał, pisząc powyższe zastrzeżenie, dodać...”

Orkan, sądząc po autografie, zastosował się ściśle do rad redaktora i tekst przeredagował. I w tej drugiej wersji nowela została wydrukowana w wypisach pt. *Miej serce*, redagowanych przez J. Balickiego i St. Maykowskiego, Lwów 1930, s. 10—13.

Tę wersję włączono również do obecnego wydania. Za podstawę posłużył autograf noweli zawarty na kartach 67—68, 70—71. Obok autografów Orkana w zbiorach rękopiśmiennych BJ znajduje się odpis tej noweli, sporządzony przez żonę poety, Bronisławę, jeszcze przed dokonaną zmianą.

Opierając się na skreślonym autografie (k. 68—69), zamieszczamy w *Nocie* drugą część noweli w pierwotnej wersji, gdyż dokonana zmiana uczyniła z noweli zupełnie odmienny utwór, pod względem artystycznym zresztą o wiele lepszy.

Para królewska, w Niedzicy pozostająca, dzierżyła wciąż nad polskim Spiszem berło. I dobrze jej się wiodło. Widziało się, że szczęście, mocnym sprzyjające, na stałe przy niej siadło.

Aż przyszedł rok fatalny...

Coś się w ich królestwie spiskim zaczęło psuć. Jakieś niezwykle poruszenie wśród ludności — zgromadzenia hałaśne w dziedzinach, przejazdy furmanek częste, przemykanie szosami samochodów — dały się z góry oczom ich bystrym uważać. Dziwowały się tym zmianom, nie mogąc przeznaczyć przyczyny. (W ich orlą prostotę pierwotnego prawa nie mogła wcisnąć się przecie wiedza plebiscytu). Aż ci dnia jednego, gdy kołowały wysoko, zauważyły tu i tam na otwartej w dole mapie gromadki ludzi w odstępach, którzy wbijali w ziemię jakieś znaki. Znaki te szły od Czerwonego Kliszto-

ru — przez Magorę Spiską — do Jurgowa. (Juścić nie wiadome spraw dyplomacji, nie mogły orły w prostocie swej wiedzieć, że się tu właśnie nowe wytycza granice). Za jakiś czas znów, gdy nad tą częścią krążyły, postrzegły stojących w pobliżu tych znaków ludzi w mundurach, podobnych do siebie, z ognionośnymi kijami na ramionach (znały te zdrajne kije dobrze: z których wypadła błysk i huk śmiertelny). Trzymały się ostrożnie wysoko, badając to zjawisko. Naraz w momencie pewnym, gdy orlica poniżyła się w okrąży, by dokładniej rzecz uważać, strzał z hukiem wypadł z dołu i wyrwał jej dwa pióra z rozpostartego skrzydła. (Widać tu nie przelewki). Czym prędzej wzbiła się wyżej, ostrzegając krzykiem towarzysza. Cofnęły się nad teren ku gniazdowi, bliżej Dunajca i kołując nad Niedzicą, Ostarnią, Trybyszem, Białą Spiską, a pozierając ku między zdrażliwej, miały uczucie gnębiące, że się im państwo ścieśniło.

Pewnego ranka orzeł, na którego wypadła kolej zdobycia obiadu, zerwał się z baszty i poszybował górą na południe. Orlica została w gnieździe przy pisklętach.

Po jakimś czasie — gdy już orzeł-rodzic powinien był nadlecieć z obiadem — rozeszło się z południa po powietrzu, stłumione przesłaniającym wierchem lasu, echo wystrzału... Porwała się orlica z gniazda, niespokojna, wyleciała wysoko w powietrze i bystry wzrok rzuciła ku południowi. Jeszcze widać było w powietrzu czystym pasek dymu, wprost nad linią owych dziwnych znaków. Tknięta trwogą, poszybowała w stronę tego dymu, który wnet zniknął. Nadpływając ku zdrańczej granicy, instynktem uniosła się w górę i wysoko zataczała nad tym miejscem koła, wypatrując z natężeniem jakich śladów na ziemi. Nagle wydała krzyk krótki, rozpaczny...

Oto w dole dojrzała zewłok znany orła w rękę człowieka w mundurze. Rzuciła się bez pamięci na dół — wprost na głowę owego zabójcy. Już była tuż nad czołem jego — gdy znów mocniejsza ponad wszystko trwoga poderwała ją z powrotem w górę.

Długo z boleścią krążyła nad tym miejscem kłęski. Wreszcie pamięć na głodne pisklęta pociągnęła ją do szukania żeru. Sama już teraz musiała je żywić. Dla nich też również musiała się strzec. Ile razy padło jej przelatywać po zdobycz czy z łupem ponad nieszczęsną granicą, to zawsze wzbiła się w górę, aby ujść czyhającej zdrady. — Już nie panowała swobodnie nad Spiszem. Miała jeszcze nadzieję w orlętach, że one kiedyś...

#### DYZMA W BETLEJEMIE

Autograf obejmuje 4 karty, formatu 4° (k. 100—103 wg numeracji bibliotecznej). Na karcie 100 znajduje się sześć pierwszych zdań opowiadania; jest to początek nieskończonego czystopisu, zatytułowanego już: *Dyzma w Betlejemie*. Porównanie tych 6 zdań z odpowiednim fragmentem brudnopisu, skreślonym przez autora w trakcie przepisywania (ten sam atrament),

pozwała stwierdzić, że autor przede wszystkim skracał tekst w drugiej redakcji; I redakcja — 14 w., II redakcja — 9 w.

Na kartach 101—103, 5 stron wg paginacji autora, znajduje się brudnopis. Jest czytelny mimo wielu kresleń i dopisków. Na pierwszej stronie autor zapisał dwa tytuły: *Dyzma w Bettelemie*, *Dyzma w Stajence*, i oba skreślił. Obok autografów znajduje się jeszcze maszynopis opowiadania, bez poprawek autora.

Według korespondencji K. S. Jakubowskiego jest to jedna z pierwszych nowel pisanych dla tego wydawcy, już w liście z 19 stycznia 1926 r. (sygn. 8614, k. 78) potwierdza jej odbiór.

Nowela, zaliczona według „Rzeczowego przeglądu treści” do „Czytań treści religijnej i patriotycznej”, drukowana była w pierwszym i drugim wydaniu *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 114—118; 1929, s. 108—112 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

W wydaniu obecnym, opartym na autografie, opuszczono 13 wierszy brulionu, fragment ten ujął autor w nawias; nie posiada go zarówno maszynopis, jak i tekst czytanek. Autor widać zrezygnował z tego fragmentu, dlatego opuszczono go w tekście noweli, przytaczając go w *Nocie*, jako tekst ewidentnie nie skreślony:

Widząc tę zmyślność Wiernusia, ludzie różni, księża i panowie, którzy latem na żętycę na hale dochodzili, napierali się, by im go Dyzma odstąpił. Ale Dyzma nie chciał sprzedawać przyjaciela. Dopiero głód go przykłonił. Było to na przednowku po zimie długiej i postnej. Oba z Wiernusiem nie mieli co jeść. Tedy Dyzma ugłaskał psinę, uszeptał, uszeptał mu do ucha i powiódł go do organisty. Ledwie wrócił, kupiwszy chleba, do domu, Wiernus już tu. Skoro chleb zjedli, za dni parę odwiódł go do drugiej wsi i tam go księdzu wikaremu sprzedał. Myśli: tu już ostanie. A gdy do domu przyszedł, Wiernusia zastał w komorze, wcześniej odeń powrócił. Po trzeci raz już go nie sprzedawał. Bo też i lato nadeszło, trza się było brać w hale.

Na s. 113, w. 9 dodano ze względu na kontekst, opierając się na wydaniach w *Czytankach*, przeczenie „nie” przy orzeczeniu „zatoszczył się”; podobnie na s. 118, w. 6 zmieniono szyk zdania wg wydań książkowych.

## PRĘDKI MICHAŁ

Autograf obejmuje 4 karty (k. 80—83 wg numeracji bibliotecznej), 7 stron wg paginacji autora. Jest to brulion, bardzo czytelny, posiadający stosunkowo niewiele poprawek i kresleń.

Pierwotnie Orkan zatytułował opowiadanie *Prędkci Michał*, po czym skreślił: „Prędkci”, dopisując: „spod Gronia”, a pod nim znów pierwszą wersję: *Prędkci Michał*. Tych dwu tytułów na przemiany używa wydawca w liście z 19 stycznia 1926 r. (sygn. 8614, k. 78), w którym zawiadamia o przesłanym honorarium za dwie nowele.

Opowiadanie, zaliczone w „Rzeczowym przeglądzie treści” do „Czytań treści wychowawczej”, opatrzone uwagą nawiasową: „Lenistwo i niedbalstwo”, drukowane było w dwu wydaniach *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 149—151; 1929, s. 141—143 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

## PRYZGODA WOJTUSIA

Autograf obejmuje 4 karty (k. 137—140 wg numeracji bibliotecznej), 8 stron wg paginacji autora. Jest to brudnopis, mało czytelny — szczególnie dwie pierwsze karty — z powodu wielkiej ilości kresleń i poprawek.

Na pierwszej stronie widoczny jest tytuł skreślony: *Niedźwiedź*, i nad nim napisany ostateczny.

Tytuł *Niedźwiedź* łączy się ściśle z tematem podanym przez Jakubowskiego w cytowanym liście z 24 stycznia 1927 r.: „Niedźwiedź: jego życie i obyczaje, może w związku z jakąś przygodą w Tatrach lub na tle krajobrazu tatrzańskiego” (sygn. 8614, k. 86).

Obrazek podobał się — w liście z 14 lutego 1927 czytamy: „Przqdkci i Przygoda Wojtusia — doskonale i odpowiadają w zupełności naszym celom” (sygn. 8614, k. 88).

Opowiadanie, w „Rzeczowym przeglądzie treści” zaliczone do grupy: „Z programu przyrody”, opatrzone uwagą nawiasową: „Niedźwiedź”, drukowane było w dwu wydaniach *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 172—175; 1929, s. 165—168 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

## JĘDRUS NA WESELU

Autograf obejmuje 3 karty, formatu 4° (k. 111—113 wg numeracji bibliotecznej), 5 stron wg paginacji autora.

Jest to brudnopis, dość czytelny, bez wielkiej ilości poprawek i kresleń. Na kartach 114—120 znajduje się czystopis, sporządzony nie przez autora, bez widocznych też jego poprawek.

Opowiadanie pisane na zamówienie Jakubowskiego, w miejsce nie przyjętego *Jaś w Chochołowie* (zob. *Nota*, s. 418), ocenione w liście z dnia 23 lutego 1927 r. jako „nowelka doskonała” (sygn. 8614, k. 89), drukowane było w obu wydaniach *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 126—130; 1929, s. 120—124 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

W „Rzeczowym przeglądzie treści”, z uwagą w nawiasie: „Górale, ich strój i zwyczaje”, znalazło się w dziale: „Z programu geografii”.

## PRZĄDKI

Autograf obejmuje 3 karty formatu 4° (k. 134—136 wg numeracji bibliotecznej), 5 stron wg paginacji autora. Jest to brudnopis, źle czytelny z powodu wyjątkowo dużej ilości kresleń i poprawek. Obok tytułu *Przędki*, zanotował autor w nawiasie temat opowiadania: „Len”, podany przez K. S. Jakubowskiego w liście z 24 stycznia 1927 r.:

1. Len: jego uprawa i przeróbka w przemyśle domowym. Wyobrażamy sobie ujęcie tego tematu w formie obrazku, przedstawiającego wieczornicę w chacie wiejskiej, na której to wieczornicy kobiety przędą len. (Naturalnie Szan. Pan może ująć to inaczej). Cała historia uprawy lnu nie powinna być podana w formie wykładu, lecz zwięźle wpleciona w rozmowę przątek (sygn. 8614, k. 86).

Szybko uporał się Orkan z pisaniem, skoro w liście z 14 lutego 1927 r. pisze Jakubowski: „*Przędki*... — doskonałe i odpowiadają w zupełności naszym celom” (sygn. 8614, k. 88).

Obrazek ten, zaliczony do utworów „Z programu przyro-

dy", opatrzony uwagą w nawiasie: „Len, przedzenie i tkanie”, wydrukowało pierwsze i drugie wydanie *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 86—89; 1929, s. 80—84 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

W wydaniu obecnym oparto się, jak w całej serii, na autografie, wprowadzając za wydaniem książkowym dwie poprawki: w zdaniu: „Nikto mnie [...] w cienkim przedzeniu nie przeszedł”, dodano „w” (s. 136, w. 21); w zdaniu: „uprzedło się za dzieł” dodano „się” (s. 136, w. 29). I w jednym, i w drugim wypadku autograf był wyjątkowo nieczytelny, tekst kilkakrotnie zmieniany i kresłony.

#### JASIEK WE FABRYCE SUKNA

Autograf obejmuje 3 karty (k. 108—110 wg numeracji bibliotecznej), 5 stron wg paginacji autora. Jest to brudnopis, dość czytelny mimo wielu zmian i kresleń.

Opowiadanie — zamieszczone w „Rzeczowym spisie treści” w dziale „Z programu geografii”, z uwagą wyjaśniającą w nawiasie: „Wełna i jej przeróbka. Bielsko” — drukowane było w obu wydaniach *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 54—56; 1929, s. 56—58 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

#### NA OBCZYŹNIE

W liście z 24 października 1927 roku pisał Jakubowski do Orkana:

Na razie mamy do tomu trzeciego jeden temat. Mianowicie: na str. 210 ustep 119, pt. *Ojczyzna*, chcielibyśmy usunąć, jako dość słaby, a na jego miejsce dać inny ustep, o tej samej treści [...]. Powinien to więc być obrazek z życia emigrantów, przedstawiający ich tęsknotę za ojczyzną. Prosimy Szan. Pana o napisanie takiej rzeczy. Jednakże prosimy nie czynić bohaterami Górali, ani nie stosować gwary podhalańskiej, bo już w tym tomie Podhale jest bardzo silnie uwzględnione, z pominięciem innych dzielnic Polski. Ta nowelka o „Ojczyźnie” nie powinna żadną miarą przekraczać dwu

stron druku. Nie może to być opis, ani proza liryczna, lecz przedstawienie jakiegoś zdarzenia o żywej akcji lub ożywiona rozmowa (sygn. 8614, k. 97).

Orkan wywiązał się z zadania, Wojciech Święch (w pierwszej wersji: Wojciech Króźel) pochodzi z powiatu brzeskiego, a zatem nie używa „gwary podhalańskiej”.

Autografy obejmują 5 kart (k. 125—129 wg numeracji bibliotecznej). Na 3 kartach formatu 8° (k. 125—127 wg numeracji bibliotecznej), 6 stron wg paginacji autora, znajduje się brudnopis; na 2 kartach (128—129), formatu 4° — czystopis. Te dwie wersje bardzo się różnią między sobą, bo Orkan, ile razy miał okazję, tekst poprawiał, ulepszał.

Na s. 145, w. 21 poprawiono „pozakurzyli fajki” na „pozakurzali fajki” — autor napisał pierwotnie „zakurzyli fajki”, dopisał drugi przedrostek „po”, nie zmieniając równocześnie „zakurzyć” na „zakurzać”.

Opowiadanie — zaliczone w „Rzeczowym spisie treści” do „Czytań treści religijnej i patriotycznej” — ukazało się w drugim wydaniu *Pierwszych czytań...*, 1929, s. 204—206 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403).

#### ZA MORZE...

Autograf obejmuje 3 karty formatu 4° (k. 141—143 wg numeracji bibliotecznej), 5 stron wg paginacji autora. Jest to druga wersja opowiadania pt. *Las na Lubaniu* (autograf, k. 122—124, 5 stron wg paginacji autora).

*Las na Lubaniu* pisał autor dla czytanki; nie zadowolili jednak wydawcy, skoro dnia 16 października 1926 r. pisał do Orkana:

Nadesłany mi w swoim czasie *Las z Lubania* jest bardzo pięknym, poetyckim opisem. Do książki dla IV oddziału szkoły powszechnej nie mogę jednak tego utworu zużyć, gdyż na ten stopień konieczne są — według żądań programu ministerialnego — nowelki o żywej akcji. Prosić przeto muszę Szan. Pana, by zechciał ten sam temat opracować na nowo w formie takiej właśnie nowelki. Nowelką trzeba by objąć — jak to Szan. Panu już wiadomo — wyręb drzewa, splawianie bali rzekami, obróbkę tarcic (desek), wywóz bali i tarcic do krajów zamorskich.



Jestem przekonany, że nikt inny nie potrafiłby napisać noweli na ten temat tak dobrze — jak właśnie Szan. Pan, który zna i kocha lasy górskie, czego dowodem — *Las z Lubania* (sygn. 8614, k. 84).

Orkan utwór przerobił; opowiadanie pod tytułem: *Za morze...*, zyskało aprobatę wydawcy, a zatem zostało wydrukowane w dwu wydaniach *Pierwszych czytań...*, 1927, s. 206—209; 1929, s. 201—204 (zob. *Nota, Legenda o Podhalu*, s. 403). W „Rzeczowym spisie treści” opowiadanie to znajduje się w dziale „Z programu geografii”, z uwagą w nawiasie: „Wyrąb, obróbka i wywóz drzewa”.

Do obecnego wydania włączono drugą wersję opowiadania, pt. *Za morze...* wersję pierwszą: *Las na Lubaniu*, włączono do *Noty*. Na s. 150, w. 22 opuszczono określenie „na bystrych falach” przed „jedne za drugimi”; autor skreślił wyraz „falach”, nadpisał nad nim wyraz trudny dziś do odczytania, i również skreślił. Wobec wyraźnej dezaprobaty autora zdecydowano się opuścić pierwszą część określenia „na bystrych”.

#### LAS NA LUBANIU

Szumi na Lubaniu las... Wysoko strzelają w górę śmigłymi wieżycami smreki, a jeszcze wyżej wznoszą się dumnymi koronami jodły. O czym szumem swym opowiadają? Ze wieki nad nimi przeszły, przeminiły i mocne wichry zaohodu ni burze ich groźne nie złamały — że tu wyrosły, tu trwają, tu będą, na zawsze z dumą Lubania związane, jemu opowieści drzewne o wiekach zmarłych szumiące. Ani przyśnić im się może, iż znajdują się wnet daleko poza ojczystym Lubaniem, w krajach nieznanych, obcych, za morzami.

Przyszli dnia jednego kupcy — opatrzyli je uważnie z bliska, pomierzyli ich grubość — odeszli. Za parę dni zjawili się najemnicy — chłopci — jedni ze siekierami — drudzy z piłą — przeżegnali się, popluli w dłonie i jęli z kraja ciąć. Bolesnie zajęknął las. Nie uszedł kwartał, jak zaświeciła ubocz góry od leżących pokotem, odartych z kory drzew.

Za czym nadeszło spychanie... Rozlegało się z góry ostrzegawcze: „waruj!” — i ruszone maszły gładkie mknęły końcami na dół po stromej uboczy aż ku światłu Dunajca, ku wodzie. Za parę dni piętrzyły się w stoku przy drodze stopy zepchniętego spod szczytu Lubania drzewa. Tedy zajeżdżać poczęli ku stosom chłopci z furami, porżnięte na krótsze i ładowane kolejno na koła grube bale jodłowe szły fura za furą, dzień po dniu — do najbliższego tartaku. Tu je znów na stos na placu zwalono. Pomocnicy drzewni wtaczali je po pomoście na wóz tartaku — dozorca [...] puścił w ruch pionowy ramę z piłami, które ze zgrzytem wżerały się w pień — kwadrans nie uszedł, jak już bal był porżnięty na deski. W mig pomocnicy rozdzie-

lone wynosili na plac, gdzie je w kozły dla lepszego przeschnięcia składali. Tak mijał się bal za bałem, a kozły desek rosły. Skoro należyście przeschnęły, kładziono je znów na fury i odwożono na stację; tam ładowano je w wysoką ścianę na wagony i wysyłano w świat na zachód do miejsca przeznaczenia. Tak się minęły jodły spod Lubania.

Szczęśliwszy spotkał los smrekowe cieńsze, przeznaczone do kopalni kolumny. Te miały jechać do stacji wodą. Więc zbijano je przy brzegu w pomost, na nim kładziono drugą warstwę w poprzek, a na tej znów trzecią, czwartą — aż urósł gruby stos, klamrami w ściany ujęty. Na nim, jakby na tratwie, sadowili się z długimi w ręku żerdziami chłopci przewoźnicy. Gdy takich stosów tratw sporządzono kilka, kilkanaście, tedy na dane hasło wparli przewoźnicy żerdzie w grunt przybrzeżny i zepchnęli stosy drzewa na środek Dunajca. Ruszyły na bystrych falach, jedne za drugimi. Nie śniło się im, że tak wspaniale pojadą. Szum fal przelewanych przypomina im ich gwarę leśną, gdy w gałęziach rozłożystych tkwiły. Wydaje im się, że są jeszcze lasem, że szumią wraz z falami. Dunajec pieni się, błyszczący, pośnienie do słońca — a one mkną na falach dumnie, mijają przybrzeżne sioła, drzewa w zazdrości stojące na brzegu i jadą sobie w świat nieznany, może aż za lądy, morza, w błękit otwierających się pod falami niebios. Jakaż radosna jazda [nad] spodziewanie... „Ho-hej!”

Wnet minęły się groźne ruiny Czorsztyna i na brzegu drugim zamek niedzicki. Niezadługo ujęły rzekę w koryto strome ściany Pienin. Dunajec wije się w skrętach między nimi jak lśniący wąż olbrzymi — przewoźnicy jadący na stosach musieli tedy pilną dawać baczość, by się tratwy o ściany nie rozbiły; na zakrętach stawiali gotowe żerdzie przeciw skałom i odbijali stosy drzewne na środek fal; ciężką mieli z tym pracę. Odetchnęli dopiero, gdy Dunajec wydobył się z Pienin i równą już rzeką płynął ku Szczawnicy. Stosy tratw mknęły z falami po środku z pokutującymi na nich sternikami jakby zdobywca flotyła. Przeszły pizecie przez zdradną cieśń Pienin i wyszły wszystkie zwycięsko. Wnet ostały za nimi Szczawnica, Krościenko, Łącko — otwarła się dolina sądecka. Zwiększona Popradem rzeka lekko znosiła stosy drzewne na grzbietach fal. Wnet wpłyną — marzą — na wody Wisły szerokie i pomkną szparko przez ziemie niżne aż ku Gdańsku.

Los jednak inaczej im był znaczony. Pod Sączem przewoźnicy przybili do brzegu. Stosy osiadły na piachu. Tedy zjawili się robotnicy, poczęli rozbijać związane, odtaczać je po jednemu na brzeg, skąd fury gotowe przewoziły je na dworzec. Tu znów ładowano je w spiętrzone stosy, lecz już na wagony. Zamiast na północ i wodą, jechały na zachód koleją. W dwa tygodnie przybyły nad morze. Tu je przeładowano na okręty — i dalej pojechały do Anglii.

Deski z jodeł Lubania służą za pomosty — słupy smrekowe podpierają w kopalniach angielskich węglowe szyby. Gdy szum przeciągły wichru je doleci, przypominają sobie, skostniałe, jak szumiały kiedyś lasem na Lubaniu. Dziś tam widnieje z dala pustać wrębu.

## NIEZGODA MEYNÓW

Autograf obejmuje 4 karty formatu 8° (k. 130—133 wg numeracji bibliotecznej). Na 3 kartach (k. 130—132), 6 stronach (5 paginowanych przez autora) znajduje się brudnopis. Na stronie pierwszej w lewym górnym rogu zanotował autor uwagę: „8 lat”. Tak określił wydawca Orkanowi wiek czytelnika opowiadania, oto wyjątek z listu Jakubowskiego z dnia 24 października 1927 r.:

Do drugiego tomu (dla oddziału III) potrzebujemy jakiejś krótkiej nowelki o młynie. Celem jej byłoby zapoznanie dzieci z młynem, jego pracą i znaczeniem w gospodarstwie. Oczywiście — odpowiednie ilustracje byłyby tu pomocą. Przychodzi nam na myśl, czy nie można by dać dwu młynów: wodnego i wiatraka, np. pogwarzających z sobą o swojej pracy, swoich radościach i kłopotach. Nie narzucamy Szan. Panu tego pomysłu. Prosimy tylko, by rzecz była krótka (co najwyżej dwie strony po 34 wierszy w formacie II-go tomu), żywa i łatwa, bo przeznaczona jest dla dzieci ośmioletnich (sygn. 8614, k. 97).

Na karcie 133 znajduje się plan opowiadania, skonstruowany w charakterystyczny dla Orkana sposób, a mianowicie przy pomocy jakby migawkowo zanotowanych scen:

1. Gdy cisza była w powietrzu..., a woda... młyn wodny...
2. Gdy znów posucha nastąpiła i woda w rzece zginęła... tak że młyn musiał stać — młyn powietrzny drwił: Czemuż nie mielesz?...

Obrazek ten został wydrukowany w rok po śmierci pisarza, w 1931 roku, w tzw. *Pierwszych czytaniach dla szkół powszechnych*, w Części drugiej dla oddziału III, tym razem pod redakcją Z. Pfaunówny i St. Rossowskiego, s. 190—193. W „Rzeczowym przeglądzie treści” obrazek ten zamieszczono w dziale „Życie i współżycie ludzi (praca człowieka, wytwory ręki ludzkiej, obrazy z życia, zwyczaje)”.

Na s. 153, w. 11 poprawiono „klecot” na „klekot”, uważając formę tę za przepisanie się autora, gdyż słowniki gwarowe nie notują formy „klecot”.

## JAŚ W CHOCHOŁOWIE

Autograf obejmuje 3 karty formatu 4° (k. 97—99 wg numeracji bibliotecznej), 5 stron wg numeracji autora. Jest to brudnopis, dość czytelny, na pierwszej stronie, z boku, zanotował autor w nawiasie temat opowiadania: „Górale”.

Opowiadanie to pisał Orkan na zamówienie K. S. Jakubowskiego; w liście z 24 stycznia 1927 r. podał wydawca temat noweli: „3. Górale: strój, zwyczaje i obyczaje”, prosząc o nadesłanie do 10 lutego. Autor terminu dotrzymał, cóż kiedy opowiadanie nie odpowiadało wydawcy; 14 lutego 1927 r. pisał:

W nowelce *Jaś w Chochołowie*, zresztą bardzo dobrej, prosić musimy o zmianę. Mianowicie, dzieci w czwartym oddziale szkoły powszechnej nie znają jeszcze z nauki historii powstania chochołowskiego i poza tym nie jest wskazane wprowadzanie na tym stopniu nauczania nowelek opracowanych na tle walk socjalnych (zob. sygn. 8614, k. 88).

Orkan opowiadania nie przerabiał, na jego miejsce napisał obrazek również o góralskim stroju i obyczaju, ale bez tła walk socjalnych, pt. *Jędrus na weselu* (zob. *Nota*, s. 412).

## SZKICE I WSPOMNIENIA LITERACKIE

Zebrane studia literackie to przygodne wypowiedzi Orkana w dziedzinie krytyki z całego trzydziestoletniego okresu jego działalności pisarskiej. Wypowiedzi te — jak twierdzi St. Pigoń — „wywołane były prawie zawsze jakąś doraźną potrzebą: są to przeważnie wspomnienia pośmiertne o ludziach miłych sercu autora, przedmowy do bliskich mu dzieł, wystąpienia w obronie dzieł własnych itp.”\*

Przygotowując obecne wydanie starano się zgromadzić wszystkie opublikowane wypowiedzi, sięgnięto do rękopisów, by wyłowić z nich co cenniejsze pozycje, których autor nie ogłosił drukiem ani ich nie dano w wydaniu z 1936 r. Mimo takiego założenia nie uznano za celowe włączać do tomu pu-

\* St. Pigoń, *Posłowie*, w: W. Orkan, *Czantoria i pozostałe pisma literackie*, Lwów 1936, s. 294.

blikacji, o których sam autor wyrażał się negatywnie, np. *Przedmowa do Trioletów tatrzańskich* K. Steckiego (w myśl jednak przyjętej zasady tekst ten włączono do *Noty*, zob. s. 442—443).

#### O ODCZUWANIU DZIEŁA SZTUKI

To tytuł odczytu wygłoszonego w Zakopanem dnia 21 marca 1903 r. W numerze 12 „Przeglądu Zakopiańskiego” z 21 marca 1903 r. ukazała się zapowiedź odczytu, w numerze zaś 13 i 14 z 4 kwietnia w rubryce „Pogadanki literackie” podano obszerniejsze sprawozdanie z odczytu, gdzie czytamy m. in.:

Wł. Orkan wobec przepelnionej salki Czytelni mówił z powodu *Wyzwolenia* Wyspiańskiego. Biorąc właściwie tylko za punkt wyjścia różnorodność sądów o *Wyzwoleniu*, mówił w ogóle o stosunku twórcy do widowni, zupełnie oryginalnie, a bardzo ciekawie określając ten stosunek. P. Orkan twierdzi, że dzieło sztuki zrozumianym i ocenianym może być właściwiej tylko przez przyjaciół twórcy, [...] ludzi stojących z twórcą na jednym stopniu rozwoju umysłowego. [...] Oprócz tego wstępu p. Orkan odczytał te ustępy z pośmiertnych dzieł Słowackiego, o których sądzi, że wpłynęły na twórcę *Wyzwolenia*.

Plan odczytu i brudnopis zatytułował autor: *Z powodu „Wyzwolenia”*. Tytuł obecny nadał Orkan fragmentowi odczytu, który wydrukował w księdze zbiorowej pt. *Myśli* (Warszawa 1904). Odczyt powstał na marginesie przemysłów *Teorii socjalnej*, nad którą pracował właśnie w latach 1903—1904, zob. s. 342 i n.

Autograf (sygn. 8555) obejmuje 13 kart, na ogół formatu 4° (k. 20—32 wg numeracji bibliotecznej). Na kartach 31 i 32 zanotował autor dwa plany odczytu, oto jeden z nich:

I. Różne głosy o *Wyzwoleniu*.

II. Krytyka Ortwina. (Różne sądy o idei *Wyzwolenia*, wszystkie mają rację).

III. Autor i widownia.

IV. Widz wobec dzieła sztuki — wobec dzieła natury. Zachód słońca.

V. Wielkość dzieła. Co jest wielkością dzieła? Powiadają niektórzy: „gdy dzieło znajdzie oddźwięk w każdej duszy”. Gdy przerasta pojęcia tłumy — nazywając arystokratycznym terminem całą widownię.

Genialna jednostka musi przechodzić w rozwoju swoim wszystkie stopnie — i z każdego stopnia coś w niej jest. Przeto każdy z będących na niższych stopniach znajdzie w jego utworze coś swojego. Ale prawdziwie wielkość dzieła będzie nie sztucznym „ponad” (bo się tak można pomylić — biorąc niejasność za przerosł), ale prawdziwe „ponad”, spojrzenie ze stopnia wyższego niż znajdujący się na widowni. Rzecz wielka zawsze będzie jasna — dla każdego różnie (to jest właściwie — nie dla każdego, dla różnych grup, na różnych stopniach myślowego rozwoju będących).

Na kartach 29—30, 26 i 28 znajduje się brudnopis tegoż odczytu, zatytułowany również: *Z powodu „Wyzwolenia”*. Autor, przygotowując rozprawkę dla *Myśli*, przystąpił do sporządzenia czystopisu. Napisał 6 kart (k. 20—25) od początku do słów: „różni od niego ludzie będą większość stanowili” (s. 167, w. 20) i dołączył w dalszym ciągu brudnopis (k. 26 i 28), dopisując na karcie 27 wstawkę z anegdotą o Góralu-przewodniku (zob. *Nota, Gadki z Podhala*, s. 395).

Tak złożoną całość popaginował autor niebieską kredką od 1—10, tą samą kredką popodkreślał pewne fragmenty w tekście.

Duży fragment odczytu — pt. *O stosunku widowni do dzieła (urywek z odczytu)*, od słów: „Wyzwolenie, a raczej przyjęcie, jakiego doznało od ludzi...” (s. 164, w. 1) do słów: „I w tym, i w tamtym wypadku człowiek ten słusznie dzieło sądził” (s. 167, w. 17) — wydrukował autor w księdze zbiorowej wydanej w 1904 r. staraniem redakcji „Ogniwa”, zatytułowanej *Myśli* (s. 394—396); było to wydanie, z którego — jak wynika ze wstępu — dochód przeznaczono na powodzian.

O udział w przygotowaniu książki zbiorowej zwróciła się do Orkana z prośbą redakcja „Ogniwa” listem z 10 września 1903 roku.

W wydaniu obecnym oparto się na autografie jako najpełniejszej wersji odczytu, zostawiając tytuł ustalony przez pierwszego edytora tomu Orkana, St. Piłonia. W pierwszym zdaniu — podobnie jak w wydaniu z 1936 r. — zmieniono ze względu na kontekst „zapowiadającego” na „zapowiada” (s. 163, w. 1).

## PUŁKOWNIK MIŁKOWSKI. WSPOMNIENIE

Nie dochował się autograf wspomnienia. W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej, w tece opatrzonej sygn. 8574, na karcie 27 (wg numeracji bibliotecznej), formatu 4°, znajduje się szczegółowy plan, a raczej pierwszy rzut wspomnienia, zatytułowany: *Zygmunt Miłkowski*. Plan autor skreślił, sposób kreślenia wskazuje, że autor odkreślał pewne fragmenty, prawdopodobnie pisząc pełną wersję tekstu. Plan nie obejmował wstępnego akapitu, kończył się na słowach: „To miejsce nawodzi mi atak... sziłmy przy tym 17 razy do szturmu”.

Wspomnienie ukazało się w „Nowej Reformie”, w dodatku literackim do nr 169 z dnia 3 kwietnia 1915 r.

Za podstawę obecnego wydania przyjęto pierwodruk czasopiśmienny.

## JAKUB BOJKO JAKO PISARZ

Taki tytuł nadał przedmowie do książki: J. Bojko, *Pisma i mowy* (Lwów 1904), pierwszy edytor rozproszonych pism literackich Orkana, St. Pigoń\*.

Brudnopis *Przedmowy* (sygn. 8555) obejmuje 1 kartę formatu in folio (k. 48 wg numeracji bibliotecznej).

Orkan przedmowę podpisał, notując miejsce i datę pisania: „Poręba Wielka dn. 7. XII. 1903”.

W wydaniu książkowym (Wydawnictwo im. Kasyldy Kulińskiej, książeczka VI, s. 3—7) widnieje data: „12 grudnia 1903 r.” Jest to zapewne data sporządzenia czystopisu, z którego *Przedmowa* była składana.

Czystopis ten znajduje się w zbiorach Biblioteki im. Ossolińskich, sygn. 7204, t. XXX: teka rękopisów redakcyjnych „Kurieria Lwowskiego”, k. 313—315.

Porównanie tekstu obu autografów z wydaniem książkowym pozwala ustalić duże różnice między brudnopisem a czystopisem, natomiast drobne typu: „inną” zamiast „inszą”, między czystopisem a pierwodrukiem książkowym.

\* Zob. *Czantorla...*, s. 153.

Z książki przedrukował *Przedmowę* „Kurier Lwowski” (1904, nr 224 z dn. 13 sierpnia) w artykule pt. *Pisma i mowy Jakuba Bojki*. Przedmowę poprzedza krótki, jednoakapitowy wstęp od redakcji, polecający nowo wydaną książkę działacza chłopskiego.

Za podstawę obecnego wydania przyjęto tekst pierwodruku książkowego, jedynie w zdaniu zaczynającym się od słów „Kultura chłopska...” wprowadzono z czystopisu ze względu na kontekst określenie „szlacheckiej” (s. 180, w. 14).

#### MARIA WYSŁOUCHOWA. WSPOMNIENIE

Autograf (sygn. 8555) obejmuje 13 kart (k. 34—46 wg numeracji bibliotecznej) formatu 4<sup>o</sup>, ujętych przez autora w składkę papieru (k. 33 i 47), oznaczoną przez autora: „Sp. Maria Wysłouchowa”.

Na kartach 43—45 (1—3 wg numeracji autora) znajduje się szczegółowy plan, a raczej ogólny zarys *Wspomnienia*. Na karcie 46 pierwsza wersja wiersza: *Duchowi Marii Wysłouchowej*; na odwrocie karty 43 czystopis 2 strofek *Wspomnienia*, skreślony przez autora. Wiersz (późniejszy tytuł: *Mogiłom moim...*) powstał w Blonay 22. III. 1905 r.\*

Na karcie 41 oznaczonej: „Materiały”, wypisał Orkan m. in. nazwy czasopism: „Kronika”, „Ogniwo”, „Głos”, oraz trzy fragmenty: z „Promyka” — wspomnienia uczennicy; „z listu do Jana Wantuły (na Śląsku)”; z „Przyjaciela Ludu”, wszystkie one weszły w skład *Wspomnienia* (por. s. 185, w. 15 i n.; s. 187, w. 4 i n.; s. 187, w. 15 i n).

Na karcie 42 znajduje się fragment tekstu od słów: „Z mężem swoim Bolesławem...” do słów: „Osiedłszy z mężem we Lwowie...” (s. 184, w. 8 — w. 27), jest to pierwszy rzut, bardzo różny od wersji brulionowej.

Na kartach 34—40 znajduje się brudnopis *Wspomnienia*; dzieli się on wyraźnie na trzy części; każdą część zaczyna autor od nowej strony. Jest to pierwsza wersja, różniąca się

\* Zob. W. Orkan, *Poezje zebrane*, t. I, s. 191, 429.



bardzo od czystopisu, który znajduje się w zbiorach Biblioteki im. Ossolińskich, sygn. 7204, t. XXX: teka rękopisów redakcyjnych „Kuriera Lwowskiego”, k. 325—353. Z czystopisu tego składana była przedmowa do książki zbiorowej pt. *Maria Wysłouchowa. Wspomnienie pozgonne*, Lwów 1905, s. 5—13.

Porównanie tekstu czystopisu z wydaniem książkowym pozwala stwierdzić pięć drobnych odstępstw od czystopisu, których autorstwo trudno dziś ustalić, np. zdanie na s. 185, w. 26 brzmiało w czystopisie: „stawiali przeszkody głupie sami rodzice-spółobywatele”.

W wydaniu obecnym za podstawę przyjęto tekst z wydania książkowego.

#### MŁODA POLSKA

Pod tym tytułem napisał Orkan artykuł dla paryskiego „Wolnego Polskiego Słowa”, drukowany w r. 1899, dn. 5 marca. Pierwodruk ten posłużył St. Pigionowi w 1936 roku za podstawę wydania tegoż artykułu w tomie: *W. Orkan, Czantorja...*, s. 157—164.

Obecne wydanie oparto na edycji z 1936 roku, gdyż „Wolne Polskie Słowo” jest dziś nieosiągalne, a autograf, znajdujący się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej (sygn. 8555), nie dotyczy artykułu, lecz odczytu, również pod tytułem *Młoda Polska*, wygłoszonego lub mającego być wygłoszonym w r. 1902 (może 1903), który stanowi odmienne opracowanie tegoż tematu.

Autograf jego obejmuje 10 kart, formatu 4°. Zawiera on dwa szkice odczytu, jeden (k. 59—62 wg numeracji bibliotecznej) bardzo nieczytelny, pisany ołówkiem; drugi (k. 53—58) pisany atramentem, numerowany przez autora, czytelny, robi jednak wrażenie nie skończonego.

W obecnym wydaniu do artykułu pt. *Młoda Polska* dołączono jako część drugą fragment odczytu zawarty na kartach 53—58.

## [Z RECENZJI]

W tece autografów, opatrzonej sygnaturą 8561, znajdują się m. in. trzy znaczniejsze recenzje Orkana, który „krytykiem ni recenzentem z powołania nie był”<sup>\*</sup>.

Na karcie 9, formatu folio — recenzja z tomiku *Poezje* Lucjana Rydla (Warszawa 1901), drukowana w „Tygodniu” (dodatku literacko-naukowym „Kuriera Lwowskiego”) 1902, nr 5 z dnia 7 lutego.

Na karcie 10, formatu folio — recenzja z tomiku *Sny o poędze* Leopolda Staffa (Warszawa 1901).

Na karcie 12—14, formatu 8° — recenzja tomu *Taniec miłości i śmierci* St. Przybyszewskiego (Lwów 1901). Na tom złożyły się dwa utwory: dramat *Złote runo* i epilog dramatyczny w jednym akcie *Goście*.

Wszystkie te trzy autografy to brudnopisy, mimo skreśleń i licznych poprawek dość czytelne; autografy te posłużyły za podstawę obecnego wydania.

## W SPRAWIE STANISŁAWA BRZOWSKIEGO

Autograf znajduje się w zbiorach Biblioteki im. Ossolińskich, sygn. 7204, t. XXX: teka rękopisów redakcyjnych „Kuriera Lwowskiego”, k. 377—387. Jest to czystopis, który przesłał redakcji autor do publikacji. Redakcja „Kuriera” nie opublikowała głosu pisarza w sprawie, która poruszała i oburzała go do głębi, ale na którą redaktor dziennika miał widać odmienny pogląd.

Obecne wydanie oparto na tym właśnie czystopisie.

W Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 8555) znajduje się jedna karta 63 wg numeracji bibliotecznej) opatrzona uwagą autora: „sprawa Brzozowskiego”. Na karcie tej zanotował kilka drobnych uwag, np.:

Ten człowiek kłopotał się wszelkimi rzeczami i nie mógł uporządkować sobie „życia”, jak je uporządkowuje np. pan mecenas Serfein.

<sup>\*</sup> St. Pigoń, *Posłowie do: W. Orkan, Czantoria...*, s. 294.

Tak więc, gdy te armaty wytoczone okazały się pukawkami.

Katerla: — Dziwny to potwór — partia... następ na jeden ogonek, a wszystkie ogonki drgają.

#### JAN STEN. WSPOMNIENIE

Autograf (sygn. 8555) obejmuje 2 karty formatu 4° (64—65 wg numeracji bibliotecznej), paginowane przez autora. Jest to brudnopis, czytelny, mimo że bardzo kreślony. W zakończeniu zamieścił autor podpis, podał miejsce i datę pisania: „Poręba Wielka d. 10 listopada 1913”.

Wspomnienie to, opatrzone datą: 10 grudnia 1913 r., drukowała krakowska „Krytyka” 1914, z. 1, s. 16—18.

Porównanie tekstu brudnopisu i „Krytyki” wykazało wiele różnic; charakter ich pozwala przyjąć, że autor, sporządzając czystopis dla czasopisma, dokonał wielu zmian.

Obecne wydanie oparto na pierwodruku czasopiśmiennym.

#### FRANCISZEK NOWICKI

Dnia 29 marca 1926 roku Krakowska Spółka Wydawnicza zwróciła się do Orkana z propozycją:

Pragnąc pomieścić w wydawanej przez nas „Bibliotece Narodowej” *Poezje* Franciszka Nowickiego, zwracamy się z uprzejmym zapytaniem, czyby JW Pan nie raczył podjąć się opracowania tychże w naszym wydawnictwie oraz przygotowania ich do druku, a to pod następującymi warunkami:

1. JW Pan opracuje wstęp około 2 arkuszy druku małej ósemki, podzielony na rozdziałki osobno tytułowane, w którym w sposób zwięzły, jasny i przystępny dla szerszego ogółu czytelników oraz dla uczącej się młodzieży poda ważniejsze informacje, wyjaśniające genezę utworów, znaczenie ich w rozwoju naszej literatury, rozbiór i ocenę estetyczno-krytyczną oraz bibliografię. Pragnieniem naszym byłoby, aby wstęp miał charakter syntetyczny, uwagi bowiem odnoszące się do szczegółów utworu znajdują swe miejsce w objaśnieniach tekstu.

Kartą pocztową z 15 października 1926 r. Spółka zawiadomiła Orkana o wypłaceniu reszty honorarium, co pozwala przyjąć, że wstęp był już w rękach wydawnictwa. Dlaczego w Bibliotece Narodowej *Poezje* Nowickiego, z wstępem Orkana, nie ukazały się, trudno dociec.

W Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 8555) znajduje się brudnopis wstępu, obejmuje on 16 kart (k. 66—83 wg numeracji bibliotecznej — 27 stron według paginacji autora), formatu 4°, ujętych w składkę papieru, z uwagą autora w prawym rogu u góry: „Nowicki”.

Autograf obejmuje jednostronicowy wstęp (k. 82); na 12 kartach (67—78), w czterech tytułowanych rozdziałach, autor omówił twórczość Nowickiego; 2 karty (80—81) poświęcił biografii i bibliografii. Autograf rozprawy jest brudnopisem, trudno czytelnym z powodu dużej ilości kreśleń, wstawek itd.

Czystopisu rozprawy nie udało się odszukać w 1936 r. St. Pigoñowi, edytorowi *Czantorii i pozostałych pism literackich*\*, nie udało się go znaleźć i teraz, dlatego za podstawę obecnego wydania przyjęto brudnopis. We wstępie nakreślonym przez Orkana na k. 82 opuszczono — podobnie jak w wydaniu z 1936 r. — pierwszy akapit, w którym autor w sposób bardzo ogólnikowy uzasadnia wydanie *Poezji Nowickiego* w Bibliotece Narodowej. Ze względu na brulionowy charakter autografu, przy ustalaniu tekstu przyjęto podobną metodę jak przy *Czantorii...*, zob. *Nota wydawcy*, s. 387.

Porównanie cytowanych w rozprawie wierszy Nowickiego z wydaniem z 1891 r. i 1904 r., którymi mógł się Orkan posługiwać, pozwoliło dokonać paru poprawek, uzupełnić parę niedokończonych cytatów.

Uznano za celowe przytoczyć z brulionu w *Nocie* obecnego wydania *Biografię i bibliografię* Nowickiego, nakreśloną przez Orkana, gdyż szczególnie „bibliografia” wnosi parę ważnych szczegółów dla poznania ówczesnych stosunków wydawniczych, oczywiście w niczym nie przypomina ona dzisiejszych zapisów bibliograficznych.

#### Biografia i bibliografia

Franciszek Henryk Nowicki urodził się w roku 1864 w Krakowie. Ojciec jego, Maksymilian Nowicki, był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, znanym zaszczytnie zoologiem i ichtiologiem. Matka z domu Kasperek rów-

\* St. Pigoñ, *Nota bibliograficzna*, w: W. Orkan, *Czantorla...*, s. 288.

niez z profesorskiej rodziny. Szkoły: ludową, średnią i uniwersytet (do 3 roku włącznie) odbył Franciszek Henryk w Krakowie; po 3 roku filozofii z uniwersytetu krakowskiego relegowany za młodzieżową rebelię (rozbiście popiersia rektora), dokończył studia uniwersyteckie w Wiedniu. W roku 1894 wstąpił do służby zawodowej jako nauczyciel gimnazjalny (polonista). Uczył dłuższy czas w gimnazjum w Tarnowie, potem w Stanisławowie, Lwowie, na końcu w Krakowie. Od roku 1924 jest na emeryturze.

Pierwsze wydanie *Poezji* Fr. H. Nowickiego wyszło w r. 1891 we Lwowie „nakładem autora” w 300 egzemplarzach. Podjął się wypuszczenia tomiku p. K. Ostaszewski, współwłaściciel drukarni i wydawca „Dziennika Polskiego”. Nowicki miał mu za druk zapłacić 80 zł reńskich. Dał na to 20, a reszta „wisiała”. Z poezji wydanych nic nie wpłynęło, poeta też do chodu nie miał.

Po jakimś sporym już odstępem czasu od wydania tomiku spotyka p. Ostaszewski na Lini C—D Fr. Nowickiego.

— Gwiazdo literatury — mówi. — Ja już plunąłem na ten interes.

— Ja też — odpowiada Nowicki.

I nie było już więcej o tym „interesie” gwary.

Charakterystycznym jest dla społeczeństwa, że trzysta egzemplarzy, i to jakich poezji, sprzedawało się przez lata — mimo że głosy oceny tej manifestacji twórczej były jak najpochlebniejsze. Trudno je tu wszystkie przytaczać. Więc niech wystarczy, co jest najbardziej chyba miarodajne, opinia kolegów poetów. Mówił mi niegdyś K. Tetmajer: „Tak się zdarzyło, że czterech nas równocześnie wydało pierwsze poezje swoje: Franciszek Nowicki, Antoni Lange, Niemojewski i ja. Jedno też było zdanie nasze, że najlepszy z tych wszystkich był tomik Franka Nowickiego”. Był to dowód rzadkiej koleżeńskej sprawiedliwości, a zarazem trudne zwycięstwo poety.

Drugie wydanie poezji Nowickiego pt. *Pieśni czasu* nastąpiło dopiero w r. 1904, nakładem księgarni Jelenia w Tarnowie, i to na skutek starań kolegującego wówczas z Fr. Nowickim w gimnazjum tarnowskim prof. T. Pinięgo. Nakład wynosił 500 egzemplarzy. Honorarium autora 200 koron. Jest to — zdaje się — jedyne honorarium, jakie Nowicki, poeta, przez ciąg żywota otrzymał.

Poza tym ukazywała się różnymi czasy mniejsza lub większa ilość wierszy Nowickiego w antologiach, ostatnio zaś cykl sonetów w książce, opracowanej przez prof. Folkierskiego, a wyszłej w Bibliotece niniejszej, pt. *Sonet polski*. Niektóre też z sonetów tatrzańskich przełożono na niemieckie, francuskie i włoskie.

To wydanie jest zatem trzecie. Różnica między I a II wydaniem polegała na włączeniu do tego drugiego kilku nie drukowanych poprzednio wierszy. W niniejszym wydaniu zamknęliśmy rzeczy wszystkie z pierwszego wydania, z dodatkiem paru z uzupełnienia drugiego. Zrobiono też małe zmiany w układzie „pieśni czasu”, grupując wiersze podług charakteru.

## O STANISŁAWIE WITKIEWICZU

W liście z 20 września 1915 roku zwrócił się Stanisław Kot, redaktor piotrzkowskich „Wiadomości Polskich”, do Orkana z prośbą o napisanie artykułu.

Zmarł Witkiewicz [5 września 1915 r.], przyjaciel naszego pisma, które drukowało ostatnie jego *Myśli*. Obowiązkiem naszym jest napisać o tym człowieku. Czyby Pan nie zechciał podjąć się tego dla nas w dowolnej formie czy notatki, czy dłuższego artykułu?

Orkan podjął się zadania. W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej (sygn. 8572) znajdują się autografy tego artykułu, który znacznie przerósł ramy schematycznego nekrologu.

Autografy obejmują 13 kart (k. 65—77 wg numeracji bibliotecznej), w tym 3 karty „Wiadomości Polskich” z omawianym artykułem poprawionym przez autora.

Na 4 kartach (k. 74—77) formatu 4° znajdują się 3 plany szkicowe tego artykułu. Oto jeden z nich (k. 74), najbardziej czytelny i przejrzysty; sądząc po kreśleniach, on służył Orkanowi przy pisaniu artykułu.

## Stanisław Witkiewicz

1. Introdukcja.
2. Człowiek wielki.
3. Człowiek mądry.
4. Sokrates polski (Malczewski jako przeciwstawnik. Akademia platońska).
5. Z drugiego krańca Rzeczypospolitej przyłgnął do Podhala, stał się może jedynym patriotą góralskim.
6. Wielki Polak, w którym jak [w] duszach najgórnieszych odbijało się duchowe życie Polski.
7. Indywidualista w najwyższym znaczeniu — nie samolub, nie egoista, lecz człowiek o swoim własnym na świat i sprawy ludzkie patrzaniu. Był konsekwentnym, nie należał przeto do żadnych komitetów.
8. Wielki artysta. Życie natury... Godził człowieka z naturą, bo sam był... Styl jego jak on sam.
9. Dzieła jego?  
*Krytyka i sztuka* = elementarz sztuki (polemiczne artykuły — „rozumuj spokojnie, a dowódź z pasją”).  
 Rozwinięcie budownictwa = od chałupy do willi.

O Matejce, Kossaku, Siedleckim.

Obrazy.

Na przełęczu, w II wyd. wstęp *Po 20 latach*. Złote i najrozsądniejsze myśli, jakie o ludzie, o człowieku. Ci, co do ludu idą, powinni jako tablice [...] mieć w pamięci ten katechizm.

10. Jako wychowawca („Reforma Szkolna”; o szacunku religii). Lecz sam Większym był ponad swe dzieła.

Opowiadania jego: Jak to, chłopcem będąc, wywieziony z rodzicami na Syberię, z rówieśnikiem, Konradem Prószyńskim (tak zasłużonym „Promykiem”), oszczędzali cukier, by się zbogacić — wrócić do Polski i zrobić powstanie. Jak to w czasach monachijskich głodował współ z Chełmońskim, Jarzmowskim. O Kurzawie — o Gierymskim. Wizerunek Sabały. Ks. Stolarczyk.

Na 4 kartach numerowanych przez autora (k. 65—68), formatu 4°, znajduje się brudnopis I części artykułu. W zakończeniu tej części skreślił autor uwagę: „O tym w następnym zeszycie (c.d.n.)”.

Na karcie 69, formatu folio — początek II części artykułu, do słów: „Słowem: zastał świat nowy dla siebie, świat o pełnym wyrazie” (s. 244, w. 14).

Na karcie 73, formatu 4° — duża, przeszło stronicowa wstawka do II części, dopisana po 11 latach, od słów: „Jest to zrewidowanie...” do: „iż na wiele bogatych starczyłaby książek” (s. 246, w. 25 — s. 247, w. 10).

Niestety nie ma całego autografu części drugiej. Częściowo stratę wynagradza wspomniany pierwodruk czasopiśmienny, na którym autor poczynił poprawki, przygotowując tekst do druku w 1926 roku dla „Kurieria Poznańskiego”, czy też dla „Głosu Zakopiańskiego”.

Artykuł był drukowany w „Wiadomościach Polskich” w 1915 roku w dwu numerach: 47 i 48, z 4 i 11 października. Tekst pierwodruku czasopiśmiennego różni się od publikacji późniejszych. W „Wiadomościach” pierwsze zdanie brzmi: „Ubył narodowi polskiemu człowiek wielki. Już nie w rozumieniu...” (s. 239, w. 1—3). W części drugiej zamiast obecnego tekstu (s. 246, w. 25 — s. 247, w. 10, zob. wstawka k. 73) czytamy w pierwodruku czasopiśmiennym:

Jest to dwudziestoletnie doświadczenie człowieka mądrego, który umiał patrzeć. Książka sąd. Książka zamknięcie. Testament rozumu i serca. Każde zdanie jest ciężkie od sprawdzonej doświadczeniem prawdy. Rozwój pojęć

nic nie znaczy, nawet szkoda stać się może, jeśli nie idzie w parze z rozwojem uczuć. Kto chce poznać lud naprawdę, szczerze, musi wprawdzie potrącić wiele z arystokratycznych i demokratycznych uprzedzeń i wiele, wiele innych prawd, bowiem o wszystkim, wychodząc z projekcji Podhala, rzecz ta traktuje.

Inaczej również brzmi zakończenie, po słowach: „Dowodem drukowane *Wyjtki z listów do siostry*” (s. 248, w. 1), czytamy:

Jak zawsze, tak i ostatnio odbił się problem Polski w kryształach jego ducha, rzucając w załamaniu niemylnie światło: Legiony. Ostatnim płomieniem życia sprawę tę obejmował. I wiem, jak cieszyć się musiał w sercu, że Podhale nie zawiodło, dając taki duży zastęp do Legionów. Widzę te mądre, kochane oczy...

W kilkanaście dni później warszawska „Nowa Gazeta” (1915, nr 486 z dn. 24 października) przedrukowała II część artykułu o St. Witkiewiczu. Na wstępie czytamy wyjaśnienie:

Jako uzupełnienie wspomnienia pośmiertnego o znakomitym artyście i patriotcie, przytaczamy poniżej fragment z obszerniejszego zarysu Władysława Orkana.

Tekst pokrywa się z tekstem II części artykułu w „Wiadomościach Polskich”.

W 11 lat później, w 1926 roku, prawdopodobnie w 75 rocznicę urodzin Witkiewicza, sięgnęły dwa czasopisma po artykuł Orkana o pisarzu.

„Kurier Poznański” w numerze 173 z dnia 16 kwietnia wydrukował I część artykułu, pt. *Witkiewicz i życie Polski*, opuszczając pierwszy akapit. W numerze 187 z dnia 24 kwietnia ukazała się część druga pt. *Witkiewicz i Tatry*, tym razem bez zakończenia, tzn. do słów: „aż do wpojenia ich sobie jako przykazań” (s. 247, w. 15).

Podstawą tej publikacji był tekst „Wiadomości Polskich” z poprawkami autora; pozwalają to stwierdzić wprowadzone większe poprawki, o których była uprzednio mowa, oraz parę mniejszych.

Z tej samej podstawy drukowany był artykuł o Witkiewiczu w „Głosie Zakopiańskim” w numerach 9 i 10, z dnia 2 i 9 maja.



Orkan, przygotowując do druku tomik prozy pt. *Warta. Studia — listy — szkice* (Warszawa — Kraków — Lwów 1927, s. 88—97), włączył artykuł o Stanisławie Witkiewiczu. Podstawą w tym wydaniu był również poprawiony tekst z „Wiadomości Polskich”.

W wydaniu obecnym oparto się na tekście *Warty*, jako ostatnim, niewątpliwie przygotowanym przez autora.

#### WSPOMNIENIA WITKIEWICZA

Autograf (sygn. 8572) obejmuje 3 karty formatu 4° (k. 18—20 wg numeracji bibliotecznej — 6 stron wg paginacji autora).

Na pierwszej stronie autografu w lewym rogu u góry zanotował autor uwagę: „Listy ze wsi”, na środku dwie wersje tytułu, obecną i poprzednią, skreśloną: *Jeszcze o Witkiewiczu (Wspomnienia)*. Autograf jest brulionem artykułu, posiada dużo poprawek, kresleń, szczególnie strony 2—4.

*Wspomnienia* te ukazały się drukiem w „Kurierze Poznańskim” w 1926 roku w numerze 324 z dnia 17 lipca, w cyklu: „Listy ze wsi”, następnie w tymże samym roku w „Głosie Zakopiańskim” w numerze 21 z dnia 14 sierpnia.

Przygotowując tomik pt. *Warta*, włączył Orkan do niego *Wspomnienia Witkiewicza*. Na tej publikacji oparto artykuł ten w obecnym wydaniu (uzasadnienie zob. *Nota, O Stanisławie Witkiewiczu*).

Do autografu tegoż artykułu zostały dołączone 4 karty (20 a — 20 d) z wydania książkowego *Warta*, s. 32—37, w których autor skreślił ostatni akapit oraz dokonał zmiany tytułu, a mianowicie zakreślił *Wspomnienia Witkiewicza*, wpisując drukiem: *Bieda malarska*.

#### „CICHY PAN”

Autograf obejmuje 4 karty (k. 84—87 wg numeracji bibliotecznej). Na 2 kartach (84—85) formatu in folio (3 strony wg paginacji autora) znajduje się brudnopis artykułu, czytelny

mimo dużej ilości poprawek, szczególnie na pierwszej stronie. Na 2 kartach (86—87) formatu 8° — plan artykułu oraz ponowane krótkie fragmenty, powiedzenia, które weszły w skład tegoż artykułu.

Oto plan artykułu:

1. W Lublinie: w pracowni.
2. Echa ze Szczawnicy.
3. W Zakopanem: miejsce Witkiewicza; w walce z barbarią.
4. Wielki Pan: zewnętrznie twarz jakiegoś lorda — [...] z rodu Toporów, uśmiech smutno ironiczny.

Artykuł o Rayskim wydrukowała „Gazeta Zakopiańska” 1922, nr 33 z dn. 9 IX.

Porównanie tekstu autografu z tekstem „Gazety” pozwala ustalić, że autor wprowadził parę poprawek do czystopisu, z którego tekst był składany. Ze względu na te zmiany oparto się w obecnym wydaniu na tymże pierwodruku czasopiśmiennym, mimo że „Gazeta” niestarannie artykuł wydrukowała, a mianowicie: zmieniono formy gwarowe np. „łatwo” zamiast „łacwo”, „inni” zamiast „insi”, opuszczono przy wyliczaniu sztuki zdobnictwa góralskiego trzy słowa: „serdaczków, wyszycie żupanów” (s. 257, w. 5), które w wydaniu obecnym przywrócono.

Ze względu na kontekst zmieniono w obecnym wydaniu „nieodżałowanej” na „nieodżałowanego” (s. 257, w. 24), w czasopiśmie powtórzono przepisanie się autora.

Na drugi dzień po ukazaniu się artykułu w „Gazecie”, tzn. 10 września 1922 r., pisał Kietlicz-Rayski do Orkana:

Bóg Ci zapłać złotym zdrowiem za piękną sylwetkę moją, nie tylko Ci dziękuję za to, że w ogóle o mnie piszesz, ale za to, że imię moje oprawiłeś w tak prostotą misterne ramy, żeś z tego stworzył maleńkie arcydzieło; że nie babrząc się we mnie, umiałeś w głąb mojej jaźni zajrzeć i dyskretnie ją pokazać (sygn. 8616, k. 29—30).

Część artykułu *Cichy Pan* włączył Ludwik Kamykowski do *Wstępu*, który napisał do książki K. Kietlicza-Rayskiego *Sztuka góralska na Podhalu*, wydanej staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie, po śmierci pisarza, w 1928 roku. Autorem wstępu miał być Orkan, do niego zwracała się żona ma-

larza w liście z 24 maja 1928 roku (sygn. 8616, k. 16). Orkan mimo wyrażonej zgody przedmowy nie napisał, w liście z 2 września 1928 roku przeprosza za zawód, przypominając jedynie, by Kamykowski do swego wstępu włączył więcej tekstu z artykułu *Cichy Pan* (sygn. 8645, k. 146).

#### PODHALE W ŻYCIU KASPROWICZA

Autograf (sygn. 8555) obejmuje 7 kart (k. 88—94 według numeracji bibliotecznej) formatu 4°. Na 2 kartach (k. 93—94), 3 stronach według paginacji autora, znajduje się pierwsza wersja artykułu, od początku do końca cytatu z wiersza *Moja pieśń wieczorna*. Na 5 kartach (k. 88—92), 9 stronach według paginacji autora znajduje się brulion artykułu. Początkowe 3 karty wypełnia tekst już raz redagowany, co uwidacznia się w stosunkowo małej ilości kresleń i poprawek, natomiast dalsze dwie karty obrazują w pełni trud, z jakim pisał Orkan — są mało czytelne z powodu ogromnej ilości poprawek.

*Podhale w życiu Kasprowicza* wydrukowały „Wiadomości Literackie” 24 października 1926 roku, w numerze 43 poświęconym pamięci Jana Kasprowicza, zmarłego dnia 1 sierpnia 1926 roku.

Porównanie tekstu autografu z tekstem „Wiadomości” pozwala stwierdzić, że sporządzając czystopis, autor poczynił wiele poprawek, głównie o charakterze stylistycznym. Trudno dziś dociec, czy autor sam, czy redakcja zrezygnowała z cytatu z *Mojej pieśni wieczornej* (w. 14—18).

W wydaniu obecnym oparto się na pierwodruku czasopiśmiennym.

Na podstawie autografu dokonano w obecnym wydaniu dwu poprawek, w zdaniu: „w wątpienie się sunie” — poprawiono „sunie” na „osunie” (s. 261, w. 10); określenie „honorowej rasy” poprawiono na „honornej rasy” (s. 262, w. 16). Błędy powstały w czasopiśmie warszawskim zapewne na skutek nieznamomości gwary podhalańskiej.

## WIEŚ TETMAJERÓW

Autograf (sygn. 8572) obejmuje 7 kart (k. 58—64 wg numeracji bibliotecznej) formatu 4°.

Na karcie 64 znajduje się szczegółowy plan utworu, autor notuje nie tylko problemy, jakie zamierza poruszyć, ale także fragmenty, pierwsze słowa myśli, jakie mu się nasuwają w czasie komponowania planu. Na 2 kartach (62—63) zanotował autor pierwszą wersję czterech początkowych akapitów artykułu. Na 4 kartach (58—61), 5 stronach wg paginacji autora, znajduje się brudnopis artykułu. Zatytułował go autor *Ludźmierz*, następnie innym atramentem dopisał jakby ciąg dalszy tytułu: *wieś Tetmajerów*. Tekst pierwszej karty, redagowany po raz drugi, nie zawiera kresleń, natomiast karty następne posiadają bardzo dużo kresleń i poprawek.

Artykuł był drukowany po raz pierwszy w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” w 1912 r., w numerze 12 z dnia 23 marca, pod tytułem: *Ludźmierz. Kolebka poety*. W tym samym roku drukował artykuł ten „Kurier Lwowski” w numerze 147 (według *Noty bibliograficznej* St. Pigonia\*, bo obecnie rocznik 1912 „Kuriera” jest nieosiągalny) już pod tytułem: *Wieś Tetmajerów*.

W czternaście lat później artykuł ten drukował „Kurier Poznański” (1926, nr 364 z dnia 21 sierpnia) w cyklu: „Listy ze wsi”, pt. *Wieś Tetmajerów*.

Artykuł ten włączył autor w tomik prozy pt. *Warta*, na tekście tejże edycji oparto się w obecnym wydaniu (uzasadnienie zob. *Nota, O Stanisławie Witkiewiczu*).

## [POECI PODHALAŃSCY]

Orkan miał zamiar pisać cykl artykułów lub może jedną większą rozprawę o poetach Podhala. Na karcie 102, sygn. 8555, zanotował plan:

## Poeci Podhala

I. Józef Jedlicz (*Słoneczna pieśń. Czarny i jasny. Nieznanemu Bogu. Legenda pól. Ptaki. Charakterystyka*).

\* W. Orkan, *Czantorla...*, s. 288.

II. F[eliks] Gwiżdż (*Fale. Kośba. Obrazy na szkle. Gody. Komedja*).

III. A[ndrzej] Galica (*Przysięga. Robert Szporn. Janosik — w nim geniusz rasy*).

IV. Z[ygmunt] Lubertowicz (*Poezje. Sonety tatarskie. Zapóźniony romantyzm. Wnuk Konopnickiej*).

Ani cyklu tej treści, ani większej rozprawy Orkan nie napisał. Do obecnego wydania zostały włączone trzy prace wydane doraźną potrzebą (recenzja, przedmowa), poświęcone twórczości trzech przyjaciół z Podhala.

### Józef Jedlicz

Jest to recenzja z tomiku poezji pt. *Słoneczna pieśń*, wydanego w Krakowie w 1904 roku, drukowana w tymże samym roku w „Tygodniu”, dodatku literacko-artystycznym „Kurieria Lwowskiego”, w numerze 48 z 20 listopada.

Autograf recenzji (sygn. 8555) obejmuje 2 karty (95—96 wg numeracji bibliotecznej), formatu 4° (na karcie 96 znajduje się jeden, ostatni wers tekstu i podpis: „W. Orkan”). Jest to brudnopis, czytelny mimo dużej ilości poprawek.

Porównanie tekstu autografu z tekstem „Tygodnia”, oprócz drobnych zmian, ujawnia większe, jednozdaniowe opuszczenia. W autografie po słowach: „potęga spokojem — w klatce” (s. 271, w. 14), czytamy: „Zresztą jemu tak z tym królewsko-żebaczym spokojem do twarzy!” Możliwe, że już w czystopisie nie zamieścił autor tego zdania, o nieco drastycznej treści, gdyż już w autografie ujął go w nawias.

W obecnym wydaniu oparto się na pierwodruku czasopiśmiennym.

### Feliks Gwiżdż

Przedmowa ta, napisana do planowanego wydania tomiku poezji Gwiżdża, nie została ogłoszona drukiem.

W tece autografów (sygn. 8555) znajduje się brulion jej (k. 97—98 wg numeracji bibliotecznej). Na karcie 97 mieszczą się tylko dwa pierwsze akapity, dalszy ciąg na karcie 98, zapisanej dwustronnie, drobnym, ale czytelnym pismem. Jest to brulion, bardzo kreślony, podpisany przez autora, zanotowane

jest miejsce i czas pisania: „W Porębie Wielkiej w grudniu 1904 r.”

Na karcie 99, jednostronnie zapisanej, znajduje się szkic drugiej części przedmowy, od akapitu: „Tak to dziwnie pęd ku rozwojowi...” (s. 273, w. 22), do końca.

W wydaniu obecnym brulion posłużył za podstawę wydania.

### Andrzej Galica

Autograf przedmowy do dramatu *Przysięga*, wydanego w Krakowie w 1909 r., obejmuje 2 karty (sygn. 8555), formatu 4° (k. 100—101 wg numeracji bibliotecznej, strony 1—3 według paginacji autora). Jest to brulion, podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem: „Władysław Orkan-Smreczyński”, z notatką: „W Poroninie, pod Galicową Grapą, w styczniu 1909 r.”

Porównanie tekstu autografu z tekstem *Przedmowy* w książce pozwala stwierdzić parę zmian stylistycznych oraz opuszczenie nawiasowej uwagi. W autografie po zdaniu: „realizm w sztuce nawet duże talenty porywał”, czytamy: „(Hauptmann w Niemczech, Reymont u nas). W teatrze ukraińskim dziś jeszcze *Przysięga* Galicy znalazłaby się na miejscu”.

W obecnym wydaniu oparto się na pierwodruku książkowym.

### [PRO DOMO SUA]

#### O „Winę i karę”

W 1906 roku w lwowskim „Tygodniu” w numerze 29 i 30 ukazała się recenzja Adama Zagórskiego pt. *O dwu dramatach Orkana*, omawiająca *Ofiarę* i *Winę i karę*. Odpowiedź Orkana ukazała się na łamach tego samego „Tygodnia” w nr 36 z 16 września pt. *O „Winę i karę”*. *Odpowiedź na artykuł p. Adama Zagórskiego*. Autograf jej (sygn. 8555) obejmuje 6 kart (k. 103—108 wg numeracji bibliotecznej), formatu 4°. Na 2 kartach (107—108) znajduje się szczegółowy plan odpowiedzi, na

4 kartach (103—106, strony 1—7 według paginacji autora) brulion tejże.

Porównanie tekstu autografu z tekstem książki wykazało tylko nieliczne i drobne zmiany o charakterze stylistycznym.

W wydaniu obecnym oparto się na tekście pierwodruku czasopiśmiennego.

### Potrójna cenzura

Artykuł polemiczny, skierowany przeciw zbytnej cenzurze w teatrze krakowskim za dyrektury Ludwika Solskiego, ukazał się w krakowskim „Naprzodzie” w 1907 r., w numerze 288 z dnia 13 października.

Autograf artykułu (sygn. 8555) obejmuje 5 kart (k. 109—113 wg numeracji bibliotecznej), formatu 4°. Na 2 kartach (112—113) znajdują się szczegółowe plany oraz fragment artykułu, na 3 kartach (109—111, s. 1—6 wg paginacji autora) brulion artykułu, czytelny mimo dużej ilości poprawek.

Porównanie tekstu autografu z tekstem w czasopiśmie wykazało tylko małoznaczne zmiany stylistyczne.

Za podstawę obecnego wydania posłużył pierwodruk czasopiśmienny.

### [O LITERATURZE UKRAIŃSKIEJ]

### Współczesna poezja ukraińska

S. Twerdochlib pisał ze Lwowa dnia 24 kwietnia 1910 r. (wspólnie z M. Jackiwem) do Orkana:

Serdecznie dziękuję za bezzwłoczną odpowiedź. Równocześnie z tym listem posyłam egzemplarz\* i proszę go zachować jako pamiątkę naszej wspólnej drogi, a raczej ucieczki od krzykliwej wrzawy politycznego targowiska.

Proszę też Pana raz jeszcze o życzliwość dla mojej *Antologii przekładów z współczesnej ukraińskiej poezji*.

\* Mowa zapewne o tomie nowel M. Jackiwa pt. *Wieczorne psoty...* (zob. s. 440), tłumaczonym przez S. Twerdochliba. Przedmowę do tego tomu pisał Orkan.

Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie księgarza, który zgodził się ją wydać, ale pod warunkiem, że Pan napisze kilka słów przedmowy. Czy zechce Pan umożliwić ogłoszenie tej książki?

W takim razie przesłałbym natychmiast rękopis z wyrazami szczerej podziękii (sygn. 8614, k. 75).

Orkan zgodził się, dnia 13 maja 1910 roku pisał do niego Twerdochlib:

Stosownie do życzenia Pańskiego posyłam równocześnie rękopis *Antologii* do Poręby, załączając też żądany „Pogląd na nowszą ukraińską poezję”. Proszę wykorzystać go w całości lub częściowo dla napisania wstępu. „Pogląd” ten uważam tylko za informację prywatną. Faktyczne wiadomości są prawdziwe i obiektywne.

„Pogląd” nakreślony przez Twerdochliba znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 8694, kart 7, formatu 4°). Posługiwał nim się Orkan dość swobodnie, szczególnie kreśląc charakterystyki poszczególnych pisarzy, oto np. co pisze Twerdochlib o Iwanie Franko:

W Galicji rozpoczyna się od r. 1876 niezmiernie płodna i wszechstronna działalność literacka i naukowa Iwana Franki. Twórczość poetycką zaczyna od motywów społeczno-filozoficznych, dosięga wyżyn sztuki w liryce miłosnej, potem w jego psychice bierze górę liryka przeważnie osobista z filozoficznym odcieniem. W r. 1905 przynosi on narodowi ukraińskiemu wspaniały dar w postaci poematu pt. *Mojżesz* (por. s. 296, w. 21 i n.).

Autografy przedmowy Orkana (sygn. 8555) obejmują 6 kart, (k. 114—119 według numeracji bibliotecznej), formatu 4°. Na 2 kartach (118—119) znajdują się notatki.

Na 4 kartach (114—117, stron 7 wg paginacji autora) mieści się brudnopis, czytelny z niewielką ilością kreśleń i poprawek, podpisany: „Władysław Orkan-Smreczyński”, opatrzony notatką: „Poręba Wielka, w maju 1910”, oraz tytułem *Przedmowa* (pierwotną nazwę *Wstęp* autor skreślił).

Porównanie tekstu autografu z tekstem *Przedmowy* w wydaniu książkowym: *Antologia współczesnych poetów ukraińskich*, przełożył S. Twerdochlib, Lwów 1911, ujawnia tylko drobne różnice stylistyczne między obu tekstami.

Za podstawę obecnego wydania przyjęto wydanie książkowe. W wydaniu obecnym zachowano pisownię nazwisk ukraiń-



skich stosowaną przez Orkana, zarówno w tym, jak i w następnych artykułach, poprawiając oczywiście parę błędów wynikłych zapewne z przepisania się. Orkan znał pisownię oryginalną — spolszczył nazwiska ze względu na polskiego czytelnika. W *Indeksie nazwisk* podane są natomiast wszystkie nazwiska w ich oryginalnym brzmieniu.

Warszawski tygodnik dla młodzieży „Z bliska i z daleka” w roku 1913, w numerze 2 z 11 października wydrukował skrót przedmowy z adnotacją: „Skrót art. umieszczonego w *Antologii współczesnych poetów ukraińskich*”, który przy ustaleniu tekstu przedmowy nie może być brany pod uwagę.

### Powieściopisarze i noweliści

W roku 1908 w Warszawie ukazał się wybór nowel pisarzy ukraińskich pt. *Młoda Ukraina*, wyboru i tłumaczeń dokonał Wł. Orkan, on też miał napisać przedmowę do tego tomu.

Autografy dotyczące tego tomu obejmują 10 kart różnego rodzaju i formatu (sygn. 8555). Na k. 122—123 (wg numeracji bibliotecznej) znajdują się spisy autorów i tytuły nowel, które miały wejść w skład tomu. Podobny spis znajduje się na odwrocie k. 159 (sygn. 8641), autor oblicza przy nim arkusze i strony poszczególnych nowel.

Na karcie 120, formatu folio, znajduje się brudnopis przedmowy pt. *Młoda Ukraina*, mało czytelny z powodu ogromnej ilości poprawek, podpisany: „Wł. Orkan-Smreczyński”. Według notatki na autografie przedmowa pisana była: „W Porębie Wielkiej, 15 czerwca 1902”, kiedy Orkan przygotowywał po raz pierwszy tom do druku.

Na kartach 124—128, numerowanych przez autora, znajduje się czystopis, pisany chemicznym ołówkiem, z niewieloma poprawkami w tekście.

W roku 1908 przedmowa ta, pt. *Młoda Ukraina*, ukazała się na łamach krakowskiego „Naprzodu” w numerze 157 z 7 czerwca. W wydaniu obecnym oparto się na pierwodruku czasopiśmiennym.

W przygotowaniu tekstu przekładów, a szczególnie *Przedmowy*, duży udział mieli Bohdan Łepki i W. Jarosz (zob. s. 301,

w. 22). Potwierdza to zarówno list Łepkiego do Orkana, pisany 16 kwietnia 1908 roku:

*Młodą Ukrainą* nie troszczcie się. Ze wyszła pod Waszą firmą, to lepiej, gdyż Was w Polsce lepiej znają niż np. mnie. Ja zaś wyszedłem już z tych lat, kiedy człowiek droży [się] każdym drukowanym słówkiem i dba o każdy swój podpis... (sygn. 8619, k. 199)

— jak i porównanie poszczególnych fragmentów *Przedmowy* (sygn. 8692, k. 1—5) z tekstem, jaki przysłał Orkanowi Łepki. Zawiera ona te same sądy, a często i te same sformułowania, np.:

Trzecią potężną postacią jest Fedkowicz, niezrównany mistrz języka i formy, który w kilkunastu nowelkach zamknął świat huculski (por. s. 299, w. 17).

#### Michajło Jackiw

Tom opowiadań M. Jackiwa, pt. *Wieczorne psoty. Dziewczyna na czarnym rumaku i inne opowiadania*, wydany został w Bibliotece Dzieł Wyborowych, w 1910 r., w tłumaczeniu S. Twerdochliba, z *Przedmową* W. Orkana.

Autograf *Przedmowy* (sygn. 8555) obejmuje jedną kartę (130 wg numeracji bibliotecznej). Jest to brudnopis, czytelny, podpisany i opatrzony notatką: „Poronin, w kwietniu 909”.

Porównanie tekstu autografu z tekstem wydania książkowego, oprócz drobnych poprawek stylistycznych, pozwala zauważyć większe ópuszczenie w ostatnim zdaniu *Przedmowy*. W autografie zakończenie zdania brzmi: „...nad przepaścią głębioną, z dziwną zaiste głupotą, przez obustronne szowinizmy” (por. s. 304, w. 1—2).

Obecne wydanie zostało oparte na wydaniu książkowym.

W ukraińskim czasopiśmie „Diło”, wychodzącym we Lwowie, w r. 1910 w numerze 102 ukazało się streszczenie *Wstępu* Orkana.

W liście z dnia 15 października 1909 roku S. Twerdochlib dziękuje Orkanowi za napisanie wstępu oraz za zabiegi, wokół wydania wyboru w Bibliotece Dzieł Wyborowych.

M. Jackiw pisał do Orkana 24 kwietnia 1910 r. w liście wspólnym z S. Twerdochlibem:

Serdeczne dzięki za szczere słowo do moich smutnych obrazków. Przecież po latach nie zapomnieliście o mnie (sygn. 8614, k. 74).

[Teatr ruski narodowy w Parku Krakowskim]

Do działu *O literaturze ukraińskiej* zostały tu włączone recenzje z występów ukraińskiego teatru w Krakowie, w Parku Krakowskim, w kwietniu i maju 1900 roku, zamieszczone na łamach krakowskiego „Naprzodu”.

W numerze 32 z dnia 3 maja w dziale „Literatura i sztuka” ukazała się recenzja sztuki ludowej *Ne chody, Hryciu, ta na wieczernyciu*, podpisana, jak wszystkie recenzje następne, kryptogramem: „O”.

Autograf recenzji nie zachował się.

W numerze 33 z dnia 4 maja zamieścił Orkan recenzję operetki *Zaporozec nad Dunajem* Artemowskiego, utworu muzycznego *Wieczernyci Niszczyńskiego* i sztuki ludowej *Nieszczesne kochanie* L. Mańka.

Autograf tej recenzji — podobnie jak i następnych — znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, sygn. 8560, k. 4 i k. 12 (wg numeracji bibliotecznej), różnego formatu (są to najczęściej karty folio pocięte na wąskie paski). Karta 4 zawiera recenzję z operetki Artemowskiego i utworu muzycznego Niszczyńskiego. Jest to brulion pośpiesznie pisany, bardzo kreślony. Na początku karty ponotowane osoby i nazwiska aktorów. Na karcie 1 zanotował Orkan ołówkiem recenzję sztuki ludowej Mańka, na karcie 2 nie wykorzystaną treść tej sztuki.

Tekst autografów różni się bardzo od tekstu w czasopiśmie.

W numerze 35 z dnia 6 maja znajduje się krótka recenzja z dramatu *Cyganka Aza*, ułożonego według powieści J. I. Kraśzewskiego. Autograf recenzji nie zachował się. Na s. 309, w. 5 poprawiono nazwisko „Lipinka” na „Lipiuka”, jako oczywisty błąd literowy czasopisma.

W numerze 36 z dnia 7 maja ukazała się recenzja obra-

zu ludowego *Zakamieniałe serce* I. Tobylewicza i z komedii N. Janczuka *Wychowanie*.

Autograf recenzji z obrazu ludowego obejmuje 2 karty (5 i 8 wg numeracji bibliotecznej). Na karcie 8 znajdują się notatki do recenzji, na karcie 5 brudnopis, obejmujący pierwszą część recenzji do słów: „jak młode bogi na ruskim Olimpie” (s. 310, w. 24). Brulion jest mało czytelny z powodu pośpiesznego zapisu i dużej ilości kreśleń.

W numerze 42 z 13 maja ukazała się obszerna ocena, zapowiedziana w poprzednim numerze „Naprzodu”, „Koncertu” artystów ruskiego teatru. Autograf tej recenzji obejmuje 2 karty (6 i 7 według numeracji bibliotecznej). Jest to brudnopis, jak i poprzednie, mało czytelny. Na s. 312; w. 5 wprowadzono z autografu porównanie, zamiast czasopiśmiennego, chyba zepsutego tekstu: „podobnej skamieniałym bogom”.

W wydaniu obecnym wszystkich pięciu recenzji oparto się na pierwodruku czasopiśmiennym.

#### DODATEK DO „SZKICÓW I WSPOMNIENI LITERACKICH”

##### Przedmowa

Wielu malarzy maluje góry — niewielu w mocy jest oddać ich charakter. Takim urodzonym malarzem gór był Segantini. U nas — malarz o szerokiej skali, Wyczółkowski. Wśród wielu setek studiów i obrazów z Tatr jego pastele najżywiej przytaczają oczom charakter ich pustkowi.

Toż powiedzieć można o poetach. — W poezji naszej najmocniej charakter Tatr ujęty w *Sonetach tatrzańskich* Franciszka H. Nowickiego. Poeta ten, jedyny, wyszedł z Mickiewicza: dominantą w jego talencie zwartość słowa, umiar i pewność rzeźbiarska. Surowa potęga Tatr, ich granitowa gigantyczność uplastycznia się przeto w tych sonetach. — Drugi Kazimierz Tetmajer, który, jak cała poetycka Młoda Polska, zrodzony ze Słowackiego, w lirykach swych melodyjnych najcudowniejszym orkiestruje duszę pústaci tatrzańskich. — Wobec tych mocarzy słowa któż ośmieli się podjąć nutę tatrzańską z ufaniem, iż wśród tych wysokich tonów jako wiew słaby wśród poduchu Halnego nie zgaśnie?... Jeszcze powstało w pamięci naszej szczęśliwe wydźwignięcie Tatr określenie Pola: „Jak potopu świata fale, zatrzymane w swoim biegu...”, ale już setki wierszy, fragmentów, sonetów, różnymi laty przez parę tuzinów pomniejszych poetów o Tatrach napisane, nie ostały się krótkiej próbie czasu i zatoniły rychło w niepamięci.

A oto mamy przed sobą *Triolety tatrzańskie* p. K. Steckiego. Czy podziela los niefortunny zginionych?... Nie sądzę. Przede wszystkim widać z treści ich, z podziału na cykle (*Życie gór, Kwiaty* itd.), jako i z tytułów wierszy, że notował je przyrodnik-poeta. To daje wierszom tym podstawę. Ten przyrodniczy stosunek do przedmiotu, poetycką refleksją zmelancholij-niony, przenika i gruntuje one triolety, dając im swoistą cechę. Przyrodnik też jeno mógł udzielić przyjacielskiej uwagi swej nie tylko złotym kaczeńcom, ultramarzynowymi oczyma kokietującej goryczce, lecz nawet pogardzanemu światowi porostów. — Ze zbioru niniejszego jeszcze jedno wstępne wcisną się zauważenie: oto pewna skromność, może właśnie tkwiąca w przyrodniczej postawie autora, w stosunku do przejawów świata tatrzań-skiego. Poeta jakby z umysłu zubożył skalę swych wygłoszeń, używając formy trioletu. Triolet z natury swej — rytmiki jednotonnej i rymowych wrotów — powtarza w zamknięciu ramowym myśl jedną, podkreśloną jednym lub dwu-porównaniem. Jak fujarka pastusza, o jednej oktawie. Nadaje się do wyrażenia raczej refleksji i właściwością swą, wrotniczą, nasuwa refleksję twórcy. Może właśnie refleksyjno-przyrodniczo-poetyckiej duszy autora ten rodzaj formy odpowiadał. Toteż triolety, w zbioru tym zawarte, są to w większej części wobec świata Tatr zastanowienia. Choć autor potrafi nimi wywołać nastrój (*Przed burzą*), jak i uderzyć w silny rytm (*Wodo-grzmoty*).

Do fujarki pasterskiej przyrównałem wyżej triolety. Lecz jak jaworowa fujarka juhasa, mimo swej skromnej oktawy, zdolna jest wśród orkiestry zachować swoją barwę tonu i wrazić pamięci słuchacza swoją nutę — tak, sądzę, i *Triolety tatrzańskie* Steckiego, mimo skromności swej, nie zginą wśród wysokich pieśni. Mają swoistą barwę, swój ton. A to prze-świadczanie może pobudzi ich twórcę do dalszych poetyckich o szerszej skali poczynąń.

Poręba Wielka, 15 grudnia 1922 r.

Dołączona do *Noty Przedmowa* drukowana była w tomiku K. Steckiego *Triolety tatrzańskie*, Zakopane 1923. Autograf jej znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 8555, k. 3). Data, którą opatrzył Orkan *Przedmowę*, nie jest chyba prawdziwa, gdyż w liście do żony z 29 stycznia 1923 roku (sygn. 8854, k. 47) czytamy: „Steckiemu muszę odesłać ten tomik (jeno przejrzawszy dokładnie) — to słabizna. Jakąś jednak przed-mowę skleć”.

#### D O D A T E K

#### TEORIA SOCJALNA

W *Posłowniu* Stanisława Pigionia do tomu: W. Orkan, *Czan-toria i pozostałe pisma literackie* (Warszawa 1936), czytamy:

Gdzieś około r. 1903 powziął był Orkan pomysł rozprawy czy może nawet większego dzieła, gdzie chciał rozwinąć teoretycznie poglądy swe na naturę dusz ludzkich, ukazać wynikające stąd konsekwencje społeczne, polityczne, religijne, literackie itp. Projektował dla tego dziełka tytuły różne, najczęściej: *Teoria socjalna*. Rozmyślał nad nim długo, notował luźne uwagi, szkicował zarys całości, aż ostatecznie zaniechał myśli. Ale echa tej teorii powracają wielokrotnie w pismach autora, odzywają się w niejednym z niniejszych zebranych studiów literackich, usłyszymy je nawet jeszcze w *Listach ze wsi* (s. 295).

W liście z dnia 12 listopada 1903 roku, pisany w Porębie Wielkiej, informuje Orkan wydawcę Bernarda Połonieckiego: „Przez lato notowałem *Teorię*, którą omówiłem z Marchlewskim, on ją pragnie wydać po niemiecku”.

Orkan jeszcze w 1905 roku zbierał notatki do zamierzonej rozprawy — zob. s. 339, w. 14, gdzie wspomina bitwę pod Cuszimą (27—28 maja 1905), konstytucję z 1905 r. oraz L. Andrejewa *Czerwoną śmiech* wydany w 1905 r. — zamysł jednak przerastał możliwości twórcze autora.

W Bibliotece Jagiellońskiej, w tece opatrzonej sygnaturą 8564, znajdują się 43 karty rękopisów, różnego rodzaju i formatu. Zapisywał Orkan kartki i skrawki papieru, jakie miał pod ręką. Dzięki zapiskom na brulionach listów znamy parę dat, które możemy odnieść do czasu pisania *Teorii*. Na karcie 5 znajduje się list do redakcji „Kuriera Lwowskiego”, aczkolwiek bez daty, z treści jego wynika, że był pisany w końcu 1903 r. („Proszę uprzejmie o łaskawe dołączenie do najbliższego «Kuriera» prospektu na rok 1904 «Tygodnika Ilustrowanego»”).

Na karcie 6 verso znajduje się początek listu pisanego zapewne do brata („Kochany Stachu” — nagłówek listu) dnia 28 września 1905 r.

Na karcie 7 verso początek listu, pisanego dnia 5 maja 1903 r.: „Szanowny Panie! Z prawdziwą przykrością odnoszę się z poniższymi słowami do Was...”

Na karcie 17 skreślony nagłówek, pierwsze słowa listu i data: „4.XII.903.”

Oprócz wielu luźnych zapisków „gospodarczych”, rozrzuconych po wszystkich kartach, typu: „tytoń, tutki, świeca”,

czy: „kończyna, zużle” w autografach znajduje się parę ciekawych notatek, np.:

Na karcie 15 verso znajduje się m. in. spis osób, którym Orkan zamierzał poświęcić tomik poezji: „Poezje mianowicie: Marchlewski, Brat, J. Bek, Galica”, chodzi zapewne o tomik *Z tej smutnej ziemi*, wydany we Lwowie 1903 roku.

Na karcie 21 verso zanotował Orkan dwuwiersz pt. *Poemat satyryczny*:

powiem:

Do czego wielu głośno się nie przyzna,  
Moje ugory — to moja ojczyzna!

Na karcie 24 verso zanotował autor trzy drobne utwory:

Czy to jest fatum? czy to jest los?  
Czy własnych przewin konieczny cios?

Zródło czyste!  
Ty widzisz serce moje,  
We łzach oczyszczeń tonące —

Innie zielony, powiedz,  
Do ludzi już się nie zwracam —  
Dlaczego, co ma rósć we mnie,  
To z własnej winy zatracam!

Pisane one były zapewne w 1904 roku w Szwajcarii (zwrot do Innu), gdzie w Blonay spędził Orkan zimę i część wiosny. Wiele prawdopodobnie przywiózł ze Szwajcarii notatek do *Teorii*, gdyż — jak wynika z listu do Franciszka Pika-Mirandoli z dnia 17 marca 1904 roku — dużo czasu poświęcił myślom nad problemami w niej zawartymi:

Chcąc pisać to wszystko, co bym Wam teraz chciał powiedzieć, co się ciśnie, więc: o życiu, o drodze ku szczęśliwości, o różnicy dusz etc., musiałbym książkę napisać.

Na karcie 33 verso znajduje się zarys wiersza, drukowanego w „Krytyce” w 1904 roku, t. I, z. 3 (marzec), s. 188, pt. *Umarły moje pieśni... II*\*:

\* Zob. W. Orkan, *Poezje zebrane*, t. I, s. 303, 457.

Umarły moje dawne pieśni,  
 Już z martwych nie powstaną...  
 . . . . .  
 ...na drżącej fali pianą...  
 . . . . .  
 jak ..... tęcz skrzydlaty  
 . . . . .  
 Umarły dawne moje światy.

Na karcie 35 verso zanotował Orkan trzykrotnie tytuł dramatu *Oliara* przerabianego na przełomie lat 1903—1904. Wiele ówczesnych przemyśleń z dziedziny etyki, moralności weszło do dramatu *Wina i kara*, nad którym Orkan pracował w latach 1903 i 1904\*.

Na karcie 38 verso naszkicował autor graficzne rozwiązanie teorii rozwoju człowieka, czy też jego świadomości: zarys schodów, każdy schód opatrzony literą alfabetu, zaczynając od dołu, obok terminy: „kretyn; czujący głównie brzuchem; filister; głód wiedzy; dekadent”.

Są też różne układy kół, których znaczenia bez „klucza” trudno się domyślić.

W ciągu zapewne trzech lat 1903—1905 autor zbierał w składkę papieru, znaczoną: „Do teorii soc.”, luźne kartki. Układ tych kart jest zupełnie przypadkowy, trudno zresztą o układ rzeczowy, gdyż na jednej karcie porusza Orkan nieraz kilka różnych problemów.

Materiały te przedrukował częściowo Stanisław Pigoń w wydaniu z 1936 roku: *Czantoria i pozostałe pisma literackie*, s. 259—273. Ze względu jednak na charakter obecnego wydania włączono wszystkie materiały dotyczące *Teorii socjalnej*. Dla ścisłości należy odnotować, że opuszczono cztery drobne, urywkowe notatki: „filister — nacjonalista” na wsi (Żurek), k. 12 v.; I. Malczewski — Witkiewicz\*\*, II. Socjalizm — anarchizm, k. 9 v.; O śmierci (zastanowienie), O nierozumie politycznym (ci, którzy tworzą wiedzę, granice itd.), k. 24 v., oraz że w tece rękopisów *Teorii* nie udało się odszukać dwu frag-

\* Zob. M. Kwaśny, *Komentarz*, w: W. Orkan, *Utwory dramatyczne*, Kraków 1966, s. 260, 264.

\*\* Orkan tych dwu malarzy zestawiał powtórnie w artykule pisany po śmierci St. Witkiewicza (zob. s. 240, w. 10 i n.).



mentów, jeden: „Wiem, że gdybym nie musiał...” — do końca akapitu; drugi, jednozdaniowy, zaczynający się od słów: „Nie żałuję nigdy tego...” (s. 334, w. 13—19).

Podał je we wspomnianym wyborze St. Pigoń, należy zatem uznać fakt istnienia ich za niezaprzeczalny. Luźna kartka, na jakich zapisywał Orkan swe „myśli”, mogła zaginąć, mogła też znaleźć się w innej tece rękopisów — nie jest wyłączone, że rękopis tych dwu drobnych fragmentów się odnajdzie.

Autografy wobec amorficzności konstrukcji zostały uporządkowane — dla łatwiejszej orientacji czytelnika — w cztery grupy: Plany i rzuty całości oraz tzw. „Przygotowanie” (gdzie wynotował autor pisarzy, myślicieli, problemy, nawet „języki obce”, z którymi uważał za stosowne poznać się przed napisaniem rozprawy); Zagadnienia współzycia: różnice duchowe, etyka społeczna itd.; Zagadnienia polityczne: socjalizm, własność, narodowość, wojna, rewolucja itd.; Zagadnienia sztuki: twórczość, poezja, krytyka itd.

Autograf, często bardzo niewyraźny, pospiesznie pisany, udało się na ogół odczytać, parę słów nie odczytanych zaznaczono wielokropkiem w klamrach, np. nie odczytane nazwisko (s. 318, w. 3). W klamry ujęto kilka wyrazów dodanych ze względu na kontekst, których brak jest oczywistym przeoczeniem pisarza, podobnie ze względu na kontekst dokonano paru oczywistych poprawek, np. na s. 320 złączono w jeden punkt dwa akapity, opatrzone numerem rzymskim: V. Nie poprawiono natomiast pomyłek autora typu: „złoto w rudzie” (s. 315, w. 6). Nie uznano za celowe podawać wersji skreślanych, nie wnoszących nic zasadniczego do treści. Nie starano się również zachować graficznego układu tekstu na poszczególnych kartach autografu, będącego często sprawą przypadku, np. różne formaty kart.

Ze względu na brulionowy charakter autografu nie zachowano podkreśleń autora oraz niektórych nawiasów, gdyż niejednokrotnie trudno rozstrzygnąć, czy autorowi chodziło o podkreślenie znaczenia czy informację nawiasową, czy tylko w ten sposób zaznaczył, że dana wersja tekstu jest tymczasowa, że ma zamiar w przyszłości ją zmienić (por. *Nota, Czantoria...*, s. 387).

## [ZAMIERZENIA I PLANY]

Zarówno korespondencja Orkana, jak i rękopisy przekazują tytuły paru zamierzonych utworów literackich. W Bibliotece Jagiellońskiej w tece, opatrzonej sygn. 8550, znajdują się m. in. plany czterech powieści, których ramy treściowe są już bardzo wyraźnie zakreślone.

## Ruiny. Powieść historyczna

Przez 6 lat Orkan nosił się z zamiarem napisania powieści historycznej z czasów kozaczyzny pt. *Ruiny*. 18 maja 1913 roku pisał do Tadeusza Piniego: „Pracuję nad *Kostką i Ruinami*”. W liście do Jana Wantuły z 27 listopada tego roku czytamy:

Jako następną, jeśli Bóg sił dozwoli, mam przed myślą dłuższą powieść pt. *Ruiny*, również z XVII w., z czasów od bitwy beresteckiej do pokoju pod Zwańcem, sprawa Wołoszczyzny (hospodarstwa), stosunku do niej Rzeczypospolitej i Chmielnickiego.

W maju 1918 pisał znów do Tadeusza Piniego:

Wszystko też wolą zmęczoną zgarnuję, wszystkie spiętrzone koło mnie kłopoty, przeszkody chcę możliwie najszybciej uchylić, by przejść w przyspieszoną pracę (tą kolejną, jak piszesz): *Widma, Kostka, Ruiny*.

Autograf zamierzonej powieści obejmuje 8 kart: karty 32—37 (według numeracji bibliotecznej) formatu 4°, karta 38 — formatu 8°, karta 39 — formatu 16°. Autor karty te objął składką papieru, na pierwszej stronie zanotował: „*Ruiny* (i inne)”.

Na 3 kartach (32—34) znajduje się brulion początkowej części I rozdziału, na 2 kartach (35—36) szczegółowy plan powieści trzytomowej, tu zatytułowanej: *O skarby Lupula. Powieść*. Tekst zawarty na tych 5 kartach jest podstawą obecnego wydania.

Na karcie 37 jest również plan trzytomowej powieści, zatytułowanej tym razem *Ruiny*. Plan ten jest bardziej ogólny od poprzedniego. Na karcie 38 i 39 znajdują się notatki z wczesnego okresu pracy nad powieścią, np. spis lektur:

Do *Ruin*: 1. Ukraińskie dумы historyczne; 2. *Pamiętniki* Paska; 3. *Legacja* Twardowskiego; 4. *Szkice* Kubali\*; 5. O Konstantynopolu Farrere'a.

### Jan Krzysztof — polski. Powieść

Zamiar napisania powieści autobiograficznej ukształtował się pod wpływem lektury powieści Romain Rollanda *Jan Krzysztof*. Powieść tamta została przetłumaczona na język polski i wydana w latach 1911—1912, a zatem plan tej powieści mógł powstać po roku 1912. Jeszcze w latach trzydziestych mieścił autor powieść tę w poczcie swych zamiarów twórczych (zob. *Nota*, s. 451).

Jedyny plan powieści, zamieszczony w obecnym wydaniu, znajduje się na karcie 41 (wg numeracji bibliotecznej).

### Wojna. Powieść

Autografy dotyczące tej powieści pochodzą zapewne nie z jednego roku. Były pisane w czasie pierwszej wojny światowej i tuż po wojnie.

Obejmują one 8 kart: k. 4—8 i 11 (według numeracji bibliotecznej) formatu 4°, k. 9—10 — to notatki na skrawkach papieru.

Na karcie 4 znajduje się tylko tytuł powieści: *Wojna*; na karcie 5 brulion, bardzo kreślony, mało czytelny, początkowej części rozdziału I (na k. 11 recto znajduje się również początek rozdziału I — 8 wierszy), włączony do obecnego wydania.

Na kartach 6—9 i 11 (niecała) znajdują się plany powieści. Dwa z nich (k. 6 recto i 9), jako plany najpełniejsze, zawierające największą ilość szczegółów, zostały włączone do obecnego wydania. Plany z karty 6 verso, 7 i 8 zamieszczono w *Nocie*:

Uw. Tragedia polska:

1. Polacy po tej i tamtej stronie: przy ataku krzyk „Jezus! Maria!”
2. Chłop błądzący po zgliszczach.
3. Uciekinierzy.
4. Ewakuowani.

---

\* L. Kubala, *Szkice historyczne*, t. 1—6; wychodziły w latach 1881—1922, dając barwny opis wypadków z lat 1648—1660. Orkan korzystał z nich przy pisaniu powieści *Kostka Napierski*.

Biblia z dworu wzięta (pisma Skargi, Mickiewicza).

Myśl (w obcych stronach): jak on by to gospodarzył.

Uw. Jeńcy. Bezprawia wojny. Spotęgowane opisy.

Atak Moskali: Płyną masy... szereg za szeregiem, leżą na druty z idiotycznym, obłędnym uśmiechem i koszone... padają, zwisają ciała na drutach.

Atak kawalerii. Odwrót.

We Francji: Pod Verdun. Diuny... w piachach. Stalowe żuki (tanki), grzmot armat.

Groza wojny — jeńcy, jako cienie, jako glina.

### Wojna

I. Wrażenia wojny obecnej: Jak sen ciężki, jak zmore.

*Jedwede stille Minute...* (L. Marck).

II. Przyczyny wojen.

III. Charakter wojny obecnej. Obrazy. Sprawozdanie.

IV. Suma szczęścia, które burzy.

V. Anty-moralność wojny: Chrystus, prawo a wojna.

VI. Sztuka a wojna. Przyroda, piękno a wojna.

VII. Zatrącenie jednostki — indywiduum.

VIII. Jedna ekspiacja: pokój wieczysty a) Sprawiedliwość każdemu narodowi, b) Sąd rozjemczy, c) Ogólna demobilizacja (Milicja).

I inaczej: Syzyfowa praca ludzkości. (Po co?)

### ... (powieść współczesna)

I. Werbunek. Zgłoszenie „do Legionów”. Musimy wszyscy skraja iść, chcący Moskala odgarnąć...

II—X. Przez gehennę wojny... „za Polskę”.

XI. Przeszedł wszędy ziemie polskie i wziął je w serce: zrozumiał.

XII. Powrót. Teraz zacznij budowę... (podwaliny kłóść).

Notatki z karty 9 verso, 10, dotyczące przyczyn wojny, zostały włączone do obecnego wydania.

Na odwrocie karty 11, oprócz dwu rachunków, znajdują się odpisy dwu wierszy w języku niemieckim: Ernesta Pręczanga *Wo tausend fallen...* (*Gdzie tysiąc ginie...*); Ludwika Marcka *Jedwede stille Minute...* (*W każdym momencie jedno tkwi...*), tłumaczonych przez Orkana w czasie pierwszej wojny światowej\*.

\* W. Orkan, *Poezje zebrane*, ... t. II, s. 182 i 185; s. 416 i 418.

## Tragedia rodu Burtanów. Powieść

Autografy planów i początkowej części powieści, opartej na rzeczywistych kolejach życia jednego z kolegów Orkana, Marcina Burtana \*, pochodzą zapewne z lat 1924—1925.

Obejmują one 7 kart (42—48 wg numeracji bibliotecznej), formatu 8°. Na kartach 45—48 znajdują się 4 plany powieści. Plan ostatni z karty 47 został włączony do obecnego wydania, trzy następne, ciekawe ze względu na proces formowania się tego samego pomysłu, zamieszczono w *Nocie*:

Pierwszy plan, zanotowany ołówkiem, zawarty jest prawdopodobnie na karcie 48, w tytule posiada autentyczne imię i nazwisko bohatera:

## Marcin Burtan (Wojciech)... Studium

- I. W klasztorze.
- II. W mieście.
- III. W internacie.
- IV. Na stacji.

Talent, kościół, partia, nabożeństwo majowe, pierwszy występ. [wykres] linia żywota.

Na odwrocie karty 48 zanotował autor, opatrując numeracją rzymską, trzy tytuły planowanych powieści:

- I. *Historia...* (Jean Cristof).
- II. *Rodzina Górskich*.
- III. *Bracia Burtany*.

*Bracia Burtany* nosi tytuł powieści w liście Orkana do Mariana Dąbrowskiego, właściciela „IKC”, pisanym 19 grudnia 1924 roku: „Z powieścią *Bracia Burtany* przyjdę w drugim kwartale”. Oto plan z karty 45, właśnie opatrzone tymże tytułem:

## Bracia Burtany

I. Urodziny. Chrzcziny. A diabeł śmiał się w rokcie — to samo po 7 latach.

- II. Przy bydle. Matematyka.
- III. W szkołach. Syn pierwszy.

---

\* St. Pigoń, *Nota bibliograficzna*, w: W. Orkan, *Czantoria...*, s. 289.

- IV. W internacie. Syn drugi.
  - V. Starszy — gdy ostatni egzamin [...] czarna noc nań naszła...
  - VI. Młodszy — matematyk. Gdy asystentem — melancholia...
  - VII. W szpitalu. Wzięto go do domu. Żniwa. „Bazie”. W ogniu stodoły...
- (Ludzie płakali. A diabeł śmiał się w rokicie...).

Następnym planem jest prawdopodobnie plan z karty 46:

#### Tajemnica rodu Burtanów

- I. Chrzcziny. Wróżby kumoszek. (A diabeł...).
  - II. Przy bydle.
  - III. W szkółce.
  - IV. Narada z organistą. Tajemnica rodu Burtanów (natrącenie).
  - V. Do szkół. W internacie. Przez głód...
  - VI. Stawa — Mrok... W szpitalu obłąkanych, (Tajemnica rodu Burtanów).
  - VII. Na wsi. Do pasenia — do wójta.
  - VIII. Żniwa. Bazie poświęcane.
  - IX. W ogniu stodoły...
- („Ludzie płakali, a diabeł śmiał się w rokicie...”)  
 Ojciec oszołomiony, oczy otwarte...  
 O księdzu: który zbuntował się przeciw Kościołowi, Bogu... i kara go za życia spotkała. Spalił się na łożu... Znalezione trup czarny, zwęglony... jakby z piekła wyjęty.  
 O doktorze:

Na odwrocie karty 46 znajduje się m. in. adres polskiego konsula we Francji, Leona Stachowicza.

W liście z 25 września 1925 roku, pisany do M. Dąbrowskiego, powieść nosi już tytuł: *Tragedia Burtanów*:

Z Nowym Rokiem złożę „Kurierowi” powieść (pt. *Tragedia Burtanów*), na którą otrzymałem był zaliczkę, a której z powodu przeszło półrocznego chorowania nie mogłem dotąd wykończyć.

Na karcie 44 zanotował autor szczegółowy plan rozdziału I, włączony do obecnego wydania, oraz trzy fragmenty tekstu z następnych rozdziałów powieści.

Na karcie 43 znajduje się pierwsza wersja początkowej części rozdziału I, na karcie 42 druga wersja tegoż rozdziału, zatytułowanego już: *Diabeł w rokicie*, do słów: „chrzciny nie sprawiał” (s. 363, w. 7). W wydaniu obecnym wydrukowano tekst z karty 42 i dalszy ciąg z karty 43.

## PRZYPISY

- s. 9 *morawskie czasy Światopełka* — Książę wielkomorawski, Światopełk, zmarł w roku 894. Mimo naporu niemieckiego zdołał utrzymać niezawisłość państwa wielkomorawskiego. Przyłączył do niego obszary nad górną Odrą i Wisłą.
- s. 55 „*Kraj*” — Wydział Krajowy, organ wykonawczy sejmiku galicyjskiego.
- s. 56 *Wyborca* — Orkan opisuje wybory do Rady Państwa (parlament wiedeński) w piątej kurii, chłopskiej (wybory pośrednie), w okręgu nowosądeckim, które odbyły się 13 grudnia 1900 roku (zob. „*Czas*” 1900, nr 302—304, 12—14 grudnia; „*Nowa Reforma*” 1900, dodatek do nr 282 z 11 grudnia; „*Przyjaciel Ludu*” 1900, nr 51 z 16 grudnia).  
Jagustyn wrócił z *Limanowa* — m. in. Limanowa była miejscem wyborów w okręgu nowosądeckim. Jagustyn był wyborcą wybranym na tzw. prawyborach w swojej wsi.
- s. 57 *od Nowego Sącza jeden* — mowa zapewne o kandydacie stojałowszczyków, Wincentym Smółczyńskim, restauratorze z Muszyny.  
*jeden drukarz* — Leon Misiótek, zecer, socjalista; w wyborach istotnie przepadł, mimo że ludowcy zalecali głosować na niego lub na kandydata Związku Chłopskiego, Stanisława Potoczka.  
*dwoch chłopów ze samego miasta* — mowa o przywódcach Związku Chłopskiego (odłam ludowców), Janie i Stanisławie Potoczkach, z Nowego Sącza.  
*jakisi poseł, kandydat Koła Polskiego* — dr Michał Danielak, adwokat, były poseł, kandydat Koła Polskiego, przeszedł w opisywanych wyborach w okręgu nowosądeckim.

- s. 60 „w roku jubileuszów”, w sto lat po rozbiornie Polski — Orkan łączy dwie daty: r. 1898, pięćdziesięciolecie panowania cesarza Franciszka Józefa, obchodzone uroczyste w całej monarchii, oraz r. 1895 — stulecie ostatniego rozbioru Polski.
- s. 61 Sabała — właściwe nazwisko Jan Krzeptowski. Zmarł w 1896 roku. Wspaniały przewodnik, gawędziarz i grajek starodawnych „nut” na gęślach, zwany „Homerem Tatr”. Rozsławili jego imię Sienkiewicz, Witkiewicz, Tetmajer. Wiele jego gawęd zapisał i opublikował Andrzej Stopka, *Sabała, portret, życiorys, bajki...*, Kraków 1897.
- s. 68 „ich wielgomożność” pan Chałubiński — zob. przypis do s. 243.
- s. 71 „I postawię dla ciebie przymierze...” — Stary Testament, *Proroctwa Ozeasza*, rozdz. II, w. 16 (cytat niedokładny).
- s. 73 „Pokwapcie się, lekkie, składne, jasne motyle...” — Hymn wyjęty z utworu Cypriana Norwida: *Ostatnia z bajek* (zob. *Nota wydawcy*, s. 397—398).
- s. 78 O wilcasku z Gubbio — *Wilcask z Gubbio*, rozdz. XXI *Kwiatków św. Franciszka*. Kilka rozdziałów, tego anonimowego utworu, przetłumaczył z włoskiego gwara podhalańską Stanisław Witkiewicz w czasie pierwszego pobytu w Lowrano, w latach 1904—1905 (wyd. w tomie *Z Tatr*, Lwów 1907).
- s. 80 „Przewodnik Kółek Rolniczych” — pismo mające na celu podniesienie kultury rolnej i propagowanie spółdzielczości na wsi. „Przewodnik” wychodził we Lwowie od 1889 roku do drugiej wojny światowej. „Gospodarz” — ilustrowany kalendarz, wydawany przez Wydawnictwo im. T. Kościuszki, redagowany przez Kaspra Wojnara. Wychodził od 1890 roku początkowo w Cieszynie, później w Krakowie (1896).
- s. 85 Kółko Rolnicze — dobrowolna, samorządowa organizacja, zrzeszająca chłopów w poszczególnych wsiach. W Galicji rozwój ich datuje się od roku 1882, wnet przekształciły się Kółka w organizacje handlowo-gospodarcze.



S y n d y k a t — zrzeszenie Kótek Rolniczych, tu: sklep zapatrujący rolników, swych członków, w nawozy sztuczne, nasiona, narzędzia rolnicze itp.

- s. 156 Było to akurat na rok przed wojną, w lutym — 23 lutego 1913 roku w sześćdziesiątą siódmą rocznicę powstania chochołowskiego po uroczystym nabożeństwie odbył się wielki wiec w Chochołowie — w skład komitetu organizacyjnego wchodził m. in. Władysław Orkan, Feliks Gwiżdż, redaktor „Gazety Podhalańskiej” (zob. „Gazeta Podhalańska” 1913, nr 8 z 16 lutego).

chochołowianie razem z księdzem zrobili powstanie — W lutym 1846 roku wybuchło powstanie antyaustriackie w Chochołowie. Na czele powstańców stanęli ks. J. L. Kmietowicz i organista J. K. Andrusikiewicz. Przeciwno powstańcom chochołowskim zwrócili się chłopci z Czarnego Dunajca, podburzeni przez władze austriackie. Powstanie zostało stłumione, ponad 100 powstańców zostało uwięzionych.

- s. 159 Pierwsza Drużyna Podhala — w uroczystościach wzięli udział oprócz miejscowej ludności, gości przyjezdnych ze Lwowa, z Krakowa, liczne organizacje społeczne, młodzieżowe, mające często charakter paramilitarny, jak np. Sokół, Związek Strzelców i tzw. Drużyny Podhalańskie z wielu miejscowości Podhala. O jednej z nich czytamy w szczegółowym sprawozdaniu zamieszczonym w „Gazecie Podhalańskiej” (nr 10 z 2 marca): „zwracała uwagę zwłaszcza Drużyna nowotarska z piórkami w górę za kapelusami”.

w ó j t c h o c h o ł o w s k i — Józef Kois, potomek powstańca, był przewodniczącym wiecu (sekretarzem Orkan).

r o d n y d u n a j c z a n i n — Jan Ciszek, gospodarz z Czarnego Dunajca, powstaniec z 1863 roku; zostawił pamiętnik.

- s. 163 W y z w o l e n i e — dramat w trzech aktach Stanisława Wyspiańskiego; według notatki na 5 stronie pierwszego wydania książkowego (Kraków 1903) „Rzecz napisana w roku 1902, dzieje się na scenie teatru krakowskiego”. Prapremiera odbyła się 28 lutego 1903 roku w Teatrze Miejskim w Krakowie, za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego.

o różności dusz ludzkich — zob. *Teoria socjalna. Rzuty i szkice*, s. 315 i n.

- s. 164 Ostap Ortwin zamieścił w „Krytyce” — artykuł O „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego, „Krytyka” 1903, z. 2 (luty), s. 113—125; przedruk w tomie *Próby przekrojów — Ze studiów nad teatrem, liryką i powieścią, 1900—1935*, ze słowem wstępnym Juliusza Kleinera i Władysława Kozickiego, Lwów 1936, s. 78—93.
- Prof. Chmielowski... rozpatruje sztukę — „Wyzwolenie”, „Nowa Reforma” 1903, nr 35—37, z 13—15 lutego.
- s. 166 „kamiennym, ślepym przerażeniem” — 13 wiersz *Mojej pieśni wieczornej* Jana Kasprzowicza, wydanej w tomie *Hymny* (1902).
- s. 168 komedie Bałuckiego — Michał Bałucki napisał około 20 komedii w latach 1867—1897. Wypełniały one repertuar teatrów przez wiele lat.
- sztuki Przybylskiego — Zygmunta (1856—1909), autora popularnych jednoaktówek i komedii obyczajowych, m. in. *Wicek i Wacek*.  
legends o Matce Boskiej Gawalewicza — Marian Gawalewicz (1852—1910) zyskał dużą popularność zbiorem legend, pt. *Królowa niebios* (1894—1896), ilustrowanym przez Piotra Stachewicza.
- s. 170 dramaty Słowackiego, wydane po jego śmierci — Przełomowym momentem w przyjęciu Słowackiego stało się wydanie jego *Pism pośmiertnych*, t. I—III, przez Antoniego Małeckiego, Lwów 1866 r. Trzeci tom *Pism* zawiera właśnie fragmenty nie ukończonego dramatu *Beniowski* oraz kilku innych dramatów. Orkan znał to wydanie (zob. przypis do s. 176), pozostawał pod wielkim urokiem twórczości Słowackiego. Jego dramat nieskończony *Widma* (1917—1927) wprost nawiązuje do jednej ze scen dramatu *Beniowski*.
- s. 172 *Rzecz o obronie czynnej* — pełny tytuł broszury Zygmunta Fortunata Miłkowskiego: *Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym*. Podpisana kryptonimem Z.F.M., opatrzona mottem z J. Słowackiego: „Czynu — czy-

nu! — naród czeka", wydana została w Paryżu w 1887 roku, drogą przemytu rozeszła się szeroko po kraju. Sprzedawano ją „na rzecz Skarbu Narodowego” po 50 centów.

Bawiąc zimą 1898 r. w Genewie — Orkan w Genewie był na wiosnę 1899 r. W liście do Franciszki Gurskiej z dnia 15 lutego 1899 r. pisał: „Byłem też z Tetmajerem u pp. Miłkowskich. Stary Jeż chory ciężko, tak piękna postać! Ucieszył się, zobaczywszy mnie; czytał był właśnie moich *Komorników*. Mówiliśmy dużo [...]. Miło spłynął czas — będą tam zachodził często”.

- s. 173 Wspomnienia jego miały dla mnie urok niezwykły — Miłkowski swe wspomnienia zebrał w książce *Sylwety emigracyjne*, wydanej we Lwowie w 1904 roku, zostawił również obszernie pamiętniki, wydane przez Polską Akademię Umiejętności w latach 1936—1937 w trzech tomach pt. *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*.
- s. 174 boska Dally — Delfina z Komarów Potocka (1805 lub 1807—1877), słynna z urody i talentów artystycznych przyjaciółka Fryderyka Chopina i Zygmunta Krasińskiego (ten ją określał imieniem Dially). Znajomość z Potocką znalazła wyraz w korespondencji i dziełach obu twórców.
- s. 175 tradycje muzyczne salonu ks. Czartoryskiej — Ks. Marcelina Czartoryska była uzdolnioną uczennicą Fryderyka Chopina.  
Ujejskiego... słowa do mazurków — W latach 1857—1860 napisał Ujejski *Tłumaczenia Szopena i Beethovena* (wyd. 1866), w których znajdują się słowa do siedmiu mazurków.
- s. 176 *Na pogrzeb kapitana M.* — Utwór cytował Orkan, aczkolwiek niedokładnie, z *Pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego*, Lwów 1866, t. I, s. 55—56 (zob. przypis do s. 170).
- s. 178 Jakub Bojko (1857—1943) — pionier ruchu ludowego w Galicji. Działalność społeczną rozpoczął jako samorodny nauczyciel ludowy. W r. 1895 wybrany został do sejmiku galicyjskiego, w r. 1897 do parlamentu austriackiego. Jeden ze współzałożycieli Polskiego Stronnictwa Ludowego.

- Całe życie brał czynny udział w pracy towarzystw oświatowych na wsi i Kótek Rolniczych.
- s. 182 Maria Wysłouchowa z Boufałów (1858—1905) — pisarka i działaczka oświatowa. Autorka książek dla ludu, założycielka i redaktorka „Przodownicy” i „Zorzy”, czasopism dla kobiet wiejskich, współredaktorka (wraz z mężem) „Kuriera Lwowskiego” i „Przyjaciela Ludu”. Opiekowała się początkami twórczości Orkana.
- s. 185 „Czytelnia Naukowa” — chodzi chyba o lwowską Czytelnię dla Kobiet, w której pracowała Maria Wysłouchowa w latach osiemdziesiątych.
- „Przegląd Społeczny” — miesięcznik naukowy i literacki, założony i redagowany przez Bolesława Wysłoucha w latach 1886—1887. Wysłouch rozwijał w nim program Polski ludowej, formułując hasło: „Sprawa polska stanie się sprawą kilkunastu milionów ludzi”.
- „Nieraz dawała nam kwiatki...” — cytat z artykułu, który ukazał się po śmierci Marii Wysłouchowej, 1 kwietnia 1905 r. w lwowskim „Promyku”, podpisany pseudonimem: Wrzos. Artykuł został przedrukowany w książce zbiorowej: *Maria Wysłouchowa. Wspomnienie pozgonne*, Lwów 1905, s. 87—90.
- s. 186 Bolesław Wysłouch (1855—1937) — polityk polski, publicysta. Za udział w ruchu socjalistycznym więziony w Warszawie, uszedł do Galicji. W roku 1886 począł wydawać we Lwowie „Przegląd Społeczny”. Redaktor „Kuriera Lwowskiego”, „Przyjaciela Ludu”, wpływał ideowo na utworzenie się i rozwój Stronnictwa Ludowego.
- Wystawa Krajowa we Lwowie — mowa o drugiej Wystawie Krajowej w Galicji w roku 1894, w rocznicę powstania kościuszkowskiego. Wystawy krajowe, w odróżnieniu od powszechnych, były poświęcone produkcji jednego kraju.
- s. 187 Jan Wantuła (1877—1953) — bibliofil, samouk, pisał w pismach ludowych pod pseudonimem Jan Gojański. Poznał Marię Wysłouchową około 1898 r. i korespondował z nią. Orkana poznał właśnie w związku z red. książki zbiorowej *Maria Wysłouchowa. Wspomnienie pozgonne*, Lwów 1905.

„Możemy powiedzieć, że umarła z żalu serdecznego...” — cytata ze wspomnienia pośmiertnego, drukowanego w „Przyjacielu Ludu” w dniu 26 marca 1905 r. Artykuł został przedrukowany również w książce zbiorowej: *Maria Wysłouchowa...*, s. 86—87.

- s. 188 brat przyrodnik — mowa o bracie pisarza, Stanisławie Smreczyńskim (1872—1954), przyrodniku, długoletnim profesorze krakowskich gimnazjów.
- Jiráska *Chodowie* — mowa o powieści Aloiza Jiráska napisanej w 1875 r., poświęconej czeskim ruchom ludowym w drugiej połowie XVIII w., pt. *Skaláci*. W tłumaczeniu Marii Wysłouchowej, pod zmienionym tytułem: *Chodowie*, została wydana w 1902 r.
- s. 192 śmiałe wyprawy ks. Załęskiego przeciw masonom... — Stanisław Załęski (1834—1908), jezuita, historyk, ogłosił m. in. w 1889 roku *O masonii w Polsce od r. 1742—1822, na źródłach wyłącznie masonskich*; w 1890 *Masonia r. 1889, jej statystyka i działalność*.
- s. 193 „Życie” — tzw. krakowskie, tygodnik poświęcony literaturze i sztuce, organ Młodej Polski. Założony został w 1897 r. (1 nr — 24 września) przez Ludwika Szczepańskiego i redagowany przez niego do czerwca 1898 r. Od czerwca do września 1898 r. nominalnym redaktorem pisma był Ignacy Sewer-Maciejewski, funkcje jego pełnił zaś Artur Górski, kierownikiem artystycznym był Leon Wyczółkowski. Wielką rolę odegrał wówczas cykl artykułów A. Górskiego (pseudonim: Quasimodo) pt. *Młoda Polska* (nr 15—19, 1898), w których sformułował hasło o niezależności sztuki, nadrzędnym znaczeniu indywidualności artysty, prawach i poszanowaniu dla twórczości młodych.

Od września 1898 r. do końca, tzn. do lutego 1900 r., redagował tygodnik (od nr 48 w 1898 r. dwutygodnik) Stanisław Przybyszewski przy współpracy artystycznej Stanisława Wyspiańskiego. W noworocznym numerze (1899 r.) zamieścił Przybyszewski manifest pt. *Confiteor*, w którym przedstawił swoje poglądy na sztukę i prawa artysty. Odpowiedział mu w numerze 4 A. Górski artykułem *Spowiedź poety*. Przybyszewski dobierał materiał literacki i krytyczny

pod kątem osobistych poglądów estetycznych. Do zamknięcia pisma przyczyniły się kilkakrotne konfiskaty, pogłębiające trudności finansowe.

„Fliegende Blätter” — monachijski satyryczny tygodnik, poświęcony życiu kulturalnemu. Wychodził w latach 1844—1928.

- s. 194 P. Szczepański.. przywiózł ze sobą nazwę *Młoda Polska* — Ludwik Szczepański, założyciel i pierwszy redaktor „Życia” krakowskiego, był twórcą terminu *Młoda Polska*, stworzonego na wzór nazw zespołów literackich *Młode Niemcy* (Jung Deutschland), *Młoda Belgia*, *Młoda Francja*. Termin ten rozpowszechnił Artur Górski artykułem pod tymże tytułem (zob. przypis poprzedni).
- s. 195 piękne tłumaczenia liryków czeskich przez Szukiewicza — Maciej Szukiewicz (1870—1943) tłumaczył dla „Życia” Tokara Březiny *Tajemne dalky* (nr 7 z 6 listopada 1897), Antoniego Sowy *Teodorowi Mausenowi* (nr 12 z 11 grudnia 1897).
- s. 196 żona — Dagny Juel Przybyszewska, norweska pianistka i pisarka, ze środowiska niemiecko-skandynawskiej bohemy modernistycznej. Autorka dramatów: *Kiedy słońce zachodzi*, *Krucze gniazdo*.
- s. 197 „Sztuka nie ma żadnego celu” — cytata z *Coniteor*, artykułu wstępnego nr 1 „Życia”, r. 1899.
- s. 198 Słowacki spoza grobu jej [Młodej Polsce] przewodniczy — za patrona i prekursora „nowej sztuki” uznała Słowackiego *Młoda Polska* (zob. Ignacy Matuszewski, *Słowacki i nowa sztuka*, 1902).
- s. 202 studium *Szeerbart* — *Paweł Szeerbart. Sylwetka wesołego poety*, utwór drukowany w „Życiu” krakowskim w 1898 r., zawarty w tomie *Studia i szkice* (Lwów 1901). W utworze tym nakreślił Nowaczyński postać mecenasa Müllera, stwarzając klasyczny typ filistera. *Wesele* — premiera dramatu odbyła się w Teatrze Miejskim w Krakowie 16 marca 1901 r., za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego, pierwsze wydanie książkowe ukazało się w roku 1900.

- s. 203 malowanie rycerzy zakutych w czarną zbroję — autor mówi o dramacie K. Tetmajera *Zawisza Czarny*, wydanym w r. 1901.  
*Anioł pański* — wiersz wszedł w skład *Serii III Poezji* K. Tetmajera, wydanej w 1898 roku.  
*Sny o potędze* — pierwszy tomik poezji Leopolda Staffa, wydany w r. 1901 (por. recenzję Orkana, s. 205).  
*Godzina* — fragment dramatyczny Stefana Żeromskiego ukazał się na łamach „Krytyki” w 1902 r., z. 4 i 5.
- s. 204 Lucjan Rydel *Poezje* — drugi tomik poetycki, z rysunkami Stanisława Wyspiańskiego.
- s. 205 „sam nie wiem” — mowa prawdopodobnie o wierszu *Nie wiem sam!*; słowa te powtarzają się w zakończeniu wszystkich czterech strofek wiersza (zob. M. Gawalewicz, *Poezje*, Kraków 1889, s. 17).  
Tetmajer napisał sześć sonetów — zamieścił je w *Serii III Poezji*, wydanej w 1898 roku.  
„Ja napiszę dwanaście” — w recenzowanym tomiku znajduje się m. in. cykl sonetów pt. *Mitologie*, jest ich dwanaście, są tytułowane i opatrzone numeracją rzymską.
- s. 206 hymn do kobiety-matki — końcowy fragment poematu L. Staffa *Pieśń o oczach*, zaczynający się od słów modlitwy: „I błogosławiony owoc żywota twego...” (*Sny o potędze*, 1901).  
„Wszechświat się cały dzwonem stał...” — wiersze 37—42 utworu *Dzwony*, z cyklu *Burza* (*Sny o potędze*, 1901).
- s. 207 *Złote runo* i *Goście* — dramaty te nie były wówczas grane w Rozmaitościach. *Złote runo* wystawił Pawlikowski we Lwowie w 1901 roku (premiera 27 marca).
- s. 210 wieść odebrana z komunikatu SDKPiL... — organ SDKPiL, „Czerwony Sztandar”, ogłosił 25 kwietnia 1908 roku spis agentów ochrony, w którym figurowało m. in. nazwisko Stanisława Brzozowskiego (*Z tajemnic ochrony*, nr 156). Spis ów był sporządzony przez patriarchę rewolucjonistów Burcewa na podstawie listy, przekazanej mu przez Michała Bakaja, byłego urzędnika warszawskiej ochrony

(tajna policja polityczna w Rosji carskiej, podległa departamentowi policji ministerstwa spraw wewnętrznych).  
 pierwsze „Słowo Polskie” pospieszyło z afirmacją... — mowa o artykule *Zdemaskowanie szpiega*, zamieszczonym w „Słowie Polskim” (1908, nr 200 z 27 kwietnia). Autor artykułu przytoczył informację o szpiegostwie Brzozowskiego za „Czerwonym Sztandarem”, uzupełniając ją rysem biograficznym i komentarzem, w którym m. in. znajduje się następujące sformułowanie: „Przestrzegaliśmy jednak młodzież, aby nie zawierzała «ideologii» ludzi niepewnych, pozbawionych charakteru”.

„Naprzód” zamieścił ów komunikat z aprobatą... — 1 maja 1908 roku „Naprzód” (nr 120) przedrukował notę z „Czerwonego Sztandaru” o szpiegostwie Brzozowskiego pt. *Stanisław Brzozowski szpiegiem*, dodając krótki aprobujący komentarz. Drugi artykuł na ten temat pt. *Szpieg* ukazał się jako artykuł wstępny 5 maja w nr 124, anonimowym autorem był Emil Haecker. Do tego artykułu odnosi się uwaga Orkana, zamieszczona w formie przypisu: „Nieprawdziwą jest podana za «Naprzodem» w dziennikach wiadomość, jakoby St. Brzozowski był tam lub kiedykolwiek sekretarzem M. Gorkiego”.

Janina Borowska — nazwisko jej było również wymienione w „Czerwonym Sztandarze” i na tzw. „Czarnej liście” w spisie szpiegów i prowokatorów ochrony warszawskiej. W artykule o Stanisławie Brzozowskim Emil Haecker („Naprzód” 1908, nr 124 z 5 maja) napiętnował też „znikczemnienie moralne” Borowskiej. 8 maja 1908 r. ukazał się w „Naprzodzie” komunikat, że Janina Borowska zażądała sądu partyjnego. Sąd ten nie odbył się, Borowska wniosła wówczas do Trybunału Przysięgłych skargę o oszczerstwo. Na fakt ten powołuje się Orkan w przypisie: „Jak wiadomo, p. Borowska zmuszoną była skierować sprawę swoją na drogę sądu państwowego”.

- s. 211 ukazał się przez wielu czekany protest St. Brzozowskiego — mowa o drugim z kolei, a pierwszym wydrukowanym proteście Stanisława Brzozowskiego („Nakładem podpisanego. Drukiem A. Goldmana



we Lwowie"). Protest ten, zatytułowany *Oświadczenie*, napisał Brzozowski 5 maja 1908 r. (pierwszy był z 3 maja). Znajduje się w nim m. in. zdanie, do którego nawiązuje Orkan: „Wzywam całą Polskę myślącą wszystkich obozów: niech osądzi całą moją działalność...”

drugie oświadczenie — w okresie od 3 maja do 8 czerwca 1908 roku Brzozowski napisał 8 protestów. Z tych drukami ukazały się tylko trzy jako ulotki — pierwszy drukowany we Lwowie, drugi w Wiedniu, trzeci również w Wiedniu (nakładem autora, około 8 czerwca 1908). Orkan, pisząc o drugim oświadczeniu, w rzeczywistości powołuje się na ósme.

„Nie rozstrzygając samej sprawy...” — cytat z artykułu zamieszczonego w „Kulturze Polskiej”, organie Towarzystwa Kultury Polskiej, w nr 6 z 1 czerwca 1908 roku.

- s. 212 Iwan Franko zarzucił Mickiewiczowi apoteozowanie zdrady — mowa o artykule *Ein Dichter des Verrathes*, zamieszczonym w tygodniku „Die Zeit”, Wiedeń 1897; przekład polski: *Poeta zdrady*, tłum. Patriota polski, Warszawa 1897 (zob. również broszurę pt. *Głosy akademickie w sprawie dra Iwana Franki*, Lwów 1898).

Warszawa! — *Prolog dramatyczny* St. Brzozowskiego, drukowany w „Krytyce” 1905, z. 10, s. 312—342.

- s. 213 list Zygmunta Krasińskiego — cytat z listu do Bronisława Trentowskiego z dn. 14 czerwca 1851 r. (zob. *Listy Zygmunta Krasińskiego*, Lwów 1887, t. III, s. 322—323).

- s. 215 Jan Sten — pseudonim Ludwika Brunera (zob. przypis następny). Poeta, nowelista, krytyk literacki, długoletni redaktor „Krytyki”. Autor tomów: *Poezje* (1899), *Jeden miesiąc życia* (1900), *Dusze współczesne* (1902), *Pisarze polscy. Wrażenia literackie* (1903), *Szkice krytyczne* (1906).

prof. dr Ludwik Bruner (1871—1913) — profesor chemii fizycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. W r. 1910 założył i prowadził zakład chemii fizycznej, pierwszą w Polsce placówkę badawczą w tej dziedzinie. Autor prac: *Pojęcia i teorie chemii* (1904), *Ewolucja materii* (1909);

współautor *Chemii organicznej* (1909) i *Chemii nieorganicznej* (1905).

- s. 216 „Młodość” — akademicki miesięcznik wychodzący w Krakowie w latach 1898—1909 (łącznie 15 numerów). Miał aspiracje, by stać się pismem łączącym młodzież z równo wszystkich zaborów, jak i studiującą za granicą. Od r. 1900 „Młodość” zmieniła swój charakter, stała się czasopismem literacko-artystycznym — po kilku numerach pismo upadło.
- Będąc blisko „Krytyki” — Do „Krytyki” przeszło wielu pisarzy z „Życia” po objęciu redakcji przez Przybyszewskiego (zob. przypis do s. 193), m. in. Orkan. „Krytykę” można uważać za pismo Młodej Polski. Znamienny jest cykl artykułów Stena, redaktora „Krytyki”, pt. *Młoda Polska*, zapoczątkowany w 1 numerze 1899 r., w którym zamieścił sylwetki wielu pisarzy, m. in. Żeromskiego, Reymonta, Sieroszewskiego, Wyspiańskiego.
- s. 217 impresja o mizantropie Niedźwiedzkim — pierwsze słowa artykułu Stena pt. *Zygmunt Niedźwiedzki*, zamieszczonego w tomie *Dusze współczesne*, Lwów 1902, s. 76—82.
- s. 222 uniwersytet krakowski był świadkiem głośnych wystąpień studenckich — W 1889 roku młodzież postępową założyła studenckie czasopismo „Ognisko” (pierwszy jego numer, podpisany przez K. Tetmajera, został skonfiskowany) oraz opanowała Czytelnię Akademicką, oficjalną organizację studencką. Franciszek Nowicki, student wydziału filozoficznego, odegrał wybitną wówczas rolę; został wybrany prezesem Czytelni.
- s. 227 Goszczyński pokusił się o stworzenie poematów większych na tle... tatrzańskie przyrody — *Sobótka* (1834), część nie zrealizowanej w całości epopei góralskiej *Kościelisko*.
- s. 228 „Jak potopu świata fale...” — cytat z *Pieśni o ziemi naszej* W. Pola (1843), w. 765—767.
- „Wyzłoczone słońcem szczyty...” — pierwsza strofa wiersza *Ranek w górach* z cyklu *W Tatrach*, zadedykowanego Mieczysławowi Pawlikowskiemu. Cykl powstał

- w 1878 r., drukowany był w tomie III *Poezji* (1880) A. Asnyka.
- s. 229 „Widmo bożych tajemnic” — cytat z wiersza pt. *Wiatr gnie sieroce smreki...*, drukowanego w tomie J. Kasprowicza *Ballada o słoneczniku* (1908, w. 7).
- s. 236 Klimek (Klemens) Bachleđa (1849—1910) — „Król przewodników tatrzańskich”. Odegrał wybitną rolę w wysokogórskim zdobywaniu Tatr, 1892—1910. Był towarzyszem wypraw m. in. Kazimierza Tetmajera, Mieczysława Karłowicza i Franciszka Nowickiego. Był jednym z założycieli Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, zginął w Tatrach, idąc z pomocą rannemu taternikowi. Bartek Obrochta (1850—1926) — leśniczy, sławny skrzypek Chałubińskiego, przewodnik. Znakomity muzyk ludowy, przyjaciel Karola Szymanowskiego.
- W a w r y t k o — przewodnik górski, oślepiiony i okaleczony podczas eksplozji prochu przy rozsadzaniu skał. Prototyp bohatera noweli Stanisława Witkiewicza pt. *Wojtek Gandara* (*Z Tatr*, 1907). Tragiczny wypadek Wawrytki stał się bezpośrednią przyczyną wielkiej polemiki i procesu St. Witkiewicza z dr Chramcem (zob. St. Witkiewicza *Bagno*, Lwów 1903).
- s. 237 k s. G a d o w s k i — Walenty Gadowski (1861—1938) po raz pierwszy przybył na Podhale w 1881 roku. Odbywał liczne wycieczki tatrzańskie z Franciszkiem Nowickim, razem wytyczyli szlak turystyczny od Świnicy po Wołoszyn, zwany Orlą Percią, w latach 1902—1906.
- s. 240 t w ó r c z o ś ć J a c k a M a l c z e w s k i e g o — pisał o niej Stanisław Witkiewicz, zob. „Krytyka” 1903, t. II, s. 105—113.
- Sztuka i krytyka* — pełny tytuł *Sztuka i krytyka u nas* (1891), książka zawiera artykuły Witkiewicza publikowane w „Wędrowcu” w latach 1884—1886.
- s. 241 m o n o g r a f i e — *Jan Matejko* (1908), *Aleksander Gierzyński* (1903), *Juliusz Kossak* (1900).
- Obłok*, inaczej *Wiatr halny* — znana z licznych reprodukcji akwarela St. Witkiewicza (1895), znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie.

- s. 242 studium o wychowaniu religijnym (w czasopiśmie „Reforma Szkolna”) — *Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich*. „Reforma Szkolna”, Kraków 1904 (t. I) — 1911 (t. II) — artykuł nie skończony; osobno i w całości ukazał się we Lwowie 1920 r. pt. *Chrześcijaństwo i katechizm*.  
w pracowni rzeźbiarza Nalborczyka — Jan Nalborczyk rzeźbił pomnik Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem według rysunku Stanisława Witkiewicza.
- s. 243 „jego wielgomożność” pan Chałubiński — Prof. Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Warszawie, od r. 1873 rokrocznie przyjeżdżał do Zakopanego. Wielki altruista, w roku 1873 zorganizował pomoc sanitarną dla Górali w czasie epidemii cholery. Odkrył i spopularyzował Zakopane jako uzdrowisko. St. Witkiewicz wiele miejsca w swej twórczości poświęcił T. Chałubińskiemu (*Po latach*), znany też jest jego portret rysunkowy Chałubińskiego.
- s. 245 *Na przełęczy* — reportaż-esej, pt. *Na przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr*, opublikował autor po raz pierwszy drukiem w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1889 (nr 314—333) — 1890 (nr 18—43), opatrując publikacje 135 drzeworytami, wykonanymi z własnych rysunków. Osobno ukazał się w latach 1891 i 1906.  
*Zima w Tatrach* — chodzi niewątpliwie o *Tatry w śniegu*, krótki reportaż z wycieczki zimowej w Tatry, gdzie zamieścił Witkiewicz swe pierwsze wrażenia z pobytu w Zakopanem w lutym i marcu 1886 r. *Tatry w śniegu* drukował Witkiewicz najpierw w „Wędrowcu” (1886 nr 46—52), po latach włączył utwór ten do drugiego wydania książkowego *Na przełęczy*, Lwów 1906.
- s. 246 *Z Tatr* — wydanie pierwsze ukazało się we Lwowie w 1907 roku.  
*Po 20 latach* — tytuł przedmowy do drugiego wydania *Na przełęczy* (Lwów 1906) brzmi: *Po latach*. Przedmowa ta to obszerny traktat socjologiczno-filozoficzno-opisowy na temat góralszczyzny i Tatr, pisany w latach 1903—1905.

- s. 247 Gdym w roku 1913 wiosną odwiedził go w Lovranie — Orkan był w Medvei pod Lovraną od 12 kwietnia do końca maja.
- s. 248 *Wyjątki z listów do siostry* — podtytuł publikacji *Ostatnie słowa*, obejmującej wyjątki z listów do siostry, Marii, dotyczące spraw toczącej się wojny i legionów, z „sierpnia 1914 — sierpnia 1915” (wyd. „Wiadomości Polskich”, Piotrków 1916).
- s. 249 Adam hr. Krasieński (1870—1909) — wnuk Zygmunta, literat i mecenas. Zamiłowany tatarnik, przyjaciel K. Tetmajera. Na nim wygasła linia rodowa Zygmunta Krasieńskiego.
- Stefan Jarzmowski (1850—1890) — rzeźbiarz. W latach 1869—1871 przebywał istotnie w legii cudzoziemskiej w Algierze.
- s. 255 „Cichy Pan” — tak nazywa pisarz malarza, Konstantego Rayskiego-Kietlicza (1868—1924). Studiował w krakowskiej i warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. We wsi rodzinnej i okolicy, w Bieleckim i Lublinie, malował wiele portretów olejnych i akwarelowych, szczególnie lud wiejski, i krajobrazów. Zamieszczał w wielu czasopismach, m. in. „Gazecie Podhalańskiej”, własne utwory literackie, nowele, jak i artykuły z zakresu krytyki i ludoznawstwa.
- s. 260 „Ponad turnic załomy...” — liczne cytaty pochodzą z dwóch tomików poetyckich J. Kasprowicza *Krzak dzikiej róży* (1898, 1907) i *Ballada o słoneczniku* (1908); Orkan cytuje niedokładnie.
- s. 262 Józef Stolarczyk (1816—1893) — pierwszy proboszcz zakopiański w latach 1847—1893. Wybitna indywidualność, przyjaciel Chałubińskiego i Witkiewicza (zob. *Po latach*, 1906). Położył wielkie zasługi dla Zakopanego i jego mieszkańców, głównie przez swą działalność wychowawczą. Osobny rozdział poświęcił mu F. Hoesick w książce *Legendowe postaci zakopiańskie*, Warszawa 1921.
- bunt Napierskiego — tytuł „poematu dramatycznego” z dziejów buntu chłopskiego na Podhalu (1651), pisany w latach 1889—1891, wydany w 1899 r.
- Osiadł na dłużej w Poroninie... — Od roku

1906 przebywał często w Poroninie, od roku 1924 zamieszkał na stałe we własnej willi „Harenda”.

Król i Marchońt — postacie dramatu pt. *Marchońt gruby a sprośny* (1920).

- s. 263 Powołany na katedrę — Kasprowicz objął w roku 1909 katedrę literatury porównawczej na uniwersytecie we Lwowie. W latach 1921—1922 był rektorem tegoż uniwersytetu.
- s. 264 *Księga ubogich* — tom utworów liryczno-refleksyjnych, wydany w roku 1916.
- s. 267 Ojciec poety — Adolf Tetmajer (1814—1880), marszałek powiatu nowotarskiego, żołnierz powstania listopadowego, świetny narrator.
- s. 268 Na Matkę Boską Zielną w sierpniu... — Matka Boska Ludzmierska, (drewniana statua Matki Boskiej z Dzieciątkiem powstała około 1400 r.) uważana przez Górali za cudowną, ściągą na odpust 15 sierpnia lud z całego Podhala.
- s. 269 „na wiosnę” poświęca bratu... kilka sonetów — Jeden z tych sonetów pt. *Na wiosnę*, zadedykował poeta: „Memu bratu Włodzimierzowi” (*Poezje. Seria IV*, 1900); Włodzimierz Tetmajer (1862—1923), przyrodni brat Kazimierza, malarz, poeta, działacz polityczny.
- „Tam, u nas tak w niedzielę...” — cztery ostatnie wiersze sonetu K. Tetmajera pt. *Tęsknica* (*Poezje. Seria IV*, 1900).
- s. 270 Józef Jedlicz — właściwe nazwisko: Józef Kapuściński (1878—1955), poeta, prozaik, publicysta. Autor m. in. tomiku poezji pt. *Słoneczna pieśń* (1904), którego recenzję zamieścił Orkan w „Tygodniu” (1904, nr 48).
- s. 271 „Na bój? Na świt? Na nowe życie?” — cytat z wiersza J. Jedlicza pt. *Krzyk*, z tomiku *Słoneczna pieśń* (dosłowne brzmienie: „Na bój, na świt, na nowe życie”). Jan Sten, pisząc w „Krytyce”... — *Wiersze nowe*, „Krytyka” 1904, t. II, s. 247—248.
- s. 272 cykl 14 sonetów: *Legenda pól...* — drukowany był w „Tygodniu”, dodatku literackim do „Kurierza Lwow-

skiego", w 1902 r. w numerach 27—31, przedruk w tomiku *Słoneczna pieśń*.

Feliks Gwiżdż (1885—1952) — pisarz, działacz społeczny, polityk. Twórczość jego literacka, związana z regionem podhalańskim, obejmuje zbiory poezji: *Fale* (1907), *Kośba* (1921), zbiory nowel: *Dobrzy ludzie* (1912), *Obrazy na szkle* (1926), dramat *Podcięty dąb* (1906), komedię *Gody* (1922). Tomu *Jaśkowa nuta* bibliografie nie wymieniają, trudno orzec, jakie utwory, poezje czy nowele, miał on zawierać.

- s. 275 Andrzej Galica (1873—1945) — literat, z wykształcenia inżynier, generał, w okresie międzywojennym dowódca brygady strzelców podhalańskich. Autor paru utworów dramatycznych: *Przysięga* (1909), *Robert Szporn* (1911), *Janosik* (1923).

Zygmunt Lubertowicz — profesor gimnazjum w Nowym Targu, pisarz, utworami swymi (wiersze, m. in. *Sonety tatrzańskie*, opowiadania) zapelniał szpalty „Gazety Podhalańskiej”.

„Promień” — czasopismo polskiej młodzieży socjalistycznej wydawane we Lwowie w latach 1899—1912. Galica pod pseudonimem A. Wirchoń pisał tam o Orkanie, zob. „Promień” 1900, nr. 2.

- s. 279 P. Adam Zagórski w artykule... — O dwu dramatach *Orkana*, „Tydzień” 1906, nr 29 i 30; autor opatrzył artykuł mottem: „Cóż ludziom po prawdzie, gdy cierpią” (*Wina i kara*); Adam Zagórski (1884—1930), teatrolog, krytyk literacki, w owym czasie należał do redakcji „Kurieria Lwowskiego”.

*Pomsta* — pierwotny tytuł dramatu *Orkana* pt. *Skapany świat*, pisanego w latach 1897—1898, wydanego we Lwowie 1903 r.

- s. 280 *Oliara* — dramat ukończony w 1899 roku, przerobiony na przełomie roku 1903/1904, wystawiony w krakowskim Teatrze Ludowym w roku 1904, wydany w Krakowie w 1905 roku.

*Wina i kara* — dramat pisany w latach 1903—1904, wydany w Krakowie w 1905 roku.

- s. 281 „zbyteczna postać Owczarza”, jak twierdzi p. Sten — *Dwa dramaty Orkana*, „Krytyka” 1905, t. II, s. 258—261; cytat niedokładny, Sten pisze: „Jedna postać Owczarza tylko zbytecznie podkreśla to, co i tak już widoczne, i swą obojętno-zgryźliwą ironią przypomina niektóre zbyt łatwe refleksje...”
- s. 286 upadły student z *Epilogu* — tak określił Orkan jedną z postaci w spisie osób dramatu pt. *Franek Rakoczy. Epilog w trzech aktach*, napisanego w latach 1906—1907, wydanego w r. 1908.
- s. 287 Ludwik Solski — właściwe nazwisko Ludwik Napoleon Sosnowski (1855—1954), wybitny aktor. W latach 1905—1913 był dyrektorem Teatru Miejskiego w Krakowie. Cenzuralna Rada przyboczna we Lwowie — wydział przy namiestnictwie we Lwowie, instancja kontrolna w referacie kultury, długi czas kierował nim Adam Krechowicki (1850—1919), pisarz i literat.
- s. 291 *Współczesna poezja ukraińska* — tytuł przedmowy do *Antologii współczesnych poetów ukraińskich*, przekład S. Twerdochliba, Lwów 1911 (zob. *Nota*, s. 437 i n.).
- s. 292 *Słowo o pułku Igora* — *Słowo o wyprawie Igora*, anonimowy poemat staroruski, opisujący nieudaną wyprawę wojsk ruskich przeciw Połowcom (1185). Na temat autentyczności poematu toczyła się dyskusja po roku 1938. Najlepszy polski przekład poematu dał Julian Tuwim.
- s. 294 *Weczeracy*, z muzyką Niszczyńskiego — zob. recenzja teatralna, s. 307, oraz przypis do s. 306. *Proklate serce* — Orkan ma zapewne na myśli obraz ludowy pt. *Zakamieniałe serce*, zob. recenzja s. 309—310 i przypis do s. 309.
- s. 295 Taras Szewczenko (1814—1861) — artysta malarz i poeta ukraiński. Po raz pierwszy poezje jego ukazały się w r. 1840, w tomie zatytułowanym *Kobzar* (tłumaczony m. in. przez Wł. Syrokomlę).
- s. 296 Juryj Fed'kowicz (1834—1888) — pełne nazwisko piewcy Bukowiny brzmi Osyp Juryj Hordynskij-Fed'kowycz.
- Borys Hrinchenko — używał trzech pseudonimów:



Wasył Czajczenko, Iwan Perekotypołe, B. Bilchiwski.

Iwan Franko (1856—1916) — poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, tłumacz, czołowa postać ukraińskiego życia kulturalnego. Pisał też po polsku, zajmował się literaturą polską, drukował w „Prawdzie”, „Głosie”, „Przeglądzie Tygodniowym”. Współpracował z B. Wystouchem i stąd zapewne jego dobra znajomość z Orkanem.

- s. 297 *Łesia Ukrainka* — pseudonim Łarysy Kosacz (1871—1913), poetki i publicystki, autorki prac także z zakresu krytyki literackiej.

Bohdan Łepki (1872—1941) — ukraiński pisarz i historyk literatury. Należał do grupy poetów Młoda Muza. Przyjaźnił się z wieloma pisarzami polskimi. Swe wspomnienie o Orkanie pomieścił w książce *Trzy portrety*, Lwów 1937. Od 1925 był docentem, a później profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Osobne studium poświęcił mu M. Zdzichowski.

Młoda Muza — zespół pisarzy ukraińskich, z programem artystycznym zbliżonym do modernizmu zgrupowany wokół wydawnictwa Młoda Muza. Założony w 1906 trwał do r. 1909. W pierwszych latach nadawał kierunek Młodej Muzie Wasył Szczurat. W czasopiśmie „Diło” ukazał się manifest Młodej Muzy. Przywódcą zespołu, do którego należeli: B. Łepki, P. Karmańskij (1878—1956), W. Paczowśkij, M. Jackiw, S. Czarneckij (1881—1944), S. Twerdochlib (ur. 1886), W. Byrczak, był następnie O. Łuckij (ur. 1883), znany poeta i działacz.

- s. 298 *Powieściopisarze i noweliści* — tytuł przygotowanej przedmowy do wyboru nowel pisarzy ukraińskich pt. *Młoda Ukraina* (1908) — zob. *Nota*, s. 439—440.

Wasył Stefanyk (1871—1936) — pisarz ukraiński, nowelista. Studiował medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przyjaźnił się z wieloma polskimi pisarzami. Szereg jego nowel na język polski przełożył zaprzyjaźniony z nim Orkan.

- s. 299 *Kwitka* — Hryhoryj Kwitka-Osnowianeńko (1778—1843), dopiero po roku 1830 rozpoczyna pisać powieści

w języku ukraińskim, przedtem pisał po rosyjsku.

*Dorfgeschichten* Auerbacha — mowa o zbiorze nowel *Schwarzwälder Dorfgeschichten* (t. I—IV, 1843—1854) Bertholda Auerbacha (1812—1882), tłumaczonych na wiele języków.

Marko Wowczok — pseudonim pisarski Marii Wilińskiej-Markowicz (1834—1907).

- s. 301 Karpenko-Kary — pseudonim Iwana Tobilewycza (1845—1907), jednego z trzech braci znanych w kręgach teatru ukraińskiego (zob. przypis do s. 309), autora wielu sztuk dramatycznych, grywanych często około 1900 r.

Fo h o b i c z n y — trudno ustalić, o kogo Orkanowi chodziło, gdyż nazwiska tego ani pseudonimu nie notują historie literatury ani teatru ukraińskiego.

C z e r e m s z y n a — pseudonim Iwana Semaniuka (1874—1927), epika biedoty huculskiej.

W e r c h o w y n y ć — pseudonim Wasyla Kostiwa (1880—1938), narodowego kompozytora ukraińskiego.

W e t ł y n a — pseudonim Tymofija Bordulaka (1863—1936), autora licznych opowiadań.

W ł o d z i m i e r z J a r o s z — Ukrainiec, profesor gimnazjalny, filolog klasyczny, zaprzyjaźniony z Orkanem.

- s. 302 Mychajło Jackiw — przedmowa do tomu nowel M. Jackiwa *Wieczorne psoty...*, 1910 (zob. *Nota*, s. 440); M. Jackiw (1873—1961) — nowelista.

*Dorycki krągane* — tom nowel Jackiwa wydany we Lwowie w 1908 roku.

- s. 304 *Ne chody, Hryciu, ta na wieczernyciu* — pierwsze słowa znanej ludowej pieśni ukraińskiej: „Oj, ne chody, Hryciu, taj na wieczernyciu”.

- s. 305 Stadnyk Josif — aktor i pisarz. W r. 1900 przełożył na język ukraiński *Skapany świat*. W tym tłumaczeniu sztuka była grana w teatrze Ruska Besida 29 września 1900 r. *Neszczasne kochanie* Mańka... — sztukę ludową Ł. Mańka (ur. 1869), autora popularnych sztuk ludowych, wystawił Teatr Miejski w Krakowie 5 listopada 1898 r.; *Neszczasne kochanie* to przeróbka jednego z dramatów A. Ostrowskiego.

*Natałka Kotlarewskiego* — *Natałka-Poltawka*, sztuka wystawiona po raz pierwszy w r. 1819, wydana 1838, Iwana Kotlarewskiego (1769—1838), pisarza, który pierwszy zaczął pisać w języku ludowym ukraińskim. Muzykę do *Natałki* napisał Mykoła Łysenko.

- s. 306 *Zaporożec za Dunajem...* Artemowskiego — operetka Semena Hulak-Artemowskiego, wystawiona po raz pierwszy 1881 roku.
- Weczernyci...* Niszczyńskiego — przeróbka IV aktu *Nazara Stodoli* Szewczenki. Tekst napisał i muzykę skomponował Petro Niszczynskij, tłumacz i dramaturg ukraiński.
- s. 308 *Osypowiczową rad bym ujrzyć w innej roli* — Antonina Tańska-Osypowiczowa (1855—1926), wybitna aktorka ukraińska.
- „*Rewe, taj stochne Dnibr szerokij*” — Ryczy i jęczy Dniepr szeroki (Szewczenko).
- Cyganka Aza* — J. K. Galasiewicz i Z. Mellerowa dokonali przeróbki scenicznej *Chaty za wsią*, tytułując ją *Dziewczę z chaty za wsią* (wystawiona r. 1884). Istnieje natomiast przeróbka sceniczna *Chaty za wsią* A. Andriejewskiego, właśnie pt. *Cyganka Aza* (dramat w 5 aktach), wydana w Moskwie (bez daty). Trudno orzec, o którą przeróbkę chodziło.
- s. 309 *Zakamieniałe serce...* Tobilewicza — jedna z pierwszych sztuk Iwana Tobilewycza (zob. przypis do s. 301, napisana w r. 1886, pierwotnie pod tytułem *Kto winien?*, następnie pt. *Nieszczęśliwa* (tytuł *Zakamieniałe serce* — trudno orzec, przez kogo stworzony — nawiązuje do zakończenia sztuki).
- s. 310 *Wychowaniec...* N. Janczuka — komedię wystawiono po raz pierwszy w 1888 r. na gościnnych występach teatru ukraińskiego Mychajła Staryckiego (1840—1904) w Moskwie.
- s. 312 Karol Zeller (1842—1898) — wiedeński kompozytor muzyki operetkowej.

## SŁOWNIK

- ba** — ale, lecz, tylko  
**ba c ó w k a** — szalaś bacy, doświadczonego starszego pasterza na hali, przewodzącego juhasom  
**ba j d k a** — bzdura, bajka, plotka, głupstwo  
**ba ł a c h w a s t y**, **ba ł a k w a s t y** — banialuki, brednie  
**ba n t y** — wiązania krokwi, belki poprzeczne pod dachem  
**ba r ł o ż y ć** — tu: zajmować, kłopotać  
**ba r z y n a** — bagno, moczar  
**ba s a r u n e k** — łajanie  
**ba r y z o w a n y** — ozdobiony; o brzegach w ząbki, z wytłaczanym wzorem  
  
**ca l i z n a** — tu: całość, jeden kawałek gruntu  
**ce n t** (łac.) inaczej grajcar (niem. Kreutzer) — 100 centów zawierał reński, gulden, srebrna moneta austriacka; moneta dziesięciocentowa popularnie zwana szóstką (z czasów, gdy jednostką był talar — 60 centów, tzn. 6 „szóstek”)  
**ce s t a** — droga  
**ce t y n a** — igliwie, końce gałęzi drzew iglastych  
**ch a z u k a** — czarna sukmana z owczej wełny, wyszywana kolorową włóczką  
**ch o d n i k** — ścieżka przez pole lub łąkę  
**ch y b a** — błąd, pomyłka  
**ch y b i a ć** — tu: brakować  
**ci s z y n a** — miejsce zaciszne  
**cy f r o w a ć** — tańczyć cyfrowanego albo cyfra, taniec z figurami  
**cz e r p a k** — naczynie z rączką używane do czerpania płynów, m. in. żętycy; toczone z jednego kawałka drewna, z bogato rzeźbionym uchwytem  
**cz u s z k a** — mała czucha, cucha, jedna z nazw regionalnych chazuki  
**cz y n i ć** — tu: czarować, rzucać uroki

- diasek — diabeł  
 do cna — do końca, zupełnie, całkowicie  
 do imentu — zupełnie, do-  
 szcześnie  
 dojka — dojna owca; owca  
 mleczna [przyp. autora]  
 drzewiej — dawniej, pierw-  
 wej  
 dy — wszak, przecież, zaiste,  
 oto  
 dziedzina — wieś skupio-  
 na [przyp. autora]  
 dźwierz — zwierz  
 floraczyna — gatunek pa-  
 proci  
 folusz — warsztat do ubija-  
 nia sukna z wełny  
 frymarczyk — handlować  
 gać — tama porośla drzewa-  
 mi, ścieżka przez bagna  
 gadzina — dobytek, bydło,  
 tu: owce  
 gańba — hańba  
 gater — piła tartaczna  
 glon, glan — ziele rosnące  
 na wodzie, wodorosty  
 glon — tu: kawał, np.: chle-  
 ba, sera  
 grajcar — zob. cent  
 grochowianka — wysu-  
 szone, całe łodygi wyłuska-  
 nego grochu  
 groń — pagórek, górką  
 gródza — ogrodzenie  
 gruda, grudzina —  
 kość piersiowa  
 haja — zawierucha, silny  
 podmuch wiatru, fala desz-  
 czu lub śniegu z wiatrem  
 hań — tam  
 harny — dumny, wyniosły;  
 harniec — wzbijać się  
 w dumę  
 haw — tutaj, tu  
 hawto — to tutaj  
 helokanie, holoka-  
 nie — głośne wołanie,  
 śpiewanie z przyśpiewem  
 „helo”  
 hle dać, hładać — spoglą-  
 dać, szukać, patrzeć  
 honorny — honorowy,  
 dzielny, tęgi, dumny  
 hora — góra  
 howado — bydłę, howie-  
 dy — bydłęta  
 hruby — gruby, bogaty  
 hydr — rozgłos, sława  
 idzinierować — inżynie-  
 rować, bawić się w inży-  
 niera, udawać inżyniera  
 ikrzyca — żyto samosiejne  
 z ziaren wypadłych z kło-  
 sów; zowie się też padalica  
 inak — inaczej  
 inkluz — siła tajemna, któ-  
 ra ściągą szczęście, bo-  
 gactwo lub powodzenie  
 [przyp. autora]  
 inszy — inny  
 istry — prawdziwy, rzeczy-  
 wisty

- jarka — owca, która nie miała jeszcze jagniąt; młoda owca [przyp. autora]  
 jaruga — miejsce bardzo podmokłe, grzęzawisko  
 juhás — doświadczony pasterz owiec szalaśnych [przyp. autora]  
 kalenica — grzbiet strzechy, wiązanie szczytowych snopków poszycia nakryte zwykle grubą warstwą perzu lub słomy mieszanej z gliną i kałem (kaleniczny — lepiony gliną)  
 kany — gdzie  
 karkulec — twarde smolne sęki, zwykle świerkowego drzewa  
 katanka — rodzaj krótkiej obcisłej kurtki z długimi rękawami  
 kądziel — przystroj do przędzenia, tu: krężel, nasadka na przęślicy, owinięty określoną ilością lnu  
 kerpiołki — kierpce, obuwie góralskie, sporządzone z jednego kawałka wyprawianej skóry  
 kielo — ile  
 kierdel, kerdel — stado owiec  
 kijań — drewniany młot, ciężka pała, buława  
 kłobuczek — kapelusz, kapelusik  
 knapka — tkaczka  
 koleba — szopa na polanie, sklecona z pniaków i nie ociosanych belek  
 kołowrotek — przyrząd do przędzenia, z kołem napędowym i szpulą do zwijania nici  
 kosmacz — diabeł; czasem wilk  
 koszar — zagroda z żerdeń lub desek pod otwartym niebem, w której zamyka się owce na noc i do dojenia  
 kółko — tu: siedziba Kółka Rolniczego, przy którym znajdował się zwykle sklep  
 kwaśba — lejba, siłta  
 lebo — albo  
 lelujá — lilia  
 lić — obfity deszcz, zlewa  
 litkup — poczęstunek po dokonaniu kupna, płaci go kupujący  
 lubryka — kreda czerwona; kamyk czerwony, miękki, którym można pisać jak kredą [przyp. autora]  
 luźny — wolny od pracy  
 łacwo — łatwo  
 łokieć — tu: miara długości, 60 cm  
 łoktуска — biała, lniana płachta, używana przez kobiety jako wierzchnie odzienie [przyp. autora]

- łomnica — wyłamany las  
 łośński — zeszłoroczny
- Miasto — rozumie się Nowy Targ. Jak w starożytności Urbs — rozumiało się Rzym [przyj. autora]
- mięso pust — zapusty, karnawał
- młaka — łąka podmokła
- mokrzać — ciągły, drobny deszcz
- młodycia — weselna panna młoda; u Orkana błędnie dziewczyna
- młojec — młodzian
- mraaka — mrok, zmierzch, gęsta mgła
- mżyć — tu: majaczyć
- naiste — oczywiście
- napalać — zaczepiać, drażnić
- naski — nasz
- nieciecz — małe jezioro ze stojącą wodą bez odpływu, tu: stojące deszczowe chmury
- nieupytany — nieuproszony, nie dający się uprosić
- nieurada — nie sposób
- nikany — nigdzie
- obertnać — obrócić się wkoło
- oduzdnąć konia — zdjąć uzdę
- odziomek — dolna część pnia tuż nad ziemią
- okpiś — oszust
- omam — złudzenie, omamić — łudzić, owładnąć kimś
- omraka — ciemność, tu: gęsta mgła
- opuszka — rondo u kapelusza
- orendować, orędować — prosić, wstawiać się za kimś
- osędziały — oszroniony, przyprószony siwizną, tu: deszczem, wilgotną mgłą
- osiedle — parę domów w kupie, związanych wspólnością pastwisk i ugorów. Nazwa „osiedle”, używana na całym Podkarpaciu, pochodzi jeszcze z czasów, kiedy osiedlali się pierwotni przybysze, karczując nie tknięte lasy. Około jednego domostwa, do którego należał dzisiejszy grunt całego osiedla, powstawały z czasem przez podział i związki rodzinne domostwa inne, tak że dziś osiedle liczy 10 do 20 domów. Z kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu takich osiedli składa się cała podkarpaska wieś [przyj. autora]
- oścień — kij zaostroszony, tu: zadzióra, ość kłująca

- otawić się — odżyć na nowo, zazielenić się, rozkrzewić się
- owieżć się — osunąć się
- ozwodny głos — rozwodzający, rozchodzący się daleko
- pacześny — z płót pa-cześnego; po wyczesaniu włókien lnu z paździerzy zostają pakuły, z których otrzymuje się gorsze gatunki włókna: pacześne, zgrzebne
- pamłoka — mgła gęsta, tu: dym gęsty
- parzenica — różnokolorowe wyszycia na spodniach góralskich w kształcie serca
- pazdur — ozdoby, wyrzynane w drzewie, na dachu chaty góralskiej
- piarg — usypisko żwiru i kamieni na zboczu góry
- piarzysty — z piaru, z zesypanego na ziemię uschłego igliwia
- piekarnia — izba dymna lub czarna, główna izba mieszkalna w chacie kurnej, gdzie znajduje się piec chlebowy
- płanetnik — istota mityczna, mająca władzę nad żywiołami, m. in. sprowadzająca chmury
- pogoniec — poganiacz, zwykle młody chłopak poganiający konie przy orce
- polenie — palenie, w izbie kurnej dwie belki wiszące pod powalą, na których się suszy drzewo opałowe
- ponuka — namowa, zachęta
- posiady — wieczorne sąsiedzkie zebrania towarzyskie dla pogawędki
- potraw — drugi zbiór siana
- prawieścić — opowiadać, obwieszczać
- przeca — przecież, przecie
- przetak — grube sito
- przewieść — tu: przekonać, przeciągnąć na swoją stronę
- przypołuń — pora południowa
- przysrój — przygotowanie
- puszta — rozległa, bezleśna nizina
- rachwanie — zrywanie główek lnu przy pomocy stalowego grzebienia umocowanego na desce
- raubszykować — kłusować
- rąbanica — siekiera
- rąbek — chusteczka na głowę
- regle — niższe, lesiste zbocza Tatr [przyp. autora]



- romolenie — padanie ulewnego deszczu
- roztoczony — poprzedzielany roztokami
- roztoka — dolina górską, gdzie schodzą się dwa potoki, raczej parowy wypływane przez potoki
- różdżka — gałązki jedliny ozdobione kwiatami i wstążkami, przypinane do chomąt końskich na wesele
- szczęznąć — zginąć, zmarnieć
- serbać, siorbać — chlić
- siępić, siąpić — mowa o drobnym deszczu
- siodło — przełęcz górską
- siutka — tu: sarna
- skoleńczały — zmarznięty, odrętwiały, skolcały
- skopiec — duże wysokie naczynie, dawniej drewniane, do którego zwykle dolewało się mleko
- skrzydlaci zakopiańcy — tak nazywają podtatrzańskich Górali, od zarzucanej na ramionach czuchy
- skrzyżala — naturalna płyta kamienna, płaski głaz
- sparnia — upał, duchota
- statek — żywność domowa, krowy, cielęta, owce [przyp. autora]
- strągiew, strąga — miejsce zagrodzone dla dojzenia owiec
- stręczysty — skręcony, układający się w strąki
- studzienki na hali — źródła, wgłębienia, gdzie zbiera się woda
- strzecha — tu przenośnie: rondo u kapelusza
- styrmać, stermać się — wspinać się, wdrapywać
- suty — tu: szeroki, mocno namarszczony
- swarny — kłótniwy
- szalaś — owce oddane przez gazdów pod opiekę starego owczarza, zwanego bacą, który stoi z nimi przez lato na jakiejś w Tatrach hali, gdzie się pasą, i z mleka ich wyrabia sery [przyp. autora]
- szif — okręt
- ślebodny — swobodny, wolny od zobowiązań
- śpas — żart, dowcip
- śródwieczerz — późne popołudnie, około godz. 16
- świetlica — izdebka, gościnnie bielony pokój, zwany także jasną izbą
- tragarz — belka wspierająca w chacie powałę, pod-

- trzymywana z kolei po-  
przecznym sosrębem
- tram — kloc
- turlikanie — dźwięk bla-  
szanych, podłużnych dzwon-  
ków owczych
- tutka — pysk owcy
- tyrać się — niszczyć się,  
rujnować się, ponieważć się
- ubocz — strome zbocze gó-  
ry pokryte lasem lub od-  
słonięte po wyrębie
- ulicha — ulewa
- ułyčia — ulica
- upłaz — równina między  
skałami porośnięta trawą;  
spadziste zbocze trawiaste  
[przyp. autora]
- utopiec — topielec
- uż — już
- walor — prawo
- wandrownik — wędrow-  
nik, obcy, włóczęga
- wartki — prędkie, żwawy
- wartogłowieć — kołowal-  
cieć
- watra — ognisko
- weczernycia (ukr.) —  
wieczornica
- wej — hej, oto właśnie
- wierch — szczyt
- witka — tu: kółko mosiężne,  
karyczka
- wnuka — tu: wnętrzności;  
na wnuku — na wnętrzu
- wrzeciono — szpulka  
drewniana, z jednego koń-  
ca cieńsza, służąca przy  
przędzeniu do kręcenia  
i nawijania nici
- wte — wtedy
- wyfuknąć — wystrzelić
- wykrocać, wykraćać —  
wyrwać drzewo z korzenia-  
mi
- wylub — kaniańka, chwast,  
pasożyt na koniczynie
- wzamek na węglach  
wiązany — budowle  
dawne były stawiane w za-  
mek na węglach, sposób łą-  
czenia belek wycios w wy-  
cios
- zabaczyć — zapomnieć
- zabażyć — zachciewać, za-  
marzyć
- zakiel — zanim, podczas  
gdy
- załonić się — przejść, mi-  
nąć
- zanieść się — zezłościć  
się
- zapolować — zółknąć za-  
czynać, dojrzewać, np.  
owies
- zawdy — zawsze
- zberczeć — dzwonić, brzą-  
kać
- zimnica — gorączka
- zje — „e”, partykuła wstęp-  
na, poprzedzająca pytanie
- z mamuny — zwidy

- zrajca, zdrajciec —  
zrajca
- zrędziały — tu: zimny
- żuźle — tu: nazwa nawozu  
sztucznego, tomasyny lub  
tzw. żuźli Thomasa, zwa-  
nych popularnie żuźle
- żleb — skaliste zbocze góry  
lub parów między dwoma  
górami, rozpadlina w stro-  
mej ścianie skalnej, wyłó-  
biona przez strugę spadają-  
cej wody; żłób [przyp.  
autora]
- żętyca — serwatka z mle-  
ka owczego
- żywoistnie — istotnie, do-  
kumentnie

## INDEKS OSÓB

- Abramowski Edward 318  
 Amicis Edmondo de 400  
 Andrejew Leonid 339—340, 444  
 Andriejewski A. 473  
 Andrusikiewicz Jan Kanty 455  
 Artemowśkyj Semen Hułak  
 306, 441, 473  
 Asnyk Adam 221, 228, 464—465  
 Auerbach Berthold 299, 472  
 Awdykowycz Orest 301
- Bachleda Klimek (Klemens)  
 236, 237, 465  
 Bachledowie 244, 263  
 Bakaj Michał 461  
 Bakunin Michał 318  
 Balicki Juliusz 404, 408  
 Bałucki Michał 168, 456  
 Bandrowski Kaden Juliusz 400  
 Bargone Frédéric (pseud. Clau-  
 de Farrère) 449  
 Bartkiewicz Zygmunt 400  
 Baudouin de Courtenay Jan  
 Ignacy 325  
 Bek Józef 445  
 Bem Józef 173, 175  
 Berent Wacław 202  
 Bergson Henri 318  
 Bezobrazow Aleksandr 358, 359  
 Bobrowa Piotrowicka Joanna  
 z Morzkowskich 174
- Bojko Jakub 178—181, 421—  
 422, 457—458  
 Bordulak Tymofij (pseud. We-  
 tyna) 301, 472  
 Borowska Janina 210—211, 462  
 Boufałowie 182, 458  
 Bóbr-Piotrowicki Teodor 174  
 Brandt Józef 251  
 Brehm Alfred Edmund 404—  
 405  
 Březina Tokar 460  
 Bruner Ludwik (pseud. Jan  
 Sten) 215—219, 271, 281,  
 425, 463—464, 468, 470  
 Bruno Giordano 318  
 Brzozowski Stanisław 210—  
 214, 325, 424—425, 461—463  
 Buczmaniwna O. Łewicka 310,  
 312  
 Burcew Władymir 461  
 Burtan Marcin 451  
 Burtanowie 451—452  
 Byrczak W. 471
- Cehłyński Hryhoryj (pseud.  
 Hryhoryjewycz) 301  
 Chałubiński Tytus 68—70, 243,  
 247, 254, 262, 454, 465, 466,  
 467  
 Chamfort Nicolas Sébastien  
 Roch de 334

- Chełmoński Józef 243, 249—  
 252, 429  
 Chmielnicki Bohdan 448  
 Chmielowski Piotr 164—165  
 Chopin Fryderyk (Szopen) 175,  
 347, 457  
 Choynowski Piotr 400  
 Chramiec Andrzej 465  
 Cieślak Paweł 375  
 Ciągiewicz Edmund Żegota 236  
 Cinciała Andrzej 368, 378  
 Ciszek Jan 455  
 Cybulski zob. Łada-Cybulski  
 Adam  
 Czaja, artysta ludowy 257  
 Czajczenko Wasyl zob. Borys  
 Hrinchenko  
 Czajkowski Michał (pseud. Sa-  
 dyk Pasza) 173, 175  
 Czarnecki Stepan 297, 471  
 Czartoryska Marcelina 175,  
 457  
 Czeremszyńska Marko zob. Iwan  
 Semaniuk  
  
 Danielak Michał 57, 453  
 Daniłowski Gustaw 202, 400  
 Daszyński Ignacy 323  
 Dąbrowska Maria 400  
 Dąbrowski Marian 451, 452  
 Dębicki Zdzisław 400  
 Dobrowolski Kazimierz 367,  
 372  
 Dobrowolski Tadeusz 370  
 Dostojewski Fiodor 318  
 Dybowski Benedykt 325  
 Farrère Claude zob. Frédéric  
 Bargone  
 Fed'kowycz Juryj (pełne na-  
 zwisko Osyp Juryj Hordyn-  
 skyj-Fed'kowycz) 296, 299,  
 440, 470  
 Fedyr zob. Łysek Jan  
 Filanśkyj Mykoła 297  
 Flammarion Camille 318  
 Fohobiczny 301, 472  
 Folkierski Władysław 427  
 France Anatole zob. Anatole  
 François Thibault  
 Franciszek Józef, cesarz 454  
 Franciszek św. 77—78, 239,  
 245, 316, 323, 357, 454  
 Franko Iwan 212, 296, 297,  
 299—300, 301, 438, 463,  
 471  
  
 Gadowski Walenty 237, 465  
 Galasiewicz Jan Kazimierz  
 308—309, 473  
 Galica Andrzej (pseud. A. Wir-  
 choń) 275—277, 435, 436,  
 445, 469  
 Gawalewicz Marian 168, 204,  
 456, 461  
 Gembarzewski Miłosz 400  
 Gembycka Ołena 308, 309, 310,  
 311  
 Gembyckij Tyt 305, 308, 309,  
 310, 311  
 Gierymski Aleksander 241,  
 243, 429, 465  
 Gierymski Maksymilian 241,  
 243, 251—252  
 Gloger Zygmunt 372  
 Goetel Ferdynand 400  
 Goethe Johann Wolfgang 337

- Gojański Jan zob. Wantuła Jan 411, 412, 413, 414—415, 417, 418
- Goldman A. 462 Janczuk N. 310, 442, 473
- Görgey Artur 175 Janowicz, radca 207
- Gorki Maksym zob. Aleksiej Pieszkow Jarosz Włodzimierz 301, 439, 472
- Goszczyński Seweryn 227, 464 Jarzmowski, ojciec 253
- Górski Artur (pseud. Quasimodo) 195, 200, 202, 241, 459, 460 Jarzmowski Stefan 249—254, 429, 467
- Grażynski Michał 367, 372 Jedlicz Józef zob. Kapuściński Józef
- Gurska Franciszka 457 Jeleń, księgarz 427
- Gutowie 262 Jeż Teodor Tomasz zob. Miłkowski Zygmunt Fortunat
- Gwiżdż Feliks 272—274, 275, 435—436, 455, 469 Jirásek Aloiz 188, 459
- Juroszek Jan 376
- Haecker Emil 211, 462
- Hauptmann Gerhardt 436 Kamykowski Ludwik 432—433
- Hiob 261 Kant Immanuel 318
- Hoesick Ferdynand 467 Kapuściarzowa, matka Jedlicza 321
- Hoff Bogumił 378
- Homer 244, 339 Kapuściński Józef (pseud. Józef Jedlicz) 202, 216, 270—272, 273, 274, 275, 321, 434—435, 468
- Hrabowski Pawło 296
- Hrinczenko Borys (pseud. Wasyl Czajczenko, Iwan Pererkotypołe, B. Bilchowskyj) 296, 301, 471 Karłowicz Mieczysław 465
- Hryhorowycz Iwan 305, 307, 308, 310, 312 Karmański Petro 297, 471
- Iłakowiczówna Kazimiera 400
- Irzykowski Karol 325 Karpenko-Karyj zob. Tobitowycz Iwan
- Iwan Groźny, car 340 Kasparkowie 426
- Jackiw Mychajło 301, 302—304, 437, 440—441, 471, 472 Kasprowicz Jan 166, 194, 195, 202, 203, 228—229, 233, 259—264, 343, 400, 433, 456, 465, 467
- Jakubowski Kazimierz Stanisław 400, 401, 402, 404, 410, 411 Kasprowiczowa Maria z Buninów 264
- Katerla Józef zob. Żeromski Stefan

- Katzenellenbogen Oskar 249, 467  
 (pseud. Ostap Ortwin) 164, 166, 202, 343, 419, 456
- Kazimierz Wielki, król 266
- Kietlicz Rayski Konstanty 255—258, 431—433, 467
- Kietliczowa Rayska, żona 432—433
- Kipling Rudyard 407
- Kisielewski Jan August 202
- Kleiner Juliusz 456
- Kmietowicz Józef Leopold 455
- Kobryńska Natalia 301
- Kobylańska Olga 301
- Kociubynskij Mychajło 301
- Kojs Józef 455
- Kolberg Oskar 372
- Komornicka Maria 195, 202
- Konczyński Tadeusz 195, 202
- Kondratowicz Ludwik (pseud. Władysław Syrokomla) 470
- Koneczny Feliks 356
- Konopnicka Maria 202, 221, 225, 297, 435
- Kosacz Łarysa (pseud. Łesia Ukrainka) 297, 301, 471
- Kossak Juliusz 241, 429, 465
- Kostiw Wasyl (pseud. Wasyl Werchowynyc) 301, 472
- Kostka Napierski Aleksander Lew 262, 276, 467
- Kościelny, Góral 242
- Kościuszko Tadeusz 183, 394, 454
- Kot Stanisław 428
- Kotarbiński Józef 455, 460
- Kotlarewskij Iwan 305, 473
- Kozicki Władysław 456
- Krasiński Adam 249, 467
- Krasiński Zygmunt 174, 213—214, 457, 463, 467
- Kraszewski Józef Ignacy 308, 441
- Krechowiecki Adam 470
- Kropotkin Piotr 318
- Kropywnyckij Marko 301
- Kruszelnyckij Antin 301
- Krymskij Agafangeł 296, 301
- Krzepetowscy 67
- Krzepetowski Jan (pseud. Sabala) 61, 67, 70, 244, 245, 396, 429, 454
- Kubala Ludwik 449
- Kubisz Jan 369
- Kulikowska Kasylda 421
- Kulisz Pantelejmon 296
- Kurzawa Antoni 243, 254, 429
- Kwaśny Marian 446
- Kwiatkowski Jerzy 422
- Kwitka-Osnowianeńko Hryhorij 299, 471—472
- Lagerlöf Selma 402
- Lange Antoni 195, 202, 427
- Larisch, graf śląski 373
- Lelewel Joachim 173
- Lenartowicz Aleksander Teofil 225
- Leszczyński Edward 202
- Leśmian Bolesław 400
- Lubertowicz Zygmunt 275, 435, 469
- Łada-Cybulski Adam 195, 202
- Łepki Bohdan 297, 301, 303, 439—440, 471

- Łopatynska Krawczuk Filomena 305, 306, 309, 310, 311, 312
- Łopatynskij Łew 301, 471
- Łučkyj Ostap 301, 471
- Łypa Iwan 301
- Łysek Jan (pseud. Fedyr) 367
- Łysenko Mykoła 473
- Maciejewski 372
- Maciejowski Ignacy (pseud. Sewer) 195, 356, 459
- Makowej Osyp 296, 300, 301
- Makuszyński Kornel 400
- Malczewski Jacek 240, 242, 428, 446, 465
- Malinowski Lucjan 394
- Małecki Antoni 456
- Mańko Leonid 305, 307, 441, 472
- Marchlewski Julian 444, 445
- Marck Ludwik 450
- Marduła, Góral 262, 263
- Mardułowie 262, 264
- Marks Karol 318
- Martowycz Łeś 301
- Martynek Jura 375
- Mascagni Pietro 311
- Matejko Jan 241, 429, 465
- Matuszewski Ignacy 460
- Maykowski Stanisław 400, 403, 404, 405, 406, 407—408
- Mayzner Józef 177
- Mellerowa Zofia 473
- Mereżkowski Dmitrij 318
- Metłyński Amwrosij 295
- Mickiewicz Adam 173, 174, 183, 212, 230—231, 234, 260, 315, 442, 450, 463
- Mierzejewski Lew 195, 202
- Miłkowsy 457
- Miłkowska Zofia z Wróblewskich 173, 175
- Miłkowski Zygmunt Fortunat (pseud. Teodor Tomasz Jeż) 172—177, 421, 456—457
- Mirandola Franciszek zob. Franciszek Pik
- Miriam zob. Przesmycki Zenon
- Misiółek Leon 57, 453
- Mojżesz 166, 261, 343
- Mokłowski Kazimierz 242
- Moniuszko Stanisław 312
- Mortkowicz Janina 402
- Myrnyj Panas 299, 301
- Nalborczyk Jan 242, 243, 249, 466
- Nałkowska Zofia 400
- Napierski zob. Kostka Napierski Aleksander Lew
- Nawrocki Władysław 195
- Neczuj Iwan (pełne nazw. Iwan Neczuj-Łewyckij) 299
- Niedźwiedzki Zygmunt 217, 464
- Niemojewski Andrzej 202, 427
- Nietzsche Friedrich 316, 318, 328
- Niszczynskij Petro (pseud. Bajda) 294, 306, 307, 311, 441, 470, 473
- Nitsch Kazimierz 372
- Niżankowskij Amwrosij 307, 309, 310
- Norwid Cyprian Kamil 73—77, 397—398, 454



- Noskowski Zygmunt 308  
 Nowaczyński-Neuwert Adolf  
 Antoni Artur (pseud. Przy-  
 jacieli) 195, 202, 325, 460  
 Nowicka z Kasparków, matka  
 426  
 Nowicki Franciszek Henryk  
 202, 220—238, 261, 425—  
 427, 442, 464—465  
 Nowicki Maksymilian 426
- Obrochta Bartek (Bartłomiej)  
 236, 465  
 Olszański Mychajło 309  
 Ołeś Oleksander 297  
 Oppman Artur (pseud. Or-Ot)  
 202  
 Orawcowie 262  
 Or-Ot zob. Oppman Artur  
 Ortwin Ostap zob. Katzenel-  
 lenbogen Oskar  
 Orzeszkowa Eliza 183  
 Ostaszewski Kazimierz 427  
 Ostrowska Bronisława 400  
 Ostrowski Aleksandr 472  
 Osypowyczowa Antonyna Tań-  
 ska 308, 309, 310, 473  
 Ozeasz 71, 454
- Paczowski Wasyl 297, 301,  
 471  
 Parandowski Jan 400  
 Pasek Jan Chryzostom 449  
 Patriota polski (pseud.) 463  
 Pawlikowska Maria z Kossa-  
 ków (Jasnorzewska) 400  
 Pawlikowski Mieczysław 464  
 Pawlikowski Tadeusz 461  
 Perzyński Włodzimierz 195,  
 201, 202, 400  
 Pfaunówna Zofia 417  
 Pieńkowski Stanisław 195, 202  
 Pieszkow Aleksiej (pseud.  
 Maksym Gorki) 211, 462  
 Pigoń Stanisław 367—387, 401,  
 418, 420, 421, 423, 424, 426,  
 434, 443, 446, 447, 451  
 Pik Franciszek (pseud. Miran-  
 dola Franciszek) 202, 445  
 Pilchówna Maria 380  
 Pini Tadeusz 427, 448  
 Piniński Leon 242  
 Podkowiński Władysław 254  
 Poe Edgar Allan 303  
 Pol Wincenty 228, 442, 464  
 Połoniecki Bernard 444  
 Porazińska Janina 403  
 Potapenko Wiaczesław 301  
 Potoccy 295  
 Potocka Delfina z Komarów  
 174, 457  
 Potocki Antoni 202  
 Potoczek Jan 57, 453  
 Potoczek Stanisław 57, 453  
 Preczang Ernest 450  
 Promyk Kazimierz zob. Pró-  
 szyński Konrad  
 Proudhon Pierre Joseph 318  
 Prószyński Konrad (pseud. Ka-  
 zimierz Promyk) 243, 429  
 Przesmycki Zenon (pseud. Mi-  
 riam) 188, 194, 201, 202  
 Przybylski Zygmunt 168  
 Przybyszewska Dagny z Jue-  
 lów 196, 460

- Przybyszewski Stanisław 196—  
198, 199, 200—201, 202,  
207—209, 283, 335, 424, 459,  
461, 464
- Przyjaciół zob. Adolf Nowa-  
czyński
- Quasimodo zob. Górski Artur
- Reymont Władysław Stanisław  
202, 400, 436, 464
- Rolland Romain 449, 451
- Rossowski Stanisław 403, 417
- Rubczak Iwan 305, 306—307,  
308, 309, 310, 311, 312
- Rubczakowa Kateryna 305,  
306, 310
- Rudański Józef 296
- Ruffer Józef 202
- Ruskin John 240
- Rydel Lucjan 202, 204—205,  
236, 424, 461
- Sabała zob. Jan Krzeptowski
- Sadyk Pasza zob. Michał Czaj-  
kowski
- Samijtenko Wołodymyr  
(pseud. Syweńkyj) 297
- Schmidt Kasper (pseud. Maks  
Stirner) 318
- Schopenhauer Arthur 318
- Segantini Giovanni 442
- Semaniuk Iwan (pseud. Cze-  
remszyna) 301, 472
- Sewer zob. Ignacy Maciejow-  
ski
- Shakespeare Wiliam (Szeks-  
pir) 164, 309, 379
- Siedlecki Franciszek 429
- Siedlecki Grzymała Adam 202
- Siedlecki Michał 318, 400
- Siemiradzki Henryk 250—251
- Sienkiewicz Henryk 196, 454
- Sieroszewski Wacław 202, 400,  
464
- Sinko Tadeusz 400
- Skarga Piotr 180, 450
- Słowacki Euzebiusz 174
- Słowacki Juliusz 163, 170—  
171, 174, 176—177, 231, 234,  
337, 347, 419, 442, 456, 457,  
460
- Smolczyński Wincenty 57, 453
- Smreczyńska Bronisława (Fo-  
lejewska), żona 405, 408,  
443
- Smreczyńska Katarzyna, mat-  
ka 370
- Smreczyńska Zofia, córka 370
- Smreczyński Maciej, ojciec 72,  
397
- Smreczyński Stanisław, brat  
188, 444, 445, 459
- Sokrates 240, 241, 245, 249, 428
- Solski Ludwik zob. Ludwik  
Napoleon Sosnowski
- Sosnowski Ludwik Napoleon  
(pseud. Ludwik Solski) 286—  
290, 437, 470
- Sowa Antoni 460
- Stachowicz Leon 452
- Stadnyk Josif 305, 309, 310,  
311, 472
- Staff Leopold 201, 202, 203,  
205—206, 216, 275, 347, 400,  
424, 461

- Stanisławski Jan 394  
 Stapiński Jan 321  
 Staryćkyj Mychajło 296, 301, 473  
 Stecki Konstanty 419, 442—443  
 Steczynska Eleonora 309  
 Stefanyk Wasyl 298, 301, 303, 471  
 Sten Jan zob. Ludwik Bruner  
 Sterling Kazimierz 195  
 Stirner Max zob. Kasper Schmidt  
 Stolarczyk Józef 262, 429, 467  
 Stopka Andrzej 454  
 Sułkowski Józef 318  
 Syrokomla Władysław zob. Ludwik Kondratowicz  
 Szaszkewycz Markian 295  
 Szczepański Ludwik 194, 199—200, 459, 460  
 Szczurat Wasyl 301, 471  
 Szeremeta Andrij 308, 309, 310  
 Szewczenko Taras 294, 295—296, 299, 300, 306, 307, 311, 431, 470 473  
 Szukiewicz Maciej 195, 202, 460  
 Szymanowski Karol 465  
 Ślimak, Góral 242  
 Światopełk, książę 9, 453  
 Świętochowski Aleksander 211, 254  
 Tetmajer Adolf, ojciec 267, 468  
 Tetmajer Kazimierz 194, 195, 199, 202, 203, 205, 229, 236, 243, 245, 261, 262, 265—269, 284, 297, 347, 356, 427, 434, 442, 454, 457, 461, 464, 465, 467, 468  
 Tetmajer Włodzimierz, brat 269, 468  
 Tetmajerowie 265—269, 434  
 Thibault Anatol François (pseud. Anatol France) 218  
 Tobiłowycz A. (pseud. A. Sak-sahański) 472  
 Tobiłowycz Iwan (pseud. Iwan Karpenko-Karyj) 294, 301, 309—310, 442, 470, 472, 473  
 Tobiłowycz Mykoła (pseud. Mykoła Sadowśkyj) 472  
 Tołstoj Lew 240, 318  
 Toporowie 244, 432  
 Topór, Góral 258  
 Towiański Andrzej 213—214  
 Trentowski Bronisław Ferdynand 213—214, 463  
 Turgieniew Iwan 299  
 Tuwim Julian 470  
 Twardowski Samuel 449  
 Twerdochlib Sidor 297, 303, 437—438, 440—441, 470, 471  
 Ujejski Kornel 175, 457  
 Ukrainka Łesia zob. Łarysa Kosacz  
 Wagner Richard 306, 307  
 Wantuła Andrzej 369—370  
 Wantuła Jan (pseud. Jan Go-jański) 187, 368—369, 372, 422, 448, 458  
 Wasylewski Stanisław 400  
 Wawrytko 236, 237—238, 465

- Werchowynyc Wasyl zob. Wasyl Kostiw
- Wetyna zob. Tymofij Bordulak
- Wierzyński Kazimierz 400
- Wilńska-Markowycz Maria (pseud. Marko Wowczok) 299, 472
- Wirchoń Andrzej zob. Galica Andrzej
- Wiśniowieccy 295
- Witkiewicz Stanisław 78, 239—248, 249—254, 256, 257, 258, 262, 428—431, 432, 446, 454, 465, 467
- Witkiewiczówna Maria 248, 430, 467
- Witwicki Władysław 400
- Wojnar Kasper 454
- Wolski Wacław 195
- Wolski Włodzimierz 173, 175
- Womela Stanisław 325
- Woronyj Mykoła 296
- Wowczok Marko zob. Maria Wilńska-Markowycz
- Wrzos (pseud.) 185, 458
- Wyczółkowski Leon 442, 459
- Wysłouch Bolesław 184, 186, 393, 422, 424, 458, 471
- Wysłouchowa Maria z Boufałów 182—191, 334, 368, 369, 373—378, 422—423, 458—459
- Wyspiański Stanisław 163—165, 166—170, 201, 202, 280, 343, 345, 419—420, 455, 459, 460, 461, 464
- Zagórski Adam 279—285, 436—437, 469
- Załęski Stanisław 192—193, 459
- Zbierchowski Henryk 202
- Zdziechowski Marian 471
- Zegadłowicz Emil 400
- Zeller Karl 312, 473
- Zeyer Juliusz 188
- Zychowie 244
- Żeromski Stefan (pseud. Józef Katerla) 202, 203, 284, 400, 425, 461, 464
- Żuławski Jerzy 195, 201, 202
- Żurek, sąsiad 446

## SPIS TREŚCI

### CZANTORIA

Wstęp . . . . .	7
I. Na Czantorii i Równicy . . . . .	11
II. Słota . . . . .	18
III. Czary . . . . .	36
IV. Poranek . . . . .	47

### NOWELE I OBRAZKI. Seria I

Dziki . . . . .	53
Wyborca . . . . .	56
Gadki z Podhala: I „Co ma wisieć nie utonie” . . . . .	61
II . . . . .	63
III . . . . .	63
Pomruk gór abo rozmowa . . . . .	65
Przez co Sabała omijał jarmark w Kieżmarku . . . . .	67
Betlejem i Asyż . . . . .	71
Inkluz w gospodarstwie . . . . .	79

### NOWELE I OBRAZKI. Seria II

Legenda o Podhalu . . . . .	89
Na hale . . . . .	93
Owce w burzy . . . . .	98
Zła zima . . . . .	102
Orły . . . . .	107
Dyzma w Betlejemie . . . . .	113
Prędko Michał . . . . .	119
Przygoda Wojtusia . . . . .	123
Jędrus na weselu . . . . .	129
Przędki . . . . .	135
Jasiek w fabryce sukna . . . . .	140
Na obczyźnie . . . . .	144
Za morze... . . . .	148
Niezgoda młynów . . . . .	153
Jaś w Chochołowie . . . . .	156

## SZKICE I WSPOMNIENIA LITERACKIE

O odczuwaniu dzieła sztuki. Fragment odczytu . . . . .	163
Pułkownik Miłkowski. Wspomnienie . . . . .	172
Jakub Bojko jako pisarz . . . . .	178
Maria Wysłouchowa. Wspomnienie . . . . .	182
Młoda Polska . . . . .	192
Młoda Polska. Fragment odczytu . . . . .	198
Z recenzji: Lucjan Rydel . . . . .	204
Leopold Staff . . . . .	205
Stanisław Przybyszewski . . . . .	207
W sprawie Stanisława Brzozowskiego . . . . .	210
Jan Sten. Wspomnienie . . . . .	215
Franciszek Nowicki . . . . .	220
O Stanisławie Witkiewiczu . . . . .	239
Wspomnienia Witkiewicza . . . . .	249
„Cichy pan” . . . . .	255
Podhale w życiu Kasprowicza . . . . .	259
Wiśń Tetmajerów . . . . .	265
Poeci podhalańscy: Józef Jedlicz . . . . .	270
Feliks Gwiżdż . . . . .	272
Andrzej Galica . . . . .	275
Pro domo sua: O „Winę i karę” . . . . .	278
Potrójna cenzura . . . . .	285
O literaturze ukraińskiej: Współczesna poezja ukraińska . . . . .	291
Powieściopisarze i noweliści . . . . .	298
Michajło Jackiw . . . . .	302
Teatr ruski narodowy w Parku Krakowskim . . . . .	304
DODATEK	
Teoria socjalna . . . . .	315
Zamierzenia i plany . . . . .	350
KOMENTARZ	
Nota wydawcy . . . . .	367
Przypisy . . . . .	453
Słownik . . . . .	475
Indeks osób . . . . .	483

Okładkę projektowała  
BARBARA BIERNAT

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969

Wyd. I. Nakład 3000 + 283 egz. Ark. wyd. 22,2. Ark. druk. 31

Papier druk. mat. kl. III, 82 × 104 cm, 70 g z Fabr. Pap. w Kluczach

Oddano do składania 6 VI 1968

Podpisano do druku 4 XII 1968

Druk ukończono w styczniu 1969

Nr zam. 397/68

A-63-1246

Drukarnia Wydawnicza, Kraków, Zwierzyniecka 2